

JEANNE BOURIN  
WIELKI  
OGIEN



NOIR SUR BLANC

JEANNE BOURIN

WIELKI  
OGIEŃ

Przełożyła  
Krystyna Arustowicz

NOIR SUR BLANC

MOJEMU OJCU, KTÓREGO PRZODEK BYŁ  
W JEDENASTYM WIEKU BUDOWNICZYM MIAST.  
MOJEJ MATCE, DZIEWCZYNIE ZNAD LOIRU

IN MEMORIAM

*[Pan] położył przed tobą ogień i wodę,*

*po co zechcesz, wyciągniesz rękę.*

Mądrość Syracha, czyli Eklezjastyk  
15, 16<sup>[1]</sup>



CZĘŚĆ PIERWSZA ZAMIAST PROLOGU

OGNISTY PŁASZCZ

Czerwiec 1081

## I

Pierwsza obudziła się stara Ermengarda. Z wiekiem sen staje się płytszy. Oparta na łokciu, uniosła nos ku belkowanemu sufitowi i raz po raz wciągała powietrze, jak pies próbujący coś wywęszyć w podmuchach wiatru.

Wszyscy domownicy i goście jej bratanka Fouchera z Meslay, pana na Fréteval, głęboko spali. Podane na kolację potrawy i wina obciążły ciała i zamuliły umysły.

Ermengarda otarła czoło. Było ciepło. Za ciepło jak na początek czerwca. Noc ledwo studził lekki powiew, przedostający się do komnaty przez trzy wysokie, wąskie okna, nie tłumił jednak wyziewów nocnych potów ani woni czosnku i wina.

Mimo pachnących trzcin i wodnych irysów porozkładanych na posadzce, mimo pęczków mięty, pozawieszanych wzdłuż ścian, wokół posłań unosił się odór ludzkich ciał.

Słońce, przez cały dzień ogrzewając dębowe deski i belki, z których na początku wieku wzniesiono warownię i zabudowania gospodarskie, zmieniło donżon w rozżarzony piec. We wnętrzu wieży wciąż panował zaduch.

Ermengardzie zdało się, że dociera do niej jakiś niewyraźny swąd spalenizny. Skąd się wziął? W wielkiej sali<sup>[2]</sup> na pierwszym piętrze, pod komnatą, nie zapalano przecież światła prawie od dwóch tygodni, a kuchnię swego czasu, na wszelki wypadek, wybudowano na dziedzińcu, poza donżonem.

Natomiast drugie piętro, podzielone na mniejsze pomieszczenia tapiseriami i kotarami zawieszonymi na obrotowych żerdziach, kryło niejedną zakamarek.

Zanim Ermengarda zrozumiała powód swego lęku, serce zaczęło jej bić jak oszalałe. Kilkakrotnie szybko się przeżegnała. Obok niej w długim kwadratowym łóżu pogrążone były w drzemce jej od dawna owdowiała córka Mahauta, a także dwie kuzynki, które towarzyszyły jej na kolacji wydanej przez barona.

Staruszka wmawiała sobie, że ma jakieś omamy. Wokół panował taki spokój. Dawał się słyszeć tylko znany każdemu, kto od dawna nocuje we wspólnych sypialniach donżonów, szmer, na który składają się chrapanie, niewyraźne słowa mamrotane we śnie i szelest ciał, wykonujących nieświadome ruchy.

Ermengarda mogła nawet rozróżnić dobiegające z góry rytmiczne kroki wartownika obchodzącego ganek.

Musiało się jej coś przyśnić.

A jednak swąd narastał, coraz wyraźniejszy. Teraz nie było już wątpliwości, że to spalenizna.

Ermengarda chwyciła za ramię córkę i potrząsnęła nią:

– Mahauto! Mahauto! Na miłość boską! Obudź się!

Niemal w tej samej chwili z głębi rozległej izby dobiegł wrzask:

– Gore! Gore!

Niby świetlisty wąż krawędzią tapiserii przemknął niski płomyk. Nagła jasność i dobiegające zewsząd krzyki wytrąciły ze snu wszystkich jeszcze w nim pogrążonych wskutek ciężkostrawnego posiłku.

Odruchowo Ermengarda poszukała koszuli, którą wieczorem, rozebrawszy się, zwinęła i włożyła pod poduchę, by znów ją przywdziać rano.

– Na wszystkich świętych! Trzeba się ubierać!

Naga, potężnej postury, mająca na sobie tylko płócienną opaskę owiniętą przed zaśnięciem wokół głowy, Mahauta wyciągała matkę z łóżka, z którego wyganiała też na wpół śpiące kuzynki, a zarazem ściągała lniane prześcieradło i owijała nim starą kobietę.

Wokół po nocnej ciszy zapanował rejwach. Matka z córką przez chwilę zastanawiały się, co robić.

– No, dobrze – ucięła Mahauta, owijając się narzutą na łóżko. – Musimy stąd jak najprędzej wyjść!

Obudzeni w środku nocy, lokatorzy donżonu wyłaniali się kolejno spomiędzy kotar i tapiserii. Wypytywali jedni drugich, wydawali polecenia, nawoływali się, krzyczeli.

Mężczyźni, kobiety, dzieci, przerażeni, nadzy lub ledwo przysłonięci pierwszą lepszą tkaniną, jaka im wpadła w rękę, biegali dokoła w kłębach dymu, pośród trzasków pełgających płomieni, które chwilowo rozświetlały ciemność.

– Na Chrystusa, schodźcie! Schodźcie wszyscy!

Stanowczym głosem pan na Fréteval usiłował przebić się przez wrzawę struchlałych ludzi.

– Biegiem do studni!

Wysoki, szczupły, sporo po pięćdziesiątce, baron Foucher z Meslay, w zwykłej koszuli, lecz z mieczem w dłoni wymachiwał nim na prawo i lewo, rozcinając już zajęte ogniem miękkie wełniane zasłony.

– Uważać przy drabinie! Nie tłoczyć się!

By zejść do wielkiej sali na niższym piętrze, należało skorzystać z ciężkiej drabiny, łączącej wspólną sypialnię z reprezentacyjnym pomieszczeniem, w którym nieco wcześniej spożywano kolację.

Przy otworze w posadzce cisnęli się krewni, goście i słudzy barona: jedni odrętwiali, drudzy wystraszeni, ale wszyscy pragnący za wszelką cenę ocalić życie.

Ewakuację organizował Newelon, najstarszy syn Fouchera, już – mimo młodego wieku – odznaczający się władczyim sposobem bycia. Towarzyszył mu jeden z zamkowych bastardów, Odon z Fréteval, oszpecony długą blizną po ranie wyniesionej z jakiejś potyczki.

– Miejsce dla starców, kobiet z dziećmi, chorych! Przepuście ich!

– Chwytajcie zasłony, narzuty! – krzyknął Odon Bastard. – Próbujcie gasić ogień!

Z drabiny zsunęło się i nadbiegło dziesięciu żołnierzy stanowiących garnizon stacjonujący na trzecim, a zarazem ostatnim piętrze.

– Pilnujcie, żeby nikt się nie przepychał – rozkazał baron Foucher. – Podtrzymujcie słabych!

Dym gęstniał, a skwar stawał się coraz bardziej duszący.

– Wody! Koniecznie wody! – wrzasnął młodzieniec rostry i krzepki jak dąb w pobliskim lesie. Próbował gasić mnożące się zarzewia ognia, ciskając na nie kołdry.

– W imię Boże, Bernoldzie, schodź, panie, schodź! – powtórzył Foucher. – Tyś moim gościem, a twoje życie nad wyraz sobie cenię!

Słudzy, którzy sypiali poza wieżą, w lepiance przy kuchni, właśnie teraz, niosąc pełne wiadra wody, znaleźli się u stóp drabiny, ale że ludzie wciąż po niej schodzili,



zaczęli podawać naczynia z rąk do rąk, aż dotarli do żołnierzy.

Bernold chwycił jedno z wiader i z rozmachem wylał jego zawartość na znajdujące się pod ręką łóże. Materace z wełny lub z suszonych liści pokrzywy, kołdry wypełnione pierzem, poduszki płonęły jedne po drugich. Nawet irysy i sitowie pokrywające posadzki zaczynały się żarzyć.

– Majolu! – wykrzyknął Bernold – Majolu! Strzeż się! Żerdź nad tobą zaraz ci spadnie na głowę!

Jednym susem ten, do którego się zwracał, dotąd także próbujący gasić pełgające płomienie zrywanych skąd popadnie tkaninami, cofnął się w ostatniej chwili, zanim rozżarzona krokiew zwała się na posadzkę, wzniecając snop iskier.

Niższy od Bernolda, zręczny i gibki jak łasica Majol wykazywał się ruchliwością i zwinnością dzikiego zwierzęcia.

– Schodźcie, przyjaciele, szybko! Schodźcie obydwaj! – podjął Foucher z Fréteval.  
– I to natychmiast! Niczego już się nie ocali!

W tym momencie, mimo coraz natarczywszego pomruku pożogi, przez tumult przedarły się okrzyki przerażenia.

– Słuchajcie! Ktoś wzywa ratunku!

Bez chwili wahania Bernold i Majol rzucili się w stronę izby, z której dobiegały głosy.

Pośród płomyków rozprzestrzeniających się zewsząd, w dymie gęstym jak gradowa chmura, między meblami i innymi przedmiotami porozrzucanymi przez oszalałych ze strachu lokatorów komnaty, obaj młodzi ludzie z wielkim trudem torowali sobie drogę. Wokół nich w nieznośnym gorącu trzeszczały, pękały, rozpadały się drewniane ściany, sufit, podłoga, łóżka, stołki, skrzynie. Ogień, czerwony jak krew i żółty jak siarka, nadawał gorejącej izbie wygląd łącie piekielny.

Wreszcie udało im się dotrzeć do okna, w którego framudze schroniły się dwie dziewczyny. Widać liczyły, że wyskoczą przez ten otwór, jednak wysokość drugiego piętra zniweczyła nadzieję ucieczki.

Półnagie, uwięzione za ciężką, przewróconą ławą, której oparcie już płonęło, zrezygnowały z wzywania pomocy. Na kolanach, przytulone do siebie, głośno się modliły, błagając o litość Boga i Matkę Boską.

– Nie lękajcie się!

Wspólnymi siłami obaj przyjaciele zdołali odsunąć tarasujący drogę mebel z woskowanego dębu, który niełatwo zajmował się ogniem i którym można było jeszcze manipulować.

Isambora oderwała się od swojej kuzynki Aweliny.

Jasnowłosy olbrzym, z karkiem ogolonym na modłę normandzką, zbliżał się do niej, jakby wyrosły z piekielnej otchłani. Poczerniała od sadzy twarz rozświetlały jedynie olśniewająco białe zęby i pomimo piekącego dymu jasne spojrzenie przypominające wodę w rzece w pełni upalnego lata.

„Na Boga! Jakby święty Michał we własnej osobie!” – pomyślała Isambora.

– Chodź, panienko.

Spłoszona dziewczyna, z długimi brunatnymi warkoczami uderzającymi o jej uda,

skoczyła.

W tym momencie jedna z kotar używanych do uszczelniania okien zimą, zwykle przysunięta do ściany w cieplej porze roku, oderwała się od zwęglonego drążka i płonąca spadła na dziewczynę, którą okryła niczym ognistym płaszczem.

Bernold rzucił się naprzód. Zerwał żarzącą się tkaninę, która lada chwila mogła zamienić w żywą pochodnię tę, która była nią owinięta, i nie chcąc dopuścić, by płomienie objęły włosy lub lekką szatę, którą miała na sobie, otulił Isamborę peleryną, którą sam wdział zaraz po przebudzeniu.

Oboje znaleźli się, przyciśnięci jedno do drugiego, pod tym powiewającym płaszczem.

Podczas gdy Majol ciągnął za rękę szczupłą i wysoką blondynkę, która z zaciekłym obliczem stawiała czoło niebezpieczeństwu, Bernold, przyciskając do piersi właśnie ocaloną dziewczynę, zamierzał przejść w odwrotnym kierunku przez komnatę ogarniętą pożarem, którego nikt już nie próbował ugasić. Belki stropowe i krokwie zaczęły ustępować. Można się było obawiać, że odrywające się od nich kawałki zwęglonego drewna zagrodzą przejście.

W tumanach dymu, wśród płonących szczątków, które, spadając, wzniecały kolejne snopy ognia, prawie oślepiony, z gardłem wysuszonym od rozżarzonego powietrza, Normandczyk posuwał się krok za krokiem.

Jego rozgrzane ciało wydzielało cierpkie opary potu, które, połączone z gryzącym smrodem palonego drewna, uderzały w nozdrza Isambory.

Wciąż przyciśnięta do nagiej piersi mężczyzny, który zdążył tylko wciągnąć czerwone portki pod obszerny płaszcz, przerażona dziewczyna czuła, jak jej skóra przywiera do skóry nieznanego, a jej pot miesza się z jego potem...

Wreszcie dotarli do miejsca, gdzie zaczynały się stopnie.

– Na mą duszę! Myślałem, że zginęliście oboje! – wykrzyknął Newelon, z którego gardła, podrażnionego dymem, wydobywało się coś w rodzaju ochrypłego rżenia. – Drabina spadła razem ze wszystkimi, którzy się jej uczyli, raniąc sporo osób. Właśnie ją podniesiono. Sam też zamierzałem odejść, bo straciłem nadzieję, że was jeszcze ujrzę! Tu już nie można wytrzymać!

Mimo napadów kaszlu, który nim wstrząsał, wyczuwało się, że jest dumny ze swej wytrwałości. Ojciec, baron Foucher, spłodził go w późnym wieku i się starzał, więc wkrótce on, najstarszy syn, zostanie seniorem<sup>[3]</sup>. Wydawało mu się, że to doskonała okazja, by podkreślić swoje męstwo.

– Myślę, że mogę zejść sama – szepnęła Isambora.

– Nie wystarczy ci, panienko, że omal nie spłonęłaś żywcem? Chcesz jeszcze spaść z tego gołębnika? – zapytał Bernold, nie poluzniając uścisku. – To byłoby szaleństwo! Pozwól, że cię jeszcze trochę poniosę.

Przyciskając ją wciąż do siebie lewą ręką, pomagając sobie prawą przy schodzeniu, bez większego trudu spuścił się piętro niżej.

U stóp drabiny stały wiadra wody, które przynieśli żołnierze z garnizonu, aby nie dopuścić do rozprzestrzenienia się ognia na pierwszym piętrze.

– Nic nie działają – stwierdził Bernold. – Chodźmy stąd.

Z pomocą paru służących Foucher z Fréteval uwijał się, wyciągając ze ślepego pomieszczenia na parterze, wydrążonego głęboko w ziemi, pod posadzką wielkiej sali i połączonego z nią włazem, cenne przedmioty, które pragnął ocalić od płomieni. Słudzy, wspomagani przez dwóch młodszych braci Fouchera, wynosili kolejno na zewnątrz skrzynię na denary, broń, kosze pełne srebrnych i cynowych naczyń, beczułki z żywnością. Młody rycerz, oddany na naukę przez sąsiedniego możnowładcę panu z Meslay, zdjął ze ściany ciężki krucyfiks z brązu, zawieszony nad należącym do barona fotelem z wysokim oparciem, i niósł go z nabożną czcią.

Przy jedynych drzwiach sali, za którymi panowała ciemna noc, czekali Awelina i Majol.

– Wreszcie jesteście! – zawołała Awelina, podbiegając do nowo przybyłych.

– Chwała Bogu, że odnaleźliśmy się zdrowi i cali! – mruknął Majol.

Zanim weszli na kładkę, przerzuconą nad fosą, czworo młodych ludzi łąpczywie wciągnęło w płuca czerwcowe powietrze, które gdy wydostali się z rozpalonego pieca, wydawało im się cudownie lekkie i przyjazne.

Isambora łagodnie odsunęła ramiona, które ją nadal opasywały.

– Wielkie dzięki za pomoc, panie – rzekła, zsuwając się na ziemię. – Bez ciebie byłibyśmy zgubione!

Miała na sobie tylko koszulę z cienkiego płótna, włożoną po wyjściu z łóżka. Spała w nim razem z kuzynką i trzecią czeladniczką z ich pracowni hafciarskiej, zaproszoną podobnie jak one przez panią na zamku. Wydawało jej się, że jest naga. Przesiąknięty potem, podarty, pobrudzony materiał przylepiał się do jej ciała, uwypuklając kształty bardziej, niżby sobie życzyła.

Bernold parokrotnie przeciągnął osmalonymi dłońmi po szerniałej twarzy, jakby chciał z niej zetrzeć ślady tego, co przeżył.

– Mało brakowało, abyś spłonęła – rzekł po prostu do Isambory. – Nie masz, moja panno, żadnych oparzeń?

– Moje włosy czuć spalenizną i ramiona trochę mnie pieką, ale chyba nic poza tym.

– Kiedy ujrzałam, jak płonąca kotara spada z okna – zawołała Awelina – myślałam, że to twoje ostatnie chwile, i chciałam pobiec, żeby ją z ciebie zerwać!

– Bogu dzięki, zdołałem cię przed tym powstrzymać, panienko – wtrącił Majol. – Ale szamotałaś się jak diablica!

Jego głos, z którego przebijała nutka podziwu, zabrzmiał pochlebnie.

– Nie znasz jej jeszcze, panie – oznajmiła Isambora – ale wszyscy tutaj powiedzą ci to samo: Awelina to największy uparciuch w rodzinie!

Po przejściu przez kładkę czwórka młodych ludzi ruszyła w stronę dziedzińca warowni, na którym zgromadzili się ocalali z pożaru.

Za nimi, niczym w ogromnym ulu pełnym rozjuszonych pszczoł, buzował ogień. Raz po raz rozlegały się odgłosy wybuchów.

Zbudowany na skraju lasu, na kopcu ziemi naniesionej i ubitej ludzkimi rękami, drewniany donżon wieńczyła kwadratowa wieża, przez której okna buchały teraz ogromne płomienie i kłęby czarnego dymu. Jej wysmukła sylwetka rysowała się niczym piekielna wizja na niewinnie świetlistym niebie, gdzie wciąż spokojnie błyszczały miriady

gwiazd.

Na dziedzińcu panował nieopisany chaos i rozgardiasz.

Kaplica, stodoły, kuchnia z pootwieranymi drzwiami służyły za schronienie. Ranni jęczeli, lamentowali lub ciskali przekleństwa. Przerażone dzieciaki zanosły się płaczem. Parę strapionych matek na próżno usiłowało uspokoić najbardziej roztrzęsionych malców.

Pani Hildeburga, małżonka Fouchera z Fréteval, której udało się zejść z ogarniętego ogniem piętra pośród pierwszych uciekinierów, sprawnie organizowała pomoc. W niewielkim budynku łaźni, gdzie zawsze przechowywała szkatułki z eliksirami i maściami, wyjęła je, by rozdać zawartość wszystkim, którzy ich potrzebowali.

Jej nieładne rysy, bez odrobiny wdzięku, wyrażały wielką stanowczość, a także swego rodzaju surową dobroć, znamioną dla kobiet pozbawionych urody. Wiedziano, że czuwa nad wszystkim i nad wszystkimi.

Pod jej kierunkiem parę innych dam sporządzało bandaże z podartych prześcieradeł, kładło na rany kompresy z roślin leczniczych, smarowało maściami oparzenia, przemywało czystą, zaczerpniętą ze źródła wodą podrażnione oczy.

Przechodząc od grupy do grupy szybkimi krokami, od których poły jego habitu tylko nieznacznie się unosiły, brat Renald, mnich oddelegowany z opactwa Bonneval do posługi w zamkowej kaplicy, pocieszał, błogosławił, modlił się.

Płowa łuna pożaru, zabarwiająca rzeczy i ludzi migotliwymi odblaskami, nadawała temu ogromowi nieszczęścia wygląd demoniczny i nierealny.

W kaplicy, u stóp ołtarza, zgębiona Mahauta odmawiała różaniec obok martwego ciała swej matki. Zwłoki starej Ermengardy leżały okryte zakrwawionym i osmalonym prześcieradłem, tym samym, na którym tuż przedtem spała.

– Co się stało ciotce barona? – zapytała Awelina.

– Spadła z drabiny razem z paroma innymi osobami. Zmiażdżyły ją swoim ciężarem – odparła, szlochając, jedna z kobiet, które pomagały opatrywać rannych.

– W takim razie na pewno pójdzie prosto do nieba! Taka była dzielna, taka wesoła!... Dobrze ją znałyśmy – wyjaśniła Awelina swoim towarzyszom. – Razem z nami zajmowała się haftem u wielmożnej pani z Meslay. Mimo słusznego wieku zawsze była bardzo zręczna.

– Opowiadała nam różne historie...

Po krótkiej modlitwie czworo młodych ludzi wyszło z kaplicy.

– Czy moglibyśmy się na coś przydać? – zapytała Isambora. – Nie powinniśmy stać bezczynnie wśród tych wszystkich cierpiących ludzi.

Bernold spojrział na nią z zainteresowaniem.

– To raczej o ciebie, moja panno, należałoby się zatroszczyć – rzekł. – Masz poparzone ramiona.

– To głupstwo. Później o tym pomyślę.

Nagle ciemności rozdarł krzyk trwogi, wrywający się z dziesiątek piersi. Pokryty byczymi skórami, aby zabezpieczyć wieżę od piorunów, a także głowni, które mogliby rzucać jacyś napastnicy, drewniany dach donżonu ustąpił pod naporem ognia, który go od wewnątrz pochłaniał. Zawalił się znienacka, wzniecając monstrualny snop iskier i rozżarzonych szczątków.

– Uwaga na płomienie! – wrzasnął ktoś.

Ludzie cofnęli się aż za drugą fosę.

Zewnętrzny mur obronny, okalający zamkowe wzgórze, a także dziedziniec, został wzniesiony na wale ziemnym zwieńczonym palisadą, pod którą biegła pierwsza fosa. W jego obrębie znajdowały się budynki gospodarskie należące do warowni, kaplica, łaźnie, kuchnia, różne warsztaty, stajnie, stodoły, obory, piec piekarski i studnia.

Wystraszone krzykami, trzaskiem ognia, zamieszaniem, odbłaskami potężnej pożogi zwierzęta wierciły się zamknięte w swoich pomieszczeniach. Konie uderzały kopytami w drewniane przegrody; psy ujadły w psiarni; osły, muły, woły, krowy, barany, owce i świnie ryczały, muczały, kwiczały na wyścigi. Drób w kurniku gdakał, kwakał, gęgał, gulgotał...

– Uciszcie je, ale przede wszystkim dobrze pozamykajcie drzwi! – rozkazał Newelon sługom wyznaczonym do oporządzania zwierząt gospodarskich. – Jeśli któreś ucieknie, to wy zostaniecie wychłostani!

– Nie obawiasz się, panie, że te budynki również spłoną? – zapytał Majol.

– Nie ma obawy. Fosa, która oddziela nas od donżonu, jest na tyle szeroka, że posłuży za barierę ogniową – zapewnił najstarszy syn Fouchera.

Z zewnątrz, z drugiej strony wału zwieńczonego palisadą, przebijając się przez zgiełk na dziedzińcu, dobiegły chrapliwe, powtarzające się dźwięki trąbki.

– Jestem pewien, że to mój ojciec nas wzywa! – zawołała Awelina. – Poznaję po tym, jak dmie w róg! Chyba z naszego domu zauważył blask pożaru albo usłyszał dzwony bijące w kaplicy.

„Ta wysoka, jasnowłosa dziewczyna ma w sobie jakąś stanowczość, śmiałość, ale jednocześnie coś władczego, dumnego, czym różni się od swojej kuzynki” – pomyślał Bernold.

Podczas kolacji zauważył gromadkę, jaką tworzyły dziewczęta ze szwalni, i czuł niejaką satysfakcję z tego, że mógł pospieszyć na ratunek dwóm najbardziej pociągającym spośród nich.

„Awelina przypomina obnażony miecz, którym się wciąż wymachuje – mówił sobie z kolei Majol. – Isambora to raczej klinga tkwiąca jeszcze w pochwie”.

– Czy otworzyć główną bramę nadchodzącym z zewnątrz? – zapytał.

– Oczywiście, chociaż nikt nie ocali już donżonu – odparł rozgoryczony Salomon z Fréteval, syn Odon Bastarda.

Ten kuzyn Newelona, tylko nieco odeń młodszy, był towarzyszem dziecięcych zabaw, a potem lat młodzieńczych syna Fouchera wychowywanego rygorystycznie, bez pobłażliwości. Służba w charakterze pazia, a potem giermka, jaką odbywali wspólnie u hrabiego, bardziej jeszcze niż więzy rodzinne połączyła ich uczuciem braterskim. Od niedawna żonaty, Salomon pozostawał najwierniejszym przyjacielem dziedzica rodu, świeżo pasowanego na rycerza. Wkraczał na dziedziniec wraz z tymi, którzy pomogli przenieść przedmioty ocalone z płomieni.

– Odźwierny wpuszcza tych, co są na zewnątrz – zauważyła Isambora.

– Zobaczmy, kto przyjechał – zaproponowała Awelina.

Gerwazy Podwasal<sup>[4]</sup>, ojciec dziewczyny, nie był sam. Za niskim rudym

mężczyzną, o wyrazie twarzy równie stanowczym jak u jego córki, podążała gromada wieśniaków, czynszowników i rolników.

– Nie pomyliłam się, zapowiadając twój przyjazd, ojcze! – wykrzyknęła Awelina.

– Na płaszcz świętego Marcina, twoja matka umierała ze strachu! Wzywała mnie tutaj wasalska powinność, ale troska o was dodawała mi sił w nogach, możesz mi wierzyć! Nic się wam nie stało, ani jednej, ani drugiej?

– Obie zostałyśmy wyratowane przez tych dwóch gości barona – rzekła Awelina. – Gdyby nie oni, zginęłybyśmy! Winnyśmy im wdzięczność!

– Gdzież oni są? Muszę im podziękować – podjął Gerwazy.

– Nie wiem, dokąd poszli. Przed chwilą byli z nami, ale już ich nie widzę – odpowiedziała Awelina, wodząc wokół wzrokiem.

– To dwaj nowo przybyli w nasze strony, Normandczycy ze świty księżniczki Adeli, córki Zdobywcy – wyjaśniła Isambora.

Od czasu niedawnego ślubu z księciem Stefanem, najstarszym synem i dziedzicem Tybalda, hrabiego Blois, przyszła hrabina, o czym wszyscy wiedzieli, ściągnęła do Blois wielu swoich ziomków.

– Oni nie są rycerzami – dodała Awelina. – Jeden jest mistrzem szklarskim, drugi rzeźbiarzem w kamieniu.

Wtedy podwasal zauważył pana na Fréteval wychodzącego z kaplicy z najstarszym synem. Skierował się ku niemu, podczas gdy szesnasto- lub siedemnastoletni chłopak, skrzepowany zbyt potężnym ciałem, które dopiero co przestało rosnąć, oderwał się od grupy prowadzonej przez Gerwazego. Podszedł do obu kuzynek.

– Chwała dobremu świętemu Wawrzyńcowi, który chroni przed ogniem, za to, że się wami zaopiekował – rzekł ochryplym głosem. – Mogłyście spłonąć w pożarze!

– Ty tutaj, panie Gildasie! – wykrzyknęła Isambora. – Nie myślałam, że znad brzegu Loiru można było dojrzeć, co się dzieje na równinie!

– Nie było stamtąd widać, ale gdy Tybert Ucięty Łeb przybiegł do naszego młyna, wrzeszcząc, że zamek się pali, i gdy ujrzałem niebo z czerwoną łuną z tamtej strony, strach mnie chwycił! Tak wielki, że omal nie wyzionąłem ducha – dokończył wyrośnięty chłopak, zwieszając na kwintę nos, który był całkiem pokaźny.

– Drżałeś o nas obie, panie młynarzu, czy tylko o Isamborę? – dopytywała się Awelina ze śmiechem.

– O was obie, rzecz jasna!

– Kłamca! Mogłabym ulecieć z dymem, a ty, panie, wcale byś nad tym nie ubolewał!

Lekceważąco wzruszyła ramionami.

– Za to stwierdzam, że Daimbert, mój miły narzeczony, nie uznał za stosowne fatygować się z tak błahego powodu – dodała bez cienia goryczki, wręcz przeciwnie, z pewnym rozbawieniem. – Chyba znów ugania się za dziewczkami!

– Piastując stanowisko gajowego lennego<sup>[5]</sup>, musi bez przerwy nadzorować lasy. Nic dziwnego, że jest nieobecny – próbował wyjaśnić Gildas.

– Milcz, panie! Zawsze próbujesz wybielać tych, których się oskarża! – rzuciła Awelina. – W końcu nie dziwota, gdy cały dzień tyłtasz się w mące!

Roześmiała się, ale szybko odzyskała powagę.

– Mniejsza o to – oświadczyła. – Na wszystkich świętych, tu i teraz mamy co innego do roboty, niż martwić się o Daimberta!

Donżon już prawie doszczętnie się spalił. Skonstruowany z drewna, które zdążyło całkowicie wyschnąć przez dziesiątki lat, zajął się ogniem i płonął jak nawoskowana pochodnia. Powietrzem, przesyconym pełnymi sadzy, cuchnącymi wyziewami ze wszystkiego, co zgorzało w wieży, nie dałoby się oddychać, gdyby nie zachodni wiatr, który właśnie się zerwał, przepędzając większość swądu w stronę lasu.

– Jak doszło do pożaru? – zwrócił się Gerwazy Podwasal do swego pana.

– Nie wiadomo. Możliwe, że jakaś świeca czy lampa oliwna przewróciła się albo stopiony wosk wyciekł na kotarę... Nawet najbliższe zdarzenie może unicestwić nasze drewniane budowle.

– Być może, ale łatwo je podnieść z ruin. Z setką ludzi i dobrym cieślą bez wątplenia zdołamy odbudować donżon w ciągu kilku tygodni.

– Tymczasem schronimy się w budynkach gospodarskich... i udamy się w odwiedziny do naszych głównych wasali.

Wpływowy możnowładca w swoim regionie, Foucher z Fréteval, zajmował tak wysoką pozycję wśród baronów hrabiego Blois, że nie zatrwożyło go zbytnio nieszczęście, które zniszczyło najważniejszą część jego fortecy.

– Ojciec – rzekł Newelon – dlaczego nie miałbyś skorzystać z okazji i wznieść wieżę kamiennej zamiast drewnianej? Czyż nasz kuzyn, Bouchard Junior, nie postąpił tak w Vendôme?

– Wasale domu andegaweńskiego postępują wedle swego uznania, mój synu, a my wedle swego. Hrabiowie Blois i Andegawenii są rywalami. Ja nie chcę w niczym naśladować żadnego z przeciwników mojego seniora.

– Przecież kamień ma tyle zalet!

– Ale jest też znacznie kosztowniejszy i trudniejszy w obróbce – odparł sucho Foucher z Meslay. – Dopóki ja żyję, we Fréteval będzie się budowało tylko z drewna!

– Z pomocą pańskich chłopów, czynszowników, rzemieślników donżon rychło znów stanie – stwierdził Gerwazy Podwasal. – Przedtem jednak będzie to wielki zaszczyt dla mojego domu, jeśli zechcecie, panie, zamieszkać na jakiś czas w Morville.

– Zobaczymy, Gerwazy, zobaczymy. A tymczasem zabierzcie z powrotem do siebie swoją córkę i bratanicę, które przez nasze zaproszenie omal nie postradały życia!

Baron miał przed sobą ważniejsze zadania, niż przebywać w towarzystwie niepoczesnego podwasala, więc wrócił do syna, wziął go pod ramię i poprowadził do kuchni, gdzie każdy się przy czymś krzątał. Przygotowywano pajdy chleba z serem, rozdawano mleko, wino, szynkę wszystkim, którzy o to prosili.

Noc się kończyła. Na wschodzie niebo pojaśniało. Łagodny chłód zapowiadał nadejście dnia. Ptaki, którym pożar nie przeszkadzał, jak zwykle zaczęły śpiewać. Zwierzęta domowe, uspokojone, zamilkły. Teraz słychać było tylko pianie kogutów.

– Pragniesz, jaśnie pani, abyśmy ci pomogli? – zapytała Isambora Hildeburge, która właśnie przechodziła, niosąc na rękach niemowlę z obandażowaną główką.

– Dziękuję, moja droga, prawie wszystko już zrobione. Tutejsze kobiety nawykły

do opatrywania najróżniejszych ran. Znają sekrety roślin... Lepiej wracajcie do Morville, gdzie biedna Perryna na pewno jest pólżywa ze strachu, nie wiedząc, co się z wami stało.

– Winniśmy ci, pani, posłuszeństwo – rzekł Gerwazy Podwasal. – Jeśli jednak moglibyśmy się czymś przysłużyć...

– Wiem, Gerwazy, wiem. Nasi wasale są wierni i możemy na nich liczyć. Ludzie, których sprowadziłeś, bardzo nam się przydadzą. Nikogo więcej nie potrzeba.

Wśród bezładnej, trochę nerwowej krzątaniny mieszkańców warowni, oderwanych od swych zwykłych zajęć, zmuszonych przeżywać koszmar, wśród wszystkich tych ludzi, którzy uwijali się, aby przywrócić jakiś ład, podwasal, obie dziewczyny, Gildas, który przedtem na próżno poszukiwał zaginionych bez wieści Bernolda i Majola, opuścili zamek. Przy głównej bramie panował tłok, więc wydostali się przez jedną z furt prowadzących na drogę do wsi.

Położona w niewielkiej odległości od donżonu, przycupnięta na krawędzi platformy, którą nagle kończył się zalesiony płaskowyż tuż nad doliną Loiru, wiejska wspólnota Fréteval, skupiona wokół sanktuarium pod wezwaniem Świętego Wiktora, otoczona była murem obronnym, który chronił ją przed wszelkimi niespodziewanymi atakami.

Gerwazy i jego towarzysze najpierw podążali wzdłuż tego wału ziemnego najeżonego palami, następnie zeszli ku rzece ścieżką wijącą się aż do podnóża skarpy. Niedaleko stamtąd drewnianym mostem można było przejść na drugą stronę.

Ponieważ młyn Benedykta Wielojada, ojca Gildasa, znajdował się na brzegu rzeki, trochę bardziej na zachód, w miejscu gdzie dawny dopływ wyżłobił wąski parów, młodzieniec pożegnał się z innymi, zanim doszli do mostu. Nikt do tej pory się nie odezwał. Pod wrażeniem niedawnych wydarzeń każdy zachowywał milczenie.

– Do zobaczenia, Gildasie – rzekł podwasal. – Wstąpię do młyna w tych dniach.

– Będziemy jak zwykle szczęśliwi, gdy do nas zawitasz, panie – odparł syn młynarza, oddalając się.

Na moście zapach rzeki, roślin wodnych, liści zanurzonych w zielonej toni, połączony z aromatem wysokich czerwcowych traw bujnie porastających łąki, owionął dziewczęta, którym wydawało się, że zażywają oczyszczającej kąpieli. Odświeżyły w ten sposób swoje rozgorączkowane umysły.

Z lewego brzegu Loiru, w miarę oddalania się od stromego zbocza, które przesłaniało krajobraz, coraz wyraźniej, powyżej miejsca, gdzie stał zamek, widać było obłok dymu przyćmiewający poranną zorzę.

– Gdy podchodziliśmy do warowni – rzekł nagle podwasal z porozumiewawczą miną – tego młynarczyka zżerał strach. Wydawało mi się, moja śliczna brataniczko, że to ty przyczyniłaś się do jego udreki.

– Jego ojciec i on należą do naszych przyjaciół, stryju. Czy to nie jest naturalne, że dzielają twój niepokój w takim momencie?

– Nie chodzi o nas, perełko, dobrze o tym wiesz! – zawołała Awelina. – Ten chłopak jest w tobie zakochany i wolałby sam zginąć w płomieniach, niż wiedzieć, że grozi ci niebezpieczeństwo!

– Na litość, moja śliczna, dajesz się ponieść wyobraźni! Snujesz domysły... Afekt,



jakim mnie darzysz, zaślepią cię, sprawia, że bierzesz niewinne uczucia za coś całkiem innego. Gildas bardzo nas lubi, ciebie i mnie, bo przecież jesteśmy wszyscy troje przyjaciółmi od dziecka.

– Młynarze mają zawsze pełne trzosa – ciągnął podwasal, nie zrażając się tymi przerywnikami. – Nie zapominaj, że obiecałem memu biednemu bratu, zanim ruszył do walki, w której stracił życie (niech Bóg zlituje się nad jego duszą!), zadbać o twoją przyszłość, gdy nadejdzie stosowna pora.

– Nie ma pośpiechu...

– Wkrótce skończysz piętnaście lat, Isamboro. Powinnaś pomyśleć o ustatkowaniu się.

– Dziś nie mam głowy, żeby interesować się takimi rzeczami. Jestem zbyt wstrząśnięta tym, co przeżyliśmy.

– A więc poczekamy... ale nie za długo...

– Na Boga, ojczy, marzysz tylko o jednym: żeby nas wydać za mąż! – rzuciła Awelina. – Już mnie przyobiecałeś Daimbertowi, który jest największym bałamutem wśród gajowych w całym hrabstwie! A teraz upatrzyłeś sobie tego nędznego Gildaska, twierdząc, że zadurzył się w Isamborze! Nie on jeden, o ile wiem!

– Milcz, niewdzięcznico! Poślubisz Daimberta! Dałem mu słowo i nie będziemy do tego wracać! Co do twojej kuzynki, potrafię lepiej ocenić, co jest dla niej odpowiednie! Pragnę tylko jej dobra!

– Będę zawsze robić tylko to, co sobie postanowiłam! – wrzasnęła Awelina, czerwieniąc się ze złości. – Ani przed tobą, ojczy, ani przed nikim się nie ugnę!

– Na wszystkich świętych! Ledwo wyratowana z pożaru, a już zaczyna się stawiać! Nic cię już nigdy nie zmieni? Milcz, uparciuchu, inaczej zamknę cię na cały dzień w ciemnicy. Będiesz miała nauczkę, żeby nie sprzeciwiać się woli ojca!

Awelina wycodziła przez zęby parę niezrozumiałych słów, maszerując z wściekłością obok drobnego rudego człowieczka, którego przewyższała wzrostem o kilka cali, chociaż prostował się, na ile pozwalała mu złość i krótki tułów.

Przyzwyczajona do mitygowania kuzynki, Isambora wzięła ją pod ramię i delikatnie pogłaskała po nadgarstku, tak jak uspokaja się zbyt nerwową klacz, która może wierzgnąć.

W ten sposób cała trójka przemierzyła drogę, która, wijąc się wśród łąk i winnic, prowadziła do domostwa podwasala.

Winogrodnik barona Gerwazy mieszkał wraz z rodziną w warownym dworze, otoczonym wąską fosą, szerokości jedynie dwunastu stóp i niewielkiej głębokości. Nad nią wyrastał rząd pali. Wybudowany wśród winnic, dość daleko od jakiegokolwiek wioski, drewniany dom, wyższy od okolicznych chłopskich chat, którego bramę wieńczyła wieżyczka strażnicza, był, pomimo skromnych rozmiarów, powodem do wielkiej dumy podwasala i jego bliskich.

Dwa brytany, które nocą mogły swobodnie biegać po podwórzu, aby pilnować domostwa, i które zapomniano uwiązać rankiem tego pełnego wydarzeń dnia, szcękając, witały swego pana.

Skoro tylko nowo przybyli przeszli przez masywne, drewniane, nabijane ćwiekami

wrota, wybiegła im naprzeciw dość pulchna kobieta, która najwyraźniej ich oczekiwała.

W świetle, jakim pierwsze promienie słońca zalewały dolinę, spokojny dziedziniec, po którym dreptały kaczkę, był uosobieniem bezpieczeństwa.

– Najświętsza Panno! Wreszcie są tu, obie zdrowe i całe! Tak się modliłam, by je ujrzeć żywe!

Jednym potężnym uściskiem Perryna, żona Gerwazego Podwasala, przytuliła do bujnej piersi Awelinę i Isamborę. Natychmiast owionął je zapach czystej bielizny, warzyw, mleka, którym przesiąknięte było ich dzieciństwo.

– Chyba mogę powiedzieć, że zupełnie jak salamandry przeszły próbę ogniową, nie doznając żadnej szkody – zauważył Gerwazy, krzywiąc twarz w grymasie. – Strach ich nie odmienił.

– Ale ja się wcale nie bałam! – zaproponowała Awelina, zawsze gotowa sprzeciwić się ojcu.

– Nie powiedziałabym tego o sobie, stryjenko – rzekła Isambora z uśmiechem. – Myślałam, że wybiła moja ostatnia godzina...

– Ale jak zdołałyście umknąć z płomieni, gołąbeczki?

– Ktoś nam w tym pomógł – odparła Awelina, ni stąd, ni zowąd przybierając lakoniczny ton.

– Miałyśmy trochę szczęścia – dodała Isambora.

## II

Dwa dni po pożarze i pogrzebie biednej Ermengardy pani Hildeburga kazała powiedzieć Perrynie, że już nazajutrz pracownia hafciarska zostanie tymczasowo przeniesiona do niej, do Morville. Od chwili założenia kilka lat wcześniej szwalnia mieściła się w komnacie na górze warowni. Gdy runął donżon, należało gdzieś ulokować hafciarki, dopóki nie powstanie nowa budowla, która zastąpi dawną.

Jak wszyscy w jej otoczeniu Perryna wiedziała, że wielmożnej pani bardzo zależy na pewnej robocie, którą kazała wykonywać z największą starannością i nawet sama przykładała do niej rękę. Niewielki zespół pracownic stanowiły dwie krewne, trzy z jej najzręczniejszych służebnych, Awelina i Isambora, których umiejętności bardzo ceniła, oraz jedna młoda uczennica, imieniem Bazylia, córka fretewalskiego kowala. Jeśli baronowa przywiązywała taką wagę do lnianego płótna, które polecała wyszywać barwną wełną, to dlatego, że zamierzała je podarować na powitanie księżniczki Adeli z Blois.

Choć zaledwie czternastoletnia, księżniczka ta, która po śmierci swego teścia miała uzyskać tytuł hrabiny Blois, cieszyła się opinią osoby żywo zainteresowanej sztuką i literaturą. Wychwalano jej gust i zalety umysłu. Powiadano, że łączy zdolności organizacyjne swego ojca Wilhelma Zdobywcy, króla Anglii, z finezją matki, królowej Matyldy. Urodzona na jednym z najświetniejszych dworów chrześcijańskiego świata, Adela pragnęła wspierać wszystkich, którzy przyczyniali się do ogładzenia obyczajów w jej nowej ojczyźnie. Uważając ją za zbyt prostacką, księżniczka liczyła, że temu zaradzi, tworząc w Blois jeden z najbardziej wyrafinowanych dworów.

Zresztą z Normandii dochodziły słuchy, że tuż przedtem angielskie zakonnice dokonały dzieła o wiele bardziej ambitnego i imponującego, tkając tapiserię w hołdzie dla Zdobywcy. Miała ona ozdobić nawę katedry w Bayeux.

Pani Hildeburga pomyślała wtedy, że panna młoda też będzie szczęśliwa, jeśli podobna zawisnie na ścianie w jej siedzibie w Blois. Przypominając ważne wydarzenia z nieodległej przeszłości, na pewno sprawi jej przyjemność. Rozpoczętej ponad pół roku wcześniej roboty nie można było przerywać, jeśli tkanina miała być ukończona przed Bożym Narodzeniem, najdogodniejszą porą do jej ofiarowania.

Perryna była zachwycona, że małżonka barona wybrała jej domostwo, by posłużyło tak ważnej sprawie. Ten zaszczyt powinien spłynąć na całą parantelę podwasala.

– Na Boga – powiedziała Awelina do Isambory – mój ojciec pięknie z dumy! To nie byle co przyjąć pod swój dach podarunek przeznaczony dla przyszłej hrabiny Blois!

Siedząc na poduszkach wypchanych słomą i obciążonych tapiserią z Reims, porzucanych wokół wielkiego łoża, w którym razem sypiały, kuzynki zaplatały warkocze.

Wychowywane jak siostry, zwykle wzajemnie szczotkowały sobie włosy, po czym każda zaplatała swoje.

Awelina była jedynaczką. Po jej urodzeniu Perryna, która nie wiedzieć czemu stała się bezpłodna pomimo licznych pielgrzymek, wzięła do siebie i traktowała jak własne oboje dzieci, które powierzył jej szwagier, owdowiawszy – śmierć zabrała młodziutką żonę biednego chłopaka, gdy nabawiła się jakiejś paskudnej gorączki w czasie drugiego

połogu. Isamborę i starszego od niej Rolanda, który od tamtej pory zdążył zostać mnichem, stryjenka otoczyła troską i czułością, czego bardzo potrzebowali. Skoro właściwie nie znali rodzonej matki, siłą rzeczy przenieśli na Perrynę uczucia, na jakie niewątpliwie zasługiwała, okazując obojgu bratankom męża bezgraniczne przywiązanie. Ich ojciec, któremu zabrakło odwagi, by po śmierci żony nadal mieszkać w Morville, zaciągnął się na służbę u jednego z okolicznych możnowładców, którego zamiłowanie do wojaczki nie było dla nikogo tajemnicą. W kilka miesięcy później wdowiec znalazł zapewne wyczekiwaną śmierć w potyczce między jego nowym panem a jakimś innym baronem.

– Ciekawe, że tak wielkie nieszczęście jak pożar donżonu zbytnio nie zmienia codziennego życia – zauważyła Isambora. – Już zaczynają usuwać zgliszcza, zanim postawią nową wieżę, a pani Hildeburga jak dawniej przejmuję się swoimi wyszywankami!

– Moja perełko, zapominasz o rannych, no i o śmierci biednej Ermengardy!

– Nie zapominam, ale zaskakuje mnie potęga życia. Ono triumfuje nad wszystkim!

– Za to ogień omal nie zatriumfował nad twoją skórą! – odparła ze śmiechem córka podwasala.

Wymownie spoglądała na ślady po oparzeniach widoczne w kilku miejscach na ramionach kuzynki.

Wyszły nagie z cebrzyka, w którym wspólnie brały kąpiel, zgodnie ze zwyczajem trwającym od czasów ich dzieciństwa, i kończyły toaletę przed pójściem z całą rodziną na codzienną mszę.

– Kiedyśmy tylko wróciły, twoja mama miała świetny pomysł, żeby mi przykładać kompresy z rozgniecionej cebuli. Teraz już nie czuję bólu, ale spodziewałam się, że wraz z nim znikną oparzeliny.

– Nie można liczyć na cud, serduszko. Już niedługo nie będzie po nich śladu. Wystarczy kilka dni.

– Zawsze będę mogła odwiedzić Rolanda w jego klasztornej infirmerii – powiedziała Isambora. – Brat, który potrafi leczyć tyle chorób, to prawdziwy skarb.

Gibka jak lilia wodna, wstała, aby wdziąć białą koszulę. Jej szczupłe, lekko zaokrąglające się ciało, nie było już dziewczęce, lecz jeszcze nie kobiece. Stąd brał się jego dwuznaczny powab, właściwy niedojrzałemu owocowi.

Wyginając się, by wciągnąć przez głowę plisowane płótno, wypięła, nie bez upodobania, drobne, lecz obiecujące piersi. Każdą z nich zdobił jednak pieprzyk w kształcie fasolki, co dziewczynę martwiło.

– Zawsze będę żałowała, że nie jestem blondynką jak ty – zauważyła, wiążąc cienkie czerwone wstążeczki na końcach warkoczy. – Twoje włosy i cera są ładniejsze od moich.

Złotowłosa, o jasnej skórze Awelina, wyższa, bardziej postawna, bliższa modnemu wówczas typowi kobiecemu, zachwycała się, nie chcąc tego wyjawiać kuzynce, błękitem swoich oczu, swą mleczną karnacją.

Aby nie zranić tej, za której opiekunkę się uważała z tej racji, że była od niej o rok starsza, udała oburzenie.

– Co ty opowiadasz? – zawołała. – Twoje włosy są koloru dojrzałych kasztanów, twoje oczy srebrzystoszare jak łuski uklejk! Nie masz czego żałować.

– Ależ tak! Zazdroszczę ci, że jesteś blondynką!

– Proszę, zamilcz! Wszyscy nie mogą być do siebie podobni. Nie brak ci urody. Najlepszy dowód, że podobasz się mężczyznom – dokończyła, filuternie puszczając do niej oko i jednocześnie wciągając nogawice.

– Och! Ten biedny Gildas...

– Nie tylko on...

Rozmowę przerwały wołania dobiegające z podwórza.

– Awelino! Isamboro! O czym znów trąkoczą, zamiast szykować się do mszy?

Robiąc do siebie porozumiewawcze miny, obie kuzynki pospiesznie narzuciły kaftany z cienkiego płótna – jedna karminowy, druga zielony. Same ozdobiły haftem wycięcie pod szyją, dół i mankiety. Rozszerzane rękawy, obszerniejsze niż wystające spod nich rękawy koszuli, opadały wzdłuż bioder aż do kolan.

Strój uzupełniały cizemki z miękkiej skóry, długi lniany welon, który chronił przed słońcem i którym ciasno owijały głowę i biust.

Podwasal i wszyscy domownicy wkrótce wyruszyli do Świętego Leobina, w parafii położonej najbliżej Morville.

Gerwazy trzymał pod ramię małżonkę. Rudowłosa, ze szpiczastym nosem, wyglądał jak chytry lis prowadzący pularkę. Jego nerwowe usposobienie równoważyła stateczność tej kobiety o obfitych kształtach – którą przypominała, tyle że młodsza i energiczniejsza, Awelina – bez reszty oddanej swemu niepokąznemu mężulkowi. Z całym spokojem znosiła jego tyranie, ataki zazdrości, porywczosć despotycznego, wciąż jednak w niej zakochanego towarzysza, z którym wiodła żywot, odkąd wyszła z lat dziecinnych.

– Ilekroć opuszczam Morville lub do niego wracam, moja droga, zawsze rozpiera mnie duma – rzekł Gerwazy. – Posiadać taką ziemię jak ta to prawdziwe błogosławieństwo.

– Taką ziemię i taki dom – uzupełniła Perryna.

Swoim rozkładem ich domostwo przypominało, tylko w skromniejszym wymiarze, donżon barona. Składało się z dwóch pomieszczeń. Nad parterem, który służył za spiżarnię, znajdowała się sala. Wchodziło się do niej po ruchomej pochylni, wciąganej do środka w razie niebezpieczeństwa. Na drugim piętrze – wysoka komnata, w której wszyscy spali. Jedno łóżko od drugiego oddzielały kotary.

Na dziedzińcu – przedmiot chwały podwasala: dość obszerny budynek, w którym znajdowały się prasa do owoców i piwniczka na wino. Pod nim była wydrążona obszerna, sklepiona piwnica. Niezależnie od pory roku wszędzie wokół unosił się cierpki zapach. Podczas winobrania śruba prasy stawała się punktem centralnym całego majątku.

Stodoła, stajnia, obora, chlew, kurnik, studnia dopełniały całości. Na tyłach domu z okalających go rozległych winnic wykrojono sad.

Ni to lenno, ni to samodzielne gospodarstwo, ta skromna posiadłość pozwalała jednak Gerwazemu chodzić z podniesioną głową. Kilka mórg gruntu odziedziczonych po ojcu uprawniało go do służenia pomocą i radą baronowi, którego winorośl uprawiał.

Jego matka i teściowa, już leciwe, obie owdowiały, mieszkały pod jego dachem, podobnie jak Firmin Krzywulec, jeden z wujów, garbaty i milkliwy stary kawaler, który nie robił dużo hałasu, ale był pracowity jak mrówka.

Do domowników zaliczali się jeszcze parobek i dwie służące. Do pielęgnacji winnicy zatrudniano dodatkowo paru najmitów.

Po wysłuchaniu mszy Perryna wcześniej niż zwykle podała śniadanie, aby posprzątać i uporządkować salę, zanim przyjdą hafciarki. Zadbła też o to, by rozrzucić na podłodze gałązki kwitnących żarnowców. Ich ciężka, słodka woń wypełniała całe pomieszczenie.

Mniej więcej w porze tercji ujrzano dostojną panią Hildeburgę i jej krewne wjeżdżające na grzbiecie mułów, w triumfującym świetle poranka. Za nimi podążały, niosąc wiklinowe kosze, trzy niewiasty z jej dworu, zapoznawane przez jaśnie panią z tajnikami hafciarstwa. Pochód zamykała niedawno przyjęta do małego zespołu młoda Bazylija.

– Baron jest w Blois, dokąd wezwał go hrabia – rzekła Hildeburga, wchodząc na podwórze podwasala. – Myślę, że zostanie tam jakiś czas.

Wydawało się, że nie bardzo sobie życzy jego szybkiego powrotu.

– Z pewnością będzie nieobecny, dopóki nie odbuduje się donżonu – odważyła się wtrącić Perryna, zawsze onieśmielona przy jaśnie pani.

– Możliwe, ale to dobrze – przyznała Hildeburga. – Koczowanie w stodołach i budynkach gospodarskich wcale nie jest wygodne.

Wiedziano, że doskonale potrafi zarządzać lennem pod nieobecność barona. Zdarzyło się to parokrotnie podczas wypraw wojennych, gdy pan na Meslay walczył w armii hrabiego. Za każdym razem wykazywała się uporem i zimną krwią. Tkliwa przyjaźń, jaką darzyła małżonka, przetrwała pomimo upływu czasu i oddalenia. W gruncie rzeczy przyjemność, jaką sprawiało jej postępowanie wedle własnego uznania, brała górę nad zgryzotami spowodowanymi jego nieobecnością.

Foucher też nie miał łatwego charakteru. Jako młodszy syn, wszedł w życie, otrzymawszy święcenia kapłańskie, aby zostać księdzem. Śmierć starszego brata, zabitego podczas ataku na warownię Fréteval wrogich oddziałów, zmusiła go do porzucenia służby bożej na rzecz wojskowej. Władczej natury, z pierwszej profesji wyniósł silne poczucie obowiązku, zarówno wobec siebie samego, jak i innych. Równie wymagający wobec siebie, jak i wobec tych, którzy odeń zależeli, zazwyczaj był sprawiedliwy, lecz nieugięty.

– Będzie nam tu bardzo dobrze – podjęła Hildeburga, kierując się ku krosnom hafciarskim, które poprzedniego wieczoru kazała przynieść sługom do Morville.

Skinieniem głowy pozdrowiła matkę i teściową gospodarza, dwie staruszki o siwych włosach, przyżółconych ogniem z kominka, siedzące przy jednym z otwartych okien i przędące kądziel. Następnie usiadła w fotelu z wysokim oparciem, który podsunęła jej Perryna.

– Dzięki waszej gościnności – ciągnęła – nieszczęścia za bardzo nie przeszkodzą nam w robocie.

Na jej wargi wypłynął lekki uśmiech, nie rozjaśniając jednak oczu, głęboko

osadzonych pod łukami brwiowymi.

Jej krewne, Helwiza z Mondoubleau i Placencja z Montoire, usiadły koło niej na stołkach. Pierwsza z nich była mniej więcej czterdziestoletnią pulchną blondynką. Druga, znacznie młodsza, chuda jak szkielec, miała również jasne włosy, ale z odcieniem rudawym. Ich kaftany, fioletowy i niebieski, bogato zdobione lamówką, były uszyte z drogocennych tkanin.

Służące Hildeburgi, ustawivszy u stóp obu dam otwarte koszyki, wyciągnęły z nich cztery szerokie kwadratowe płaty szarego lnianego płótna, na których figury i postaci, uprzednio narysowane przez dostojną panią, przedstawiały zaręczyny, wesele w Breteuil, potem wprowadzenie się do Blois Adeli i Stefana. Kontury ciał, twarzy, rąk były wyszyte ściegiem łodyżkowym. Natomiast stroje, konie, pałac, kościoły, zwierzęta – ściegiem płaskim, który, wypełniając puste miejsca, dawał wrażenie reliefu i grubości. Następnie rozdano hafciarkom różnokolorowe motki wełny barwionej w runie i igły z brązu.

Czeladniczki nawlokły igły i zabrały się do roboty.

– Ty, Isamboro, masz najładniejszy głos z nas wszystkich – rzekła dostojna pani. – Zaśpiewaj nam na początek jedną z piosnek, które tak dobrze znasz.

Przy pracy kobiety miały zwyczaj nucić, każda po kolei, zwrotki układane z biegiem dni przez którąś z nich. Odkąd wyszywały razem, powstał cały zbiór kupletów. Wystarczyło do niego sięgnąć.

Chociaż tak młodziutka, Isambora miała niski, ciepły timbre głosu, któremu jeszcze brakowało pewności, ale był wielce obiecujący.

Tuż przed porą seksty<sup>[6]</sup> hafciarki odłożyły robótki, aby spożyć południowy posiłek.

W drugim kącie pomieszczenia służące Perryny ustawiły kozły, na których położyły długie deski i nakryły je białym obrusem.

– To będzie niezbyt wystawny obiad – oznajmiła Perryna, wychodząc z kuchni znajdującej się w drewnianej przybudówce. – Wiem, jasnie pani, że wcale nie jesteś smakoszką.

– Za dużo jedzenia czyni ociężałym – przyznała Hildeburga. – To źle wpływa na zręczność palców.

Najmici, którzy pielili chwasty pod winnymi krzewami i okopywali młode winorośle, wrócili po pracy i usiedli przy końcu stołu. Kierował nimi garbaty wuj.

U szczytu stołu Gerwazy odstąpił swoje krzesło z wysokim oparciem małżonce barona, a sam usiadł po jej prawej stronie. Reszta rodziny i służba zajęła pozostałe wolne miejsca.

Posiłek rozpoczął się od czereśni i białego chleba, następnie rozdzielono pieczoną gęś, faszerowaną szałwią, pasztet z węgorza w garnuszkach, ser owczy. Na deser podano racuszki z kwiatem bzu.

Wszyscy pozwolili sobie na krótki odpoczynek, po czym każdy wrócił do roboty.

Panował lepki upał. Pieśni hafciarek stopniowo cichły. Podczas przerwy czeladniczki napiły się migdałowego mleka i schrupały po kilka draży.

– Zbiera się na burzę – stwierdziła Mabila, ta z dwóch antenatek, która była matką Perryny. – Boli mnie prawa noga. Pogoda się zmieni. Gdy miałam jakieś dziesięć lat,

spadłam z gałęzi. Wlazłam na drzewo, żeby narwać owoców morwy, i od tego czasu jestem wrażliwa na pogodę. Przynajmniej taki pożytek z tej niemiłej przygody!

Chociaż na pierwszy rzut oka obie staruszki były do siebie podobne, wystarczyło im się przyjrzeć bliżej, by stwierdzić, że wcale tak nie jest. Mabila była tęga, gadatliwa i trochę poufała. Rychilda, bardziej milkliwa, miała delikatną twarz o stanowczym wyrazie i szpiczasty nos. Wszyscy ją szanowali jako osobę odznaczającą się mądrością. Zresztą Gerwazy, jej syn, otaczał ją takimi względami, że nikomu nie przyszłoby nawet do głowy zachowywać się inaczej.

– Nie wiem, czy niebiosa przyznają ci rację – rzekła, podczas gdy jej giętkie palce szarpały nić, a wrzeciono powoli opadało – ale mam nadzieję, że do jutra nie będzie deszczu. Pamiętaj, że niedawno Gaudenty poszedł wybierać z gniazda młode krogulce, które nasze dziewczęta wytresują przed najbliższym sezonem.

Trzynastoletni syn bednarza z Morville, Gaudenty, szczupły i zwinny, miał szczególną smykałkę do wyszukiwania miejsc wylęgu tych drapieżników. Na podebranie piskląt w początkach czerwca było bardzo mało czasu. Należało wygarnąć ptaszki najpóźniej dwa, trzy dni po urodzeniu. Od wyniku tej delikatnej operacji zależał los przyszłych polowań na przepiórki i kuropatwy.

– Prosiłam, żeby mnie powiadomiono, gdy tylko wróci – powiedziała Awelina. – Jak najrychlej muszę zobaczyć nowe krogulce.

– Czy ty sama je karmisz i się nimi opiekujesz? – zapytała zdziwiona Hildeburga.

– Skądże, jasnie pani. Pomaga mi kuzynka. Ale ja chętniej niż ona wywiązuję się z tego obowiązku!

Nieco później dostojna dama i jej świta wyszły równie szybko, jak się zjawiły. Na ten dzień robotki hafciarskie się zakończyły.

– Skoro czekasz na powrót Gaudentego – odezwała się Isambora do Aweliny – zostawiam cię tu. Ja wybieram się na łąkę nazrywać polnych mieczyków, które rozrzucę w rogu naszej sypialni.

– Pozwól, serduszko, że pójde z tobą... Chyba że Daimbert (niech go diabli porwą!) raczy się o mnie dopytywać. Słyszałam, że właśnie zrobił obchód lasu. Teraz już nie może udawać, że nie wie o pożarze, w którym omal nie spłonęliśmy żywcem.

W jej błękitnych wąskich oczach, dość szeroko rozstawionych, zaśniła odrobina zuchwałości.

– Jeśli nie przyjdzie, to znaczy, że nic go nie obchodzi, co się ze mną stanie... Może to będzie dobry pretekst do zerwania – dodała półgłosem, zaciskając zęby.

– No już dobrze, córeczko – rzekła Perryna, ustawiając w pokoju stołki – nie złość się. Przecież wiesz, jak bardzo twojemu ojcu zależy na tym małżeństwie. Daimbert to gajowy barona... Jego ojciec i twój przyjaźnili się już w dzieciństwie... Zresztą ten związek jest od dawna zaplanowany...

– Zaplanowano go, nie pytając mnie o zdanie! – rzuciła dziewczyna z wściekłą miną. – A to ja, nikt inny, zostanę żoną tego wioskowego szalawicy, jeśli się stanowczo nie sprzeciwię!

Chociaż Isambora uświadamiała sobie, jak niewielkim szacunkiem kuzynka darzy narzeczonego, którego wybrał podwasal, wydawała się zaskoczona gwałtownym tonem



jej głosu. Odruchowo objęła ją ramieniem i pocałowała, szepcząc, że złością nic nie wskóra i że lepiej grać na zwłokę. Lecz Awelina, której policzki pokraśniały, a oczy miały gromy, zapewniła, potrząsając głową, że woli wejść na wojenną ścieżkę, niż dać się zaprowadzić do łoża gajowego jak jałówka do byka.

– Wiedziałam, córko, że z ciebie gwałtownica – stwierdziła skonsternowana Perryna – ale żeby do tego stopnia!...

– Bo ja już nie jestem dzieckiem, które trzeba krótko trzymać!

Zapadła cisza. Obydwie babki w milczeniu przedły kądziel. Mabila wzdychała. Po chwili Rychilda zdecydowanie uniosła podbródek.

– Porozmawiam z Gerwazym – oznajmiła. – Syn zawsze mnie słucha...

– Bóg ci podszeptał ten pomysł! – mruknęła Perryna, od lat rozdierana sporami, w których ścierały się dwie silne osobowości: męża i córki.

– Jeżeli będzie się upierał przy tym idiotycznym małżeństwie, będę walczyć – powtórzyła, tupiąc nogą, rozeźlona Awelina. – Będę walczyć!

Nagle z dziedzińca dobiegły jakieś głosy.

– Chryste Panie, wraca twój ojciec! Wyjdź już stąd i idź do swojego pokoju – błagała Perryna. – Nie przystępuj do niego w takim stanie!

Dziewczyna zawahała się przez chwilę, po czym pomknęła ku drabinie prowadzącej na drugie piętro. Niebawem doleciał stamtąd odgłos kopniaków wymierzanych kufrowi.

Isambora знаła napady wściekłości kuzynki, które jednak mijały równie szybko, jak się zaczynały.

– Idę nazrywać mieczyków – powtórzyła i wyszła.

Na dziedzińcu minęła właśnie wracającego stryja, za którym wlokło się kilku wioskowych urwisów. Pozdrowił ją przyjaźnie i skierował kroki ku sali, krzycząc:

– Perryno! Naszykuj chleba i sera dla tych malców! Na płaszcz świętego Marcina, matki kiepsko ich karmią!

Takie maniery nie zdziwiły Isambory. Znała je od dawna. Podwasal był z natury szczodry, pragnął jednak, by wszyscy wokół wiedzieli, jak daleko sięga jego wielkoduszność. Taki miał charakter, że znajdował upodobanie w pewnej ostentacji.

Przekroczwszy bramę warowni, dziewczyna przecięła ścieżkę łączącą Fréteval z sąsiednią wioską Morée i dotarła na łąkę rozciągającą się nad rzeką.

Aż po jej brzegi łąka była grodzona żywopłotami, które dzieliły ją na zielone parcele; nie wolno było na nich wypasać zwierząt gospodarskich przed sianokosami.

Wejście na każdą parcelę zagrażała bariera ze splecionych gałęzi. Isambora popchnęła jedną z takich bramek. Po skwarze letniego dnia ku wieczorowi znów czuło się świeższe powietrze znad Loiru.

Ożywcza woń unosiła się nad trawą tak gęstą, że przypominała jedwabistą, błyszczącą czuprynę, ozdobioną niezliczonymi kwiatami, które raz po raz falowały w lekkich podmuchach wiatru.

Rosły tam bujnie jaskry, niebieskie szałwie, dzwonki, błękitne przetaczniki, bodziszki obsypane różowym kwieciem, wielkie biedrzeńce o białych baldachach i mnóstwo kwiatków o nieznanych nazwach.

Poczuwszy zapach wietrzyku, Isambora zachłannie wdychała rozchodzące się wraz z nadejściem wiosny wonie soków roślinnych, pyłków, miodu. Przy obrzeżających łąkę jaskrawozielonych żywopłotach rozpoznawała dyskretny, wręcz nieśmiały aromat kiści bzu, a także nieco bardziej natrętny, gorzkawy – okazałych głogów; subtelnie dawały o sobie znać świeżo rozkwitłe dzikie róże, a znad rzeki niosły się zapachy trzciny, sitowia i lilii wodnych.

– Panie Boże, bądź błogosławiony za urodę tego świata! Dzięki Ci za bezcenny dar, któryśmy od Ciebie otrzymali... Gdybyś tego nie uczynił, kwiaty mogłyby być brzydkie!

Nagle wzruszenie znów ścisnęło jej serce. Przeżyła już czternaście wiosen, ale jeszcze nigdy do tego stopnia nie czuła, że jest tak mocno zespolona z całą przyrodą. Miała wrażenie, że na podobieństwo płatków otwierających się pod wpływem promieni słonecznych przed jej młodością otwiera się perspektywa rewelacyjnych odkryć zmieniających życie. Coś w głębi jej istoty pojawiło się i rosło.

Do upojenia napełniała płuca woniami, hojnie wydzielanymi przez zapłodnioną ziemię.

Od niepamiętnych czasów rozpoznawała najśłabszy zapaszek, zanim jeszcze poczuły go jej kuzynka, reszta rodziny czy przyjaciółki. Nieomylnie rozróżniała odmiany, nawet niuanse wszystkiego, czym się oddycha; świetnie wiedziała, co pachnie ładnie, a co zatruwa powietrze. Jej wspomnienia zawsze wiązały się z jakimś nagłym doznaniem węchowym. Bezbłędnie wyczuwała wonie wszystkich miejsc, w których była, i okolic, przez które przechodziła. Swój bukiet, swoją niepowtarzalną zapachową tożsamość miał nawet najmniejszy zakątek, każde drzewo i w ogóle każda roślina, cała ziemia i każdy rodzaj gleby. Gdyby z zamkniętymi oczami Isambora znalazła się w domu, w jakimś budynku gospodarskim, w ogrodzie, w winnicy, na łąkach pod Morville – wszędzie czułaby się u siebie, bez najmniejszej obawy, że się zgubi, ufając wyłącznie tak bardzo rozwiniętemu zmysłowi.

Tym razem jakby wprowadzał ją w stan odurzenia. Ogarnęła ją nieprzeparta ochota, by zarazem śmiać się i płakać. Po raz pierwszy jej ciało włączało się już nie tylko węchem, ale czymś, co w nim tkwiło najgłębiej: w kipiący zmysłami obłęd upajającej natury. Wydało jej się, że niesie ją gigantyczna fala dzikiej wiosennej roślinności. Czuła, że owładnęła nią jakaś młoda, radosna, a jednocześnie władcza, wręcz okrutna istota.

Runęła w trawę i skryła w niej twarz. Odniosła wrażenie, nie do końca uświadomione, że jednoczy się z otaczającą, rozpasaną przyrodą.

Zatopiła zęby w kępce mięty, by poczuć w ustach jej ożywczy, lekko pieprzny smak, a potem chwyciła pełną garść świeżych, soczystych łądźłek i roztarła je palcami.

Narastała w niej dobiewająca się z trzewi wilgotnej ziemi jakaś dotąd nieznaną przyjemność.

Turlała się z boku na bok po trawiastym posłaniu, uginającym się pod ciężarem jej ciała. Miażdżone, pełne soków źdźbła wydzielają jeszcze potężniejsze, bardziej upojne aromaty, niczym wino, niczym miłość...

„Miłość to musi być ten pęd, ta gorączka dzielona z kimś drugim – pomyślała Isambora. – To, co się ze mną dzieje, to tylko odmienny sposób umiłowania życia. Poślubiam ziemię, oddaję się jej tak, jak oddawałabym się mężczyźnie... Kocham to

piękno, wigor, potęgę...”.

Z upojeniem światem roślinnym łączyła się przenikliwa radość z wolności i samotności.

Do tej ostatniej miała takie samo upodobanie, jak do zapachów. Ilekroć mogła, szukała jej w licznych zacienionych kryjówkach pod gałęziami, stworzonych wiosną przez naturę. Osłonięta listowiem, schowana za wysokimi trawami, już od dziecka ceniła te chwile niemej rozkoszy w tętniącym życiu światku, który mogła obserwować tylko ona. Brzegi rzeki, gdzie zapach wody mieszał się z wonią łąk i lasów, często dostarczały jej tajemnych doznań, które ją zachwycały, wprawiając w jeszcze większą rozterkę.

Nikt z jej otoczenia nie podzielał tej potrzeby samotności, która przybierała formę wręcz chorobliwą. Niepokoiła się nią Perryna, podkpiwał z niej Gerwazy, Awelina zaś czyniła kuzynce wymówki.

Przypomniła sobie o tym i nagle zrozumiała, że te gody z przyrodą objawiły dotąd ukrytą najgłębiej istotę jej własnej natury i że na zawsze odcisną na niej swoje piętno.

Zdała sobie sprawę, że dokonała się w niej przemiana. Pojęła, że już nie jest tą, która parę chwil wcześniej wchodziła na łąkę. Podobnie jak żmija porzucająca pomarszczoną skórę z poprzedniego wcielenia, by w nowej błyszczącej szacie rozpocząć nowe życie, Isambora uświadomiła sobie, że właśnie zawarła z potężną Ziemią nierozzerwalne przymierze.

„Maryjo, Najświętsza Dziewico, Matko Boga Żywego, chroń mnie! Nie dopuść, by mną owładnęła ta gwałtowna, pogańska chęć użycia, którą odkrywam w sobie! Nie pozbawiaj mnie, proszę, radości tego świata, ale pomóż je okiełznać”.

Uniesienie, któremu uległa, powoli opadało, ustępując miejsca dziwnemu zmęczeniu, jakiego dotąd nie знаła.

Mieszkając z konieczności w ciasnocie górnych komnat donżonu, gdzie kotary niedostatecznie tłumiły odgłosy niektórych nocnych igraszek, Isambora od dawna orientowała się, czym jest miłość dla innych. Teraz zaczęła przeczuwać, czym będzie dla niej.

Jeszcze wzburzona odkryciem, jakie uczyniła, przez chwilę leżała bez ruchu, oddając się marzeniom. Wyciągnięta na pogniecionej trawie, częściowo ukryta pod gałązkami olszyny, która osłaniała ją swym cieniem, w lekkim odrętwieniu słuchała śpiewu ptaków, chlupotania wody.

Nie przyniesie stryjence dzikich mieczyków, które posłużyły jej za pretekst, by wyrwać się z Morville. Trudno! Znużenie, które ją ogarnęło, było tak cudowne, że nie miała najmniejszej ochoty wstać i pójść po sztywne żółte kwiaty rosnące nieco dalej.

Nagle usłyszała dźwięk głosów, zauważyła jakieś poruszenie, które rozwiało czar tych chwil sekretnej rozkoszy.

Wiedząc, że nie zdradzi swojej obecności, dopóki się nie poruszy, tylko leciutko uchyliła gałęzie, aby się przyglądać, nie będąc widzianą.

Dostrzegła wychodzącego z rzeki mężczyznę, a potem drugiego podążającego za nim. Nadzy, ociekający wodą, otrząsnęli się ze śmiechem, po czym wytarzali w trawie, aby się osuszyć.

Isambora rozpoznała Bernolda i Majola, których nie miała okazji ujrzeć od tej nocy,

gdy wybuchł pożar.

Wiedziała jednak, co porabiali przez te trzy dni. Wystarczyło posłuchać paplaniny hafciarek, nawet nie zadając pytań, by zorientować się, że dwaj Normandczycy powędrowali do lasu Silva Longa. Spotkali się tam z mistrzem szklarskim, który na polanie nad stawem wybudował warsztat. Wyrabiał tam witraże dla mnichów z Marmoutier. Fama o umiejętnościach starego człowieka dotarła aż do Normandii. Bernold, który o tym słyszał, pragnął się z nim zobaczyć. Postanowił, że zostanie przez jakiś czas u swego nowego gospodarza, od którego miał nadzieję wiele się nauczyć. Powiadano, że właśnie z powodu tej wizyty dwaj młodzieńcy przybyli do Fréteval i zamierzali osiedlić się w okolicy.

– Na Boga! Woda w rzece jest wspaniała! – krzyknął Majol. – Łagodna i świeża jak dziewczica.

– Łagodna, lecz także groźna – rzekł Bernold. – Nie bądź zbyt ufny, mój drogi. Niektórzy w niej zginęli!

Postawny, o umięśnionych nogach, szerokich barach, wąskich biodrach, roześmianej twarzy i gęstej jasnej czuprynie, której nie wygładziła nawet woda, Normandczyk tchnął krzepą, zdrowiem, żywotnością, co zafrapowało Isamborę.

W porównaniu z nim ciemnowłosa, o śniadej cerze, ciemnych, błyszczących oczach, szczupły, giętki, zwinny Majol wyglądał jak świerk przy dębie.

– Baron jest w Blois – podjął Bernold, wycierając pierś wiechciem trawy – więc nie będziemy mogli zbyt długo zabawić pod jego dachem w towarzystwie jego małżonki.

– Tym bardziej że koczowanie w budynkach gospodarskich wcale nie sprzyja naszym pracom – przyznał Majol.

– Zanim sami wrócimy do Blois, moglibyśmy spędzić kilka dni u naszego starego mistrza z lasu – ciągnął Bernold – ale...

Roześmiał się, ukazując lśniące białe zęby, które Isambora doskonale pamiętała.

– Na czarcie rogi! Przyjacielu, masz rację! Jest jedno przysłowiowe ale...!

– Cóż zatem uczynimy?

– Spróbujemy się z nimi zobaczyć.

– Jak?

– Bóg o to zadba. Zdaj się na Niego. Nic nigdy nie jest dziełem przypadku. Dobrze o tym wiesz. Uratowaliśmy, ty i ja, te dwie dziewczyny, które nam się podobają, jedynie po to, by każdy z nas postarał się zdobyć uczucie jednej lub drugiej.

– Niewątpliwie... chociaż wydaje mi się, że próba przejrzenia planów Bożych zawsze dowodzi zuchwalstwa... Jednak tak jak i ty bez reszty pokładam ufność w Panu i uważam się za Jego najwierniejszego lennika! Zadaję sobie tylko pytanie: co tu wymyślić, żeby spotkać się z naszymi pannami?

– Teraz już wiemy, gdzie mieszkają. Chodźmy do nich, udawajmy, że chcemy tylko zobaczyć, jak się miewają... i uwiedzmy je!

– Łatwo powiedzieć, Majolu! Przecież ta, która cię interesuje, jest zaręczona, jeśli pamiętasz. Ta zaś, której ja pragnę, też ma, sądząc po tym, co nam opowiadano, młodego kawalera, który chyba jest jej narzeczonym.

– Zaręczyny to mimo wszystko nie ślub!

– Prawie, mój drogi, prawie.

– No cóż! – zawołał Majol, wykręcając pirueta. – No cóż! Porwiemy je! Tymczasem idę się znów wykapać. Zawsze trzeba korzystać z miłych chwil, które są nam dane.

Pobiegł ku rzece i skoczył w jej nurt, rozpryskując błyszczące kropelki.

Bernold stał bez ruchu, zadumany, w złagodniałym świetle zmierzającego dnia. Jego blada skóra wydawała się przysypana złotymi cętkami w promieniach słońca prześwitujących przez listowie wierzb.

Nie bardzo wiedząc, czego chce, Isambora zerwała się jednym susem, by nie zważając na nic, odgarnąć gałęzie, pod którymi się ukryła.

Chociaż Bernold usłyszał tylko cichy szelest, odwrócił się zaniepokojony.

Ponad czerwonym kaftanem ujrzał uroczą buzię, okoloną długimi warkoczami barwy brązu, tonącą w listowiu i przypominającą oblicze jakiejś ondyny z dawnych wieków, wyrwanej z tysiącletniego snu po to, by siać zamęt w sercach zwykłych śmiertelników...

Oboje zaskoczeni, nie czyniąc najmniejszego gestu, przez chwilę przyglądali się sobie z oddali...

Tracąc poczucie czasu, nie pamiętali później, jak długo trwała ta milcząca wymiana spojrzeń.

W tym momencie ofiarowywali sobie nawzajem życie, wiążąc się, łącząc jedynie mocą pragnienia, którego zaznali i na które wyrazili zgodę.

Z daleka i lepiej, niż gdyby rzucili się sobie w objęcia, odkryli doskonałość absolutnego daru, którego istnienia nikt chwilę wcześniej nawet nie podejrzewał. Było to niczym przyjęcie nowej religii, niczym objawienie jedynej Prawdy.

Wreszcie Bernold cofnął się powolutku, nie spuszczać z oczu szczupłej twarzy ondyny, po czym wskoczył do wody i oddalił się, płynąc jak oszalały.

### III

Daimbert nie był przystojny, ale mógł się pochwalić niezliczonymi miłosnymi podbojami.

Szeroki tors, lecz krótkie nogi, niebieskie oczy, małe i świdrujące, zbyt duży nos, niskie czoło, na które opadały ciemne, dość rzadkie włosy, nie wydawały się wróżyć mu kariery podrywacza. A jednak uchodził za takiego we Fréteval i w całej okolicy.

Gdy tylko w pobliżu pojawiała się jakaś niewiasta, ładna czy brzydka, młoda czy w wieku przekwitania, której jeszcze nie wychędożył, pożądliwy błysk, w szczególnie sposób rozpalający jego spojrzenie, sygnalizował zainteresowanej, że gajowy ją przyuważał.

Wiele dawało się złapać na lep. Chodziły słuchy, że taka a taka uległa mu za żywopłotem, na sianie, na legowisku z suchych liści albo całkiem zwyczajnie u siebie, w małżeńskim łóżu.

– Myślę tylko o kobietach i winie – oświadczył kiedyś, trochę podchmielony, w Morville, w obecności swojej narzeczonej. – Oprócz tego nie ma na ziemi nic, czym warto by się przejmować!

Tego dnia, gdy Isambora wracała z łąki, Daimbert siedział w sali razem z podwasalem i młynarzem Benedyktem Wielojadem. Wszyscy trzej pociągali wino ziołowe, rozprawiając z ożywieniem. Gdy dziewczyna weszła do izby, zamilkli jak na komendę.

– Myślałam, że zastanę tu moją stryjenkę i Awelinę – rzekła pospiesznie, by ukryć skrępowanie.

– Chyba właśnie zajmują się krogulcami – powiedział Gerwazy. – Gaudenty przyniósł dwa, już dość podrośnięte.

Między kuchnią a stajnią niewielkie pomieszczenie było przeznaczone na hodowlę ptaków używanych do polowania. Przez zakratowane okienko z reguły wpadało niewiele światła. Ale o tej porze przenikało do środka tyle złocistych, ukośnych promieni słonecznych, że Isambora od razu spostrzegła, co się tam dzieje.

Pochylona nad dwoma gniazdami z tkaniny, pakuł i puchu, które własnoręcznie uwiła w poprzednich dniach, Awelina ostrożnymi, precyzyjnymi gestami karmiła dwa krogulczyki. Stojąca obok córki Perryna trzymała w ręku drewnianą miskę pełną krwistej siekaniny. W powietrzu unosił się odrażający fetor ptasiego łajna, surowego mięsa, piór.

Isambora podeszła do plecionej z wikliny szeroko otwartej klatki, w której umieszczono gniazda.

– Ptaki są piękne – zauważyła po to tylko, by coś powiedzieć.

Czuła się jeszcze tak wstrząśnięta tym, co przeżyła nad brzegiem Loiru, że poruszała się jak we mgle.

– Będą piękne, jeśli je odpowiednio ułożymy – zapewniła ją kuzynka.

– I jeśli nie przydarzy im się nic złego! – dodała Perryna, która była z natury lękliwa.

– Zdaje się, że dość łatwo je karmić.

– Pierwsze dni zawsze są trudne, ale daję im jaskółcze mięso, za którym przepadają.

Koniuszkami palców Awelina wsuwała do rozdziawionych dziobów kawałki grubo poszatowanego mięsa.

Isambora znów nie mogła się nadziwić, że pasja tresowania tak odmieniała kuzynkę. Choć odznaczała się porywczym, gwałtownym charakterem, Awelina w takich okolicznościach jak te potrafiła okazywać cierpliwość i wytrwałość.

– Chciałabym, żeby już się wypierzyły i by można było obciąć im szpony, zaszyć powieki, przywiązać do nogi dzwoneczek – podjęła dziewczyna. – Tresowanie ich jest o wiele ciekawsze niż karmienie czy kąpanie.

– Mylisz się, córko. Wszystko to należy do tresury – sprostowała Perryna. – Dawać krogulcowi jeść i brać go na ręce, by umiał cię rozpoznawać, to równie ważne, jak przyzwyczajając go do siadania na żerdzi, jak nakładać mu pęta, przywiązywać dłuźec i dzwoneczki, a potem sadzać ptaka na pięści.

– Ja wolę – stwierdziła Isambora – uczyć go rozróżniać gwizdy, których powinien słuchać. W każdym razie to mi się najbardziej udaje.

– Zawdzięczasz to przede wszystkim zamiłowaniu do śpiewu – oznajmiła Awelina, karmiąc na przemian oba pisklęta. – Hodowla ptaków to jedno z najbardziej szlachetnych zadań, jakie mamy do spełnienia!

Ktoś zapukał do drzwi. Weszła Almetta, najmłodsza ze służących, i powiedziała, że podwasal pilnie wzywa żonę, córkę i bratanicę. Chce z nimi porozmawiać.

– Musi poczekać, aż nakarmię krogulczyki! – odparła Awelina, gniewnie mrużąc oczy. – Przecież on wie, że to nie jest zajęcie, od którego można się oderwać z byle powodu!

– Jeśli ojciec cię prosi, córko, to na pewno ma ważne rzeczy do przekazania – zaoponowała Perryna.

– Wkrótce się przekonamy!

– Powiedział, że mogę cię wyręczyć, panienko – nieśmiało wtrąciła Almetta.

– Dalibóg! On zwariował! Czy ktokolwiek widział służącą zajmującą się hodowlą krogulców? Czyż nie należy to do powinności kobiet dobrze urodzonych?

– Oczywiście, Awelino, oczywiście...

Isamborze nagle przysłała na myśl rozmowa między jej stryjem, młynarzem i Daimbertem, którą przerwała tuż przedtem. Strach ścisnął jej żołądek.

– Twój narzeczony i Benedykt Wielojad właśnie o czymś rozmawiali, kiedy wracałam z łąki – rzekła. – Mieli takie miny, jakby spiskowali.

– Daimbert jest tutaj! – wykrzyknęła Awelina, a jej rysy stwardniały. – W takim razie trzeba pójść i zobaczyć, co się dzieje! Mój ojciec i on rozumieją się jak łyse konie!

W pośpiechu skończyła swoją robotę, po czym wszystkie trzy kobiety wyszły z szopy, upewniwszy się, czy pisklętom jest ciepło w utkanych z materiału gniazdach i czy klatka jest dobrze zamknięta.

W sali trzej mężczyźni wciąż jeszcze popijali. Ich zaczerwienione twarze, błyszczące oczy, podniesione głosy świadczyły o częstych libacjach. Przed nimi na niskim stole królowały trzy cynowe puchary i kamionkowy dzbanek.

– Na płaszcz świętego Marcina! Żono, kazałaś na siebie czekać! – zawołał Gerwazy, na poły z wymówką, na poły ze śmiechem. – A my tu we trzech właśnie

powzięliśmy ważne decyzje. Nie śpieszno ci o nich posłuchać?

– Ależ tak, mój drogi, ależ tak...

Podwasal wstał i lekko się zataczając, poszedł usadowić się między dwoma kompanami.

Panował upał, więc miał na sobie tylko krótki kaftan zielonej barwy. To był jego ulubiony kolor. Dlatego nie nosił innych ubrań. Ponadto wymagał, aby małżonka i córka go w tym naśladowały. Niskiego wzrostu, szczupły, o ostrych rysach, wyglądał jak przedwcześnie pomarszczony podrostek.

– Nasz przyjaciel Benedykt przyszedł do mnie, by wystąpić z najbardziej zaszczytną prośbą – zagaił, kładąc z niejaką zażyłością, a zarazem szacunkiem lewą dłoń na ramieniu młynarza.

Ten, bardzo wysoki, ale bez uncji tłuszczu na potężnym kośćcu, uśmiechał się rozanielony. Nienasycony apetyt, jaki mu zawsze dopisywał, zjednał mu przydomek Wielojada, ale Benedykt nie dorobił się brzucha. Zdolny pochłonąć ogromne ilości wiktuałów, wcale od nich nie tył. Niemal łysy, pod pięćdziesiątkę, miał twarz o nieregularnych rysach. Szczególną uwagę zwracał jego nos, agresywnie sterczący jak nóż wbity w jabłko. Po obu stronach tego nieproporcjonalnego organu piwne oczy, bacznie obserwujące i skrzące się kpina, sprawiały wrażenie, jakby naigrawały się z tej niewdzięcznej fizjonomii.

– W rzeczy samej mam zaszczyt w imieniu mego syna Gildasa prosić o rękę waszej uroczej Isambory – oznajmił młynarz, zwracając swój ryjek ku Perrynie.

Teraz ona z kolei, zaskoczona, pochyliła się ku niemu, szepcząc, że zachwyca ją ta propozycja.

– Wesele wyprawimy tuż po winobranii – oznajmił podwasal.

Zapadła cisza. Wszyscy wpatrywali się w Isamborę.

Milcząca, ze spuszczoną głową, pobladła dziewczyna nic nie mówiła. Spuściła wzrok ku ziemi.

– Cóż to, bratanico – podjął Gerwazy. – Nie cieszysz się z takiej wieści?

Coś na kształt jęku wydobyło się z ust dziewczyny, która nagle zaniósła się płaczem i wybiegła z izby. Perryna jakby zamierzała ruszyć za nią w pogoń. Ruchem ręki mąż nakazał jej zostać.

– Jesteś zadowolony, ojczu, jak mniemam? – rzuciła Awelina, purpurowa z gniewu.

– Czy ty nic nie zrozumiesz? Gildas jest dla niej przyjacielem, oczywiście, ale nigdy nie będzie nikim więcej!

Podwasal wyprostował się na tyle, na ile mógł. Wzrost córki był dla niego źródłem nieustającego strapienia. Z pewnością lepiej by się z nią dogadywał, gdyby była niższa.

– Po co się mieszasz w nie swoje sprawy?! – krzyknął. – Do kroćset! Zawsze musisz stawać okoniem wobec moich planów?

– Isambora nigdy nie poślubi Gildasa! – wrzasnęła w odpowiedzi Awelina, która umiała podnosić głos nie gorzej niż ojciec. – Nie męża jej potrzeba!

Benedykt Wielojad pojednawczo uniósł rękę.

– Spokojnie, moja śliczna, spokojnie! – rzekł. – Nie wydamy za mąż twojej kuzynki siłą, panienko, możesz być pewna. Niestety, mój biedny Gildas zadurzył się w niej po



uszy i miałem nadzieję, że z wzajemnością... Jeśli się pomyliłem, przyjmijmy, że nic nie powiedziałem.

– Na łono Świętej Panienki! Oszaleję przez tę dziewczuchę! – ryknął Gerwazy. – Wszędzie wtyka swoje trzy grosze! Teraz zamierza tutaj, w moim własnym domu, wprowadzać swoje porządki! Widział ktoś coś podobnego?

Pienił się z wściekłości.

– Mistrzu Gerwazy, ja to załatwię – wtrącił się Daimbert, który do tej pory siedział cicho. – Ja to załatwię.

Podniósł się i podparty pod boki, stanął w rozkroku przed Aweliną. Mierząc narzeczoną szyderczym wzrokiem, jednocześnie lustrował ją ze znawstwem handlarza bydła, który ocenia klacz rozplodową.

– Twój ojciec, panienko, nie zdążył ci obwieścić innej nowiny, która cię jeszcze bardziej dotyczy – rzekł z pewnością siebie. – Nasze wesele ma się odbyć po sianokosach, to znaczy wkrótce, około świętego Marcina Gniewnego<sup>[7]</sup>. Z tego powodu zaślubiny twojej kuzynki zostały przełożone na kalendy październikowe.

Interwencja narzeczonego podsyciła złość Aweliny. Spąsowiała, ale zacisnąwszy wargi, starała się za wszelką cenę opanować.

– Dwa śluby w jednym roku! – wykrzyknęła Perryna. – Szykują się wielkie wydatki, mój drogi! Pomyślałeś o tym?

– Sądziś, że nie mam rozumu w głowie? – mruknął podwasal. – Skoro Pan Bóg postanowił nas doświadczyć, obdarzając dwiema pannami na wydaniu, musimy się z tym uporać!

– Nie godzę się na ten związek – oświadczyła Awelina donośnym tonem pomimo starań, jakie czyniła, by zachować pozory spokoju. – Nie masz prawa, ojczy, wydawać mnie za mąż wbrew mej woli. Wiesz dobrze, że małżeństwo można zawrzeć tylko za obopólną zgodą. Nie żyjemy w czasach Rzymian i nie zaprowadzisz mnie siłą do ołtarza, bym wyszła za człowieka, którego nie chcę!

Daimbert zaśmiał się sztucznie:

– Do wszystkich diabłów! Czy moja narzeczona musi być jedną z nielicznych dziewcząt, którym się nie podobam? – zapytał, dumnie wypinając pierś. – Będziesz musiała zmienić zdanie, moja kokoszko, bo już jesteśmy zaręczeni, o czym chyba nie zapomniałaś!

– Zaręczono nas, gdy byłam jeszcze dzieckiem – rzuciła Awelina, niezdolna dłużej zachować zimnej krwi. – Nie wiedziałam, co robię!

– A ja wiedziałem! – zawołał Gerwazy. – I nie zmieniam zdania. Ślub się odbędzie, Daimbercie, możesz być pewny, nawet jeśli przyjdzie mi trzymać w lochu pod kluczem tę upartą oślicę aż do ceremonii!

Chwytnąjąc z wściekłością dzban z winem, gwałtownie cisnął nim o ziemię, na której się rozbił, a strumienie trunku zabarwiły na czerwono kwiecie żarnowca.

– Możesz mnie zamknąć! – ryknęła Awelina. Złapała jeden z pucharów, którym walnęła o posadzkę, tym samym rzucając ojcu wyzwanie. – Ale trzeba będzie wyciągnąć mnie z lochu i zaprowadzić do kościoła, a tam, pod bramą, gdzie będzie na nas czekał ksiądz, wykrzyczę całą prawdę! Powiem wszystkim, że chcesz mnie wydać za człowieka,

którego nie szanuję, że nie masz do tego prawa, że nigdy, przenigdy się na to nie zgodzę!

Widząc, że ojciec, rozjuszony, odpina skórzany pas, aby ją zbić, dziewczyna brutalnie odepchnęła Daimberta, wciąż przed nią sterczącego, uskoczyła w bok, by uniknąć smagnięć, i umknęła z sali jak ścigane zwierzę.

Zgiełk zaalarmował wszystkich mieszkańców warownego dworu, którzy ściągnęli na dziedziniec, oprócz obu babek zajętych przędzeniem w górnej komnacie.

Awelina nerwowo odsunęła ciekawskich.

– Dokąd poszła Isambora? – zapytała.

Wtedy z gromadki, w której się znajdował, wystąpił dziadek cioteczny Aweliny, garbus, i podszedł do niej. Położył na ramieniu buntowniczkę dłoń ogorzałą od słońca.

– Chodź, wnuczko – rzekł. – Chodź ze mną.

Awelina wiedziała, że może zaufać winogrodnikowi, który mówił niewiele, ale zawsze ze znajomością rzeczy. Podążyła za nim.

Przeszli przez warzywnik, gdzie przemieszane z irysami, szałwią, werbeną, różami, liliami rosły wszelkiego rodzaju jarzyny: szpinak, bób, pory, sałata, czosnek, dynie, koper, cebule, roszonka, rzepa, marchew, kapusta pastewna, kapusta biała, boćwina, groszek, a także wonne zioła, takie jak cząber, pietruszka, macierzanka, rozmaryn, tymianek. Każdą grządkę, starannie nawożoną i okopywaną, ogrodzono deskami, aby wyraźnie zaznaczyć jej kontury. Całą zagrodę, podobnie jak i resztę posiadłości, zabezpieczała fosa, nad którą wznosiły się solidne palisady.

Na krańcu warzywnika, bezpośrednio za nim, znajdował się sad. Na podściółce z rzeżuchy wytryskiwało źródełko, osłonięte niskimi gałęziami dużego kasztanowca, który je chronił przed słońcem. Wszędzie wokół było pełno drzew owocowych. Ich gęste korony odcinały się na tle równiutko wytyczonych rzędów winorośli porastających równinę i zbocza pagórków, które zamykały dolinę od północy. Dalej na płaskowyżu rozciągał się las.

Siedząc w trawie koło źródła, Isambora przemywała chłodną wodą, zbieraną w zagłębieniu dłoni i przeciekającą między palcami, twarz spuchniętą od łez.

– No i co? – zapytała ponuro.

– Zrobiłam to samo co ty, serduszek: zwiałam z tej przeklętej sali! Mój ojciec pieni się z wściekłości!

– Wielki Boże! Co my teraz pocniemy?

– Będziemy wciąż odrzucać propozycje małżeństwa, którego nie chcemy ani ty, ani ja!

– To nie wystarczy – wtrącił garbus. – Trzeba działać.

– Jak?

– Na przykład pójść do jaśnie pani Hildeburgi. Chociaż to nie jest konieczne. Gerwazy, okazując szacunek baronowi, zapyta go o zdanie. Jego małżonka mogłaby wstawić się u niego za wami. Skoro twój ojciec jest jego wasalem...

– Jasne, jasne – przyznała Awelina, jednak bez większego przekonania. – Ale nie jest wcale powiedziane, że pani Hildeburga nas poprze. Może równie dobrze stanąć po stronie swego winogrodnika i leśniczego.

– No dobrze, ja pójdę! – wykrzyknęła Isambora, której szare, dziwnie błyszczące

oczy raptem się rozpromieniły. – Pójdę do jaśnie pani! Porozmawiam z nią!

Jeśli całkiem nowe uczucie, które nią owładnęło, nakazywało jej odrzucić Gildasa, pewność, że to uczucie ktoś podziela, napępiała ją siłą i odwagą, by bronić swego sekretu.

Zerwała się na równe nogi.

– Jutro rano, jeśli Bóg da, pójdę do zamku – ciągnęła z rezerwową miną. – Już ja będę wiedziała, co powiedzieć!

Nagle poczuła, że rośnie w niej siła zdolna popchnąć ją do czynów, o których w najśmielszej wyobraźni nawet nie mogła marzyć. Wiedziała, że dołoży wszelkich starań, aby zdobyć mężczyznę, który wywoływał w niej takie emocje. Od czasu sceny na łące jej serce przepełniało uniesienie, które nabrzmiewało i rozwijało się jak marcowy pączek, z gwałtowną i nieodpartą słodyczą...

Bramka prowadząca do sadu zazgrzytała i otworzyła się. Do źródła podbiegła Almetta.

– Na mą duszę! Chodźcie! Chodźcie szybko! – krzyknęła. – Jesteście potrzebne!

Służka wydawała się tak poruszona, że garbus się zaniepokoił.

– Co się stało? – zapytał. – Na wszystkich świętych! Mów! Wy tłumacz nam!

– Normandczycy! Normandczycy! – wybełkotała Almetta. Isambora chwyciła ją za ramię.

– Co? Co takiego? Co ty mówisz?

– Mówię, że właśnie przyszli dwaj cudzoziemcy, którzy jedli kolację u naszego barona tego wieczoru, gdy wybuchł pożar. Poprosili, by przyjął ich twój stryj, panienko. Wspominali też o tobie.

– Co powiedzieli?

– Nie wiem! Chodźcie!

Wślizgując się do sali, Isambora czuła, że nogi się pod nią uginają. Serce waliło jak młot, toteż bała się, że nie będzie słyszała nic poza jego biciem.

Benedykta Wielojada już nie było. Daimbert stał z boku, pod jednym z dwóch okien. Gerwazy i Perryna rozmawiali z Bernoldem i Majolem. Nikt jeszcze nie zdążył usiąść. Wszyscy wydawali się jacyś nieswoi.

– Wasi wybawcy pofatygowali się aż tutaj, aby zapytać, jak się miewacie – rzekł Gerwazy. – To wielki honor dla naszej rodziny.

Isambora ujęła za rękę Avelinę i ścisnęła ją ze wszystkich sił. Stały przytulone do siebie, bez ruchu, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Czekałszy, aż wrócicie, najmilsze – powiedział Bernold – aby zwrócić się do waszych krewnych z podwójną prośbą.

Jego spojrzenie na chwilę skrzyżowało się ze spojrzeniem Isambory. Odkąd ujrzał ją pod olszyną na brzegu Loiru, myślał tylko, jak ją odnaleźć, by zawładnąć jej sercem i zabrać ją ze sobą.

Ani przez moment nie wahał się, nie oszukiwał samego siebie. W tej krótkiej chwili pojął coś oczywistego i wiedział, że nie jest osamotniony w swoim odczuciu. Uświadamiał to sobie z taką przenikliwością, taką pewnością, że mógł jedynie się temu poddać. Oczywista prawda nie podlega dyskusji.

– Klnę się na Boga – ciągnął, zwracając się do podwasala – składamy wam wizytę,

mój przyjaciel i ja, w konkretnym celu, którego nie powinniśmy dłużej taić. Po co owijać w bawełnę? Naszym największym pragnieniem, zarówno jednego, jak i drugiego, byłoby, abyś, panie, zechciał dać nam za żonę, jemu – swoją córkę, mnie – swoją bratanicę.

Gdyby strop się zawalił, nikogo by to bardziej nie zdziwiło niż takie oświadczyły.

Perryna podniosła do ust dłoń zwiniętą w pięść. Twarz Gerwazego przybrała odcień niemal równie czerwony jak jego włosy. Daimbert obrócił się całym ciałem niczym bączek wprawiany w ruch drążkiem.

Isambora zamknęła oczy. Radość rozpierała jej serce, warkocze opadały na policzki, delikatnie je pieszcząc.

Awelina zbladła równie mocno, jak jej ojciec spąsowiał. Zadrżała, po czym runęła na ziemię zemdlna. Pod wpływem jej upadku czar prysł. Perryna skoczyła i zaczęła przecierać skronie dziewczyny resztką wina z kielichów poniewierających się na stole.

– Coś podobnego – powiedział zwyczajnie podwasal. – Coś podobnego!

– Nasze oświadczyły są, być może, trochę niespodziewane – przyznał Majol, który podszedł do nieprzytomnej dziewczyny i przyglądał się jej zaniepokojony – ale nie sądziliśmy, że to będzie dla was takie zaskoczenie.

– Okoliczności, które zbliżyły nas czworo, były same w sobie tak wyjątkowe – dodał Bernold – że jedynie wyjątkowy sposób postępowania wydał nam się odpowiedni.

Awelina odzyskała przytomność. Uniosła pierś, siadła wśród pogniecionych plis swego kaftana, spojrzała na stojącego tuż obok Majola i z oczu pociekły jej łzy.

Isambora uklękła koło niej.

– Przyjaciółko, siostró, nie płacz! Proszę cię, nie płacz! Nie przydarzyło nam się nic strasznego. Tego samego dnia dwóch mężczyzn nam się oświadcza. To nie klęska, wręcz przeciwnie, to wielkie szczęście!

– Powinniśmy mieć prawo wyboru – szepnęła Awelina.

– Słyszycie? – zapytał podwasal. – Właśnie dały wam odpowiedź: nie są już wolne.

Jedna jest przyrzeczona, druga zaręczona.

– Wiedzieliśmy o tym – przyznał Majol z całym spokojem. – Ale nie odstępimy od naszych zamiarów.

Daimbert przybrał groźny ton:

– Co mówisz, panie?

– Przyrzeczenie to nie zobowiązanie – stwierdził Bernold.

– Bywało, że całkiem szacowne osoby zrywały zaręczyny – dodał Majol.

– Nie do wiary! – zawołał Daimbert.

Podwasal pomimo niskiego wzrostu wyprostował się jak świeca.

– Zaręczyny to formalna obietnica – uciał. – Kto nie dotrzymuje słowa, traci honor i naraża się na szykany ze strony tego, którego okpiono. Ten oto Daimbert jest gajowym lennym barona z Meslay, jego ojciec był z dawien dawna moim najlepszym przyjacielem, nasze dzieci są sobie przeznaczone od kołyski. Chociaż wasze oświadczyły, panowie, są bardzo pochlebne, jednak nie zmieniają w niczym tych faktów. Przykro mi, ale muszę wam odmówić ręki zarówno mojej córki, jak i mojej bratanicy – dokończył tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Bernold, który przy małym człowieczku wydawał się olbrzymem, zrobił krok

w jego kierunku.

– Twoja bratanica, panie, nie jest zaręczona – podjął, usiłując powściągnąć niecierpliwość, do czego najwyraźniej nie nawykł. – Przed chwilą to potwierdziłeś. Zechciej chociaż potraktować jej sytuację jako odmienną od tej, w jakiej znajduje się jej kuzynka... i pozwól mi ją poślubić.

– Byłby to zły przykład – powiedział Gerwazy. – Znam Awelinę. Gdyby Isambora została twoją żoną, panie, życie pod tym dachem stałoby się nie do wytrzymania.

Awelina wstała, nerwowo wygładzając fałdy zielonej tkaniny.

– Mylisz się całkowicie, ojczu – zapewniła. – Oddaj Isamborę Bernoldowi za żonę. Ja wstąpię do klasztoru.

– Na płaszcz świętego Marcina! Tak się nadajesz na zakonnicę jak ja na papieża! – wrzasnął podwasal. – Z twoim charakterkiem nie zagrzałabyś w zakonie miejsca dłużej niż trzy dni.

Daimbert stanął koło dziewczyny.

– Mam do ciebie prawo, moja droga – rzekł z nagłą powagą, która nadała jego rysom bawidamka jakiś niepokojący wyraz. – Chyba o tym zapomniałaś. I wcale nie zamierzam zrzec się tego prawa.

– Nienawidzę cię, panie! – zawołała Awelina. – Nigdy, słyszysz, nigdy za ciebie nie wyjdę.

Jej słowa skwitował rubaszny rechot.

– Grubo się mylisz, moja droga! Będziesz do mnie należeć i basta – oznajmił gajowy. – Do dnia dzisiejszego, Bóg mi świadkiem, żadna niewiasta, na którą miałem chęć, mi nie umknęła!

Majol podszedł do Aweliny.

– Jeśli ośmielisz się tknąć choćby palcem moją narzeczoną, zarżnę cię, panie, jak wieprza! – wykrzyknął Daimbert, którego cera przybrała odcień fioletowy.

– Zrobię to, czego ona sobie zażyczy – odparł Majol, zaciskając szczęki.

– Ona nie będzie o niczym decydować. Musi u mnie chodzić na pasku jak dobrze wytresowany koń! – ryknął gajowy, odpychając łokciem młodego Normandczyka.

Majol skoczył naprzód. Zanim ktokolwiek spróbował ich rozdzielić, dwaj mężczyźni chwycili się za czuby. Zagrzewała ich obopólna nienawiść. Walili na oślep pięściami, częstowali się kopniakami, wydając ochryple okrzyki. Mniej więcej w tym samym wieku, mieliby w walce jednakowe szanse, jeden dzięki sile, drugi – zręczności i szybkości, gdyby Daimbert nie był uzbrojony. Upoważniało go do tego zajmowane stanowisko. W skórzanym futerale u prawego boku nosił kordelas z rogowym trzonkiem.

Znienacka pośliznął się na gałązkach żarnowca rozrzuconych po podłodze, jeszcze wilgotnej od rozlanego wina, i upadł na kolana. Majol rzucił się na niego. Szybszy niż Normandczyk gajowy podniósł się jednym susem, wyciągnął myśliwską broń, którą się zwykle posługiwał do zarzynania dzikiej zwierzyny, wściekle zaszarżował na przeciwnika i go dźgnął.

Do tej pory Bernold nie interweniował, aby nikt nie mógł zarzucić Majolowi i jemu, że grzmocą we dwóch osamotnionego człowieka. Jednak gdy ujrzał błyszczącą klingę noża, runął naprzód, chwycił Daimberta za kołnierz skózanego kaftana i roztrzaskałby

mu głowę o najbliższą ścianę, gdyby podwasal, garbus i krzepki parobek, którzy nadbiegli, słysząc krzyki, nie udaremnili mu pomszczenia przyjaciela, osuwającego się na ziemię i broczącego krwią. Przytrzymywany przez trzech mężczyzn, którym trudno było go obezwładnić, przypominał odyńca osaczonego przez sforę psów.

Daimbert wytarł ostrze kordelasa o podeszwę trzewika z cholewką, po czym, celowo zwalnając kroku, skierował się ku drzwiom, przy których stanął jak rycerz na straży.

– Oddycha! – zawołała Perryna, obmacawszy pierś nieprzytomnego rannego. – Opatrzę go. Przynieście mi, co trzeba.

Awelina pobiegła do szafy zbitej z desek, w której jej matka przechowywała maści, olejki lecznicze, suszone zioła, tymczasem Isambora wyciągała ze skrzyni na bieliznę zwinięte płócienne opaski, Almetta zaś ruszyła do kuchni po wino.

Perryna rozdarła kaftan i koszulę Majola. Rana mocno krwawiła, ale była czysta i o wyraźnych brzegach.

– Ostrze musiało ześliznąć się po żebrach – rzekła wreszcie. – Wydaje się, że żaden narząd nie jest uszkodzony. Z Bożą pomocą rychło wydobrzeje.

– Jeśli z Majolem stanie się coś złego, nigdy tego Daimbertowi nie daruję! – mruknęła Awelina.

W pogotowiu, czekając na dalszy ciąg wydarzeń, gajowy stał wciąż przy drzwiach. Rzucił narzeczonej pełne wyrzutu spojrzenie, ale ani drgnął.

Czując na sobie czyjś uporczywy wzrok, Isambora podniosła oczy. Wśród panującego wokół rozgardiaszu wpatrywał się w nią Bernold. Wciąż przytrzymywany, sprawiał wrażenie, że chce niemo przekazać jej jakąś wieść. Jego oczy jaśniały, jakby w sercu zapłonął ogień. Dziewczynę zalała fala niejasnej nadziei. Ten mężczyzna z niej nie zrezygnuje. Nic nigdy go do tego nie zmusi. Ogarnęła ją radość niczym skowronka o świcie w piękny poranek. Wszystko było jeszcze możliwe...

Majol wydał przeciągły jęk i odzyskał przytomność.

– Przyjacielu – zwrócił się do niego Bernold. – Chyba nie jesteś ciężko ranny. Bogu niech będzie chwała. Wkrótce staniesz na nogi. Tymczasem opuśćmy ten niezbyt gościnny dom.

Oswobodziwszy się z uścisku przeciwników, którzy nieco osłabli, podszedł do rannego.

Podwasal podążył do Daimberta, wciąż stojącego na czatach pod drzwiami. Chwycił go za ramię, szepcząc coś do niego z rozeźloną miną, po czym wypchnął go na zewnątrz. Gajowy ulotnił się.

Perryna kończyła kłaść kompresy z płótna nasączonego olejkiem z dziurawca na przemytą winem ranę.

– Bracie – rzekł Bernold, pochylając się nad leżącym na posadzce przyjacielem. – Jesteś w stanie dojść do dziedzińca i dosiąść konia? Podtrzymam cię, jeśli trzeba.

– Myślę, że dam radę.

– No to chodźmy.

Pochylił się jeszcze bardziej, aby pomóc rannemu wstać. Przy tej czynności musnął Isamborę klęczącą obok stryjenki i kuzynki.

– Czekaj na mnie. Wkrótce wrócę – wyszeptał do ucha dziewczyny.

Potem, podtrzymując Majola, podniósł się. Młodzieniec zachwiał się i choć z grymasem bólu, zdołał jednak, czepiając się kurczowo swego kompana, stanąć prosto.

– Bóg mi świadkiem, że przyszliśmy tutaj w najlepszych zamiarach – oznajmił Bernold podwasalowi. – Potraktowaliście nas, panie, jak wrogów. Tym gorzej dla was! Nie dziwcie się, jeśli przydarzy wam się coś niemiłego.

Jego głos zabrzmiał tak groźnie, że nikt nie zdobył się na żadną odpowiedź.

Podpierając jeden drugiego, obaj mężczyźni przemierzyli izbę w całkowitym milczeniu i wyszli.

Wciąż klęcząca w miejscu, gdzie spoczywał ranny, Awelina wreszcie wstała, wytarła oczy wierzchem dłoni i skierowała się, nie patrząc na zgromadzonych, ku drabinie prowadzącej na drugie piętro.

– Siostrzyco! – krzyknęła Isambora, puszczając się jej śladem. – Zachowaj nadzieję. Nic nie jest stracone!

Z piersi Aweliny wydobył się suchy szloch. Córka podwasala potrząsnęła głową i zaczęła wspinać się po szczeblach drabiny.

Zbita z tropu, zdruzgotana, jednak ożywiana wewnętrzną nadzieją, Isambora wahała się, czy ma podążyć za kuzynką. Zdecydowała Perryna, która poprosiła dziewczynę, by razem z Almettą uporządkowała salę.

– Dziś wieczór spóźnimy się z kolacją – stwierdziła poczciwa kobieta, zamykając skrzynię na bieliznę.

Gerwazy wzruszył ramionami.

– Są poważniejsze rzeczy niż spóźniona kolacja, moja droga! Pod naszym dachem znieważono dwóch podopiecznych księżniczki Adeli! Możemy się spodziewać najgorszego!

– Na Najświętszą Pannę! Cóż innego mogłeś uczynić? – zapytała Perryna. – Daimbert otrzymał przecież od ciebie wiążącą obietnicę.

– To nie powód, żeby wyciągać kordelas, jak on to zrobił! – odparł niecierpliwie podwasal. – Na płaszcz świętego Marcina, nie dźga się człowieka, który należy do dworu w Blois, jakby się szlachtowało pospolitą zwierzynę!

Isambora nie słyszała już, co mówiono. Nie zwróciła uwagi na stryjenkę, która wyszła, a wkrótce potem wróciła ze służącymi, by nakryć stół...

Gdy uporała się ze swą robotą, siadła przy jednym z otwartych okien i opierając się o nie łokciami, patrzyła na dziedziniec warowni. Ale nic nie widziała. W umyśle bez przerwy odtwarzała wydarzenia dnia...

Co znaczyły słowa Bernolda? Jak będzie mógł wrócić, opuściwszy w taki sposób domostwo podwasala? Do kiedy można na niego czekać?

Zapadał zmierzch, zabarwiając na czerwono wodę w korycie, którą pojono konie. Słychać było dzwonki krów, dzwoneczki owiec wracających do zagrody. Ponad dachami, piszcząc jak rozbrykane dzieci, ścigały się w locie jerzyki.

W czerwcu dni wydają się nieskończenie długie. Noc tak się ociąga z nadejściem, że ci, co na nią czekają, by pogрузić się w jej mroku, jak usychająca z miłości młodziutka dziewczyna, mają przykre wrażenie, że nigdy nie nastanie ciemność, aby uwolnić ich od

lęku.



## IV

Tej nocy w Morville nikt dobrze nie spał. Jednak po wschodzie słońca Gerwazy, zgodnie ze swoim zwyczajem, mył się w drewnianej kadzi umieszczonej w południowym narożniku pod rynną, która zbierała deszczówkę i zasilala również pobliską cysterne.

Czy padało, czy wiało, czy ścisnął mróz, czy też upał ogrzewał wodę, jak teraz, niezależnie od pogody, podwasal, wyskoczywszy z łóżka, mył się w ten sposób na dziedzińcu.

Po tej czynności, by pobudzić krążenie krwi, chłostał się witkami wierzbowymi, a następnie odziewał.

Reszta domowników dokonywała mniej ostentacyjnych, lecz równie starannych ablucji w środku. Było to konieczne: przed pójściem na mszę gospodarz zwykł kontrolować czystość swoich sług. Stojąc w rzędzie na podjeździe przed drzwiami sali, musieli znosić krytyczne spojrzenie podwasala, omiatające ich uszy, szyję, ręce.

– Woda nic nie kosztuje. Brud jest nie do wybaczenia – powtarzał najczęściej Gerwazy swym zwykłym ostrym tonem.

Pomimo trosk, jakie dręczyły go od poprzedniego dnia, jak zwykle zlustrował wygląd swoich ludzi i odesłał parobka, by wymył uszy.

Później wszyscy wyruszyli na nabożeństwo do Świętego Leobina.

Wzniesiony na niewielkim pagórku, na równinie, tuż nad rzeką, i otoczony pradawnym cmentarzem, kościół Świętego Leobina był najstarszy w dolinie. Wierni spieszyli do niego niemal z całej okolicy, przyciągani opinią świętości, jaką cieszył się niegdyś biskup Chartres, który od szóstego wieku otaczał opieką przybytek.

Aby tam dotrzeć z Morville, należało podążyć drogą wiodącą z Fréteval do Morée. Krótka, mniej więcej czterystumetrowa trasa, była przyjemna. Biegła wśród winnic i łąk, a brzegi Loiru nigdy się od niej za bardzo nie oddalały.

Owego czerwcowego ranka przestrzeń wypełniało świeże powietrze, którego nie ogrzały jeszcze pierwsze promienie słońca. Ukośne światło srebrzyło gęstą, pokrytą kropelkami rosy trawę, tu i ówdzie kładło się na krzaki, obsypane kwieciami drzewa, podczas gdy całe połacie zagajników były pogrążone w zielonkawym cieniu.

Ptaki śpiewały jak szalone. Nad ścieżką jak stalowa błyskawica przeleciał zimorodek, duża żmija zygzakowata pełzała w głębokiej koleinie, połyskując szaroczarnymi pierścieniami. Roznoszące się wraz z nadejściem dnia zapachy wody, listowia, żyznej ziemi, kwiatów wnikały do płuc, ożywiały umysły.

Isambora maszerowała obok Aweliny. Poprzedniego wieczoru, gdy weszła na górę, by się położyć, zastała kuzynkę, która nie chciała jeść kolacji, skuloną w pościeli. Z zaciśniętymi ustami, twardym spojrzeniem, przedstawiała obraz złości i rozpacz. Rzecz by można – posąg rezygnacji. Nie od razu dała się nakłonić do zwierzeń.

Gdy wreszcie odzyskała zaufanie, nie mówiła o niczym innym niż o swojej odrazie do Daimberta i nieodwołalnej decyzji, by nigdy nie zostać jego żoną. O Majolu ledwo wspomniała, ubolewając tylko nad jego zranieniem. Co o nim w głębi ducha myślała? Co czuła do mężczyzny, którego tak słabo znała, którego oświadczyły ją mimo wszystko poruszyły? Czy sama to wiedziała?

Isambora zaś nawet nie bąknęła o scenie na łące. Do tej pory kuzynki nigdy nie miały przed sobą sekretów. Opowiadały sobie w nieskończoność o drobnych wydarzeniach ze swej niewinnej egzystencji.

Ale to się zmieniło. Jak można wyrazić słowami coś, co się samemu dopiero niejasno dostrzega? Czy można przyznać się do uczucia tak głębokiego, że ogarnia jednocześnie ciało i duszę, przejmując dreszczem całą istotę i napełnia serce?

We wspólnym szerokim łożu dziewczyny zwierzały się sobie szeptem, nie zdradzając jednak najważniejszych wrażeń. Niezwykłe wydarzenia, w których dopiero co uczestniczyły, zbyt im ciążyły, by mogły o nich swobodnie dyskutować. Brakowało im doświadczenia, więc nie potrafiły jeszcze rozsupłać splotu nadziei, obaw, zuchwałości, pragnień, rozwagi, pokus, które targając nimi, zarazem siały zamęt w ich młodych umysłach.

A jednak z tych połowicznych wynurzeń zrodziło się postanowienie. Podczas codziennej mszy, której wysłuchają jak zwykle u Świętego Leobina, pomodlą się, aby święty otoczył je opieką i służył im za przewodnika w następnych dniach. Za to obiecują mu, że razem odbędą pielgrzymkę do Chartres, gdzie był biskupem i gdzie dokonywał cudów.

Gotowa walczyć z całym światem, jeśli trzeba, aby zachować swobodę wyboru, Awelina poprosi świętego Leobina, by dał jej siłę i by nigdy się nie ugięła. Isambora, która wiedziała tylko jedno – że chce się związać z mężczyzną, którego imię знаła – pomodli się o to, by mógł do niej należeć.

Tak więc zmierzały ramię w ramię do świątyni, przepowiadając w myśli swoje prośby i omiatając brzegiem kaftanów żdźbła wysokich traw, zwilgotniałych i pochylonych pod ciężarem rosy. Przed nimi żwawo kroczyli Gerwazy i Perryna, nie odzywając się słowem. W pewnej odległości za nimi podążała trzecia grupka, utworzona przez obie babki, garbusa i służbę.

Nagle od strony Fréteval usłyszeli tętent końskich kopyt wdzierający się w wiejską ciszę. A że ścieżka wiła się zakosami, nie było widać, kto tak pędzi. Na wszelki wypadek wszyscy uskoczyli na pobocze.

Zza ostatniego zakrętu wyłonił się jeździec na jabłkowitym rumaku, którego spinał ostrogami.

Wysoki wzrost, ogolony kark pod grzywą jasnych włosów, czerwony kaftan, który miał na sobie w przeddzień, krótka pelerynka tej samej barwy, powiewająca na wietrze i spięta klamrą na prawym ramieniu, wyraźnie wskazywały na jego tożsamość.

Isambora zdążyła dostrzec oblicze Bernolda o rysach stwardniałych pod wpływem niezłomnej decyzji. Gdy znalazł się naprzeciw niej, powściągnął konia. Po chwili poczuła, że jeździec ją chwyta, podnosi, przerzuca przez siodło, mocno przytrzymuje ręką, zabiera ze sobą... Mijając podwasala, stojącego jak skamieniały na skraju drogi, porywacz krzyknął:

– Odmówiłeś mi jej... Tedy biorę ją sam!

Wierzchowiec ruszył dzikim pędem, w tumanie kurzu unosząc jeźdźca i jego brankę.

Dławiąc się, z twarzą, którą boleśnie siekły drobne ostre kamyki podrywane z ziemi

przez końskie kopyta, półprzytomna Isambora drżała jak w febrze, zdjęta przerażeniem...

Owiewał ją mocny zapach skóry i zwierzęcego potu. Szlochała, lecz jej serce łomotało z podniecenia, w całym ciele czuła pulsowanie własnej krwi, wystukiwany rytm ucieczki, która na zawsze odrywała ją od spokojnej przeszłości, aby popchnąć ku nieznanemu. Wydawało się jej, że szalony galop uosabia koleje jej losu od czterech dni... Jej życie pędziło teraz, podobnie jak rumak Bernolda, po niepewnych ścieżkach...

Po dłuższej chwili zawrotny pęd osłabł, koń przeszedł w kłusa, w stępa, po czym zatrzymał się.

Isambora otworzyła oczy. Rozpoznała odległą łąkę...

Bernold podniósł dziewczynę, posadził przed sobą, przycisnął do piersi, niezręcznymi ruchami otarł łzy przemieszane z kurzem, który osiadł na jej policzkach.

– Potrzebuję cię, moja panno – rzekł wreszcie, ujmując w dłonie jej wylęknioną twarz. – Och, jak bardzo potrzebuję!

Potem ciasno ją objął. Jak podczas pożaru znalazła się w ramionach Normandczyka. Rozpoznawała zapach jego potu, jego oddechu... Na obliczu, które się nad nią pochylało, Isambora po raz pierwszy zauważyła wąską bliznę biegnącą od wydatnej szczęki aż do lewego ucha.

– Pragnę cię mieć dla siebie, całą dla siebie, ale nie jako zwykłą nałożnicę – mówił Bernold ochryłym głosem. – Zamierzam cię poślubić, uczynić moją przed Bogiem, przed wszystkimi... Czy się na to zgadzasz?

W umyśle dziewczyny panował zamęt: pociąg, jaki czuła, mieszał się ze strachem przed mężczyzną, wpojona rozważą, całkiem nowym pożądaniem, obawą przed uczynieniem zła, wewnętrzną pewnością, że dobro kryje się tu, w jasnych oczach, które wpatrywały się w nią z takim niepokojem...

Odetchnęła głęboko, a w końcu skinęła głową na znak zgody, czując, że robi się czerwona jak piwonia.

Uścisk Bernolda stał się mocniejszy, jego oddech – szybszy. Wygłodniałymi wargami dotykał jej skroni, włosów, szyi, tam gdzie pulsowała krew, wreszcie na ustach, jeszcze niewprawnych, którymi Bernold nie mógł się nasycić...

– Bałem się, że to porwanie cię przestraszy – wyznał, z żalem przerywając pocałunki. – W Normandii to bardzo dawny zwyczaj. Nasze kobiety raczej są z tego dumne... ale wy tutaj, jesteście inni...

– Zwyczaj zakazany przez Kościół – westchnęła Isambora. – Uważa się, że to ciężki grzech.

Tuż przy jej uchu zagrzemiał donośny śmiech, który zaczynała już rozpoznawać.

– To zabronione, gdy dziewczyna jest przeciwna, porwana wbrew woli – wesoło odparł Bernold. – Ale, moja najdroższa, najpiękniejsza, ty wyrażasz zgodę, prawda? Godzisz się! Godzisz!

Miał taką uszczęśliwioną minę...

– Co do grzechu – dodał – wszystko zależy od intencji. Moje są czyste, bo przecież chcę, aby nasz związek został pobłogosławiony!

– Mój stryj... – bąknęła Isambora.

– Twojego stryja postawimy przed faktem dokonany i nie będzie miał nic do

gadania. Powinien był przyjąć moje oświadczenia... Zapomnijmy o nim, najdroższa, zapomnijmy... Dziś wieczór zostaniesz moją żoną, a ja będę twoim mężem!

Ciepłe, miękkie, lecz również zuchwałe i zmysłowe usta coraz bardziej się ośmielały, przesuwając po delikatnych żyłkach na szyi, schodziły ku piersiom drżącym pod płótnem... Dziewczynaomal nie zemdlała.

– Na miłość boską, Bernoldzie, oszczędź mnie – szepnęła.

Normandczyk wyprostował się, na chwilę zamknął oczy, próbując opanować przyspieszony oddech.

Nigdy dotąd Isambora nie miała okazji widzieć rysów mężczyzny zmienionych pożądaniem. To odkrycie przeraziło ją, a zarazem wzburzyło.

– Dokąd teraz pojedziemy? – zapytała, aby przerwać zakłęty krąg pokus.

– Do Blois. Wczoraj wieczorem, opuściwszy Morville, wszystko przygotowałem. Muszę ci powiedzieć, ukochana, że od czasu naszego spotkania nad rzeką myślę tylko o chwili, gdy cię posiadę...

– Jeśli chcesz być moim lubym, Bernoldzie, proszę, okaż odrobinę cierpliwości...

– Bóg mnie nie opuści... Masz słuszość. Nie musimy już długo czekać... Uprzedziłem księdza, a księżniczka Adela zgodziła się posłużyć nam za świadka. Majol, który, choć ranny, pojawi się na naszym ślubie i baron z Meslay, również zjednany dla naszej sprawy, będą naszymi drużbami.

– Ale... co z Aweliną, moim bratem Rolandem, stryjenką? Chciałabym, aby oni też byli przy mnie... Wydaje mi się, że śnię – wyszeptwała Isambora, przeciągając po twarzy drżącymi rękami, jakby chciała z niej zdjąć pajęczynę.

– To na pewno sen, który jednak się ziści, który razem będziemy przeżywać, najdroższa, moje serduszko, mój promyczku nadziei, ty, która jesteś wszystkim, czego pragnę! Będzie trwał do kresu naszych dni, wierz mi! A twoja rodzina w końcu przystanie na małżeństwo, które przecież wcale cię nie hańbi!

– Nie martwię się o to, co może się stać później, najmilszy, ale o to, że teraz nie będzie przy mnie najdroższych mi istot...

– Gdy tylko się pobierzemy, wszystkich powiadomimy. Podobnie jak ty pragnę tę waśń jak najprędzej załagodzić. Jeszcze tego nie wiesz, ale ja nie mam na świecie nikogo. Moi bliscy zostali zamordowani, gdy plądrowano nasze miasto podczas wojny z Bretanią... Zginęli wszyscy... Dom zrównano z ziemią, włości poszatkowano, rozdzielono między zwycięzców... Tylko ja, dzięki młodemu wiekowi, zdołałem zbiec i schronić się na dworze księcia Wilhelma, którego mój ojciec był wiernym druhem... Ale nie mówmy o przeszłości. Chcę myśleć jedynie o naszej przyszłości.

Z tego mężczyzny emanowała taka siła, pewność siebie, że Isambora się poddała.

– Daję ci wiarę i powierzam swoje życie – powiedziała cichutko. – Zdaję się na ciebie we wszystkim.

Pocałunek, który potem nastąpił, był jednocześnie darem i ofiarą.

– Teraz – rzekł Bernold – musimy ruszać. Bądź moją przewodniczką, przecież jesteś zrodzona w tej dolinie. Jak dostać się stąd do Blois?

– Trzeba przekroczyć Loir najbliższym brodem, dokąd cię zaprowadzę. Następnie dotrzemy do lasu Silva Longa na równinie. Potem Doliną Jeleni dojedziemy do drogi,

która wiedzie do Oucques. Gdy już tam będziemy, z łatwością odnajdziemy Hrabowski Gościniec, który prowadzi z Chartres do Bourges, przecinając Blois.

– Niech Bóg nas wspiera i chroni od złych przygód – rzekł Bernold i się przeżegnał.

– Teraz, moja piękna, chwyć mnie i trzymaj najmocniej, jak potrafisz. Mój koń jest chyży, a ja nie zamierzam go powściągać.

– A zatem pozwól mu biec swoim rytmem, mój drogi, a w razie potrzeby popędź go! Im prędzej będziemy na miejscu, tym lepiej dla nas...

Isambora czuła się już całkiem bezpiecznie w ramionach swego porywacza. Pragnęła jedynie napawać się radością, która wsączała się w jej serce. Ten mężczyzna, ten urodziwy mężczyzna, którego potajemnie wybrała, do którego będzie należała, o czym nie wątpiła od poprzedniego wieczoru, a więc on ją dostrzegł, porwał, zamierzał poślubić! W największej głębi jej serca wzrastało cudowne uniesienie, które trzeba było oswoić niczym bajeczną postać, niczym legendarnego jednorożca... Bernold i ona wzajemnie siebie wybrali, byli gotowi związać się na całe życie. Reszta nie miała znaczenia...

Isambora uśmiechnęła się, przywierając policzkiem do czerwonego kaftana. Kołysał ją koński trucht. Oparty o jej czoło podbródek Normandczyka, chociaż starannie ogolony, trochę ją kłuł. Ich ciała się dotykały... Przeleciało jej przez myśl, że niewątpliwie przeżywa najpiękniejszy dzień swojej egzystencji, ale obietnice, jakie niosła ze sobą noc, tak ją poruszały, że przeczuwała szczęście jeszcze innego rodzaju...

Ale co ze stryjem i stryjenką? Podwasal niechybnie wpadł w furję... No, trudno. Uspokoi się. Gdy się dowie, że dziedziczka rodu Blois we własnej osobie usankcjonuje ich małżeństwo, z pewnością będzie pękać z dumy.

Oczywiście, lepiej byłoby uroczyście zawrzeć związek, jak wymaga tradycja, w gronie krewnych... Perryna, wzruszona i zaaferowana, wyszykowałaby jej kaftan z cienkiego purpurowego płótna, haftowany złotymi nićmi, otoczyłyby ją przyjaciółki z dzieciństwa, uściskałyby ją Awelina, zapewniając o swoim uczuciu.

Nic takiego się nie wydarzy. Lecz miała Bernolda, a wieczorem znajdzie się w jego łóżku...

Isambora odrzuciła głowę do tyłu.

– Gdzie zamieszkamy, najdroższy? – zapytała.

Normandczyk, który sądził, że ona drzemie, skorzystał z tego pytania, by pocałować ją zachłannie...

– Przez jakiś czas będziemy mieszkać w Blois, gdzie mam skromny domek na spółkę z Majolem – dodał po chwili. – Ale bardzo szybko urządzimy się gdzieś blisko stąd. Chciałbym wykonywać swój zawód blisko nowego klasztoru, który właśnie zamierzają założyć w tej dolinie mnisi z Marmoutier. Mają szeroko zakrojone plany i jeśli Bóg da, włączę się w to dzieło, ponieważ będą potrzebować licznych witraży.

– A więc będę żoną mistrza szklarskiego – wyszeptła rozmarzona Isambora.

– Przekonasz się, moja śliczna, to błogosławione rzemiosło, którego najważniejszym surowcem jest światłość nieba!

Przemierzali łąki na skraju lasu, gdzie krowy, owce i kozy pasły się w cieniu gałęzi, tymczasem świny ryły w ściółce, jak zwykle poszukując żołądzi. Pasterze po drodze

wesoło pozdrawiali jeźdźców i szybko wracali do swych zajęć.

Za Oucques otworzył się przed nimi Hrabowski Gościniec prowadzący przez płaskowyż do Blois.

Podążało nim tam i z powrotem sporo ludzi. Koń mógł posuwać się jedynie stępą. Kupcy, wyposażeni w wózki zaprzężone w muły albo osły, tworzyli zwarte, zorganizowane i uzbrojone grupki, zapewniające podróżnemu, który chciał do nich dołączyć, nieco większe bezpieczeństwo niż wędrowni mnisi, klerkowie, żebracy czy pielgrzymi, którzy maszerowali, podśpiewując i troszcząc się jedynie o to, by dotrzeć do celu.

Dlatego Bernold jechał za konwojem sukienników, którzy, wyruszywszy z Chartres, udawali się do Blois, aby tam sprzedawać bele i sztuki pięknego sukna z Châlons.

Zamienili kilka słów z owymi „maruderami”, często oskarżanymi, że szukają tylko własnych korzyści i o których stryj Isambory wypowiadał się zawsze z pogardą.

Słońce grzało coraz mocniej.

Im bliżej Blois, tym częściej łąny zboża, żyta, jęczmienia czy owsa przeplatały się z uprawami kapusty, grochu, soczewicy lub fasoli. Każdy kawałek ziemi, podzielony na trzy części, obejmował część obsianą zbożem, drugą obsadzoną warzywami, a ostatnią leżącą odłogiem, aby gleba mogła się zregenerować.

– Spójrz, najdroższa, dojeżdżamy!

Wzniesiona na skalnym występie, górującym od południa nad doliną Loary, a od północy nad płaskowyżem Beauce, rysowała się z daleka na tle nieba twierdza Blois. Dzwonnice Świętego Solemnusza i opactwa Świętego Laudomara były również widoczne ponad dachami miasta.

– Nasze mieszkanko znajduje się niedaleko rzeki, w Środkowym Grodzie – rzekł Bernold. – Jest nieduże, ale zmieścił się w nim cały sprzęt, którego Majol i ja potrzebujemy do pracy. To najważniejsze.

– Trochę znam Blois – odparła Isambora. – Przyjeżdżałam tu trzy razy ze stryjem, gdy hrabia Tybald sprawował sądy. To piękne miasto!

– Będzie jeszcze piękniejsze, gdy nasza księżniczka wprowadzi w nim udogodnienia, jakie planuje – zapewnił Bernold z dumą. – Tutejsi ludzie nie mają pojęcia o tym, co my, Normandczycy, potrafimy zbudować!

Wyczuwając, że przywiązuje wielką wagę do zasług swoich rodaków, Isambora pomyślała, że związanie się na całe życie z cudzoziemcem nie będzie wcale łatwe. Zawsze musi o tym pamiętać, jeśli nie chce zranić urodzonego na innej ziemi mężczyzny, którego uczucia stały się dla niej w tak krótkim czasie cenniejsze niż wszystkie inne.

– Po weselu pójdziemy na pielgrzymkę do Mont-Saint-Michel – powiedziała. – Przy tej okazji pokażesz mi swoje księstwo i zapoznasz z jego mieszkańcami!

Znów zaperlił się pokrzepiający śmiech.

– Wystarczy mieć normandzkiego małżonka, moja śliczna, aby poznać wady i zalety moich ziomeków! – zawołał Bernold, gdy podjeżdżali do bram miejskich. – Ale jeśli ci na tym zależy, będziemy mogli później udać się na pielgrzymkę do opactwa.

Przekroczywszy szeroką fosę zwieńczoną trzema wysokimi palisadami, które

otaczały miasto, odizolowane od strony rzeki na skalnym występie, Bernold i Isambora wjechali do Blois bramą Chartraine.

Natychmiast zaczął się ożywiony ruch.

Korzystnie usytuowane u zbiegu Loary z rzeczką zwaną Arrou, co sprzyjało wymianie handlowej, dobrze bronione przez naturalną skarpe, miasto hrabiów Blois i Chartres, które składało się z trzech grodów, niegdyś od siebie oddzielonych, było w pełnym rozkwicie.

Podczas ich pierwszego pobytu w stolicy hrabstwa Gerwazy szczegółowo wyjaśniał córce i bratanicy, jak ludzie wykonujący różne zawody, najpierw na zamku i w pobliskim opactwie, stopniowo przenieśli swoją działalność poza zamkowe mury. Niektórzy rzemieślnicy zaczęli od pracy dla jaśnie pana hrabiego albo dla opactwa, a następnie imali się innych zajęć.

– Osiedliło się tutaj wielu cudzoziemców zwabionych urokami naszej krainy, a w ciągu dwóch pokoleń narodziło się dużo dzieci, toteż bardzo wzrosła liczba potencjalnych klientów – dodawał podwasal. – Coraz liczniejsza ludność potrzebowała nowych dostawców. Dzisiaj w Blois, podobnie jak w Chartres i w Tours, znajdujemy wszelkiego rodzaju kupców. Mamy garbarzy, foluszników, szewców, rymarzy, nie mówiąc o kowalach, rusznikarzach czy nawet złotnikach! Aby tym ludziom zapewnić własny kąt, należało zacząć budować. Zatrudniono murarzy, dekarzy, ślusarzy, stolarzy. Wreszcie trzeba było wyżywić całą tę rzeszę. Tutaj przydali się rzeźnicy, piekarze, sprzedawcy ryb, szynkarze. Nasz hrabia ściągnął nawet mincerzy<sup>[8]</sup>, bije bowiem własny pieniądź jak każdy szanujący się senior!

Isamborze brzmiał jeszcze w uszach chełpliwy ton, jakim stryj wyliczał różne cechy rzemieślnicze; można by pomyśleć, że spływała na niego zamożność grodu...

– Obecność naszych Normandczyków jest źródłem bogactwa dla tego miasta – zapewniał ze swej strony Bernold. – Dzięki nim rozwija się ono z rozmachem!

Pomimo nieustannych zachwyty podwasala i nowego towarzysza Isambora czuła się zbyt blisko związana z przyrodą, by upodobać sobie miasto. Hałaśliwe i cuchnące ulice, ogrody zazdrośnie ukryte za fasadami domów, zatory, dziwni osobnicy, których się tam spotykało – wszystko to budziło jej nieufność. Gubiła się tam i czuła nieswojo.

– Wolę Morville – stwierdziła z upartą miną.

Bernold uśmiechnął się i musnął ją wargami.

– Zmienisz zdanie, najdroższa – oznajmił z pewnością siebie. – To tutaj rozpoczniemy wspólne życie. Będzie tak cudowne, że wkrótce spojrzysz na Blois innym okiem. Na razie zaprowadzę cię do pewnej damy, której mąż, mincerz hrabiego Tybalda, jest przez niego bardzo ceniony. Będzie ona twoim drugim świadkiem i ze względu na przyjaźń, jaka łączy mnie z jej mężem, zgodziła się gościć cię pod swym dachem, dopóki nie odbędzie się ceremonia ślubna.

– Zostawisz mnie tam?

– Na wszystkich świętych! Najmilsza, niczego się nie obawiaj. Będziesz w doskonałym towarzystwie. Zajmą się tobą, ja tymczasem poczynię ostatnie przygotowania do naszego wesela.

Koń powoli torował sobie drogę wśród przechodniów, jeźdźców, wędrownych

handlarzy, stad, które prowadzono do rzeźni, wieprzy węszących za odpadkami, zaprzęgów z ładunkiem beczek lub siana, wozów czy wózków przewożących materiały budowlane... Dziewczyna zauważała, że od czasu jej poprzedniego pobytu w Blois namnożyło się placów budowy. Bernold powiedział prawdę. Wznoszono wiele domów z drewna, gliny zmieszanej z sieczką, a nawet z kamienia, nie mówiąc o kaplicach i kościołach...

– Dama, która cię przyjmie w gościnę – ciągnął Bernold – mieszka w pobliżu szpitala. Biedni chorzy to z pewnością niezbyt wesołe sąsiedztwo, ale nie zostaniesz u niej długo.

– Jak osoba, której mąż jest dworzaninem hrabiego, mogła zamieszkać w takim miejscu? – zdziwiła się Isambora.

– Wybijając monety, ten człowiek wykonuje zawód, który wystawia na szwank duszę. A więc jego zacna żona poświęca całe dwa dni w tygodniu, usługując w szpitalu, aby miłosierdziem zrównoważyć niebezpieczną działalność swego pana i władcy!

Właśnie dotarli do bogato wyglądającego domostwa, zbudowanego z kamienia. Bernold zastukał kołatką w szerokie skrzydło nabijanej ćwiekami bramy, która otworzyła się niebawem. Koń wkroczył na dość wąski i słabo oświetlony dziedziniec.

Służący złapał cugle, które rzucił mu Normandczyk. Ten zeskoczył na ziemię, po czym chwycił w ramiona Isamborę, by pomóc jej zsiąść. Przycisnął ją tak mocno, że niemal straciła oddech. Pani domu, która nadeszła, aby przyjąć gości, ujrzała roześmianą, obejmującą się parę.

– Na Najświętszą Dziewicę! Jaka wdzięczna panna! – rzekła dama z uśmiechem. – Teraz lepiej rozumiem, panie Bernoldzie, twoją szaloną przygodę i dlaczego tak ci spieszo do ślubu!

Isambora pokraśniała.

– Nazywam się Albrea – powiedziała małżonka mincerza. – Mam nadzieję, że rychło się zaprzyjaźnimy i będziemy mogły używać naszych chrzestnych imion.

Miała około trzydziestki, lecz już siwe włosy. Zupełnie siwe. Podkreślały one świeżość jej cery, młodość, a zarazem nadawały jej fizjonomii wyraz powagi. Złote cętki tańczyły w zielonych oczach, w których kącikach z biegiem lat lub pod wpływem trosk utworzyły się drobne zmarszczki.

Od razu, z zapalem właściwym jej wiekowi i niezawodnym instynktem, Isambora zorientowała się, że będzie mogła liczyć na tę kobietę, obdarzyć ją przyjaźnią.

– Mam piętnastoletnią córkę podobną do ciebie – podjęła Albrea, wzdychając. – Ale jest chora i nie mogła wyjść ci na spotkanie. Później do niej zajrzemy.

Sala, do której weszli, była wyłożona licznymi tapiseriami. Na dębowych woskowanych meblach łagodnie połyskiwała srebrna zastawa. Obsypana werbeną posadzka była pokryta artystycznie plecionymi słomianymi matami. Rozrzucono na nich skórzane poduszki.

Isambora przyglądała się wszystkiemu z ciekawością. Myślała, że miejskie siedziby są o wiele bardziej wykwintne niż wiejskie domostwa, jakie znała, i że nawet sam baron nie mógł się pochwalić takim wyposażeniem. Wolała jednak Morville i jego przaśność od całego tego luksusu. Z dala od Loiru, swojej doliny, miała wrażenie



ciasnoty.

– Okazałaś nam uprzejmość, jaśnie pani, godząc się przyjąć pod swój dach moją przyszlą małżonkę – rzekł Bernold – toteż zostawię ją na jakiś czas pod twoją opieką. Muszę jeszcze załatwić parę spraw.

– Zostawiasz mnie? – zawołała dziewczyna.

Odpowiedział jej podwójny wybuch śmiechu.

– Na bardzo krótko, ukochana – zapewnił Normandczyk. – Zaręczam ci, że potem już nic nie zdoła nas rozdzielić!

– Skorzystamy z tej krótkiej nieobecności – podjęła Albrea – by cię odziać i wystroić, jak przystoi narzeczonej członka świty księżęcej. Wierz mi, moja panno, nawet nie zauważysz, że mijają godziny.

Miała słusność.

W komnacie, do której zaprowadziła swego gościa po wyjściu Bernolda, na łożu z heblowanego drewna, inkrustowanego kością słoniową i zasłanego poduszkami, były porozkładane drogocenne szaty.

Z pomocą służącej o miłym wyglądzie Albrea ściągnęła z Isambory koszulę i prosty kaftan. Przemyte najpierw wodą o zapachu rozmarynu, szczupłe, obnażone ciało zostało następnie posmarowane zawartością okrągłego pudzderka na ambkę z dutowanego srebra. Natartą wonnościami dziewczynę gospodyni ubrała w jedwabną plisowaną koszulę o obcisłych rękawach.

Kołnier, mankiety, obręb u dołu były ozdobione różnokolorowym haftem w kształcie girland, które nadzwyczaj szykownie uwypuklały się na śnieżnobiałej tkaninie. Potem służąca przez okrągłe wycięcie naciągnęła na Isamborę szkarłatny kaftan z cendalu<sup>[9]</sup> ozdobiony kwiatami i szlaczkami. Marszczony na piersi, obszyty lamówką przetykaną złotem, był przewiązany sznurem ze złocistego jedwabiu, którego końcówki z frędzlami opadały na skórzane czerwone trzewiki o szpiczastych noskach i wysokich obcasach, przygotowane też przez Albreę dla panny młodej.

– Pierwszy raz w życiu będę chodzić na takich wysokich obcasach! – wykrzyknęła Isambora zachwycona.

Musiała przyznać, że zamiast płonąć ze wstydu wywołanego porwaniem, którego ofiarą padła z własnej woli, doznawała jedynie przyjemności i zachwytu. Nigdy by sobie przedtem nie wyobraziła, że tak karygodny czyn napęli ją niewysłowioną radością.

– Gdybym wychodziła za mąż u stryjenki, miałabym na sobie ubranie z cienkiego płótna, ale nie z jedwabiu – podjęła z rozanieloną miną, tylko odrobinę zmieszana.

Nie bez melancholii Albrea spoglądała na swoją podopieczną.

– Te stroje, z materiałów zakupionych w Bizancjum, zostały uszyte na ślub mojej córki w zeszłym roku – rzekła ze smutkiem. – Ona jest mniej więcej twojego wzrostu...

Isambora posłała jej pytające spojrzenie.

– W przeddzień wesela, po mocno zakrapianym wieczorze, jej narzeczoney razem ze swymi przyjaciółmi poszedł o brzasku wykąpać się w Loarze. Byli pijani, jeszcze się całkiem nie rozwidniło... Nie wiadomo, co się stało, ale chyba go zniosło na ławicę piasku... Ugrzązł w nim na amen. Jego ciała nigdy nie odnaleziono. Kamraci na próżno go szukali. Helwiza, moja córka, dotąd jest niepokieszona...

Westchnęła.

– Powinnaś wiedzieć, że to nie była pierwsza ciężka próba, przez jaką przeszła nasza rodzina.

Zrobiła kilka kroków, jakby chciała uciec przed wspomnieniem zgryzoty, i zatrzymała się przy kufrze. Stało na nim lustro z polerowanej cyny, w którym ujrzała swoje oblicze.

– Na pewno się zdziwiłaś, że pomimo młodego wieku mam siwe włosy – podjęła po chwili. – Osiwiałam w jedną noc. Ostatnią noc feralnego tygodnia, w którym kolejno straciliśmy naszych trzech synków... trzech ślicznych chłopaczków w wieku od czterech do dziesięciu lat. Zmarli na straszliwą chorobę, której lekarze nie potrafili zaradzić. Trawiła ich wysoka gorączka. Duże białe bąble, które bez przerwy tworzyły im się w gardle, choć się je przebijało, utrudniały oddychanie... Krzyczeli, dławili się, aż w końcu udusili się, w okropnych męczarniach... Została nam tylko córka, która tamtej zimy przebywała w Tours, u jednej ze swoich babek...

W spontanicznym odruchu Isambora podeszła do gospodyni, chwyciła ją za rękę zwisającą wśród fałd fioletowego kaftana i ucałowała.

– Za to, co dzisiaj uczyniłaś dla mnie, pani – rzekła wstrząśnięta – tak bardzo pragnęłabym przynieść ci wraz z moją przyjaźnią trochę spokoju i pociechy. Jak mogę ci pomóc?

– Pozostając szczerą dziewczyną, jaką teraz jesteś – odparła Albrea, prostując się. – Wszystkie nasze radości i zmartwienia przyczyniają się, tylko nie wiemy, w jakiej mierze, do urzeczywistnienia dalekosiężnego planu, jaki Bóg ma wobec nas. Nie możemy go zrozumieć, nasze umysły są zbyt ograniczone, by pomieścić tak ogromną wiedzę, lecz nasze losy przez stulecia splatają się w gobelin przedstawiający akt stworzenia. Potrzeba wełny w różnych kolorach: zielonym, czerwonym, białym, lecz także szarym i czarnym, aby uzyskać jakiś efekt. Dzieło ujrzymy w całej okazałości i złożoności dopiero wtedy, gdy zostanie ukończone... Ale do tego jeszcze daleko! – podsumowała z na poły smętnym, na poły drwiącym uśmiechem, jakby chcąc zbagatelizować powagę swoich słów. – No, już dobrze – kontynuowała, biorąc do ręki szczotkę z trzonkiem z kości słoniowej, właśnie wyjętą przez służkę z rzeźbionej drewnianej szkatułki. – Nie traćmy czasu na zwierzenia. Musimy cię jeszcze uczesać.

Rozpuszczone włosy Isambory sięgały do kolan. Gęste, ciemne, lecz o miedzianym połysku, tworzyły pofalowany, jedwabisty płaszcz, który opatulał jej drobne ciało.

– Mężczyźni lubią takie bujne włosy – stwierdziła Albrea. – Twoje są przepiękne. Futro niektórych kun z dalekiej północy, jakie nosi księżniczka Adela, ma prawie ten sam odcień.

– Nie wiem, czy spodobają się Bernoldowi, którego upodobania jeszcze tak mało znam – powiedziała Isambora, znów się rumieniąc. – Wydają mi się bardzo ciężkie! Niekiedy od dźwigania warkoczy okropnie boli mnie głowa!

Wyszczotkowane, wygładzone, wypomadowane pasma dzielił teraz przedziałek pośrodku głowy. Służka zaczęła je zaplatać, dołączając różnobarwne wstążki przetykane złotymi nićmi. Potem zawiązała miękkie kokardy, których końcówki sięgały Isamborze do kostek.

– Aby uczcić tak piękny dzień, pozwól, że podaruję ci tę opaskę wyszywaną złotem i perłami – dodała Albrea, wyjmując prezent z niszy wyżłobionej w ścianie u wezglowia łóżka i zakrytej krótką zasłoną. – Przytrzymaj welon. Zachowasz ją dla siebie, na dowód uczucia, którym już cię darzę.

Isambora rzuciła się w ramiona gospodyni.

– Chciałabym poznać twoją córkę, pani – szepnęła.

– Chodź ze mną – odparła zwyczajnie Albrea.

Uniosła kotarę, która oddzielała izbę od domowej kapliczki o nagich ścianach. Bukszpanowy krucyfiks, u którego stóp leżała słomiana mata, i figurka Matki Boskiej z malowanego drewna na konsoli stanowiły jedyne jej wyposażenie.

Za kapliczką znajdował się drugi pokój, którego okno wychodziło na dziedziniec. Oparta o stos poduszek u wezglowia łoża, cicho coś nuciła młoda dziewczyna, bezwiednie głaszcząc drewnianą lalkę z ruchomymi kończynami. Obok niej wydziobywały ziarno dwie oswojone wrony.

Bidula była chudziutka, bladziutka, aż dziw brał, że jeszcze żyje. Ocieniona wyblakłymi jasnoblond włosami, przypominającymi promienie zimowego słońca i spływającymi kaskadą na kościste ręce, twarzyczka o podkrążonych oczach była pozbawiona wyrazu.

– Helwizo, moje dziecko, to Isambora, która przyszła do ciebie z wizytą – powiedziała Albrea. – Jesteście w tym samym wieku.

Nic nie wskazywało na to, że usłyszała. Chora wciąż głaskała leżącą na jej kolanach zabawkę, jakby znajdowała się w komnacie sama.

– Już prawie od roku tak się zachowuje – wyszemrała drżącym głosem udręczona matka. – Można by pomyśleć, że jej dusza ugrzęzła w ruchomych piaskach, w których pograżyło się ciało jej narzeczonego.

Isambora podeszła do Helwizy.

– Tak bardzo chciałabym zostać twoją przyjaciółką – rzekła, usiłując mówić naturalnym tonem.

Zagubione w niesfornych kosmykach jasne spojrzenie powędrowało od sztywnych trzewików do głowy przepasanej ślubną opaską.

Lecz nie odwiedzająca nagle przykuła wzrok biednej Helwizy, w którym malowało się coś na kształt tęsknoty, tylko zdobiące ją szaty. Niemrawo wyciągnęła wskazujący palec ku szkarłatnej tkaninie, musnęła ją, potem cofnęła rękę i zaczęła się jej przypatrywać ze zgorzkniałą miną. Chociaż sobie tego nawet nie uświadamiała, po jej policzkach, których kości prześwitywały przez skórę, powoli, lecz niepowstrzymanie płynęły łzy.

– Rozpoznała swój ślubny strój! – jęknęła z przerażeniem Isambora.

– Miałam taką nadzieję – wyznała Albrea.

Uklękła przy córce, objęła ją, ukołysała jak małe dziecko.

Isambora nie śmiała się poruszyć.

Upłynęła dłuższa chwila. Helwiza przyglądała się matce ze zdziwieniem śpiącego, którego nagle wyrwano ze snu. Wciąż płakała, ale teraz wiedziała dlaczego. Jej wzrok się zmienił. Wraz ze zmartwieniem odzyskała świadomość.

Odgarnawszy rozwichrzoną czuprynę, która zasłaniała ją niczym welon, Albreca pocałowała córkę w czoło.

– Wracasz do siebie, kruszyno – powiedziała do niej czule. – Wracasz także do nas. Twoja pamięć nie umarła, tylko się zaćmiła. Niech cię Bóg ocali! Jeśli zechce, twój duch nabierze wigoru!

Potem podniosła się.

– Zaraz wrócę – dodała. – Poczekaj chwilę.

Wzięła Isamborę za rękę, wyciągnęła z pokoju.

– Chodź – szepnęła. – Nie możesz tu dłużej zostać. Wkrótce Bernold po ciebie przyjdzie. Pozwólmy Helwizie odzyskać zmysły i prosimy Boga, aby do końca rozjaśnił jej umysł... Widzisz, od śmierci ukochanego nigdy nie uroniła jednej łzy. Nie umiała płakać. Tak jakby jej serce zlodowaciało. Teraz ten okropny lód stopniał. Pokazując jej ciebie w takim ubraniu, spodziewałam się czegoś... niemożliwego! Twoje pojawienie się wytrąciło ją z letargu.

– Ale ona cierpi!

– Wolę już, żeby znosiła cierpienia, które są źródłem łask, niż oglądać ją dzień w dzień jako roślinę pozbawioną słońca!

Obie kobiety na chwilę przystały w kapliczce, aby pomodlić się żarliwie, po czym wróciły do komnaty, gdzie poprzednio Isambora się przebrała.

– Pytałaś, jak mi podziękować za tę drobną przysługę, jaką ci oddałam, przyjmując do siebie? – podjęła Albreca. – Łzy mojej córki są bezcennym darem. Wyzwoliłaś ją z mrocznej otchłani, w której się pogrzyżała. Niech Bóg cię błogosławi!

Na dziedzińcu, a potem w sąsiedniej sali rozległ się tupot czyichś przyspieszonych kroków.

Do pokoju jak huragan wpadł Bernold.

– Twój stryj chce mnie doprowadzić do zguby! – wykrzyknął. – Nie uda mu się to. Na Boga! Nie uda mu się to!

Trząśnięty z wściekłości.

– Matko Boska! Co się dzieje?

– Twój stryj w asyście jednego ze swoich kamratów, który jest chyba młynarzem, przed chwilą przyszedł do hrabiego. Domagają się pomsty i zadośćuczynienia. Twierdzą, że porwałem cię wbrew twojej woli! Że zostaniesz moją żoną pod przymusem! Że związek zawarty w wyniku uprowadzenia w żadnym wypadku nie może mieć mocy prawnej!

– Trzeba było im powiedzieć, że wyraziłam zgodę!

– Na wszystkich świętych! Wciąż im to powtarzałem! Nie wierzą mi!

– Doskonale. Sama ich o tym powiadomię!

Cała drżąca, odmieniona oburzeniem i koniecznością działania, Isambora nagle uświadomiła sobie, że rośnie w niej jakaś nowa siła. Narzuciwszy na ramiona lekki płaszcz z cendalu przyszykowany przez Albreę wraz z resztą odzienia, ujęła Bernolda za rękę.

– Chodźmy do stryja i do hrabiego, mój miły – rzekła. – Pospieszmy się. Chodźmy do nich, żeby im powiedzieć prawdę.

Tybald III, hrabia Blois i Chartres, zajmował pałac wewnątrz wałów obronnych,

otoczony murawą, tuż obok donżonu. Wokół były rozproszone – albo na górnym, albo na dolnym dziedzińcu – kaplica, mieszkania dla rycerzy, klerków, służby i obszerne zabudowania gospodarskie.

Bernolda i Isamborę wprowadzono do sali paradnej, gdzie hrabia sprawował sądy.

Kominek, w którym można było palić całe kłody drewna, cztery wysokie okna ze zwieńczeniem łukowym, a pod nimi kamienne ławeczki wymoszczone poduszkami; ściany częściowo pokryte freskami, częściowo tkaninami przedstawiającymi sceny historyczne; posadzka usłana skórami dzikich zwierząt – sprawiały majestatyczne wrażenie.

Ta piękna sala była przede wszystkim umeblowana wielkimi rzeźbionymi skrzyniami, długimi ławami z oparciami, komodami z ciemnej dębiny, niskimi stolikami. Kredens pełen cennych wyrobów złotniczych i szczerozłotych naczyń lśnił niczym relikwiarz.

Siedząc na krześle, którego skrzyżowane oparcie zdobiły lwie główki z emaliowanej miedzi, Tybald, sam mający coś z lwa w majestatycznych rysach i siwej grzywie, był otoczony seniorami, rycerzami, księżmi i klerkami. Tuż koło niego stał baron z Fréteval.

Posiedzenie sądu dobiegało końca. Ostatni podsądny pozdrawiał swego seniora. Nieco z boku Gerwazy Podwasal naradzał się z Benedyktem Wielojadem.

Bernold udał, że ich nie zauważa, i poprowadził Isamborę do hrabiego.

– Jaśnie panie hrabio – rzekł, zginając kolano. – Oto panna, którą podobno porwałem przemocą. Koniecznie chciała przyjść sama, aby odeprzeć te fałszywe oskarżenia i zapewnić cię, dostojny panie, że godzi się bez zastrzeżeń na nasze zaślubiny.

– Na mego świętego patrona! Niech mówi – powiedział hrabia. – Jeśli ona cię usprawiedliwi, osobiście wezmę udział w waszym weselu!

Isambora złożyła głęboki ukłon, wyprostowała się i wydobywając z siebie tę całkiem nową siłę, która w niej narastała, przemówiła pewnym głosem.

– Pragnę powiadomić, dostojny panie, ciebie i wszystkich tu obecnych, że godzę się ze szczerego serca, w pełni świadomie, na nasz związek, którego pragnę i który będzie spełnieniem moich marzeń – oznajmiła, dumnie unosząc głowę ozdobioną ślubną opaską.

– Jaśnie panie hrabio, nie wierz jej! Ona kłamie! Na świętego Marcina, kłamie! – wrzasnął podwasal, który szybko podszedł do bratanicy. – Musi poślubić syna mojego kuma, Benedykta Wielojada, który niedawno miał okazję potwierdzić moje słowa w obecności twojej, panie, a także naszego barona! Nie dalej jak wczoraj ten zacny człowiek poprosił mnie o jej rękę. Na mą duszę, przyjąłem jego oświadczyny!

– Ręczę za to – przytaknął Foucher z Fréteval. – Mój winogrodnik jasno wyłożył mi swoją historię, którą potwierdził młynarz.

– Zapomnieli ci powiedzieć, jaśnie panie baronie, że ja się nigdy nie zgodziłam na taki plan – zaprotestowała Isambora, zdobywając się na odwagę, aby mogła zatriumfować jej miłość.

Obróciła się ku Gerwazemu.

– Bóg mi świadkiem, a także Święta Dziewica, że nie chciałabym, stryju, uchodzić w twoich oczach za niewdzięczną lub nieobyczajną bratanicę. Pragnę ci serdecznie

podziękować, tobie i stryjence, za staranie, z jakim wychowywaliście i utrzymywaliście sieroty, jakimi byliśmy mój brat i ja. Nigdy o tym nie zapomnę! Zawsze będę ci wdzięczna, powinieneś to wiedzieć. Ale wdzięczność za dobrodziejstwa to jedno. A wydawać mnie za męża, nie pytając o zdanie, to drugie!

Zwiesiwszy głowę, podwasal przygryzał wargi ze zdenerwowania.

– Zachowujesz się jak obłąkana! – rzucił urażony. – Ten Normandczyk zawrócił ci w głowie! Nie poznaję dziewczki, którą wychowywałem!

– W każdym razie nigdy bym się nie zgodziła wyjść za Gildasa – ciągnęła Isambora, która broniła się tym gwałtowniej, że po raz pierwszy poczuła się do tego zdolna, a to odkrycie ją upajało. – Nigdy bym na to nie przystała! Przenigdy! Nawet zanim poznałam Bernolda! Tym bardziej teraz, gdy wiem, do kogo wrywa się moje serce! – zakończyła, posyłając temu, kogo miała na myśli, gorejące spojrzenie.

Hrabia Tybald obserwował tę stanowczą dziewczynę z mieszaniną powagi i rozbawienia.

– A więc twój porywacz zdobył cię, nie stosując przemocy, moja śliczna panno? – spytał, zwracając się do Isambory z zaciekawioną miną. – Najwyraźniej nie masz do niego ani odrobiny żalu o to uprowadzenie, któremu skwapliwie przyklasnęłaś, i wydaje mi się, żeś gotowa go poślubić.

– Mówisz prawdę, jasnie panie hrabio – zapewniło dziewczę. – Ocalił mi życie podczas pożaru wieży we Fréteval, kiedy moja kuzynka i ja omal nie spłonęłyśmy żywcem. Od tamtej pory wiem, że będę należeć do niego.

Hrabia parsknął śmiechem.

– Na świętego Solemnusza! Teraz wszystko jest jasne! – zawołał. – Nikt nie może już twierdzić, że ta dziewica została porwana siłą!

– Zwariowała! – oburzył się podwasal. – Doszczętnie zwariowała!

– Okaż dobrą wolę, wasalu! – rozkazał hrabia. – Twoja bratanica odrzuca męża, którego dla niej przeznaczasz, i pragnie poślubić mężczyznę, który przed nami stoi. Ani ty, ani ja nic na to nie poradzimy. Pogódź się z dobroci serca z tym, czemu nie potrafisz zapobiec.

– Ktoś ją odmienił! – zaoponował Gerwazy. – Z nieśmiałego, łagodnego dziewczęcia ktoś uczynił napastliwą, upartą kreaturę! Na płaszcz świętego Marcina, rzucono na nią urok!

– Takich zauroczeń jest bez liku! Zdarzają się za każdym razem, gdy chłopak i dziewczyna spotkają się i sobie spodobają – uciał hrabia Tybald, o którym niosła wieść, że sam też nie stroni od miłostek. – Słuchaj, wasalu, musisz ustąpić i przybyć wraz ze swą żoną dziś wieczór na ich wesele. Księżniczka Adela zgodziła się służyć im za pierwszego świadka. Nie pozostaje ci nic innego, jak tylko ugiąć się wobec ich wspólnej woli pobrania się, skoro przykład daje ci osoba tak wysokiej rangi!

– Córka mojego brata ma wyjść za cudzoziemca? – mruknął podwasal z nadąsaną miną.

– Książę Stefan, mój syn, również poślubił Normandkę – odparł hrabia rozbawiony. – I wcale sobie nie szkodzi!

Wszyscy zebrani zarechotali. Isambora uśmiechnęła się, dygnęła i pocałowała

hrabiego w rękę. Wygrała!

Bernold złożył głęboki ukłon.

– Jaśnie panie hrabio, dziękuję – rzekł. – Nigdy nie zapomnimy, ile ci zawdzięczamy!

– Sprawa została rozstrzygnięta. Każdy powinien okazywać radość – podjął Tybald III, spoglądając władczo na Gerwazego. – Byłoby to wiarołomstwo, gdyby ktoś zachowywał się inaczej.

Po tych słowach wstał z krzesła, dając tym samym znak, że posiedzenie sądu się skończyło.

Z nosem na kwintę Gerwazy skierował się ku drzwiom.

Bernold przyspieszył kroku, by go dogonić.

– Nie chciałbym, by krewni mojej przyszłej małżonki uważali mnie za barbarzyńcę – rzekł do naburmuszonego podwasala. – Pragnę powiadomić cię, panie, że przed ceremonią uczynię na rzecz Isambory zapis, który jej przysługuje jako dar ślubny. Będzie miała prawo korzystać razem ze mną ze wszystkich moich dóbr obecnych i przyszłych. Już uregulowałem tę kwestię. Twoja bratanica nie będzie wyzuta z mienia.

Gerwazy wzruszył ramionami.

– Czyń, panie, jak ci się podoba – rzekł kwaśno. – Wszystkie twoje piękne obietnice bynajmniej nie zmieniają faktu, że ją porwałeś i że to małżeństwo nie przyniesie jej chwały!

– Na litość boską! To twoja wina, panie! Przyszedłem prosić o jej rękę, nie uchylając dobrego obyczajom, jak mi się zdaje! – wykrzyknął Bernold wzburzony. – I co dostaliśmy w zamian, mój przyjaciel i ja? Odmowę, pogrożki, razy!

Obaj mężczyźni patrzyli na siebie z wrogością, która źle wróżyła. Foucher z Meslay, który obserwował ich z oddali, w porę to zrozumiał. Stał między nimi.

– Nie słyszeliście, jeden z drugim, co powiedział hrabia, nasz pan? Życzy sobie, abyście bez szemrania przyjęli jego decyzję. Weźcie to sobie do serca i zawrzyjcie pokój. To rozkaz, któremu nikt nie może się sprzeniewierzyć.

Tymczasem Tybald III chwycił dłoń Isambory.

Zaprowadził ją do stołu z woskowanego drewna, na którym obok szachownicy stały dwa kielichy z litego srebra, z nóżkami zdobionymi emalią komórkową.

– Niech dobry Bóg pozwoli ci przez długie lata cieszyć się życiem pełnym godności i radości, uroczą panną – rzekł, po czym podał jej puchary. – Przyjmij w darze ślubnym te naczynia, z których będziecie mogli pić oboje, twój małżonek i ty, aż do kresu waszej wspólnej egzystencji. Zachowaj je na pamiątkę tego dnia. Życzę ci płodnego związku, a także spokoju w duszy u boku mężczyzny, którego sobie dobrowolnie wybrałaś. Podobnie jak ty, cenimy go i szanujemy. Nie zapominaj jednak, że Normandczycy są dzikimi rumakami, które nie znoszą, gdy im się nakłada wędzidło... Potrafią wierzgnąć!

CZĘŚĆ DRUGA

SZKLANY PŁASZCZ

Wrzesień 1099 – październik 1101



## I

– Jakie ładne lato mamy w tym roku! – rzekła Isambora.

Na kremowej tunice nosiła gruby fartuch z płótna konopnego, które sama utkała. Mocne skórzane rękawice chroniły jej dłonie.

Podobnie wyekwipowane były dwie służące, Margista i Sancja, które pomagały jej gręplować owczą wełnę.

Siedząc pod potężną lipą, która ocieniała środek kwadratowego dziedzińca obrzeżonego budynkami mieszkalnymi, warsztatami szklarskimi i zabudowaniami gospodarskimi, trzy kobiety gawędziły przy pracy. Na czyste prześcieradło, rozłożone między nimi na ziemi, spadała gręplowana wełna. Runo, przedtem wypłukane w wodzie Loiru, czekało w wiklinowych koszykach, aż zostanie rozczesane. Gręplowano szczecią barwierską, zrywaną co roku po zawietrznej stronie pagórków lub na kamienistych pastwiskach. Isambora uważała, że lepiej wyczesuje ona wełnę niż szczotki z metalowymi igłami, używane przez niektórych.

– Żadnego przewiewu – odezwała się Margista, gadatliwa, tęga kobieta około czterdziestki, o szybkich, pewnych ruchach. – Nie fruwa ani jeden kłaczek. Dla nas to się szczęśliwie składa, ale przy piecach musi być okropnie gorąco!

– Łatwo zrozumieć, dlaczego szklarze obrali sobie świętego Wawrzyńca za patrona – wtrąciła jej córka Sancja, piętnastoletnia trzpiotka, którą wszystko śmieszyło. – Kiedy się za bardzo przypieką z jednego boku, to wystarczy, że tak jak on na ruszcie przekręcą się na drugi!

– To ciężka robota – przyznała Isambora – ale piękno, blask i renoma ich dzieł wynagradzają wszystkie niedogodności. Bernold zawsze twierdzi, że Bóg, który jest ładem i światłością, musi szczególnie lubić tych, co rozświetlają kościoły swymi barwnymi szkiełkami.

Wierzchem dłoni otarła pot perlący się na jej czole.

Warkocze, przytrzymywane kawałkiem płótna zawiązanego wokół głowy, aby nie przyczepiały się do nich strzępki wełny, ważyły więcej niż zwykle i dodatkowo ją grzały.

Pod tym nakryciem bardzo jasna cera zachowała świeżość, która Isamborę nieustannie napawała dumą. Rysy twarzy, utraciwszy dawną krągłość, wydelikatniały, nabrały wyraźniejszego kształtu i zdradzały teraz stanowczy, nieugięty charakter, niewykluczający jednak zmysłowości i skrywanej porywczosci. Usta o mięsistych wargach kompensowały trochę za cienki nos. Szare, większe niż przedtem oczy rozjaśniały policzki o wystających kościach, a na krawędzi powiek rozchodziły się promieniście drobne zmarszczki.

Na ziemi, przy okrągłej drewnianej ławie, okalającej pień lipy, spała w wiklinowej kołysce jej najmłodsza latorośl, półtoraroczna Doetta.

Ruchem stopy Isambora kołysała małą, której rude loczki przyklejały się do spoconego czoła.

Również tuż koło niej, ale po przeciwnej stronie, siedząc na poduszce obciążonej kozią skórą i wypchanej słomą, Filipa, jej druga córka, bawiła się białymi kwiatkami powoju i liśćmi paproci. Wkładała je do koszyczka z kory i nosiła wszędzie ze sobą.

W tym dziecku Isambora odnajdowała własne upodobanie do bajek i wymyślonych historii. Bardzo często opowiadała je dziewczynce i stwierdzała z zadowoleniem, że Filipa czuje się jak w swoim żywiole w świecie legend, które ona sama kiedyś uwielbiała. Szczęśliwa, że jej średnia córka ma skłonność do marzeń i fantazji, starała się jednak uświadomić jej konieczność powrotu do rzeczywistości, istniejącej niezależnie od baśni.

– Córeczko – powiedziała do niej nagle, nie odrywając się od pracy. – Moja droga córeczko, już nieraz ci tłumaczyłam, że na ziemi wszystko coś oznacza i symbolizuje. Czy wiesz, na przykład, do czego służy każdy z twoich paluszków?

Zwiniętą dłonią w rękawicy wskazała na wąż rączkę Filipy, która kręciła główką, jakby potwierdzając swoją niewiedzę.

Duże oczy dziecka wydawały się oświetlone od wewnątrz kilkoma drobinkami złota, które jej ojciec mieszał ze szkłem do wyrobu witraży, aby uzyskać rubinową czerwień, co wychodziło mu lepiej niż innym.

– Mały palec – ciągnęła Isambora – symbolizuje wiarę i dobrą wolę. Palec serdeczny – skrucę. Środkowy – miłosierdzie, to znaczy miłość. Palec wskazujący – rozsądek, który wskazuje nam drogę. A kciuk, który jest władcą, przedstawia boską zasadę.

– Nie wiedziałam, że tyle rzeczy jest w moich palcach – zauważyła siedmioletnia Filipa. – Tak często robią głupstwa!

Gdy się uśmiechała, w jej oczach zapalały się złote iskierki.

Isambora przyciągnęła ją do siebie i żarliwie pocałowała. Dziewczynka od urodzenia była szczególnie uprzywilejowana. Odznaczała się wdziękiem, finezją, mówiła zawsze to, co należało powiedzieć, robiła to, czego od niej oczekiwano, miała wrodzony dar podobania się, uwodziła najniewinniej w świecie. Przy niej każdy uświadamiał sobie, że kryje się w tym jakaś głęboka tajemnica: osobistego czaru.

Raptem z drogi do Fréteval dobiegł dźwięk grzechotki. Kamienisty, ale dobrze wytyczony trakt biegł u stóp wzgórza, potem skręcał za budynkami wytwórni szkła zgrupowanymi wokół dziedzińca, który obramowywały one z trzech stron.

Z miejsca, w którym znajdowały się gręplarki, nie można było zobaczyć nikogo nadchodzącego z tamtej strony. Poza tym trzy kobiety siedziały tyłem do przybywających. Twarzą zwrócone do niezabudowanej przestrzeni, otwierającej się na warzywnik, sad, konopisko, łąkę, a na samym skraju porośniętego trawą terenu, który opadał łagodnie ku rzece, pralnię ze słomianym dachem, ukrytą pod wierzbami i osikami, rozpoznały gości dopiero po ich wjeździe na dziedziniec.

Dwa szare osły, niosące na grzbiecie jeden Perrynę, drugi Almetę, z głuchym, miarowym stukotem kopyt przydreptały do studni, która znajdowała się przed domem mieszkalnym.

Odkąd Bernold i Isambora osiedli w pobliżu Morville, na przeciwległym brzegu Loiru, bratanica i stryjenka ponownie nawiązały bliski kontakt. Natomiast, choć minęło osiemnaście lat, Gerwazy Podwasal wciąż miał małżonkom za złe, że w takich okolicznościach zawarli swój związek, który uparcie uważał za niepożądany pomimo dobrobytu, jaki im przyniósł. Wprawdzie mosty nie zostały spalone, jednak ze względu na pamiętliwego stryja stosunki rodzinne pozostawały nader chłodne.

– Zdaje się, że upał nie przeszkodził ci w odwiedzinach u nas, stryjenko – rzekła z uśmiechem Isambora, która podniosła się, by powitać nowo przybyłe.

– Słowo daję, wolę prząść kądziel z tobą niż w towarzystwie teściowej! Odkąd zmarła moja biedna matka (niech Bóg ma ją w swojej opiece!), jest coraz bardziej drobiazgowa i apodyktyczna. Przykro patrzeć, jak na moich oczach tyranizuje naszego biednego garbatego wuja, cierpiącego na różne bóle spowodowane wiekiem i pracą w polu! – odparła Perryna, zsiadając ze swego wierzchowca.

Almetta poszła za jej przykładem, zaprowadziła oba osły do stajni, gdzie zarezerwowano dla nich miejsce, i wróciła do gręplarek. Wszystkie stołki były zajęte, więc przyniesiono dwa dodatkowe. Umościły się na nich nowo przybyłe.

– Masz śliczne dzieci – stwierdziła Perryna, ucałowawszy obie dziewczynki.

– Niestety, stryjenko, jest jeszcze moja bidulka Gresja!

– Przed tym okropnym wypadkiem, któremu uległa, była równie milutka jak Filipa.

– Inna, zupełnie inna... Jest bardzo podobna do swojego ojca... Ale masz rację, była ładna... i taka żywiołowa...

– Ja nigdy nie będę miała wnuków – westchnęła Perryna, która podzielała jej zdanie. – Awelina zostanie starą panną.

Otarła czoło rąbkiem lnianego welonu. Odkąd weszła w okres przekwitania, wciąż męczyły ją uderzenia gorąca. Nagle pąsowiła, krew napływała do jej dużej okrągłej twarzy i musiała się wachlować pierwszym przedmiotem, który nawinął się jej pod rękę.

– Gdyby przez upór mojego stryja i jej własny te idiotyczne zaręczyny nie przedłużały się poza granice przyzwoitości – podjęła Isambora – dawno już by się z nich wycofała i mogłaby związać się z kimś innym. Prędzej czy później będzie jednak musiała je zerwać. Na moje zbawienie, taka sytuacja jest niedopuszczalna!

– Osiemnaście lat! Na wszystkich świętych, słyszał ktoś coś podobnego!... – zawołała Margista, która lubiła użalać się nad nieszczęściami bliźnich.

– Faktycznie, nie znam drugiego takiego przykładu – przyznała Perryna. – Wcale mi się nie podoba, że taka dziwaczna sytuacja musiała się zdarzyć właśnie u mnie!

– Teraz, gdy Awelina mieszka w Blois i kieruje pracownią hafciarską naszej hrabiny Adeli, chyba się ustatkowała – ciągnęła Isambora. – Najwyższy czas, by cofnęła dane słowo, cokolwiek sądzi o tym jej ojciec. Nikt już w ogóle nie powinien wspominać o tym poronionym projekcie z zamierzchłej przeszłości.

– Bez przerwy powtarzam to Gerwazemu – zapewniła Perryna, wsadzając sobie pod pachę patyczek wrzeczona z kłębkim wełny i zapamiętane skręcając nitkę. – Ale przecież go znacie! Postanowił sobie, że to małżeństwo zostanie zawarte, choćby Awelina, zanim się ugnie, osiągnęła wiek kanoniczny! Sam szatan nie wybiłby mu z głowy takiego zamysłu!

– Wszyscy go potępiają, stryjenko, wszyscy. A Daimbert pierwszy. Czyż nie żyje od lat na kocią łapę z dziewczką z Marchenoir?

– Z tą i z paroma innymi, między nami mówiąc – wtrąciła Sancja, krztusząc się ze śmiechu.

– No proszę, jeszcze jeden, co cały czas ugania się za spódniczkami! – wykrzyknęła Almetta, od dziesięciu lat zaślubiona parobkowi z Morville i bardzo z tego rada.

– Żadnej nie przepuści... to nie partia dla takiej panny jak twoja córka, pani – podsumowała Margista.

Perryrna wzruszyła ramionami.

– Uczysz księdza pacierza – mruknęła ze zboląłą miną. – Ale co robić? Mój mąż to największy uparciuch na świecie!

Po raz drugi westchnęła.

– Nie będziemy mieli dziedziców, którzy przejęliby po nas Morville, a Gerwazy wciąż gada o wnukach, na które liczył. Dręczy go myśl, że ich nie będzie. Nie do wiary – jego winnice dostaną się w obce ręce! Nie śpi po nocach i wstaje, żeby się przejść wśród młodych krzewów! Przez tę zgryzotę postrada zmysły!

– Ale dlaczego tak mu zależy na tym, by mieć Daimberta za zięcia? Gdyby Awelina wybrała sobie męża, na pewno mogłaby mieć jeszcze dzieci. W końcu jest tylko o rok starsza ode mnie! W wieku trzydziestu czterech lat kobieta nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa.

– Niewątpliwie, bratanico, ale nie dość że ona nie chce wyjść za Daimberta, to jeszcze nie mówi o nikim innym i wygląda na to, że nie pragnie związać się z kimkolwiek. Jest tak przywiązana do swojej wolności, że chyba wolałaby zostać starą panną i żyć samotnie, niż zależeć od mężczyzny, choćby nie wiem jak porządnego!

– Nie byłabym tego tak pewna jak ty, stryjenko... To prawda, że rzadko ją widuję, że przez długie miesiące się nie spotykamy. Ach! Nie to co dawniej... od mojego ślubu nasze stosunki się zmieniły. Nie to, że kochamy się mniej. Skądże! Ale wszystko się zmieniło. Ona żyje samotnie. Mnie pochłania wychowywanie dzieci, dom, Bernold... Nie rozporządzam sobą...

Isambora opuściła ręce na kolana. U jej stóp zgręplowana wełna pęczniała jak letnia chmura.

Filipa nadal bawiła się powojami i liśćmi paproci zamienionymi w jej wyobraźni w damy i rycerzy.

– Przed chwilą Albin chciał mnie zabrać do Hageniera, bo koniecznie chce, żebym się nauczyła grać na fujarce – powiedziała, przerywając ciszę, jaka zaległa po oświadczeniu jej matki. – Wykręciłam się. Nie lubię muzyki tak bardzo jak on. Wolę zostać tutaj i wymyślać różne opowieści.

Wciąż paplając, przechylała główkę do ramienia, a wtedy na jej prawym policzku tworzył się dołeczek.

– Twój braciszek świetnie się dogaduje z Hagenierem, gołąbeczko – wytłumaczyła Isambora. – Nie ma lepszego nauczyciela, który by go szkolił.

Zaczęła wprawnie przesuwając dużą szczecią po wełnianym runie, które wciąż zalatywało łożem pomimo płukania w rzece.

– Wyrzucam sobie, stryjenko – podjęła, zwracając się tym razem do Perryny – że tak dobrze się czuję w towarzystwie tej małej czarodziejki, za to nie wiem, jak postępować z Gresją. Chociaż staram się, jak mogę, nie udaje mi się znaleźć wspólnego języka z tą bidulą. Bardzo się zmieniła przez te dwa lata.

– Ma swoje powody...

– Bóg jeden wie, że o nich nie zapominam i że robię wszystko, aby jej nie zranić!

Ale to wielkie nieszczęście, które na nią spadło, jakby ją od nas oddaliło. Nie pojmuję dlaczego. Ucieka z domu, twierdząc, że rozwija swoje zdolności do rysunków u żony naszego proboszcza, która udziela jej lekcji.

– Pies, który ją okaleczył, należał przecież do was – rzekła Perryna. – Może ona o to właśnie ma żal.

– Co za okropna historia! – mruknęła Sancja. – Wciąż mnie prześladowuje jej widok, tuż po tym jak Tyran wyszarpał jej połowę twarzy... Przykro było patrzeć... Wszyscyśmy tutaj myśleli, że nie przeżyje.

– Gorąco się modliłam, tak gorąco – podjęła Isambora. – Błagałam Najświętszą Pannę!... Teraz już nie wiem, czy to dobrze, że wyzdrowiała, ale na zawsze oszpecona... Czy powinnam dziękować Matce naszego Zbawiciela, że mnie wysłuchała.

– Bóg ci ją zostawił. Znaczy to, że ona ma jakieś zadanie do wykonania wśród nas – stwierdziła Perryna. – Ci, których Pan zabiera do siebie w dzieciństwie, są aniołkami i tylko przemykają przez nasze życie.

– Wiem – powiedziała Isambora, a jej wargi nagle zaczęły drżeć. – Wiem...

Z dziewięciorga dzieci, które nosiła pod sercem przez osiemnaście lat, pozostało pięcioro. Dwóch z jej synów zmarło na choroby dziecięce w niemowlęctwie; byli zbyt mali, by mogła ich naprawdę poznać, na tyle jednak darzyła chłopców uczuciem, że ich strata przyprawiła ją o cierpienie... Ale największy ból, który udało jej się uśmierzyć, choć z wielkim trudem i dopiero po dłuższym czasie, sprawiła śmierć Henrysia...

– Myślisz o swoim najmłodszym, bratanico.

– Niestety! Niech mi Bóg wybaczy, nigdy się nie pogodzę z tym, że go już więcej nie zobaczę!

Chłopiec spadł z drzewa, na które się wdrapał, by wybrać z gniazda sroczę jaja, i na miejscu się zabił. Starszy brat, Aljom, odnalazł go pod jesionem, leżącego ze złożonymi na piersi rękami, pustym spojrzeniem, wyrwanymi z gniazda źdźbłami, które ścisnął w palcach. Z ust sączyła się strużka krwi. Taki urodziwy chłopczyk, taki wesoły, taki żywy... Bernold mówił, że to prawdziwy Normandczyk. Był z niego bardzo dumny...

W owym czasie Aljom i Henryś mieli jeden dwanaście, drugi dziesięć lat. Teraz Aljom wkrótce skończy siedemnaście, a jego młodszy braciszek miałby piętnaście...

Isambora schyliła się, by odpędzić od Doetty osę, która krążyła nad jej rudą główką w płóciennym czepeczku.

– Po co się tak zadreć, bratanico? Twój drugi syn powędrował do krainy, w której nie ma łoż. Zło nie ma nad nim żadnej mocy. Przeszedł na stronę Dobra.

– Masz słusność, stryjenko. Nawet sobie mówię, że jego los jest lepszy od losu Gresji.

Po drugim wypadku, jaki się przydarzył jednemu z jej dzieci, Isambora przeżywała straszne chwile. Bernolda często nie było w domu. Pracował na licznych budowach. Wszędzie bowiem wznoszono kościoły. Mistrz szklarski dostawał więcej zamówień, niż mógł wykonać.

– A jednak, ogólnie biorąc, raczej ci można zazdrościć, niż się nad tobą litować – stwierdziła Perryna ze zdrowym rozsądkiem, którego jej nigdy nie brakowało. – Twoje ognisko domowe jest płodne, a w swoim fachu twój mąż wyrobił sobie solidną renomę.

Ma dobry zawód. Ten, co się nim para, nie musi płacić podatku pogłównego ani dziesięciny, nie obowiązuje go prawo przymusu<sup>[10]</sup>, cieszy się nawet takim przywilejem, że może ścinać drzewa i paprocie bez żadnej opłaty, i dobrze mu się wiecie. Nie zapominaj też, droga bratanico, że hrabina Blois łaskawie przyznała wam ten teren, abyście mogli wybudować warsztaty szklarskie. To bezcenny dar, nie mówiąc już o protekcji tej dostojnej damy z wysokiego rodu, na którą zawsze możecie liczyć. Ponadto witraże twojego małżonka mają wzięcie u naszych najznakomitszych budowniczych. Nawet twój stryj musiał przyznać, że odniósł on sukces, chociaż z początku w to nie wierzył. Czego chcesz więcej?

– Wielka mądrość przez ciebie przemawia, stryjenko, ale dobrze wiesz, że ja nie jestem tak rozsądna jak ty. Z natury jestem zbyt wymagająca, zbyt zaborcza... Przyznaję, że dużo dostałam... Los sprawił, że mogłam też dużo dawać... Mam dobrego męża. Ale prosperujące przedsiębiorstwo i prace szklarskie za często pozbawiają mnie jego obecności. Wyjeżdża na całe tygodnie, jeśli nie miesiące, na dalekie budowy. Coraz trudniej znoszę te rozstania... Przychodzi mi nawet na myśl, że lepiej byłoby dla mnie, gdyby cieszył się mniejszym powodzeniem, bo wtedy więcej przebywalibyśmy razem.

– Ależ Isamboro, milcz! Nie trzeba kusić Boga... zresztą tak samo jak diabła! Marzysz o czymś niemożliwym. Tyle kobiet pragnęłoby znaleźć się na twoim miejscu, w pięknym domu, z licznymi dziećmi i takim mężem jak twój!

Jęła zwijać w kłębek uprzedzoną wełnę.

– Przecież właśnie tutaj, w Grand Feu<sup>[11]</sup>, najchętniej pracuje – zauważyła Margista pojednawczo.

– To prawda – przyznała młoda kobieta. – Żadne inne miejsce nie nadaje się bardziej do obróbki szkła.

Położony niedaleko Silva Longa, tam gdzie Loir zataczał szeroką pętlę ze wschodu na zachód, teren wybrany przez Bernolda całkowicie odpowiadał jego potrzebom. Czyż najbardziej niezbędnymi surowcami nie były dlań piasek rzeczny i popiół z drewna bukowego? Znajdował je tutaj, daleko nie szukając. Miał je w zasięgu ręki.

– Nigdy nie zapomnę, jaką radość odczuwaliśmy, wprowadzając się do tego domu, gdy już zostały zbudowane warsztaty, piece i składy – podjęła Isambora, przywołując wspomnienia. – Bernold był wniebowzięty.

Właśnie tego wieczoru, po świątecznym posiłku wieńczącym dzień przeprowadzki, została poczęta mała Beatrycze... Żyła tylko parę dni... Ale nad żalem spowodowanym stratą noworodka (czyż w wielu rodzinach co najmniej kilkoro dzieci nie gasło przed ukończeniem dziesięciu lat?) dominowało uczucie namiętnej i radosnej miłości, gwałtownego zespolenia ciał, od nocy poślubnej łączące ich w uściskach, których nigdy nie mieli dość.

Nawet po osiemnastu latach i wbrew starciom wynikającym z ich porywczych charakterów, które z wiekiem wcale nie łagodniały, wbrew nagłym kłótniom, które czasem wszczynali, zdarzało im się, jeszcze rozdygotanym ze złości, zawierać zgodę, w której pożądanie przybierało odcień urazy.

Najczęściej, dzięki Bogu, kierowała nimi gorąca miłość pary, która żyje w idealnej harmonii i nie szuka przygód.

Jednakże, od dawna już nieżyjący, stary hrabia Tybald kiedyś nie bez kozery przestrzegał pannę młodą. Nawet w bezpiecznym związku małżeńskim Normandczyk pozostaje pełnokrwistym rumakiem, którego wybryki trudno okiełznać.

Isambora podniosła wzrok znad robótki, odruchowo uśmiechnęła się do stryjenki. Pomimo różnych tęsknot spokój panował wokół niej, a także w jej sercu, wciąż zakochanym.

Był dopiero początek września. Lato zmierzało ku końcowi. W łagodnej świetlistości powietrza, o leciutkim zapachu owoców, Loir w dole leniwie toczył swój brunatny nurt. Wijąc się między łąkami i wzgórzami, ta woda o zieleni równie głębokiej jak liście, które się w niej przeglądały, przydawała jeszcze krajobrazowi słodyczy i pogody, zabarwiała go nutą wieczności kojącą duszę.

Na przeciwległym brzegu, wśród winnic i zagajników, między gałęziami wystrzelała w górę dzwonnica Świętego Leobina.

W Grand Feu, gdy wiał północny wiatr, zapachy ziół, nenufarów i innych roślin wodnych splatały się z woniami palenisk, stopionego ołowiu, stajni i obór, tworząc mieszaninę tak znajomą, że Isambora prawie jej nie wyczuwała.

– Tak naprawdę – podjęła z rozbawieniem – tak naprawdę przez te osiemnaście lat jedynie przeszłam przez wodę! Przed ślubem mieszkałam na prawym brzegu Loiru, a teraz jestem na lewym!

– Niewątpliwie, bratanico, ale jak dużo się zmieniło przez ten czas w dolinie!

– U schyłku tego stulecia ujrzymy więcej przemian niż wszystkie poprzednie pokolenia. Bernold mówi, że współczesny świat opanowała gorączka budowania. Karczkuje się, buduje gdzie popadnie. Wszędzie na równinie lasy się kurczą pod naporem nowych miast, które tam powstają. Nawet na płaskowyżu, za zamkiem...

– Porozmawiajmy o zamku! – przerwała Perryna rozdrażniona. – Po kiego licha nasz młody baron Newelon II wyznaczył na zarządcę swego kuzyna, Salomona z Fréteval, aby pod jego nieobecność doglądał włości? Dlaczego ubrdali sobie jeden z drugim, że wybudują nowy donżon w miejscu dawnego grodu warownego, którego mieszkańcom kazano się wynieść? Wyruszyć na wyprawę, by wyzwolić grób Pana naszego Jezusa Chrystusa, to święte zamierzenie, nikt nie zaprzeczy, ale czyż baron nie ma przede wszystkim obowiązku bronić swoich ludzi? Wieśniacy, zmuszeni opuścić swoje orle gniazdo, aby osiedlić się u stóp skarpy, wcale nie są zadowoleni. Ani bliskość rzeki, ani nawet opieka, jaką zapewnia im klasztor Świętego Mikołaja, nie wystarczą, by ich pocieszyć.

– Można ich zrozumieć, ale można też zrozumieć barona Salomona – wstawiła się za nim Isambora. – Bo właśnie położenie płyty wieńczącej wzgórze i górującej nad doliną tłumaczy jego wybór. Tak, jak mówisz, stryjenko, to teren obronny, jakich mało. Odizolowane na północy przez Loir, a na zachodzie przez wąwóz, który tak korzystnie przecina skałę, jest to miejsce idealne do wzniesienia warowni! Nowy donżon będzie kontrolował ogromny obszar. Jak wartownik będzie czuwał nad naszymi dobrami, odpierając zakusy Andegawenów. Nie zapominaj, stryjenko, że znajdujemy się o strzał z kuszy od paru ich posiadłości.

– Na wszystkich świętych! Nie ma obawy, że zapomnę! Trąbi o tym wszem wobec

Salomon z Fréteval.

– To mądry i rozsądny człowiek – cichutko wtrąciła Margista.

– Zapewne, ale nie nasz pan! Dlaczego tak się stało, że po stracie małżonki, tej biednej pani Eustachii, Newelon postanowił wziąć krzyż<sup>[12]</sup>, zamiast zostać tutaj i nami rządzić? – ciągnęła Perryna z goryczą.

– Ursion, jego syn, który skończył już siedem lat, przejmie po nim władzę, gdy osiągnie pełnoletność, o ile baron nie wróci wcześniej. Odzyskacie, stryjenko, swego prawdziwego suzerena, tak czy inaczej!

– Wyprawa do Ziemi Świętej była najbardziej pilną powinnością – uzupełniła Sancja. – Jeśli Kościół rozgrzeszył tych, którzy tam podążyli, to znaczy, że Bóg we własnej osobie powierzył im tę misję!

– Łatwo ci mówić. Wy zależycie od Blois, a nie jak my od dobrej woli Salomona z Fréteval!

Isambora roześmiała się, biorąc z koszyka następny kłęb runa do gręplowania.

– Nie lubisz go, stryjenko, ponieważ mój stryj miał z nim na pieńku. Przyznaj jednak, że twój mąż chciałby postępować zawsze wedle swego widzimisię. Zresztą chyba nie może odżalować barona z Fréteval, swego pierwszego pana. Gdy nasz leciwy senior owdowiał i zamknął się w klasztorze Świętego Marcina z Chartres, zamierzając przeżyć ostatnie lata w mnisim habicie, poniekąd wyrządził krzywdę tym, co byli przywiązani do niegdysiejszych obyczajów.

– Niestety, masz rację, ale ubolewanie bez końca nad odejściem miłego naszym sercom poczciwca na nic się nie zda. Pławi się teraz w świetle jedyne prawdziwego Suzerena, jaki rządzi ludźmi, i z pewnością jest szczęśliwszy od nas wszystkich. W kółko powtarzam to Gerwazemu, kiedy zaczyna pomstować na opiekuna małego Ursiona.

– A więc ten chłopiec zamieszka w kamiennym, całkiem nowym donżonie, który się buduje w miejscu, gdzie stały wiejskie chaty – kontynuowała Isambora. – Ojciec, przed dołączeniem do armii Chrystusa, sprawił mu piękny prezent.

– Kto wie, czy baron Newelon nie zdąży wrócić, zanim w jego donżonie będzie można zamieszkać! – zasugerowała Margista, która od dłuższego czasu milczała.

– Ludziska gadają, że nieprędko ujrzymy tych, co poszli wyzwalać grób naszego Pana – rzekła Almetta.

Perryna kręciła kądzielą. Zrobiła wielce domyślną minę, po czym wtrąciła:

– Jest taki jeden, i to wcale nie podłego rodu, który okazał się na tyle sprytny, że wrócił na swoje ziemie przed innymi.

Zapadła cisza. Słysząc było tylko dzwonki krów, które pasły się na łące, i szczebiot ptaków.

Z uśmiechem błakającym się na ustach służące manipulowały szczecią z podejrzaną gorliwością.

Stopą Isambora kołysała uśpioną Doettę.

Każda z kobiet myślała o Stefanie z Blois. Wiadomość o powrocie do hrabstwa tak potężnego i znakomitego możnowładcy zadziwiła i oburzyła okolicznych mieszkańców. Istotnie, podczas oblężenia Antiochii małżonek hrabiny Adeli opuścił obóz Francuzów. Doradziwszy cesarzowi bizantyjskiemu Aleksemu Komnenowi – wahającemu się, czy



ruszyć na pomoc zagrożonej armii – by nie wplątywał się w przedsięwzięcie, które on uważał za skazane na porażkę, Stefan wrócił do Francji.

Ten, którego najbardziej waleczni książęta postawili na czele Wielkiej Rady, uczynili przywódcą i zarządcą wszystkich spraw wojskowych, we własnej osobie upozorował chorobę i odstąpił od oblężenia twierdzy wraz z częścią swoich oddziałów!

– Zdaje się, że nasza hrabina, która jest bardzo odważna, omal nie spaliła się ze wstydu, kiedy dowiedziała się o tchórzostwie męża – rzekła Isambora. – Być córką Zdobywcy i poślubić dezertera – co za upokorzenie! Bernold, który często jeździ do Blois w związku ze swoją pracą, twierdzi, że krążą pogłoski, jakoby wciąż robiła mu wymówki, wbijając do głowy, jakie są jego obowiązki. To dziwaczna sytuacja.

– Niech mi Bóg wybaczy, w tym stadle żona powinna nosić portki! – zawołała Sancja, chichocząc. – Zdarza się to wcale nie tak rzadko, jak by się mogło wydawać!

Pięć kobiet zaniosło się śmiechem.

– Najodważniejszy ze wszystkich – odezwała się Filipa, która na swój sposób śledziła rozmowę – jest Aljom. Zabija żmije i szczury wodne.

Isambora schyliła się, by pocałować jedwabiste włosy córki.

– Wiecie, jak Roland nazywa swoją siostrzenicę, kiedy odwiedzamy go razem w klasztorze? – zapytała Perrynę, która spoglądała pobłażliwie na nie obie. – „Moja mała salamandra!”. Bo mieszka w Grand Feu i ma złote oczy!

– Wuj Roland wyleczył mnie, gdy w zeszłym roku skręciłam nogę w kostce – wyjaśniła Filipa, uśmiechając się rozbajajaco. – Bardzo go lubię.

Odkąd mnisi z Marmoutier, pod opieką hrabiego i hrabiny Blois, założyli w dolinie, u stóp skarpy, we Fréteval, klasztor Świętego Mikołaja, Isambora mogła znacznie częściej odwiedzać brata niż w czasach, gdy przebywał w Tours. Osiedlenie się chłopów, wygnanych z obronnej osady i znajdujących przytulisko na klasztornych ziemiach, siłą rzeczy przekształciło klasztorną kaplicę w kościół parafialny. Każdy przychodził teraz leczyć się w przyklasztornej infirmerii.

– Roland ma tyle roboty, przyjmując różnych chorych – podjęła Isambora – że przeor właśnie zatrudnił dodatkowego pomocnika. Dwóch służących, których miał do tej pory, nie mogło wszystkiemu podołać.

– Twój brat jest człowiekiem rzetelnym – przytaknęła Perryna z satysfakcją. – Jestem dumna, że go wychowałam. Gdyby chciał, mógłby zostać zastępcą przeora, a może, kto wie, któregoś dnia przeorem? Z miłości do Chrystusa, który był pokorny i ubogi, Roland wolał zostać zwykłym pielęgniarzem. Nie pragnie nic więcej, jak tylko nieść ulgę bliźnim. Gdyby wszyscy mnisi tak się starali, byłoby wspaniale!

– Niestety, stryjenko, muszę ci przyznać rację... ale co to? Posłuchaj!

Jedne po drugich rozdzwoniły się dzwony kościołów Świętego Leobina, potem Mikołaja, o którym tuż przedtem była mowa, Wiktora, w obrębie murów zamkowych, Marcina w świeżo założonym grodzie Francheville, po drugiej stronie, wreszcie te bardziej oddalone, Świętego Hilarego, wśród winnic.

– Na Boga! Co się dzieje?

Z drogi do Fréteval dobiegł tętent. Rozległy się krzyki, podniósł się rumor.

Isambora upuściła szczec, którą trzymała w ręce, na już zgręplowaną wełnę.

Wybiegła na ścieżkę, a za nią podążyły Filipa i Sancja.

Otoczony gromadą ludzi, którzy wyłaniali się zewsząd, zbliżał się jakiś jeździec.

– Dobrzy ludzie – wrzeszczał – dobrzy ludzie! Wiedźcie, że Jerozolima jest wyzwolona! Zwycięstwo! Zwycięstwo naszych nad niewiernymi! Święty Grób! Święty Grób! Święte Jeruzalem zostało odbite!

Przekazywana z ust do ust nowina rozchodziła się migiem.

Chłopi na polach, karczownicy, kamieniarze, murarze, dekarze, rybacy w swoich łodziach, cały drobny ludek przeważnie rozproszony w okolicach dwóch nowych miast albo w dolinie, ledwo powiadomiony, wylegał na drogę.

Wszyscy krzyczeli, śpiewali, dziękowali Bogu, winszowali sobie. Niektórzy klękali.

– Jeruzalem, święte miasto, wyzwolone! Nasi odebrali je Saracenom! Z Bożą pomocą! Z Bożą pomocą! Bóg nam pomógł! Niech będzie pochwalone imię Jego! Jerozolima i Grób Pański wyzwolone z rąk nieprzyjaciół! Chwała Bogu w niebiosach! Chwała Bogu!

Na progu jednego z warsztatów ukazał się Bernold, a za nim jego uczeń. Mistrz szklarski rozrósł się jeszcze w barach. W jego czuprynie, już nieprzystrzyżonej na modłę normandzką, pojawiło się parę siwych włosów, ale że wcale nie utył od chwili ślubu, wiele się nie zmienił.

– Skąd ten cały rwetes?

Na krótkich portkach z szerokimi nogawkami i nogawicach przytrzymywanych płóciennymi tasiemkami krzyżującymi się aż do kolan, nosił luźną białą koszulę, w którą wycierał palce. Chyba właśnie pociągał kredą deski, na których miał później odtworzyć swoje pierwsze szkice, bo jego ręce były przyprószone białym pyłem.

Isambora przypadła do niego.

– Drogi mój, drogi mój! Jerozolima została odbita! Wreszcie! Chrześcijanie odzyskali ziemię, na której Jezus przelał swoją krew! Bóg nas wysłuchał! Niech będzie pochwalony na wieki wieków!

– Błogosławiona niech będzie również zwiastunka tej nowiny! Stwórca i jego stworzenie, Ten, który umożliwił tak wielkie zwycięstwo, i ta, która mi o nim donosi!

Zadudnił gromki śmiech Bernolda, słynny w całej dolinie.

Mistrz chwycił Isamborę w pasie, uniósł w powietrze i wykręcił z nią szalonego pirueta.

– Teraz ja! Ja! – zawołała Filipa, klaszcząc w dłonie.

Jej starszy brat, który pracował z ojcem, wyłonił się z drugiego warsztatu, gdzie rozgrzanym żelaznym prętem wycinał kawałki szkła do przyszłych witraży. Trzymał jeszcze w ręce jeden. Szybko odłożył go na kamienny stopień schodków, z których właśnie zszedł.

– Jerozolima! – wrzasnął. – Jerozolima! – I zaczął skakać z radości.

Podbiegła do niego Filipa.

– Aljomie – powiedziała – na cześć Jerozolimy, proszę, zakręć mną jak tatuś mamą.

Siedemnastoletni chłopak cieszył się wielkim poważaniem w oczach dziewczynki, którą traktował jak rozczulającego szczeniaka.

– Na wszystkich świętych w raju, wcale nie jesteś ciężka, moja charciczko! – zawołał wesoło. – Zakręcę tobą jak bukszpanowym bąkiem!

Łączył w sobie postawną sylwetkę ojca z ciemnymi włosami i szarymi oczami matki. Znamionujący zmysłowość nos o szerokich nozdrzach nadawał jego rysom, trochę zbyt dobrotliwym, nutę zuchwalstwa, której im bardzo brakowało.

– Nasz syn jest pełen ufności i ofiarności, a przez to wrażliwy na niepowodzenia – zwierzyła się kiedyś Isambora Bernoldowi. – Obawiam się, że nie jest dość przystosowany do życia.

– W jego wieku otwartość i życzliwość to dobre cechy, wydaje mi się – odparł Bernold. – Chyba nie chciałabyś, aby był nieufnym egoistą? Doświadczenia nabierze z biegiem lat.

Tymczasem Aljom wirował z siostrą, która pękała ze śmiechu.

Gerbald Swojak, wydmuchiawca szkła z Grand Feu, i uczeń Remigiusz, którzy wyszli z warsztatu w tym samym momencie co mistrz szklarski i jego syn, przyłączyli się do tych, którzy coraz liczniej wylegali na drogę. Z Bernoldem i AljOMEM stanowili zespół witrażystów. Siedemnastoletni Remigiusz był szczupły i zwinny, za to Gerbald dźwigał przed sobą ogromne, obwisłe brzuszysko, zdradzające upodobanie do piwa. Na jego czole, spieczonym od gorąca, uwidoczniały się żyły, jakby wysiłek niezbędny do dmuchania w metalową rurkę, którą nabierał wytapiane szkło, nadmiernie je rozszerzył. Pofałdowany kawałek płótna, zawiązany u nasady włosów, opasywał jego głowę, pochłaniając pot, który inaczej zalewałby mu oczy. Te zaś, o tęczęwkach w tak bladym odcieniu błękitu, że wydawały się odbarwione blaskiem płomieni, były zaczerwienione, podrażnione pomimo kompresów z ziół łagodzących, które dzień w dzień kładła mu jego żona Amalberga, położna znająca się na medycynie. Mieszkali oni wraz z synem Hagenierem, niewidomym muzykantem, w niskim domu przylegającym do warsztatów, od strony zachodniej, w pobliżu łąk.

– Gdy uporamy się z zamówieniem na witraże, które teraz wykonujemy – zawołał Bernold – ułożymy jeden, żeby uczcić zdobycie Jerozolimy! Będzie wspaniały.

Zawiadomiwszy mieszkańców Francheville, jeździec zawrócił. Zatrzymał się przed warsztatem szklarskim.

– Jutro będzie dzień wolny od pracy – oznajmił. – Po mszy Te Deum odbędzie się wielki festyn w zamku Blois. Hrabia i hrabina, niech Bóg da im długie życie, zapraszają mieszkańców Grand Feu.

– Serdeczne dzięki – rzekł Bernold. – Chętnie przyjdziemy.

– Będą tańce na wszystkich placach! Na wszystkich rozstajach zostaną odbite beczki z winem! – ciągnął posłaniec. – Każdy może przyjść! Dzień jutrzejszy powinien być świętem i wszystkim nieść radość!

Isambora, która wspierała się na ramieniu męża, szepnęła, że hrabia Stefan, który tak niechlubnie opuścił obóz chrześcijański, będzie się z pewnością bardziej martwił, niż radował, ale tylko Bernold to usłyszał.

Na drodze wciąż panowało wielkie ożywienie. Dzwony nadal biły, a ich dźwięk potęgował oznaki powszechnej radości. Ludzie gromadzili się wokół jeźdźca, głośno mówili, chwalili Boga i tych, którzy tak dzielnie podążyli do Ziemi Świętej...

Kiedy posłaniec ruszył ku Fréteval, ci, co go otaczali, nie chcieli go wypuścić. Rzucili się za nim biegiem.

– Wracam do Morville – rzekła Perryna. – Muszę namówić twego stryja, aby mnie zawiózł jutro do Blois. Nie tyle ciągną mnie zapowiedziane rozrywki, ile nadzieja, że zobaczę córkę!

– Wyruszymy wszyscy razem, stryjenko, i pójdziemy razem z tobą uściskać Awelinę – zaproponowała Isambora.

– Miejmy nadzieję! Nie ma wcale pewności. Znasz Gerwazego!

Z kądziałą pod pachą dosiadła osła i odjechała, a za nią Almetta.

– Gresja pojedzie z nami? – zapytała Isambora, biorąc męża pod ramię, aby wejść do warsztatu.

– A dlaczego nie miałyby pojechać? Czyż nie ukończyła trzynastu lat? Wydaje mi się, że to świetna okazja, by ją rozruszać, by zawarła nowe znajomości. Przecież któregoś dnia i tak musi to nastąpić, prawda? Lepiej, jeśli stanie się to podczas święta...

Od chwili wypadku, z którego Gresja wyszła oszpecona, rodzice zawsze starali się ją chronić przed kontaktem z ludźmi niewiedzącymi o jej nieszczęściu. A że nigdy nie opuszczała doliny, miała do czynienia jedynie z osobami przyzwyczajonymi do jej widoku. Jak zniesie spojrzenia i komentarze nieznanym? Ale jej ojciec zdecydował, że już pora, by wyrwała się z osamotnienia... Niewątpliwie miał słuszość.

– Gdzie ona jest?

– U naszego proboszcza – odparła Isambora, wzdychając. – Dobrze wiesz, mój drogi, że bardziej jej się tam podoba niż tutaj.

Podobnie jak niegdyś Awelinę i jej kuzynkę, proboszcz od Świętego Leobina uczył czytać dzieci małżonków.

Gdy tylko mogła znów wychodzić, Gresja, która najwyraźniej pragnęła uciec z rodzinnego domu, wróciła do księdza, u którego żony szukała pomocy i wsparcia.

– No już dobrze, najdroższa, nie zadręczaj się chwilową nieobecnością tej bidulki – powiedział Bernold. – Jeśli woli teraz proboszczową, to dlatego, że tutaj wszystko kojarzy jej się z nieszczęściem. Wybacz jej. Trzeba ją zrozumieć.

Isambora wiedziała, że mąż nie bardzo lubi wspominać niedolę, z którą nie potrafił się pogodzić. Wciąż pamiętała, z jaką furią rzucił się na psa, który pokąsał dziewczynkę, w jak okrutny sposób go zabił... a także rozpacz, w jaką popadł, widząc ukochaną buzię w połowie wygryzioną...

Choć w gruncie rzeczy Bernold darzył swoich synów: starszego Aljoma i małego, zaledwie pięcioletniego Albina, respektem przeznaczonym dla mężczyzn, którymi się kiedyś staną, nigdy nie ukrywał, że ma pewną słabość do Gresji. Mówił, że jest podobna do jego zmarłej matki... Ta predylekcja była tak wyraźna, że dziewczynka bardzo szybko to wyczuła. Ojciec z córką nawiązali szczególnie bliską więź. Ona była z tego bardzo dumna aż do owego dnia, gdy padła ofiarą brytana, z którym się bawiła...

– Owszem, staram się ją zrozumieć – odparła młoda kobieta – ale obawiam się, że twój zamiar jest trochę ryzykowny.

– Wkrótce się przekonamy, droga moja. Nie możemy zmarnować szansy, jaka się nam trafia. Musimy zrobić wszystko, aby nasza córka wiodła normalne życie.

– Normalne?

– Tak. Wiem. Ale nie powinniśmy sprawiać wrażenia, że traktujemy ją jak zadzumioną.

Doszli do studni.

– Zmieńmy temat – podjął Bernold całkiem innym tonem. – Wejdzmy na chwilę do mojej pracowni. Chciałbym ci coś pokazać.

Dość obszerny, prostokątny warsztat był wyposażony w okna, w które, podobnie jak w kaplicach, wstawiono przezroczyste witrażyki. Przepuszczały światło, nawet w porze jesiennej i zimowej.

Duże arkusze welinu, na których Bernold szkicował projekty kompozycji, wisiały przywiązane sznurkami przeciągniętymi pod belkami stropowymi. Na kozłach leżały pobielone kredą deski, na których nieskalanej powierzchni zostaną nakreślone linie odtwarzające szkice. Długi, wąski stół służył za składowisko kredy, ołowianych wałków i ścinków, liniałów, metalowych przecinaków, gęsich piór, kałamarzy, skrobaków, pojemników z farbami i pędzlami, ściereczek. Z opartego o nogi stołu kufra podróżnego nabijanego ćwiekami wystawały wykorzystane już wcześniej rulony. Na przybitych do ścian deskach wisiały szafki z przegródkami pełnymi różnokolorowych proszków, w tym wielu niezwykle cennych, uzyskanych ze szlachetnych kamieni. Na półkach odłamki barwnego szkła czekały, aż zostaną użyte.

Delikatna operacja wytapiania szkła odbywała się w sąsiednim warsztacie, w piecach wydzielających odór spalenizny i notorycznie sapiących.

– Spójrz – rzekł Bernold, prowadząc Isamborę do jednego ze szkiców swego autorstwa, wykonanych atramentem i farbą akwarelową. – Spójrz.

Pokazywał jej środek przyszłego witraża. Wśród bardzo schematycznie przedstawionej zieleni trzy kobiety ze zdumieniem wpatrywały się w otwarty, pusty grób. Koło jednej z nich stał z podniesioną ręką Ten, kogo wzięła za ogrodnika.

– Niczego nie zauważyłaś? – spytał Bernold.

– Gdybym była zarozumiała, powiedziałabym, że Maria Magdalena jest troszkę do mnie podobna...

– Jak to troszkę? Na Boga, to twój wykapany portret!

Pochylił się, czyniąc gest, jakby składał ofiarę:

– Przyjmij, duszko, to podobieństwo w podarunku ode mnie. Zależy mi na tym, byś pozostała na zawsze w nowym kościele we Francheville, dla którego przeznaczony jest ten projekt, jako symbol wiernej istoty, wybranej przez Pana naszego, której w pierwszej kolejności objawiono wielką tajemnicę Zmartwychwstania.

– Na szczęście to była grzesznica – zauważyła Isambora nieco drżącym głosem. – Nie czułabym się godna użyć swoich rysów Maryi!

Uśmiechnięci i wzruszeni, stojąc twarzą w twarz i trzymając się za ręce, przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa, w intymnej bliskości.

– Przyjrzyj się jeszcze – ciągnął Bernold. – Okryłem jej ramiona płaszczem w kolorze rubinowej czerwieni. W odcieniu, jaki miała krew Przymierza, symbol boskiej Miłości. Koniecznie chciałem cię w niego ubrać.

– Wygląda jak pelerynka z cendalu, którą miałam na sobie podczas naszego ślubu

– wymamrotała Isambora. – Całkiem do niej podobny, ale jest ze szkła. Nigdy się nie zniszczy!

– Tym sposobem przyszłe pokolenia będą cię oglądać zawsze młodą i w szykownym stroju. Czy to niedobrze?

Złożył na wargach żony lekki pocałunek, po czym, by stłumić emocję, pociągnął ją na dwór.

– Na cześć cudownej nowiny, jaką właśnie otrzymaliśmy – rzekł, klasnąwszy w dłoń, aby zwrócić uwagę ludzi rozproszonych na dziedzińcu – proponuję, abyśmy dzisiaj zakończyli pracę.

– Jak sobie życzysz, ojcze, ale trzeba zabezpieczyć piece – oznajmił Aljom, podchodząc.

– Będziemy ich doglądać obaj – odparł Bernold. – Wy natomiast – ciągnął, zwracając się do Gerbalda Swojaka i Remigiusza – idźcie się ogarnąć i przygotować do kolacji. Na Boga! Pragnę, by godziwie uczczono w moim domu zdobycie Jerozolimy! To nie byle jakie zwycięstwo! Nasz posiłek, droga żono, musi dorównać tak niezwykłemu wyczynowi!

– Wedle twojej woli, mój miły panie – odparła Isambora z uśmiechem. – Będzie to tym łatwiejsze, że dziś wieczór spodziewamy się Gildasa i Bazylia. Wystarczy nieco wzbogacić jadłospis ze względu na wydarzenia. Pozwól mi jednak przemyśleć wszystko, potrzebuję też trochę czasu, by się przebrać i wyglądać jak bogini...

– Zawsze nią jesteś w moich oczach, dobrze wiesz – rzucił Bernold spokojnym tonem małżonka pewnego harmonii, w którą od lat nie wątpił.

Wziął pod ramię syna i skierował się wraz z nim ku warsztatom.

– Gdy tylko zrobimy porządek, proponuję, żebyś razem ze mną zanurkował w Loirze – powiedział Gerbald Swojak do Remigiusza. – Woda zmyje z nas brud!

## II

Słońce zaczęło się już zniżać nad horyzont, lecz wciąż utrzymywała się duchota.

Na łące opadającej ku Loirowi krowy szukały cienia. Świeża trawa, którą mogły skubać, rosła już tylko nad wodą. Górna część zbocza, wyblakła lub zrudziała pod wpływem parotygodniowej suszy, wyglądała jak podniszczona słomiana mata.

Dzierżąc w obu rękach drewniane wiadra z żelaznymi obręczami, Bernarda, krowiarka, podążała do stada zgromadzonego pod gałęziami dębu, którego listowie rozpościerało się nad żywopłotem z tarniny.

Z dziedzińca, na który wróciła, aby zabrać Doettę, Isambora przypatrywała się drobnej, chudej kobiecie, zmierzającej sztywnym krokiem do bydła, które oczekiwało jej, rycząc.

„Jak ona poważnie wygląda – pomyślała młoda matka. – To prawda, że życie jej nie rozpieszczęło...”

Mąż Bernardy, murarz z zawodu, zginął pięć lat wcześniej, zmiażdżony przez wóz z kamieniami, który się na niego przewrócił. Wdowa, która została sama z synem Remigiuszem, uczniem w Grand Feu, i z młodszą córką, przyszła zapytać, czy mogłaby pracować w gospodarstwie. Słyszała w wiosce, że państwo potrzebują kogoś do pilnowania trzody. Uznała, że gdyby ją przyjęli, byłaby to świetna okazja do przebywania z dziećmi. Ponieważ Remigiusz bardzo lubił swoją robotę, mógłby przy matce dalej się uczyć.

Isambora zatrudniła ją jako krowiarkę, a jej córeczkę Konstancję, wówczas siedmioletnią – jako gęsiarkę.

Od tamtej pory wszyscy troje mieszkali obok wydmuchiwacza szkła i jego rodziny w domku przylegającym do głównych zabudowań majątku.

„Czasem prawie mi wstyd, że jestem taka szczęśliwa, otoczona opieką, gdy niektórzy ludzie wiodą tak ciężki żywot – myślała Isambora. – Czy należy mieć wyrzuty sumienia tylko dlatego, że jesteś, kim jesteś, skoro nie wyrządzasz nikomu krzywdy?”

Pod lipą stwierdziła, że służące związały prześcieradło ze zgręplowaną wełną, zabrała koszyki, w których zostały resztki niewyczesanego runa, wniosła też do domu ławeczki.

Filipa zaś poszła razem z Aljomem i ojcem do warsztatu.

Isambora została sama, osłonięta gałęziami, których nie poruszał najmniejszy powiew. Coraz mocniej pachniały nagrzane słońcem liście, a ich woń mieszała się z zapachem kurzu, którego od dawna nie zmywał żaden deszcz. Dziedziniec czuć było ciepłym roślinnym sokiem i krzemieniem.

Na dachu przysiadła turkawka, a po chwili rozległo się jej gruchanie.

Czy spokój, jaki panował wokół Isambory i w jej sercu, ktoś mógłby wytknąć istocie stworzonej przez Boga?

„Czuję w sobie tak wielką radość życia, tak głęboką więź z przyrodą, z powietrzem, którym oddycham, chlebem, który jem, miłością, którą daję i otrzymuję... Tak jakby cała moja istota uczestniczyła w dziele Stworzenia. Czy roślina nie powinna kwitnąć, jeśli się tego od niej wymaga?... Tutaj, w tym domu, jestem taka szczęśliwa z Bernoldem i wśród

dzieci... Panie Boże, nie zrzucaj mi tej szczęśliwości, ale naucz mnie, jak ją przekazywać, dla ich dobra, tym, którzy mnie otaczają... by się nią dzielić, a nie samolubnie napawać!”.

Niosąc oburącz koszyk pełen kapusty i sałaty, wyszedł z warzywnika ogrodnik Piotruś i skierował się do kuchni. Mąż Margisty zajmował się podlewaniem spragnionej ziemi, aby nie zwiędły jarzyny powierzone jego pieczy. Stapał ciężko, z szeroko rozstawionymi rękami i dużą głową wtuloną w ramiona. Krótka, przewiązana fartuchem tunika odsłaniała grube łydki obciążone niskimi nogawicami, których podeszwy podbito drewnem. Płócienny czepek, zawiązany pod szyją, okrywał aż po uszy głowę, na którą Piotruś nasadził słomiany, powyginany kapelusz.

Isambora uśmiechnęła się do ogrodnika, potem podniosła i włożyła pod pachę lekką kołyskę, w której zmęczona upałem wciąż spała Doetta, by zanieść dziecko do łóżeczka.

Karmiła piersią dwoje ostatnich pociech, aż ukończyły dwa lata, co było wygodne i o tyle korzystne, że rzadziej zachodziła w ciążę. Ponadto ten zwyczaj miał w jej oczach tę zaletę, że wciąż zachowywała bliski kontakt z dzieckiem, jakby przedłużając okres brzemienności. I dlatego ogarniał ją smutek i niepokój, gdy zbliżała się pora odstawienia dziecka od piersi.

Trzymając wciąż Doettę w kolebce, weszła do domu, gdzie miała czuwać nad przygotowaniem posiłku.

Pokryty dachówką, zbudowany z ubitej gliny pobielonej wapnem i podtrzymywanej ryglówką dom, który miał tylko jedno piętro na kamiennym fundamencie, stał po zachodniej stronie podwórza. Pozostałą jego część, od południa i wschodu, zajmowały warsztaty, obory, budynki gospodarskie. Niewielka łaźnia znajdowała się na uboczu, w jednym z rogów czworokąta z ubitej ziemi, blisko prześwitu, w którym ogród, łąka, rzeka, równina tworzyły na północy rozległą perspektywę. Grand Feu otaczała solidna palisada.

Bernoldowi zależało na tym, aby domostwo było równie obszerne jak jego rodziców w Normandii. Osobiście doglądał podczas budowy najdrobniejszych szczegółów.

Na parterze mieściła się piwniczka na wino, spiżarnia, owocarnia. Po paru schodkach wchodziło się na pierwsze piętro, gdzie znajdowała się sala na tyle obszerna, że mogła się w niej zbierać cała rodzina. Wielką nowością w jej wyposażeniu, przynoszącą szklarzowi niemało satysfakcji, był okrągły kominek, ulokowany pośrodku izby, przy którym wszyscy mogli się ogrzać, tak by nikt nie czuł się pominięty.

Chociaż niedawny wynalazek przewodu wentylacyjnego pozwalał w nowo wznoszonych miastach i miasteczkach na budowę kominków z paleniskiem zamiast jak poprzednio zwykłych trzech otworów do odprowadzania dymu, większość z nich lokowano w narożniku lub pośrodku jednej ze ścian. Zimą tylko nieliczni mogli korzystać z ciepła. Wielu musiało się zadowolić miejscem z dala od paleniska.

Bernold entuzjasmował się tą innowacją, która zapewniała każdemu większą wygodę. Dzięki przemyślności nowych budowniczych wszyscy rozkoszowali się blaskiem płomieni.

Nad ogromnym płaskim kamieniem paleniska okap w kształcie piramidy był



skonstruowany z ogniotrwałych cegieł podtrzymywanych poprzecznymi drewnianymi belkami.

Wchodząc do swego domostwa, Isambora pomyślała, że zbliża się jesień, wkrótce skończy się wieczorne przesiadywanie na dziedzińcu albo w ogrodzie i trzeba będzie spędzać długie godziny przy okrągłym kominku, który nieustannie budził jej zachwyty.

Jeśli Bernold pragnął pokierować budową ich wspólnej siedziby, to z urzędzeniem izb zdał się całkowicie na żonę. O umeblowaniu sali i przyległych pokoi, które na modłę normandzką oddzielono jedne od drugich przegrodami z desek, a nie kotarami, zdecydowała wyłącznie Isambora.

Kufry, skrzynie, łoża, ławy, niegdyś należące do jej rodziców, odzyskała dzięki wspaniałomyślności Perryry, która powiedziała:

– Trudno się dziwić, bratanico, że je zabierasz. Twój brat w klasztorze niczego nie potrzebuje. Twój stryj i ja mamy dość sprzętów, a gdy odejdziemy z tego świata, Awelina będzie miała kłopot z tyloma gratami!

Po czteroletnim pobycie w Blois, na początku ich małżeństwa, Bernold i Isambora, przeprowadzając się do nowego lokum, przywieźli ze sobą trochę rzeczy, które były dla nich cenne. Przed wszystkim wielkie łoże z rzeźbionego drewna, z miękkim materacem, pierzyną, kapami podbijanymi futrem wiewiórki, poduszkami z delikatnego puchu. Było świadkiem wielu uścisków, gorących nocy...

Ale to nie była właściwa chwila, by pogrążyć się we wspomnieniach! Należało wydać dyspozycje co do kolacji.

Isambora postawiła kołyskę w rogu sali i weszła do przyległej kuchni, oddzielonej od sali zwykłą przegrodą z desek.

Margista właśnie wyjmowała z koszyka przyniesione przez Piotrusia warzywa, które kolejno wykładała na ciężki dębowy stół zajmujący środek pomieszczenia. Naprzeciw okienka, akurat otwartego, znajdował się kominek z podwójnym żelaznym hakiem, z niewielkim okapem, ale z paleniskiem zastawionym wilkami kuchennymi, garnkami, szufelkami, rusztami i patelniami. W jednym rogu – szeroki, płaski, wydrążony kamień, służący jako zlew, przedziurawiony na jednym końcu, aby zapewnić odpływ brudnej wody na zewnątrz. W drugim – skrzynia, która mogła pomieścić chleb na cały tydzień. Obok kominka – niski kredens, w którym przez uchylone drzwiczki widać było słoiki, dzbanki, miski, kubki cynowe lub drewniane, pudełka z przyprawami. Dwa taborety o czterech nogach, cebrzyki, kociołki, szczoteczki do popiołu, noże w płaskim koszyku, szpikulce do nadziewania mięsa, ręczniki, ścierki wiszące na ścianach koło zlewu dopełniały obrazu kuchni przeładowanej, lecz zarazem działającej pełną parą.

– Zamierzałam podać dwa smakowite pasztety z gołębi z podsmażaną cebulą, a także kuropatwy duszone w kapuście – rzekła Margista, gdy dołączyła do niej Isambora.

– Później naleśniki nadziewane trybulą i owczym serem, i kolacja byłaby gotowa. Ale to trochę za skromnie jak na świąteczny posiłek.

– Czy dziś rano, o świcie, Aljom nie złowił dwóch albo trzech szczupaków? – zapytała Isambora.

– Też o tym pomyślałam! Upiekę je na gałązkach rozmarynu, podlane winem i sokiem z winogron. Palce lizać!

– Dzieci lubią racuszki z szalwią. Piotruś przyniósł cały pęk, więc nie musisz skąpić. Przyrządź też surówkę z sałaty i roszponki, którą masz tutaj.

– Myślisz, pani, że to wystarczy?

– A ty jesteś innego zdania?

Margista uniosła podbródek.

– Skądże! Proszę się nie martwić. W razie czego dodam coś jeszcze według własnego pomysłu. Żeby robota szła szybciej, zawołam Bernardę. Z nią i Sancją jakoś sobie poradzimy.

– Teraz muszę nakarmić Doettę, której pewnie w brzuszku burczy z głodu – podjęła Isambora. – Jak tylko skończę, przyjdę pomóc waszej trójce.

Zgodnie ze zwyczajem, który sobie upodobała, usadowiła się z dzieckiem pod drzwiami sali, u góry schodków prowadzących na dziedziniec, w niewielkiej sionce, którą tworzył występ dachu pokrytego dachówką.

Podtrzymywany dwoma grubymi palami, ten okap osłaniał wąski pas wyłożonej płytami posadzki. Podmurówka, która w tym miejscu była obniżona, tworzyła w ten sposób z jednego boku rodzaj szerokiego okna, przez które widać było, co się dzieje na podwórzu. To schronienie, osłonięte od deszczu i wiatru, Isambora bardzo lubiła i często siadała na drewnianej ławce opartej o wysoki mur, naprzeciw otworu ściennego wychodzącego na zewnątrz budynku.

Zależnie od pory roku, na dębowej belce obrzeżającej od dołu ten otwór okienny, ustawiała doniczki z niezapominajkami, lewkoniami, nagietkami, wrzosem lub koniczyną. Pod koniec owego lata parapet z chropowatego drewna rozweselały białe koniczyny i róże.

Doetta się obudziła. Jej spojrzenie przez chwilę błędziło, po czym spoczęło na twarzy matki i usteczka dziecka rozchyliły się w szerokim uśmiechu.

Isambora wyjęła dziewczynkę z kołyski i wyciągając do przodu ręce, podniosła drobne ciało owinięte w powijaki. Wkrótce należało je zdjąć, bo mała zaczynała już chodzić i coraz gorzej znosiła te krępujące ją podczas odpoczynku opaski.

Nie taka ładna jak jej siostry, ale bardziej krzepka, miała wesołe usposobienie i wilczy apetyt.

Całkowite oddanie, bezgraniczna ufność, jaką maluchy okazują tej, która je żywi swoim mlekiem, zawsze wzruszały Isamborę. Jęła miłośnie całować jeszcze rozgrzane snem policzki, cienki nosek, wdzięczną szyjkę, przesuwając wargami po wilgotnych fałdkach, których dziecięcy zapach lekkiego potu i wody kwiatowej nabierał pod rudymi loczkami subtelnego aromatu, kojarzącego się młodej matce z wonią piór jeszcze ciepłych, świeżo upolowanych kuropatw.

Doetta roześmiała się. Miała jasnobrązowe oczy, w odcieniu dojrzałych orzechów laskowych.

Posadziwszy córeczkę na kolanach, Isambora rozpięła z przodu kaftan, potem koszulę. Dwa pieprzyki, po jednym na każdej piersi, powiększyły się. Niczym ciemne ziarenka odznaczały się na białym, dobrze rozwiniętym ciele, a przez skórę prześwitywała teraz siateczka niebieskich żyłek.

Aby świeżo wyrżnięte ząbki nie pogryzły i nie zraniły sutka, wokół którego się

zaciskały, Isambora wkładała palec między malutkie, zachłanne szczęki. Pochylona nad Doettą, ssącą zapamiętałe, nie słyszała nadchodzącej Gresji.

Nagle, wydłużony przez promienie zachodzącego słońca, na matkę i dziecko padł cień.

Isambora podniosła wzrok.

– Znasz nowinę, córko? – zapytała pospiesznie. – Jerozolima jest wyzwolona!

– Wiem. Wszyscy o tym mówią. We Fréteval ludzie tańczą pod kościołem. Baron Salomon kazał odbić parę beczek wina w nowej hali targowej.

Odpowiadając, Gresja łagodnie głaskała oswojoną łasiczkę, którą nosiła wczepioną w lewe ramię. Od tej strony rysy dziewczyny zachowały pierwotny kształt: przezroczystą skórę, wyraziste brwi, jasny meszek włosów, niezmacone spojrzenie. Z drugiej wszystko było pokiereszowane...

– Hrabia i hrabina Blois zaprosili nas na jutrzejszy festyn, który odbędzie się w zamku po uroczystej mszy dziękczynnej – rzekła Isambora. – Twój ojciec postanowił wszystkich nas tam zabrać.

– Mnie też?

– Oczywiście, córeczko! Dlaczego pytasz?

– Tak sobie... Pójdę do Konstancji, bo właśnie wróciła z gęsmi. Pomogę jej nakarmić ptaki w wolierze.

Ruszyła pędem i znikła.

„Co robić, Najświętsza Panienko, co robić? Jak naprawić taką krzywdę? Co dać, Matko Boska, aby nasza córka odzyskała swą piękną, nieskalaną twarz? Poświęciłabym bez namysłu dziesięć lat życia, gdybym mogła w ten sposób przywrócić jej zdrowie. Nieustannie Ci to powtarzam... ale na pewno nie mam racji, uparcie Cię o to błagając. Prawdziwa modlitwa, jak mówi Roland, to taka, w której nasza wola stapia się z wolą Najwyższego, a nie ta, którą w swojej niewiedzy wnosimy do Niego, mając na uwadze nasze bardzo ludzkie cele. On jeden wie, co jest dobre dla naszych dusz, a co nie jest. Przyznaję, a jednak nieustannie oczekuję cudu...”

Raptem u stóp schodów dała się słyszeć piosenka, zapowiadająca pojawienie się Albina. W wieku pięciu lat chłopiec nie widział świata poza muzyką. Całymi dniami grał na fujarce lub na flecie z Hagenierem, synem Gerbalda Swojaka. Żyjąc tylko dla swojej sztuki, niewidomy muzyk lubił uczyć tych, co dzielali jego pasję.

Jedyny potomek rodu podobny do swej babki, matki Isambory, brunetki o czarnych oczach, Albin był zupełnie inny niż reszta rodziny. Mówiono, że w czasie inwazji Maurów jeden z jego przodków nawrócił, a potem poślubił młodą saraceńską piękność... Może była to tylko legenda. Nikt nie wiedział. Niemniej jednak wśród mieszkańców Poitou spokrewnionych z babką Albina trafiali się osobnicy o ogorzałej cerze i ciemnych oczach.

– Ułożę piosenkę na jutrzejsze święto – oznajmił chłopiec, podbiegając do Isambory, i ze śmiechem władował się na jej kolana. – Zobaczysz, będzie bardzo ładna.

Przebiegły jak kot i jak on ceniący sobie swobodę, miał już własne zapatrywania.

– Mój mały księżę – powiedziała Isambora, która lubiła go tak nazywać, bo przypominał jednego z Trzech Króli, którego Bernold przedstawił na jednym ze swych

witraży – mój mały książę, proszę, nie zaduś tej niewinnej istotki!

Pomimo szarpnięć spowodowanych bezładnymi ruchami brata Doetta wciąż ssła pierś z takim samym apetytem. Nie przejmując się nią, Albin przyciskał do matczynej łona głowę o gęstych włosach, kędzierzawych jak runo czarnego jagnięcia.

– Wymyśliłem wesołą, bardzo wesołą melodię – powtarzał, nucąc – taką wesołą, taką wesołą...

Aljom, nadchodząc od strony warsztatu i niosąc Filipę na barana, wbiegł, przeskakując po dwa stopnie, na schodki prowadzące do sionki.

– Mamusku, twój najmłodszy syn zostanie żonglerem! – zawołał, stawiając Filipę przy drewnianej ławie. – Nie wiem, co innego mógłby robić z takim zamiłowaniem do muzyki!

– Zostać mnichem i śpiewać godzinki w swoim zakonie – odparła Isambora, śmiejąc się. – Byłoby to coś cudownego mieć dziecko poświęcone Bogu!

– W takim razie musi nabrać mądrości – podjął Aljom. – Na mojego i jego świętego patrona, daleka przed nim droga!

Filipa pochyliła się, aby popatrzeć, jak Doetta ssie mleko. Palcem musnęła rude loczki.

– Czy mój ojciec chrzestny zje dziś z nami kolację? – zapytała, prostując się.

– Wkrótce powinni nadejść oboje z żoną.

Gildas, który został mistrzem młynarskim, gdy jego ojciec, tknięty paraliżem nóg, nie mógł już zajmować się młynem, był jednym z najlepszych przyjaciół Bernolda. Często spędzał wieczory w Grand Feu. Jego żona Bazylia, córka kowala, która niegdyś pracowała w szwalni pani Hildeburgi, zawsze mu towarzyszyła. Ożenił się z nią parę lat po ślubie Isambory. Od tamtej pory nikt już nie napomykał o jego nieszczęśliwej młodzieńczej miłości. Po paru poronieniach okazało się, że Bazylia nie może mieć dzieci. Wtedy para adoptowała dwoje sierot, Julianę i Damiana, których rodzice zachorowali na trąd, a więc musieli zostawić córkę i syna, i przenieść się do pobliskiego szpitala dla trędowatych, skąd nigdy już nie wyjdą.

W porze kolacji, gdy Gildas i Bazylia weszli do sali, gdzie ustawiono już stół, Isambora, która chwilę wcześniej zdjęła kaftan z grubego płótna, przebrała się w inny, szkarłatny, i przygładziła włosy na czole, po czym przykryła je białym lnianym welonem, przyjmując gości, jeszcze raz pomyślała, że jej niegdysiejszy kawaler bardzo się zmienił.

Coraz bardziej przypominał swego ojca, Benedykta Wielojada. Ta sama potężna postura, identyczne szerokie i spokojne gesty, te same niewdzięczne rysy, ten sam wydatny nos, te same kasztanowobrazowe oczy, w których jednak pobłażliwość zastąpiła kpiarstwo, a uprzejmość nieustannie okazywana innym – wścibstwo.

W wieku lat trzydziestu pięciu młynarz był ważną osobistością. Mianowany prewotem nowego miasta przez przeora Świętego Mikołaja we Fréteval, który przy każdej okazji, zarówno publicznie, jak prywatnie, podkreślał, że darzy go szacunkiem, Gildas uchodził za bogacza. Pomimo mądrości, o jakiej świadczył jego sposób bycia, tą reputacją sściągął na siebie niezyczliwość lub wręcz wrogość niektórych.

– No cóż – powtarzał z rezygnacją – młynarze nie są lubiani! To powszechnie znana prawda. Cokolwiek by zrobili, zawsze ktoś im wypomni pieniądze ze sprzedaży

produktu tak niezbędnego, że prości ludzie chcieliby dostawać go za darmo. W gruncie rzeczy mają słuszość. Czyż nie prosimy codziennie Wszechmocnego, by d a w a ł nam chleb powszedni?

Ale w dniu zwycięstwa rozmowa toczyła się jedynie wokół zdobycia Jeruzalem, skutków, jakie pociągnie to za sobą dla pielgrzymów, sławie, jaką opromieni to całe wojsko Franków, może również założenia chrześcijańskiego królestwa w tej krainie, gdzie urodził się i zmarł Chrystus przed swoim Zmartwychwstaniem.

Siedząc przy stole z długich wąskich desek, rodzina, czeladnicy, służba, przyjaciele oddawali się tylko radości.

Bernold zajmował honorowe miejsce z Isamborą po prawej i Bazylią po lewej ręce.

Raczej chuda niż szczupła małżonka Gildasa wszystkim, którzy na nią patrzyli, ukazywała wąską twarz, jakby uwięzioną między okalającymi ją jasnopopielatymi warkoczami. Na pierwszy rzut oka Bazylia wydawała się przygaszona, ale gdy się odezwała, jej trafne zdania, wypowiedane pewnym, choć stonowanym głosem, skłaniały rozmówców do zrewidowania opinii o niej.

Isambora, znająca ją od dzieciństwa, wiedziała, że należy do kobiet, u których pod delikatną powierzchownością kryje się żelazna wola. Jej wrażliwym punktem było jednak bezgraniczne przywiązanie do męża. Jeśli powiedział choćby jedno słowo, podnosiła na niego duże, wyłupiaste oczy, jakimi obdarzyła ją natura, z takim czułym podziwem, że wyglądała jak orantka zasłuchana w swego Boga.

– Jedyne, czego można żałować, gdy mówimy o tym cudownym wydarzeniu, tak ważnym podboju – rzekła, nadgryzając naleśnik z koprem – to, że świątobliwy papież, który zapoczątkował całe przedsięwzięcie, zszedł z tego świata tuż przedtem i nie zdążył się dowiedzieć, że ziściło się jego wielkie marzenie.

– Na mą duszę! Mówisz prawdę! – przyznał Bernold. – Jeszcze kilka tygodni, a Urban II ujrzałby swoje panowanie ukoronowane najpiękniejszą z tiar: murami Jerozolimy!

– Zupełnie jak Mojżesz umierający u progu Ziemi Obiecanej, odszedł, zanim ludzkie zarozumiałstwo obróciło wniwecz jego sprawiedliwe postępowanie – stwierdził Gildas. – Zdaje się, że Pan Bóg oszczędza grzechu pychy tym, którzy okazali się jego najlepszymi zarządcami na ziemi.

– Strzeże ich przed wszelkim pobłażaniem sobie, bo tylko nieliczni potrafią się przed tym bronić, gdy osiągną tak niebywały sukces... – dodała Isambora. – Trzeba być świętym, by w pewnych okolicznościach zachować pokorę!

Bernold rzucił jej na poły pytające, na poły rozbawione spojrzenie i wybuchnął grzmiącym śmiechem, domagając się wina nadloarskiego.

W rozgrzanej izbie, gdzie unosiły się smakowite wonie wiktuałów zmieszane ze swojskimi zapachami, owymi wyziewami charakterystycznymi dla każdego domostwa, w których łączą się zapachy ognia, świec, przypraw, wosku, tradycyjnych potraw, Isamborę nagle ogarnęło wstrząsające wrażenie pełnego szczęścia.

Wszyscy, którzy się tam znajdowali, z różnych powodów byli jej bliscy. Dzielili z nią wszelkiego rodzaju odczucia, wspomnienia, projekty, obowiązki. Tworzyli jej rodzinę, grupę, krąg jej domowników. Uświadomiła sobie z wyjątkową wyrazistością

trwałość więzi istniejącej między nią a współbiesiadnikami, a także opieki, jaką ją otaczali.

Ujęła dłoń Bernolda i ścisnęła ją z całej siły, a że nagle poczuła się spełniona ponad wszelkie wyobrażenie, łzy napłynęły jej do oczu...

Jednocześnie zaczęły ją gryźć wyrzuty sumienia. Jak mogła doznawać gwałtownej radości, dostrzegając hojne dary losu, gdy tuż obok Gresja ukazywała jej, zależnie od tego, czy obróciła głowę w prawo czy w lewo, profil jak z witraża albo jak z koszmarnych majaków? Czy była tak samolubna, że potrafiła zapomnieć o tej niedoli i o nieobecności Henrysia? Wydało jej się, że wykazuje małoduszność i oschłość serca...

– Czy to jedynie w blasku świec tak lśnią twoje oczy, najdroższa, czy też jest jakaś inna przyczyna? – zamruczał jej do ucha Bernold.

– Nie wiem, drogi mężu, sama nie wiem... Słodczyz niektórych chwil jest tak przejmująca, że aż sprawia ból.

– Niebawem przepędzę twój ból, niech mi Bóg wybaczy, i zamienię go w zupełnie inne uczucie...

Znała to jego spojrzenie wymykające się spod rzęs niczym promień słońca wpadający do ciemnego pokoju...

– Poczekajmy... Potem będzie jeszcze potężniejsze – szepnęła bez tchu.

Następnie odwróciła się do Gildasa, który siedział po jej prawej stronie, i zaczęła z nim gawędzić o święcie mającym się odbyć nazajutrz.

Ulokowany między Bazylią i położną Amalbergą Aljom rozmawiał na przemian z każdą z nich. O ile czuł się swobodnie z małżonką młynarza, której dowcipne odzywki przypadały mu do gustu, o tyle w obecności Amalbergi miał uczucie zażenowania, jakie zawsze w nim budziła.

Wysoka i tęga, z ogromnym biustem i rozepchanym brzuchem, jakby wszystkie niewiasty, którym pomagała rodzić, zostawiały jej w zamian odrobinę swojej tuszy, była w dodatku obdarzona żarłocznymi ustami. Dolna warga w wystającym podbródku była wysunięta znacznie bardziej do przodu niż górna. Toteż mówiąc, położna ukazywała szereg płaskich i ostrych jak łopaty zębów, którymi była gotowa – zdawało się – spałaszować wszelkie apetyczne ciało w zasięgu wzroku.

W rzeczywistości była to doskonała akuszerka, po którą posyłano nawet z dalszych okolic Fréteval. W dolinie nie było brzdąca, któremu nie pomogłaby przyjść na świat.

Chociaż Aljom wiedział, że jego własna matka, odkąd mieszkała w Grand Feu, wzywała Amalbergę, aby asystowała przy każdym z jej porodów, pochlebiał sobie, że urodził się w Blois, w czasie gdy jego rodzice nie znali jeszcze Gerbalda Swojaka i jego krzepkiej połowicy.

Jak te dwie potężne istoty mogły spłodzić takiego syna jak Hagenier? To niezgłębiona tajemnica, równie wielka jak bieg słońca po niebie i pory roku powracające w niezmiennym cyklu.

Aljom rzucił okiem na kraniec stołu przeciwległy do tego, gdzie zajmował miejsce jego ojciec.

Między Sancją, która wciąż się zrywała, by pomóc matce w kuchni i w obsłudze gości, a Konstancją, gęsiarką, która była bardzo nieśmiała, Hagenier siedział w milczeniu.

Ślepy od urodzenia, interesował się tylko muzyką. Pewnie by mu zrekompensować wszystko, czego pozbawiało go kalectwo, natura wyposażyła chłopca w fenomenalny zmysł muzyczny. To on przygrywał na weselach w promieniu dziesięciu mil. Nie odbyło się żadne wesele, w którym by nie uczestniczył ze swoim fletem, fujarką lub kobzą.

Nie znano nikogo, kto miałby lepszy słuch w całej krainie Blois.

– Co skomponujesz na cześć zdobycia Jerozolimy, Hagenierze? – zapytał Aljom, przechylając się przez stół. – Założę się o miejsce w raju, że właśnie układasz hymn w swoim stylu!

– Na świętą Cecylię, patronkę muzyków, mówisz prawdę. Myślę, że znalazłem nuty, na jakie zasługuje tak wielkie zwycięstwo!

Pomimo chudości, tyczkowatego, niezgrabnego ciała, ślepoty Hageniera trawiła pasja: jego koścista twarz, odmieniona uczuciem, że słyszy i przekazuje niepowtarzalne akordy, wydawała się oświetlona od wewnątrz, tajemniczo uszlachetniona. Tego promieniowania nie zdołał przyćmić nawet zamglony wzrok.

Po drugiej stronie stołu Amalberga przyglądała się synowi z mieszaniną niepokoju i podziwu.

– Bóg mi świadkiem – rzekła – pomogłam przyjść na świat tylu dzieciom, ile jest pcheł w sierści mojej suczki, i tylko to jedno, moje własne, wydaje się zagubione na tym świecie, z dala od nieba!

Gresja, która właśnie usiadła między Gildasem i Remigiuszem, znalazła się naprzeciw położnej.

– Gdybym była tobą, pani – obruszyła się – wcale bym się nie skarżyła! Twój syn ma dużo szczęścia, bo nie widzi otaczającej go brzydoty... Słyszysz już przepiękne melodie, którymi rozkoszują się błogosławieni!

Gildas nachylił się ku niej.

– Ty zaś śpiewasz w chórze dziecięcym u Świętego Leobina – rzekł – a twój głos uchodzi za bardzo czysty.

– Kiedy się śpiewa z innymi, to jakby ktoś nas prowadził – odparła Gresja. – Ale na tym się kończy cała moja sztuka. Nie umiem nic skomponować.

– Nie można mieć talentu do wszystkiego! – wykrzyknął Remigiusz. – Nie potrafisz wymyślać nowych melodii, za to umiesz rysować. Coś za coś.

Gresja obróciła się do niego. Ponieważ siedział na prawo od dziewczyny, miał przed oczami oszpeconą część jej twarzy wraz z wybitym okiem.

– Bardzo lubię rysować – przyznała. – Ojciec mnie nauczył, kiedy byłam całkiem mała.

Dwoma palcami chwyciła kawałek kuropatwy duszonej w kapuście, którą Sancja postawiła na stole, pokrojoną, na półmisku wspólnym dla dwojga młodych ludzi.

– Ale to nie to samo – dokończyła. – Muzyka pomaga zapomnieć o świecie.

W jej głosie wyczuwało się rozgoryczenie. Wkrótce miała skończyć trzynaście lat, a wśród jej znajomych rówieśniczek w dolinie niejedna szykowałą się już do małżeństwa.

Poruszony wyznaniem, które się dziewczynie wymknęło, Remigiusz położył dłoń na jej szczupłym nadgarstku, wysuwającym się z rękawa lnianej koszuli, którą częściowo odsłaniał kaftan barwy szafranowej.

– Wiesz, że jestem twoim przyjacielem i podziwiam twój talent – zapewnił ją, starając się, by jego głos zabrzmiał jak najcieplej.

Miał przejrzyste spojrzenie i nieco wymuszony uśmiech. Nie bardzo wiedząc, jak udowodnić swojej sąsiadce przy stole dobrą wolę, z jaką się do niej odnosił, zżymał się w duchu na błahość swoich słów. Starszy od niej tylko o trzy lata, uważał się za bardziej dojrzałego, a jednocześnie mniej bystrego.

Podziwem, respektem, jaki żywił wobec szklarza, ogarniał całą jego rodzinę. Chciał pomóc córce człowieka, którego darzył nabożnym szacunkiem, okazywanym z reguły przez ucznia mistrzowi.

Jego matka Bernarda, surowa, a nawet nieokrzesana, która również uczestniczyła w przyjęciu, ale jak to miała w zwyczaju, nie odzywając się słowem, wychowywała go w kulcie zmarłego ojca. Pamięć o nieboszczyku mocno zaciążyła na egzystencji młodego Remigiusza. Czasem wydawało mu się, że łatwiej by zniósł obecność żywego człowieka, jakikolwiek byłby jego charakter, niż cień zmarłego, którego tragiczny koniec czynił uosobieniem wszelkich cnót.

Z biegiem czasu uczeń przeniósł na Bernolda uczucia synowskie, których nie miał do kogo skierować. Wypadek, jakiemu dwa lata wcześniej uległa Gresja, napełnił go przerażeniem. Od tamtej pory uważał ją za istotę prześladowaną przez zło, którą powinien ze względu na Bernolda otaczać opieką i troską.

– Rysunki ułatwią mi później pracę z Aweliną, w Blois, dla hrabiny Adeli – podjęła Gresja. – Hafty i tapiserie muszą być najpierw przedstawione na pergaminie, zanim się je wyszyje.

– Zamierzasz wyjechać...

– Pewnie, przecież nie wyjdę za mąż.

Stwierdziła to stanowczym tonem. Gildas w mig wyczuł jego ostrość.

– Nie rozstrzygaj tak od razu, kruszyno, zamiast Tego, który jest Wszechmocny – wtrącił. – Cóż my wiemy o naszej przyszłości? Często układa się całkiem inaczej, niż sobie wyobrażaliśmy.

– Moja może być tylko samotnicza – odrzekła Gresja. – Kto by mnie jeszcze chciał?

– Nie brak ludzi zdolnych zainteresować się sercem i umysłem tych, których życie poturbowało.

– Nie zniosę niczyjej litości!

Podniosła głos. Wszyscy ją usłyszeli. Zapadła krępująca cisza.

– Córeczko – powiedziała Isambora – proszę, nie wyrządzaj krzywdy sobie, jak również nam. Wszyscy przy tym stole cię kochają, dobrze wiesz.

– Wy mnie kochacie, ojcze i ty matko, bo jesteście moimi rodzicami, a tutaj są tylko bliskie mi osoby, ale inni? Wszyscy inni?

Twarz jej pobladła, co jeszcze podkreśliło niezdrową barwę spuchniętego ciała, fioletowawych blizn z prawej strony.

– Na Boga prawdziwego, znajdziesz chłopca, który potrafi docenić twoje zalety. Wielkie zalety – zapewnił Bernold, który też zrobił się bledy jak ściana.

– Z tą twarzą straszysz? – wrzasnęła Gresja, zrywając się na równe nogi, zalana falą niepohamowanej rozpacz. – Spójrz na mnie, ojcze! Tylko na mnie spójrz! Zawsze



odwracasz oczy, kiedy jesteśmy razem. Podobnie jak ci, których spotykam, jak ci, którzy są tutaj! Jeśli ty nie możesz ścierpieć mojego widoku, myślisz, naprawdę myślisz, że jakiś mężczyzna nie stąd zdoła się przemóc?

– Błagam cię, ukochana córeczko, błagam, uspokój się – zaklinała ją Isambora. – Dlaczego przesądzasz o przyszłości? Dlaczego wątpisz w miłosierdzie Boże?

– Może Bóg mnie doświadczył, aby was ukarać za sposób, w jaki się pobraliście! – rzuciła Gresja twardo. – Chciał pokazać, że was gani i potępia wasz czyn!

W sali skrępowanie zamieniło się w konsternację.

– Nie ma tu nikogo, kto by nie rozumiał twojego smutku – zagaiła Bazylija pojednawczo. – Od dawna zdajemy sobie sprawę, ile zgryzoty i upokorzeń musiało cię kosztować to straszliwe nieszczęście, ale podziwialiśmy również twoją odwagę. Nie trać jej teraz, odnosząc się wrogo do matki, obwiniając ją o wypadek, do którego się wcale nie przyczyniła.

– Wiem tylko to, co z przerażeniem czytam w oczach tych, którzy na mnie patrzą! – wrzasnęła Gresja. – Mówcie, co chcecie: nikt, nikt, słyszycie, nie może pojąć, jakie to okropne!

Nagle puściły jej nerwy. Szlochając, osunęła się na blat.

Amalberga z trudem wstała z miejsca. Obeszła stół, stanowczym gestem odsunęła Bernolda i Isamborę, którzy podeszli do zgnębnego dziecka, zastanawiając się, co począć, i zwróciła się najpierw do nich.

– Zostawcie ją – rzekła półgłosem. – Zostawcie ją. Wiem, co zrobić. Nie ją pierwszą spotkałam na swojej drodze w oplakanyim stanie. Nieszczęścia chodzą po ludziach... Zabiorę ją do siebie i uspokoję.

Pochyliła się nad młodym, wstrząsanym spazmami ciałem, położyła swoje szerokie ręce akuszerki na ramionach, które drżały.

– Chodź, kruszyno, chodź – rzekła. – Musimy porozmawiać w cztery oczy. Znam napar, który ukoji twoje nerwy.

Gresja wyprostowała się i z twarzą osłoniętą zgiętym ramieniem wstała z ławki, aby pójść z Amalbergą.

Gdy obie wyszły, Gildas zwrócił się do Isambory:

– Nie zamartwiaj się słowami tego biedactwa – doradził. – Nie wiedziała, co mówi.

– Na Boga! Powinna dostać ode mnie po buzi, żeby się opanowała – oznajmił Bernold – ale była tak godna pożałowania...

– Dobrze zrobiłeś, mój drogi, powstrzymując się od tego. Nikt nie wie, jak by się zachowała, gdybyś ją skarcił...

Isambora z powrotem usiadła; cała jej radość gdzieś się ulotniła. Zdecydowanie, nic szybciej nie przemija niż chwile szczęścia!

– Nie powinniśmy zwracać uwagi na głupstwa, jakie wygaduje nasza córka – podjął Bernold, zajmąwszy swoje miejsce. – Za młoda jest, by przejść śpiewająco przez tak ciężką próbę, której nie zniosłoby nawet wielu dorosłych. Wybaczmy jej niestosowne oskarżenia. Pamiętajmy, że ona cierpi, i tak się zachowujmy, jakby nic nie powiedziała.

Każdy starał się znów nawiązać rozmowę, ale wesołość była wymuszona. Kolację kończono w mniej ożywionej atmosferze.

Po racuszkach z szałwią i drażach biesiadnikom czas się dłużył.

Jedynie zaimprovizowana melodia, jaką Hagenier wygrywał na flecie na cześć odbitej Jerozolimy, nieco poprawiła nastrój przyjęcia, podczas którego wszyscy czuli się nieswojo.

Gildas i Bazylia dość wcześnie się pożegnali, tłumacząc, że nazajutrz muszą wstać wcześnie rano. Ponieważ z początkiem września dni się szybko skracają, wyszli w ciemną noc, przyświecając sobie latarnią.

Gerbald Swojak prowadził niewidomego syna, Bernarda, Remigiusz i Konstancja też wrócili do swoich domów.

Piotruś Ogrodnik dołączył do Margisty w kuchni. Pomagał jej ustawiać talerze, miski, kubki, podczas gdy Sancja i Aljom sprząтали ze stołu.

Bernold wyszedł na dwór, aby sprawdzić, czy bramy są pozamykane.

Przy kufrze, na którym podano wino zaprawione korzeniami i mleczko migdałowe, Isambora, zwykle bardzo aktywna, siedziała, trzymając ręce na kolanach, z nieobecnyim wzrokiem, jakby zapomniała, że trzeba odstawić na miejsce opróżnione kufle i kieliszki. Wyrzuty Gresji dotknęły ją do żywego. Nieustannie o nich myślała.

„Ci, których kochamy, bardziej niż ktokolwiek inny potrafią zadawać nam katusze – dumiała. – Pod tym względem moje dzieci tylko trochę ustępują Bernoldowi. Jeśli o nie chodzi, każdy pretekst jest dobry! Wielki Boże, czy miłość musi być źródłem cierpienia? Czy nasze uczucia muszą stawać się bronią wymierzoną przeciw nam samym, a ci, co są nam najbliżsi, naszymi największymi katami? Nie czuję się winna wobec Ciebie, Panie, z powodu związku, który pobłogosławiłeś później, zapewniając mu płodność... Nie, to małżeństwo nie może być przyczyną nieszczęścia mojej córki. Jej oskarżenie jest bezpodstawne, jednak jej ataki rozdarły mi serce...”

Aljom przeniósł już prawie wszystkie deski i kozły do komórki. Podeszedł do Isambory, wciąż pogrążonej w zadumie.

– Gresja straciła rozum – szepnął. – Sama nie wierzyła w to, co mówi. Matko, droga matko, proszę, nie bądź taka nieszczęśliwa!

– Niestety – odparła Isambora – od dawna wiedziałam, że twoja siostra tłamsi w sobie jakieś zarzuty wobec mnie. Nie domyślałam się jakie. Teraz nie mogę udawać, że ich nie znam. W tym, co się jej przydarzyło, dopatruje się skutków związku, jaki zawarliśmy kiedyś twój ojciec i ja. Wszystko to bez ładu i składu, ale jej uraza jest całkiem rzeczywista. Przeraża mnie to.

– Nie powinno, matko! To były słowa rzucane na wiatr. Nie psuj takiego dnia jak ten z tak błahego powodu. Gresja boi się przyszłości... swojej przyszłości. Nie może się pogodzić z utratą urody.

– Los potraktował ją tak okrutnie, synu!

– Boże sprawiedliwy! Dobrze o tym wiem i jak wszyscy tutaj, staram się, by o tym zapomniała. Jednak wszystko ma swoje granice. Szczerze żal mi siostry, ale jej cierpienie nie dość usprawiedliwia napaść na ciebie w samym środku kolacji.

– Wyrzuciła z siebie to, co jej leżało na wątrobie, tak gwałtownie, jakby pękł wrzód. Jej napastliwość świadczy, że ból przenika ją do głębi.

Wrócił Bernold.

– Nasza córka śpi u Amalbergi – rzekł. – Właśnie stamtąd wracam. Leży spokojnie. Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli tam przenocuje. Jutro przed wyjazdem do Blois spróbuję przemówić jej do rozsądku.

Isambora potrząsnęła głową.

– Czyż można być rozsądnym w jej wieku, gdy na człowieka spadnie taki cios?

– Jeśli nie pogodzi się z nim z własnej woli, trzeba będzie ją do tego skłonić – westchnął Bernold. – Powinniśmy ją o tym przekonać.

– Nie posłucha nas. Uwierzy jedynie osobie spoza rodziny, cieszącej się w jej oczach autorytetem.

– Też o tym myślę – zawołał Aljom, klaszcząc w ręce. – Taka osoba istnieje! Jej matka chrzestna!

– Albrea? To prawda, że obie się doskonale rozumieją – stwierdził Bernold.

Isambora zastanawiała się.

– Tak, Gresja znajduje wspólny język z naszą przyjaciółką – przyznała. – Masz rację, synu, sądząc, że Albrea może nam pomóc. Powinna była o tym pomyśleć. Po osobistych tragediach, jakich doznała, łatwiej niż ktokolwiek zrozumie znękaną duszę Gresji...

Isambora znów ujrzała siebie w zaraniu życia, w pięknej siedzibie mincerza, odkrywającą w głębi komnaty nieszczęsną narzeczoną-wdowę, która nie umiała zapomnieć, wegetowała jak zwiędła roślina...

– Skoro jedziemy jutro do Blois – rzekł Bernold – czemu nie skorzystać z okazji, droga żono, i nie zostawić Gresji na jakiś czas u matki chrzestnej? Albrea przyjmie ją z radością.

– Na pewno. Teraz, gdy Helwiza odjechała daleko, jej matka poświęca życie wszystkim, którzy potrzebują wsparcia. A jest ich legion. Nasza córka nie znalazłaby bardziej szczerzej przyjaciółki i lepszej doradczyni.

Helwiza nigdy nie wyszła za mąż. Zdrowie odzyskiwała powoli, przez co rzadko obcowała ze swoimi rówieśnikami. Gdy już całkiem doszła do siebie, najpierw postanowiła zajmować się chorymi z pobliskiego szpitala, dokąd jej matka często się udawała. Ale, wrażliwa z natury, nie mogła znieść widoku tylu nieszczęść. Znów zamknęła się w sobie i trwała w odrętwieniu, dopóki nie dotarła do niej, niczym ożywcze tchnienie, nowina o szykującej się wielkiej wyprawie tych, co pragną wyzwolić Grób Chrystusa. Urban II zawitał do Chinon, Vendôme, Tours podczas długiego objazdu Francji, jaki przedsięwziął, aby wzywać lud boży do wyzwolenia miasta zajętego przez niewiernych. Helwiza słyszała jego orędzia. Wstrząsnęła nią wiadomość o świętokradztwach popełnianych w miejscach świętych i zrozumiała konieczność wzięcia Krzyża. Wszędzie tam, którędy przejeżdżał, papież wywoływał wrzenie. Mężczyźni, kobiety, dzieci, porzucając dotychczasowe życie, postanawiali natychmiast wyruszać i jechać do Jerozolimy! Jak wielu innych Helwiza została dotknięta łaską. Oznajmiła rodzicom o swej niezłomnej decyzji dołączenia do grupy dziewcz i wdów, które przysięgły, że nigdy się nie rozstaną, dopóki nie będzie im dane wspólnie postawić stopy na ziemi, po której niegdyś chadzał nasz Pan Jezus Chrystus.

Od czasu jej wyjazdu dwu- lub trzykrotnie, przez powracających docierały o niej

wieści. Dobrze się czuła, popadała w różne tarapaty, z których jednak zawsze się wykaraskiwała. Przekazywała bliskim, że pomodli się za nich przy Świętym Grobie, kiedy wreszcie do niego dotrze.

Nic więcej nie wiedziano.

„Czy należy do tych, którzy doszli, po tylu cierpieniach, zdradach, momentach grozy do celu podróży? – zastanawiała się Isambora. – Czy morderczy klimat, brak żywności, epidemie, o których wspominają powracający do kraju, nie mówiąc o niewiernych prześladowających chrześcijan, nie zmoły tak delikatnej istoty? Czy uzyskała rekompensatę za to, że położyła wszystko na jedną szalę, usłyszawszy wezwanie?”.

Młoda kobieta wstała.

– Robi się późno. Pora iść spać – rzekła. – Noc pomoże nam w powzięciu decyzji.

Jak zwykle co wieczór poszła do kuchni, by sprawdzić, czy dobrze przysypano popiołem ogień w palenisku, gdzie roznieci się go dopiero nazajutrz rano. Potem wróciła do syna i małżonka.

– Na szczęście Filipę i Albina ułożyłam do snu przed kolacją – powiedziała do Bernolda, gdy znaleźli się w swojej komnacie. – Byłoby mi bardzo przykro, gdyby uczestniczyli w scenie, jaką urządziła nam Gresja.

Nad parą, w spokojnym blasku świecy stojącej na taborecie u wezglowia szerokiego łoża nakrytego tkanymi w domu kapami, pokój zamknął się niczym kokon.

Wbrew zwyczajom panującym w okolicy dzieci nie wpuszczano do sypialni rodziców. Aljom i Albin z jednej strony, a Gresja i Filipa z drugiej, spali w niewielkich komórkach oddzielonych od siebie drewnianymi przegrodami.

Jedynie Doetta miała jeszcze prawo do kącika w pobliżu matczynego pośłania. Isambora pochyliła się nad uspioną najmłodszą pociechą i dłuższą chwilę się jej przyglądała.

– Jestem zdana na twoją łaskę – wyszeptała, obracając się ku mężowi, który się rozbierał. – Całkowicie zdana na twoją łaskę. Twoją, w pierwszej kolejności, ukochany, a następnie tych, których razem poczęliśmy. Jak owoc naszych własnych ciał może któregoś dnia stać się taki gorzki?

Bernold wieszał ubrania na długim poziomym drągu wbitym w ścianę najbliżej łożka, przeznaczonym na rzeczy, które zdejmowało się na noc. Przywykły do tego, że żona zajmuje się Doettą, zanim sama się przygotowuje do snu, i sądząc, że już się uspokoiła, nie zauważył, jak długo stoi przy kołysce. Dopiero ton jej głosu go zaalarmował.

– Na mą duszę, nie chcę, najdroższa, żebyś była taka smutna i zboląła – rzekł, podchodząc do niej. – Nie zniosę tego.

Przytulił ją.

– Zapomnij, zaklinam cię, o bredniach, których się nasłuchałaś dziś wieczorem. Zapomnij o nich! To tylko wybryki bez większego znaczenia.

Isambora oparła czoło o pierś męża. W jego ramionach zwykle czuła się całkiem bezpiecznie. Zapach ciała, jego ciepło przeważnie tłumili w niej pamięć o wszystkim, co nie miało związku z tym mężczyzną. Wystarczyło to, aby umocnić władzę, jaką wciąż miał nad nią pomimo upływu lat.

Owego wieczoru jednak nie udawało jej się wymazać nieznosnego obrazu córki zbuntowanej przeciw nim.

– Rozczeszę włosy przed snem – rzekła, wysuwając się z jego objęć.

Obok głębokiego rzeźbionego kufra, w którym przechowywali swoje najbogatsze stroje, zwinięte przedtem i posypane wonnymi ziołami, stał stolik przeznaczony specjalnie dla Isambory. Szczotki i grzebienie z kości lub rogu, a także maści, płyny do przemywania, wonności, których używała, aby chronić się przed słońcem, pielęgnować włosy, ładnie pachnieć, sąsiadowały na blacie z woskowanego dębu ze skórzaną szkatułką, w której Isambora trzymała kilka srebrnych monet i dość proste klejnoty, jakie miała.

Usiadła na taborecie przy stoliku i zaczęła w skupieniu rozplatać warkocze.

Był to jakby ich wieczorny rytuał. Bernold brał jeden ze stołków, które znajdowały się w sypialni, sadowił się na nim. Następnie obserwował żonę, starannie rozczesującą rozpuszczone włosy, na znak hołdu i zażyłości. Takiego przywileju nie mógł dostąpić nikt poza nim.

Albrea miała rację, mówiąc w Blois w dniu porwania jej podopiecznej, że mężczyźni przepadają za takimi bujnymi, pachnącymi i niesfornymi puklami. Bernold często z rozkoszą zanurzał w nich głowę.

I tym razem skropione ambrawą obudziły w nim żądzę, którą teraz trudniej było wzniecić niż dawniej. Wieczne wydarzenia z pewnością spotęgowały miłosne uniesienie, które pociągnęło go ku małżonce.

Podniósł się i stanął za nią, po czym przez zwiewny, śliski woal, jaki tworzyły pasma włosów mieniące się barwą dojrzałych kasztanów, całował jej ramiona. Wreszcie w spontanicznym odruchu podniósł ją i obrócił ku sobie.

Pochylony nad ufną twarzą wpatrywał się w nią przez chwilę z wymykającym się spod pomarszczonych powiek błyskiem, dobrze Isamborze znanym.

Zaświtało jej w głowie pytanie, ile w takiej sytuacji w jego uczuciu jest czułości i czy pragnie jej samej, czy po prostu chce odsunąć od niej troski, ale on już rozpinał jej kaftan, ściągał go wraz z koszulą, obnażał ciało, którego uległości był zawczasu pewien...

Isambora nie zdążyła zadać sobie następnych pytań. Bernold pieścił jej piersi, popychał ją ku łóżu...

Wszystko wokół zawirowało... Bez oporu poddała się przyjemności, jaką sprawiały jej miłosne uściski, zaspokajające ów głód, jaki zawsze przy nim odczuwała, a którego, zdawało się jej, nigdy nie nasyci...

### III

Po festynie urządzonej w Blois przez hrabiostwo życie potoczyło się zwykłym torem.

Przez pierwsze dwa tygodnie września dużo padało, dzięki czemu ziemia nasiąkła wodą. Rośliny nabrały wigoru, a na łąkach zazieleniła się trawa.

Dopiero w połowie października drzewa zaczęły stroić się w barwy jesieni.

Właśnie wtedy Isambora nabrała pewności, że znów jest brzemienna.

„To będzie dziecię naszego zwycięstwa w Jerozolimie” – powiedziała sobie, rozdarta między nową nadzieją a zmartwieniem, że tak szybko zaszła w następną ciążę.

Doetta, która nie rozwijała się zbyt szybko, ledwo nauczyła się chodzić i ku utrapieniu matki wszystkiego dotykała. Pewnego dnia, gdy Isambora topiła wosk, aby pozatykać kamionkowe dzbanki wypełnione winem orzechowym słodzonym miodem, które było jedną z jej specjalności, dziewczynka przewróciła miseczkę z gorącym woskiem, wylała go sobie na nadgarstek i rozdarła się wniebogłosy.

Sancja położyła warstwę startej dyni na zaczerwienioną skórę, ale dziecko wciąż się skarżyło.

– Zaprowadzę ją do Rolanda – powiedziała Isambora do Margisty, która precedzała czarniawy płyn uzyskany z rozgniecionych i posiekanych łupin zielonych orzechów dość długo moczonych w dobrym winie. – Mała nie może tak cierpieć!

Wzniesiony u stóp skalnego występu, na którym powoli budowano potężny kamienny donżon wraz z przyległościami, klasztor Świętego Mikołaja znajdował się na skraju nowego miasteczka Fréteval, na prawym brzegu Loiru.

Wysiedleni z rozkazu barona wieśniacy, niczym kurczęta garnące się do kury, zgromadzili się u bram monasteru, aby wznieść nowe domy jak najbliżej sakralnego obejścia.

Wiele było już ukończonych, ale że wciąż napływali nowi osadnicy, zwabieni zwolnieniami z podatków, jakie mnisi przyznawali tym, którzy osiedlali się w nowym grodzie, powstawały kolejne place budowy. W okolicy panował rwetes.

Po przekroczeniu bramy Isambora, niosąc na rękach Doettę, przecięła ogród roślin leczniczych, gdzie rosły różne zioła, i weszła do infirmerii, która została ulokowana poza murami klasztorowymi, aby chorzy mogli przychodzić, nie zakłócając spokoju braciszków.

Budynek składał się z kilku sal. W dwóch znajdowało się po osiem łóżek dla pacjentów, trzecia pełniła funkcję łaźni, czwarta – kuchni. W ostatniej, ogrzewanej od jesieni i wyposażonej w ławy, puszczano krew, podawano lecznicze mikstury, zakładano opatrunki.

Rolanda nie było. Jedynie jego pomocnicy krążyli między łózkami w ogrzewalni.

Do infirmerii przylegał mały domek. Przyjmowano w nim ciężko chorych, którzy nie powinni się stykać z innymi, mniej dotkniętymi chorobą. W jednej z izb, gdzie składowano zioła, stała szafa z medykamentami. Tam właśnie Isambora odnalazła brata.

Roland trzymał w ręku słoiczek z maścią, którą podawał jednemu z mieszkańców grodu.

– Niedźwiedzi łój, jeśli nim posmarować głowę, to najskuteczniejszy środek

przeciw łysieniu – wyjaśniał swemu rozmówcy. – Wcieraj go mocno, panie, w owłosioną skórę rano i wieczorem. Rychło ujrzysz rezultat.

Gdy tylko dostrzegł siostrę z siostrzenicą, przeprosił mężczyznę, po czym spokojnym krokiem podszedł do nich.

– Niech Bóg ma was obie w swojej opiece. Czy nasza Doetta zrobiła sobie jakąś krzywdę?

Mimo że poświęcił życie Panu i jego cierpiącym stworzeniom, kochał swoją rodzinę, darząc ją powściągliwą czułością, w której szczerść Isambora nigdy nie wątpiła, podobnie jak w jego oddanie.

Nieco przypominał młodszą siostrę, jednak grube rysy, zbyt szeroki nos, usta z mięsistą dolną wargą, oczy jak rodzyunki osadzone głęboko pod łukiem brwiowym czyniły zeń jej karykaturę. Był niewysoki, lecz barczysty, a na umięśnionych ramionach, tak krzepkich, że nie maskowała ich nawet czarna tkanina habitu, spoczywała duża dziobata głowa.

Mówił przytłumionym, poważnym głosem, przerywając zdania chwilami milczenia, co często zbijało z tropu jego słuchaczy.

– Zdaje się, że poparzenie sięga w głąb skóry – rzekł, obejrzawszy rączkę dziecka. – Zrobię okład z lilii macerowanych w oleju ze słodkich migdałów. Przyniesie jej to ulgę, a rana szybciej się zagoi.

Opatrując dziewczynkę, poczęstował ją serkiem pigwowym, a mała bez sprzeciwu poddała się zabiegom.

Wzdłuż ścian pomieszczenia biegły półki pełne słoiczków z maściami, smarowidłami, różnymi balsamami, pojemniczków z olejkami, fiolek z syropami, dzbanuszków z wypalanej gliny zawierających powidełka lub wodę kwiatową, a także wiklinowych koszyczków, w których piętrzyły się liście, główki, baldaszki, korzenie i łodygi zaszuszonych roślin leczniczych. Na jednym ze stolików były rozsypane świeżo zerwane zioła, które już zdążyły podeschnąć.

Na parapecie okiennym stały rzędem moździerze, zabarwione od środka specyfikami, jakie zawierały.

Wszystkie te rośliny, smarowidła, korzenie wydzierały odurzający słodkawy zapach, charakterystyczny dla medykamentów.

– Znów jestem przy nadziei – rzekła Isambora do Rolanda, gdy założył dziewczynce opatrunek. – Wolałabym jeszcze trochę poczekać, ale skoro Bóg tak chce, nie mam nic do gadania. Bądź tak uprzejmy i przygotuj mi nalewkę z cebuli z miodem rozmarynowym, jaką mi dajesz za każdym razem, gdy zajdę w ciążę. Świetnie się po niej czuję.

– Chwała Bogu za dobrą nowinę, siostro! Na szczęście ty dbasz o przetrwanie i rozrastanie się naszej rodziny. Gdybym tylko ja za to odpowiadał, marnie byśmy na tym wyszli!

Zaśmiał się cicho, przymykając oczy, które zwężyły się w szparki.

Isambora odpowiedziała mu uśmiechem.

Z sąsiedniej sali doleciał do nich jęk jakiegoś chorego.

Nagle rozległ się dzwon, zapowiadając ubogim mieszkańcom miasteczka, że

nadeszła chwila codziennego rozdawania trzyfuntowych bochenków chleba oraz koziego sera, którym mnisi obdzielali ich w porze seksty.

– Chyba mam jeszcze trochę gotowej nalewki z cebuli we flaconie – odparł Roland.

– Będziesz mogła ją od razu zabrać.

Podszedł do wyźłobionej w murze szafy, po czym ją otworzył. Ukazało się mnóstwo zalakowanych woskiem i równiutko ustawionych fiolek, dzbanuszków, kubków, słoiczków.

– Słyszałem, że przyjaciela twojego małżonka, tego Majola, który teraz jest mistrzem budowlanym, baron Salomon wezwał, aby pomógł murarzom zbudować nowy donżon – oznajmił mnich, owijając w białe płótno flakon, który wybrał spośród innych.

– Majol! Na me zbawienie, nie widzieliśmy go od wieków! Jakiś czas mieszkał z nami w Blois, po naszym ślubie, potem któregoś dnia postanowił odejść, a my nigdy nie zrozumieliśmy, z jakiego powodu.

– A przecież już wtedy zaczynał wyrabiać sobie opinię doskonałego kamieniarza, jak również rzeźbiarza w kamieniu.

– Niewątpliwie. Mimo to wolał dołączyć do świty księcia Henryka Beauclerca, najmłodszego syna Wilhelma Zdobywcy, który zresztą jako jedyny odziedziczył po ojcu niektóre zalety! W jego towarzystwie odpłynął do Anglii. Chyba od tamtej pory tam przebywa.

– Nie przekazywał żadnych wieści?

– Rzadko. Gdy przechodzili tędy murarze, którzy go znali, dowiedzieliśmy się, że jeszcze nie jest żonaty. Zdaje się, że po drugiej stronie kanału La Manche wyróżniał się swoimi dokonaniem. To wszystko. Niewiele. Bernold bardzo się ucieszy, jeśli znów go zobaczy...

Powrót Majola był pierwszą wieścią, jaką Isambora przekazała mężowi, wychodząc mu naprzeciw w ów wieczór, gdy zamknął za sobą drzwi warsztatu, gdzie kończył formować szklane płytki, dopiero o zachodzie słońca.

– Na Boga, nie spodziewałem się już, że go spotkam na tym świecie! – wykrzyknął Bernold. – A przecież wiesz, że traktowałem go jak brata! Muszę ci wyznać, że jego nieobecność często mi doskwierała. Nie ma dnia, żebym o nim nie myślał.

– Pewnie dlatego, że znacie się z dawien dawna i jesteście obaj Normandczykami.

– Mówisz prawdę. Mniej bym tęsknił za krajem ojczystym, gdybym nie znalazł się tu sam, bez żadnego rodaka, z dala od ziemi, w której spoczywają moi bliscy.

Stojąc koło sławetnego okrągłego kominka, w którym wesoło płonął ogień, Bernold pograżył się we wspomnieniach.

Isambora, która pracowała przy krośnie, wplatała barwne nitki w osnowę, tymczasem Sancja i Margista nakrywały stół do kolacji. Spojrzała zdziwiona na męża.

– Myślałam, że jesteś już blezyjczykiem<sup>[13]</sup> w każdym calu – obruszyła się. – Tyle lat temu opuściłeś swoje księstwo!

– Dowód, że się starzeję – westchnął mistrz szklarski. – Ludzie mówią, że z wiekiem wspomnienia z dzieciństwa stają się coraz żywsze. Chyba już doszedłem do takiego momentu życia!

– Nie mów o starości, mój drogi! Popatrz na siebie! Czyż nie jesteś w pełni sił?



– Nie powiedziałem, że czuję się staro, najmilsza, ale że moja młodość już powoli i nieodwołalnie się kończy.

– Gdy spojrzeć na rzeczy od tej strony, zaczyna przybywać nam lat od chwili narodzin!

– Owszem, i to bardzo smutne. Ale zmieńmy temat. Wiesz, kiedy Majol ma przyjechać?

– Nie wiem. Roland tylko o tym napomknął.

– Wolałbym, by jego powrót nie wypadł akurat w czasie mojego wyjazdu do opactwa Fleury, dokąd muszę koniecznie się udać w listopadzie. Byłbym niepokieszony.

Stopą odsunął rozżarzone węgielki, które się osypywały, i dorzucił polano do paleniska.

Do izby wpadli Filipa i Albin, trzymając z obu stron kabłąk kosza pełnego kasztanów.

– Poszliśmy je zbierać z Konstancją. Paśła gęsi pod lasem – powiedziała Filipa. – Dużo znaleźliśmy. Koszyk był za mały.

– Nie rozumiem, dlaczego kasztany, które są takie smaczne, muszą być schowane w łupinach kłujących w palce – zauważył Albin, krzywiąc się. – Wolę zrywać jarzębinę albo nieszpuki!

– Przestań się skarżyć! Jesteś u progu życia, a nawet młodości! – zawołał Bernold, chwytając najmłodszego syna i podrzucając do góry. – Cóż znaczą kolce kasztanów, gdy masz jeszcze przed sobą tyle lat, że nawet nie dostrzegasz ich kresu?

Chłopiec rzucił ojcu zdziwione spojrzenie, ale nie chciało mu się dalej dociekać i wybuchnął śmiechem.

Isambora, która wciąż przetykała czółenką nitki przez osnowę, kazała dzieciom zanieść do kuchni zebrany plon, potem, pozostawiwszy wzorzysty dywan, który zaczęła tkać latem, podeszła do siedzącego Bernolda, wpatzonego w płomień. Chcąc, by się odwrócił, objęła go za szyję i uniosła ku niemu rozemocjonowaną twarz.

– Nieważne, że się starzejemy, skoro jest nam dane iść ręką w rękę drogą wiodącą do życia wiecznego! – oznajmiła stłumionym tonem, z którego przebijał wyrzut. – Tak naprawdę nieważne, że mijają lata, gdy łączy nas miłość!

– Oczywiście – przyznał Bernold – oczywiście. – I pocałował żonę.

Tej nocy, w łóżu, w którym szybko zasnął obok niej, jak mu się teraz dość często zdarzało, Isambora długo leżała z otwartymi oczami, roztrząsając w myśli to, co się działo przed kolacją.

„Skąd ten lęk przed starością, jeszcze tak odległą, u mężczyzny w pełni dojrzałego? Ma czterdzieści dwa lata. Wygląda na mniej. Ja mu dogadzam. Dzieci są zdrowe, a odkąd Gresja mieszka w Blois u Albrei, nasze życie rodzinne toczy się gładko. Najświętsza Panno, oświeć go! Spraw, by zrozumiał, że to wielkie szczęście uchronić się do tej pory przed plagami nękającymi świat, w którym jest tylu nieszczęśników! Że to zgoła nierozsądne martwić się upływającym czasem!”

Nadszedł listopad. Majol się nie pojawiał. Przez murarza, który pracował w zamku Fréteval, Bernold uzyskał potwierdzenie rychłego powrotu przyjaciela, chociaż nikt nie znał dokładnej daty.

Mistrz szklarski niecierpliwił się, bo wkrótce po Świętym Marcinie musiał wyruszyć do opactwa Fleury pod Orleanem, gdzie miał pozostać parę miesięcy, by wykonać witraże przeznaczone do kościoła opackiego, którego odbudowa była w toku.

Dopiero w wigilię dnia tego ważnego świętego rankiem do bramy wytwórni szkła zapukał jakiś jeździec.

Sucha i słoneczna za dnia jesień owego roku rozpościerała nocami opary, które stawały się coraz chłodniejsze. W porze, o której Majol wreszcie dotarł do Grand Feu, bardzo gęsta mgła zacierała linię horyzontu, opatuląca dolinę Loiru, pobliski las. Nie dało się rozróżnić dobrze znanych dzwonnicy ani koryta rzeki. Nie widać było nawet miedzianozłoty przeblasków światła w gałęziach drzew. Gęsty тумan zalegał nad opadłymi liśćmi i wyblakłą przydrożną trawą.

Dziedziniec, na który wjechał konny, tchnął tym mglistym oparem, a tonąca w nim lipa kształtem przypominała ogromną jasnowłosą zjawę.

Bernold jak we śnie rozpoznał druha w mężczyźnie odzianym w nasiąknięty wilgocią płaszcz i zeskakującym z konia. Kazał natychmiast Aljomowi wziąć za uprząż norweskiego gniadosza, zaprowadzić go do stajni, wytrzeć wiechciem, a potem dać mu siana i wody.

Przekroczywszy próg sali, Majol zrzucił płaszcz, którego fałdy zalatywały jesienną stęchlizną, i obaj mężczyźni spojrzeli na siebie ze śmiechem, zanim zwarli się w mocnym uścisku.

Isambora, dzieci, służba otoczyli ich zaciekawieni, okazując respekt i radość.

– Niech mi Bóg wybaczy! Nie pamiętałem, że jesteś taki wysoki! – zawołał Majol, gdy już się przywitali. – Przykro stwierdzić, ale długie rozstania mają to do siebie, że zapomina się cechy charakteru, a nawet rysy najlepszych przyjaciół.

– Tak dawno się nie widzieliśmy – rzekł Bernold – że ja z kolei wciąż wyobrażałem sobie ciebie jako bruneta z naszej młodości. A ty siwiejesz, bracie, siwiejesz!

– No cóż! Czego chcesz, życie nas wcale nie oszczędza!

– Nie będziemy się smucić w taki dzień! – ucięła Isambora. – Powinniśmy tylko się weselić!

– W Ewangelii jest powiedziane, że ojciec marnotrawnego syna kazał zabić tuczną cielę, aby uczcić jego powrót – podjął Bernold ze śmiechem. – My nie musimy tego robić, bo zjawiasz się w samą porę! Mamy na różnie tłuszcziutkiego wieprzka, którego długo będziesz wspominał. Popatrz na szynki, które się wędzą pod okapem!

– Ugotuję smakowity obiad – zapewniła Margista. – Pieczyste ze świni nadziewanej imbirem i kasztanami to zawsze doskonała potrawa, żeby uraczyć wędrowca.

Isambora przytaknęła.

– W pierwszych latach, gdy mieszkaliśmy w Blois, w małym domku – dodała – lubiłeś ciasto przekładane mięsem, jak mi się zdaje. Upieczemy je dla ciebie na poczekaniu.

Majol uśmiechał się zadowolony.

– Nie wyobrażacie sobie, jak się cieszę, że was oboje znów widzę. Okres, który spędziłem poza Francją, pozwolił mi lepiej sobie uświadomić, co naprawdę znaczy

własny naród. Anglosasi nie postępują ani nie myślą w taki sposób jak my.

Wypytywał o różnych członków rodziny, przyjaciół, imiona dzieci, chciał obejrzeć dom i warsztaty.

– Wiedziałem, że zdobyłeś renomę – rzekł do Bernolda, gdy ten pokazał mu ostatnie witraże, które właśnie wykańczał. – Ale widząc takie cudowne, chylę przed tobą głowę jako przed jednym z najlepszych mistrzów szklarskich naszych czasów. Jednym z największych.

– Lubię ten zawód, wiesz o tym. Poświęcam mu się bez reszty. Ty zaś, jak słyszę, zostałeś mistrzem budowlanym.

– Dużo pracowałem w Anglii. Książę Henryk Beauclerc, który jest moźnym panem i świetnym znawcą, oddał do mojej dyspozycji ekipy doskonałych kamieniarzy, rzeźbiarzy, murarzy, kowali, stolarzy. Dzięki jego poparciu mogłem stworzyć dość udane rzeczy.

Potrząsnął głową.

– Jednak ten kraj szybko mnie znudził. Podobnie jak pragnąłem wyruszyć w obce strony, po pewnym czasie odczułem chęć, by znaleźć się znów tutaj. Taki jest człowiek! Kiedy twój baron poprosił mnie o pokierowanie budową, która przysparzała mu kłopotów, nie wahałem się ani chwili. Mimo wszystko uparłem się, by zabrać ze sobą paru moich normandzkich robotników. Nie mógłbym się bez nich obejść. Toteż tak sprawę załatwiłem, by mieli możliwość ściągnąć później swoje rodziny.

– Jeśli chodzi o rodzinę, ty, mój drogi, jak widzę, wciąż jesteś kawalerem.

– No cóż, nie poszczęściło mi się jak tobie! Nadal czekam na kobietę, jakiej potrzebuję.

Do warsztatu weszła Isambora.

– Obiad wkrótce będzie gotowy – rzekła. – Pomyślałam, Majolu, że przedtem przydałaby ci się ciepła kąpiel. Łaźnia na ciebie czeka. Oczywiście, dziś przenocujesz tutaj.

– Jeśli zgodzicie się przyjąć pod swój dach włóczykija mojego pokroju.

Wciąż poruszał się tak samo zwinnie, taki sam uśmiech nagle rozpromieniał jego rysy.

– Winszowałem twojemu małżonkowi wspaniałych dzieł – ciągnął. – Jego barwne szkła są godne niebiańskiego światła, jakie kiedyś będą przepuszczać. Najpiękniejsze, moim zdaniem, jest to przedstawiające Zmartwychwstanie.

Isambora przyznała, że to jedno z najbardziej udanych.

Bernold wykańczał witraże dla kościoła we Francheville, którego budowa się wlokła. Dlatego przechowywał je u siebie, aby zamontować je po powrocie z Fleury. Pod jego nieobecność Aljom starannie zlutowuje wszystkie złącza.

– Jako Magdalena jesteś równie piękna, jak prawdziwa – dodał Majol. – Nie można było znaleźć twarzy bardziej ufnej i bardziej pełnej miłości, by przedstawić tę świętą niewiastę.

Jakby wciąż miała piętnaście lat, Isambora spiekła raka.

Była dumna, wzruszona, nieco zażenowana pomysłem Bernolda, by ją uznać za pierwowzór tej postaci. Wiedząc, że ołowiane listewki, spajające zabarwione

i pomalowane kawałki szkła, są grube i mocne, zostały bowiem odlane w formach z drewna modrzewiowego, mogła, rozumując racjonalnie, wyobrazić sobie, że ten witraż będzie odporny na zawieruchy, przetrwa stulecia.

– Ten wizerunek będzie bardziej długowieczny od nas – zapewnił Bernold w tym samym momencie, jakby czytał w myślach żony. – Utrwali na zawsze twą cielesną powłokę, najdroższa, i będzie budził podziw przyszłych pokoleń, gdy my już dawno obrócimy się w proch!

Na chwilę znieruchomieli, kontemplując dzieło, które – by można było lepiej ocenić jego przejrzystość – stało oprawione w drewniane ramy pod jednym z okien.

Nagle krwistoczerwony płaszcz okrywający ramiona Marii Magdaleny zapłonął blaskiem, roziskrzył się.

– Słońce przebiło się przez mgłę, jakby chciało, abyśmy bardziej docenili twoją wspaniałą robotę – stwierdził Majol. – Ty, Isamboro, w tym karmazynowym szklanym płaszczu stajesz się zwiastunką pięknej pogody, jaką przeważnie obdarza nas święty Marcin! Wydaje mi się, że to dobry znak.

– Oby Bóg cię wysłuchał! Idź jednak się odświeżyć i zmyć zmęczenie w łaźni. Potem zjemy obiad.

Trzy następne dni mistrz budowlany spędził u swych przyjaciół. Cudowne dni, poświęcone przyjacielskim pogawędkom, podczas których czas jakby przestał istnieć, młodość powróciła, życie dopiero się zaczynało... Następnie Majol podążył do Fréteval, dokąd wzywał go baron Salomon.

Wkrótce potem Bernold wyruszył do Fleury. Nie wziął ze sobą swego ucznia Remigiusza, tylko zostawił go Aljomowi. Ale że potrzebował kogoś do pomocy, wybrał jednego spośród szklarzy, którzy niegdyś pracowali u starego mistrza z lasu. Pomimo słusznego wieku wciąż szkolił on czeladników, niosących potem swoją wiedzę tam, gdzie ich potrzebowano.

Wspomagany przez Remigiusza i Gerbalda Swojaka Aljom będzie musiał radzić sobie bez ojca, dzięki czemu zakończy swoje terminowanie. Ponieważ Bernold przygotował dla niego robotę, jego zaś podniecała perspektywa kierowania warsztatem, wszystko układało się wyśmienicie.

Jednakże Isambora obawiała się wielomiesięcznego rozstania, gdy będzie z dala od męża. W dodatku tym razem ciążyła bardzo ją męczyła.

– Niech Bóg cię strzeże – rzekła do mistrza szklarskiego, który już siedział obok swego nowego czeladnika w ciężkim wozie załadowanym materiałem niezbędnym do pracy. – Ale mnie też niech strzeże. Będzie mi się przykrzyć bez ciebie, serdeńko.

– Wrócę pod koniec zimy, kochanie. To całkiem niedługo. Masz dość zajęć i przyjaznych ludzi wokół, nie mówiąc o twoim najśłodszym ciężarze, żeby wypełnić czas. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

– Oby tak się stało – powiedziała z wysiłonym uśmiechem, ale gdy wóz wyjechał za bramę Grand Feu, jej oczy napełniły się łzami.

Po babim lecie, kiedy po drugiej stronie Loiru wypalano starą winorośl i sadzono nowe krzewy, przez co dolina napełniła się aromatycznym dymem, pogoda znów się zmieniła.

Nad równiną rozciągało się szare, zachmurzone niebo. Wichura, jakby w porywach złości, strącała zrudziałe albo pożółkłe liście, które do tej pory wisiały jeszcze na drzewach. Potem wiatr ucichł i nastąpiła uporczywa mżawka.

Jak za każdym razem, gdy Bernolda nie było w domu, Isambora czuła na swoich barkach ciężar odpowiedzialności i zadań spadający na kogoś, kto zarządza majątkiem, jeszcze dotkliwszy po wyjeździe tego, kto je zwykle z nią dzielił.

O tej porze roku nieobecność męża dawała się szczególnie we znaki, tym bardziej że przed zimą należało zaopatrzyć piwniczkę na wino, spiżarnię, stodołę, przewidzieć wszystko, co niezbędne dla domowników, zwierząt i ludzi przez długie jesienne i zimowe miesiące.

W ich włościach nie było winnicy, toteż oboje z Bernoldem kupowali od podwasala tyle wina, ile potrzebowali. Pomimo zadawnionych uraz winogrodnik uważał za punkt honoru dostarczać bratankom i bratanicom beczułki trunku własnej produkcji. Wprawdzie nie dawał ich za darmo, ale odstępował za przyzwoitą cenę.

Co roku, gdy baron, posiadający przywilej *banvin*<sup>[14]</sup>, sprzedał już na zasadzie pierwszeństwa taką część zbiorów, jaką do tego celu przeznaczył, wóz wypełniony baryłkami przejeżdżał przez most na Loirze, aby zostawić ładunek w warsztacie szklarskim. W prezencie Gerwazy zawsze do swej przesyłki dołączał antałek soku z niedojrzałych winogron, aby Isambora mogła zamarynować szynkę i sery wedle swego upodobania.

Z resztek ubiegłorocznego wina robiono ocet, który przechowywano w mniejszych beczułkach.

Tak więc jesień i początek zimy to był ciężki okres dla gospodyni Grand Feu, która nie miała chwili wytchnienia. Chodziła do spiżarni, gdzie z pomocą Margisty ustawiała gliniane dzbany z oliwą, worki z mąką, suszoną fasolą, grochem, bobem, soczewicą, kamionkowe dzbanuszki zawierające domowe, słodzone miodem konfitury, a także sam miód, układała na słomianej macie wianki cebuli i czosnku; później udawała się do owocarni, gdzie w asyście Sancji sortowała pigwy, niespliki, kasztany, owoce tarniny, jarzębiny, dzikiej róży oraz inne późno dojrzewające, które dołączały na drewnianych półkach do jabłek, gruszek, orzechów włoskich i laskowych, zrywanych pod koniec lata.

Musiała jak zwykle doglądać pieczenia chleba, wyrabiania masła i serów z mleka krowiego lub owczego, a także nadzorować solenie ryb, polci mięsa, słoniny, której nie uwędzono pod okapem kominka. Pomagała wyrabiać kiszkę kaszaną, kiełbasy, serwolatkę, smażoną gęsinę, pasztety, którymi w okresie jesienno-zimowym posilała się cała rodzina wraz ze służbą, z rzadka spożywając też dziczyznę i drób.

Oprócz tej mrówczej pracy Isambora musiała też zapisywać wydatki na zakupy sprzętów gospodarskich, których nie można wyprodukować na miejscu, żagwi, świec, pochodni, przypraw korzennych, soli, a niekiedy – mięsa zwierząt rzeźnych.

Miała obowiązek dopilnować, aby konopie i len zostały namoczone, wypłukane, wytrzepane, utkane, aby sztuki materiału po utkaniu zostały ufarbowane cynobrem, wyciągiem z marzanny czy urzetu.

Towarzyszyła Bernardzie, do której zadań również to należało, przy garbowaniu skór: później podbijano nimi płaszcze i kołdry. Często zdarzało jej się uczestniczyć w tej

pracy na równi ze służącą.

Przędła, szyła, haftowała, starała się ukończyć tapiserię, a jednocześnie baczyła na Doette, Albina i Filipę, których trzeba było jeszcze tyle nauczyć.

Ponadto musiała doglądać prac ogrodniczych wykonywanych przez Piotrusia w warzywniku i w sadzie, a także sprawdzać, czy Konstancja odpowiednio karmi kapłony, gęsi, kury, kaczki.

Do tych zadań dochodziło tysiąc drobnych rzeczy, jak na przykład wyrabianie mydła z olejku wyciskanego z pestek winogron lub z łoju i popiołu bukowego, aby nie zabrakło go w łaźni i w kadziach podczas ablucji.

Utrzymywanie ładu, dbanie o dobre stosunki między członkami rodziny, robotnikami i służbą też nie zawsze było łatwe...

Dlatego niekiedy wieczorem, gdy wszyscy już poszli spać, Isambora, zmordowana, wykończona nerwowo, pozwalala sobie na łzy i długo łąkała w łożu, w którym Filipa, nie wypełniając go w całości, zajmowała miejsce ojca.

Dziewczynka tak lekka, że pod jej ciałem puchowy piernat tylko odrobinę się zapadał, spoczywała obok matki, z beztronską właściwą jej wiekowi. Ta obecność, chociaż bardzo cenna, nie wystarczała, by pocieszyć słomianą wdowę, wypełnić pustkę w jej ramionach, ogrzać serce...

A przecież nie pierwszy raz, skądże znowu, Isambora została sama, gdy Bernold pracował na jakiejś odległej budowie, ale tym razem czuła się bardziej skołowana niż zwykle, zmęczona, tak strasznie zmęczona, przybita troskami, przeciążona obowiązkami.

Jednakże wstawiała nazajutrz rano, znów nabierając otuchy, postanawiając sobie, że nie będzie się przejmować głupstwami, skoro posiada to, co najważniejsze.

Wtedy podążała do Rolanda albo Bazylia, prosiła, by Perryna przyszła do Grand Feu, w przypiływie czułości zajmowała się dziećmi, przekonywała samą siebie, że jedynie trudna cięża tłumaczy te chwile zniechęcenia.

Mijały tygodnie...

Trzy- lub czterokrotnie odwiedził małżonkę przyjaciela Majol, ale nie zabawił długo i wydawało się, że podczas tych spotkań nie ma ochoty poruszać żadnych bardziej osobistych tematów.

Adwent owego roku był dla Isambory czasem prawdziwej pokuty.

Przyczyniał się też do tego reżim dietetyczny stosowany przez wszystkich domowników, ograniczający się do jarzyn i ryb: jedynych produktów, które wolno było podawać na stół w okresie postu. Nowa trudność do pokonania, jaką stanowiły spadające na nią obowiązki, deprymowała przyszłą matkę, gorzej niż zwykle znosząc swój stan.

Wszystko odmieniło się w dniu, gdy stryjenka doniosła jej, że Awelina zamierza spędzić z rodzicami dwanaście dni świąt Bożego Narodzenia.

– Nie przyjechała do nas w zeszłym roku i choć Gerwazy bynajmniej nie okazywał, że się tym martwi, było mu tak samo przykro jak mnie – wyznała Perryna bratanicy. – Więc dość łatwo udało mi się go namówić, by w tym roku schował dumę do kieszeni i godnie przyjął nasze jedyne dziecko. Nie wątpię, że w gruncie rzeczy jest zachwycony.

Siedząc na posadzce usłanej dobrze wysuszonym sianem, na dużej poduszce, przed kominkiem, w którym płonął ogień z obciętych pędów i starych, poskręcanych szczepów

winnych, Isambora kroićła koszule dla Aljoma. Leżące na jej kolanach kremowe płótno lniane, własnoręcznie przez nią utkane, było jeszcze trochę sztywne.

Naprzeciw niej umościła się na ławce z oparciem żona podwasala. Wyciągnęła stopy ku płomieniom, aby wysuszyć mokre podeszwy chodaków z drewna jesionowego.

– Och, jak bardzo bym chciała znów spotkać się z Aweliną – rzekła młoda kobieta. – Tak bardzo... Ostatni raz, gdyśmy się widziały w Blois, podczas festynu wydanego przez hrabiostwo Blois na cześć zdobycia Jerozolimy, wydawało mi się, że godziny, które spędziłyśmy razem, są o wiele za krótkie. Gdy musiałyśmy się pożegnać, miałam wrażenie, że dopiero co przyjechałam!

– Zdaje się, że ona też zawsze się cieszy, gdy może wrócić do gniazda rodzinnego i zobaczyć się z nami wszystkimi – zapewniła Perryna, bezwiednie głaszcząc po głowie psa myśliwskiego leżącego przed kamiennym paleniskiem u jej stóp. – Znasz ją. Wiesz, że nie lubi się skarżyć. Odkąd mieszka w Blois, twierdzi, że praca i przyjaciele wypełniają jej życie. Czy można w to wierzyć? Samotna dziewczyna nie jest szczęśliwa! Chociaż powiada, że niczego jej nie brakuje, ja nadal myślę, że owszem – męskiego ramienia... i chłopca w łóżku!

– Chyba masz rację, stryjenko. Potrzebujemy mężczyzn... Porozmawiam z nią o tym. Czas działać. Nie może wiecznie tkwić w idiotycznej sytuacji, w jaką zabrnęli Daimbert i ona. Musi wreszcie załatwić tę sprawę, aby odzyskać wolność!

Isambora uniosła oczy znad robótki.

– Zawziętość obojga, upór, z jakim mój stryj i Awelina obstają przy swoim, wyrobiły w niej odruch odmowny, który odstręcza ewentualnych konkurentów. Musi zmienić postawę. Najciekawsze, moim zdaniem, że wcale się do tego nie kwapi. Zastanawiam się, dlaczego, mając charakter, który dobrze znamy, nie podejmie jakiejś decyzji. Sprawia wrażenie, jakby celowo grała na zwłokę. Jakby ją to zadowalało...

Na swoje pytania Isambora wkrótce uzyskała odpowiedź.

Zgodnie ze zwyczajem baron z Fréteval zwołał w Boże Narodzenie uroczyste posiedzenie sądu, na które wezwał swoich wasali. Z tej okazji urządzano święto, rozstrzygano spory, wymierzano sprawiedliwość, a okoliczni wieśniacy wywiązywali się ze swych świadczeń w naturze.

Stan Isambory nie pozwolił jej uczestniczyć w zabawach, na które została zaproszona, ale na pociechę przyozdobiła dom, bo zawsze widziała, że tak robią wszyscy w jej otoczeniu, i sama też to czyniła, odkąd wyszła za mąż.

Girlandy z ostrokrzewu, jemioly i liści, nowe zasłony, kokardy z lamówki w żywych barwach zostały przymocowane do belek, krokwi, zawieszane na ścianach sali i nad drzwiami.

Dwudziestego czwartego grudnia wieczorem każdy włożył nowe ubranie.

Dorzuciwszy do kominka potężne polano, wybrane specjalnie ze względu na rozmiar, całe towarzystwo udało się do kościoła we Fréteval. Polano musiało się palić przez całą bożonarodzeniową noc, powolutku, aby można było potem zachować głównie, które miały taką właściwość, że przez następny rok chroniły dom przed pożarami, wzniesianymi uderzeniem pioruna podczas burzy.

– Zbiorę też popiół, żeby go rozsypać w warzywniku – wyjaśniła Isambora Filipie,

którą bardzo interesowało to, co robiła matka. – Dzięki temu mszyce nie obsiadą na wiosnę młodych roślinek.

Wśród ciżby, tłoczącej się przed kruchtą kościoła Świętego Marcina, mieszkańcy Grand Feu odnaleźli swych krewnych z Morville.

Awelina towarzyszyła rodzicom. Przyjechała w ciągu dnia, więc nie zdążyła zajrzeć do warsztatu szklarskiego. Kuzynki uściskały się serdecznie, po czym weszły razem do kościoła.

Awelina nie była już taka szczupła jak niegdyś, rysy jej się zaostrzyły, szczeka uwydatniła, ale wciąż miała tak samo jasne włosy i w taki sam sposób unosiła w górę podbródek, co świadczyło, że zachowała dawną buńczuczność.

Isambora, która trzymała pod rękę Aljoma, powiedziała sobie w duchu, że gdyby zamiast syna był przy niej Bernold, zaznałaby choć kilku chwil pełnego, intensywnego szczęścia, które kiedyś wlewało radość w jej serce.

Ale małżonek był daleko. Na pewno we Fleury, w towarzystwie mnichów, szykował się do wysłuchania bożonarodzeniowego nabożeństwa. Mogli połączyć się jedynie myślami w mroku Świętej Nocy.

Jedną po drugiej odprawiano msze: o północy, o brzasku, za dnia, przeplatane paradą proroków, którzy w Starym Testamencie zapowiadali nadejście Mesjasza, później wjazdem Balaama siedzącego, ku wielkiej uciechu widzów, na oślicy, a wreszcie śpiewem i muzyką.

Isambora myślała też o Gresji, która, jak się zdawało, częściowo odzyskała spokój ducha, mieszkając pod dachem Albrei. Właśnie o tej porze z pewnością śpiewała kantyczki swoim czystym głosem...

Dopiero po wyjściu z kościoła, gdzie pod wpływem ciepła ludzkich ciał i ich wyziewów, zmieszanych z wonią kadzidła, przyszła matka źle się poczuła, obie kuzynki nagle znalazły się w pobliżu Majola.

Nie dostrzegły go podczas ceremonii, ale kościół pękał w szwach. Zauważało się jedynie najbliższych sąsiadów.

– Szczęść Boże! – rzekł.

Tylko tyle, ale dość dużo, by ramię Aweliny pod ręką Isambory przeszył dreszcz.

Ludzie się przepychali.

Ich troje tłum pociągnął za sobą aż do placu, gdzie na krótko zostali oddzieleni od reszty rodziny i towarzyszy.

– Nie miałem nadziei, że cię odnajdę – dodał jeszcze Majol.

– Wciąż czekałam na tę chwilę – wymamrotała Awelina.

Isambora przyglądała im się. W blasku dziesiątek pochodni z wosku lub kory brzozonej, które wierni zapalali jedną po drugiej, w miarę jak wychodzili z kościoła, wszystko widać było dość wyraźnie. Rozjaśniona ponadto księżycem i gwiazdami, które migotały na lodowatym grudniowym niebie, noc była bezchmurna.

Raptem wydało się młodej kobiecie, że oddechy jej kuzynki i Majola, które uleciały z ich ust pod postacią drżących oparów, jednoczą się, jakby nieodparcie przyciągane ku sobie.

Zamieniwszy parę słów z przyjaciółmi lub sąsiadami spotkanymi przypadkiem



w zamieszaniu, Gerwazy Podwasal, Perryna, Aljom, Filipa wraz z resztą dwóch rodzin i służby już nadchodzili, aby dołączyć do trójki.

Majol uklonił się i oddalił.

– W takich okolicznościach nie można się gniewać na nikogo – mruknął podwasal – ale ja wcale nie lubię tego kamieniarza, któremu, klnę się na honor, nie brak zuchwalstwa, skoro skorzystał z tłoku, żeby się tu z tobą spiknąć!

Tak jak robiła to niegdyś, gdy obie były podlotkami trzymającymi sztamę, Isambora ścisnęła aż do bólu nadgarstek Aweliny. Zdołała zmusić ją do milczenia. Potem rzekła:

– Wracam do siebie. Jestem zmęczona. Do jutra.

Ucałowała stryjenkę i kuzynkę, pożegnała się ze stryjem, służącymi z Morville, dokąd miała pójść nazajutrz na obiad, zgodnie z rodzinną tradycją, po czym odeszła razem ze swymi bliskimi, wsparta na ramieniu Aljoma i trzymając za rękę Filipę.

Położyła się do łóżka, ale spała krótko, z jednej strony rozżalona z powodu nieobecności małżonka, z drugiej – podniecona tym, co właśnie odkryła.

W ciszy zimowej nocy, pod narzutami z lisich skór, zwinięta w kłębek, opierając dłonie na brzuchu, który się zaokrąglął, odtwarzała w wyobraźni scenę, jaka rozegrała się na jej oczach.

Obok niej Filipa spała bezgłośnie.

„A więc tych dwoje, każde w swoim kątku, liczyło na całkiem nieprawdopodobne spotkanie, do którego jednak tak wzdychali, że od razu rozmawiali ze sobą, jakby się kochali i o tym wiedzieli. Święty Boże, pomóż im! Widzieli się w rocznicę Twego zejścia na ziemię, więc pobłogosław ich. Spraw, żeby mogli się pobrać. Ty, Panie, który możesz wszystko, złagodź nieustępliwość mego stryja, wyswobodź Awelinę z więzów, które ją wciąż krępują!”.

Wczesnym rankiem Isambora poszła po najstarszego syna, który akurat wychodził z łaźni.

– Kiedy się posilisz – powiedziała do niego – osiodłaj konia. Pojedziesz do zamku Fréteval i sprowadzisz tu Majola. Muszę z nim pomówić.

– Dziś jest dzień wolny od pracy, matko. Boże Narodzenie. Na budowie nikogo nie będzie.

– Mistrz razem z czeladnikami mieszka w budynkach gospodarskich dawnego donżonu. Jeśli zjawisz się tam o tak wczesnej godzinie, na pewno ich zastaniesz.

– Na mą duszę, jeśli ci to sprawi przyjemność... – westchnął młodzieniec i odszedł, ociągając się.

Isambora niecierpliwie czekała na jego powrót.

Gdy usłyszała odgłos kopyt dwóch koni przekraczających bramę, poczuła, że głuchy lęk ścisną ją za gardło.

Majol wszedł do sali sam. Zastał panią domu w zwykłym porannym stroju z białej wełny, na który narzuciła kamizelę podbitą wiewiórczym futrem. Kończyła karmić Doettę kleikiem owsianym.

Siedząc koło matki, przy trzaskającym ogniu, który tuż przedtem roznieciła służba, pieczołowicie pozbierawszy szczątki świątecznego polana, Filipa i Albin pili ciepłe

mleko z miodem, zając podpłomyki.

– Twój syn powiedział, że mnie potrzebujesz.

– Muszę z tobą porozmawiać, Majolu, proszę, usiądź przy kominku.

Isambora powierzyła Margiście trójkę dzieci, które podreptały za nią do kuchni. Sama usiadła na ławie z oparciem.

– Odkąd się rozstaliśmy, bez przerwy wyrzucam sobie swoją ślepotę – oznajmiła bez wstępow. – Niczego się nie domyślałam, a jednak...

Nachyliła się ku mistrzowi budowlanemu. Okalające jej znużoną twarz o ściągniętych rysach, sięgające do kolan warkocze opadły na ziemię.

– Powinłam była zrozumieć – ciągnęła. – Gdy osiemnaście lat temu poprosiłeś o jej rękę, Awelina zemdląła, a wczoraj po wyjściu z kościoła zaczęła się trząść na całym ciele, jak tylko cię rozpoznała.

– Nigdy nie rozmawialiśmy sam na sam – rzekł Majol. – Niczego sobie nie wyznaliśmy, niczego nie obiecali.

Isambora wzruszyła ramionami.

– Mniejsza o to – zapewniła. – To się wprost rzuca w oczy. Co zamierzasz zrobić?

– Przez całą noc się nad tym zastanawiałem.

Wstał, przeszedł koło psa, który leżał spokojnie, jakby go nie zauważał, i zaczął chodzić tam i z powrotem.

– Wkrótce po przyjeździe do Fréteval zasięgnąłem języka. Twoja kuzynka jest wciąż zaręczona z tym prostakiem gajowym – wycedził przez zęby. – Przez osiemnaście lat nic się nie zmieniło!

– Mylisz się, Majolu. To tylko pozory. W rzeczywistości mój stryj cierpi, bo uwikłał się w okropną sytuację, a tym samym pozbawił się potomków, do których coraz bardziej tęskni.

Podniosła się, podeszła do gościa, położyła mu rękę na ramieniu.

– Właśnie o tym chciałam porozmawiać i dlatego prosiłam, byś przyszedł – oznajmiła z wewnętrznym przekonaniem, które uwiarygodniało jej wywody. – Jestem pewna, że ten uparty i apodyktyczny starzec gorąco pragnie wnucząt, aby przekazać im swoje posiadłości, będzie więc teraz, choć się do tego nie przyznaje, skłonny do ustępstw. Idź do niego. Przemów odważnie. Podkreślaj oczywiście swoją stałość i przywiązanie do Aweliny, ale nie wahaj się też pochwalić sukcesami zawodowymi. Trafisz w jego czułą strunę. Cieszący się sławą mistrz budowlany śmiało może rywalizować z gajowym lennym!

– Zanim postąpię tak, jak mi doradzasz – westchnął Majol – chciałbym się upewnić, że twoja kuzynka podziela moje uczucia. Czy tych kilka słów zamienionych wczoraj wieczorem dostatecznie usprawiedliwi oświadczyń, które zaważą na całej jej przeszłości, a także na mojej?

– Upłynęło wiele czasu, zanim zrozumiałam, ale teraz nie wątpię, że mam słuszość.

– Oby cię Bóg wysłuchał!

– Wysłucha.

Jakby przyznając jej rację, drzwi się otworzyły. Weszła Awelina opatulona

w futrzany płaszcz z kapturem. Jej twarz była zaczerwieniona od zimna, oczy zaczerwienione od łez.

Znieruchomiła na progu.

– Nie wyjdę za Daimberta – oświadczyła jednym tchem. – Po powrocie z kościoła wyjaśniliśmy sobie z ojcem to i owo. Powiedziałam mu, że cokolwiek się stanie, postanowiłam zerwać zaręczyny, na które się nigdy nie zgodziłam. Wpadł w potworną złość, zaczął wrzeszczeć, potem nagle posiniał i zwałił się na posadzkę!

– Chryste Panie!

– Matka i ja od razu puściłyśmy mu krew. Utoczyłyśmy pół kwarty. Potem wpadłam na pomysł, żeby mu przystawić pijawki do stóp i uszu. Odzyskał przytomność, coś tam wymamrotał. Następnie matka dała mu do wypicia napar z ziół według własnej receptury. Czuje się lepiej. Z Bożą pomocą wykaraska się bez większego szwanku.

Isambora objęła kuzynkę, poprowadziła ją łagodnie do ławy, na którą Awelina się osunęła.

Wtedy Majol, który słuchał rozmowy bez najmniejszego ruchu, usiadł za tą, której nigdy nie zapomniał, i położył dłonie na jej drżących ramionach.

– Czy twój ojciec zgodził się na zerwanie zaręczyn z tym człowiekiem? – spytał ochryple.

– Tak. Wyznał, że czując muśnięcie śmierci, pojął, że jedyna rzecz, na jakiej mu naprawdę zależy, to zbawienie duszy. Bał się, że zostanie potępiony, jeśli skłoni mnie do jakiegoś rozpaczliwego czynu. Nie chciał odpowiadać za to przed obliczem Boga żywego. Wreszcie zwolnił mnie z przyrzeczenia złożonego wtedy, gdy byłam za młoda, by uświadomić sobie, jakie są jego konsekwencje.

Mówiła, wpatrując się w płomienie.

– Zresztą myślę, że w sumie był zadowolony, ponieważ znalazł sposób, by z honorem załatwić sprawę, z której nie bardzo wiedział, jak się wyplątać.

Gwałtownie obróciła się do Majola, chwyciła go za ręce, podniosła ku niemu oczy, które potrafiły ciskać błyskawice, ale teraz błyszczwały niczym krople deszczu w promieniach słońca.

– Jestem wolna! – wykrzyknęła. Jej głos się załamał, lecz jednocześnie zabrzmiała w nim nuta triumfu. – Wolna! Słyszysz, mój drogi, wolna!

## IV

Aljom zdjął kawałek grubego płótna związanego z tyłu szyi, które wykręcił, by je wyżyć, po czym znów włożył na głowę.

Zarówno zimą, jak latem w warsztacie, gdzie wyrabiano szkło, przy czterech murowanych i obłożonych cegłą piecach panowało nieznośne gorąco.

Gerbald Swojak, Aljom i Remigiusz pracowali tam jedynie w krótkich koszulach luźno spływających na nogawice.

Tego rana uczeń mył, potem suszył w dymie bukowe szczapy i piasek z Loiru, który należało wypalić przed dokładnym połączeniem tych dwóch podstawowych składników szkła.

Aljom sortował odłamki starych wyrobów szklanych lub mozaik pochodzących z ruin zaniedbanych pogańskich świątyń. Dodając te topniki do uprzednio przygotowanej masy razem z różnymi barwnikami, uzyskiwał poszukiwany odcień.

Jednocześnie długą żelazną łyżką mieszał płyn bulgoczący w ogniotrwałych tyglach, aby usunąć żużel, który wypływał na powierzchnię.

Ponieważ rozżarzona do białości materia była właściwie bezbarwna, chcąc sprawdzić, czy stopniowo przybiera pożądane odcienie, należało ściśle nadzorować pracę pieców. Bywało nawet, że Aljom wygaszał niektóre tygle, aby lepiej ocenić ich zawartość.

W innym piecu, o tylko nieco niższej temperaturze, Gerbald Swojak metalowym wydrążonym prętem nabierał wytapiające się szkło. Następnie podnosił tę rurkę do ust, leciutko w nią dmuchał, po czym odsuwał i przykładał do policzka, gdyż nie wolno było wciągnąć płomieni do ust.

Na końcu tej szklarskiej piszczeli tworzyła się wtedy duża bańka z kolorowego szkła. Gerbald obracał nią, rozgrzewał w odpowiednim momencie przed szeroko otwartymi drzwiczkami pieca i powtarzał operację tyle razy, ile uznał za stosowne, dopóki nie uzyskał cholewy o określonym kształcie i wadze, ani na chwilę nie przestając obracać kropli szkła na końcu drążka.

– Wbrew temu, co myśli wielu ludzi, wydmuchiwanie szkła wcale nie jest najbardziej uciążliwe – zwykł mówić Bernold. – Do tego wystarczy zręcznie kierować swoim oddechem, niczego jednak nie robiąc na siłę. Otóż najtrudniej jest utrzymać piszczel w miarowym ruchu obrotowym, a jednocześnie kołysać nią w rowkach wyżłobionych przy piecach. Połączone razem rurka i cholewa ważą dobre czterdzieści funtów! Wymaga to ogromnego wysiłku, tym bardziej że temperatura jest piekielnie wysoka. Inaczej szkło, stygnąc, natychmiast by stwardniało.

Od chwili wyjazdu ojca Aljom po raz pierwszy w życiu czuł się odpowiedzialny za wszystko, co działo się w warsztatach. Przedtem Bernold na czas swojej nieobecności ściagał od mistrza z lasu doświadczonego szklarza, który go zastępował. Teraz, gdy najstarszy syn zdobył konieczną wiedzę przez lata terminowania, postanowił zostawić Aljoma samego, aby przejął jego obowiązki.

Młody człowiek wziął to sobie do serca i starał się wszystko nadzorować.

I tak kątem oka spostrzegł, że Gerbald Swojak, gdy cholewa uzyskała wymaganą wielkość, odciął jej dolną część, potem końcówkę piszczeli okręcił szklanym pasmem,

aby ją oderwać. Następnie wydmuchiwacz szkła ciężkim krokiem podszedł do stołu i położył na nim obok już gotowych cholew tę, którą właśnie uformował.

Remigiusz natychmiast wypełnił ją drewnianymi wiórami, po czym przesunął długim żelaznym, rozgrzanym do czerwoności prętem po otwartym walcu. Szkło od razu pękło wzdłuż wyraźnej prostej linii.

Następnie uczeń umieścił otwarte cholewy na podpórkach i zabezpieczył otwory przed zamknięciem wąskimi klinami.

Aljom po kolei zebrał cholewy, które włożył do pieca prostowniczego, aby zmiękły, później żelaznym prętem wygiął na zewnątrz obie powierzchnie każdej z nich, zanim opadły. Teraz wystarczyło już tylko spłaszczyć szklane tafle, nadając im formę regularnych kwadratów. Następnie wsunął je do specjalnego pieca.

Ta faza wyżarzania była najdelikatniejszym etapem produkcji. Wiedząc, że trzeba bez przerwy ją kontrolować, Aljom sam nad tym czuwał.

Przeważnie wykonywał swój zawód z pasją. Wpadał w zachwyty, patrząc, jak powstają kolorowe bańki, w których tak pięknie opalizuje światło dzienne, śledząc ich ewolucję, następnie używając do wyrobu witraży kawałków szkła wytworzonych wspólnym trudem, z którego czerpał satysfakcję. W tej twórczej działalności wszystko go cieszyło.

Chociaż jego upodobanie do szklarskiego rzemiosła się nie zmieniało, od pewnego czasu coś innego jeszcze bardziej zaprzętało jego umysł, zastępując miłość do sztuki.

Toteż tego dnia, gdy tylko skończył pracę, pobiegł do domu, aby się umyć, przebrać, włożyć czysty kaftan, przyczesać się.

Była sobota. A że około południa wygasła wszelka aktywność zawodowa, młody szklarz miał wolne już przed obiadem.

– Nawet niczego z nami nie przekąsisz, synu? – zapytała Isambora, widząc, jak przechodzi przez salę szybkim krokiem.

– Majol prosił, żebym mu pomógł w przygotowaniach do jutrzejszego święta – odparł młodzieniec. – Tam na górze jest huk roboty, więc nie ma chwili do stracenia.

Cmoknął matkę w policzek i umknął.

Pod koniec lutego panowała szaruga. Było dość zimno, ale wszystko ociekało wilgocią. Nisko wiszące chmury, posępna ziemia, na której skarłała, pożółkła trawa nie wyglądała zachęcająco, poczerniałe gałęzie, błotnista breja.

Właśnie rozpoczął się Wielki Post. Wyszarzała przyroda doskonale harmonizowała z tym czasem pokuty.

Ale Aljom niczego nie zauważał. Szedł, podskakując niczym roczne kozłátko. Jego serce promieniało jak słońce. Światło, którym jaśniał od wewnątrz, rzucało na całą okolicę oślepiające odblaski.

Nawet sobie nie uświadamiając, że przebył taki szmat drogi, dotarł do furtki w murach obronnych otaczających nowy zamek.

Dzięki umiejętnościom i zmysłowi organizacyjnemu Majola prace budowlane, które z początku sprawiały niemało kłopotu murarzom barona, zostały szczęśliwie doprowadzone do końca.

Nowiutki kamienny donżon wznosił się teraz na szczycie skalnego występu,

górującego nad doliną. Trzy wysokie, okrągłe piętra wieńczył blankowany parapet, chroniący ścieżkę dla patroli.

Szachownice, w których skałek przeplatał się z białym tufem, ozdabiające otwory drzwiowe i okienne, rozweselały grube mury, skonstruowane z twardych, przepołowionych krzemienych buł o rudej barwie, z pęknięciami od strony lica. Na zewnątrz wieży, na poziomie drugiego piętra, gdzie znajdowało się mieszkanie barona i jego rodziny, biegła drewniana galeria.

Zima owego roku nie dawała się szczególnie we znaki, toteż budowy ani razu nie przerwano z powodu dotkliwego chłodu.

Wszystko było dopięte na ostatni guzik, więc baron Salomon postanowił wesóło uczcić koniec robót.

Ostatnia niedziela przed Wielkim Postem wypadła nazajutrz i należało z tego skorzystać. Zgodnie ze zwyczajem po zapadnięciu zmroku zapłoną ogniska, ludzie będą spacerować wzdłuż murów z zapalonymi pochodniami, a potem ucztować i tańczyć.

Na festyn w nowiutkiej wielkiej sali na pierwszym piętrze zostali zaproszeni domownicy seniora, mistrz budowlany i jego najlepsi czeladnicy, niektórzy mieszkańcy Fréteval oraz kilku najwierniejszych wasali.

Aljom wszedł prowadzącą tam ruchomą pochylnią. Na wąskiej kładce panował tłok. Młody szklarz musiał przeciskać się przez czeredę rzemieślników i służących, wśród beładnej bieganiny.

Tak jak przewidywał, w przeddzień święta wielkie ożywienie panowało w ogromnej kolistej komnacie, której wysokie okna, zasłonięte arkuszami pergaminu, starannie wypolerowanego i natłuszczonego, wychodziły na wszystkie strony świata.

Tego zimowego dnia wpadało do pomieszczenia tylko trochę światła, toteż ogień buzował w potężnym kominku o wystającym okapie, który obramowywały dwie długie szafy. Salę dodatkowo oświetlały kinkiety z kutego żelaza, w których płonęły woskowe pochodnie, oraz zawieszony na ogromnych krokwiach z drewna kasztanowego żyrandol z wetkniętymi w niego świeczkami. W ich blasku czeladnicy, którzy wspięli się na drabiny, wieszali na ruchomych drążkach różnokolorowe kotary, służące do podziału na mniejsze pomieszczenia zbyt dużej powierzchni.

– Chodź nam pomóc, Aljomie! – krzyknął jakiś chudy mężczyzna, o twarzy pooranej zmarszczkami, który w asyście dwóch pomocników wieszał na ścianach wielobarwne tkaniny z herbami rodu barona i jego dwóch najznacześniejszych wasali.

– Już pędzę! – odparł młody człowiek z zapalem.

Odon Tapisjer przybył do Fréteval w ślad za Majolem. Pochodzący z Fougère w Normandii, niedawno ściągnął żonę i trzy córki, które mieszkały z nim w budynkach gospodarskich dawnego zamku.

– Weź młotek i gwoździe – polecił szklarzowi. – Pomożesz mi umieścić tę zasłonę za fotelem honorowym barona.

Chodziło o to, by przybić opatrzone herbem płócienny pas pod ciężkim mieczem inkrustowanym złotem, włócznią i białą tarczą obwiedzioną bordiurą z samiczkami kosa, które mieli w herbie panowie na Meslay. Umocowano je nad wyłożonym tapiseriami fotelem z brązu, z wysokim oparciem.

Syn Isambory chwycił drabinę, którą oparł o kamienny mur, i żwawo na nią wskoczył.

Odon Tapisjer wyciągnął ku niemu drewniany pręt, który należało porządnie przybić do ściany przed rozpięciem na nim wyszywanej wełną tkaniny. Wkrótce robota została wykonana, a wtedy jeden z pomocników podał mu brzeg materiału do umocowania.

– Bóg z tobą, Aljomie! – rozległ się za nim głos Majola. – Z pewnością wynagrodzi cię w raju za to, że służyysz nam pomocną ręką w takiej chwili!

Młody szklarz pozdrowił z drabiny mistrza budowlanego, którzy przyglądał mu się z uśmiechem.

Odkąd zapadła decyzja o zaślubinach z Aweliną, Normandczykowi wciąż dopisywał humor, którego najwyraźniej nic nie mogło mu popsuć. Ani trudności z rozpoczętą budową, ani opóźnienie ceremonii spowodowane chorobą podwasala.

Oslabiony atakiem, po którym omal nie wyzionął ducha w dzień Bożego Narodzenia, Gerwazy nie odzyskiwał sił tak szybko, jak z początku spodziewali się jego bliscy. Dlatego nikt nie śmiał powiedzieć mu o zamiarze, którym z pewnością nie byłby zachwycony. Choć nigdy więcej nie wspomniał o Majolu, wszystko wskazywało, że jest do niego źle usposobiony.

Niewiele myśląc, Perryna poprosiła przyszłych małżonków, by poczekali do Wielkanocy, zanim powiadomią ojca Aweliny o swojej decyzji i ustalą termin wesela.

Czterdziestodniowy post, podczas którego nie zawierano ślubów, wystawi na ostatnią próbę cierpliwość narzeczonych.

Awelina wróciła do Blois, gdzie Majol odwiedzał ją tak często, jak mógł.

– Baron Salomon powinien być zadowolony z prac wykończeniowych, które polecił nam wykonać w rekordowo krótkim czasie – rzekł mistrz budowlany. – Tak przyozdobiona sala wygląda imponująco, a pańska komnata piętro wyżej jest jeszcze piękniejsza!

– Będzie mu się tu mieszkało wygodniej niż w starym drewnianym zamku!

– Nie takim znów starym, jak sądzisz, młodziku! – zaprotestował Majol rozbawiony. – Odbudowano go ledwo osiemnaście lat temu. Wkrótce po pożarze, w którym spłonął poprzedni donżon. W tym pamiętnym dniu Bóg pozwolił, abyśmy poznali, twój ojciec i ja, swoje przyszłe żony!

– Wiem – powiedział Aljom, ale jego myśli nagle się rozproszyły.

Nie przeszkadzając mu dłużej w pracy, mistrz budowlany się oddalił.

Obszerna sala rozbrzmiewała stukiem młotków, okrzykami, wydawanymi poleceniami i trzaskiem płomieni pochłaniających dwa ogromne pniaki. Zapachy świeżo rozciętych kamieni, wiórów, słomy, konopi, łoju mieszały się z wonią polan płonących w palenisku.

Między kominkiem z okapem a drzwiami wejściowymi otwierała się głęboka studnia. Wywiercono ją wewnątrz samego budynku dla wygody, a także po to, by z niej korzystać w razie oblężenia i nie wysadzać wtedy nosa na dwór.

Cembrowina z polerowanej kamionki dudniła od uderzeń drewnianych, ściśniętych żelaznymi obręczami wiader, używanych przez kobiety do czerpania wody.

Nagle jedna z nich wydała okrzyk, który dotarł do uszu Aljoma, właśnie schodzącego z drabiny.

Wypuściwszy z ręki młotek i gwoździe, młodzieniec rzucił się ku studni.

– Skaleczyłaś się, Adelizo?! – zawołał.

Wszystkie trzy córki Odon Tapisjera pomagały ojcu, biorąc również udział w przygotowaniach do festynu. Dwie starsze stały teraz przy najmłodszej, która nieopatrznie wetknęła rękę między sznur ze spuszczanym wiadrem a kamienną ścianę. Krew z otartej skóry kroplami sączyła się na posypaną słomą posadzkę.

– Rana nie jest głęboka – zapewniła Majetta, młodsza, która miała wkrótce skończyć osiemnaście lat. – Zanurz rękę w zimnej wodzie, siostró. Ja przez ten czas skoczę do domu po opatrunki i balsam.

Wybiegła, a najstarsza, Gwiranda, podsunęła dziewczynce do połowy napełniony drewniany cebrzyk z uchwytem.

– Boli cię? – spytał Aljom.

– Trochę.

Usta jej zadrżały, zrobiła grymas, który poruszył chłopaka.

– Bóg mi świadkiem, chętnie dałbym sobie uciąć rękę, bylebyś ty się nie skaleczyła!

– Nie byłaby to dobra zamiana – wymamrotała Adeliza. – Założę się, że szybko byś pożałował.

„Nigdy – powiedział sobie w duchu Aljom – nigdy bym nie uwierzył, że można być tak wzruszonym czyjąś obecnością. Co ma w sobie ta panna, że tak działa na moje zmysły?”

Z chwilą gdy na usilną prośbę matki poszedł po Majola w ranek Bożego Narodzenia, jego życie się odmieniło. Nie wiedząc, gdzie mieszka mistrz budowlany, wszedł do jednego z budynków gospodarskich dawnego zamku, gdzie jak sądził, powinien go znaleźć. Ale pomylił się. Popchnąwszy drzwi, stanął twarzą w twarz z postacią szczupłą, lecz o obfitym biuście: ładnie rozwinięte piersi swobodnie falowały pod płóciennym kaftanem. Jasnowłosa, jak wszystkie dziewczyny z północy, podniosła ku niemu duże błękitne oczy, mieniające się niczym wody Loary poruszone latem lekką bryzą.

Skłonna do kpin, a zarazem poważna kobieta dziecko odznaczała się niewinnością tego drugiego i ukrytą mocą tej pierwszej.

Od tamtej pory liczył się tylko czas upływający między ich spotkaniami i Aljom nie wyobrażał sobie przyszłości inaczej jak u boku ukochanej.

– Co się dzieje? – zapytał Odon Tapisjer, który właśnie skończył pracę. – Widząc, chłopcze, jak pędzisz na złamanie karku, sądziłem, że wydarzyło się jakieś wielkie nieszczęście.

– Tylko małe – mruknęła, wzruszając ramionami, Gwiranda, która nie grzeszyła urodą.

– Myślałam, że mam zmiądzoną rękę – zaoponowała Adeliza.

Aljom obrócił się gwałtownie do tapisjera.

– Skoro Bóg tak chce i skoro mowa o jej ręce, tu, w tej chwili – wyrzucił z siebie



jednym tchem – proszę, pozwól, panie, bym ją pojął za żonę.

– Co takiego? Co ty wygadujesz? – wybełkotał rzemieślnik ze zgrozą.

– Powiedziałem, że proszę o rękę Adelizy, z którą chciałbym wziąć ślub – powtórzył wyraźnie syn Isambory. – Miłuję ją od Bożego Narodzenia i jeszcze nie odważyłem się wyznać jej uczucia. Toteż korzystam ze sposobności, bo nie mogę już dłużej czekać!

– Oszalałeś!

– Dlaczego? Mam siedemnaście lat, ona piętnaście. Pracuję z ojcem w warsztacie szklarskim i później przejmę po nim interes. Czyż nie jestem dobrą partią?

– Niewątpliwie, niewątpliwie...

– Czego pragniesz więcej, panie? Kocham twoją córkę. Daj mi ją za żonę. Wkrótce się pobierzemy!

– Wy? Pobierzecie... Przed Adelizą muszę wydać za mąż dwie starsze córki! Wiesz chociaż, czy twoi rodzice się zgodzą? Wspomniałeś im o tym bodaj słowem?

– Jeszcze nie. Ojca nie było całą zimę. Ale zaraz po powrocie do domu porozmawiam z matką. Już moja w tym rzecz.

– Skaczesz jak źrebak na pastwisku i nie dajesz mi czasu na zastanowienie! – obruszył się, ale już łagodniej, tapisjer.

Aljom zwrócił się bezpośrednio do dziewczyny, na którą nie śmiał dotąd spojrzeć.

– Ty, Adelizo, musisz rozstrzygnąć – oznajmił. – Godzisz się, czy nie, zostać moją? Kochasz mnie choć trochę?

Dziewczyna popatrzyła na niego wzrokiem rozgorzałym od emocji. Malowało się w nim więcej radości niż zdziwienia. Jej oczy skrzyły się jak woda w rzece prażona lipcowym słońcem.

– Jeśli nikt nie będzie miał nic przeciw i jeśli taka jest wola Pana naszego – wymamrotała, rumieniąc się – nie widzę powodu, by za ciebie nie wyjść, Aljomie. Nie, na mą duszę, skądże...

Chłopak poczuł, że fala krwi napływa mu do serca. Musiał oprzeć się o cembrowinę studni, której chłód go otrzeźwił. Drżał na całym ciele.

– Dobrze już! – powtarzał Odon Tapisjer – No, dobrze!

Akurat ten moment wybrał Salomon z Fréteval, by wejść do sali. Chciał się przekonać, jak zaawansowane są prace.

Otoczony braćmi, kuzynami, rycerzami przydzielonymi do jego służby, ich małżonkami, zbrojnymi i giermkami, baron kroczył, trzymając pod ramię swoją żonę, dostojną panią Agnieszkę z Guerches, a jednocześnie popychając przed sobą dwóch najmłodszych synów.

– Na mego Stwórcę! W tym nowym donżonie nasza rodzina będzie godniej mieszkać niż w poprzednim – stwierdził z satysfakcją, stając przed fotelem z brązu. – Jego kamienne mury będą o wiele lepiej chronić nas przed zimnem, o przewrotnych Andegawenach nie wspominając!

– Po powrocie z Ziemi Świętej twój kuzyn powinien się cieszyć, że może zamieszkać w takim miejscu! – dodała dama Agnieszka. – Gdy ktoś ma taki zamek jak ten i syna tak krzepkiego jak mały Ursion, przyszłość jego rodu wydaje się zapewniona.

Baron skrzywił się. Miał ruchliwą, szczerą twarz, dużą kwadratową głowę osadzoną na umięśnionym ciele myśliwego i wojownika. Skory zarówno do śmiechu, jak i do gniewu, umiał odgrywać hulakę, gdy tego wymagały okoliczności, ale nikt nie śmiał mu się sprzeciwić.

– Zawsze będę żałować, że Newelon uznał za stosowne oddać swego jedynego syna pod skrzydła jednej ze swych sióstr, a nie mnie – odezwał się urażony. – Do diaska, przecież jestem jego opiekunem z urzędu! Wolałbym zostawić go przy sobie... Ale i tak muszę nad nim czuwać, choćby z dala! Dlatego pragnę, by mógł później zamieszkać tutaj, całkiem bezpiecznie. Ta forteca będzie jego najpewniejszym schronieniem.

Baron Salomon, o czym wszyscy wiedzieli, z trudem akceptował fakt, że jest potomkiem jednego z rozlicznych bastardów możnego rodu. Tym łatwiej było urazić jego miłość własną.

– Ursion będzie ci wiele zawdzięczał – westchnęła pani Agnieszka de Guerche, jakby to stwierdzenie sprawiało jej ból.

Chuda i blada, o twarzy zdradzającej fatalistyczne podejście do życia, małżonka Salomona zazwyczaj wypowiadała się z patosem. Wydawało się, że w głębi duszy uwielbia dramatyczne sytuacje i świadomie je wyszukuje.

– Zobaczymy, jak będzie się zachowywał, gdy dorośnie – oznajmił baron, którego irytowały biadolenia żony i wcale tego nie ukrywał.

– Chodźmy już – podjął, tym razem zwracając się do Odon Tapisjera – chodźmy, nie ma chwili do stracenia, jeśli chcemy, by wszystko było gotowe na jutro. Pamiętaj, że zależy mi na tym, aby zawiesić nad kominkiem najpiękniejsze rogi jeleni i danieli, które upolowałem. Te trofea uzupełnią wystrój i powinny się tam znaleźć przed festynem.

– Znajdą się tam, dostojny panie, znajdą, możesz na mnie liczyć.

– Twoja córka się zraniła? – zapytała kasztelanowa, z daleka pokazując palcem Adelizę.

Wbrew tradycji wprowadzonej przez poprzednie kasztelanowe we Fréteval, stroniła od pielęgnowania ludzi, nie znosiła bowiem widoku krwi.

– To zwykłe zadrapanie – odparł tapisjer, który zdążył się rozeznać. – Szybko się zagoi. Gwiranda i Majetta się nią zajmują.

Następnie baron i jego domownicy skierowali się ku drewnianym schodom prowadzącym na piętro donżonu.

– Muszę iść z seniorem z Fréteval – szepnął Odon do Aljoma. – Powinien mi dać wskazówki co do tapiserii w jego komnacie. Poczekaj na mnie. Nie zajmie mi to dużo czasu.

Majetta wróciła z podniszczonym płóciennym bandażem i dzbanuszką z wypalanej gliny. Otarła krew, która wciąż sączyła się ze skaleczeń, następnie przechyliła naczynie i wylała trochę płynu na spuchniętą skórę.

– To wywar z zieleń gojącego rany – rzekła. – Nasza matka zapewniała, że nie ma nic skuteczniejszego.

Potem obandażowała drżącą rękę.

Gdy opatrunek był gotowy, z kolei chwycił tę dłoń Aljom i podniósł do ust. Następnie zdjął z palca złoty pierścień, który kiedyś dostał od Aweliny, swojej matki

chrzestnej, i wsunął go na palec serdeczny wybranki.

– Zostaniesz moją żoną – powiedział cichutko. – Moją żoną! Pobierzemy się, gdy tylko wróci ojciec.

– Zrobię, jak sobie życzysz – szepnęła Adeliza. – Mogę cię zapewnić, że moja rodzina nie będzie stawiała przeszkód. Ojciec robi wszystko, czego ja zechcę. Teraz ty musisz przekonać swoich rodziców... Nie jestem bogatą dziedziczką... Może będą później żałować...

– Jeśli się sprzeciwią naszemu małżeństwu, możemy się obejść bez ich zgody! – wykrzyknął Aljom. – Ale nie myślę, byśmy musieli się do tego uciec. Nie są interesowni i pokochają cię, gdy poznają cię bliżej.

Jeszcze tego wieczoru po pracy w warsztacie Aljom poszedł do Isambory, aby ją powiadomić o swoim zamiarze.

Zastał ją w mleczarni – właśnie układała kozie sery na suszarkach z kutego żelaza, których kwadratowe tacki zawiesi później na łańcuszkach pod okapem kominka, aby wysuszyć i jednocześnie uwędzić sery.

Zapach mleka i świeżej śmietany, którym przesiąkło niewielkie pomieszczenie, napełniał każdego, kto się tam znalazł, jakimś dziwnym uczuciem spokoju i matczynego ciepła.

Już od wejścia Aljom nabrał pewności, że nowina, którą obwieści matce, zostanie dobrze przyjęta.

Isambora wysłuchała go, nie przestając napełniać suszarek.

– No cóż, synu! – rzekła, gdy umilkł. – No cóż! Zaczynasz sobie układać życie...

Wytarła palce ścierką wiszącą na gwoździu, a potem położyła rękę na ramieniu Aljoma, drugą odsuwając kosmyk włosów, który opadał na czoło chłopaka.

– Chociaż twoja decyzja może się wydawać nieco pochopna, nie ja będę ci ją wypominać – ciągnęła z czułością. – Kiedyś jeszcze bardziej się pospieszyłam i nigdy nie pożałowałam! Ale czy jesteś całkowicie pewien, że nie bierzesz miłości za głębokie uczucie? Czy możesz naprawdę zawierzyć swemu sercu? Niektórzy tak boleśnie się myślą...

Stary kaftan, który Isambora nosiła, pracując w mleczarni, i który wypychał na zewnątrz jej brzuch, kwaśno zalatywał mlekiem i potem.

Aljom spojrział na nią z rozbrajającą szczerością.

– Zobaczyłem ją i od razu pokochałem tamtego rana, w Boże Narodzenie – rzekł z naciskiem. – Od tej pory przepelnia mnie ta miłość. Mogę cię zapewnić, matko, że zakorzeniła się w mojej duszy, że jest częścią mojej istoty jak drzewo częścią ziemi, na której rośnie!

– Wierzę ci, synu, wierzę. Ale ty jesteś najuczciwszy z nas wszystkich. I właśnie ze względu na twoją prostolinijność chcę cię ostrzec przed porywem serca, który byłby jedynie czymś przelotnym...

– Bóg mi świadkiem, matko, przysięgam, że się nie pomyliłem...

– Jestem skłonna ci zaufać, Aljomie, możesz mi wierzyć. Skoro zapewniasz mnie o stałości swoich uczuć, wiedz, że nigdy nie będę piętrzyć trudności. Podczas moich własnych zaślubin za bardzo dało mi się we znaki grubiańskie i apodyktyczne zachowanie

stryja. Z pewnością dokonałeś słusznego wyboru. Ta młodziutka Adeliza musi mieć wyjątkowe zalety, skoro zwróciłeś na nią uwagę. Poza tym czy nie jest Normandką? To w moich oczach dodatkowy atut, o czym dobrze wiesz!

Uśmiechnęła się przekornie. Aljom poczuł, że ciężar spadł mu z serca.

– Teraz powinniśmy się poznać, nauczyć się wzajemnie siebie kochać – podsumowała Isambora. – Przyrowadź ją do mnie jutro po festynie u barona, przed marszem z pochodniami. W tym stanie trudno by mi było pójść do zamku, ale zapewniam cię, przyjmę ją serdecznie.

Pomimo ściągniętych rysów, ocieężałości nagle poweselała i ożywiła się, przypominając dawną Isamborę z czasów, zanim zaszła w ciążę, która okazała się bardziej męcząca niż poprzednie.

– Pomyślałem, że moglibyśmy wziąć ślub, gdy tylko ojciec wróci do domu – zasugerował Aljom.

– Czemu nie? Teraz chyba nie będzie już zwlekał. Tym razem jego powrót zbiegnie się niewątpliwie z początkiem wiosny.

Nagle na twarzy Isambory pojawił się wyraz powagi.

– Ukłęknij przede mną, synu – rzekła. – Muszę cię pobłogosławić w tak ważnym momencie jak ten. U progu nowego życia, które wkrótce rozpocznie, powinieneś przede wszystkim otrzymać błogosławieństwo od matki.

Na czole syna nakreśliła kciukiem znak krzyża, prosząc Boga, by miał w swojej opiece bezbronne dziecko, jakim był Aljom.

„Czy córka normandzkiego tapisjera jest odpowiednią żoną dla takiego chłopaka jak mój? – zastanawiała się później, po kolacji, gdy cały dom już spał. – Czy okaże się godna jego uczuć? Czy zrozumie, że dla tak ufego męża najmniejsza zdrada będzie zabójczym ciosem? Najświętsza Panienko, zaopiekuj się obojgiem! Ulituj się, Matko Boża, nad ich młodością!”

Nazajutrz, wstawszy z łóżka, spędziła sporo czasu w łaźni w towarzystwie Sancji. Służąca umyła jej włosy, potem natarła ciało olejkiem z wonnych ziół zbieranych latem w ogrodzie i na łące.

– Muszę ładnie wyglądać, przyjmując przyszłą synową. Co by powiedziała o zaniedbanej, rozczochranej teściowej?

– Będzie się przyglądać przede wszystkim twemu synowi, pani – odparła dziewczuszka ze śmiechem. – Onieśmielisz ją. Nawet nie odważy się na ciebie spojrzeć.

Sancja się pomyliła.

Kiedy Aljom wprowadził Adelizę do posypanej świeżą słomą wielkiej sali, gdzie płonęły zmieszane z polanami w palenisku gałązki rozmarynu, napełniające powietrze przyjemną wonią, Isambora napotkała tak promienne, tak zuchwałe spojrzenie, że doznała wstrząsu.

Stojąc za plecami matki, Filipa i Albin zerkali, niezbyt życzliwie, na pogodną twarz otuloną kapturem płaszcza podbitego zajęczym futrem, długie warkocze tak jasne, że wydawały się przetykane srebrną nitką, drobną, szczupłą sylwetkę tej, którą Aljom wprowadzał pod rodzinny dach.

– Wejdz, moje dziecko, wejdz do tego domu, który być może będzie kiedyś twoim

– powiedziała spontanicznie Isambora. – Mój syn ma rację: nie ma bardziej uroczej istoty od ciebie!

Wcale niespeszona, dziewczyna złożyła lekki ukłon, chwyciła rękę gospodyni i ucałowała. Potrafiła podziękować z wdziękiem, uśmiechnąć się do Aljoma, zachwycić się dołączkami w policzkach Filipy.

Całe towarzystwo usiadło przy okrągłym kominku. Po jego drugiej stronie Margista i Sancja grzały się, piekąc kasztany, i dyskretnie śledziły przebieg wizyty, ogromnie zainteresowane.

Podczas pogawędki podjadano paszteciki z rodzynkami, orzechy smażone w miodzie, raczono się kasztanami, potem popijano z pucharków wino morwowe.

Adeliza, jak się okazało, była wesoła, naturalna, wcale niegłupia, ciekawa wszystkiego.

Cieszyło to Isamborę, dziwiła się jednak, że młodzianka dziewczyna może być tak pewna siebie i swoich wdzięków.

Filipa, która usadowiła się na poduszce u stóp przyszłej bratowej, wydawała się zachwycona tym, co w niej odkrywała, i ze współczuciem dopytywała się o kompres założony na jej skaleczoną lewą rękę.

Gdy zaczęło się ściemniać, Adeliza powiedziała, że musi wracać. Wkrótce zapadnie zmrok. Rodzice czekali na jej powrót, aby razem z nią wziąć udział w marszu z pochodniami. Chociaż towarzyszył jej Aljom, rodzice będą się niepokoić, dopóki córka nie pojawi się na zamku.

– Zanim wyjdiesz, przyjmij ode mnie ten upominek na znak powitania w Grand Feu – powiedziała Isambora, wręczając jej srebrną inkrustowaną hiacyntami<sup>[15]</sup> bransoletkę, którą do tej pory przechowywała w sakiewce. Należała do jej matki. – Byłabym szczęśliwa, gdybyś ją nosiła.

Kiedy młodzi wyszli, języki się rozwiązały. Służące podzieliły się swymi dobrymi wrażeniami.

Filipa pochwaliła brata za to, że wybrał sobie tak uroczą pannę.

– Kiedy dorosnę, to się z nią ożenię – oznajmił Albin. – Wtedy Aljom będzie już za stary!

– Widzę, że ta czarodziejka uwodzi wszystkich mężczyzn w rodzinie! – zauważyła Isambora, śmiejąc się. – Jestem pewna, że spodoba się też twemu ojcu i że z czystym sumieniem zgodzi się na twój ślub.

Odtąd wszystkie jej myśli krążyły wokół powrotu Bernolda.

Długa zima wyczerpała ją bardziej niż jakakolwiek poprzednia. Odczuwała przemożną potrzebę, by ujrzeć męża, zrzucić na jego barki swoje obowiązki, znów doznawać jego opieki i ciepła.

Upłynęły trzy tygodnie, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Minęła połowa postu. Kosy zaczęły śpiewać z wiosennym ferworem. W zagajnikach i ogrodzie zazieleniły się pierwsze pąki. Rozpulchniona gleba budziła w ludzkich sercach i ciałach jakiś zmysłowy, radosny, ożywczy zapach.

W pewien marcowy wieczór rozhulał się zachodni wiatr. Zmierzch zaczął już przyciemniać niebo, po którym pędziły skłębione chmury.

Otworzyła się brama od strony dziedzińca. Wszedł przez nią mężczyzna w łachmanach zamiast płaszcza. Zrobił kilka kroków i runął jak kłoda, straciwszy przytomność.

Dwa psy myśliwskie i brytan, które bawiły się przed domem, podbiegły do niego, cicho poszczekując. Najpierw chwilę krążyły wokół leżącego ciała, obwąchując je, po czym jęły lizać nagie i zakrwawione stopy, pozlepiane błotem włosy, bezwładne ręce.

Zaalarmowany skomleniem psów, wyszedł z warsztatu Aljom i podszedł do wyciągniętej na ziemi postaci.

– Na litość boską! Co się stało, ojcze? – wykrzyknął, rozpoznając mistrza szklarskiego.

Ale Bernold nie był w stanie odpowiedzieć.

Młody człowiek pognął po Gerbalda Swojaka.

We dwóch dźwignęli i zanieśli rannego do jednej z pracowni, następnie ułożyli go na stole zbitym z desek, które służyły do odtworzenia pierwszych szkiców.

Wydmuchiwał szkła odpędził psy, chwycił wiadro, które się tam znajdowało, chlusnął wodą na pobladłą twarz. Następnie zaczął oklepywać zabrudzone policzki.

Bernold zakrzuszył się, poruszył, otworzył oczy.

– Ojcze! Ojcze! Ocknij się! Powiedz coś do nas, proszę! – zawołał Aljom.

– Uratowany... jestem uratowany – wymamrotał Normandczyk.

– Uratowany przed kim? Przed czym? – zapytał Aljom. – Nie rozumiem. Gdzie twój pomocnik?

– Zabili go – szepnął szklarz, potrząsając głową.

– Zabili! Kto taki? Kto?

– Przydrożni bandyci, rabusie, którzy nas otoczyli i na nas napadli koło Doliny Jeleni... Było ich z dziesięciu.

Bernold przerwał, chciał się podnieść, ale znów opadł plecami na deski.

– Wygrzmocili mnie – jęknął.

Drzwi się otworzyły. Jak huragan wpadła do izby Isambora, niosąc przed sobą wypięty brzuch.

– Co ci się stało, najdroższy? Jesteś ranny! – wykrzyknęła.

– Chyba nie mam żadnych złamań, bo zdołałem się tu dowlec. Jestem wykończony, kochanie, wykończony... ale rany są powierzchowne. Kości jakoś wytrzymały.

Pochylona nad małżonkiem, Isambora ujęła w dłonie twarz, na której kurz mieszał się z zadrapaniami, mułem, tworząc żalostną maskę, i pocałowała go w usta.

– Ty żyjesz! – zawołała – żyjesz, chwała Bogu! To najważniejsze! Umyję cię, opatrzę twoje rany, wyleczę, najmilszy... Niedługo staniesz na nogi!

– Frobert, mój pomocnik, zginął, a rabusie ukradli wóz razem z zawartością. Nie mam nic. Ani pieniędzy, ani narzędzi. Ci wstrętnei bandyci zabrali nam ubrania, nawet nogawice! Potem rzucili mi te łachy na kpinę! – ryknął Bernold, który odzyskując siły, pałał coraz większym gniewem.

– Mój najmilszy, ukochany, uspokój się...

– Chociażem chrześcijanin, rad bym ich zakatrupił – ciągnął ranny, którego rozsierdzało wspomnienie minionych wydarzeń. – Wędrowałem bez broni obok konia.

Trzymałem go za uźdę, prowadząc po błotnistej ścieżce, kiedy na nas napadli. Frobert, który szedł za wozem, miał w ręku kij. Użył go do obrony, ale oni maczugą zmiażdżyli mu czaszkę... Widziałem, jak upadł... Mimo że walczyłem z nimi, kopiąc, waląc pięścią na oślep, i zraniłem dwóch lub trzech, w końcu mnie pokonali. Przywiązali do drzewa, ale przedtem ogołocili do cna... Kiedy sobie poszli, dopiero po paru godzinach udało mi się rozerwać powrozy...

– Niepotrzebnie się męczysz, Bernoldzie. Błagam cię, zapomnij o tych okropnych przeżyciach. Później, kiedy odpoczniesz, opowiesz nam szczegółowo, co ci się przydarzyło – wtrąciła Isambora. – Gerbald i Aljom zanoszą cię teraz do domu, tam się posilisz, a tymczasem przygotujemy ci kąpiel.

Z pomocą syna i wydmuchiawca szkła ranny dowlókl się do wielkiej sali, gdzie ulokowano go przed kominkiem, na ławie wymoszczonej poduszkami.

Filipa i Sancja, obie jednakowo wstrząśnięte, podały mu jajka sadzone na słoninie oraz grzane wino zaprawione cynamonem i miodem.

Gdy jadł, Isambora w asyście Margisty rozpałała ogień w łaźni. Poprosiła wydmuchiawca, aby ściągnął Amalbergę, lepiej znającą się na różnego rodzaju specyfikach, ale akuszerki nie było w domu. Musiała pomagać kobiecie w położu w jakimś zakątku doliny.

Isambora napełniła ciepłą wodą dużą drewnianą kadź, wyłożyła ją grubym prześcieradłem, chroniącym przed drzazgami, sprawdziła, czy dość nagrzały się płyty posadzki, na której ułoży się rannego, po czym wróciła do domu.

Nad równiną przeciągała ciężka grafitowa chmura. Rozpętała się gwałtowna ulewa. Niesiony podmuchami wiatru, zaciął deszcz, a jego strugi chłostały ziemię na podwórzu, dachówki i gałęzie, które zaczęły już wypuszczać liście.

W tej zawierusze należało doprowadzić Bernolda do małego ośmiokątnego budynku łaźni.

– Zostaw mnie samą, Margisto – powiedziała Isambora do służącej, która zamierzała jej pomóc. – Nie potrzebuję nikogo, żeby obsłużyć męża!

Gdy została sama z tym, któremu, jak uważała, jedynie ona mogła asystować, ściągnęła zeń płaszcz podbity futrem, którym, niczym synowie Noego, nakrył Aljom niemal nagiego ojca. Potem bardzo ostrożnie podtrzymała go, by nie urażając obolałych miejsc, wyciągnął się na grubym pikowanym płótnie, rozłożonym na gorących kamiennych płytach.

Krwawe wybroczyny, siniaki, ślady po sznurach, którymi go przywiązano, znaczyły niczym stygmaty leżące przed nią potężne, blade ciało.

Instynktownym gestem, pełnym miłości i bezgranicznego oddania, uklękła koło niego i przytknęła wargi do płaskiego brzucha o twardych jak stal mięśniach, tam gdzie biegła zygzakiem długa szrama.

– Boże, jak ja cię kocham! – powiedziała przytłumionym głosem. – Twoje cierpienie to moje cierpienie. Wydaje mi się, że mnie samej ktoś zadawał tortury!

Bernold położył dłoń na pochylonej głowie małżonki.

– Powrót tutaj kosztował mnie wiele wysiłku – wyznał. – Bardzo wiele. Ale chciałem znaleźć się znów u siebie... przy tobie... Gdyby nie to pragnienie, nie

dobnąłbym do naszego podwórza...

Isambora przyłożyła usta tam, gdzie biło serce jej męża, i przez dłuższą chwilę ich nie odrywała. Na wargach czuła głuche uderzenia, utożsamiające się z jego życiem.

– No dobrze, przede wszystkim muszę cię umyć – rzekła, podnosząc się z trudem, bo mocno przytyła. – Potem zabandażuję, tak jak potrafię, twoje rany.

Pomogła Bernoldowi wejść do kadzi, usiąść w niej, po czym miodowym mydłem zaczęła zmywać brud z ciała, które otaczała czcią.

Łagodnie i starannie namydliła i opłukała skórę podrażnioną po bójce, potem znów ułożyła rannego na rozgrzanych płytach.

Z kuferka, który Roland zwykle napełniał w razie potrzeby, wyciągnęła słoiczki z maścią, flakoniki z eliksirami.

W gorących oparach unoszących się znad kamiennej posadzki, spowity wonią tłustych kompresów i aromatyzowanego octu, Bernold zaczął mówić. Opowiedział, jak Froberta i jego napadnięto, gdy wracali z Fleury na skróty leśną ścieżką. Jak potem godzinami usiłował rozerwać, ocierając je o chropawy pień drzewa, podniszczone, lecz mocne powrozy, które go krępowały.

– Bałem się, że wilki i niedźwiedzie, zwabione zapachem krwi, podejną i zaatakują mnie, zanim zdołam się uwolnić – rzekł. – Bogu dzięki, widziałem tylko wiewiórki, lochę, która przebiegła niedaleko z warchlakami, stadka danieli i jeleni, ale żadnego drapieżnika.

Westchnął.

– Byłem wyczerpany. Chwilami traciłem nadzieję. Myślałem, że nigdy już was nie zobaczę, ani ciebie, ani dzieci...

Z grymasem bólu uniósł się na łokciu, podczas gdy zwinne ręce Isambory nadal go nacierały, masowały.

– Myślałem, że już ze mną koniec – przyznał bez fałszywego wstydu. – Tak, na mą duszę, poczułem, że śmierć się zbliża! Najpierw w kotłowaninie, kiedy ci parszywcy tłukli mnie pałkami... Później przy tym pniu, kiedy sobie wyobraziłem, że nijak nie uda mi się rozerwać więzów przed nocą.

– Najdroższy!

Bernold zacisnął wargi, przez chwilę dumał, potrząsnął głową.

– Nigdy jeszcze – podjął. – Nie, nigdy nie rozmyślałem nad końcem, jaki mnie czeka...

– To Bóg na nas czeka, ukochany – rzekła Isambora drżącym głosem. – Do Niego idziemy...

– Z pewnością, ale ciało jest słabe, droga żono, bardzo słabe. Strach ścisnął mi trzewia... Bałem się, nie sposób zaprzeczyć, okropnie się bałem...

– Chroniły cię modlitwy, jakie nieustannie zanosiałam do Pana Boga! Nie mogłeś tak nędznie umrzeć!

– Chyba masz rację, najmilsza, ale w takich chwilach jak te, które przeżyłem dziś rano, człowiek jest nie tylko przerażony. Czuje się jak ścigane zwierzę... Ponadto widziałem, jak padł mój biedny czeladnik... Usłyszałem, jak kręgi szyjne mu pękają pod ciosami, które na niego spadały... Nigdy nie zapomnę tego chrzęstu... jakby to mnie ktoś przetrącił kark...



Zapadła cisza. Isambora żarliwie ucałowała zamknięte powieki Bernolda, który położył głowę na jej ramieniu.

– Później – ciągnął zbolalym tonem – później, kiedy się uwolniłem ze sznurów, którymi te przekłete bydlaki przywiązały mnie do drzewa, dość daleko od drogi, nie odnalazłem ciała czeladnika. Chyba złoczyńcy zabrali je ze sobą, żeby wrzucić do jakiegoś głębokiego rowu, gdzie nikt nie będzie go szukał...

– Jutro trzeba zawiadomić strażnika zamkowego. Baron ma prawo orzekać w sprawach o poważne i drobne przestępstwa popełniane w tej części lasu, gdzie zostałeś zaatakowany. Zbrojni przeprowadzą poszukiwania.

– Liczę na to, chociaż zbytnio się nie łudzę, że osiągną jakiś rezultat... Bór jest rozległy... Mimo to nie zasnę spokojnie, dopóki nie zrobimy wszystkiego, aby Frobert spoczął w poświęconej ziemi.

– Damy na mszę u Świętego Leobina za spokój jego duszy.

Natarłszy Bernolda kolejno balsamami, olejkami, wyciągami z ziół, Isambora ogoliła go i uczesała.

– Znów stałeś się przystojnym mężczyzną, chociaż i tak nic ci nie odbierze urody – zauważyła z uśmiechem. – Zobaczysz, za parę dni wszystko pójdzie w zapomnienie.

Stojąc przed nią, powoli wkładał koszulę. W przypiływie uczucia zarzuciła ręce na jego potężną szyję, solidnie przytwierdzoną do ramion masą gibkich mięśni, i wycisnęła na ustach męża długi pocałunek.

On pierwszy się od niej oderwał. Łagodnie, lecz stanowczo ją odsunął.

– Jesteś w ostatnich miesiącach ciąży, moja droga, a poza tym jeszcze mamy post – stwierdził. – Nie przestrzegając go, popełnilibyśmy ciężki grzech.

– Masz słuszość – przyznała, wzdychając. – Oj, wielka szkoda!

Uśmiechnął się.

– Nie myślmy już o tym. Później nadrobimy. Raczej pomóż mi wciągnąć kaftan: jestem pewien, że utkałaś go, ufarbowałaś, uszyłaś specjalnie dla mnie w czasie naszej rozłąki – zakończył, celowo przybierając swobodny ton. – Jest śliczny.

– Może będziesz miał wkrótce okazję go przywdziać na uroczystość rodzinną – zauważyła Isambora, która zdążyła ochłonąć.

– Co masz na myśli?

– Nasz starszy syn na Boże Narodzenie poznał pannę, która zawróciła mu w głowie. Chce ci ją jak najprędzej przedstawić...

– Na Boga! Czy nie za bardzo się spieszy? Ja w wieku siedemnastu lat gdzieżbym myślał o ożenku! Smaliłem cholewki do dziewczek...

– On na pewno jest inny niż ty.

– Majol mógł czekać do czterdziestki, zanim bąknął coś o weselu!

– Widziałeś się z nim?

– Odwiedził mnie kiedyś we Fleury, żeby mi opowiedzieć, co mu się przytrafiło.

Wymawiając imię Aweliny, wprost promieniał radością!

– A więc nasz syn tak samo promienieje, kiedy przebywa z Adelizą...

– Ładne imię! Czy na nie zasługuje?

– Myślę, że ci się spodoba.

- Jednak Aljom jest bardzo naiwny i nie dojrzał jeszcze do założenia rodziny.
- To samo mówił o mnie stryj, kiedy sprzeciwiał się naszemu małżeństwu.
- Na mą duszę, niczemu się nie sprzeciwiam! Jeśli serce mu tak podpowiada, niech ten żółtodziób żeni się, z kim zechce!

Przytłumiony przez gęste opary wypełniające pomieszczenie znów zabrzmiał znajomy śmiech.

- Byłem tak bliski śmierci, ukochana żono, że dziś wieczór nie przywiązuję wagi do niczego innego oprócz życia! Na naszego Stwórcę, życie jest łaską, która nieustannie wprawia nas w zachwyt. To bezcenny dar, jaki otrzymaliśmy!

Tak jak Isambora przewidziała, Bernold dość szybko wylizał się z kontuzji i powierzchownych ran, jednak całkiem inaczej było z jego umysłem, jeszcze przez dłuższy czas przyćmionym i niespokojnym.

W tydzień po napadzie strażnicy barona w końcu odnaleźli w głębi leśnego parowu ciało Froberta, na poły pożarte przez dziką zwierzynę.

Mistrz szklarski mógł zatem pochować swego pomocnika, jak sobie życzył, na cmentarzyku otaczającym kościół Świętego Leobina. Ceremonia ta jednak nie przyniosła mu spodziewanego ukojenia.

Po raz pierwszy w życiu otarł się o śmierć, a z tego spotkania, które wzbudziło w nim potworny strach, wyniósł uczucie ciągłego lęku, całkiem obce jego naturze. Praca i odnowione więzi rodzinne zapewniały mu równowagę. Dawniej by go ona zadowalała, teraz jednak nie zacierała ciągłego poczucia niepewności.

Marzec miał się ku końcowi. Deszcze i wichry, dokuczające wszystkim, nagle ustąpiły miejsca ładnej pogodzie. W rześkim powietrzu unosiły się zapachy świeżej trawy i młodych pędów. Przyroda znów rozsiewała upojną woń niczym zakochana kobieta.

Zbliżała się Wielkanoc.

Na zazielenionych pagórkach Filipa zrywała pierwiosnki lub fiołki rosnące wśród zeszlórocznych zwiędłych liści. Robiła z nich wianuszki lub girlandy, które wplatała w warkocze.

Aljom poprosił ojca, który na pozór odzyskał zdrowie, o zgodę na zaproszenie do Grand Feu Adelizy – w następną sobotę, w wigilię Niedzieli Palmowej. Za radą Isambory powiadomił go o swoich planach małżeńskich i nie mógł się doczekać chwili, kiedy przedstawi mu swą przyszłą żonę.

– Nie wypada oficjalnie przyjmować jej tutaj, zanim się oświadczysz – rzekł Bernold. – Wpadnijcie niby przypadkiem któregoś popołudnia po pracy. Wychylimy po kielichu miodu i zagryziemy ciasteczkami. Nie zabawicie długo.

Owego sobotniego ranka mistrz szklarski zaczął porządkować szkice, którymi posługiwał się syn pod jego nieobecność. Aljom pojechał z Remigiuszem nad Loir po piasek. Mieli wrócić do warsztatu dopiero za parę godzin, gdy załadują po brzegi wóz.

Pośród welinowych kartek, które układał, Bernold nagle spostrzegł kawałki pergaminu mniejszego formatu. Zachowywał te odpady, by robić na nich mniej ważne szkice. Było ich sześć lub siedem. Na każdym widniała postać szczupłej, lecz dobrze rozwiniętej kobiety, w różnych ujęciach. Stojąca, siedząca, z przodu, w trzech czwartych, od tyłu, ale odwracająca się – stale ta sama smukła, zwiewna sylwetka, delikatna i zmysłowa zarazem.

„To musi być ta Adeliza, w której zadurzył się nasz syn. Myśli tylko o niej... Odebrała mu rozum! Jeśli rysunek jej nie upiększa, to z pewnością jest...”

Nie znalazł słów na określenie dziewczyny i stał tak przez dobrą chwilę, ze szkicem w ręku, pogrążony w zadumie, przypatrywał się, marszcząc brwi, zwielokrotnionemu obrazowi młodego ciała, którego kształty przebiegały spod lekkich szat. Wydawało się, że Aljom odział ją jedynie ze względów obyczajowych.

Ponieważ Gerbald Swojak krzątał się w sąsiednim warsztacie, Bernold odłożył na miejsce rysunki syna, wsuwając je między szkice witraży, po czym znów zabrał się do porządkowania.

Tak minęło przedpołudnie. Nadeszła pora obiadu.

Aljom, który wrócił z nad rzeki, gadał jak najęty, śmiał się nerwowo, biegał z kąta w kąt.

– Dość tego! – rzucił nagle Bernold. – Uspokój się, synu! Na mą głowę, rzekłby kto, że mamy podejmować królową Francji we własnej osobie!

Isambora uśmiechnęła się. Chłopak wsadził nos w miskę, którą dzielił z matką.

– Dlaczego się tak przejmujesz? – zapytała. – Wszystko będzie dobrze. Ojciec nie pragnie niczego innego, jak przyznać ci rację. Wkrótce tak się stanie, przecież poznałam już trochę naszą przyszlą synową!

Zaraz po posiłku młodzieniec popędził jak strzała.

Bernold zaś poszedł na łąkę, gdzie z pomocą Bernardy i korzystając z ładnej pogody, Piotruś Ogrodnik strzygł owce należące do majątku. Mistrz szklarski został tam dłuższy czas. Jego silna ręka była bardziej niż słabe kobiece dłonie przydatna do przytrzymywania dużych owiec i baranów, które próbowały umknąć przed nożycami postrzygacza.

Przy tym zajęciu zastała go Filipa.

– Ojczy! Ojczy! Aljom i jego panna już przyszli!

– Dobrze. Zaraz tam będę.

Gdy Bernold wszedł do sali, której półmrok rozświetlały tylko smugi słońca, wpadające przez otwarte okna, najpierw niczego nie zobaczył, oślepiiony jasnością z zewnątrz.

– To jest Adeliza, która składa nam wizytę, mój drogi.

Isambora popychała ku mężowi gibką postać, która lekkim krokiem przekroczyła granicę cienia i niespodziewanie znalazła się w jednym ze świetlistych pasm kładących się na płyty wyłożone sianem.

– Witaj w naszym domu!

Jakby wyłoniła się z wiosennego blasku, żywy symbol odnowy, odziana w turkusowy kaftanik, z połyskującymi srebrem warkoczami, w które wplotła pęczki stokrotek, unosiła ku przybyszowi buzię zarumienioną pod wpływem emocji. Dziewczyna uśmiechnęła się, ukłoniła, chciała chwycić rękę przyszłego teścia, by ją ucałować.

– Ależ nie – obruszył się. – Ucałujmy się po normandzku!

Przyciągnął ją ku sobie, położył usta na mięsistych wargach... Poczuł, jakby wszystkie cztery piece szklarskie zapłonęły jednocześnie w jego żyłach. Ognisty strumień rozpałił mu krew... rozlał się po jego ciele. Bernold stał przez chwilę, pochylając się do przodu jak człowiek, który doznał zawrotu głowy, wisząc nad przepaścią, po czym uniósł zmienioną twarz i parokrotnie przesunął po niej dłonią, by ukryć zmieszanie.

– Chodź, napijesz się z nami miodu, mój drogi – zabrzmiał (z bardzo daleka, wydawało się Bernoldowi, jak przez gęstą mgłę) głos Isambory. – Chodź!

„Co się ze mną dzieje? Boże, co się ze mną dzieje? Jaki diabeł mnie opętał? Ta

panna jest narzeczoną syna... mojego syna. Prawie moją synową!”.

Miał wrażenie, że zaraz upadnie, tu, u stóp Adelizy, która przyglądała mu się rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

– Nie czuję się dobrze – wykrztusił wreszcie zdławionym głosem. – Kręci mi się w głowie. Przez dłuższy czas byłem na dworze, w pełnym słońcu...

– To bardzo nierozsądne, mój drogi! – zawołała Isambora. – Powinieneś naciągnąć na głowę kaptur pelerynki! Przecież wiesz, że marcowe słońce jest zdradliwe!

– Mówią nawet, że można od niego oszaleć! – dodał Aljom ze śmiechem.

– Napijcie się beze mnie – rzucił mistrz szklarski. – Pójdę się na chwilę położyć.

Przeszedł przez salę jak lunatyk, dotarł do małżeńskiej sypialni, osunął się na łóżko, wcisnął głowę w jedną z dużych poduch...

Gdy Isambora do niego dołączyła, po wyjściu Aljoma i Adelizy, nawet nie drgnął i wydawał się pogrążony w drzemce. Podeszła do długiego wyciągniętego ciała, pochyliła się nad nim.

– Bernoldzie!

Nie odpowiedział.

„Na pewno zasnął. To mu najlepiej zrobi – pomyślała. – Niech sobie odpocznie. Dobry sen postawi go na nogi!”.

Cichutko wysunęła się z izby i poszła do ogrodu. Z pomocą Filipy i Doetty, które zbierały drobne gałązki, nacięła pędów bukszpanu, które zamierzała dać do poświęcenia nazajutrz na mszy. Ich słodko-gorzki aromat będzie odtąd zawsze kojarzył się w jej pamięci z tą chwilą.

– Aljom i Adeliza nie zostali długo – zauważyła Filipa.

– Gdyby wasz ojciec nie poczuł się źle, wszystko wyglądałoby inaczej, córeczko. Postąpił nierozważnie. Słońce mu zaszkodziło.

– Teraz już zna Adelizę – ciągnęła Filipa. – Jestem bardzo ciekawa, co o niej myśli.

– Powie nam dziś wieczorem, przy kolacji.

Ale gdy nadeszła pora posiłku, Bernold znów skarżył się na ból głowy. Nie chciał nic jeść.

– Zrobię ci napar z liści i kwiatów bazylii – zaproponowała Isambora. – Nie ma nic skuteczniejszego na takie dolegliwości!

– Jeśli chcesz.

Siedząc przy ogniu, z ponurą miną wpatrywał się w żółte płomienie.

Wypiwszy przygotowany przez żonę napój, wrócił do łóżka, prosząc, by się o niego nie martwić.

– Czy ojciec mówił ci, matko, coś o Adelizie? – zapytał Aljom Isamborę, gdy skończyli kolację i każdy poszedł do siebie.

– Ani słowa. Nie czuję się dobrze i chyba jest tak zmęczony, że nie interesuje go nic poza tym. Przeczekamy niedzielę, a jeśli mu się nie poprawi w poniedziałek, pójdzie do Rolanda, który będzie wiedział, jak go wyleczyć.

– Miejmy nadzieję, że to nic poważnego...

Aljom był zbity z tropu.

– Adeliza też nie chciała mi powiedzieć, co o nim myśli – podjął. – Twierdzi, że za

krótko go widziała, żeby wyrobić sobie jakieś zdanie.

– Rozumiem ją. Zamienili ze sobą ledwo kilka słów!

– Tak bym chciał wiedzieć, czy ojciec zgodzi się na nasz ślub... Pójdzie z nami na jutrznię?

– Nie wiem. Wszystko będzie zależało od stanu jego zdrowia.

Bernold jednak zdecydował się pójść, na czczo, podobnie jak wszyscy domownicy, do Świętego Leobina, gdzie wierni tradycyjnie uczestniczyli w nabożeństwie w ową wigilię Niedzieli Palmowej.

Każdy trzymał w ręku latarnię; chwiejne płomyki migotały w ciemnościach. Sznury światełek na drogach prowadzących do kościoła przypominały błyszczące paciorki ruchomego różańca rozsypane po równinie w mroku wiosennej nocy.

Podczas nabożeństwa Isamborę uderzyła żarliwość, z jaką małżonek nieustannie się modlił.

Wrócił do Grand Feu, idąc samotnie, ani razu się nie odzywając, na czele gromadki, w której wesoło gwarzyli czeladnicy i służący.

Gdy znalazł się w łóżku, znów skarżył się na migrenę, obrócił się na bok i wciąż milczał.

Przez całą niedzielę nie wychylił nosa z sypialni, nic nie wziął do ust, nie powiedział ani słowa.

Po obiedzie Aljom poszedł z Filipą do Fréteval, gdzie wiejscy muzykanci dęli w dudy na placu, aby zachęcić młodzież do tańca. Wrócili mocno rozczarowani, bo Adeliza, która się przeziębiła, jak twierdziła jej matka, nie dołączyła do nich. Młodzieniec nie wyobrażał sobie bez niej żadnej rozrywki. Filipa musiała znosić zły humor brata aż do niesporów.

Cała rodzina akurat wróciła z tej ostatniej niedzielnej mszy, gdy bramę Grand Feu przekroczył Majol.

Zanim wierzchowiec stanął, zeskoczył z niego i rzucił lejce Remigiuszowi.

– Przyjaciele! Drodzy przyjaciele! – wykrzyknął, przypadając do Bernolda i Isambory, którzy stali pod lipą. – To błogosławiony dzień! Ojciec Aweliny wreszcie zgodził się mnie przyjąć! Długo ze sobą rozmawialiśmy... Właśnie obiecał mi rękę swojej córki! Zdaje się, że zrobił na nim wrażenie mój upór. Ślub ma się odbyć w Niedzielę Przewodnią, pierwszą po Wielkanocy!

Promieniał. Isambora chwyciła go za ręce, uścisnęła je:

– Cieszę się za was oboje! Wreszcie skończą się wasze utrapienia! Awelina oszaleje ze szczęścia!

– Życzę wam obojgu wszelkiej pomyślności – powiedział Bernold zduszonym głosem. – Wasze małżeństwo, dość późne, będzie być może tym doskonalsze!

– Niech mi Bóg wybaczy! Nie zapominaj, najdroższy, że wyszłam za mąż w wieku piętnastu lat i wcale nie jestem z tego powodu nieszczęśliwa – zaprotestowała Isambora ze śmiechem.

– Nie o to mi chodziło...

– Och, dobrze wiem, Bernoldzie. Tak się z tobą droczę... Ależ, Majolu, nie stójmy na podwórzu. Wejźmy do domu i na waszą cześć napijmy się szarego wina!

– Z miłą chęcią, ale muszę zaraz jechać do Blois. Pragnę jak najszybciej przekazać dobrą nowinę... mojej narzeczonej!

– Miała tu przyjechać na Wielkanoc – zauważyła Isambora.

– Istotnie, przy okazji świąt zamierzaliśmy nakłonić ojca Aweliny, by zgodził się na nasz ślub. Dzięki zręczności twojej stryjenki, która korzystając z tego, że choremu się poprawiło, wstawiła się za nami, wszystko poszło szybciej, niż się spodziewaliśmy. Zyskaliśmy tydzień!

Jego białe zęby rozjaśniały twarz o matowej cerze, a liczne drobne zmarszczki wokół oczu nadawały jej radosny wyraz.

Uściskał przyjaciół i popędził co koń wyskoczy.

– Przynajmniej jeden szczęściarz! – stwierdził Bernold ironicznie. – Nawet gdyby miał osiemnaście lat, nie wpadłby w taki cielący zachwyty!

– Widzę, że nagle zacząłeś surowo oceniać naszego przyjaciela – łagodnie upomniawszy męża Isambora. – Zwykle jesteście sobie bliscy... Co cię ugryzło, serdeńko?

– Wciąż cierpię, dlatego jestem w ponurym nastroju – odparł mistrz szklarski. – Daj mi tej nowej nalewki z łupin migdałów, po której dobrze się śpi, choćby człowieka coś bolało.

– Jeśli do jutra nie będzie poprawy, najdroższy, musisz poradzić się Rolanda. Na pewno znajdzie sposób, by ci ulżyć.

Nazajutrz rano Bernold rzeczywiście udał się do klasztoru Świętego Mikołaja we Fréteval. Najpierw zajrzał do szwagra, który wręczył mu eliksir własnego wyrobu, zapewniając, że wkrótce odczuje jego dobroczynne skutki, potem, opuściwszy infirmerię, wszedł na teren zakonu i zapytał o przeora. Miał zwyczaj się u niego spowiadać.

– Potrzebuję twojej pomocy, ojcze – powiedział, witając się z nim. – Moja dusza jest w niebezpieczeństwie.

Spowiedź była męcząca. Odchodząc od konfesjonału bez rozgrzeszenia, Bernold wiedział, że ogień, którym płonie, odzwierciedla ogień piekielny. Mimo to nie znalazł w sobie odwagi, by zdobyć się na wyrzeczenie, którego kategorycznie żądał od niego przeor.

„Taki ciężki grzech... zerwać sakrament małżeństwa, dobrowolnie udzielony, dobrowolnie przyjęty – powtarzał sobie, zmierzając do domu. – Taki grzech... ale jaki pociągający! Panie Boże, nie trzeba było jej stawiać na mojej drodze. Ta dziewczyna to uosobienie młodości, wdzięku, ciała w pełnym rozkwicie... Ona jest moją ostatnią szansą... Spotykając kogoś takiego, człowiek w moim wieku dostaje pomieszania zmysłów! Pokusa jest zbyt silna... tym silniejsza, że Adeliza podziela moje uczucie, chociaż nic jej nie powiedziałem, że na nią też pocałunek podziałał upajająco, że mu się poddała... Że wystarczy mi kiwnąć palcem... Jak, Panie, mam się temu oprzeć? Nie mogę znieść myśli, że ktoś inny ją posiadzie, a zwłaszcza mój własny syn... Zresztą jeszcze się nie pobrali, nawet się nie zaręczyli, ledwo są sobie przyrzeczeni, skoro o niczym jeszcze nie rozmawialiśmy z tym tapisjerem... Jednak to prawda, że Aljom dał słowo... Co począć? Boże Wszechmogący, co począć? Nie będę mógł przystąpić do komunii w Niedzielę Wielkanocną! Co powie Isambora? Jak jej wytłumaczyć, że nie wolno mi podejść do Stołu Pańskiego? Czy już nie jestem potępiony? Przeor przed chwilą mi

powiedział, że ten, kto w myśli popełnia cudzołóstwo, w gruncie rzeczy już je popełnił. Jeśli, Boże, Sędzio sprawiedliwy, i tak musisz mnie odtrącić, niech to będzie z powodu prawdziwej przewiny! Jeśli muszę się zatracić, obym się zatracił w białych ramionach Adelizy... Ale wtedy ściągnę również na to dziecko wieczne potępienie!”

Zwalił się jak kłoda na ziemię po drugiej stronie pagórka. Powietrze było łagodne, a świeża, jeszcze niska trawa przypominała dywan z miękkiej zielonej wełny. Ptaki zapamiętałe wywodziły trele na drzewach, które wszędzie wypuszczały pączki. Nabrzmiałe sokami pola z rozkoszą oddawały się wiośnie.

Roztargnionym wzrokiem Bernold spoglądał na małe dzikie zawilce, białe i różowawe, obficie porastające brzeg rowu, tam gdzie zaczynał się żywopłot z tarniny.

„Boże, który nas stworzyłeś i znasz nasze słabości, ulituj się nade mną! Ulituj! Przez to szaleństwo zejść na manowce! Ulegając mu, byłbym gotów porzucić żonę i dzieci, zostawić Isamborę, którą mimo wszystko kocham nadal... choć inaczej... Złamię obietnicę, jaką jej dałem, i wyprę się naszej przeszłości... gdyż będę musiał odejść... Ja nie jestem baronem, żeby móc wprowadzić nałożnicę pod rodzinny dach... Zresztą i tak byłoby to niemożliwe ze względu na Aljoma... Pograżyłbym się, Panie, doszczętnie pograży! Oddal ode mnie tę pannę! Ześlij na nią jakąś chorobę... spraw, by jej rodzina musiała się wynieść... Znajdź jakiś sposób! Zaklinam Cię!... Ale co zrobię, gdy ona odejdzie? Czy kiedykolwiek będę mógł żyć jak dawniej? Wśliznęła się do mojego umysłu, do mojego serca, do mojej krwi jak łagodna trucizna. Rozstając się z nią, musiałbym rozstać się z życiem!”

Podczas podróży zdarzało mu się zdradzać Isamborę. Te krótkotrwałe przygody nie miały żadnego znaczenia, żadnego dalszego ciągu. Ani jedna nie zakłóciła biegu jego egzystencji. Tym razem, chociaż nic się do tej pory nie stało, był zadurzony, zniewolony, urzeczony. Nie dotknął jeszcze Adelizy, nie posiadał jej, ale wiedział, jaką ma nad nim władzę, jaką szaloną namiętność potrafi w nim rozbudzić...

Przez chwilę leżał nieruchomo na skraju drogi. Gdy się podniósł, był przekonany, że jedynie cud mógłby go ocalić.

Wielki Tydzień, przez niektórych zwany tygodniem trwogi, upłynął niczym koszmar temu goniącemu w piątkę człowiekowi.

Rodzina uszanowała jego milczenie, kładąc mrukliwość i udręczoną minę na karb nieszczęsnego udaru słonecznego.

Nie mógł usiedzieć na miejscu, nigdzie nie czuł się dobrze, nie miał na nic ochoty. Warsztaty, w których zazwyczaj pracował z przyjemnością, przeistoczyły się dla niego w więzienie.

Wychodził, włóczył się po łąkach i drózkach, szedł brzegiem Loiru, jak daleko nogi poniosą, w deszczu, który znów się rozpadał, i pod posępnym niebem. Niestraszne mu były burze. Jeśli drżał, to nie z zimna.

W Wielki Piątek szedł boso, ubrany tylko w koszulę, bicząc się, w procesji penitentów, którzy podążali nowymi ulicami Fréteval za wielkim drewnianym krzyżem niesionym przez jednego z nich.

Wieczorem powiedział Isamborze, że postanowił spędzić noc na modłach, że zna w lesie pewnego pustelnika, do którego się uda, aby odmawiać wraz z nim pacierze aż do



następnego dnia.

Aczkolwiek nienawykła do takich przejawów mistycyzmu u człowieka, którego wiara, całkiem prosta i zwyczajna, z reguły nie potrzebowała żadnego utwierdzenia, Isambora wołała jednak na to przystać.

Od poprzedniej soboty zachowanie Bernolda trochę ją niepokoiło, ale wmawiała sobie, że tylko strach przed nawrotami choroby, która go nieustannie nękała, może tłumaczyć niezrozumiałą zmianę osobowości męża.

Podobnie jak wszyscy mężczyźni nie znosił, gdy go coś bolało, i nie mógł się pogodzić z podstępą chorobą, na którą nie pomagały żadne środki.

Tak więc bez wielkich obaw Isambora pozwoliła mu wyjść, życząc jedynie, by modlitwa przyniosła zbawienny skutek.

Nie zjawił się nazajutrz rano ani w porze obiadu.

Minęła Wielka Sobota, zwyczajowy dzień oczekiwania, skupienia, medytacji dla całego chrześcijańskiego świata, bez jakichkolwiek wieści od mistrza szklarskiego.

Zgodnie z tradycją wiejskie dzieciaki przyszły z grzechotkami w rękach domagać się malowanych jajek i drobnych monet, którymi je obdzielano w wigilię Wielkanocy.

Ponieważ jajek nie wolno było jeść przez cały Wielki Post, ludzie z doliny mieli ich pod dostatkiem. Nie skąpili ich małym kwestarzom.

Jak co roku Isambora rozdała im część swoich zapasów, ale tym razem nie sprawiało jej to przyjemności. Nurtował ją głuchy niepokój.

Miała ochotę pójść do stryjenki, by się jej zwierzyć, że czuje się nieswojo z powodu dziwnego zachowania Bernolda, ale Gerwazy Podwasal i Perryna byli nieobecni. Pojechali do Blois, by zobaczyć się z Aweliną.

W istocie prace hafciarskie, które hrabina Adela uważała za pilne, przykuwały do krosien kobiety zatrudnione w hrabiowskim zamku. Zmuszone pozostać na miejscu pomimo okresu świątecznego, nie mogły się oddalać od szwalni, jak robiły to zwykle.

Stryj i stryjenka Isambory zaplanowali kilkudniową podróż, aby wykorzystać ten czas i kupić w mieście, co potrzeba na wesele córki i Majola, przewidziane na poniedziałek w pierwszym tygodniu po Wielkanocy.

Dla Aweliny, skłonnej do skrajnych nastrojów, tym razem okres zaręczyn nie potrwa długo. Skromna uroczystość odbędzie się w czasie, gdy będzie gościła u siebie rodziców.

Isambora ubolewała, że przy tej okazji nie dotrzyma towarzystwa kuzynce, ale jazda po wyboistych drogach w jej stanie była zbyt ryzykowna. Ponieważ ślub miał zostać zawarty u Świętego Leobina, w parafii panny młodej, Isambora będzie mogła w nim uczestniczyć.

„Oby tylko Bernold wrócił do poniedziałku po Niedzieli Przewodniej – myślała. – I oby wyzdrowiał!”.

Wiedziała, że po zawarciu małżeństwa Majol i Awelina zamieszkają razem w Blois. Hrabia i hrabina poprosili mistrza budowlanego, który uporał się z donżonem we Fréteval, aby pracował dla nich przy budowie kamiennych wałów, którymi postanowili otoczyć miasto. Ponadto zamierzali wznieść w nim nowe sanktuarium i parę innych obiektów. Wobec tego roboty będzie w bród.

Awelina wraz z mężem znajdują zatrudnienie w obrębie zamku. Odtąd Isambora będzie miała jeszcze mniej okazji do spotkań z kuzynką. Żałowała tego, ale kochała ją dość mocno, by sobie powiedzieć, że tak długo wyczekiwane szczęście, jakiego Awelina w końcu zazna, usprawiedliwia wiele wyrzeczeń ze strony tych, którzy są do niej przywiązani.

Na mszy odprawianej w Wielką Sobotę, w intencji nowego ognia, której Isambora wysłuchała u Świętego Leobina, otoczona dziećmi i służbą, jej myśli biegły już to ku Bernoldowi, już to ku Awelinie.

Najpierw na placu, o kilka sążni od kościelnej kruchty, zapłonęło ognisko podsycane suchym drewnem. Ksiądz zapalił od płomienia dużą, ciężką wielkanocną świecę, którą tuż przedtem poświęcił. Następnie wierni podchodzili jeden po drugim, aby symbolicznie pożyczyć nowego ognia do własnych świec. Potem wszyscy weszli do świątyni, pogrążonej w głębokiej ciemności, którą powoli rozświetlały miriady ruchomych płomyków – widomy znak Zmartwychwstania.

Po raz pierwszy mistrz szklarski nie uczestniczył ze swoimi bliskimi w Świątce Nadziei, po raz pierwszy z rąk kapłana nie otrzymał flakonu z wodą święconą, świeżo nalewaną co roku do pobłogosławionej chrzcielnicy.

„Kiedy on wróci? – zastanawiała się Isambora. – Spraw, Boże, by mu się nic nie stało! By jego dolegliwości się nie nasiliły! Podczas tej ceremonii upamiętniającej jedną z Twoich największych tajemnic, pozwól, że Cię poproszę o wyzdrowienie mego męża. Nie dopuść do tego, by jeszcze bardziej podupadł na zdrowiu. Wyprowadź go z choroby, na którą się skarży. Wylecz go, Panie, wylecz, błagam Cię!”

Po powrocie z kościoła na dziedzińcu pod domem zastała Aljoma, który wolał pójść na mszę do Fréteval, aby spotkać się tam z Adelizą.

Na cembrowinie studni postawił latarnię, a w skąpym świetle chwiejnego płomyka wyglądał na przygnębionego.

– Co się dzieje, synu? – zapytała Isambora z bijącym sercem. – Na litość boską, co się stało?

– Adeliza zniknęła!

– Jak to zniknęła?

– Nie wiem, matko! Nic nie wiem!

Płakał.

Isambora poleciła Margiście, by jak najszybciej zapakowała do łóżka Filipę i Albina, którym oczy same się zamykały, po czym oddaliła się od służby.

– Chodź, Aljomie – rzekła do syna. – Chodź.

Noc była chłodna. Nie można było długo przebywać na dworze, żeby się nie przeziębnić. Weszli więc oboje do jednego z warsztatów szklarskich.

Na stole zbitym z desek postawili dwie latarnie. Płomyki świec migocząc za cienkimi rogowymi płytkami, słabo oświetlały stopy witraży w drewnianych ramkach i bałagan panujący zwykle w tym miejscu pracy.

Aljom ciężko usiadł na taborecie. Z głową w dłoniach szlochał jak dzieciak.

Isambora podeszła do niego.

– Płacz nic tu nie pomoże – rzekła lekko rozdrażniona. – Weź się w garść, synu!

Raczej mi opowiedz, jak się sprawy mają.

Jeszcze przez chwilę wstrząsane łkaniem, jego rosłe ciało stopniowo się uspokoiło. Wierzchem dłoni otarł oczy, po czym się wyprostował.

– W ostatnich dniach prawie wcale nie widywałem Adelizy – zaczął. – Przeziębła się. Poza tym wołała, byśmy się za często nie spotykali w Wielkim Tygodniu. Czekala na Wielkanoc.

– A nie mówiłeś mi dziś rano, że wczoraj wieczorem pozdrowiłeś ją, po nabożeństwie w intencji rozproszenia ciemności?

– Owszem. Była z rodziną w kościele Świętego Mikołaja.

– No i?

– No i zaproponowałem, że zaraz do niej przyjdę, abyśmy porozmawiali o naszych planach. Zgodziła się...

Głos chłopaka zadrżał, załamał się.

Isambora ciaśniej zawiązała na szyi welon z białego lnu okalający jej głowę.

– Dalej, synu, mów dalej!

– Nie mam już wiele do powiedzenia. Kiedy przyszedłem do rodziców Adelizy, w porze nony, nie zastałem jej. Powiedzieli mi, że tuż po obiedzie zjawił się jakiś wiejski podrostek i oznajmił, że Juliana, adoptowana córka Gildasa i Bazylia, chce się z nią zobaczyć. One się przyjaźnią i dość często widują... Czekałem cierpliwie.

– Nie poszedłeś do młyna?

– Zdecydowałem się dopiero po dłuższym czasie. Nikt tam nie widział Adelizy. Juliana nic nie wiedziała o ich rzekomym spotkaniu.

– To jakaś pomyłka. Dziewczyny źle się zrozumiały. Pewnie Adeliza poszła odwiedzić inną koleżankę.

– Fréteval nie jest taki duży... Obszedłem wszystkie miejsca, gdzie mogłaby się znajdować.

– Byłeś w nowym zamku?

– Tam nic nie wiedzieli.

– A potem co zrobiłeś?

– Wróciłem do jej domu. Rodzice Adelizy zaczęli się już niepokoić. Razem z jej ojcem poszliśmy jej szukać w okolicy, w Morville, w Saint-Lubin, pod lasem, nad Loirem. Wszędzie. Nigdzie jej nie było.

– Nie znika się tak bez powodu!

– Bez przerwy myślę o rabusiach, którzy napadli na mojego ojca i jego pomocnika...

– To są złodzieje. Dziewczyna bez pieniędzy ich nie interesuje... chyba że dybią na jej cnotę... Ale gdyby coś tak okropnego się stało, twoja ukochana by wróciła.

– Na łono Najświętszej Panny! Gdyby przydarzyło jej się takie nieszczęście, nie spocząłbym, dopóki bym nie zarżnął tych knurów!

– Uspokój się, synu! W rzeczywistości sprawa jest na pewno znacznie prostsza. Przekonasz się, że jutro będziesz wiedział, czego się trzymać, i wszystko się wyjaśni.

– Oby Bóg cię wysłuchał, matko!

– Mam też nadzieję, że po tym długim odcięciu od świata twój ojciec wróci

wyleczony i w dobrym humorze.

– Gdyby tu teraz był, jestem pewien, że by mi pomógł.

– Prawdę mówiąc, poradziłby ci przede wszystkim zachować spokój. Dobrze, moje dziecko, powinieneś się położyć i spróbować zasnąć. Czuwanie nie ma najmniejszego sensu. Jest noc. Nie możemy liczyć, że o tak późnej porze dowiemy się czegoś nowego.

– Czuję, że nie zmruję oka. Wolę zostać tutaj i czekać.

– To nierozsądne, Aljomie. Czy coś mogłoby się jeszcze wydarzyć, zanim wszędzie świt? Ta noc jest święta i kryje w sobie tajemnicę. Pozwólmy, by upłynęła, nie zakłócając jej uświęconego przebiegu.

Aljom jednak nie poszedł w ślady matki, która wróciła do domu sama, by choć trochę odpocząć. Został w warsztacie, gdzie w końcu się zdrzemnął, owinięty płaszczem, na sianie, którym usłana była podłoga z ubitej ziemi.

Słońce już wstawało nad doliną, na niebie, po którym przeciągały szare i szafranowe chmury, gdy ktoś załomotał w skrzydło bramy wjazdowej.

Przebudziwszy się, Aljom popędził na dziedziniec, gdzie rześkie poranne powietrze wytrąciło go na dobre z męczącego snu, w który zapadł mimo swoich postanowień.

Po otwarciu bramy Aljom znalazł się oko w oko z Gildasem.

– To ty? O tak wczesnej porze?! – zawołał.

– Muszę pomówić z twoją matką – odparł młynarz z zafrasowaną miną. – To bardzo ważne. Mam dla niej wiadomość.

– Wiadomość! Od kogo?

– Nie mogę ci powiedzieć. Najpierw muszę zobaczyć się z Isamborą.

– Dobrze. Chodźmy.

Gdy obaj mężczyźni weszli do sali, służące właśnie zaczęły rozpalać ogień w kominku.

Na skrzyni w koszyczkach stały jajka pomalowane na zielono, żółto, czerwono, fioletowo, różowo sokiem z rozmaitych roślin: tego wielkanocnego ranka miały być rozdane miejscowym dzieciakom.

Umywszy się jak zwykle w cebrzyku stojącym przy jej łóżku, Isambora zaplotła warkocze, potem ubrała się z pomocą Sancji, a teraz zanurzyła w kąpeli Doette. Dziewczynka uderzała rączkami w taflę ciepłej wody i śmiejąc się, opryskiwała fartuch, którym przepasała się matka.

Do sypialni wszedł Aljom.

– Gildas chce z tobą porozmawiać, matko.

– O tej porze?

– Mówi, że to ważne.

Isambora zawołała Sancję, której powierzyła Doette.

W sali przy kominku zastała młynarza. Na jego twarzy malował się wyraz udręki.

– Wielkie nieba! Cóż się mogło wydarzyć, przyjacielu, żebyś tak nas zaskakiwał, ledwośmy się obudzili?

Zaciskając wargi, Gildas przez chwilę przypatrywał się niewieście z wystającym brzuchem, która stała przed nim. Kończyła wycierać ręce w fartuch, który zdjęła i trzymała teraz jak ręcznik.

– Usiądź, Isamboro – rzekł zażenowany.

Jakby wiedziony instynktem, Aljom zajął miejsce za matką, która usadowiła się na ławie z oparciem.

– Na mą duszę! Mów, Gildasie, mów! O co chodzi? – zapytała Isambora, którą te wszystkie środki ostrożności coraz bardziej rozstrajały.

– Otóż wczoraj, późnym popołudniem, zjawił się u mnie w młynie Bernold. Gdyby jego kompan Majol nie pojechał do Blois, do twojej kuzynki, zwróciłby się do niego. Pomyślał, że pod jego nieobecność ja będę najwłaściwszą osobą, która powinna do ciebie przyjść...

– Przyjść do mnie? Czy mój mąż potrzebuje pośrednika, żeby się ze mną rozmówić?

– To, co chciał ci przekazać, to sprawa tak poważna, tak bolesna...

Znów przerwał, po czym z nieszczęśliwą i niepewną miną jął pocierać swój duży nos, zaczerwieniony od zimnego powietrza na dworze.

Isambora wpatrywała się w rozmówcę.

– Słucham cię – rzekła krótko.

Gildas rozchylił poły płaszcza i zza szerokiego skórzanego pasa, którym przewiązany był jego kaftan, wyciągnął zwinięty pergamin.

– Przeczytaj to – rzekł. – Tak będzie prościej. Dał mi to dla ciebie.

Ręce Isambory, które rozwiązywały czerwony sznurek przytrzymujący zwój, drżały tak mocno, że musiała próbować parokrotnie, zanim jej się to udało.

*Isamboro!*

*Po długiej walce z samym sobą, która trwała tydzień, odchodzę z Adelizą. Nie mam żadnej wymówki i nie próbuj mnie usprawiedliwiać. Zło trzyma mnie w swoich szponach. Czy kiedykolwiek mi wybaczysz? Zostawiam Ci cały swój dobytek. Niech Bóg ma Cię w swojej opiece!*

*Bernold*

Zerkając przez ramię matki, Aljom zapoznał się z treścią listu.

Wydał z siebie coś w rodzaju ochryplego jęku, po czym runął na podłogę i walił zaciśniętymi pięściami w przysypane sianem płyty. Wstrząsało nim suche łkanie. Z ust, wykrzywionych grymasem wstrętu i zgryzoty, płynął potok przekleństw, złorzeczeń, bełkotliwych słów.

Pierwszy raz w życiu nieczuła na ból jednego ze swych dzieci, Isambora przechyliła się do tyłu i oparła głowę o poduszkę z tapiserii wyściełającą oparcie ławy.

Zamknawszy oczy, blada, jakby już straciła przytomność, przez moment siedziała bez ruchu. Wszystko, co ją otaczało, przestało istnieć. Jej uwagę przykuła rodząca się, narastająca spirala cierpienia, które podchodziło z żołądka do piersi, napełniając ją poczuciem wewnętrznej otchłani, bezdennej pustki. Dobrze je znała. Pięć lat wcześniej, gdy biegła w kierunku drzewa, pod którym leżał martwy jej drugi syn, Henryś, zdjął ją taki sam strach, ogarnęła taka sama trwoga w obliczu nieodwracalnej tragedii.

– Moja ty biedna, moja biedna – powtarzał Gildas, przerażony, nie wiedząc, co robić.

Po dłuższej chwili Isambora, nie zmieniając pozycji, otworzyła oczy.

– Rozpustnik, cudzołożnik, a nawet, można powiedzieć, kazirodca, bo przecież uwiódł niedoszlą narzeczoną własnego syna, sam się skazuje na potępienie – wymamrotała bezgłośnie.

Nie płakała. W gardle czuła straszliwą suchość.

– Co ci powiedział? – zapytała wreszcie Gildasa.

– Nie rozwodził się – odparł oględnie młynarz. – W paru słowach wyjaśnił, co mu się przytrafiło, wręczył mi pergamin i nalegał, abym oddał ci go nie wcześniej niż dziś rano.

– Dlaczego dopiero dziś rano?

– Niewątpliwie, by zyskać na czasie, zrealizować swój plan i odjechać spory kawałek... Starłem się pogadać z nim jak z przyjacielem, którym dla mnie był, chciałem ocalić go od zguby... Powiedziałem to, co, jak sądziłem, powinienem powiedzieć, by zatrzymać go przy tobie i dzieciach... Wszystko na próżno. Nie słuchał mnie... Teraz wiem, co to znaczy być opętanym... Wyszedł, nie chcąc o niczym słyszeć, niemal popędził na oślep.

Nagle w głębi trzewi Isambora poczuła, jak porusza się, gwałtownie przekręca nienarodzone dziecko.

– Maleństwo, które noszę w łonie, nie może ucierpieć od tej hańby – rzekła, kładąc ręce na wstrząsanym skurczami brzuchu. – W żadnym razie. Skoro jego ojciec nas porzucił i nie interesuje się nowym życiem, które we mnie zasiał, staję się jego jedyną obrończynią.

– Nie brak ci odwagi, Isamboro – rzekł Gildas z szacunkiem.

– Wcale tak nie jest. Znam siebie. Gdy spadnie na mnie nieszczęście, najpierw robię dobrą minę do złej gry, bo dopiero powoli sobie uświadamiam, jak naprawdę rzeczy się mają. Wyglądam na nieustraszoną, ale to złudzenie. Wraz z upływem czasu prawda wsącza się we mnie, przenika do mojego serca, sprawiając coraz więcej cierpienia. Wreszcie mnie pokonuje. Dopiero wtedy potrzebuję pomocy, Gildasie, gdy w pełni zrozumieję, co mi się przydarzyło!

Wyprostowała się, podniosła, podeszła do Aljoma, który wciąż szlochał, leżąc na ziemi.

– Wstań, mój synu – rzekła – wstań! Oboje nas jednocześnie zdradzono, jednocześnie ograbiono. Spróbujmy razem stawić temu czoło.

Aljom zwrócił ku niej udręczoną, spoconą, wymiętą twarz.

– Zabiję te kanalie! Zabiję! – wykrzyknął. – Wszędzie ich będę szukać, wszędzie! A kiedy znajdę, już ja się na nich zemszczę!

Grzmocił pięścią w podłogę.

– Milcz! – rozkazała Isambora. – Wreszcie zamilknij. Sam nie wiesz, co mówisz.

Czuła się tak zmęczona, tak strasznie zmęczona, niezdolna zbesztać Aljoma, jak by należało.

– Chcesz u nas zamieszkać? – zaproponował Gildas.

– Nie, mój drogi. Dziękuję. Zostanę tutaj. Przynajmniej na razie. Dopóki nie urodzę. Zależy mi na tym, by to dziecko bez ojca przyszło na świat w swoim domu.

„Po co? – pytała samą siebie. – Po co czepiać się kurczowo czegoś takiego? Jakże to ma w końcu znaczenie?”

Przytłaczała ją świadomość, że coś zapadło się w niebyt, zostało bezpowrotnie zaprzepaszczone.

Podeszła do otwartego okna, przez które wpadało delikatne kwietniowe światło. Powietrze ładnie pachniało.

Nagle radośnie rozdzwoniły się wszystkie dzwony, zapowiadając pierwszą poranną mszę rezurekcyjną.

Ich dźwięki rozchodzące się w przestrzeni spłoszyły stada gołębi, wróbli, kosów, szpaków, które poderwały się do lotu... Trzepotały skrzydła, dzwony biły, słońce świeciło. Isamborze wydawało się, że w takim samym rytmie co jej złamane serce dzwony i ptaki skandowały jedno jedyne imię, bez końca je powtarzając... „Ber-nold, Ber-nold, Ber-nold...”

## VI

– Zgromadziłem was wszystkich u siebie – rzekł Gerwazy Podwasal – gdyż zniewagi dokonano publicznie, a obowiązek zemsty powinien wziąć na siebie cały nasz ród.

Po powrocie z Blois w piątek Gerwazy i Perryna natychmiast dowiedzieli się od Rychildy, matki winogrodnika, o porzuceniu, którego ofiarą padła Isambora wraz ze swymi dziećmi. W podwasalu krew się wzburzyła. Przybiegł do bratanicy i zapewnił, że bierze sprawę w swoje ręce, że zdrada, której dopuścił się jej mąż, nie ujdzie mu bezkarnie.

– Wymierzę sprawiedliwość – wrzasnął mały człowieczek, niezwykle rad, że może wreszcie przystąpić do walki z Bernoldem z otwartą przyłbicą, mając za sobą prawo, toteż jakby momentalnie odmłodniał.

– Proszę cię, stryju – powiedziała Isambora – nie mieszaj się do niczego. Tylko mnie to dotyczy. Potrafię działać, zależnie od okoliczności, w obronie interesów własnych, a także moich dzieci.

Lecz nie chcąc jej słuchać, podwasal na następny dzień wezwał do Morville wszystkich tych, z którymi łączyły go więzy pokrewieństwa.

Owej soboty w wielkiej sali domostwa zebrali się wokół niego: żona, matka, Firmin Krzywulec, poskręcany reumatyzmem wuj, Awelina i Majol, którzy rankiem przybyli z Blois, aby poczynić przygotowania do wesela, bardzo zasmuceni nowiną.

Isambora zajęła miejsce obok Aljoma. Trudno orzec, które z nich było bardziej zranione. W asyście swych dwóch synów, bliźniaków Galfryda i Onufrego, dwóch jasnowłosych olbrzymów około dwudziestki, stawiał się również na wezwanie Tybald z Marchenoir, potężny rudzielec o obrzmiałej twarzy notorycznego opoja.

– Zgromadziłem was – zaczął podwasal – abyśmy w rodzinnym gronie obmyślili zemstę. Wróżda to święty obowiązek, od którego nikt nie może się wykręcić. Wiem, że ofiarujecie mi wszyscy ze szczerego serca pomoc w zmyciu zniewagi doznanej przez moją bratanicę i jej dzieci od niecnego męża, który ich właśnie opuścił, nie zważając nawet na brzemienność małżonki!

Zapadła cisza. W kominku z trzaskiem płonął drewniany bal. Z podwórza dobiegało gdakanie drobiu.

– Przypuszczam, że jako głowa naszego rodu – rzekł Tybald z Marchenoir – najbardziej nadajesz się na przywódcę w wojnie, jaką wytoczymy twemu wiarołomnemu powinowatemu.

– Będę dumny, mogąc uznać się za kogoś takiego – zapewnił Gerwazy.

Wyprostowany jak struna na swoim stołku, wystrojony w płaszcz z zielonej serży, z buńczuczną miną, podwasal nie okazywał żadnych oznak choroby, która ścięła go z nóg w Boże Narodzenie. Wyraźnie odżył.

– Nie chcę nawet słyszeć o wojnie między moją rodziną a tym, kto pomimo swoich przewin nadal jest mężem, z którym mnie wiąże sakrament – odezwała się Isambora, nagle przerywając milczenie, które uparcie zachowywała od początku zebrania. – Jeszcze raz powtórzę przed wami, że nikogo o nic nie proszę, że nie życzyłam sobie tej narady, że



nie domagam się zadośćuczynienia.

– Bądź wspaniałomyślna, jak ci się żywnie podoba, bratanico – zawołał Gerwazy – ale nie tylko ty doznałaś zniewagi! Skalała ona wszystkich członków rodziny. Nie powstrzymasz nas przed podjęciem działań, które są naszą powinnością.

– Ja – rzucił Aljom głucho – ja pragnę się zemścić!

– Mój synu! – zaproponowała Isambora. – Synu, pomyśl, że chodzi o tego, kto dał ci życie.

– No właśnie! Wszystko mi zabrał, chociaż on w pierwszej kolejności powinien udzielać mi pomocy i otaczać opieką! Podwójnie wobec mnie zawinił!

– Wiesz, moje dziecko – rzekł Firmin Krzywulec – że twój ojciec wywodzi się z rodu, w którym mężczyźni, zanim Kościół uporządkował prawo, zwykli odtrącać niewiasty z byle powodu i sprowadzać nałożnice pod swój dach. Trzeba wziąć pod uwagę jeszcze niezbyt odległe pogańskie korzenie tych, którzy nie nawrócili się na chrześcijaństwo tak dawno jak my.

– Papież i biskupi już w dalekiej przeszłości potępili te barbarzyńskie zwyczaje – uciał Gerwazy. – Nie nasza to rola podważać ich decyzje.

– Nie to miałem na myśli... – chciał wyjaśnić garbus – lecz...

Przerwał mu Tybald z Marchenoir.

– Nie zapominaj, wuju, że sam król Francji Filip I cztery lata temu został osądzony i obłożony klątwą w Clermont, przez papieża Urbana II, za podobne przestępstwo. Kościół nigdy mu nie wybaczył odtrącenia pierwszej żony, Berty z Fryzji, i zbrodniczego ślubu z Bertradą z Montfort za życia jej męża, Fulka Ponurego, naszego sąsiada, hrabiego Andegawenii!

Garbus przytaknął, robiąc poważną minę.

– Królestwo Francji napiętnowane z powodu niewłaściwego zachowania władcy! – westchnęła Perryna. – Co za wstyd! Co za nieszczęście!

– Zdarza się to nie pierwszy raz i z pewnością nie ostatni – skomentował garbus. – Ciało jest słabe. Objęcie tronu niczego tu nie zmienia!

– Oczywiście – ciągnął podwasal – ale nie odbiegajmy od tematu. Musimy wspólnie złożyć przysięgę i szukać cudzołożnego męża naszej bratanicy dopóty, dopóki go nie ukarzymy.

Jego bystre oczka błyszczały z podniecenia.

– Na Boga! Dokąd zamierzacie wyruszyć? – zagadnął Galfryd, ten z bliźniaków, który był bardziej wygadany. Brat tylko wyrażał aprobatę, energicznie kiwając głową. – Czy ktoś wie lub choćby się domyśla, gdzie mógłby się ukryć razem z tą dziewczką?

Usłyszawszy te słowa, Aljom wydał z siebie żalosny skowyt, który poruszył Isamborę do głębi.

– Nikt nie wie, gdzie się zaszyli – odparł Gerwazy. – Ale ja mam przyjaciół niemal w całym regionie i dobrze znam jednego z gajowych w Silva Longa. Jeśli go poproszę, przeczesze każdą kotlinkę, każdy parów, każdą gęstwinę.

– Pamiętaj, że oboje są Normandczykami – zauważyła Rychilda, która pomimo podeszłego wieku zachowywała przytomność umysłu. – Jeśli wrócili do swego księstwa, to szukaj wiatru w polu!

– Słusznie – zgodził się garbus. – Jeśli chcą mieć pewność, że nie wpadną w nasze ręce, powinni udać się do Normandii albo nawet przepłynąć do Anglii.

Podwasal wzruszył ramionami.

– Na moją głowę, to tylko czcze domysły! – uciął stanowczo. – Z większym prawdopodobieństwem nasze dwa gołąbki zaszyły się gdzieś w okolicy.

– A to dlaczego? – zapytała Isambora. – Żaden z was nie może wiedzieć, jak bardzo Bernold tęsknił za swoim krajem. Podobnie jak moja babka cioteczna, myślę, że straciecie czas, ścigając w dolinie lub w lasach tych, którzy na pewno są już bardzo daleko stąd.

– Och! Ty, bratanico, pragniesz tylko jednego: abyśmy pozwolili twemu mężowi beztrudnie nurzać się w cudzołóstwie! – zakpił mały uparty człowieczek. – Gdybyśmy ciebie posłuchali, niech Bóg mi wybaczy, nie kiwnęlibyśmy palcem! Po co się trudzić!

Awelina, która siedziała między narzeczonym a kuzynką, trzymała jej dłoń w swoich rękach. Chwilami ścisnęła ją ze wszystkich sił.

Siedzący dotąd w milczeniu, z pochyloną głową i poważną miną Majol zabrał głos, gdy podwasal skończył swoją kwestię.

– Z nas wszystkich ja niewątpliwie najlepiej znam Bernolda – rzekł, starannie dobierając słowa. – Przyjaźnimy się od dzieciństwa. Mogę was zapewnić, że on w gruncie rzeczy nie jest zły i że do tej pory był zacnym człowiekiem. To, co mu się przydarzyło, wydaje mi się niewytłumaczalne, ale dowodzi, że postradał rozum. Jestem przekonany, że już musi żałować tego szaleństwa... Na Boga prawdziwego, założę się, że niebawem wróci do swoich skruszony. Proszę, poczekajcie, aż się otrząśnie, nie ścigajcie go, dajcie mu trochę czasu, by się pokajał.

Znów zapadła cisza. Spojrzenie, jakie Isambora posłała Majolowi, wyrażało głęboką wdzięczność.

– Rzeczywiście, Kościół zaleca, aby krewni osoby znieważonej odczekali czterdzieści dni, zanim zastosują represje wobec winnego – przyznał Tybald z Marchenoir. – Wielu się temu nakazowi podporządkowuje. Uznaje się, że to niezbędny okres, w którym ścigane rody zostaną należycie poinformowane o niebezpieczeństwie.

– W naszym przypadku nie ma mowy o uprzedzaniu jakichś rodów – rzucił Gerwazy zirytowany. – Mąż Isambory nie ma już żadnych krewnych. Wszyscy jego bliscy zginęli w czasie wojen domowych między Bretończykami a Normandczykami.

– A jednak uważam, mój drogi – rzekła Perryna – że nasz przyszły zięć ma rację. Bernold może jeszcze się pokajać, okazać skruchę. Bóg nie pragnie śmierci grzesznika. Nie bądźmy bardziej nieprzejednani od Niego. Poczekajmy, aż ten, którego szatan sprowadził na manowce, pożałuje swego błędu i być może naprawi krzywdę.

– Jak mógłby kiedykolwiek naprawić zło, jakie wyrządził? – rzucił Aljom. – Zbrukał Adelizę, złamał przysięgę małżeńską daną matce, a mnie samego wpędził w rozpacz. Czy można zmazać takie zbrodnie? Rodzice Adelizy twierdzą, że to porwanie, nie kryją wściekłości, żądają zadośćuczynienia. Obiecałem, że się tym zajmę.

– Na Najświętszą Pannę! Synu, zamilknij! – krzyknęła Isambora. – Cokolwiek uczyniłby twój ojciec, zawsze będzie twoim ojcem! Nie masz prawa go potępiać! Nie zapominaj, że będziemy sądzeni według tego, jak sami sądzimy. Że będziesz musiał zdać przed Panem Bogiem rachunek z postępów wobec tego, któremu tak czy inaczej

winieneś okazywać synowski szacunek i posłuszeństwo.

– Szanować można tylko tych, którzy zasługują na szacunek – zaprotestował ponuro młodzieniec. – Mój ojciec już się do nich nie zalicza. Dopuszczał się takich przestępstw, że nikomu nawet nie przyszłoby do głowy domagać się bodaj odrobiny respektu dla takiego złoczyńcy jak on!

– Otóż ja, jego małżonka, ja, która ponoszę skutki jego czynów w takim samym stopniu jak ty, Aljomie, mimo wszystko nadal darzę go szacunkiem. Nie ważyłabym się traktować z pogardą człowieka, którego jedynie demon mógł sprowadzić na tak złą drogę!

Błada i z podkrążonymi oczami, Isambora wyprostowała się. Siedziała na stołku wyprężona jak struna, z podniesioną głową.

– A zatem ja też żądam – podjęła – aby to zgromadzenie wstrzymało się przez czterdzieści dni z podjęciem środków represji wobec mego męża. Niektórzy z nas, zebranych tutaj, myślą, że musi upłynąć trochę czasu, zanim okaże żal. Po upływie tego terminu, jeśli Bernold nie wróci, znów się spotkamy, stryju, aby podjąć decyzję co do dalszego postępowania. Przedtem jednak, błagam was wszystkich, nie próbujcie go osaczyć. Czekajmy, po prostu czekajmy i prosimy Boga, aby przywiódł go do skruchy.

– Ma prawo do zwłoki – stwierdził z przekonaniem garbus. – Musimy się na to zgodzić.

Podwasal z oburzeniem podrapał się w głowę.

– W ten sposób pozwalacie, by zdrajca zwiął do Normandii – burknął rozeźlony.

– Jeśli w ogóle zamierzał kiedyś wrócić do rodzinnego kraju, to na pewno już to zrobił – zauważył Tybald z Marchenoir zniechęcony. – Albo wyjechał tydzień temu i nie mamy najmniejszej szansy go doścignąć, albo też chowa się gdzieś w okolicy i wytropimy go zaszytego w jakiejś norze, gdy upłynie czterdzieści dni.

Awelina nachyliła się ku Isamborze.

– Wygrałaś sprawę, moja droga – powiedziała – ale uważam, że jesteś zbyt wspaniałomyślna. Na twoim miejscu nie spoczęłabym, dopóki bym się nie zemściła! W razie potrzeby sama bym zaczęła działać i możesz mi wierzyć – nikt by mnie nie powstrzymał przed wymierzeniem sprawiedliwości!

– Niestety – westchnęła Isambora – Niestety! Czy ukaranie cudzołóżnika kiedykolwiek kogoś pocieszyło?

– Oczywiście! – zawołała Awelina. – Zemsta zmazuje obrazę i przywraca człowieka do czci!

– Moim zdaniem – wymamrotała Isambora, potrząsając głową – moim zdaniem to nie kwestia honoru, lecz miłości...

Goście podwasala wstawali ze stołków, przenosili się na inne miejsce, rozmawiali w małych grupkach.

Widząc, że Majol idzie przywitać się z garbusem, Perryna dołączyła do swej córki i bratanicy, które siedziały razem na skrzyni koło otwartego okna.

– I co teraz zrobisz, Isamboro? – zapytała.

– Nie wiem, stryjenko... naprawdę nie wiem...

– Zamierzasz zostać w Grand Feu?

– Wolę tam mieszkać jeszcze przez jakiś czas. Po urodzeniu dziecka zastanowię

się.

Przetarła ręką oczy.

– Od tygodnia poruszam się jak we mgle – wyznała. – Nie potrafię uwierzyć w zdradę Bernolda. To tak do niego niepodobne... Czekam. Spodziewam się jego powrotu... Nie mógł odejść na długo. Wciąż mi się zdaje, że otworzy drzwi, wejdzie do sali i będzie błagał o przebaczenie... Dlatego jestem ogromnie wdzięczna Majolowi za to, co powiedział. To prawda, że mój biedny obłąkany mąż nie żywi w sercu żadnych złych uczuć! Zauroczył go demon, i tyle. Nie może się opanować... byliśmy tak ze sobą związani, tacy szczęśliwi!

Kuliła ramiona, jakby pod ciężarem nie do udźwignięcia.

Awelina chwyciła kuzynkę za rękę, którą podniosła do ust.

– Gdy widzę cię tak zgnębiałą, przyjaciółko, siostró, jest mi strasznie przykro – rzekła. – Mam ochotę wrzeszczeć wniebogłosy!

– A ja nie chciałabym za nic, aby moje przejścia zepsuły radość, jaką na pewno czujesz – podjęła z ferworem Isambora, prostując plecy. – W poniedziałek wychodzisz za wspaniałego mężczyznę. Nie martw się o resztę!

– Jak bym mogła? Wiesz, jak bardzo cię Kocham!

– No właśnie. Wasze wesele jest jedynym wydarzeniem, które osłodzi mi życie – oznajmiła Isambora. – Znowu nabieram otuchy, bo wiem, że wreszcie będziesz miała satysfakcję, poślubiając człowieka, na którego tak długo czekałaś. Dowodzi to, że nasze modlitwy prędzej czy później zostają wysłuchane!

Uśmiechnęła się żałośnie.

– Bez skrępułów ciesz się zasłużonym szczęściem – ciągnęła z przekonaniem. – To byłoby strasznie smutne, gdyby przyćmiła je moja zgryzota.

Jednak Isambora przeceniła własne siły.

Ponieważ była świadkiem panny młodej, do niej należało w najbliższy poniedziałek trzymać z pomocą Salomona z Fréteval, świadka nowożeńca, purpurowy baldachim nad głowami młodej pary, podczas recytowania błogosławieństwa.

Udało jej się go utrzymać tak długo, jak trzeba, ale pod koniec ceremonii nogi się pod nią ugięły. Zachwiała się i zemdląca.

Gildas i Galfryd z Marchenoir położyli ją w głębi kościoła na ławie opartej o jedną ze ścian. Bazylia dała jej do powąchania wonne zioła, które nosiła w puzderku z kości słoniowej na dnie sakiewki.

Odzyskawszy przytomność, Isambora zaczęła płakać. To były jej pierwsze łzy od wielkanocnego ranka.

Starła się je powstrzymać, ale na próżno. Po jej umęczonej twarzy płynęły wartkie strużki, niczym płatki topniejącego śniegu, który tego kwietniowego ranka sypał na kwitnące śliwy i czereśnie.

– Chcesz, byśmy cię odprowadzili do domu? – zapytała Bazylia.

– Nie, dziękuję. To by zepsuło ślub Aweliny.

Strach chwycił ją za gardło, piersi przygniatał ciężar, a na myśl o niepowetowanej stracie ćmiło jej się w oczach.

Dopiero pod koniec uroczystości zdołała się jakoś opanować, ale okrutna rozpacz,

która o władnęła jej duszą, wcale nie ustępowała.

Na dworze wciąż padał śnieg. Isamborze wydawało się, że ten nagły powrót zimna jakoś dziwnie współbrzmi z beznadzieją, od której lodowaciało jej serce.

Kilkugodzinne przyjęcie weselne urządzone w Morville przez podwasalę i Perrynę było dla niej katorgą.

Nie chcąc za żadną cenę zakłócać ceremonii, próbowała ukryć swój ból przed gośćmi stryja i robić dobrą minę do złej gry, ale nikt się nawet nie domyślał, ile ją to kosztowało. Raz czy dwa zdołała nawet uśmiechnąć się do Aweliny, która patrzyła na nią z niepokojem, i udawała zainteresowanie, gdy kuglarze przybyli z Blois zaczęli wykonywać akrobacje, ryzykowne skoki, żonglować, a potem zabawiali biesiadników swawolnymi przyśpiewkami i innymi utworami muzycznymi.

Nie było tańców. Awelina życzyła sobie, by z nich zrezygnowano ze względu na nieszczęście, jakie przydarzyło się Isamborze i jej bliskim.

Pomimo tej troskliwości weselne obchody dojmująco uzmysławiały porzuconej, jak puste będzie odtąd jej życie.

Wśród zapachów pieczonego mięsa, woni przypraw lub ciast, wybuchów śmiechu, gwaru rozmów i brzęku kieliszków, wśród refrenów powtarzanych chórem przez gości, Isambora tym bardziej uświadamiała sobie bezmiar samotności, jaka ją czekała, i katastrofalne skutki odejścia Bernolda.

Szczęśliwie dla niej przyjęcie nie trwało zbyt długo. Hrabina Adela prosiła, by jej najzdolniejsza hafciarka wróciła do pracy już we wtorek rano. Państwo młodzi musieli więc opuścić Morville pod koniec bankietu. Nie przeciągano uroczystości.

Zanim dosiadła konia, by podążyć za Majolem, Awelina, ubrana w płaszcz z purpurowego sukna podbitego wydrą, wzięła kuzynkę w objęcia.

– Obiecuj, siostrze, że przyjedziesz do nas, do Blois, gdy tylko urodzisz – rzekła do niej. – Nie możesz zostać w Grand Feu po rozwiązaniu.

– Zobaczymy... zobaczymy... Nie martwcie się o mnie. Wszystko będzie dobrze.

Uściskały się.

– Długiego życia we dwoje – zdołała wykrztusić Isambora. – Niech was Bóg strzeże!

Perryna ocierała oczy. Podwasal uśmiechał się rozmarzony. Dumął o swych przyszłych spadkobiercach.

Goście zgromadzeni na dziedzińcu warownego domu, w śnieżnej zamieci, dobrze najedzeni i napojeni tak, że nie dokuczał im chłód tego zimowego dnia, który pojawił się nagle w kwietniu, ochoczo wznosili wiwaty i owacyjnie żegnali nowożeńców.

– My też już pójdziemy – oznajmiła Isambora stryjence. – Jestem zmęczona.

– Rozumiem, droga bratanico, rozumiem – westchnęła Perryna. – Szybko wracajcie do siebie. Niedługo do was zajrzę.

Do Isambory podeszła Amalberga, która została zaproszona na wesele razem z Gerbaldem Swojakiem i ich synem Hagenierem.

– Źle wyglądasz, pani – rzekła. – Oszczędzaj się. Pomyśl o swoim stanie.

– Myślę, Amalbergo. Myślę.

W oczach położnej, głęboko osadzonych pod łukami brwiowymi, malowały się

wyrozumiałość i litość.

– Pójdę po Filipę. Bawi się w komnacie na górze z innymi maluchami – oznajmiła bez cienia natarczywości. – Zajmie mi to tylko chwilę.

W zadaszonym wozie, którym jechali z powrotem do wytwórni szkła, Isambora przyciskała Filipę do piersi, dla ochrony przed zimnem, lecz również z potrzeby jej obecności. Na szczęście miała to dziecko!

W Albinie i Doecie, zbyt młodych, nie znajdowała dostatecznego oparcia, Aljom zaś bardzo ją niepokoił. Nie chciał uczestniczyć w zaślubinach Aweliny i z dnia na dzień stawał się coraz bardziej nerwowy. Prawie nic nie jadł, coraz rzadziej pracował w warsztacie, znikał na całe dni. Dokąd chodził? W ciągu jednego tygodnia postarzał się o parę lat.

Matka nie poznawała dawnego ufnego i wesołego chłopca. Zawsze myślała, że szczerze i otwarte usposobienie czyni go bardziej wrażliwym niż innych na przeciwności losu, ale nie potrafiła przewidzieć tak głębokiej i szybkiej przemiany.

Dręczony obsesją, na pewno całymi dniami usiłował wytropić zbiegów, nie biorąc pod uwagę terminu, jakiego wszyscy zobowiązali się dotrzymać podczas spotkania u podwasala. Czy miał szansę odnaleźć ojca i ukochaną? Czy w ogóle było to możliwe? Isambora sądziła, że nie. Jej rozdarte serce odczuło ich ucieczkę, zanim umysł przyjął ją do wiadomości.

– Zimno ci, mamusiu? Cała drżysz – powiedziała Filipa.

Teraz już zwiędnięty wianek z barwinków i pierwiosnków, który nosiła od rana, smętnie opadał na jej twarz. Marszczyła brwi zaniepokojona.

– Faktycznie nie jest mi za ciepło, córeczko. Zawsze, gdy pada śnieg, krew mi się ścina – przyznała Isambora. – Poza tym padam ze zmęczenia.

Gerbald Swojak, który prowadził klacz jabłkowitzą, wydał z siebie jakiś dziwny pomruk. Amalberga i Hagenier, siedzący z tyłu powozu na ławeczce, którą wstawiono dodatkowo z myślą o nich, oboje milczeli. Na kolanach niewidomego leżała mała harfa, na której grał podczas bankietu, akompaniując żonglerom.

Przed wozem zadziwiające w swej obfitości białe płatki miękko i monotonicznie spadały z bezbarwnego nieba. Pola, łąki, drzewa, jeszcze w przeddzień soczyście zielone, znów okryły się zimowym całunem. Sady przysypane śnieżnym puchem jakby pomyliły pory roku.

Zapręg chybotął na drodze biegnącej wzdłuż Loiru. Jedyne trzask kół miażdżących kryształki lodu w głębokich koleinach towarzyszył głuchemu stukotowi końskich kopyt.

– Słowo daję, co za dziwna pogoda – mruknęła Amalberga, gdy wóz przejeżdżał przez most łączący brzegi rzeki. – Nie lubię, gdy znów robi się taki ziąb... Oby tylko te późne przymrozki nie pozbawiły nas w tym roku śliwek i czereśni.

– Kwiecień plecień, co przeplata, trochę zimy, trochę lata! – wyrecytował Hagenier półgłosem.

– Dopóki jest kwiecień, wciąż możemy się obawiać nawrotów zimy – skomentował Gerbald Swojak. – Za bardzo zaufaliśmy wiosnie. A ona nie zawsze jest łaskawa!

Isambora dobrze wiedziała, że wydmuchiwacz szkła, jego żona i syn prowadzą

takie rozmówki jedynie po to, by wypełnić ciszę, a ją samą oderwać od ponurych myśli. Była im wdzięczna, podobnie jak wszystkim z Grand Feu, którzy od wyjazdu Bernolda starali się jej dogodzić.

Najbardziej czuł się dotknięty Remigiusz, który darzył mistrza niemal nabożną czcią. Ale zbyt był mu oddany, by nie znaleźć wytłumaczenia: zawinić mogła tylko Adeliza. To przez nią uchybił swoim obowiązkom. A więc ona powinna ściągnąć na siebie pogardę i tylko na nią powinny spaść przekleństwa. Chociaż powściągał się w obecności Aljoma, wetował sobie pod jego nieobecność. Parokrotnie trzeba było go uciszać, bo obelgi, jakie rzucał na „ladacznice, zdrajczynie, podłą łajdaczkę, która otumaniała tak porządnego człowieka jak mistrz”, mogły dotrzeć do uszu dzieci.

W wozie rozmowa wciąż toczyła się wokół kaprysów pogody.

„Co mnie teraz obchodzą rośliny, owoce, plony z naszego majątku? – zastanawiała się Isambora. – Bez Bernolda wszystkie te sprawy, do których jeszcze parę dni temu przywiązywałam wielką wagę, przestały mnie interesować. Dochodzę do wniosku, że w moich oczach barwę każdej chwili życia nadawało tylko nasze wzajemne porozumienie. Gdy zabrakło tej poufałości, nie mam już na nic chęci...”

– Czy Gresja znów będzie z nami mieszkać? – zapytała nagle Filipa, wciąż okutana peleryną matki i przytulona do niej.

Isambora zagryzła usta. Do tej pory wołała się nie zastanawiać, jak jej córka się zachowa, gdy dowie się o postępkach ojca. Awelina jednak tuż przed wyjazdem do Blois zaproponowała, że powie o tym dziewczynce. Isamborze ten pomysł wydał się dobry. Prędzej czy później Gresję i tak należało poinformować o tym, co się stało. Najlepiej, by poznała prawdę z ust Aweliny.

Jak umiłowane dziecko Bernolda, ze swym nieprzewidywalnym charakterem, przyjmie taką nowinę?

– Jeszcze nie wiem, kochanie – westchnęła Isambora. – Pojedziemy po nią do Blois czy też ona przyjedzie do nas? Jeszcze nic nie postanowiłam...

Czuła, że opuszcza ją odwaga, że nie udźwignie na swoich barkach ciężaru odpowiedzialności za tyle różnych spraw, które na nią spadną.

„Sądziłam, że jestem dzielna – myślała ze smutkiem, wchodząc chwilę później do domu – ale to, co uważałam za siłę duchową, było jedynie przeświadczeniem, że nigdy nie zabraknie mi wsparcia. To, co wszyscy wokół mnie uznawali za pogodną naturę, było jedynie spokojem serca, które czuło się kochane, i mogę śmiało powiedzieć, bardziej niż każde inne... Zawsze stawiałam na wierność Bernolda! Teraz czuję się zagubiona... nie jestem już niczyją wybranką!”

Tego wieczoru, w opustoszałym łóżku kogoś, kto miał wszelkie prawo je zajmować, obok śpiącej Filipy, Isambora płakała, nie troszcząc się już o nic. Ogarnęła ją czarna rozpacz. Wszystko się w niej załamało. Leżała na wznak w ciemności, nie ruszając się, by nie obudzić córki, z rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała, którego od tej pory nikt już nie obejmie, a po jej policzkach, mocząc poduszkę i prześcieradło, spływały łzy, których nawet nie próbowała wycierać. Miała wrażenie kompletnej klęski, niemy strach chwycił ją za serce i ścisnął trzewia, jakby staczała się w głęboką otchłań...

„Czy potrafię żyć bez niego, bez iskiej nadziei, że znów go zobaczę, skoro tak

źle znosiłam nawet jego krótką nieobecność?”.

Nad ranem zapadła w męczącą drzemkę, przedtem jednak, podwójnie udręczona, rozmyślała o kuzynce, która w tym samym czasie zaznawała rozkoszy nocy poślubnej w ramionach męża...

W następnych dniach Isambora pojęła, że tak naprawdę małżeństwo Aweliny będzie dla niej oznaczało początek egzystencji kobiety porzuconej.

Nawet nie zauważyła, że dokonała się w niej wewnętrzna przemiana. Początkowe oświecenie ustąpiło miejsca swoistej jasności umysłu przesiąkniętej smutkiem. Przestała nieustannie oczekiwać powrotu Bernolda i musiała pogodzić się z faktem, że już go nie ujrzy. Nie zastanawiała się z przerażeniem, w jakiej kryjówce oddaje się cudzołożnym amatorom. Czy to ważne gdzie? Liczyło się jedynie to, że znikł i że ta nieobecność, jak sobie wyobrażała, może trwać wiecznie.

Niczym kwas powoli wyżerający dziury w najbardziej wytrzymałej skórze, niepowetowana strata, jaką poniosła, dopiero po tygodniu dotarła do jej świadomości. Dopiero wtedy Isambora ze zgrozą odkryła rozmiar spustoszeń... Brutalnie pozbawiona prawie dwudziestoletniej małżeńskiej zażyłości, czuła się tak sponiewierana, że we własnych oczach stała się bezcielesnym, nierzeczywistym cieniem.

Ani troska tych, którzy ją otaczali, ani czułość dzieci nie przynosiły jej najmniejszej ulgi. Wiara zaś... Zdziwiona spostrzegła, że się nie modli, że wcale nie czuje takiej potrzeby, że nawet o tym nie myśli. Zgodnie ze zwyczajem i nie chcąc niepokoić bliskich, codziennie chodziła na mszę w towarzystwie domowników, ale uczestniczyła w niej, jedynie poruszając wargami. Słomiana kukła z powodzeniem robiłaby to samo.

Jałowa pustynia zastąpiła źródło żywej wody, w którym zaspokajała pragnienie jej dusza.

Wraz z miłością Bernolda odeszła miłość, z jaką zwracała się do Boga. Zauważyła, że od ślubu kuzynki ani razu nie prosiła Go o pomoc. Co dziwniejsze, ruina życia małżeńskiego pociągnęła za sobą zerwanie wszelkiej więzi ze Stwórcą. Nie potrafiła wyjaśnić dlaczego, ale tak to odczuwała. Coś w niej pękło. Znad rozproszonych odłamków jej serca mógł się unosić jedynie martwy pył...

Wszelako nie buntowała się przeciw Temu, kto był przyczyną wszystkich rzeczy. Popadła w ponurą apatię. Nie odwracała się od Najwyższego z wściekłością. Po prostu wyrzuciła Go ze swych myśli. Przestał królować na jej niebie. W jej duszy zagościła pustka, opustoszały też niebiosy.

Uświadomiwszy sobie powagę tej nowej dolegliwości, postanowiła pójść do brata.

Roland nie wydawał się zaskoczony tym, z czego zwierzyła mu się siostra. Skonsternowany wiarołomstwem Bernolda, za dobrze znał siłę uczucia, jakim Isambora darzyła męża, by dziwić się temu wyznaniu.

– Jesteś poruszona do głębi – rzekł, wysłuchawszy jej. – Kiedy ziemia się trzęsie i wypluwa lawę, wokół wszystko zostaje spalone. Podobnie jest z tobą. Ten wielki wstrząs w twojej egzystencji spopielił nawet ufność pokładaną w Bogu. Ale trawa wreszcie znów się zazieleni na łysych zboczach wulkanu. Tak samo będzie z twoją wiarą. Wierz mi, korzenie mocno się trzymają, nawet jeśli łodygi i liście zmarniały.

Spacerowali obok siebie po ogrodzie roślin leczniczych hodowanych w monasterze



i było całkiem naturalne, że Roland pod koniec kwietnia opowiada siostrze o mocy kiełkujących nasion.

Ponieważ się rozpogodziło, przyroda mogła raz jeszcze z ferworem przystąpić do płodzenia. Jak co roku budziła podziw swą witalnością, swą młodością, wiecznie się odradzającą.

Po czereśniach i śliwach zakwitły jabłonie i grusze. Pola pokryły się bujnymi kępami krzewów. Na łąkach, pastwiskach, leśnych polanach, poboczach dróg rozwijał się zielony, gęsty, jedwabisty dywan.

– Czy coś może się we mnie odrodzić jak w tym ogrodzie? – wyszeptała Isambora.  
– Ze mnie pozostały tylko zgliszcza...

Pogrążony w milczeniu, jak mu się to często zdarzało, Roland przez chwilę szedł bez słowa koło młodej kobiety.

– Chciałbym cię o coś zapytać – rzekł wreszcie. – Masz żal do panny, która uwiodła twego męża? Pałasz do niej nienawiścią?

Był bardziej przejęty odpowiedzią, którą miał otrzymać, niż tym, co do tej pory usłyszał.

– Gdybym jej nie znała, myślę, że bym ją znienawidziła – odparła Isambora. – Ale jak mogłabym zarzucić dziewczecze, którą pewnego dnia przedstawił mi Aljom, że odebrała mi męża? Niczego nie knuła cichcem, aby go do siebie przyciągnąć. Byłam przy nich w tym fatalnym momencie, gdy się spotkali. Ona nic mu nie powiedziała, jedynie go pozdrowiła... Nie, bracie, widzisz, nie mogę jej winić. Podobnie jak Bernold padła ofiarą zła! Podobnie jak on została zniewolona, zauroczona, stracona, odcięta od bliskich... niczym słomka porwana przez wiatr!

Mnich odetchnął z ulgą.

– Bogu dzięki! Potrafisz wybaczyć zniewagę, siostrzo, mimo nadwątlenia twojej wiary. To najważniejsze. Bałam się, że pod zgubnym wpływem zazdrości będziesz zionąć wrogością do rywalki. Takie uczucie wystawiłoby na niebezpieczeństwo twoje zbawienie. Nie żywiąc niechęci, zachowasz przyjaźń Pana. Tym bardziej że litujesz się nad winowajcami...

– To nie litość – sprostowała Isambora. – Czuję się w pewnym sensie zmuszona przyznać, że ani jedno, ani drugie nie zadecydowało o tym, co im się przydarzyło, i że tego nie chciało...

Ciężkim krokiem kobiet brzemiennych przez chwilę szła w ciszy. Jej wełniany kaftan omiatał rabaty szczawiu i tymianku.

– Nic nie rozumiejąc, przez parę dni byłam świadkiem walki, jaką Bernold toczył we własnym sumieniu – podjęła po dłuższej chwili. – Uznawałam za chorobę ciała to, co w istocie było trądem duszy, ale mogę cię zapewnić, że był udręczony i opierał się pokusie. W takiej sytuacji jak mogłabym zaprzeczyć, że został zbałamucony przez kusiciela, niecznie wykorzystany?

Teraz szli wzdłuż rzędu równo przyciętych grusz, które obramowywały grządki. Kiełkowały na nich lub zaczynały kwitnąć szałwia, prawoślaz, dziurawiec, arnika, gorczyca, dzięgiel, mięta, bylica, bazylika i wiele innych ziół.

– Prawdę mówiąc, bracie – ciągnęła Isambora – nie żywię nienawiści, bo nie czuję

się upokorzona. Ograbiona tak, upokorzona – nie. Byłabym, gdyby Bernold opuścił mnie dla kaprysu albo pragnąc jakiejś odmiany, gdyby mnie odtrącił, zwyczajnie znudzony. Chyba mogę stwierdzić, bez ryzyka pomyłki, że tak nie było. Jestem pewna, że wciąż mnie czule kochał, że kochałby nadal, gdyby nie spotkanie, które go odmieniło. Ustąpił przed siłą bardziej niezłomną od jego woli, potężniejszą niż jego uczucie dla mnie... Jest w stanie demonicznego zamroczenia! Widzisz, Rolandzie, mój małżonek jest opętany!

Mnich opuścił na piersi niezbyt urodziwą dużą głowę, która wychylała się z kaptura jego czarnego habitu.

– I właśnie po to, by zapobiec takim stanom opętania, Kościół coraz usilniej zaleca, by ludzie zawierali sakramentalne małżeństwa, zamiast otrzymywać zwykłe błogosławieństwo, którym się tak często zadowalali w przeszłości – wyjaśnił. – Sakrament stanowi jednocześnie barierę dla demona i daje oparcie zaślubionym małżonkom. Wielu ta duchowa pomoc i ten zakaz powstrzymały przed popełnieniem występku. Jeśli twój mąż dał się zwieść na manowce pomimo świętego węzła małżeńskiego, który cię z nim łączy, zły musiał użyć wszystkich swoich sztuczek. Bernold był uczciwym człowiekiem. Na pewno stoczył morderczą walkę. Dlatego masz słuszość, nie przeklinając go. Poddał się dopiero, gdy był u kresu wytrzymałości. Bardziej należy mu współczuć, niż go potępiać, siostró. Trzeba się wciąż modlić, by go wesprzeć w niemocy.

– Nie potrafię.

– Zrobię to za ciebie i poproszę wszystkich braci z naszego klasztoru, by odprawiali modły w tej intencji. Modlitwa bez wątpienia jest silniejsza niż zło, ale również silniejsza niż gniew Boga, ponieważ nierzadko zdoła Go przebłagać.

– Tak mówi i powtarza mi żona naszego proboszcza. Często mnie odwiedza po odejściu Bernolda. Nie spieram się z nią...

– Poproszę też Najświętszą Marię Pannę z Chartres, aby cię wspierała i pomogła odzyskać miłość do Pana.

– Oby cię wysłuchała, bracie!

Isambora rozstała się z Rolandem, nie znajdując prawdziwego ukojenia w czułości, jaką jej okazywał, ani w trosce, jaką ją otaczał. Nie mogła przecież uciec przed swoim nieszczęściem.

Dni mijały. Życie toczyło się utartym torem, ale porzucona małżonka nadal czuła się osamotniona wśród swoich. Jej ręce się uwijały, a myśli gdzieś błądziły.

„Co on w tej chwili robi? Jak żyje? Pewnie znów wykonuje swój zawód szklarza... Nic innego nie umie robić, a to wychodzi mu świetnie. Czy czasem myśli o nas? Czy żałuje? Nie, chyba niczego nie żałuje...”.

Wszystko nappełniało ją goryczą.

Minęło czterdzieści dni zwłoki udzielonej cudzołożnikowi, lecz nie nadeszła żadna wieść o tym, co mogło się z nim stać. Nie odzywał się, nie dawał znaku życia.

Odbyło się następne zebranie u podwasala. Postanowiono, że członkowie rodu od tej pory mają prawo wyruszyć w pościg za winowajcą, aby go schwytać i ukarać.

Mocniej niż groźba, której, jak sądziła Isambora, i tak nikt nie spełni, dotknęła ją nieprzejednana postawa starszego syna.

Ani upływ czasu, ani próby pocieszenia podejmowane przez matkę albo Gerbalda Swojaka, nie mówiąc o Rolandzie, nic ani nikt nie zdołał ugasić żądzы zemsty Aljoma. Marzył jedynie o odwecie i ukaraniu winowajcy.

– Matko – rzekł do Isambory po powrocie z drugiego zgromadzenia w Morville – wkrótce zostawię cię samą. Jestem niemal całkowicie przekonany, że ci, których szukamy, nie schronili się tutaj. Teraz są już na pewno w Normandii. Tam muszę ich ścigać.

– Ależ, mój synu, co zamierzasz zrobić? Przecież nie podniesiesz ręki na własnego ojca!

– To nie ja wyparłem się więzów pokrewieństwa! – rzucił młody człowiek rozsierdzony. – Krzywoprzysięzca, wiarołomca – to nie ja!

– Ale będziesz ojcobójcą! I dobrze wiesz, nie ma ohydniejszej zbrodni!

– W każdym razie mam zmarnowane, stracone, zaprzepaszczone życie! Kiedy się zemszczę, pójdę pieszo do Ziemi Świętej, aby w czasie, w jakim będzie mi dane cierpieć, posługiwać ubogim bożym pielgrzymom!

Isambora złapała się za głowę.

– Stanowczo, żaden z tych, których tak miłowałam, nie zlituje się nade mną – jęknęła zboląłym tonem. – Ani twój ojciec, ani ty nawet przez chwilę nie pomyśleliście, by oszczędzić mi zgryzoty.

– Nie stawiaj mnie na równi z kimś, kto jest przyczyną wszystkich naszych nieszczęść, matko! Jestem ofiarą, podobnie jak ty!

– Czy to powód, by zastosować wobec niego prawo talionu, jak czynią poganie? Czy nie żyjemy pod znakiem miłości, przebaczenia i puszczania w niepamięć zniewag?

– A więc ja jestem złym chrześcijaninem! Ale i w tym wypadku czyja to wina? Byłem lojalny i ufny, dopóki mnie nie zdradzono!

– Sądziysz, że wybaczać należy jedynie drobne grzeszki? Nie wiesz, że im poważniejsza obelga, tym większego zmiłowania potrzebuje sprawca?

– Słusznie, kiedyś i ja tak myślałem. Ale nie wyobrażasz sobie nawet, jak cierpię, jak strasznie cierpię!

Padł na kolana przy łóżku, na którym siedziała Isambora, przędać kądziel.

– Jestem tak potwornie nieszczęśliwy! – jęknął, chowając twarz w fałdy pikowanej kapy przykrywającej pościel. – Miałem nadzieję, że serce mi pęknie... ale musi być mocne... Co się ze mną stanie, jeśli nie spróbuję uśmierzyć smutku, oddając wet za wet?

– Niczego nie uśmierzysz, synu! Niczego! Wierz mi, popełnienie zbrodni wcale nie zmieni sytuacji, w jakiej się znajdujesz. Stanie się jeszcze groźniejsza, a ty będziesz działał na swoją szkodę.

Aljom wyprostował się, spojrzął na matkę błędnym wzrokiem, po czym szlochając, opuścił głowę na jej ramię.

– Jestem zgubiony! Zgubiony! – powtarzał rozpaczliwie w kółko. – Matko! Matko! Pomóż mi!

Tak, jak robiła, gdy był dzieckiem, Isambora głaskała niesforną czuprynę syna, przemawiając doń po cichutku.

W jej brzuchu poruszało się nienarodzone maleństwo. Rozmyślała nad tym, jak

nierozważnie i egoistycznie zachował się Bernold, odchodząc w taki sposób i nie martwiąc się ani odrobinę o tych, których zostawia, tych, którym zrujnował obecną egzystencję i których naraził na niepewną przeszłość.

Aljom przez dłuższy czas pławił się w matczynym cieple, dając upust żalowi. Gdy uniósł zapuchniętą twarz, w oczach Isambory wyczytał tyle zrozumienia, miłości, lęku, że poczuł się wstrząśnięty.

– Niech Bóg mi wybaczy! – powiedział. – Myślałem tylko o sobie! A przecież ty, niestety, jesteś bardziej godna politowania, jeśli to w ogóle możliwe... a mimo wszystko okazujesz miłosierdzie! Jak ty to robisz, matko? Jak ci się to udaje?

– Wiesz równie dobrze jak ja, że oni nie są niczemu winni, ani jedno, ani drugie – rzekła łagodnie Isambora. – Wiesz, że oboje usiłowali wyrwać się ze szponów wroga. On jednak zmusił ich do posłuchu, by narzucić im swoje zbrodnicze prawa... Czy możemy ich potępić z kretesem, skoro podobnie jak oni jesteśmy grzesznikami, łatwo ulegającymi pokusie?

– Ale my się jej opieramy!

– Czy z ręką na sercu, synu, możesz przysiąc, że zostawiłbyś w spokoju Adelizę, gdyby była już zamężna wtedy, gdy ją poznałeś?

Aljom spuścił głowę.

– No widzisz! – wywnioskowała Isambora. – Sam widzisz! Kto może się chełpić tym, że nigdy nie popadł w grzech? Nikt. Zawsze okazujemy się tchórzami, gdy pojawi się pożądanie!

Położyła kądziel i wrzeczono na kapie obok siebie i ruchem dobrze znanym jej dzieciom przechyliła się do tyłu, kładąc jednocześnie ręce na krzyżu, coraz bardziej obolałym, w miarę jak cięża zbliżała się ku końcowi.

Aljom patrzył na matkę z zawstydzieniem i skruchą.

– Poczekam, aż dziecko przyjdzie na świat – oznajmił. – Nie mogę cię zostawić bez pomocy w takich tarapatach.

Isambora spojrzała na niego wzruszona.

– No dobrze – ciągnął. – Zostanę do porodu. Potem zobaczę.

– Nasi krewni być może odnajdą twego ojca przed moim pościem – zauważyła. – Nie pragnę tego, ale już wolę, by tak się stało, niż miałbyś popełnić nieodwracalny czyn. Jeśli go schwytają, z pewnością postawią przed trybunałem kościelnym, który wymierzy mu ciężką karę, ale daruje życie. Dla mnie to najważniejsze.

Aljom ukląkł przed matką i ucałował obie jej ręce.

– Porzucić cię, matko! Taką niewiastę jak ty! Boże sprawiedliwy, czy coś takiego można wybaczyć?

– To są nasze sprawy, twojego ojca i moje. Nikt poza nami nie może ich osądzać. Ani ty, ani nikt inny, synu!

Wstała.

– Trzeba przygotować kolację – stwierdziła. – Chodź, Aljomie, weź mnie pod ramię. Jestem coraz bardziej ociężała.

Nadeszły Zielone Świątki: odbywały się procesje, między domami miasteczka rozwieszano girlandy kwiatów, puszczano gołębice, urządzano tańce ludowe.

Mieszkańcy Grand Feu chodzili na msze, ale unikali rozrywek. Nieobecność mistrza szklarskiego odbiła się rykoszetem na wszystkich. Nawet psy na niego czekały i szukały swego pana, skomląc. Nie wypadało okazywać radości. Dzieci też były mniej bez troskie. Filipa najczęściej nie odstępowała matki na krok, uciszając Albina i Doettę, gdy za głośno krzyczeli.

Dopiero wieczorem w poniedziałek zielonoświątkowy, w wyjątkowo ciepły wieczór, gdy słychać było dalekie pomruki burzy, Isambora poczuła pierwsze bóle porodowe. Właśnie ukołysała Doettę, która długo marudziła, aż wreszcie zasnęła.

Stwierdziwszy, że skurcze następują po sobie w tempie znacznie szybszym niż przy poprzednich ciążach, wezwała Sancję i kazała jej natychmiast pobiec do Amalbergi, aby ją powiadomić.

Jednak ledwo wciągnęła koszulę położnicy, na której z przodu była wyhaftowana modlitwa mająca chronić przed długim i męczącym porodem, odeszły wody płodowe. Zbita z tropu, ale nie martwiąc się zbytnio, szybko się wytarła i zamierzała chwilę odpocząć.

Zanim doszła do łóżka z popręgami przeznaczonych do porodów i ustawionego zawczasu w kącie pokoju, gwałtowny skurcz przeszył dół jej brzucha.

Krzyknęła przeraźliwie. Wtedy ku swemu wielkiemu zdziwieniu poczuła, że dziecko z niej wychodzi, zsuwa się po jej nogach w strumieniu krwi.

Upadłoby na posadzkę usłaną wonnymi czerwcowymi ziołami, gdyby nie przytrzymała go w fałdach koszuli i nieco zatrwożona, nie złapała go, oślizgłego, machającego rączkami i nóżkami, w swoje dłonie.

– To chłopak! – rzuciła położna, która w tym momencie weszła do sypialni. – Wydaje się tęgi i ma kształtne kończyny.

– Boże Wszechmogący! Już się urodził! – zawołała Margista, która podążała za akuszerką, niosąc dzbanki z ciepłą wodą, pieluszki, płócienne ubranka.

– Dlaczego zawiadomiłaś mnie, pani, tak późno? – spytała Amalberga, chwytając niemowlę, które krzyczało.

– Wezwałam cię, gdy bóle się nasiliły, jak zwykle – odparła Isambora. – Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Nigdy nie urodziłam tak szybko!

Amalberga odcięła pępowinę, zawiązała ją starannie, po czym, wytarłszy małe, ruchliwe ciało, owinęła je w czystą bieliznę i podała Margiście, aby je wykąpała.

Następnie zajęła się Isamborą, która położyła się na specjalnie w tym celu przygotowanym pościeliu, zaczęła ją myć i smarować wonnymi olejkami.

W tym czasie Margista nacierała solą brzdąca, który się wyrывał i darł jak opętany, zanurzała go w balii, w której zwykle kąpano Doettę, potem użyła do mycia kawałka miodowego mydła. Lecz chłopczyk najwyraźniej tego nie doceniał i protestował, ile wlezie.

Wysuszywszy go, przypudrowała startym korzeniem irysa, co mu się chyba spodobało, bo się uspokoił. Wreszcie na szyjkę włożyła mu bursztynowe koraliki, aby nie cierpiał na kolki ani na konwulsje.

Gdy Amalberga oporządziła matkę, wróciła do dziecka. Zakropiła mu oczy odrobiną octu różanego, przyniesionego przez Sancję, zabandażowała brzuszek na

wysokości pępka, uciskając go lnianym pasem.

Ubrała noworodka w koszulkę z cienkiego płótna i barchanowy kaftanik. Teraz położna musiała już tylko owinać go w białe pieluszki, które mocowała skrzyżowanymi wąskimi powijakami, aby nie trzymał krzywo nóżek.

Tymczasem Margista i Sancja przeniosły Isamborę do wielkiego łoża, w którym zmieniły pościel. Niemal w nim siedziała, oparta o duże poduszki.

– Teraz musisz, pani, wypić napar z przywrotnika, który polecam ci zażywać za każdym razem w połogu – rzekła Amalberga. – Przygotuje ci go Margista.

– Tak łatwo nie wydałam na świat żadnego z jego braci i sióstr – zauważyła położnica. – Prawie mnie nie bolało!

– Jaśnie pani – odparła położna – widziałam wiele porodów, odkąd wykonuję swój zawód, ale chyba nigdy nie przyszedł już po wszystkim! Wciąż nie mogę się temu nadziwić... i nawet jestem trochę rozeźlona!

Zaśmiała się, szeroko otwierając żarłoczne usta.

– Grunt, że masz pięknego chłopaka. Należy podziękować za to Panu.

– Chłopak jak malowanie! – zapewniła Sancja, pochylona nad kołyską, do której włożyła ośeska.

– Daj mi go – poprosiła Isambora. – Ledwo go widziałam.

Sancja podniosła maleństwo i zaniósła matce.

– Najświętsza Panno! Jest podobny do Henrysia! – wykrzyknęła położnica. – Można by przysiąc, że wrócił do nas Henryś!

Jej oczy napełniły się łzami.

– Mój mały! Maleńki! – wyszeptwała, ostrożnie przyciskając go do piersi. – Mój mały się odnalazł!

Niesłychana radość zalała jej serce, lecz po chwili pomyślała, że Bernold nie dzieli z nią ani tej radości, ani tego wzruszenia. Po raz pierwszy był nieobecny przy narodzinach któregoś z ich dzieci. Nieobecny na długo, bez wątpienia na zawsze. Czy chłopczyk kiedyś pozna ojca?

– Jak go nazwiesz? – zainteresowała się Margista, która właśnie wracała z kubkiem pełnym parujących ziół.

– Przyszedł mi do głowy Ogier – odparła Isambora.

Nie śmiała się przyznać, że kiedyś słyszała od Bernolda, że lubi to imię. Nosił je jeden z bohaterów kraju, z którego niegdyś przywędrowali jego przodkowie.

– Niech będzie Ogier! – przytaknęła Amalberga, zwijając w rulon zakrwawione prześcieradła i bieliznę, których przedtem używała. – Dość rzadkie imię. Mały nie spotka za wielu urwisów nazywających się tak samo jak on!

Isambora kończyła pić napar z przywrotnika.

– Trzeba zawiadomić moją stryjenkę, Bazylię, proboszczową i kasztelanową – poleciła Margiście. – Nie wybaczyłyby mi, gdybym nie przekazała im takiej nowiny. A sąsiadki na pewno przyjdą same, gdy tylko wieść do nich dotrze!

Korowód kum z sąsiedztwa był nieunikniony. Mimo że posiadłość znajdowała się dość daleko od innych wiosek, w okolicy były dwa lub trzy gospodarstwa, z których mieszkańcami Isambora utrzymywała dobre stosunki... ponadto odejście Bernolda

podsycało ciekawość...

Perryna wpadła w zachwyt tym większy, że Awelina powiadomiła rodziców o początku swojej ciąży.

– Oby ona też miała syna! – zawołała z entuzjazmem. – Gdyby przypadkiem urodziła się córka, Gerwazy znów by się rozchorował!

Żona proboszcza parafii Świętego Leobina, która była niespożyta, pełną energii osobką, zaproponowała, że weźmie do siebie Filipę i Albina na dwa tygodnie – na czas, gdy ich matka będzie leżała w połogu. Isambora była jej wdzięczna, ale odrzuciła ofertę. Wołała zatrzymać dzieci przy sobie. Zajmą się nimi Margista i Sancja.

Od Gildasa, który nie mógł wejść do sypialni kobiety leżącej w łóżku, ponieważ nie był jej ojcem ani mężem, ani bratem, Bazylia przekazała przyjaciółce nowinę, że poszukiwania, jakie wszczęto, by odnaleźć Bernolda, skończyły się fiaskiem. Mimo zawziętości, z jaką niektórzy ścigali winowajców, nie trafiono na najmniejszy ślad. Stało się oczywiste, że mistrz szklarski i jego nałożnica opuścili region.

– Dziękuję za wiadomość – rzekła Isambora. – Od tej pory będę się mniej niepokoić losem Bernolda. Mimo wszystkich krzywd, jakie mi wyrządził, to jednak mój mąż. Nie mogę znieść myśli, że jest ścigany jak zwierzę, które weszło w szkodę.

– Gildas o tym dobrze wiedział i dlatego zależało mu, abym cię zawiadomiła o rezultatach – zapewniła Bazylia. – Wiesz, jaką darzy cię przyjaźnią.

– Nie mógłby również zganić Aljoma? – podjęła Isambora. – Biedny chłopak wciąż woła o pomstę do nieba, ale jego wściekłość, zdaje mi się, nieco opadła. Uświadamiając mu, jak jest potrzebny w warsztacie, aby prace biegły swoim torem, może Gildas zdoła przemówić mu do rozsądku. Bardzo się boję wybryków, jakie popełnia się w jego wieku! Zrównoważony człowiek mógłby wywrzeć na niego zbawienny wpływ.

– Jeśli sobie tego życzysz, możesz być pewna, że mój mąż dołoży starań – oznajmiła Bazylia.

– W każdym razie mam zamiar poprosić Aljoma, by został tu aż do wyvodu. Ten czterdziestodniowy termin może pozwoli mu trochę się opanować. Nie odmówi mi przecież pomocy i opieki w czasie, gdy nie wolno mi się ruszyć z domu.

Siedząc na łożu, oparta o stertę poduszek, z ciężkimi warkoczami opadającymi na kolana i okalającymi wychudzoną twarz, Isambora jakby odmłodziła. Jednak odkąd odszedł Bernold, jej szare, pełne smutku oczy nie odzyskały dawnego blasku.

– A gdy upłynie ten termin, co zamierzasz zrobić, moja droga? – zapytała Bazylia.

– Wszystko zależy od decyzji Aljoma...

Chrzest małego Ogiera, którego Amalberga nie uznała za stosowne ochrzcić wodą, bo taki był krzepki, odbył się trzy dni później.

Zgodnie ze zwyczajem panującym w diecezji Blois dla chłopca niezbędni byli dwaj ojcowie chrzestni i jedna matka. Dla dziewczynki – odwrotnie. Ojcami chrzestnymi zostali Hagenier i Remigiusz. Filipa, bardzo przejęta – matką.

Ze swojego pokoju Isambora usłyszała bicie dzwonów niosące się z północnym wiatrem. Ich dźwięk był inny niż zwykle, bo przyjęło się, że przy okazji chrztu dzwonnik używał drewnianego młotka obciążonego skórą, którym uderzał w brzeg dzwonu, w rytm różniący się zależnie od parafii...

Potem rodzina i bliscy przyjaciele zebrali się na obiedzie, w którym Isambora nie mogła uczestniczyć. Przyjęciu, na którym nie pojawili się ani ojciec, ani matka noworodka, przewodniczył Aljom.

Odmówiwszy modlitwę dziękczynną, niewiasty wstały od stołu, aby przejść do sypialni, gdzie Sancja podała Isamborze najsmakowitsze kąski, aby wynagrodzić jej przymusowe odosobnienie.

– Twój najmłodszy synek jest bardzo udany, bratanico – zauważyła Perryna. – To błogosławieństwo takie śliczne dziecko! Na mą wiarę, Pan Bóg ofiarował ci wspaniały prezent. Widzę w tym znak, że cię nie opuszcza i czuwa nad tobą, podobnie jak nad twoimi potomkami.

– Bardzo tego potrzebujemy – westchnęła Isambora.

Gdy upłynął czterdziesty dzień, można było odprawić obrzęd wyvodu.

Odziana w kaftan z białego płótna, w śnieżnobiałym welonie na głowie, matka rodziny udała się do kościoła wraz z położną, która odebrała poród. Za nimi podążali Aljom, Filipa, Albin, służba i robotnicy z Grand Feu, Perryna, Gerwazy, Gildas i Bazylia.

Amalberga podała wodę święconą Isamborze, która jeszcze nieoczyszczona nie mogła sama umoczyć palców w chrzcielnicy.

Po mszy wysłuchanej przez postulantkę w nawie głównej podszedł do niej proboszcz od Świętego Leobina, by ją poprowadzić do ołtarza. Z bochenkiem chleba w jednej ręce i świecą zapaloną na znak oczyszczenia w drugiej, Isambora otrzymała od księdza błogosławieństwo, po czym pochyliła się, aby ucałować poświęcony kamień, na którym została odprawiona Eucharystia.

Wsparta na ramieniu syna, wyszła z kościoła w stanie łaski. Świadczył o tym poświęcony chleb, który ścisnęła w dłoniach.

Odtąd mogła ponownie zająć swoje miejsce w rodzinie i wrócić do zwykłych zajęć.

Zbliżał się koniec lipca. Wszędzie żęto zboże. Nad doliną, nad wzgórzami unosił się zapach świeżo ściętej słomy. Powietrze było ciepłe i suche.

Wkrótce po ceremonii wyvodu przyszedł do Isambory Gerbald Swojak. Warsztaty już zamknięto, zapadał wieczór.

Znad Loiru aż do dziedzińca dolatywała mdła woń rozgrzanej słońcem wody, wilgotnej gliny, nenufarów. Ze stajni i obory wionęło nieznośnym fetorem. Z kuchni rozchodził się zapach smażeniny.

Siedząc na drewnianej ławie okalającej lipę, Isambora karmiła piersią Ogiera.

– Pani – rzekł wydmuchiwacz szkła – muszę z tobą porozmawiać.

– Co się stało, Gerbaldzie?

Grubas szerokim gestem podciągnął ogromny brzuch, który wylewał się zza skórzanego pasa.

– Na Boga i świętych Pańskich – ciągnął. – To, co mam ci do powiedzenia, wcale nie jest takie proste.

Mocno pociągnął nosem.

– Otóż chcielibyśmy wiedzieć, czy twój syn zamierza nadal pracować z nami.

– Dlaczego? Napomykał, że was opuści?

– No nie, ale jest taki roztargniony, taki obojętny na wszystko, co my tu robimy...



– Mężczyzna westchnął z głębi piersi. – Od chwili gdy odszedł mistrz, on nie jest już sobą. Nic mu się nie chce.

– Ale przecież pojechał do Francheville, żeby w nowym kościele Świętego Marcina wstawić witraże, których nie zdążył zamontować jego ojciec.

– Na Boga, oczywiście! To była konieczność. Przeor miał nam wypłacić dużą sumę. Ale teraz twój syn, pani, obja się i nie robi nic pożytecznego.

Isambora delikatnie wysunęła brodawkę prawej piersi z łakomych usteczek, które ją ścisnęły, i zanim przeniosła oseska na drugą stronę, przez chwilę trzymała go przed sobą w wyciągniętych rękach. Nie miał jeszcze dwóch miesięcy, ale już wyglądał na silnego i pełnego wigoru jak dawniej Henryś.

– Udał ci się, pani, ten pędrak – zauważył wydmuchiawcz szkła, który rzecz jasna troszczył się o noworodka jak o zeszlóroczny śnieg.

Isambora podała Ogierowi drugą pierś, z której wyciekało mleko.

– Wiesz, z jakim trudem zatrzymałam tu Aljoma – rzekła do Gerbalda, który, skrzepowany, skierował wzrok gdzie indziej. – Gdybym mu pozwoliła, dawno by się z nami rozstał. Musiałam użyć podstępów, aby osiągnąć swój cel. Ale żeby się zorientować, jakie ma zamiary, mój ty biedaku, do tego jeszcze daleka droga. Nie mam pojęcia, jakie są jego plany.

– Jeśli nas opuści, będziemy musieli zamknąć warsztaty – rzucił grubas z żalem. – Remigiusz i ja sami sobie nie poradzimy. Już nawet nieobecność mistrza wprowadziła nas w niemały kłopot!

– Wiem, Gerbaldzie, wiem – westchnęła Isambora. – Jednak dobrze, że do mnie przyszlście. Porozmawiam z synem.

Wydmuchiawcz szkła wyszedł.

Wśród gałęzi lipy nad głową młodej matki szczebiotała, pogwizdywała, ćwierkała przed zmierzchem chmara ptaków. Przycupnąwszy na dachu łaźni, gruchała turkawka. Słychać było uderzenia końskich kopyt o przegrody w stajni...

„Wszystko tutaj tchnęłoby spokojem i łagodnością – pomyślała Isambora – gdyby nie zdrada, wiarołomstwo Bernolda! Z jego winy Aljom zachowuje się jak szaleniec, warsztatom grozi zamknięcie, zostaniemy bez środków do życia... a mnie zżera smutek...”

Łzy niemal ją oślepiały.

Napojony mlekiem Ogier zasnął przytulony do matczynej piersi.

„To będzie moje ostatnie maleństwo – rozmyślała dalej Isambora. – Nie będę miała więcej dzieci... ani żadnego mężczyzny przy sobie... Nigdy więcej nie zaznam miłości... Czy kiedyś się do tego przyzwyczaję? Czy pogodzę się z okropną sytuacją kobiety porzuconej?”

Wierzchem dłoni otarła oczy.

„Teraz sama muszę zadbać o bezpieczne jutro dla tych, którzy ode mnie zależą... Jak to zrobić? Mąż, syn, środki do życia... czy stracę wszystko za jednym zamachem?”

Zapięła kaftan, wstała, trzymając na rękach uspiętego Ogiera, i zamierzała wejść do domu.

„Nie wiem, jak się do Ciebie zwrócić, Panie Boże, bo mam tyle zgryzoty, że moja

dusza jest jak zakneblowana... Więc o nic już Cię nie proszę, Boże miłosierny, o nic oprócz siły, abym nie popadła w najgorszy grzech, grzech rozpaczy”.

## VII

– Nie mogłam mieszkać w Grand Feu po wyjeździe Aljoma – rzekła Isambora. – Bez niego i jego ojca dom opustoszał.

Albrea uściskała podróżniczkę.

– Czuj się tu jak u siebie, moja droga – powiedziała. – Cieszę się, że szukając pomocy, zwróciłaś się do mnie! Pod naszym dachem jest dużo miejsca, będziesz mogła urządzić się po swojemu.

– Co bym bez ciebie zrobiła? Czuję się taka zagubiona... Bogu dzięki, Awelina znalazła mi robotę. Dzięki niej dostanę się do pracowni hafciarskiej hrabiny Adeli – podjęła Isambora. – Już przed ślubem pracowałam w szwalni tego samego rodzaju, we Fréteval, a hrabina zawsze okazywała nam wielką dobroć.

Aljom wywędrował zaraz po święcie Wniebowzięcia Matki Boskiej. Obawiając się zapewne, że matce uda się i tym razem go zatrzymać, wziął nogi za pas nocą przy pełni księżyca, poleciwszy Remigiuszowi, by nazajutrz rano powiadomił jego bliskich, że zdecydował się wyruszyć do Normandii... że będzie tam pracował jako czeladnik szklarski...

Kolejna dezercja, zamiast przygnębić Isamborę, podziałała na nią jak smagnięcie biczem.

Nagle postanowiła wziąć się za bary ze swym nieszczęściem.

Gerbald Swojak i Remigiusz udadzą się do Fontevrault. Niejaki Robert z Arbrissel ufundował tam opactwo, którego budowa wymagała licznej siły roboczej.

Amalberga i jej syn Hagenier byli bardzo potrzebni w dolinie, więc nie mogli jej opuścić. Zostaną na miejscu.

Po zamknięciu warsztatów w Grand Feu Piotruś, Margista, Bernarda i Konstancja nigdzie nie wyjadą, tylko będą mieszkać w majątku, pilnując domu, oporządzając bydło, pielęgnując ogród i dbając o uprawy.

– Zamierzam od czasu do czasu tam zaglądać – wyjaśniła Isambora Albrei. – Nie chciałabym, by cokolwiek się zmarnowało...

Zabrała ze sobą dzieci i Sancję.

– Będę musiała zatrudnić dodatkową służącą, która zajmie się Ogierem i Doettą, gdy ja będę w szwalni...

Filipa i Albin zeszli z wozu w ślad za nią i od razu zagarnęła ich dla siebie Gresja, która ucałowawszy matkę, wydawała się przejęta jedynie tym, że znów widzi rodzeństwo.

Awelina, która w sierpniu bawiła przejazdem w Morville, wyznała w zaufaniu Isamborze, że jej najstarszą córkę chyba niezbyt poruszyła ucieczka ojca.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć – westchnęła Awelina – ale mam wrażenie, że Gresja wcale nie ubolewa nad tym, co cię spotkało. Zaskoczyło ją to, oczywiście, ale nie dotknęło do żywego. Może się mylę, ale wydawało mi się, że nie cierpi z tego powodu tak bardzo, jak się obawialiśmy.

Podczas gdy dwóch służących z okazałego domostwa zdejmowało skórzane, nabijane ćwiekami kufry, w które zapakowano rzeczy podróżnych, Isambora, rozmawiając z Albreą, obserwowała Gresję.

Nie widziała jej przez długie miesiące: w okresie, gdy dziewczęta tak szybko się zmieniają.

Panna, która właśnie skończyła czternaście lat, nie miała w sobie już nic z dziecka. Drobnej budowy, podobnie jak matka w jej wieku, szczupła w talii, o harmonijnej linii bioder i wysoko umieszczonych, małych piersiach. Nienaruszona część twarzy odznaczała się taką urodą, że przykro było patrzeć na drugą...

Trzymając Filipę i Albina za rękę, podeszła do Sancji, która niosła Ogiera.

– Ach, to mój ostatni braciszek – stwierdziła, pochylając się nad niemowlęciem. – Na Najświętszą Pannę, to prawda, że jest podobny do Henrysia!

Spostrzegłszy, że Isambora kieruje uwagę na dzieci, Albrea położyła jej dłoń na ramieniu.

– Bóg mi świadkiem, moja droga – podjęła – Gresja zadziwia niepospolitą inteligencją. To istota obdarzona licznymi talentami! Cudownie śpiewa, ślicznie rysuje, układa zachwycające wiersze. Odkąd powierzyłaś ją mojej opiece, zapewniam jej taką samą edukację jak swojej córce. Nauczyciele zachwycają się łatwością, z jaką zapamiętuje wszystko, czego ją uczą.

– Wcale mnie to nie dziwi – przyznała Isambora. – Gdy zaczęła się uczyć katechizmu, opanowała z księdzem sztukę czytania i pisania szybciej niż jej dwaj starsi bracia. Albin pójdzie za jej przykładem.

– Gdyby nie ten nieszczęśliwy wypadek, mogłabyś myśleć o wydaniu jej za jakiegoś bogatego kupca...

– Niestety, droga przyjaciółko, nie ma o tym mowy.

Kufry wreszcie zniesiono z ciężkiego wozu, którym przyjechali podróżni. Wszyscy weszli do domu.

Był początek września. W miodowym świetle lśniły dachy budynków i dzwonnice kościołów.

– Gdy tylko nadeszła wiadomość od ciebie, kazałam uporządkować część domu, w której nie mieszkamy. Ten dom jest dla nas za duży – oznajmiła stanowczo Albrea. – Mogę z satysfakcją powiedzieć, że wreszcie te puste komnaty znajdą lokatorów!

Przekroczywszy pięćdziesiątkę, Albrea wciąż miała ciało bez uncji tłuszczu, szczupłe i rasowe, lecz choć nie utyla, jej plecy się zgarbiły. Pod fioletowym welonem obramowana siwymi warkoczami twarz z siateczką zmarszczek zachowała dziwnie wzruszający urok, wyczuwało się bowiem, że on wkrótce zblednie. Przypominała w pełni rozwinięty owoc, który niebawem zrobi się przejrzały...

Wchodząc do domu przyjaciółki, Isambora odniosła wrażenie zamożności, która uderzyła ją już wtedy, gdy po raz pierwszy przekroczyła jego próg.

W owym czasie jej stan ducha był zupełnie inny. Kiedy Bernold przywiózł ją do Blois, przeżywali burzliwy początek swojej miłości, sądząc, że będzie trwała wiecznie, czując, że niczym gwałtowny wicher porywa ich pożądanie... Od tamtej pory często wracała do siedziby mincerza, ale zawsze w asyście męża lub przynajmniej z przekonaniem, że niedługo znów go ujrzy...

Co pozostało z tak niedawnej przeszłości?

– Odgaduję twoje myśli, moja droga – rzekła Albrea. – Nie pogrążaj się w żalu za

tym, co przeminęło.

Dzieci podążyły za Gresją, która, poprzedzana przez tragarzy niosących kufry, oprowadzała brata i siostrę po nowym lokum. Dołączyła do nich Sancja, kołysząca Ogiera.

Isambora opadła na stołek o skrzyżowanych nogach.

– Przez osiemnaście lat dzieliliśmy ze sobą wszystko. Wszystko. Troski i radości – wymamrotała ochryple. – W sumie osiemnaście szczęśliwych lat... Myślisz, że można o nich zapomnieć? Sądzisz, że wspomnienie o nich daje mi choć chwilę spokoju? Och, ty, która przyjęłaś nas u siebie u zarania tych szczęśliwych czasów, powinnaś lepiej niż ktokolwiek zrozumieć, co czuję!

Stojąc przed przyjaciółką, Albrea położyła ręce na jej ramionach okrytych purpurowym welonem, którym owinięta była jej pochylona głowa.

– Zrozumieć to nie zawsze znaczy lamentować razem z tymi, których cierpienia się domyślamy – rzekła energicznie, lecz zarazem z niezwykłą łagodnością. – Przyjaźń, jaką cię darzę, powinna ci pomóc odegnać zgryzotę, a nie coraz bardziej się w niej pogrążyć.

Mocniej ścisnęła znużone ramiona.

– Będę cię wspierać w walce, jaką musisz toczyć sama z sobą, moja droga, z innymi, lecz przede wszystkim z obeszwanym smutkiem. Wiesz, że jestem ci całkowicie oddana. Ale pomoc, jaką ci ofiaruję, wyklucza pobłażliwość, rozczulanie się. Pragnę posłużyć ci za tarczę ochronną, nie pozwolić popaść w abnegację, bo to jedna z najbardziej zgubnych pokus.

Pochyliła się, dotknęła wargami jej czoła u nasady włosów, tam gdzie rozdzielał je przedziałek.

– Jeśli zechcesz, będę dla ciebie jak matka – zakończyła. – Ale matka twarda jak kamień, a nie miękka jak wosk. Najbardziej potrzeba ci stanowczości.

– Niech cię Bóg pobłogosławi, Albreo – powiedziała Isambora. – Ktoś musiał wziąć mnie za rękę, abym kroczyła prosto drogą, na której sama mogłabym się zagubić. To taka urwista ścieżka!

– Odwagi, przyjaciółko! – kontynuowała mincerzowa. – Dowiodłaś już w przeszłości, że potrafisz być dzielna. Wiem, że odejście Bernolda jest dla ciebie najcięższą z prób. Odkąd się o tym dowiedziałam od Aweliny, nieustannie prosiłam Boga, aby przyszedł ci z pomocą. Ale Wszchemogący najchętniej wspiera tych, którzy nie poddają się zniechęceniu. Walcz! Nie trać ducha! Nie daj się pokonać przeciwnościom!

Isambora zdobyła się na blady uśmiech.

– Przemawiasz do mnie, jakbym była rycerzem ruszającym do szturmów – zauważyła. – Niestety, nie mam w sobie nic ze śmiałka...

– Mylisz się, moja miła! – zaoponowała Albrea. – W czyjej obronie staję rycerz? Wdowy i sieroty. Zostałaś bez męża, twoje dzieci nie mają już ojca! Walcząc o ich dobro, o swoje dobro, robisz to samo co paladyn!

– Nawet jeśli nie potrafię przezwyciężyć smutku – stwierdziła Isambora, prostując się – to jednak jestem zdecydowana wychować najlepiej, jak umiem, pięć niewinnych istot, które Bernold porzucił. Nie dopuszczę do tego, by z kolei one padły ofiarą jego szaleństwa. Będę pracować dla nich. Postaram się znów stworzyć im prawdziwy dom.

– Widzisz, że drzemią w tobie niespożyte siły! Miłość matczyzna doda ci energii... Wierz mi, Isamboro, tracąc mężczyznę, nie straciłaś jeszcze wszystkiego!

Albrea siadła obok przyjaciółki.

– Nie będzie to dla ciebie nowina, jeśli ci powiem, że mój mąż często mnie zdradzał – szepnęła, wpatrując się z goryczą w swoje chude dłonie, na których grzbiecie zaczynały się pokazywać ciemne plamy. – Wygląda jak uosobienie łagodności, ale pod nią kryje się nieumiarkowany pociąg do dziewczek ulicznych... Okropnie cierpiałam, gdy to zauważyłam. Z czasem do tego przywykłam. Jestem niemal wdzięczna Garinowi, że dba o zachowanie pozorów...

– Już go nie kochasz?

– Czy ja wiem? Kochać, nie kochać... granica między naszymi uczuciami wydaje mi się dość płynna... Jestem do niego przywiązana... mamy wspólne wspomnienia. Kiedyś mnie uwielbiał... Gdy zdarzały się nieszczęścia, nigdy nie odmówił mi pomocy.

Teraz Isambora przypatrywała się Albrei ze współczuciem.

– Życ u boku człowieka dwulicowego i targanego złymi żądzami byłoby, jak sądzę, ponad moje siły – rzekła, potrząsając głową.

– Gdyby Bernold kiedyś do ciebie wrócił, choćby po latach rozłąki, czy zamknęłabyś przed nim drzwi?

– Często o tym myślę... Jeśli mam być całkiem szczerą, nie wiem, co bym zrobiła...

– Oczywiście. Nic nie jest proste...

Obie przyjaciółki przez chwilę milczały.

Powrót dzieci, ich bieranina, paplanina położyły kres intymnemu spotkaniu, podczas którego Isambora poczuła, że staje się bliższa Albrei niż kiedykolwiek.

– Zajmijmy się tym, co najpilniejsze – rzekła żona mincerza, wstając. – Zaprowadzę cię teraz do nowego mieszkania, które zwiedziła już cała ta gromadka. Od dzisiaj zaczyna się nowe życie.

U tej kobiety, która okazała się stanowcza, lecz nie obcesowa, kochająca, lecz nie pobłażliwa, Isambora znajdowała odtąd tak bardzo potrzebne jej wsparcie.

Najpierw Albrea wygospodarowała u siebie przytulisko dla przyjaciółki i jej pięciorga dzieci.

Złożony z sali wraz z przylegającą do niej kuchnią na parterze, dwóch pokoi na piętrze, budynek, który im odstąpiła Albrea, był połączony z jej własnym domostwem krytym pasażem o konstrukcji szachulcowej. Za obiema budowlami rozciągał się park miejski, wąski i gęsto porośnięty krzewami. Od frontu znajdował się dziedziniec okolony warsztatami mennicznymi, w których cały dzień rozbrzmiewał stukot młotków, a także stajniami i magazynami.

Urządzona z prostotą, lecz gustownie, wielka sala, gdzie zbierała się rodzina, podobnie jak pokoje była wypełniona solidnymi sprzętami z woskowanego dębu i grubymi tkaninami zawieszonymi na ścianach, aby utrzymać ciepło. Podłogę codziennie przysypywano świeżym zielem.

Bukiety kwiatów lub liści stojące w kamionkowych lub miedzianych dzbanach rozświetlały ciemne drewno.

Oprócz rzeczy osobistych, swoich i dzieci, Isambora przywiozła skóry baranie

i bobrowe, poduszki, podbijane futrem kapy na łożka.

Bez krztyny radości, lecz z determinacją starała się urządzić gniazdko jak najwygodniej, aby jej bliscy odnaleźli w nim utracone rodzinne ciepło.

Młoda służąca, córka kucharza Albrei, pulchniutka, bardzo sprytna, o imieniu Batylda, dołączyła do Sancji, która sprzątała mieszkanie i opiekowała się dziećmi, gdy ich matka była nieobecna.

Gresja zajęła się edukacją Filipy i Albina, którym rankiem udzielała lekcji czytania, pisania, religii, rysunku, muzyki. Po południu to ona zdobywała wiedzę u nauczycieli wybranych przez Albreę.

Dzięki wstawiennictwu Aweliny, która kierowała pracownią na zamku, Isambora mogła zająć miejsce jednej z hafciarek, zmarłej w położu.

Hrabina była świadkiem na ich ślubie, później nadała im ziemię, aby mieli się gdzie osiedlić, toteż nie przestawała się interesować Bernoldem i Isamborą. Rozsierzona wybrykiem mistrza szklarskiego, skorzystała z nadarzającej się okazji, by służyć pomocą porzuconej małżonce Normandczyka. Natychmiast zatrudniła Isamborę na próbę.

Z pewną ostentacją, lecz jednocześnie z wielkim zapałem Awelina uznała się za mentorkę kuzynki, wdrażając ją ponownie do rzemiosła, którego się kiedyś razem wyuczyły i w którym ona sama celowała.

Między córką podwasala, skłonną wszystkim dyrygować, lecz niezłomnie darzącą ją uczuciem, i Albreą, delikatniejszą, bardziej dyskretną, tak samo pragnącą wyciągnąć ją z otchłani, wygnanka rozpoczęła nowy etap swojej egzystencji.

Niegdyś już mieszkała w Blois. Tyle że w pierwszych miesiącach ich pełnego namiętności życia małżeńskiego, gdy patrzyła w Bernolda jak w tęczę, nie miała zbyt często okazji oglądać hrabiowskiego dworu.

Odtąd będzie przebywać tam całymi dniami, odkrywać świat całkiem inny niż ten, do którego była przyzwyczajona.

Jeśli Stefan, hrabia Blois, Chartres i Meaux, dziedzic jednego z najpotężniejszych rodów senioralnych owej epoki, był przez wszystkich uznawany za nadzwyczaj możnego pana, jednego z najbogatszych ludzi, jakich znano, to jednak bezsprzecznie prym w hrabstwie wiodła hrabina Adela.

Z pewnością przyczyniał się do tego prestiż jej ojca, Wilhelma Zdobywcy, dzięki swoim dokonaniom obwołanego królem Anglii, jej matki, królowej Matyldy, której charakter i zalety każdy wychwalał pod niebiosa. Ale hrabina coraz bardziej ujawniała swą osobowość, odkąd jej małżonek w 1089 roku objął władzę po swoim ojcu Tybaldzie III.

Adela stanowiła główny przedmiot rozmów blezyjczyków. Isambora słyszała o niej przy każdej sposobności, zarówno w dzielnicy, gdy robiła zakupy, jak u swoich gospodarzy.

Powiadano, że stale utrzymując bliskie kontakty z księstwem Normandii, posiadającym instytucje bardziej rozwinięte niż w pozostałych regionach kraju, a także prężną administrację, hrabina, zainspirowana ich przykładem, założyła na dworze prawdziwą kancelarię. Wysocy urzędnicy i prawnicy pomagali hrabiostwu, ku zachwytowi poddanych, w sprawowaniu władzy, a przewoci, wicehrabiowie i inni lennicy

reprezentowali ich wobec ludności wiejskiej.

Tak więc Awelina, za przykładem swego otoczenia, nie mogła się nachwalić kasztelanowej. Tak naprawdę rozmawiało się z nią jedynie na dwa tematy: Majola i hrabiny. Gdy wyczerpał się jeden, podejmowała drugi.

Wraz z mężem mieszkała w obrębie zamkowych murów, na dolnym dziedzińcu, tam gdzie znajdowali schronienie również rycerze i klerkowie oraz rzemieślnicy, którzy mieli za zadanie wznosić, utrzymywać w porządku, dekorować liczne budynki twierdzy.

Był to zamknięty świat, gdzie wszyscy się znali, gdzie plotki i nowiny rozchodziły się lotem błyskawicy, gdzie jednak otaczano czcią Adelę z Normandii.

O hrabim wyrażano się oględnie. Ucieczka z Palestyny mocno nadszarpnęła jego reputację. Jeśli pozwalano sobie go krytykować jedynie w zawołanych słowach, to raczej przez szacunek dla jego małżonki niż przez wzgląd na niego.

– Jak możnawładca jego rangi mógł w decydującym momencie opuścić obóz żołnierzy Bożych, na których przywódcę go wybrano? – westchnęła Awelina. – Dla niewiasty pokroju naszej hrabiny taka zdrada musiała być strasznym przeżyciem.

Od czasu zamążpójścia córka podwasała, która utrzymywała bliskie kontakty z byłymi dworami, bardzo się zmieniła. Rozwinęła się psychicznie i fizycznie, zarazem łagodniejąc. Starła się dostosować do zwyczajów panujących w hrabiowskim mieście, jak również do sposobu bycia Majola. Zakochana po uszy w mężu, oddawała się namiętności z całą gwałtownością swego nieugiętego serca, któremu obce były zarówno umiar, jak obłuda.

– Kiedy po raz pierwszy pocałował mnie w usta, zemdlałam – zwierzyła się kuzynce z triumfującą miną. – Nie przestanę sobie wieszować, że przez te długie lata nie chciałam się związać z nikim innym... Szkoda tylko, że zmarnowałam mnóstwo czasu!

Pogłaskała swój brzuch, który zaczynał się zaokrąglać, po czym stwierdziła:

– Chwała Bogu, nadrabiamy, jak możemy, to spóźnienie! Mogę cię zapewnić, moja gołąbko, że maleństwo, które noszę w sobie, jest naprawdę dzieckiem miłości!

Spostrzegając, mimo braku wycucia, że ten temat to dla Isambory istna tortura, szybko zaczęła znów wychwalać hrabinę Adelę.

Tak minął pierwszy tydzień urzędowania się Isambory w Blois. Był to okres, w którym zapoznawała się ze sposobem bycia, modą, praktykami zupełnie odmiennymi od obowiązujących w Grand Feu.

Pomimo przyjaźni Albrei, uczucia Aweliny, obecności pięciorga z dziećmi u jej boku wygnanka często czuła się straszliwie ogołocona ze wszystkiego, co do tej pory składało się na jej życie.

Dodatkowo martwiło ją zachowanie Gresji. Zamiast zamieszkać z rodziną, dziewczynka wolała zostać u Albrei, która udostępniła jej pokój zwolniony przez Helwizę. Pod pretekstem ciasnoty, w jakiej żyli jej bliscy, chodziła do nich tylko po to, by zajmować się braćmi i siostrami, lecz robiła wszystko, by nigdy nie znaleźć się sam na sam z matką. O ile najwyraźniej dobrze się czuła w towarzystwie malców, o tyle skrzętnie unikała tej ostatniej.

„W gruncie rzeczy ona zachowuje się tutaj tak samo jak u nas – powtarzała sobie Isambora. – Trudniej mi tolerować jej maniery, bo żyję w tym mieście jak cudzoziemka,



brakuje mi przestrzeni, a odejście Bernolda zrobiło ze mnie cierpiętnicę!”.

Niekiedy wieczorem, gdy dzieci i służba już poszły spać, przeżywała chwile bezbrzeżnej rozpacz.

Albrea zaproponowała, aby Isambora spędzała u niej każdy wieczór, lecz jak mogła uczestniczyć w przyjęciach, na które małżonka mincerza często zapraszała dużo ludzi? Isambora wolała zostawać sama. Myśl o konwersacji, którą trzeba podtrzymywać, różnych towarzyskich gierkach wydawała jej się nieznośna. Gorzej znosiła te gromadne rozrywki niż smutek w samotności.

Siedząc pod drzwiami otwartymi na ogród, stopniowo pograżający się w jesiennym mroku, odkładała kądziel na kolana, by wciąż rozpamiętywać utracone szczęście, wspominać minione przyjemności, płakać nad swoją dolą. Wyjałowienie duszy nadal nie pozwalało jej uciec się do modlitwy, przez co cierpiała niczym pielgrzymi zagubieni na pustyni, którzy umierają z pragnienia, marząc o świeżej wodzie...

Nie dość, że przygnieciona tyłoma troskami, to jeszcze czuła się podle, całkiem wykorzeniona, z dala od miejsc, gdzie zawsze mieszkała. Jej dom, jej posiadłość, dolina Loiru, gdzie każde echo, każda ścieżka, każde odbicie nieba w nurcie rzeki były czymś znajomym, ten bezpieczny zakątek ziemi jakże wydawał się jej niedostępny!

Z dużego domu, gdzie dobrze się bawili goście Albrei, dobiegały śmiechy, śpiew, gadanina... Isamborze wydawało się, że wykpiwano tam jej zgryzotę.

Mincerzowa podejrzewała, że tak się sprawy mają, co wzbudziło jej niepokój. Po kilku dniach postanowiła wyciągnąć przyjaciółkę z samotni, pokazać nowe oblicze Blois.

– Zabieram cię ze sobą – rzekła do niej pewnego popołudnia. – Przespacerujemy się po mieście.

Wyszły. Towarzyszył im jedynie służący.

Miasto ulegało nieustannym przemianom. Z udziałem mieszkańców, zwolnionych w tym celu przez hrabiego i hrabinę z niektórych świadczeń, budowano pod fachowym kierownictwem Majola kamienne wały, zastępując nimi dawne drewniane fortyfikacje.

Murarze, których ręce chroniły przed oparzeniami wapnem grube, skórzane rękawice, wydawali polecenia robotnikom pracującym razem ze zwykłymi ludźmi. Tynkarze na gołej ziemi rozrabiali gips albo zaprawę. Gdzie indziej ich pomocnicy wypełniali szczeliny między rzędami kamieni mieszanką żwiru, włókna lnianego i cementu. Inni czeladnicy, zawieszani na rusztowaniach z desek, wciągali na nie za pomocą koła pasowego ładunki cegieł. Na szczycie niemal już ukończonej wieży dwaj mężczyźni chodzili wewnątrz wielkiego drewnianego koła, na które nakręcał się sznur służący do podnoszenia ciężkich, uprzednio ociosanych bloków, przeznaczonych na blanki.

– Bernold słusznie twierdził, że gdy zjawią się tu Normandczycy, wstrząsną egzystencją tego kraju – rzekła Isambora.

– Na pewno hrabina Adela, jadąc tutaj, miała szeroko zakrojone plany, wzięta ze sobą ludzi zdolnych je zrealizować i wykazała tyle uporów, że zdołała przekonać małżonka do swoich zamierzeń – przyznała Albrea.

Wewnątrz miasta domy z gliny ubitej lub zmieszanej z siewką zastępowały dawne drewniane chaty, wyrastały pośród kościołów, kaplic, świeżo ukończonych klasztorów

o bielutkich murach.

Wąskie i strome uliczki wspinały się po urwistym zboczach od brzegów Loary w stronę zamku i zbiegały się na skalnym występie zwieńczonym warownią. Ściśnięte między rzeką a skałą domy wznosiły się piętrowo, jedno nad drugim. Ich dachy zachodziły na siebie niczym łuski szyszki.

Z trzech odrębnych grodów, które powstały z biegiem lat na brzegach rzeki, nowy mur uczynił jedną aglomerację. Bourg Saint-Jean na wschodzie, Bourg-Moyen pośrodku oraz Fiscus, dzielnica podlegająca królewskiemu urzędowi podatkowemu, złączyły się i połączyły. Poletka, domy, ogródki zawieszane na tarasach, ulice, budowle sakralne utworzyły spójną całość.

Niektóre dzielnice były jeszcze oazami spokoju, za to handlowe arterie roiły się od ludzi.

– Chodź, Isamboro, chodź. Przejdźmy ulicą kupców mosiężnych, ulicą złotników, ulicą sukienników i ulicą kowali! Świetny pomysł, żeby zgrupować rzemieślników, którzy wykonują taki sam zawód!

Przeciskały się przez tłum.

Wozy wypełnione kamieniami, belkami lub dachówkami, gospodynie domowe, muły objuczone cegłami, rycerze, za którymi podążali giermkowie głośnym krzykiem torujący sobie przejście, murarze popychający ciężkie taczki z piaskiem, żebracy, cieśle dźwigający na ramionach długie deski, mnisi z opuszczonymi kapturami, medycy na grzbietach mulic, klerkowie żartownisie, sprzedawcy wody, sałaty i drobiu lawirowali między ladami ustawionymi w otwartych oknach sklepików.

Na domiar wszystkiego drogę z ubitej ziemi tarasowały świny węszące za odpadkami i psy wyrrywające im z pysków zdobycze.

– W czasie deszczu – rzekła Albrea – woda spływa po zboczach, zmywając ulice, ale kiedy jest sucho, kurz staje się dokuczliwy.

Początek września owego roku był jeszcze całkiem ciepły. Zapachy zaprawy murarskiej, łajna, trocin, winne opary, woń czosnku i cebuli mieszały się z odorem wydzielanym przez ścieki płynące pod kładkami z desek przerzuconymi nad ulicą, aby można było przeskoczyć rynsztok.

– Czy wiesz – zapytała Albrea, która trzymała Isamborę pod ramię – że garbarze i folusznicy ulokowali się u zbiegu Loary z rzeczką zwaną Arrou? Do filcowania sukna, nie uwierzysz, folusznicy używają uryny zbieranej przez specjalnie do tego celu wyznaczonych posłańców! Ale to rzemiosło, podobnie jak garbarstwo, rozsiewa przykre zapachy! Dlatego ktoś wpadł na pomysł, by nieszczęśnikom uprawiającym oba te zawody wyznaczyć kwartał najbardziej wystawiony na zachodni wiatr!

Roześmiała się. Isambora starała się udawać, że ją to bawi.

Mijały bramy, zza których dobiegały śpiewy liturgiczne, i domostwa, skąd słychać było wrzaski.

W ciasnych kramikach, w których ramię przy ramieniu pracowali mistrzowie i uczniowie, piętrzyły się, zależnie od branży, przyprawy korzenne, rozmaite wiktuały, tkaniny, wyroby garncarskie, przedmioty z wytłaczanej skóry, drewniane lub cynowe talerze, srebrne lub złote klejnoty, żelazne narzędzia, zwinięte w rulon lub zszyte ze sobą

pergaminy, siodła, uprząże...

– Na wszystkich świętych, ileż pokus w takim mieście jak to! – zauważyła Isambora. – W naszych wioskach niczego takiego nie uświadczysz!

Od czasu gdy osiadła we Fréteval, zapomniała o ożywieniu i bogactwie dużych miast.

– Jeśli przyjeżdżaliśmy do Blois, to zawsze z okazji jakiegoś święta albo jarmarku – ciągnęła. – W końcu przyszło mi do głowy, że tylko od wielkiego dzwonu można zobaczyć takie stosy towarów!

W rzeczywistości nie pragnęła żadnej z tych rzeczy, przyciągających wzrok przechodniów. Tęskniła za spokojem panującym w dolinie Loiru.

Zmęczone, oszołomione rwetesem przyjaciółki wróciły do Albrei pod wieczór. Z ulgą powitały świeżość i ciszę domowych pieleszy.

Aby ugasić pragnienie, poprosiły, by podano im w sali mleko migdałowe i miód pitny.

Zachodzące słońce zapalało migotliwe blaski w dzbankach, miedzianych rondlach, talerzach, srebrnych pucharach, stojących na skrzyniach i kufrach, rzucało promień na jakąś tapiserię, inną pozostawiało w cieniu...

– Szczęść Boże wam obu! – rozległ się nagle męski głos.

– Przychodzisz w samą porę, mój drogi! – powiedziała Albrea. – Napijesz się z nami miodu?

Mistrz Garin Mincerz usiadł koło żony. Uśmiechał się dobronudnie, ale swoim zwyczajem brązowymi oczami bacznie obserwował, co się dzieje.

Średniego wzrostu, barczysty, z obwisłym nosem, sennym wyglądem, zmieniającym się tylko wtedy, gdy unosił grube powieki, aby rzucić szybkie spojrzenie na to, co go otaczało, mincerz był tajemniczym osobnikiem, o którym Isambora nie wiedziała, co myśleć.

Rzadko go spotykała, bo całymi dniami przesiadywał w swoim warsztacie, wśród sztabek srebra, które pod jego nadzorem przekształcały się w obole, denary, solidy i liwry.

– Poszwendaliśmy się po mieście – wyjaśniła Albrea. – Tłok był straszny.

– Im więcej ludzi, tym lepiej idą interesy i tym więcej sprzedaje się towarów – odparł mincerz. – Na króla Salomona, jeśli Blois będzie się rozwijać, skorzystamy na tym wszyscy.

Powoli wysączył z kielicha trunek, delektując się nim.

– Pewien znajomy pątnik, który wraca z Jerozolimy – podjął po chwili – przekazał mi nowiny od naszej córki.

– Na rany Chrystusa, co on ci powiedział, mój drogi? – wykrzyknęła Albrea, tak gwałtownie odstawiając puchar, który trzymała w dłoni, że trochę płynu trysnęło na podłogę.

– Helwiza miewa się dobrze. Przesyła nam serdeczności i zapewnia, że w Świętym Mieście odnalazła spokój. Prosi też, byśmy się o nią nie martwili.

To było w stylu tego człowieka – całkiem beznamytnie przekazać wiadomość tak istotną dla jego żony, co sobie doskonale uświadamiał.

– Nic więcej nie wiadomo?

– Pielgrzym rozmawiał z nią krótko. Spotkali się u wdowy po rycerzu frankońskim, który otworzył w Jerozolimie przytułek dla samotnych, niezamożnych dziewcząt.

– Zamierza kiedyś wrócić?

– Za dużo ode mnie wymagasz! Helwiza nie знаła dobrze tego pielgrzyma. Zamieniła z nim ledwo parę słów.

Mincerz odstawił kielich i wstał.

– Przygotuję się do kolacji – rzekł. – Wkrótce się zobaczymy.

Wyszedł ciężkim krokiem.

– Widzisz, Isamboro – westchnęła Albrea. – Garin o niczym mi nie mówi! Żyjemy obok siebie, ale prawie niczego nie robimy wspólnie. On ma swoje życie, ja swoje... Od czasu do czasu się spotykamy...

Isambora rozumiała gorycz przyjaciółki, ale pomyślała, że lepsze jest takie rozluźnienie więzi małżeńskich niż nieobecność męża...

Nazajutrz rano po codziennej mszy, której wszyscy domownicy wysłuchali w kaplicy sąsiedniego szpitala, młoda kobieta udała się do Aweliny, aby ta zaprowadziła ją do szwalni, gdzie miała rozpocząć pracę.

Chociaż wewnętrznie rozdarta, Isambora musiała zostawić dzieci, a zwłaszcza małego Ogiera, który z coraz większą ciekawością odkrywał swoje otoczenie. Nie będzie mogła w ciągu dnia karmić piersią najmłodszego potomka. Sancja będzie go poić kozim mlekiem z kamionkowego garnuszka zaopatrzonego w dzióbek obciążony kawałkiem cienkiego płótna, przez które łatwo się sączy ciepły napój. Czy będzie to równie korzystne dla dziecka jak matczyne pierś, którą będzie mogło ssać tylko rano i wieczorem? Isambora zastanawiała się nad tym z niepokojem, zmierzając do twierdzy.

Mieszkanie Aweliny i Majola stanowiła jedna duża izba usytuowana na pierwszym piętrze wspólnotowego domu, w którym ulokowali się mistrzowie najważniejszych rzemiosł budowlanych, wezwani na zamek przez hrabinę Adelę. Na dolnym dziedzińcu twierdzy znajdowało się wiele pomieszczeń w podobnym stylu.

Punktem centralnym komnaty, przystrojonej haftowanymi przez Awelinę tkaninami, zagraconej ciężkimi dębowymi meblami, było obszerne łóżko, o które właścicielka szczególnie dbała. Liczne poduszki, wełniane kołdry podbite futrem jagnięcym i pikowana, suto obszyta lamówką kapa ozdabiały małżeńskie posłanie, które obramowywały ciężka skrzynia na bieliznę i poziomy drąg zamocowany w ścianie do wieszania ubrań.

Gdy Isambora weszła, Awelina, w kucki przy kamiennym kominku ze stożkowym okapem zajmującym jeden z rogów sali, właśnie kończyła zasypywać popiołem palenisko, w którym żarzyły się zwęglone szczapy.

– Jestem gotowa, gołębeczko – rzekła. – Ogień będzie się tlił pod popiołem, dopóki nie wrócimy, ja albo Majol. Kto z nas wróci pierwszy, znów go rozpali.

Niezwykle oszczędna córka podwasała nie zatrudniła służącej. Kobieta przydzielona do posług w domu wspólnotowym sprzątała mieszkanko dwa lub trzy razy w tygodniu.

Obie kuzynki wyszły, trzymając się pod ramię, aby udać się do szwalni, gdzie od tej pory będą pracować razem.

Usytuowany na górnym dziedzińcu długi budynek przeznaczony dla krojczyń płótna, lnu, wełny i jedwabiu, był podzielony na parę pracowni służących do przędzenia, tkania, szycia i haftowania.

Zanim dotarła na pierwsze piętro, gdzie ich oczekiwano, Isambora, podążająca za swoją mentorką, przeszła przez parter, salę krawcowych, w której około dziesięciu uczennic wraz z nauczycielką kroilo, dopasowywało, szyło ubrania dla hrabiego, hrabiny oraz ich pięciu synów i dwóch córek.

Zaskoczyła ją jakość i różnorodność materiałów, ich żywe barwy: zielona, biała, fioletowa, czerwona, żółta, stopy galonów, złotych lamówek, jedwabnych sznurków, haftowanych ozdób, które na nie naszywano.

– Hrabina Adela przywiązuje wielką wagę do odzienia każdego z członków rodziny – zauważyła Awelina. – Powinni całemu dworowi dawać przykład dobrego gustu i wyrafinowania.

Wszyscy w hrabstwie wiedzieli, że odkąd Adela z Normandii zawarła małżeństwo ze Stefanem z Blois, starała się, by ludzie brali ją za wzór, jeśli chcieli ogłodzić dawne obyczaje, które ona uważała za zbyt prostackie.

Przez jedenaście lat sprawowania władzy udało jej się osiągnąć całkiem niezły rezultat. Zmiana sposobu bycia blezyjczyków szczególnie uderzyła Isamborę, która, żyjąc we Fréteval, nie śledziła ewolucji dokonującej się zbyt daleko, by mogła ją interesować.

W pracowni, do której wreszcie weszła, siedem hafciarek akurat zajmowało swoje zwykłe miejsca.

Awelina jedną po drugiej przedstawiła je kuzynce. Wbrew temu, co ta ostatnia sobie wyobrażała, nie wszystkie czeladniczki były pierwszej młodości. Miały od piętnastu do pięćdziesięciu lat.

Wysoka, o bujnych kształtach, których krągłości nie dawało się ukryć pod zielonym kaftanem, promieniejąca nowym szczęściem, z jasnymi oczami, wysoko podniesioną głową, Awelina nabierała nagle pośród swych współtowarzyszek niezwyklej powagi. Mówiła władcym tonem, czuwała nad wszystkim, doradzała, oceniała, strofowała.

– To twoje miejsce, kuzynko – rzekła do Isambory. – Posadziłam cię koło siebie.

Utrzymywała się ładna pogoda i dlatego otwarto na oścież trzy wąskie okna dużej sali wychodzące na porośniętą trawą część górnego dziedzińca oraz na tyły pałacu, który sąsiadował z donżonem.

Isambora rozejrzała się wokół.

Przysunięty do jednej ze ścian ciężki stół zaścielały wszelkiego rodzaju przedmioty: motowidło, na które było nakręcone pasmo białego lnu, różnej wielkości tamborki do haftowania, motki przędzy jedwabnej przetykanej złotem, jaśniejące blaskiem z niedbale związanych płóciennych woreczków, w których je przechowywano, szpulki w najrozmaitszych odcieniach, wrzeczona z przeciągniętymi przez nie złotymi i srebrnymi nitkami, wygładzone skóry baranie, służące do rysowania motywów nanoszonych później na tkaninę, płótno do wykrojów, kanwa, kordonki, sutasze, tasiemki...

Na drewnianej drabinie wisiały młoteczki, haczyki, dłuta, bukszpanowe łopatki do

modelowania nici, nożyce różnych rozmiarów, przebijaki, czółenka i wiele innych narzędzi niezbędnych hafciarkom.

Środek sali zajmowało krosno z kasztanowego drewna.

Czeladniczki siedziały na dębowych stołkach wyściełanych włosiem.

– Proszę, Isamboro, to twój koszyk. Są w nim wszystkie przybory, których będziesz potrzebowała.

Awelina wręczyła kuzynce wiklinowy koszyczek, zawierający paluch z kości słoniowej, dwa napastrki, długie, bardzo cienkie igły, brązowe i żelazne, ostro zakończone nożyczki, kulkę wosku, szczypcę.

– Zapewniam cię, moja droga – ciągnęła córka podwasala – że nawet jeśli odrobinę wyszłaś z wprawy od czasu, gdy razem pracowałyśmy, to nic nie szkodzi. Wystarczy kilka dni, a odzyskasz zręczność w palcach!

Siedząca po lewej stronie Isambory kobieta około czterdziestki, o rumianej cerze, wydatnych ustach i potężnym biuście, parokrotnie pokiwała głową na znak aprobaty.

– Podobnie jak z miłością – stwierdziła, oblizując się lubieżnie. – Na Boga, gdy już raz spróbujesz, nigdy tego nie zapomnisz!

Zaśmiała się, podnosząc do ust dłoń, w której trzymała złotą nitkę, gotową do nawleczenia.

– Zechciej zamilknąć, Oduardo Paplo! – obruszyła się mniej więcej dwudziestoletnia dziewczyna, której rude warkocze opadały do ziemi po obu stronach stołka. – Czy godzi się wygłaszać takie uwagi przy nowicjusze?

Jej pyzata, upstrzona piegami buzia wyglądała tak, jakby ktoś posypał ją otrębami.

– Masz rację, Gileto! – poparła ją trzecia hafciarka, mniej więcej w wieku Isambory. – Jeśli chcemy brać przykład z hrabiny Adeli, musimy się nauczyć trzymać język za zębami. Nieprzystojne gadki i złe maniery idą ze sobą w parze.

Była to zadbana blondynka w świeżo wyprasowanym kaftanie, o wyrazistych rysach i o włosach zaplecionych w warkocze, bez jednego kosmyka, który by się wysliznął, w śnieżnobiałym welonie na głowie.

– Och, Beatrix – rzuciła pierwsza z nich, która się odezwała – nie masz chyba za dużo wspomnień miłosnych... Jesteś taka cnotliwa!

– Spokój! – zawołała Awelina. – Te pogaduszki są niestosowne. Na początek dam Isamborze brzeg do obrębenia. Wprawi się, podkreślając ściegiem za igłą kontury wyrysowanych motywów. Dalej! Do roboty!

Hafciarki umilkły i zaczęły pracować, po czym Gileta, która zdawała się darzyć hrabinę Adelę bezgranicznym podziwem, poczuła się w obowiązku opisać Isamborze, w jaki sposób ta kobieta o nieskazitelnym guście umeblowała i udekorowała sale zamkowe.

– Wszystko to prawda – podjęła Awelina po dłuższej chwili – ale największe wrażenie robi jej własna komnata.

– Mówcie, co chcecie! – wykrzyknęła Oduarda Papla. – Na świętych Pańskich, nie ma nic piękniejszego pod słońcem!

Dyskusja o komnacie Adeli roznamiętniła wszystkie czeladniczki. Każda z nich chciała dorzucić jakiś szczegół.

– Na dwóch ścianach – powiedziała Beatrix – wiszą tkaniny wyhaftowane w naszej szwalni, przedstawiające stworzenie świata, ziemski raj, potop i inne fragmenty Starego Testamentu. Spędziłyśmy nad tym parę lat. Szczegóły zostały odtworzone z taką precyzją, że trudno to sobie wyobrazić.

Teraz do rozmowy wtrąciła się pięćdziesięcioletnia niewiasta, chuda jak wiór, o siwych, przerzedzonych włosach, które pod wiśniowym welonem były splecione w dwa cieniutkie warkoczyki. Ze swym wydłużonym i wąskim obliczem, obwisłą dolną szczęką, beczącym głosem przypominała kozę. To podobieństwo podkreślały jeszcze na jej nieurodziwej twarzy złotawe, błyszczące, wypukłe oczy.

– Na trzeciej ścianie – rzekła, nie przestając haftować – można podziwiać inne z naszych dzieł, przedstawiające scenki z życia rzekomo kiedyś istniejących pogańskich bóstw...

– Chodzi o greckich bogów – przerwała jej Awelina z porozumiewawczym uśmiechem. – Powiedział mi to wielbny Renald, kapelan naszej hrabiny. Myślałam, że o tym wiesz, Eremburgo.

– Na suficie – ciągnęła tamta, nie dając się zbić z tropu – są namalowane znaki zodiaku okolone gwiazdami. Po prostu cudęńko!

– Posadzka jest wyłożona marmurowymi płytami, na których widać kwiaty, baśniowe albo zwykłe domowe zwierzęta i górskie krajobrazy – recytowała jednym tchem Gileta, której ogorzała twarz promieniała entuzjazmem.

– Na honor, nie można zapomnieć o słynnym łożu jaśnie państwa – podjęła Awelina, która starała się kierować rozmową. – Jest z rzeźbionego drewna, z nóżkami z kości słoniowej, najpiękniejszymi na świecie. U wezłowania są zaprezentowane sztuki wyzwolone, a nasza hrabina sama ułożyła mądre maksymy, które wyryto wokoło... Dopóki tego nie zobaczysz, nie możesz, gołąbeczko, wyobrazić sobie, w jaki zachwyty się wpada, wchodząc do tej jedynej w swoim rodzaju komnaty.

– Będzie szczytem doskonałości, gdy ukończymy tkaninę, nad którą teraz pracujemy – orzekła drobna, szczupła brunetka, która do tej pory nie powiedziała ani słowa.

– I dlatego, Mahauto, słusznie robisz, szyjąc, a nie gadając – przytaknęła Eremburga. – Nie mamy czasu do stracenia!

Od Aweliny Isambora wiedziała, jak ważna jest przedsięwzięta praca.

Pragnąc, by wśród tylu wspaniałości nie zabrakło dowodu czci oddawanej przez córkę ojcu, hrabina zleciła hafciarkom wykonanie nowego dzieła, do którego przywiązywała wielką wagę: baldachim przedstawiającego na niezwykle delikatnym płótnie etapy podboju Anglii przez Wilhelma Zdobywcę, jej znakomitego rodzica. Tkanina miała się odznaczać najwyższą finezją. Toteż nie szczędzono środków, aby z tej roboty hafciarskiej uczynić dzieło sztuki.

– I pomyśleć, kuzynko – podjęła córka podwasala – pomyśleć, że tylko nitki złote, srebrne lub z najczystszej jedwabiu uznano za odpowiednie do odtworzenia głównych wydarzeń tej wielkiej epopei! Czasem nawet doszywa się tu i ówdzie perły i kamienie szlachetne.

– Podobno chodzi o to, by uzyskać replikę, tylko jeszcze bardziej wytworną,

słynnej tkaniny kościelnej, wystawianej co roku przez dwa tygodnie w katedrze w Bayeux – wyjaśniła Beatrix pochylona nad tamborkiem, którego używała do naciągnięcia cienkiego materiału wyszywanego przez nią w kwiaty. – Pojmujesz chyba, jaka ciąży na nas odpowiedzialność! Musimy wykazać się największą starannością, dokładnością, skrupulatnością, jeśli nie chcemy zawieść hrabiny.

Isambora powiedziała sobie, że uwielbienie, jakim hafciarki otaczają Adelę, nobilituje ich pracę. Głębokie przekonanie, że służą tak wyjątkowej osobie, skłaniało każdą z nich do prześcigania samej siebie. Zapał okazywany przez Awelinę był jedynie odbiciem czci, jaką większość czeladniczek żywiła dla swojej władczyni. Nie wszystkie jednak podzielały tę gorliwość. W kącie, milcząc, nie podnosząc nosa znad robótki, haftowały jedna obok drugiej bliźniaczki, z zawziętymi minami wymieniając między sobą zirytowane spojrzenia.

– A ja – spokojnie oznajmiła Isambora, której właśnie zerwała się pierwsza jedwabna nitka, powlekana szczerym złotem – jeszcze nie czuję się godna uczestniczyć w tworzeniu takiego arcydzieła! Nawet nie jestem pewna, czy kiedyś będę do tego zdolna!

– Nie można nigdy z góry zakładać przegranej! – wykrzyknęła kobieta o tłustej cerze, tak otyła, że trudno było określić jej wiek.

Usadowiona przy jednym z okien pracowała nad fragmentem baldachimu, długością odpowiadającym baraniej skórze, na której nadworny rysownik kreślił sceny do odtworzenia, przenoszone następnie na płótno.

Nagle drzwi pracowni się otworzyły. Wszedł mężczyzna około trzydziestki. Miał na sobie kaftan z niebieskiej serży, przepasany w talii szerokim skórzanym pasem. Przytroczone były do niego rylec i tabliczka woskowa.

– To Jehan, sekretarz naszej hrabiny – szepnęła Gileta. – Jeden z jej powierników. Nie rozstaje się z nim, podobnie jak ze swym kapelanem.

Następnie pojawiła się gromadka bogato odzianych osób, podążających za damą średniego wzrostu, o bladej cerze i jasnych oczach.

Hafciarki zrobiły taki ruch, jakby miały się poderwać ze stołków.

– Siedźcie, proszę! – zawołała Adela z Normandii. – Przecież wiecie, że nie chcę, byście wstawaly, gdy wchodzę. Na mą duszę, wyrzuciłabym sobie, gdybyście przeze mnie przeoczyły choćby jedną pętelkę!

Isambora zawsze z ciekawością przyglądała się tej kobiecie, swojej rówieśniczce, której egzystencja wydawała się, na podobieństwo zleczanych przez nią prac, utkana ze złota i jedwabiu.

Tego dnia na długiej tunice w kwiatki i różnokolorowe szlaczki nosiła bardzo dopasowany kaftan z marszczoną tkaniną, podkreślający jej szczupłą sylwetkę. Rozszerzane od łokci, haftowane srebrem rękawy opadały prawie do ziemi. Końcówki okręconego dwukrotnie wokół jej talii paska ze złotą lamówką sięgały miękkich ciżemek z mozaikowej skóry. Przezroczysty welon okrywał jej blond włosy splecione w warkocze, a czoło przepasywała opaska zdobiona cennymi kamieniami.

– No proszę, nasza Isambora wreszcie znalazła swoje miejsce – powiedziała hrabina, kierując się ku nowej pracownicy. – Miło cię powitać wśród kobiet w szwalni. Wiesz, jak bardzo jestem rada, że odtąd zaliczasz się do moich hafciarek.



– Oby dobry Bóg sprawił, żebym cię nie zawiodła, dostojna pani!

– Darzę cię zaufaniem. Zresztą Awelina nieustannie wychwala twoją zręczność...

Poza tym miałam już okazję, co prawda dawno temu, przekonać się o tym osobiście.

Na jej wargi wypłynął nieco przekorny uśmiech, który ją odmładzał, ale w spojrzeniu pojawiło się coś bezwzględne, jakaś dziwna, stłumiona podejrzliwość.

Isambora przypomniała sobie wszystko, co opowiadano o hrabim Stefanie, o tym, jakiego wstydu nałykała się małżonka po jego przyspieszonym powrocie z Ziemi Świętej.

Tak więc ta księżniczka, która pozornie wiodła życie usłane różami, również doznała upokorzeń i udręki z powodu haniebnego postępków męża!

Czy gdziekolwiek były jeszcze owoce nietoczone od środka przez robaki?

Osoby ze świty stały pod drzwiami, hrabina zaś podchodziła kolejno do czeladniczek, jedną chwając, innej zwracając uwagę, zawsze uzasadnioną.

Tymczasem sekretarz Jehan podszedł do Isambory.

– Na świętego Klarencjusza, patrona hafciarek, oto najwdzięczniejsza ze wszystkich mistrzyń igły, jakie kiedykolwiek spotkałem! – rzekł półgłosem, patrząc młodej kobiecie przez ramię. – Nie obawiasz się, pani, że popsujesz sobie oczy, ślęcząc nad takimi robótkami?

– Bardziej bym się bała, że moje dzieci umrą z głodu, jeśli nie zarobię na ich utrzymanie! – odparła Isambora, nie odrywając się od pracy.

– Doskonale rozumiem tego, kto je z tobą spłodził, pani, wcale jednak nie rozumiem, że pozwala, byś sama zaspokajała ich potrzeby.

Złota nitka po raz drugi zerwała się w palcach, które dopiero co nawlekły igłę.

– Nie bądź taka nerwowa, słodka pani – rzekł Jehan.

Roześmiał się. Był przystojny, pewny siebie. Doprowadzał Isamborę do rozpacz.

– Zostaw mnie w spokoju, panie, jeśli łaska – burknęła rozeźlona, przez nieuwagę zdrapując paznokciem złoto, które powlekało jedwabną nić.

– Jak sobie życzysz, ślicznotko – przytaknął, składając głęboki ukłon. – Ale musimy się znów zobaczyć.

Isambora wzruszyła ramionami.

– Nie widzę takiej konieczności.

Jaką grę uprawiał ten człowiek? Jak mógł sądzić, że da się w nią wciągnąć? Czy miała na to czas, ochotę, możliwości?

Hrabina skierowała się ku wyjściu. Podążyła za nią jej nieliczna świta.

– Jehan, idziesz?

– Do usług, pani!

Dołączył do gromadki, pozostawiając za sobą zapach piżma.

– No cóż! Nieźle jak na pierwszy dzień! – szepnęła Oduarda Papła swej sąsiadce.

– Usłyszałaś parę miłych słów od hrabiny i oczarowałaś jej sekretarza!

Isambora nie odpowiedziała. Starannie obszywała rąbek, który jej powierzono.

– Do licha, z tymi swoimi niebieskimi oczami i ciemnymi włosami Jehan jest urodziwym chłopcem! – podjęła Oduarda, której cera nagle jeszcze bardziej poczerwieniała, a wzrok rozblęsnął. – Gdyby tak do mnie smalił cholewki, nie umiałabym niczego odmówić temu piękniśowi!

– Zamilcz, pleciugo! – rozkazała Awelina. – Ten, kto gada na prawo i lewo, źle pracuje. Mamy coś ważniejszego do roboty, niż mędrkować.

Gdy hafciarki opuściły pracownię, słońce już zachodziło.

Isamborę bolały plecy, rwało ją w piersiach mimo szerokiej płóciennej opaski, którą ścisnęła biust, aby powstrzymać lub opóźnić napływ mleka. Jej ciało lekceważyło nowe warunki życia, miało własne nawyki; na swój sposób protestowało przeciw drylowi, któremu teraz było poddane.

– Dzień wydawał mi się bardzo długi – zwierzyła się kuzynce, przechodząc przez podwórze.

– Przyzwyczaisz się – zapewniła ją Awelina. – Przecież mamy ciekawą pracę, a hafciarki to poczciwe dziewczyny.

Awelina postanowiła odprowadzić Isamborę do domu, a potem wrócić do siebie.

Po drugiej stronie furty, przez którą mieszkańcy podzamecza mogli wchodzić i wychodzić, nie przekraczając pilnie strzeżonej głównej bramy, przed oczami obu młodych kobiet rozpostarł się widok ogromnej doliny Loary, nad którą powoli zapadał mrok.

Kaskada dachów, w których odbijały się krwawymi refleksami ostatnie promienie słońca, opadała aż do rzeki, nad którą wznosił się drewniany most.

Na przeciwległym brzegu lenno wyodrębnione z miasta, wyspa Vienne – pasmo ziemi wciśnięte między Loarę i jedną z jej martwych odnóg – niczym spowity mgłą okręt tonęła wraz ze swymi budynkami i kościołem w szarówce zacierającej wszystkie kontury.

Dalej rozległe łąki, pola uprawne, winnice, gdzieniegdzie wioski, wreszcie lasy ciągnęły się po ognisty horyzont. Rozpłomienione przestworza wyżej nabierały łagodniejszych odcieni, osiągając w końcu różowofiołkową barwę zimowitów.

Jednakże gnane jak stada czarnych owiec gęste chmury zasłaniały całe połączenie nieba. Ograniczona atramentowymi, popielatymi, cienistymi brzegami rzeka, która spokojnie toczyła sine wody, połyskiwała na całej długości krwistoczerwonym blaskiem.

Miejscami jej nurt był jakby zabarwiony purpurą, gdzie indziej już tonął w ciemnościach.

– Czy kto widział coś wspanialszego? – zapytała Awelina.

Oniemiałe z zachwytu kuzynki czuły się tak, jakby je oświeciła, natchnęła, uskrzydliła ta apoteoza.

– Muszę przyznać, że w porównaniu z takim przepychem nasz Loir wydaje się wąziutką rzeczką ściśniętą między wzgórzami – przyznała Isambora. – A jednak nie wybrzydzalabym na niego, nawet oglądając takie cudowności. Choć mniej imponujący, jest bardziej na moją miarę.

– Niewątpliwie, gołąbeczko, ty i ja, każda na swój sposób, przede wszystkim umiemy być wierne! – rzuciła Awelina, chwytając Isamborę pod ramię, by pomóc jej zejść do miasta.

## VIII

Isambora słuchała, jak deszcz uderza o dachówki i zwirowane alejki ogrodu.

Musiało być około północy. Wtulona w lewe ramię młodej niewiasty, grzejąc się w matczynym ciepłe, Doetta spała głębokim snem dzieci zmęczonych zabawą. Rude włoski i mlecznobiała skóra małej wydzielały nieco zwierzęcy zapaszek.

Odwróconą do ściany Filipę najwyraźniej męczyły senne koszmary. Wierciła się, chwilami mamrotała jakieś strzępki zdań.

W kołysce stojącej koło łóżka, w którym leżały matka i jej dwie córki, Ogier, myśląc, że ssie pierś, przez sen zawzięcie cmokał swój kciuk. Isambora słyszała miękki odgłos poruszających się z uporem warg niemowlęcia.

Niedaleko był też Albin, na swoim posłaniu w gabinecie przylegającym do głównej komnaty.

Sancja i Batyllda dzieliły drugą komnatę na piętrze.

Niegdyś świadomość, że czuwa nad pogrążonymi we śnie ufnymi bliskimi, napawała matkę rodziny niemałą satysfakcją. Lubiła czuć się odpowiedzialna za los każdego z domowników, baczyć, by wszystko szło jak w zegarku. W owym czasie z pewnością siebie wykonywała zadania, które jej nie przytłaczały.

Od tamtej pory pogodę ducha zastępował lęk. Jak zdoła wychować, wykształcić swoje pociechy? Jak kierować nimi w dzieciństwie, w wieku dorastania, dokonywania najważniejszych w życiu wyborów? Niekiedy Isamborę przeszywał dreszcz strachu. Mimo że teraz przyjęto ją ostatecznie w poczet hafciarek hrabiny Adeli, co zapewniało wikt jej i dzieciom, to czy będzie mogła zawsze mieszkać u mincerza, któremu nie płaciła czynszu? Sytuacja była niepewna, trochę upokarzająca... A co z Grand Feu? Utrzymanie budynków i ziemi w dobrym stanie było bardzo kosztowne...

Bez pomocy Bernolda codzienna egzystencja przynosiła same kłopoty, zmartwienia...

Bojąc się, że obudzi dzieci, Isambora ruszała się jak najmniej. Jednak zmęczona leżeniem w ciemności, rozpamiętywaniem wciąż tych samych trosk, niepokojów, czasem wstawała. Ostrożnie wysuwała się z łóżka, wkładała moltonową matinkę, narzucaną również po wyjściu z balii, w której się co rano myła. Podchodziła do okna i opierała się o nie łokciami.

Owego października zdarzały się jeszcze niezbyt chłodne noce. Isambora długo wdychała zapach pożółkłych liści, który dolatywał z małego ogródka. Jeśli nawet nie znajdowała w tym prawdziwego pokrzepienia, bo o czymkolwiek pomyślała, zalewała ją fala rozdzierających wspomnień, świeżość nocy obmywała niczym dobroczynna woda jej obolały umysł i pozwalała później zasnąć bez trudu.

Ale nękały ją nie tylko troski i zmartwienia... Coraz częściej coś innego przyprawiało ją o tortury.

Pozbawione od miesięcy miłosnych uścisków, jej ciało nie godziło się już na wyrzeczenie, które zadawało mu męki. Wygłodniałe, było jednym wielkim wołaniem, pożądaniem...

Czy w ramionach Adelizy Bernold przejmował się jeszcze osamotnioną kobietą,

którą beztrąsko porzucił? Czy choć odrobinę wyobrażał sobie udręki, jakie musiała znoić z jego powodu?

Isambora kaźdej nocy z rosnącym przekonaniem stwierdzała, że jeśli jej serce potrafi cierpieć z godnością, inaczej zachowuje się ciało, bez skrupułów domagające się zaspokojenia jego potrzeb.

„Boże Święty – jęczała – siedzi we mnie jakieś zwierzę w rui, upominające się o swoją należność! Sieje zamęt w moich myślach i napełnia złymi uczuciami... Kusi mnie do grzechu. Za nic ma sakrament, którym jestem związana... Okrutne dla tego, kto mnie zdradził, popycha mnie do zerwania naszego związku, do wyzwolenia się z więzów, które łączyły mnie z Bernoldem... W jego szponach nie potrafię już znaleźć usprawiedliwienia dla męża, przeklinam go, a nawet chwilami budzi on we mnie nienawiść!”

Nadal nie znajdowała w sobie dość entuzjazmu, by otworzyć przed Bogiem swą duszę, modlitwa nie przynosiła jej żadnej pociechy, toteż czuła, że prędzej czy później padnie ofiarą szatana. Była tak podatna na jego moc... Słaba, straszliwie słaba...

Raz jeszcze tej nocy płonąła z pożądania. Jakby ją ktoś przypalał ogniem, przewracała się z boku na bok, bez najmniejszej nadziei na ukojenie. Niezaspokojone zmysły niezmiernie ją udręczały. Ledwo wytrzymawała w rozgrzanym łóżku...

Odrzuciła prześcieradło, ale to wcale nie pomogło. Miała wrażenie, że trawi ją gorączka... Postanowiła wstać.

Żal do Bernolda potęgowało upokarzające uczucie wstydu, które ogarniało ją przez niego, jakby na jej własne życzenie.

Szybko wciągnęła dzienną koszulę zwiniętą pod poduszką i wyszła z sypialni.

Cichutko przemierzywszy salę, dotarła do ogrodu, w którym od paru godzin bez przerwy lało.

Na dworze uderzył w jej nozdrza zapach deszczu, zmoczonej ziemi, zwiędłych liści ścielących się pod drzewami. Została przeniesiona w sam środek płynnej materii, która swym monotonnym pluskaniem zagłuszała wszystko wokół.

Zamknąwszy oczy, odrzuciwszy głowę do tyłu, niemal naga pod strugami, które niebo na nią wylewało, Isambora przez chwilę stała niczym posąg w przedsionku katedry, z rękami opuszczonymi wzdłuż tułowia, znieruchomiała, bezbronna...

Na jej twarzy łzy mieszały się z kroplami deszczu, słodka woda ze słono-gorzką. Po brunatnych warkoczach, okalających twarz topielicy, toczyły się ulotne perełki, po czym spadały na żwirowe alejki.

„Och, Bernoldzie, coś ty ze mną zrobił?”

Jak długo tam przebywała, drżąc z zimna, lecz pałając wewnętrznym żarem?

Nagle ktoś ostrożnie otworzył bramkę w głębi ogrodu. Wszedł jakiś mężczyzna o zwalistej posturze, zamknął skrzydło i skierował się do domu. Poprzez deszczową zasłonę chwiejne światło latarni niespodziewanie padło na kobietę stojącą w alejce.

– Pani Isamboro, ty tutaj? O tej porze! Jeszcze się rozchorujesz!

Otwierając oczy, dostrzegła schowane pod kapturem peleryny zdziwione oblicze Garina Mincerza, które podświetlał od dołu nikły żółty blask.

– Wielki Boże, pani, co tu robisz sama, w taką ulewę, w środku nocy? – spytał.

– Nie mogłam zasnąć.

Małżonek Albrei położył wolną dłoń na ramieniu Isambory.

– Przecież tu nie zostaniesz. Chodź. Wracamy do domu.

Ścisnął jej ramię, skłaniając ją, by ruszyła się, podążyła wraz z nim do mieszkania, które zajmowała.

Razem weszli do sali. Żar z paleniska ogrzewał jeszcze powietrze.

Niczym zmoczona draperia wilgotna koszula oblepiała ciało młodej kobiety, podkreślając i uwypuklając jej kształty. Garin chwycił złożoną i przewieszoną przez stołek kotarę, po czym zarzucił ją Isamborze na plecy.

– Czy mam obudzić którąś z twych służących, aby zeszła i cię natarła? – dopytywał się.

– Nie. Dziękuję. Sama to zrobię.

– Powinnaś też, pani, starannie wysuszyć włosy – kontynuował mincerz. – Zajmie ci to sporo czasu, ale nie zapomnij o tym. Łatwo złapać katar, gdy się chodzi z mokrymi włosami.

– Dzięki ci, panie, że tak się troszczysz o moje zdrowie – rzekła Isambora. – Pewnie myślisz, że zwariowałam.

Mężczyzna odrzucił do tyłu kaptur ociekający wodą.

– Broń Boże! – podjął spokojnym, nieco flegmatycznym tonem. – Tak długo żyję, że umiem odróżnić prawdziwe strapienie od zwykłego kaprysu. Wiem, jak to jest, i potrafię zrozumieć więcej, niż myślisz, pani.

Potrząsał dużą siwiejącą głową.

– Los też nie skąpił mi nieszczęść – ciągnął z pochylonym czołem, nie unosząc powiek. – Trzeba wysłuchać obu stron... Tylko Albreia mówiła ci o nas, o naszym stadle...

– Opowiedziała mi o waszych przejściach i twierdziła, że w najcięższych chwilach zawsze, panie, ją wspierałeś – sprostowała Isambora, owijając się czerwoną tkaniną, która jednak nie dawała dość ciepła.

– Bez wątpienia... ale na pewno dała ci, pani, do zrozumienia, że mam spaczne upodobania, że uganiam się za ulicznymi dziewczkami...

Raptownie uniósł obrzękłą twarz i obrzucił zmokniętą niewiastę, która stała obok niego, jednym z tych przenikliwych spojrzeń, jemu tylko właściwych.

– No cóż! Niech jej będzie! – przyznał z pełną goryczy złością. – Niech jej będzie! Szukam tam, gdzie mogę znaleźć, zaspokojenia, jakiego odmawia mi małżonka bardziej oziębła niż ta jesienna noc i dla której miłość jest odrażającą pańszczyzną!

Isambora zadrżała.

– Idź się wysuszyć, pani – westchnął Garin. – Nie jesteś w stanie mnie słuchać. Nie wiem, dlaczego ci się zwierzam!

– Bo trzeba z kimś porozmawiać... – wymamrotała Isambora.

– Wszyscy, pani i ja, mamy w umysłach taki sam zamęt – wycedził przez zęby mincerz, naciągając kaptur. – Zło jest wszędzie. Z upodobaniem płacze nasze losy. Niestrudzenie niszczy dzieło Stwórcy. A my musimy jakoś sobie radzić... w miarę możliwości zadbać o własne zbawienie!

Schylił się, podniósł latarnię, którą, wchodząc, postawił na skrzyni, i wyszedł, by wrócić do domu, z którego uciekał parę razy na tydzień, aby gdzie indziej szukać

zapomnienia.

Isambora zarygłowała drzwi, po czym podeszła do ognia, zrzuciła z siebie kotarę, ściągnęła koszulę, która przylepiała się do jej ciała i starannie wytarła się jedną z pieluch Ogiera, rozłożonych, by się ogrzały na kozłach przed kominkiem.

Kiedy się osuszyła i poszła do pokoju, owinęła się w moltonową matinkę, noszoną zwykle w samotne wieczory, a następnie pochyliła się nad kołyską synka.

Siedząc w nogach łóżka, gdzie wciąż smacznie spały Doetta i Filipa, najpierw rozplotła ciężkie warkocze, potem energicznie wytarła głowę grubym płóciennym ręcznikiem, wyciągniętym z dużego kufra, w którym składała bieliznę.

Tak jak przewidział mincerz, wysuszenie długich włosów zajęło jej sporo czasu.

Zręcznie manipulując grzebieniem i szczotką, myślała, że Garin zachował się wobec niej przyzwoicie. Będzie musiała zmienić opinię, jaką miała o tym człowieku. Dotąd знаła go jedynie z konwencjonalnych spotkań lub z opowieści Albrei. Wprawdzie ta ostatnia traktowała go oziębło i odstręczała od siebie, ale można było ją usprawiedliwić. Traf chciał, że została powiernicą kobiety niezdolnej zaspokoić zmysły małżonka...

Aby nie popaść znów w otchłań cierpienia, z której się z wielkim trudem wydobyła, Isambora wolała myśleć o czym innym... Powiedziała sobie, że powinna być wdzięczna mincerzowi za to, że nie wykorzystał niezwyklej sytuacji, w jakiej się znalazła. Niejeden na jego miejscu...

Ta konstatacja nakierowała jej myśli na sekretarza i hrabinę.

Od miesiąca, czyli od chwili gdy Isamborę przyjęto do zamkowej szwalni, Jehan widywał ją pod byle pretekstem i się do niej umizgiwał. Za wymówkę służyło mu zainteresowanie, jakie ni stąd, ni zowąd obudziły w nim robótki wykonywane przez czeladniczki Adeli z Blois. Towarzyszki Isambory śmiały się i żartowały między sobą z tej zmiany zachowania.

Nie pozwalając sobie na jakiś bardziej śmiały gest, jakieś zbyteczne słowo, młodzieniec otaczał nową hafciarkę względami, zasypywał drobnymi prezentami, czynił niedwuznaczne aluzje.

– Kiedy sobie przypomnę, w jaki sposób Bernold mnie porwał – rzekła pewnego wieczoru Isambora do kuzynki, przed którą nie mogła zataić tych wyraźnych zalotów – nie mogę zrozumieć manier tego chłopaka. Nie postępuje, jak mają w zwyczaju mężczyźni. Rzekłby kto, że boi się przejść do ataku. Czyżby był impotentem?

– Na pewno nie – odparła Awelina ze śmiechem. – Taką modę wprowadziła sama hrabina. Na zamku nie żyje się jak gdzie indziej, skarbie, chyba o tym wiesz. Nikt nie przestrzega tam naszych dawnych obyczajów. Słowo daję, Adela z Blois ubrdała sobie, że zmieni mężczyzn w gruchające gołąbki, a wilki w jagnięta!

Na hrabiowskim dworze wiedziano, że władczyni, okazując wiele życzliwości, niestrudzenie utrzymuje listowne kontakty z najróżniejszymi zdeklarowanymi, lecz platonicznymi wielbicielami, takimi jak Gotfryd z Reims, Hildebert z Lavardin, biskup Le Mans lub Baudri, opat z Bourgueil. Ów wziął sobie za punkt honoru tworzyć dzieła poetyckie. Przesyłał hrabinie płomienne, lecz zawsze powściągliwe wiersze, które zachwycały adresatkę. W hrabim Stefanie ani korespondencja, ani wizyty, o których każdy wiedział i które były bez najmniejszej wątpliwości niewinne, nie mogły budzić

podejrzeń.

– To prawda, że nasza hrabina zajmuje się literaturą, ściągą na zamek licznych poetów, uczonych czy historyków, sama układa wiersze – dodała Awelina. – Wyrobiła sobie, zresztą nie bez kozery, renomę niewiasty o bystrym umyśle i rozległej wiedzy. Stykając się z nią, rzeczy i ludzie szybko przechodzą metamorfozę!

Zajęta zaplataniem warkoczy, Isambora pomyślała, że chyba faktycznie można zmusić mężczyzn, by odnosili się z większym szacunkiem do kobiet, ale że nigdy nie okiełzna się ich instynktów. Że Jehan któregoś pięknego dnia pozwoli sobie wobec niej na jakieś zuchwalstwo.

Co ona robi, jeśli on nie zadowolony się już podrzucaniem jej bukietu, rękawiczek, pierścionka z koralem? Gdy zażąda czegoś więcej niż uśmiechu, uprzejmego słówka?

Już uczesana, zanim położyła się spać, zdjęła nocną koszulę.

Stojąc nago przy łóżku, powoli przesunęła rękami po piersiach oznaczonych dwoma pieprzykami, na których tak często zatrzymywały się usta Bernolda, po biodrach, które niegdyś zamykał w swoich dłoniach, po brzuchu, który zawsze nosił w sobie z wiernością, oddaniem i spokojem nasienie powierzone przez małżonka podczas wspólnie doznawanej rozkoszy...

Czy będzie musiała na zawsze wyrzec się pieśczoć mężczyzny?

Do tej pory wzdragała się na myśl, że Jehan mógłby jej dotknąć choćby koniuszkami palców. Mimo wszystko wciąż kochała Bernolda, czekała nań, co ją chroniło przed pokusami. Lecz jeśli jej ciało przemówi głośniejszym niż uczucia? Jeśli, ulegając mu, będzie musiała się zgodzić na nie wiadomo jakie kompromisy?

Czy z winy wiarołomcy w końcu postąpi wbrew sobie, złamie najświętsze przysięgi, zgubi swoją duszę?

Niegdyś padłaby na kolana, by błagać o wsparcie Boga i Matkę Boską. Nie opuściliby jej w tak wielkim niebezpieczeństwie... Ale nie umiała się już do Niech modlić. Pod wpływem zubożenia, na jakie cierpiała od chwili odejścia męża, wyschło w niej źródło żywej łaski. Do kogo się zwrócić? Kogo prosić o pomoc? Gdzie szukać wsparcia? Brakowało jej wszystkiego.

Krótko i źle spała. Aż do świtu męczyły ją koszmary...

Nazajutrz, gdy ujrzała wkraczającego do szwalni za hrabiną Adelą młodego sekretarza, który natychmiast zaczął szukać jej wzrokiem, zmieszała się i uświadomiła sobie, że nie będzie w stanie w nieskończoność walczyć ze swym pożądaniem. Nadejdzie dzień, gdy zbałamuci ją pierwszy lepszy galant. Dobrze o tym wiedziała, ale zarumieniła się ze wstydu...

Następnej niedzieli po uroczystej mszy poszła z Gresją i Filipą do Aweliny, u której zwykle wszyscy troje raz w tygodniu jedli razem obiad. Albin, Doetta i Ogier zostawali pod opieką Sancji.

Przestało padać, lecz pod szarym niebem przenikliwy, zimny podmuch omiatał dolinę i hulał po ulicach Blois.

W wielkiej sali wspólnotowego domu płonął przyjazny ogień, liżąc płomieniami boki rondla, skąd unosił się smakowity aromat potrawy z kuropatwy. Zagrzebany w ciepłym popiele paleniska kamionkowy garnuszek z pewnością zawierał rosół

z ząbkami czosnku. Dwie rynienki z jądłem stały na rozżarzonej węglu drzewnym w głębokich koszach osadzonych na wysokich żelaznych wilkach kuchennych, które podtrzymywały bierwiona.

Przed kominkiem ustawiono stół nakryty długim białym obrusem.

Zapachy potraw, podpiekanego chleba, ognia, czystej bielizny mieszały się podczas tych niedzielnych spotkań, które wydawały się Isamborze jedynymi chwilami, podczas których odnajdowała, choć na krótko, słodycz rodzinnej zażyłości.

Kiedy Majol wrócił z piwnicy, do której zszedł po świeże wino, miał zafrasowaną minę, co od razu zauważyła Isambora.

Toteż wcale się nie zdziwiła, gdy po odmówieniu modlitwy zwrócił się do niej, napoczynając pasztet z węgorza.

– Muszę, kuzynko, przekazać ci nowinę. Ważną nowinę! Od niedawna wiem, gdzie przebywa Bernold!

Młoda kobieta poczuła, jakby ktoś bezlitośnie, brutalnie ścisnął jej serce, podobnie jak odgarnąwszy pióra, chwytając się za szyję gołębia, aby go udusić.

– Mój Boże! – wyszemrała. – Czy to możliwe?

– Jak ty zbladłaś, perełko! – wykrzyknęła Awelina. – Chyba nie zemdlejesz?

Isambora potrząsnęła głową, jakby przepędzała muchę.

– Gdzie on jest? – zapytała.

– W Anglii. Na próżno byśmy go szukali w Normandii... Był tam tylko przejazdem.

– Kto ci o tym powiedział?

– Mistrz ciesielski, którego spotkałem wczoraj rano u nas na podwórzu. Właśnie przyplłynął z Dover, gdzie przez dłuższy czas przebywał. Według niego Bernold osiadł właśnie w tym mieście. Podobno poznał twego męża, a potem się z nim zaprzyjaźnił, na placu, gdzie obaj pracowali przy budowie kościoła. Zgadali się. Padło moje nazwisko. Dlatego ten człowiek zaczepił mnie i przekazał pozdrowienia od Bernolda.

– Czy był zdrow, gdy ten cieśla się z nim rozstawał?

– Jak ryba. Zdaje się, że jako szklarz wyrobił sobie po drugiej stronie kanału La Manche naprawdę niezłą opinię.

Zapadła cisza. Isambora niewidzącym wzrokiem patrzyła na leżącą koło niej kromkę chleba. Po raz pierwszy, odkąd odszedł, słyszała o Bernoldzie jak o żywej istocie, a nie jak o kimś zaginionym. Znajdował się gdzie indziej i tyle. Pracował, jadł, spał, śmiał się, kochał... z dala od niej... ale wreszcie znów nabierał realnych kształtów. Nie była to już nieuchwytna zjawka, w której istnienie zdarzało jej się wątpić... Było takie miejsce na świecie, gdzie jeszcze czasem rozbrzmiewał jego gromki śmiech...

Awelina niespokojnie zerkała na kuzynkę. Filipa wpatrywała się w matkę pytającym, pełnym miłości spojrzeniem. Gresja bawiła się z oswojoną sroką, którą przyniosła w wiklinowej klateczce i która teraz siedziała na jej ramieniu.

– Mój ojciec był sam? – zapytała nagle dziewczyna, nie przestając głaskać przechylonego ptasiego łebka.

– Ależ, kochanie... – obruszyła się Awelina.

– Ma rację – rzekła Isambora. – Chyba to zrozumiałe, że chcę wiedzieć, gdzie i jak żyje mój mąż.



– Nie jest sam – rzeczowo stwierdził Majol.

Z sąsiedniego mieszkania dobiegły podchmielone głosy, pijackie śpiewki.

– A więc nie była to przelotna miłośćka – wyszeptała Isambora, czując ucisk w gardle. – On nie wróci.

Zaalarmowana tonem, jakim jej kuzynka wypowiedziała te ostatnie słowa, Awelina uniosła brwi. Nie pojmowała, jak kobieta tak bezczelnie okpiona, mogła w głębi ducha tęsknie wyczekiwać powrotu niewiernego małżonka. Ona w takiej sytuacji myślałaby tylko o zemście, o zamordowaniu rywalki...

Majol pieczołowicie wycierał ostrze noża o kawałek chleba.

– Na Boga, kuzynko – podjął. – Przecież Bernold odszedł tak niedawno, że nie możemy wyciągać pochopnych wniosków. Minęło trochę więcej niż pół roku, odkąd popadł w to szaleństwo. Niewiele czasu. Poczekaj, aż znudzi mu się ta przygoda, która dość szybko straci swój urok.

Gresja posadziła srokę na oparciu ławy i wstała, aby pomóc Awelinie przynieść na stół pasztet z węgorka, a potem potrawkę z kuropatwy oraz obie rynienki. W jednej znajdowała się rzepa zapiekana z kasztanami, w drugiej przecier z bobu.

– Jeśli mój ojciec wróci do Grand Feu, czy wybaczysz mu, matko? – zapytała dziewczyna. – Zgodzisz się, by z nami znów zamieszkał?

– Czy ja wiem? – westchnęła Isambora. – Żebym to ja sama wiedziała.

– W każdym razie Kościół surowo karze człowieka, który porwał pannę zaręczoną z jego synem. Jeśli oskarżysz Bernolda o cudzołóstwo i porwanie przed naszym biskupem, zostanie skazany na siedmioletnią pokutę – ucięła Awelina, która obsługiwała gości, nakładając do misek mięso z jarzynami. – Później zawsze możesz, jeśli zechcesz, wystąpić o separację.

Isambora podsunęła Majolowi miskę, z której razem jedli. Straciła apetyt. Wciąż czuła ucisk w gardle, przeszywały ją dreszcze, których nie mogła opanować.

– Nigdy nie wystąpię o separację. Nie wniosę też żadnej skargi – rzekła znużonym głosem. – Nie chcę mieszać Kościoła do naszej waśni. Jeśli Bernold kiedyś wróci, nie wiem, co zrobię, ale wiem, czego nie zrobię...

Umilkła. Palcami odruchowo ugniatała kulkę z mięszu chleba.

– Sakrament małżeństwa na zawsze wiąże mężczyznę z kobietą – podjęła nieco pewniejszym tonem. – Później nic nie może ich rozdzielić. Nic ani nikt. Nawet przewina jednego z nich. Bernold i ja będziemy na wieczność złączeni w obliczu Boga. Możliwe, że porwany obłędem o tym zapomniał. Ale ja nie.

Przy stole wszyscy jedli w milczeniu.

– Masz słusność – stwierdził Majol po chwili. – Separacja, odtrącenie czy rozwód prowadzą tylko do zerwania więzów cielesnych. Żadna ludzka siła nigdy nie zdoła naruszyć więzi duchowej. Wyrażając obopólną zgodę i wymieniając obrączki, oboje uświęciliście wasz związek, a zarazem uczyniliście nierozzerwalnym.

Wtedy rozległ się cienki głosik Filipy:

– Ja nie wyjdę za żadnego mężczyznę. Będę oblubienicą Pana naszego Jezusa Chrystusa!

Isambora pochyliła się nad dziewczynką, pocałowała ją w czoło.

– To będzie z pewnością najlepszy wybór, córeczko – rzekła czule. – Ale nie powinniśmy przy tobie mówić o takich smutnych rzeczach. Mimo wszystko nie wyobrażaj sobie, że są tylko nieudane małżeństwa. Są też szczęśliwe. Spójrz chociażby na Awelinę i Majola.

– Przecież oni są mężem i żoną od niedawna! – zauważyła Gresja. – Trzeba trochę poczekać, żeby było wiadomo, co o nich myśleć.

Awelina zaśmiała się trochę sztucznie.

– No cóż! Ty przynajmniej nie przebierasz w słowach, moje dziecko! – zawołała. – Na mą wiarę, nie należysz do tych, co dają sobie wciskać brednie!

– Ja bym chętnie przysięgła na własne zbawienie, że ich związek jest mocny i trwały – odpowiedziała stanowczo córce Isambora. – Tych osiemnaście lat, kiedy na siebie czekali, scementowało ich stadło lepiej niż zaprawa mury obronne Blois!

Awelina spojrzała na kuzynkę wzrokiem pełnym wdzięczności za to gorące zapewnienie.

Rozmowa zeszła na inny temat. Ktoś wspomniał o mieszkańcach Blois, którzy skarżyli się na przemiany zachodzące w ich mieście i patrzyli z niechęcią, jak się rozrasta.

– Wszędzie znajdują się zrzędy – rzekł Majol. – Ludzie zawsze odnoszą się nieufnie do zmian, które zakłócają ich przyzwyczajenia.

– Możliwe, ale jest wielu niezadowolonych – oznajmiła Isambora, która starała się uczestniczyć w pogawędkach. – Wczoraj w szwalni słyszałam o delegacji rzemieślników ze Średniego Grodu, którzy przyszli na skargę do hrabiego Stefana. Przyjął ich, ale gdy odeszli, podobno pienieł się z wściekłości!

– A przecież jest to spokojny i pobożny pan, który nieczęsto wpada w gniew – zaoponowała Awelina.

Z pomocą Gresji i Filipy zebrała ze stołu puste naczynia, po czym postawiła na nim salaterkę kremu polanego winem, udekorowanego pieczonymi gruszkami.

– Od jego niezbyt chlubnego powrotu z Ziemi Świętej niektórzy wciąż go obgadują – podjęła, gdy uporała się ze swoim zadaniem. – Ci sami, co kiedyś wychwalali jego hojność, skromność, życzliwość dla poddanych!

– Cóż chcesz, moja droga, papież Urban II (Panie, świeć nad jego duszą!) przed śmiercią uznał za stosowne ekskomunikować dezerterów. Więc słusznie można się zastanawiać, czy hrabia Stefan nie zalicza się do ludzi, którzy zostaną wyrzuceni na zewnątrz, w ciemności!<sup>[16]</sup>

Majol się uśmiechnął. Radość życia znów brała w nim górę nad smutkiem.

– Nie żartuj sobie z rzeczy świętych, mój miły! – odparła Awelina. – Już samo to jest przykre, że królestwo Francji zostało obłożone klątwą, a nasz hrabia naraził się Stolicy Apostolskiej!

– Sprawy ludzkie rzadko idą w parze ze sprawami boskimi – wyszeptała Isambora.

Pod koniec posiłku podano kozie i owcze sery. Majol puścił w obieg dzbanek z gotowanym winem, zaprawionym miodem i wonnymi ziołami.

– Teraz na zamku mówi się tylko o wielkim festynie, który powinien się odbyć w święto Trzech Króli – nagle oznajmiła Gresja, przerywając ciszę. – Niektórzy przebąkują, że blejczykom zostanie obwieszczona ważna wiadomość.

– Ja już wtedy będę się szykować do porodu – zauważyła Awelina, posyłając mężowi porozumiewawcze, pełne miłości spojrzenie, które odwzajemnił z rozbawioną, a zarazem rozczuloną miną.

– Skąd o tym wiesz? – zapytała Isambora córkę.

– U Albrei każdy wie wszystko na każdy temat – odrzekła dziewczyna, opróżniając małymi łyżkami cynowy kubek. – Poza tym wszyscy lubią się bawić. Święto Winobrania w dniu świętego Remigiusza narobiło dużo hałasu. Podobno niejeden nadużył młodego wina.

Isambora uświadomiła sobie, że Gresja ma czternaście lat, że jest w wieku, gdy przeżywa się pierwszą miłość, że los z nią coraz okrutniej igra. Na wieczornicach u mincerza, w których dziewczyna zawsze starała się uczestniczyć, na pewno słyszała frywolne przekomarzanki. Co o nich myślała? Jak wyobrażała sobie swoją przyszłość? Czy nie spodobał jej się jakiś chłopak?

Nigdy nie zwierzała się matce. Ani nikomu innemu... Uczucia chowała głęboko w sercu. Czasem wymykało jej się jakieś słówko, zawiedzione spojrzenie, przybierała szyderyczy wyraz twarzy... Jaki stąd wniosek?

Do jej własnej niedoli dołączyło teraz zniknięcie ojca, jednak nie dawała po sobie poznać, co tak naprawdę sądzi o tym nowym nieszczęściu.

Isambora pragnęłaby wziąć w objęcia poszkodowaną córkę, aby pomóc jej dźwigać brzemię. Przeszkadzała w tym nadzwyczajna wstydlivość Gresji. Podobnie jak nie sposób dotknąć ciężko rannego, nie zadając mu bólu, nie można było otwarcie interesować się dziewczyną, nie wywołując u niej odruchu obronnego lub chęci ucieczki.

Czy rozpamiętująca swoje nieszczęście matka mogła jej w czymkolwiek pomóc? Od lat nie umiały ze sobą rozmawiać. Niedola każdej z nich biegła innym torem, niczym leśne ścieżki, które wychodząc z jednego rozstaju, potem wciąż się od siebie oddalają...

W kilka dni po tej październikowej niedzieli przybiegł parobek wysłany z Morville przez Gerwazego, by powiadomić Awelinę o śmierci Rychildy, matki podwasala.

Przeszło osiemdziesięciopięcioletnia staruszka spadła z drabiny prowadzącej do pokoju na górze. Złamała nogę i musiała leżeć w łóżku. Potem dostała jakiejś złośliwej gorączki.

– Kaszel dosłownie rozdzierał jej piersi – wyjaśnił Marcin Czerwona Kapuza, parobek. – Nic nie pomagały ziołowe napary, kataplazmy, relikwie. Nocą wyzionęła ducha. Pochowamy ją jutro.

– Kochałam ją – powiedziała Awelina, żegnając się. – Niech Bóg zabierze ją do raju! Uprzedzę hrabinę, nie odmówi mi wolnego na pogrzeb babki. Pojedziemy jutro rano wozem: mój mąż, ty i ja.

Zapadał wieczór. Córka podwasala właśnie wróciła ze szwalni. Majol pracował jeszcze na budowie.

– Trzeba też zawiadomić moją kuzynkę – ciągnęła Awelina. – Należy do najbliższej rodziny. Idź do niej niezwłocznie, a ja tymczasem pójdę do pałacu. Po powrocie zjesz z nami kolację, a potem prześpisz się tutaj. Położę ci siennik przy kominku.

Powiadomiona Isambora postanowiła towarzyszyć kuzynostwu. Przez służącego

poprosiła Awelinę, by poinformowała Adelę z Blois, że nie może stawić się w szwalni i wyjaśniła, z jakiego powodu. Nazajutrz o wschodzie słońca dołączy do podróżnych.

Hrabina udzieliła hafciarkom dwudniowego urlopu.

Majol zaniepokoił się na wieść, że żona chce wyruszyć w drogę, chociaż jest już w szóstym miesiącu ciąży, ale Awelina zapewniła go, że cieszy się zdrowiem, zachowuje rozwagę i dodała, że w jego asyście czuje się całkiem bezpiecznie.

Tak więc nazajutrz o brzasku wóz konwojowany przez jeźdźca minął właśnie wznoszone mury warowne i zostawił za sobą Blois.

Panowała jeszcze szarówka. W lekkiej mgłę płaskowyż Beauce ukazywał na przemian tłuste, właśnie zaorane czarnoziemy, po których wolno przesuwali się siewcy z przytroczonymi do pasa workami pełnymi ziarna, i leżące odłogiem parcele albo też winnice po niedawnych zbiorach. Na miedzach rosły kępy już pożółkłych kasztanów, zaczynających rudzić buków i dębów przybierających jesienną barwę.

– Czajki już poleciały na ścierniska – zauważył Marcin Czerwona Kapuza, który powoził.

Głos parobka częściowo ginął, zagłuszany skrzypieniem kół, ciężko sunących po żwirze gościńca i wzniecających tumany pyłu. Siedząc obok niego, z kolanami opatulonymi pelisą, Awelina przypomniała sobie, że niektóre ptaki, latem spotykane w dolinie Loary, mają zwyczaj wracać każdej zimy i zakładać gniazda na płaskowyżu.

– Gdyby mi nie było tak smutno – rzekła do Isambory, zajmującej miejsce po jej lewej stronie na ławce z oparciem – nawet bym się cieszyła z tego krótkiego wypadu. Wiesz, jak lubię jeździć do Fréteval, gdy tylko czas mi pozwala. Łączy się z tyloma naszymi wspomnieniami, najmilsza kuzynko...

Isambora pokiwała potakująco głową.

– Jest mi jeszcze bliższy niż tobie, moja droga, bo spędziłam tam najlepsze lata życia...

Powrót do doliny Loiru, zapachy mgły, zaoranej roli, wypalanych zarośli, jesiennego lasu, które przywołując w jej wyobraźni minione zdarzenia, jednocześnie budziły w niej tęsknotę, rozdzierały serce, napępiały ją żalem...

Majol popędział konia, puszczał się galopem i szybko wracał, by zapytać Awelinę o samopoczucie.

Dziesięćmilionową trasę przebyli bez incydentów. Choć bardzo uczęszczana, droga nie była na tyle zatłoczona, by spowalniać jazdę.

Mijali wozy załadowane beczułkami, a także wyposażonych w łuki, kołczany, siatki lub proce myśliwych, za którymi biegły sfory psów.

Kobiety i dzieci, które nastręcały orzechów i nazbierały grzybów lub kasztanów, wracały do domów, obciążone ciężkimi koszami.

Po pagórkach porośniętych wydeptaną trawą wędrowali, we dwóch lub trzech, mnisi odziani w czarne habity z opuszczonymi kapturami, przesuając w palcach paciorki różańców z polerowanego bukszpanu.

Stada owiec, dla których nadeszła pora zmiany pastwiska, nagle wybiegały na gościńiec, wzniesząc gwałtowne protesty podróżnych, i odcinały im drogę.

Marcin Czerwona Kapuza utyskiwał, po czym pozdrawiał gestem ręki znajomych

drwali podążających do lasu Silva Longa, z opartymi o ramię siekierami o połyskujących ostrzach.

W odwrotnym kierunku zmierzały służące z wiązkami chrustu, wracające z boru.

Zmieszane z ciągnącym w tę i w tę tłumem gromadki pielgrzymów, śpiewających kantyczki, maszerowały do kościoła Najświętszej Marii Panny w Chartres, aby adorować Świętą Tunikę, jaką Dziewica miała na sobie w dniu Zwiastowania. W ślad za nimi ubodzy chorzy, otoczeni rodziną lub sąsiadami, z trudem wlekli się do Studni Druidów, która znajdowała się w krypcie katedry. Woda czerpana stamtąd miała cudowne właściwości lecznicze.

Isambora i Awelina łączyły swoje głosy z głosami ludzi monotonicznie odmawiających pacierze, tak że podróż im się nie dłużyła.

W porze seksty pojazd wtoczył się na podwórze Morville.

Uradowana, że widzi Awelinę i Isamborę wcześniej, niż się spodziewała, a zarazem uznając, że należy zwyczajowo okazywać żal po zmarłej, Perryna powitała trzy nowo przybyłe, już to się śmiejąc, już to płacząc. Nigdy nie przepadała za teściową, która jej zdaniem wywierała na Gerwazego za duży wpływ.

Natomiast podwasal, naprawdę przejęty, modlił się na kolanach przy płóciennym posłaniu, które ułożono w sali. Nie wstał, by przyjąć podróżnych, tylko z dała skinął im głową na powitanie, po czym znów pogрузzył się w modłach.

U wezłowia śmiertelnego łoża dwie płaczki, w tym celu sprowadzone, lamentowały, wyrrywając sobie i tak już przerzedzone włosy, rozdrapując policzki na znak żaloby.

W czterech rogach siennika, na którym, jak sobie życzyła nieboszczka, pragnąca zmanifestować pokorę, rozsypano popiół, paliły się cztery gromnice. Woń rozgrzanego wosku mieszała się z zapachem bukszpanowych gałązek zaścielających posadzkę i mdlącym odorem śmierci.

Ubrana w białą koszulę, z włosami schowanymi pod starannie zawiązaną na czaszce chustą, Rychilda wydawała się jeszcze bardziej rachityczna niż za życia. Jej rozpogodzona twarz była w nieokreślonym wieku, a wychudzone ciało jakby skurczyło się do rozmiarów dziecka. Spryskując ją wodą święconą, Isambora myślała, że nie wiadomo, czy to zwłoki sędziwej staruszki, czy małej dziewczynki.

Z władczej, zaborczej jejmości, jaką była matka podwasala, teraz już całkiem bezbronnej, pozostała smętna, sinoblada powłoka, w której tylko wąskie, zapadnięte usta wskazywały na nieugiętą wolę. Sprawiała wrażenie, że dopiero przenosząc się do wieczności, uświadomiła sobie bezcelowość wszelkiej walki.

Z rozmyślań wyrwał Isamborę suchy szloch. W kącie sali, siedząc na taborecie z głową spuszczoną na piersi, Firmin Krzywulec opłakiwał siostrę, która dołączyła do ich przodków w królestwie Bożym.

Isambora podeszła do starego człowieka i łagodnie doń przemówiła. Uniósł ku niej twarz wykrzywioną cierpieniem.

– Chrześcijanin nie powinien ubolewać nad powrotem do Ojca jednego z Jego dzieci – wyszeptał smutno. – Dobrze wiem, że Rychilda ma teraz szczęście oglądać Najwyższą Istotę, ale to była przecież moja starsza siostra! Zabrała ze sobą wspomnienia

z naszej wspólnej przeszłości...

Wkrótce potem nadeszli krewni i ci mieszkańcy Fréteval, którzy z dawien dawna znali rodzinę winogrodnika.

Podjęto barona Salomona wraz z jego małżonką, tymczasem służące owijały nieboszczkę szerokimi płóciennymi pasami, mocno obciskając ciało.

„Zmarłych i noworodki traktuje się tak samo – pomyślała Isambora. – Owija się ich płótnem, wiąże ze wszystkich stron, jakby po to, by ich lepiej odizolować, uchronić od niebezpiecznego kontaktu ze światem...”

Skoro tylko pojawił się proboszcz od Świętego Leobina, Gerwazy, Majol, Gildas i Marcin Czerwona Kapuza wzięli na ramiona nosze, na których złożono obandażowane ciało Rychildy.

Za seniorem z Fréteval i dostojną panią Agnieszką, którzy przewodniczyli uroczystości, ruszył kondukt pogrzebowy.

Na czele orszaku kroczył proboszcz, poprzedzany przez dwóch ministrantów, odziany w fioletowe kapłańskie szaty. Tuż za nim podążały płaczki.

Podczas mszy żałobnej Isambora poczuła, że łzy ciekną jej po policzkach. W istocie, nie darząc Rychildy gorącą miłością, na pewno by się tak nie smuciła, gdyby Bernold stał obok Majola, w miejscu, które mu przysługiwało, a które zajmował teraz Gildas jako najlepszy przyjaciel rodziny.

Śpiewy liturgiczne, zapach kadzidła, wosku, liści splecionych w wieńce i ułożonych wokół noszy przywodziły żałobnikom na pamięć mnóstwo różnych wspomnień.

Firmin opłakiwał siostrę, Gerwazy – matkę, Perryna myślała o swojej, zmarłej przed laty, Isambora rozdrapywała stare rany. Rodzice, Henryś, troje dzieci zmarłych w niemowlęctwie, wszyscy oni przyczyniali się do bólu, spotęgowanego nieobecnością Bernolda, ucieczką Aljoma, nieszczęściem Gresji.

Awelina, która stała koło kuzynki, wzięła ją pod ramię, ścisnęła je mocno.

W tym samym kościele minionej wiosny odbył się jej ślub z Majolem, toteż pomimo emocji wywołanej odejściem babki, która miała podobny charakter jak ona, jej smutek tłumilo całkiem nowe szczęście oraz nadzieja na macierzyństwo. Trochę ją to zawstydzalo, siało zamęt w jej poczciwej duszy. Aby się usprawiedliwić, powtarzała sobie, że Bóg zaludnia swoje królestwo, czerpiąc z ziemskiego plemienia, że życie, które ona nosi w sobie, będzie kolejnym zwycięstwem nad śmiercią, że od początku świata to cudowne odradzanie się nigdy nie ustało. Zwykła siewczyni przyszłości w ogromnej rzeszy tych, które ją poprzedziły, i tych, które po niej nastąpią, nie powinna się tym chełpić ani mieć z tego powodu wyrzutów sumienia...

Widząc Awelinę żarliwie się modlącą, Isambora spróbowała raz jeszcze odnaleźć w sobie zapał i wyrwać swą apatyczną duszę z bezczynności. Gdy ksiądz podnosił świętą hostię, aby ją pokazać wiernym, ofiarowując ją Panu w ich imieniu, pragnęła skierować swój umysł ku Zmartwychwstałemu. Nie potrafiła się zdobyć na ten wysiłek duchowy. Czy można zbudować coś z piasku, który przesypuje się między palcami?

Zmęczona sama sobą, przyjrzała się zgromadzonym. Wśród mężczyzn, którzy otaczali Gerwazego, nagle zauważyła Daimberta, dawnego narzeczonego Aweliny. Nie

ożenił się i wciąż go brano na języki. Chodziły słuchy, że zmienia kobiety jak rękawiczki...

Spostrzegłszy go, znów doznała nieprzyjemnego wrażenia, jakie zawsze wywierał na niej ten osobnik, pozbawiony skrupułów bałamut.

Niedowiarek, jakich mało, miał w nosie nabożeństwo i łytał okiem wokół siebie. Jego oczy napotkały wzrok Isambory. Natychmiast w jego źrenicach pojawił się kpiarski błysk. Ona pierwsza odwróciła głowę.

Rychildę pochowano bezpośrednio w ziemi, w zwykłym dole wykopanym pod jedną z płyt prezbiterium, obok tego, w którym spoczywał jej mąż, dużo wcześniej śmiertelnie ugodzony na polowaniu.

Po ostatnim błogosławieństwie żałobnicy wrócili do Morville, dokąd podwasal zaprosił ich na stypę.

Isambora ucieszyła się, że Daimbert, którego wzywały obowiązki gajowego, nie mógł w niej uczestniczyć.

Jedzenie było obfite, lecz niezbyt wykwintne. Chociaż goście pili mniej niż na weselu, liczni biesiadnicy wyszli pod dobrą datą, rozprawiając o wszystkim oprócz nieboszczki. Płaczki też nie wylewały za kołnierz...

Razem z Piotrusiem, Margistą, Bernardą, Amalbergą i Hagenierem, którzy wzięli udział w pogrzebie, a potem w obiedzie, Isambora wstała od stołu, gdy tylko mogła, aby udać się do Grand Feu.

Wracła tam po raz pierwszy od wyjazdu do Blois. Spotkanie z przeszłością, która zapadła się w otchłań, sprawiło jej taką przykrość, że starała się przebywać jak najkrócej w miejscu, gdzie wszystko zadawało jej katusze. Nawet psy Bernolda, witające się z nią w taki sposób, jakby rozglądały się za kimś innym, wciąż kojarzyły jej się z zaginionym.

Służba dbała o majątek w miarę swoich możliwości. Chociaż Isambora zauważyła trochę niedociągnięć, nic nie powiedziała, zadowolając się stwierdzeniem, że to, co najważniejsze, zostało zrobione.

Przenocowała w Morville, w pokoju na górze, w łóżu, które dzieliła z Perryną i Aweliną.

– Nie wrócę tu już przed rozwiązaniem – rzekła, położywszy się, Awelina do matki.

– Ale zależałoby mi na tym, by mieć cię przy sobie, gdy chwycą mnie bóle. Toteż chciałabym, abys zamieszkała u nas, w Blois, na początku kalend styczniowych. Może przyjechałabyś na Trzech Króli? Byłabym spokojniejsza.

– Gerwazy będzie trochę marudził – odparła Perryna – ale tak gorąco pragnie mieć wnuka, że choć raz podporządkuje się mej woli. Możesz na mnie liczyć, gołąbeczko. Nie zostawię cię samej w takiej chwili!

Nazajutrz rano podróżni wyruszyli w drogę do Blois.

Wschodni wiatr dał przez całą noc i przepędził chmury. Nad doliną Loiru, mieniącą się jesienią wszelkimi odcieniami rudości i żółci, niebo było lazurowo niebieskie. Wciąż jednak wiał ostry wicher. Wkrótce należało się spodziewać pierwszych przymrozków.

Zahaczyli o Fréteval, aby uściskać Rolanda, poprosić go o kilka słoiczek maści, trochę ziół do parzenia na gorączkę i kaszel, po czym odjechali.

Wóz dojeżdżał do miejsca zwanego Tłustym Pastwiskiem, gdy rozległy się jakieś

krzyki.

Nagle z bocznej drogi wybiegło na gościniec około trzydziestu wieśniaków w podartych i zakrwawionych ubraniach. Jęczeli, przeklinali, wydawali się przerażeni. Wśród mężczyzn było też parę kobiet ciągnących za sobą dzieci uczeplone ich kaftanów. Brzdące darły się wniebogłosy.

– Na Boga, co się dzieje? – zapytał Majol, który jechał konno przy wozie.

Zwrócił się do brodatego chłopca, który wyraźnie przewodził uciekinierom.

– Wszystko podpalają, nasze domy, stodoły, nasze zbiory! – wykrzyknął mężczyzna, robiąc znak krzyża.

Zatrzymał się. Reszta poszła za jego przykładem.

– Kto wszystko pali? Kto taki? – powtórzył Majol.

– Te przekłete zbiry hrabiego Vendôme! – odparł wieśniak.

– Nie pierwszy raz się tego dopuszczają! – rzuciła jedna z kobiet. – Niech mnie Bóg pokarze, jeśli nie mówię prawdy!

Mówili wszyscy naraz.

Wzburzeni lub zgnębieni, twierdzili, że zbrojni, wyruszywszy z Lignières, miasteczka podległego sąsiedniemu hrabstwu, o świcie dotarli do Breuil, gdzie zamierzali kraść woły i konie.

Spotkawszy się z oporem mieszkańców wioski należącej do barona z Fréteval, wpadli we wściekłość, zaczęli przeszywać włóczniami tych, którzy nawinęli się im pod rękę.

Wtedy wyskoczyli z domów inni chłopcy, zaopatrzeni w widły i kije.

Zapanował ogólny rozgardiasz. Obie strony toczyły zawziętą walkę.

Zabiwszy lub zraniwszy paru przeciwników, zbrojni, którzy również stracili dwóch ludzi, jęli w odwecie podpalać strzechy. Silny wiatr błyskawicznie rozprzestrzenił ogień. Cała osada płonęła. Mieszkańcom nie pozostawało nic innego, jak uciekać przed płomieniami, mieczami i włóczniami.

– Ci niegodziwcy z Vendôme często nas ograbiają! – powiedział jakiś chłopiec, ranny w ramię, z którego krew pociekła aż do nogawic.

Nawet przez prowizoryczny bandaż, sporządzony z urwanej poły koszuli, sączyły się jeszcze kropelki krwi.

– Niech się wszyscy smażą w ogniu piekielnym! – wrzasnęła jedna z kobiet, płacząc i drapiąc się po twarzy. – Zgwałcili moją córkę, a potem ją dobili!

– Szybko biegnij do Fréteval, proś barona Salomona o pomoc i opiekę! Przyjmie nas na podwórzec i każe opatrzyć rannych, a później ze swymi ludźmi odbierze Vendômcom wasze bydło.

– Właśnie tak zamierzaliśmy uczynić – stwierdził brodac. – Idziemy do zamku, tak jak stoimy. Zanim odbudujemy nasze chaty, możemy szukać schronienia tylko tam, na górze.

– Kobiety, które niosą niemowlęta, niech wejdą do wozu – rzekła Awelina. – Ściśniemy się i wszyscy razem pomieścimy.

Pochyliła się ku Marcinowi Czerwonej Kapuzie.

– Wracamy, skąd przyjechaliśmy – zarządziła. – Nie możemy przecież zostawić



tych biedaków przy drodze.

Isambora wstała z ławki, zsunęła się z wozu.

– Jest jeszcze jedno miejsce dla matki i dziecka – oznajmiła. – Pójdę pieszo razem z innymi.

Fréteval leżał w odległości zaledwie pół mili. Dotarli do niego bez przeszkód.

Na zachodzie nad rudozłotą połacią lasu wzbijał się w błękitne niebo czarny dym.

## IX

W jednym z lasów w pobliżu Blois w przeddzień Trzech Króli hrabia Stefan kazał urządzić wielką obławę, a następnie polowanie na wilki.

Było zimno. Oszronione drzewa i krzewy wznosiły ku szaroburemu niebu zlodowaciałe czupryny.

Ledwo zajaśniał brzask, wśród rżenia koni, stukotu podków, wołań, rozkazów i szczekania psów, hrabia, jego łowczowie ze swymi najlepszymi ogarami, możni panowie ze świty, giermkowie, a także liczni goście przekroczyli zachodnią bramę miasta. Wszyscy byli upojeni perspektywą łowów. Zgodnie pogalopowali ku białym polom, które przemierzali przed nimi naganiacze.

Myśliwi, uzbrojeni w lance z jesionowego drewna zwieńczone żelaznym grotem w kształcie rombu lub łuki z gałęzi cisowych, których jedwabne cięciwy były bardziej wytrzymałe, a także bardziej giętkie niż cięciwy z konopi, nieśli zawieszane na szyi kołczany ze strzałami o wyostrzonych końcach. U ich boku zwisały ciężkie miecze lub lżejsze sztylety. Aby podtrzymywać lance, niektórzy opierali stopy na szerokich strzemionach.

Przez cały dzień nie zsiadali z koni.

Za murami obronnymi Blois mieszkańcy wielokrotnie słyszeli dźwięk myśliwskich trąbek oznajmiających tropienie, namierzenie, pojmanie, uśmiercenie zwierzyny.

Dzięki tym odgłosom hafciarki w swojej pracowni mogły również śledzić kolejne etapy polowania.

O zmierzchu rozradowana i zmęczona wataha wróciła do miasta. Za jeźdźcami podążali giermkowie, niosąc na ramionach żerdzie, na których wisiało sześć wielkich wypatroszonych, zakrwawionych szarych wilków, świadczących o sukcesie, lecz także o użyteczności przedsięwzięcia.

Mieszkańcy zgotowali entuzjastyczne przyjęcie hrabiemu i jego gościom. Dzień zakończył się ucztą i balem.

Nazajutrz obchodzono Epifanię, świętując z wielką pompą rocznicę przybycia do Betlejem Trzech Magów ze Wschodu, w ślad za jaśniejącą gwiazdą, aby adorować syna Najwyższego.

Garin Mincerz, Albrea, Isambora, jej dzieci i służba, wszyscy starannie i wykwintnie odziani w stroje o żywych barwach, wyszli z domu skoro świt, aby udać się na mszę.

Ulicami ozdobionymi zasłonami, girlandami z listowia, bukietami z ostrokrzewu, pękami jemioly blezyjczycy i wielu okolicznych chłopów, którzy weszli do miasta po otwarciu bram, pospiesznie zmierzali do kolegiaty Świętego Solemnusza.

Jeśli się chciało zająć dobre miejsce i nic nie uronić z ceremonii, należało być w sanktuarium wcześniej od innych.

Na placu przed kościołem, wśród wiernych czekających na krewnych lub przyjaciół, Isambora dostrzegła Perrynę, przybyłą z Fréteval poprzedniego dnia, wraz ze świętą barona Salomona, a także Majola trzymającego pod rękę Awelinę w zaawansowanej ciąży. Obie grupki połączyły się i razem weszły do świątyni.

Duszący zapach kadzidła unosił się pod sklepieniem z malowidłami i wśród grubych murów pokrytych freskami przedstawiającymi sceny z Nowego Testamentu. Biel, czerwień, ochra i zieleń przeplatały się, tworząc różnokolorowe kompozycje.

Garinowi udało się umieścić wszystkich domowników niedaleko ołtarza, przy kolumnie udekorowanej, jak cała budowla, motywami w jaskrawych odcieniach. Awelina mogła się o nią oprzeć.

Wokół nich gęstniał tłum. Mieszkańcy trzech grodów, teraz w obrębie jednego muru, inni, przybyli z lewego brzegu rzeki, kupcy, rzemieślnicy, chłopcy ocierali się o siebie, wymieniali nowiny, upominali dzieci, które przeciskały się wśród dorosłych, gawędzili o pogodzie, zbiorach, swoich sprawach, wojnie toczącej się za morzem albo rozprawiali o miłości...

Przygotowano fotel z wysokim oparciem, zwieńczony baldachimem dla archidiakona, który się właśnie ukazał, poprzedzany przez ministrantów, klerków, diakonów, kanoników i licznych księży. Usiadł, a niedawno zainstalowane organy na zmianę grzmiały albo szemrały.

Miechy z byczej skóry wdmuchiwały powietrze do spiżowych rurek, wydających niezwykle dźwięki, których każdy słuchał w skupieniu.

Wreszcie nadeszli hrabia i hrabina, ich synowie, córki, a za nimi najznacniejsi panowie z ich dworu, jak również ich służba – i zajęli miejsca w stallach wyściełanych kobiercami.

Nabożeństwo mogło się zacząć. Przy dźwięku lir, harf, rogów i fletów, czyneli i cytr – instrumentów tworzących katedralną orkiestrę, niezależnie od organów – kapłan poprowadził liturgię Epifanii.

Isambora lubiła przepych, wystawność ceremonii religijnych. Ale rozkoszowała się też poczuciem braterskiej wspólnoty, radości dzielonej z innymi, które wówczas jednoczyły wiernych. Otoczeni muzyką, spowici oparami kadzidła, nabierali razem, w tym samym momencie, pewności, że uczestniczą w niebotycznym dziele. Uniesieni jednakowym zachwytem w sercach, łączyli się również w pokornej i radosnej zgodności swoich umysłów.

Czyste lub fałszywe ich głosy wznosiły się wszystkie naraz ku sklepieniu przesłoniętemu błękitnym dymem. Z takim samym zapałem klękali, żegnali się znakiem krzyża, pochylali czoła lub odpowiadali celebransowi.

Pomimo głębokiego smutku paraliżującego jej wiarę, podobnie jak mróz ścina wodę w strumieniach, Isambora myślała, że nawet jeśli nie ucieka się do modlitwy, msza, w której uczestniczy, napęlnia ją poczuciem braterstwa i dodaje otuchy.

Przed nią Gresja, Filipa i Albin gorliwie i zachłannie śledzili uświęcone widowisko, które mieli przed oczami.

Zanim ksiądz odczytał Ewangelię, odprawiono rytuały związane z Epifanią.

Poprzedzani przez diakona niosącego ciężki srebrny kandelabr, w którym płonęły woskowe świece, w asyście ministrantów niosących trybularze z ziarenkami kadzidła, ukazali się trzej kanonicy. Jeden z nich miał na sobie białą dalmatykę, drugi – czerwoną, ostatni – czarną. Kroczyli majestatycznie, z liściem palmowym w jednej dłoni, flakonikiem z wonnościami w drugiej, w złocistej koronie na kręconych włosach,

starannie posmarowanych sadzą, aby je przyciemnić i nadać im połysk.

Ich ramiona okrywały długie, sięgające do ziemi płaszcze z różnokolorowych tkanin.

Po kilku postojach przed kapliczkami rozmieszczonymi wokół nawy dotarli do głównego ołtarza, po czym wspięli się na ambonę, aby tam wyrecytować odpowiedni ustęp z Ewangelii.

Gdy doszli do słów: „... złoto, kadzidło i mirrę”, wszyscy złożyli swoje dary na stopniach ołtarza.

Pierwszy król oznajmił: „A oto gwiazda!”. Pojawiła się srebrna gwiazda, opadła w dół, zatrzymała się, zawisła nad wejściem do prezbiterium. Jakby oniemiała ze zdziwienia, Trzej Magowie pokazywali ją palcami zgromadzonym.

Thum chętnie uczestniczył w ceremonii. Wierni śmiali się, brali na świadków sąsiadów, śpiewali z królami. Z rozpromienioną buzią Albin wydobywał z siebie wysokie, czyste dźwięki.

– Nigdy nie widziałam nic piękniejszego! – szepnęła do matki Filipa, której złociste oczy błyszczały niczym płomień świec.

Nagle czyjaś ręka ścisnęła ramię Isambory.

– Niech Melchior, Kacper i Baltazar strzegą was wszystkich troje, ślicznotko! – szepnął do jej ucha czyjś głos.

Odwróciła głowę i spostrzegła Jehana, sekretarza Adeli z Blois, który patrzył na nią uwodzicielskim wzrokiem.

– Co tu robisz, panie? Czy nie powinieneś dotrzymać towarzystwa hrabinie? – wyrzuciła z siebie jednym tchem młoda kobieta, próbując przybrać surowy ton.

– Ona teraz wcale nie potrzebuje moich usług!

Spojrzenie błękitnych oczu potrafiło być łagodne i pieszczotliwe jak spojrzenie dziecka.

– Ja też cię nie potrzebuję, panie Jehanie – podjęła cichutko Isambora. – Czy nie zebraliśmy się w tym świętym miejscu, aby modlić się do Boga?

– Nie zamierzam ci, pani, przeszkadzać w nabożnych praktykach – zapewnił sekretarz. – Chciałbym tylko, moja droga, byś mi obiecała, że zatańczysz ze mną dziś wieczór na balu w zamku.

– Nie wiem, czy tam pójdę.

– Hrabina liczy na twoją obecność, skoro nie będzie twojej kuzynki...

Gresja odwróciła głowę, zerknęła na matkę i na Jehana, po czym znów skupiła uwagę na trwającej jeszcze uroczystości. Gruby welon z białego lnu, otulający jej włosy, częściowo zakrywał prawą stronę twarzy.

Isambora położyła palec na ustach.

– Nie mogę niczego obiecać – mruknęła.

Sekretarz znów ścisnął ją za ramię, dając do zrozumienia we właściwy sobie sposób, że uznaje za oczywistą zgodę, której nie kwapiła się udzielić, po czym się oddalił.

Do końca nabożeństwa Isambora bujała myślami w obłokach.

Bez przerwy ponawiane przez Jehana próby zbliżenia niebezpiecznie ją poruszały. Chociaż do owego dnia zdołała uniknąć pułapek, jakie z nieubłaganą zawziętością na nią

zastawiał, dobrze wiedziała, że jej opór słabnie. Trzeźwo oceniała coraz trudniejsze do zwalczenia pokusy, na jakie ją raz po raz wystawiał...

Wierny samemu sobie, od ich pierwszego spotkania zawsze traktował ją z szacunkiem. A jednak stopniowo usidlał umysł hafciarki.

U hrabiny Adeli mężczyźni i kobiety chełpili się tym, że nigdzie indziej dworzanie nie utrzymują między sobą subtelniejszych kontaktów. Mrugano do siebie okiem, wymieniano się wierszami, wstążkami. Razem słuchano muzyki, urządzano w licznym gronie obiady na trawie, rozprawiano o miłości, ale nie uprawiano jej poza sypialnią małżeńską. Przynajmniej tak twierdzono. Hrabina Adela nadawała ton i dążyła do tego, by całe otoczenie wzorowało się na jej sposobie postępowania.

Dla Isambory, która bywała na zamku jedynie w charakterze czeladniczki, te nowe, niezwykle subtelne więzi uczuciowe nie miały najmniejszego sensu. Atmosferę dworu znała jedynie z daleka.

Jednakże albo w szwalni, gdzie dość często zaglądał, albo podczas spotkań w pobliżu twierdzy, albo też na ulicach Blois, Jehan omotywał młodą kobietę siecią tak sprytnych, tak uporczywych podstępów, że myślała o nich częściej, niżby wypadało.

W te męczące noce, gdy musiała walczyć ze swymi niezaspokojonymi zmysłami, coraz częściej prześladował ją obraz młodego sekretarza.

„Gdybym tylko zechciała – mówiła sobie – gdybym zechciała...”.

Owego ranka pod koniec nabożeństwa znów sobie powtarzała, że wystarczyłby jeden jej gest... co budziło w niej zarazem wyrzuty sumienia i podniecenie.

Zwyczajowo dzień Trzech Króli był przeznaczony na zabawę.

Po mszy przez miasto przeciągała kawalkada. Młodzieńcy przebrani za królów lub biskupów przemierzali Blois, śpiewając i zaczepiając przechodniów. Domagali się chleba, wina, świec. Głośne krzyki, sprośne piosenki, które rozbrzmiewały w ich gromadzie, często były podejmowane przez mieszkańców, niosły się ulicami aż do bram miasta.

Towarzyszyły im gwałtowne sprzeciwy lub oznaki aprobaty. Tu i ówdzie brano się za łby, gdzie indziej obejmowano bratnim uściskiem.

Tymczasem na zamku również odbywała się manifestacja, lecz całkiem innego rodzaju.

Już parę tygodni wcześniej głośnym trąbieniem hrabia Stefan oznajmił, że rankiem w dzień Trzech Króli, po mszy, wyda w nowej sali paradnej pałacu uroczyste przyjęcie, na które zostali zaproszeni jego najważniejsi wasale.

Tak więc w porze tercji tłum odziany w jaskrawe stroje cisnął się we wspaniałym pomieszczeniu, które rząd kolumn pośrodku dzielił na dwie odrębne części. Sufit o sklepieniu łukowym, wykładany wąskimi płytkami z kasztanowego drewna, ułożonymi tak zręcznie, że budziło to powszechny podziw, przybierał kształt odwróconej łodzi.

Ściany ozdobione, wedle gustu hrabiostwa, freskami lub tapiseriami, przedstawiały sławne czyny seniorów z Blois.

Wywodzący się od Karola Wielkiego poprzez swoją antenatkę Leutgardę z Vermandois, małżonkę ich praszczura Tybalda Oszusta, możni i wpływowi panowie z Blois szczylicili się tym znakomitym pokrewieństwem i na nim budowali swój prestiż.

Świadczył o tym wystrój ścian.

Adela też zadbała o to, by jej ród został godnie przedstawiony. Parę haftowanych tkanin ilustrowało burzliwe dzieje Wilhelma Zdobywcy i królowej Matyldy.

Wchodząc razem z Garinem, Albreą, Aweliną, Majolem i Perryną do bogato zdobionej sali, Isambora zauważyła między innymi wiszący w widocznym miejscu kobierzec utkany z różnokolorowej wełny, nad którym kiedyś pracowała we Fréteval, pod krytycznym okiem damy Hildeburgi.

Rozczuliło ją wspomnienie z tych odległych młodzieńczych lat, gdy Bernold nie pojawił się jeszcze w jej życiu. Natychmiast przepyszna siedziba, w której się znajdowała, wydała jej się mniej imponująca.

Siedząc w paradnym fotelu, szerokim i ciężkim, z wysokim oparciem obitym tkaniną i wymoszczonym poduszkami ze złotą frędzlą, Stefan z Blois przewodniczył zgromadzeniu. Asystowała mu Adela, siedząc obok niego na krześle tronowym, również wykładanym tapiserią.

Hrabia miał dostojny wygląd, tchnął uprzejmością i szlachetnością. Długi nos, szerokie czoło, ciemne, wypukłe oczy o aksamitnym spojrzeniu, niczym u jelenia, mięsiste usta ukazujące wspaniałe zęby, łagodnie ironiczny uśmiech – wszystko to sprawiało, że przez długi czas uchodził za najbardziej pociągającego mężczyznę na dworze, za wzór rycerza. Odkąd wrócił na tarczy z Antiochii, wielu zmieniło zdanie. Pochlebcy mogli już tylko wychwalać jego poczucie sprawiedliwości i życzliwość, z jaką odnosił się do swych poddanych.

Bliscy mu ludzie podkreślali zalety jego umysłu, kulturę bycia, pobożność. Niewiasty z jego otoczenia rozumiały, dlaczego Adela darzy go miłością. Niektóre jej zazdrościły.

Córki i synowie hrabiowskiej pary siedzieli nieco z tyłu, na niższych zydlach, mniej ozdobnych niż fotele rodziców.

– Wilhelm, najstarszy syn, od urodzenia się jąka i jest ułomny, więc nie będzie mógł przejąć władzy po ojcu – szepnęła Awelina kuzynce. – Jak hrabia i hrabina, całkiem przystojni, mogli spłodzić takiego niewydarzeńca?

– Najwięcej wdzięku ma najmłodszy – stwierdziła Albreą. – Mówią, że jest ulubieńcem matki.

Wokół ozdobionej herbami estrady zajęły miejsca najważniejsze osobistości na dworze. Znajdowali się tam: seneszał, kanclerz, szambelan, podczasz, konetabl, medycy Stefana i Adeli, kapelani obojga, a także ich giermkowie, sekretarze, juryści, bez których małżonkowie nie mogli się obejść, oraz liczni klerkowie.

Ubrany w kaftan z jedwabnego samitu<sup>[17]</sup> w fioletowo-białe prążki, obrzeżony szeroką haftowaną bordiurą w tych samych odcieniach, Stefan z Blois miał też na sobie obszerny purpurowy płaszcz spięty kwadratową klamrą z litego złota, inkrustowaną drogimi kamieniami. Wywinięte noski w jego ciźmach z poślacanej skóry zuchwale sterczały w górę, zgodnie z najnowszą modą, zaprowadzoną przez Wilhelma Rudego, jednego z braci Adeli, który był królem Anglii po Zdobywcy.

Nikt zanadto nie żałował tego porywczego i rozwiązłego, potępianego przez wszystkich, apodyktycznego księcia, który zginął pięć miesięcy wcześniej podczas

łowów. Jednak ukształtował on upodobania do strojów swoich współczesnych i pozostawił im w spadku trzewiki zwane *pigasses*, które budziły zachwyt jednych, drwiny innych, nie mówiąc o szczerym oburzeniu duchowieństwa.

Na kasztanowatych, trochę już siwiejących włosach hrabiego Blois błyszczał szeroki diadem wysadzany drogimi kamieniami i odbijał światło kandelabrow zamocowanych na ścianach. Ilekroć Stefan odwracał głowę, tańczyły w nim migotliwe refleksy.

Adela jaśniała nie mniejszym blaskiem. Płaszcz okrywający jej kaftan ze szkarłatnego, ozdobionego haftem cendalu, był cały usiany złotymi cekinami i obszty złotą lamówką. Głowę hrabiny okalała przetykana złotem i srebrem opaska.

– Widząc ich oboje, a także ich dzieci, łatwo zrozumieć, dlaczego my, hafciarki, cieszymy się na dworze takim poważaniem! – rzekła ze śmiechem Awelina do Isambory.

– Na pewno bardzo by im nas brakowało – odparła młoda kobieta. – Nie musimy się martwić o przyszłość!

– Rozpoznałaś, pani, Baudriego z Bourgueil? – zapytał Garin Perrynę, która z otwartymi ustami podziwiała przepych strojów i otoczenia, w którym Gerwazy rzadko pozwalał jej bywać.

– Prawie nikogo tu nie znam – wyznała małżonka podwasala. – No cóż, jestem wieśniaczką. A kto to ten Baudri?

– Opat, który jest też poetą i zasypuje naszą hrabinę wierszami – wyjaśniła Albrea.

Na dworze i w mieście wiele się mówiło o tym platonicznym wielbiciele Adeli. Opiewał ją z uniesieniem, które bawiło, a zarazem wywoływało plotki... Żadna kobieta, jak mniemał, nie dorastała do pięt jego protektorce. Porównywał ją do dziewięciu muz razem wziętych, bo nie dość, że wspierała sztukę, to jeszcze sama układała wiersze, wysmakowane i zarazem subtelne. Nieomylny sędzia, bezgranicznie hojny mecenas, pozbawiona pedanterii erudytką, o błyskotliwej inteligencji, przykładna żona, wspaniała matka – takich używał określeń, mówiąc o swym ideale. Wysławiał też jej urodę, twierdząc, jakoby wszystkim zawracała w głowie, dlatego niektórzy złośliwcy powiadali, że dotyczy to zwłaszcza samego Baudriego...

– Myślałam, że jest młodszy – zauważyła Isambora.

– Dawno stuknęła mu pięćdziesiątka, ale wciąż zachowuje się jak zadurzony żółtodziób! – odparła Albrea.

– Jest nie pierwszej młodości i nie grzeszy wdziękiem, więc co mu pozostaje?

Mincerz, który usłyszał tę uwagę, pochylił się ku Isamborze.

– W jego przypadku liczy się tylko serce, a nie oblicze.

– Serce, oczywiście, lecz także ciało – wymamrotała młoda kobieta. – Ten ksiądz, być może, odznacza się wybitnym umysłem, skoro ty, panie, tak mówisz, ale widzi się przede wszystkim jego szpetną fizjonomię!

– Krzywy nos i zakazana gęba nigdy nie decydują o tym, czy mężczyzna się podoba – zapewnił ją Garin. – Wiele niewiast w tym pałacu, proszę mi wierzyć, chętnie znalazłoby się na miejscu hrabiny, byle ktoś tak się im przypochlebiał. Baudri potrafi mówić o miłości jak niewielu z nas.

– Mówić, mówić o niej...

– Niczego więcej się od niego nie wymaga! – wtrąciła Albreca. – Jego rola ogranicza się do rymowania, wychwalania, uwielbiania naszej władczyni. Nic ponadto!

– Nigdy nie przekroczy progu komnaty, którą opisał z wielkim talentem, przynajmniej w takim celu, jaki masz na myśli, pani – podsumował mincerz. – Ten pokój, w którym mieszka jego bogini, będzie zawsze dla niego niedostępnym rajem...

Jego wypowiedź przerwały dźwięki trąbek.

Rozsiewając wokół siebie blask drogocennych materii, hrabia wstał, aby przemówić do audytorium.

– Panowie, przyjaciele, wierni druhowie, oddani wasale, a także ty, moja pani, powinniście wiedzieć, że z pomocą Boga, naszego Pana, który wszystko trzyma w swoich rękach, musiałem podjąć ważną decyzję. Zasięgnawszy rady najwybitniejszych umysłów mojego hrabstwa, postanowiłem po raz drugi wyruszyć na wyprawę krzyżową do Ziemi Świętej, aby przyjąć w sukurs tym, którzy toczą boje z Saracenami, walczą o to, by na ziemi zajaśniało światło Chrystusa Króla.

– Hrabina dopięła swego! – szepnął Garin żonie.

Każdy z pewnością pomyślał to samo, bo wszystkie spojrzenia pomknęły ku Adeli.

Skromność, a zarazem zadowolenie malujące się w tym momencie na obliczu córki Wilhelma Zdobywcy wyrażało aprobatę podszytą wewnętrzną dumą, zrozumiałą dla każdego na sali.

– Tak więc z początkiem wiosny wezmę krzyż – podjął Stefan z Blois. – Już teraz mogę wam powiedzieć, że w drodze będzie mi towarzyszył brat króla Francji, Hugo z Vermandois. Hrabia Burgundii i książę Akwitanii, Wilhelm IX z Poitiers, również do nas dołączają.

Zgromadzeni wydali pomruk, wyrażający uznanie dla trzech dostojnych towarzyszy.

– Pod moją nieobecność – ciągnął hrabia – zarządzanie moimi włościami powierzę umiłowanej małżonce, hrabinie Adeli, która już pokazała, że potrafi doskonale rządzić i administrować naszymi domenami. Ponadto oddaję nasze dzieci pod jej kuratelę, aby ją sprawowała, dopóki nie osiągną pełnoletności.

Rozległy się wiwaty.

– Takich zalet, jak stanowczość i zmysł organizacyjny naszej hrabiny wcale nie trzeba udowadniać – szepnęła Awelina do Isambory. – Ta kobieta rządzi i administruje nie gorzej niż mężczyzna!

Wprawdzie wśród publiczności padły jakieś zastrzeżenia, jednak nikt tego nie dostrzegł.

Wtedy wszyscy ujrzeli, jak wstaje i podchodzi do ojca księżniczka Matylda, najstarsza z córek Stefana. W ręku trzymała krzyż z czerwonego jedwabiu własnoręcznie przez nią wyhaftowany. Ukłoniwszy się, ofiarowała go przysłanemu krzyżowcowi. Ten z uśmiechem ucałował dziewczynkę, której długie jasne warkocze opadały prawie do ziemi, po czym przypiął święty emblemat do lewego ramienia.

– Mam nadzieję, że tym drugim wyjazdem zasłużę na odpuszczenie win – ciągnął hrabia. – Uroczyście apeluję do wszystkich obecnych tutaj ludzi dobrej woli, aby sformowali dla mnie solidny oddział rzetelnych druhów. Oprócz łaski Bożej oni też



uzyskają odpuszczenie win, ponadto na czas swojej nieobecności opiekę dla rodzin i mienia, immunitet, prawo do korzystania z gościnności Kościoła, zwolnienie z wszelkich podatków lub opłat, wreszcie skuteczną ochronę dobytku przed zajęciem. Pragnę jeszcze przypomnieć o odroczeniu wszelkich spraw sądowych!

Dały się słyszeć śmieszki. Niektórzy obliczali już, za ile uda im się sprzedać stado, ziemię albo nawet lenno, aby opłacić ekwipunek i podróż.

– Znam przynajmniej paru wierzycieli, którzy szybko się wzbogacą! – mruknął Garin do Majola.

– Przed poprzednią wyprawą hrabiego, sześć lat temu – rzekł półgłosem mistrz budowlany – wiele monasterów wyłożyło fundusze dla potrzebujących, dawało pożyczki pod zastaw. Następnie klasztorne posiadłości znacznie się powiększały!

– Podróż dużo kosztuje. Powrót też! – przyznał mincerz. – Na Boga! W Ziemi Świętej łatwiej pójść z torbami, niż się wzbogacić!

– Zechciej zamilknąć! – skarciła go Awelina. – Oni wszyscy myślą o wyjeździe nie dlatego, że chcą się wzbogacić. Pragną udać się do Jerozolimy, aby bronić Świętego Grobu!

Tymczasem wśród wasali zgromadzonych pod estradą podniósł się rwetes. Choć pragnęli towarzyszyć hrabiemu w ekspedycji pokutnej, oblatywał ich jednak strach przed skokiem na głęboką wodę. Paru fanfaronów już się przechwalało, jak będą wyrzynać niewiernych, inni, bardziej przezorni, szacowali korzyści i niedogodności takiego przedsięwzięcia. Ci, co nie podążyli za Stefanem na pierwszą wyprawę, okazywali najwięcej entuzjazmu, ale nadal nie mieli środków, by wcielić w życie ten zamiar. Inni przywoływali wspomnienia... Wielu z nich wcale się nie paliło do wyruszenia znów w drogę. Główną, lecz starannie ukrywaną troską większości było zaciągnięcie długów.

Jedynie najbardziej zamożni nie przejmowali się kosztami, jakie będą musieli ponieść. Toteż z pogardą odnosili się do spekulacji sąsiadów, którzy z kolei starali się nie pokazywać, że zaprzatają sobie głowę takimi małostkami. Z dawien dawna wśród baronów było w dobrym tonie nie przywiązywać żadnej wagi do odrażających kwestii pieniężnych. Na pochwałę zasługiwała jedynie myśl o ratowaniu świętych miejsc. Jerozolimskie Królestwo Franków potrzebowało pomocy – bez względu na przeszkody należało się tam udać!

– Wszyscy oni pragną, by w osobie suzerena uznano ich za godnych nieść krzyż – zauważył Majol. – To sprawa honoru.

– Na świętych Pańskich, kto by ich nie rozumiał? – zapytał Garin. – Czy to nie najlepszy sposób, by okazać mu swą radość i przyklasnąć decyzji, jaką powziął? Każdy na to od dawna czekał!

– To prawda, że wszyscy ci, którzy z jego powodu mieli zszarganą opinię, odczuwali palący wstyd – przyznała Albrea. – Teraz, gdy postanowił naprawić dawne błędy, jego wasale będą go otaczać tym większą atencją. Pomijając lenniczą powinność, znów będą go darzyć szacunkiem, który zacieśni między nimi więzi.

W gwarze rozmów, okrzyków, głośno wyrażanych wątpliwości, jakie wywołały słowa hrabiego, wszyscy, odetchnawszy z ulgą, wypowiadali się swobodnie i bez ogródek.

– To bardzo uroczysty dzień – podjął Stefan z Blois, gdy ucichły trąbki, które zagrały, aby uśmierzyć tumult. – Postanowiłem również, by zjednać sobie przychylność niebios i zasłużyć na odpuszczenie grzechów, wyzwolić niebawem dziesięciu z moich chłopów pańszczyźnianych.

Wówczas ujrzano, jak przez tłum seniorów, dam, bywalców hrabiowskiego dworu przeciska się sześciu mężczyzn i cztery kobiety w zwykłych tunikach ze zgrzebnego płótna, przewiązanych w talii grubymi skórzanymi paskami. Mężczyźni mieli na sobie krótkie portki przytrzymywane tasiemkami, proste trzewiki i kapuzy. Kobiety zarzuciły welony na głowy.

Hrabia wyciągnął prawą dłoń w stronę onieśmiałej gromadki, która stała u stóp estrady.

– Ja, Stefan, hrabia Blois, Chartres i Meaux, biorę Pana Boga Wszechmogącego na świadka następującego aktu: wyzwalam i uwalniam po wsze czasy spod wszelkiego jarzma tych oto mężczyzn i niewiasty. Po dzień dzisiejszy należeli do mnie. Raz wyzwoleni, będą przekazywać tę wolność swym synom i córkom, już urodzonym albo tym, co narodzą się w przyszłości. Od dzisiaj będą mogli z całkowitą swobodą udawać się tam, dokąd i kiedy zapragną, rozporządzać swoim mieniem jak ludzie wolni. Wraz z aktem wyzwolenia każdemu z nich ofiarowuję w darze ziemię, aby mogli na niej osiąść. W zamian z każdej przydzielonej parceli będzie pobierany podatek pogłówny w denarach lub plastrach wosku.

Hrabia przerwał na moment i popatrzył na nowych wyzwolenców, którzy stali przed nim zastygli w milczeniu.

– Jako posłuszny syn Kościoła – podjął po dłuższej chwili – aktem tym spełniam jego życzenie, by wyzwalać chrześcijańskich chłopów pańszczyźnianych, co uważa on za zbożne i niezwykle miłosierne dzieło. Niech Pan Bóg pobłogosławi za to całe moje potomstwo!

Giermek przyniósł hrabiemu koszyk wypełniony skibami ziemi i źdźbłami słomy.

Na znak, że te grunty mają zmienić właściciela, Stefan z Blois włożył skibę i słomkę do rąk kolejno doń podchodzących mężczyzn i kobiet, teraz już wolnych.

Choć z daleka, Isambora zauważyła jednak, że niektórzy drżeli ze wzruszenia, otrzymując te symboliczne dary.

Wkrótce potem odbyło się posiedzenie sądu, na którym hrabia musiał rozstrzygnąć parę spraw.

– Czuję się zmęczona – szepnęła Awelina do Majola. – Chciałabym gdzieś usiąść.

– Chcesz wyjść, najdroższa? – zapytał mistrz budowlany.

– Poczekajmy jeszcze trochę – odparła młoda kobieta, opierając się mocniej o ramię męża. – Nie narzekam na brak sił, mimo że przytyłam w talii!

Stefan z Blois wreszcie wydał wyroki. Potem przystąpił do rozdzielania prezentów, czym zawsze kończyły się uroczyste przyjęcia: konie, sokoły, broń, drogocenne ubrania, między innymi płaszcze podbite futrem, trafiały do wasali tłoczących się wokół estrady stosownie do ich rangi i znaczenia.

Potem tłum gości się rozproszył.

Niektórzy wrócili do miasta. Inni pozostali w pałacu, aby spożyć wraz z rodziną

hrabiego i jego domownikami świąteczny posiłek, a także tradycyjne placki.

Pozdrowiwszy barona Salomona i damę Agnieszkę, którzy należeli do grona biesiadników hrabiowskiego domu, Isambora, Awelina, Perryna, Majol, Albrea i Garin opuścili dwór.

Wychodząc z zamku, natknęli się na grupę żonglerów i wędrownych muzykantów, którzy przybyli, by zabawić gości.

Aby również uczcić Epifanię, mincerz zaprosił do swego stołu, oprócz mistrza budowlanego i jego rodziny, jednego z przyjaciół, wekslarza z zawodu, oraz jego żonę i dzieci.

Uczta była wystawna, zgodnie ze zwyczajem przestrzegany w jego domostwie.

Rozmawiano o drugiej wyprawie hrabiego, który z pewnością odzyska dobrą sławę w oczach poddanych, chociaż wszyscy wiedzieli, co myśleć o inicjatorce tego przedsięwzięcia.

Przy tej okazji Garin i Albrea się posprzeczali, jedno bowiem twierdziło, że Adela zachowała się jak żywe wcielenie sumienia hrabiego, który gdyby nie ona, pozostałby na zawsze skompromitowany w pamięci potomnych; drugie uważało, że przekroczyła ona swoje prawa, ingerując w los swego małżonka, i że nie był to dowód prawdziwej miłości po raz wtóry narażać biedaka na śmierć.

Dyskusja przycichła, gdy na stół podano placek. To Majol znalazł ziarnko bobu i ogłosił królową swoją żonę.

Reszta popołudnia upłynęła na rozrywkach: grano w szachy, kostki, zagadki, szarady. Najmłodszy muzykowali. Gresja śpiewała z Filipą i inną dziewczyną, Albrea akompaniowała im na flecie.

Słuchając serenad i ballad albo przez grzeczność uczestnicząc w grach, które ją nudziły, Isambora myślała o Jehanie, którego dostrzegła podczas porannej ceremonii stojącego za fotelem hrabiny. Zastanawiała się, czy gdy nadejdzie wieczór, zdecyduje się zatańczyć z nim na balu.

Awelina, którą znużyło długie stanie, chciała wrócić do siebie wcześniej. Dołączyli do niej matka i mąż. Wkrótce potem rozeszli się też pozostali goście.

– Zjemy skromną wieczerzę i wyszukujemy się na bal Trzech Króli – rzekła Albrea, gdy zapadał już zmierzch.

– Nie wiem, czy z wami pójdę – odezwała się Isambora. – Tańce wcale mnie nie pociągają...

– Na Boga, miła pani, nie godzi się, by jeszcze całkiem młoda i piękna kobieta żyła jak mniszka! – zawołał mincerz. – Trochę rozrywki ci nie zaszkodzi, wierz mi.

Nietrudno mu było przekonać Isamborę. Niczym roślina o rozrastających się korzeniach, pokusa wciąż w niej rosła.

– Czy też pójdziesz z nami potańczyć? – spytała Albrea Gresję, zajęętą karmieniem resztkami mięsa i chleba oswojonej sroki, przycupniętej na brzegu skrzyni.

– Wolę zostać – odparła.

– Przecież na wieczornicach tańczyłaś z przyjemnością, jak mi się wydaje.

– To prawda, ale tutaj wszyscy są do mnie przyzwyczajeni. Inaczej jest w zamku. Isambora podeszła do córki, objęła jej drobne ramiona.

– Kiedyś będziesz musiała, moje dziecko, zmierzyć się ze światem – powiedziała najłagodniej, jak mogła. – Dlaczego nie miałabyś zacząć już dziś wieczór?

– Dlatego że nie jestem jeszcze gotowa. W tym domu czuję się bezpiecznie. W pałacu będę za bardzo wystawiona na spojrzenia.

Isambora pochyliła się i przytknęła wargi do smukłej szyi o mlecznobiałej skórze. Równiutko rozdzielone przedziałkiem, włosy Gresji były zaplecione w dwa gładkie warkocze, u których nasady powiewało parę blond kosmyków. Jeśli jakaś część jej ciała sprzeniewierzała się nieustającej potrzebie, by odsuwać się od innych, zachowywać rezerwę charakteryzującą jej postawę od chwili wypadku, to właśnie ta. Wrażliwość, wdzięk, gibkość schroniły się w tej wąskiej cielesnej kryjówce, która wymykała się dziewczynie spod kontroli.

– Zrobisz, jak zechcesz, droga córeczko – szepnęła Isambora. – Na miłość boską, nigdy nie będę cię zmuszać do takich rzeczy!

Zapadł już zmrok, gdy Albrea, Isambora i Garin, eskortowani przez trzech służących niosących pochodnie, wyszli z domu, by udać się do pałacu hrabiostwa.

Obie w sukniach utkanych z delikatnej wełny, obszytych haftowanym galonem, zakutane w płaszcze z kapturem podbite bobrem, usiłowały nadążyć za mincerzem, który sadił wielkimi krokami.

Noc była mglista i zimna. Gdy ktoś otwierał usta, oddech zamieniał się w parę. Pochodnie z brzozonej kory skwierczały pod wpływem wilgoci.

Oświetlony setkami świec z czystego wosku pałac wydawał się przybytkiem rozkoszy.

Wesołe melodie powitały nowo przybyłych, gdy weszli do wielkiej sali, gdzie rano odbywało się zgromadzenie. Ozdobiona ostrokrzewem, jemiolą, wrzosem, kwiatami ciemiernika estrada, na której przedtem siedział hrabia, teraz służyła muzykantom. Harfy, flety, tamburyny, bębny, dudy, kobzy, dzwonki i kołatki z rogu rywalizowały ze sobą, wydając najróżniejsze dźwięki.

Po jednej stronie kolumnady tańczono. Po drugiej, wokół hrabiowskiej rodziny, utworzyły się grupki między ogromnym kominkiem, w którym płonęły ułożone w stos kłody, a długim stołem nakrytym białym obrusem, uginającym się od potraw.

Wśród gości krążyła służba, podając na szerokich tacach ziołowe lub korzenne wino, miód pitny lub hipokras. Piętrzyły się na nich również srebrne puchary zdobione emalią, grawerowane kubki lub szklane kielichy oprawione w srebro.

Mincerz znał wielu ludzi. Przedstawił kilku Isamborze, oszołomionej tym zgiełkiem i luksusem.

Tancerze łączyli się i rozdzielali...

Ich ewolucje z dala śledzili na tyle, na ile pozwalały im kotary dzielące przestrzeń, hrabia, hrabina i członkowie ich świty, usadowieni na ławach wyściełanych poduszkami.

Od czasu do czasu Stefan z Blois wstawał ze swego fotela, brał za rękę Adelę lub jedną z dam, by poprowadzić je do tancerzy, z których tłumem na chwilę się mieszał. Podobnie czynili zaproszeni goście.

Mieli na sobie szaty z jedwabiu lub czystej wełny, bogato haftowane, obszywane złotą lamówką, byli obwieszani złotą i srebrną biżuterią wysadzaną szlachetnymi

kamieniami. Na głowach mieli opaski ze szlachetnych metali, po mistrzowsku wyczelowane, imitujące kwiaty, które na zewnątrz zima ścięła lodem.

– W to święto każdy powinien nosić koronę za przykładem Trzech Króli – rzekła ze śmiechem Albrea do Isambory.

Stały w gromadce przyjaciół Albrei i mincerza. Wszyscy gawędzili, popijali, świetnie się bawili.

Skoczna i rytmiczna muzyka przyspieszała bicie serca, porywała w wir nieco szalonej radości.

W zamieszaniu Isambora raptem dostrzegła Jehana, który przeciskając się między obecnymi, zmierzał w jej stronę.

Wcięty w talii, ściśniętej szerokim pasem z białej skóry, na który miękko opadała zbluzowana niebieska serża jego kaftana, wydał jej się szczególnie pociągający. Pomyślała, że nie darmo nosi stroje w tym kolorze, takim samym jak barwa jego oczu. Było mu w nim bardzo do twarzy.

Ujrzawszy go, młoda kobieta od razu pomyślała, że na niego czeka. Pożądanie połączone z uczuciem skrępowania tak na nią podziałało, że spiekła raka.

– Jak pięknie błyszczą twoje oczy, najmilsza pani – rzekł sekretarz hrabiny, podchodząc do niej. – Lśnią i połyskują srebrem niczym najcieńsze klingi naszych mieczów... – Pochylił się ku niej. – Ranę, którą zadały mojemu sercu, jedynie ty możesz opatrzyć, pani.

– Mówisz do mnie, panie, jak do jednej z tych dam dworu, do których masz zwyczaj się zwracać, a ja przecież jestem tylko zwykłą hafciarką – zaprotestowała Isambora.

– Czyż tkactwa i hafciarstwa nie uważa się za szlachetne sztuki? Czy niewiasty, które się nimi parają, nie pochodzą często z rodów naszych najznakomitszych baronów? – odparł Jehan, uśmiechając się.

– Ja do nich nie należę!

– Nie bądź nadto skromna, droga pani. Dziś wieczór, tak szykownie ubrana, śmiało możesz rywalizować z którąkolwiek z niewiast otaczających naszą hrabinę.

Ujął prawą dłoń Isambory i ucałował ją. Młoda kobieta zaczerwieniła się.

– W purpurze doskonale wyglądasz – oznajmił sekretarz.

Ciemnoczerwony kaftan Isambory był ozdobiony białą lamówką haftowaną karminowym jedwabiem...

– Na Boga, nie zwlekajmy, chodźmy – rzucił Jehan. – Nie obiecałaś, pani, że zatańczysz ze mną rondę i farandolę?

Do rozmowy włączył się Garin.

– Nie daj się prosić, pani – rzekł. – Korzystaj z tego wieczoru bez wyrzutów sumienia. Życie jest krótkie, a Pan Bóg nie wymaga od nas, byśmy sobie odmawiali wszelkich przyjemności. Nadmierna surowość może szkodzić duszy. Do rozwoju tej pięknej rajskiej roślinie potrzeba radości, podobnie jak kwiaty w naszym ogrodzie potrzebują słońca, aby rozkwitnąć!

Poufały ton mincerza, którego upodobania budziły jej podejrzliwość, wcale nie podobał się Isamborze, ale kilka tańców do niczego nie zobowiązywało. Podążyła za

Jehanem.

Minstrele zagrali *estampie*<sup>[18]</sup>, wesoły, rytmiczny taniec. Melodia była tak ładna, że obecni z miejsca ją podchwycili, klaszcząc w dłonie.

Ogarnięta gwałtowną radością, zaprawioną jednak kroplą goryczy, Isambora dała się ponieść muzyce. Jehan ścisnął jej palce...

Zatańczyli, napili się zdradliwie słodkiego hipokrasu i znów ruszyli w płąsy...

Wokół nich inne pary, podobnie jak oni, wykonywały niestrudzenie, aż do zawrotu głowy, wciąż te same kroki, powtarzane w nieskończoność...

Karole, *trèches, espingueries*<sup>[19]</sup>, rondy następowały jedne po drugich.

– Chyba jest bardzo późno – stwierdziła nagle Isambora. – Muszę już wracać.

– Jak sobie życzysz, ślicznotko. Odprowadzę cię, pani – oświadczył Jehan gorliwie.

– Ależ nie. Wystarczą moi przyjaciele.

– Nigdzie ich nie widzę. Chyba wyszli dawno temu.

– Wyszli beze mnie?! – zawołała zaskoczona młoda kobieta.

Czy Albrea i Garin zdradzili ją, wymykając się bez uprzedzenia, czy raczej zostawili ze szczerej życzliwości? Pewnie uznali, że powinna się rozerwać, zapomnieć, może nawet od nowa ułożyć sobie życie...

Czyżby tak słabo ją znali?

Wokół pary, jaką tworzyli z Jehanem, tłum tancerzy zaczął rzędnąć.

Isambora dopiero teraz sobie to uświadomiła. Poczowała się ogromnie zażenowana.

– Z pewnością nie chcieli cię, pani, odrywać od zabawy – powiedział Jehan, trzymając dłoń tancerki uwięzioną w swojej.

– Nie mogę wracać sama przez miasto w środku nocy! – wymamrotała Isambora jakby do siebie.

– Na wszystkich świętych, nie ma o tym mowy! – wykrzyknął sekretarz. – Gdybym na to pozwolił, byłbym ostatnim gburem!

Po przejściu przez zamkową furtę pogrążyli się w ciemności. Isambora zadrżała z zimna.

– Twój płaszcz nie jest dość ciepły, najmilsza – rzekł Jehan.

Objął ramiona swej towarzyszki okryte futrem bobrowym i przycisnął ją do siebie.

Ponieważ nie poprosili, by odprowadził ich służący, młody człowiek niósł w lewej ręce latarnię, która oświetlała słabym światłem ich drogę.

Pora była późna. Kilka płatków śniegu wirowało nad pochyłymi dachami, po czym topniało na ziemi.

Z powodu nocnej zabawy gościom hrabiego pozwolono krążyć głównymi arteriami miasta po ustalonej godzinie gaszenia świateł i ognia. Dlatego patrol straży, który pojawił się na rogu jednej z ulic, przepuścił parę, nie przeprowadzając kontroli, której zwykle poddawano spóźnionych spacerowiczów.

– Gdybyś tylko zechciała, pani, ty, która mi się tak podobasz – szepnął Jehan, zbliżając usta do futrzanego kaptura, gdy straż się oddaliła – gdybyś tylko zechciała, mógłbym dzisiejszej nocy być najszczęśliwszym człowiekiem.

„No i nadszedł ten moment!” – pomyślała Isambora.

Zadrżała.

– Zamilcz proszę! – rzekła bez przekonania.

Szli ramię przy ramieniu w ciemnościach rozjaśnianych styczniovymi śnieżynkami. Jehan coraz mocniej przytulał się do swej towarzyszki.

Gdy dotarli do bramy nowego domu przy ulicy Trzech Kluczy, sekretarz hrabiny przystanął.

– Mieszkam tutaj – bąknął cicho. – Na miłość boską, proszę, byś zechciała spędzić resztę nocy u mnie!

– Za nic na świecie!

Jehan schylił się, postawił latarnię na ziemi, po czym, odwracając się, gwałtownie przyciągnął Isamborę do siebie.

– Przecież jesteś samotna, pani, nie masz mężczyzny, który by cię kochał, a przy tym jesteś taka ponętna – rzekł głucho, z natarczywością w głosie. – Czemu wyrzekasz się rozkoszy, których domaga się twoja młodość?

– Bo cię nie kocham, panie! – rzuciła Isambora, odskakując do tyłu.

Myślała, że ta odpowiedź zniechęci młodzieńca. Próżna nadzieja. Znów namiętnie przygarnął ją do piersi. Jego wargi miażdżyły wzgardliwe usta. Wymuszony pocałunek był tak brutalny, że ich zęby uderzyły o siebie.

Jednak nie ta porywczosć odstręczyła Isamborę. Błyskawicznie stanęły jej w pamięci inne pocałunki, znów poczuła ich słodycz, a wtedy wstrętem nappełniło ją zbliżenie, którego nie chciała, lecz które musiała znieść.

Instynktownie wymierzyła Jehanowi siarczysty policzek, po czym, korzystając z osłupienia sekretarza, wyrwała się z jego objęć, puściła się biegiem po błotnistej drodze wśród uparcie lecących z nieba płatków śniegu.

Młody człowiek ruszył jej śladem, dogonił ją.

– Nie miałem zamiaru cię obrazić – powiedział, gdy się z nią zrównał. – Bóg mi świadkiem! Ale tak bardzo cię pragnę, pani!

– Myślałam, że masz większą ogładę niż ludzie ze wsi – rzuciła Isambora, wciąż biegnąc. – Widzę, że się myliłam.

Jehan chwycił ją za ramię, aby stanęła. Potknęła się na oblodzonej ziemi i upadłaby, gdyby jej nie przytrzymał.

– Na mą duszę, kocham cię i nigdy do niczego nie będę zmuszał – rzekł, nie puszczając jej, lecz także nie biorąc w objęcia. – Dobrze wiesz, pani, że darzę cię szacunkiem.

– W takim razie odprowadź mnie do mego domu i zostaw mnie w spokoju, panie!

Nie zamieniwszy już ani słowa, dotarli do siedziby mincerza.

– Chociaż należę do tych, którzy w miłości postępują ściśle według wskazówek hrabiny – zagadnął znów Jehan, widząc, że Isambora zamierza wejść do domu – jestem w tobie, pani, szaleńczo zakochany. Zlituj się nade mną. Nie gniewaj się za niewinny pocałunek. Tak długo czekałem na tę chwilę!

– Dobranoc! – rzuciła Isambora, po czym pognała przez dziedziniec, pospiesznie zamknąwszy za sobą bramę.

Mimo to łzy stanęły jej w oczach, gdy usłyszała, jak Jehan się oddala... Pod zaciśniętymi powiekami znów ujrzała jeźdźca w czerwonej pelerynce galopującego ku

niej, porywającego ją i sadzającego w siodle.



## X

– Przejdźmy do rzeczy – rzekł Gildas. – Na świętego Leobina! Nie po to przebyłem całą tę drogę z Fréteval do Blois, by strzepić sobie język po próżnicy!

„Czego jeszcze się od niego dowiem? – zastanawiała się Isambora. – Doskonale nadaje się na posłańca, ale rzadko przynosi dobre nowiny!”

Zabawa na Trzech Króli, cztery dni wcześniej, wywarła na młodej kobiecie nieprzyjemne i trochę niepokojące wrażenie. Od tamtej pory nie widziała Jehana.

Jeśli będzie musiała, oprócz dwuznacznych kontaktów z sekretarzem hrabiny, stawić czoło innym trudnościom, jak sobie z tym wszystkim poradzi?

Tego niedzielnego ranka, wracając po mszy, Isambora i jej dzieci zastały młynarza z Fréteval, który czekał na nich w wielkiej sali ich domostwa.

Schudł. Jego orli nos wydawał się tym mocniej zakrzywiony.

Zagadując o tym i owym, spożył z nimi pierwszy posiłek składający się z serów, jaj, kromek chleba, po czym Filipa, Albin i Doetta poszli się bawić do ogrodu, tymczasem Batylda kładła do łóżka Ogiera.

Pogoda się poprawiła. Styczniowe słońce, wyblakłe i pozbawione ciepła, snuło się między wysokimi dachami krytymi dachówką, a w izbie usłanej sianem z trzaskiem płonął ogień.

– Aljom wrócił – oznajmił Gildas.

Serce Isambory zalała fala ulgi.

– Nareszcie! – zawołała. – Znow go zobaczę, chwała Bogu! Ale dlaczego sam się tu nie zjawił?

– Po prostu nie miał odwagi. Uciekł z domu tak niespodziewanie, że boi się twoich wymówek.

– Jakby mnie nie znał! – westchnęła młoda kobieta. – Co by to dało, gdybym go obsztorcowała? Wrócił, to najważniejsze! Jak się miewa?

– Dobrze... chociaż nie może odżałować, że poszukiwania nie odniosły żadnego skutku.

– A więc nie odnalazł ojca?

– Widocznie Bóg tak chciał. Nie powinien siebie o to obwiniać, bo jeśli wierzyć jego słowom, przecesał normandzką prowincję wzdłuż i wszerz!

– Biedak na próżno się miotął! Bernold mieszka teraz po drugiej stronie kanału La Manche.

– Jesteś tego pewna?

– Całkowicie. Majol ostatnio spotkał mistrza ciesielskiego, który wracał z Anglii, gdzie pracował z moim mężem.

Zapadła cisza. Z ogrodu dolatywały krzyki dzieci, a z drugiej strony dziedzińca stukot młotków, którymi posługiwali się robotnicy mincerscy.

W warsztacie bito monety przez cały dzień.

– Czy Bernold od wyjazdu przesyłał jakieś nowiny? – zagadnął po dłuższej chwili skonfundowany Gildas.

– Nie, ani razu. Nie odzywając się, chce pewnie dać do zrozumienia, że

przestaliśmy dla niego istnieć... Sam widzisz, Gildasie, nie mam już męża!

– Moja ty biedaczko, moja biedaczko... Chciałbym ci powiedzieć...

– Wiem, Gildasie, wiem...

Isambora wstała ze stołka, chwyciła szczypce i zaczęła bez najmniejszej potrzeby rozniecać ogień.

Odwrócona do Gildasa tyłem, podjęła wątek, zwracając się do mężczyzny, który nie spuszczał z niej życzliwego spojrzenia:

– Nie wątpię w twoje oddanie i przyjaźń, jaką mnie darzysz od zawsze, ale nikt nie może postawić się na moim miejscu ani cierpieć za mnie!

Wyprostowała się, odłożyła szczypce, stanęła bez ruchu przed kominkiem.

– Sytuacja kobiety porzuconej jest gorsza, niż ktokolwiek sobie wyobraża – ciągnęła z głową zwieszoną na piersi. – Zwykle się o tym nie myśli albo tylko przez moment, aby uznać się nad nią i jej losem. A prawdę mówiąc, brakuje jej dosłownie wszystkiego. Trzeba się poddać albo walczyć – nie ma innego wyboru!

Przerwała, podniosła głowę i wreszcie spojrzała na młynarza, który wciąż słuchał jej z wytężoną uwagą.

– Po paru miesiącach załamania i niepewności postanowiłam jednak walczyć – ciągnęła. – Nie chcę dać za wygraną. To byłby koniec naszego życia rodzinnego. Dzieci by mną pogardzały. Dla nich, lecz także ze względu na samą siebie muszę przejść zwycięsko przez tę próbę i nie uważać się za sponiewieraną, dlatego że mąż odszedł z inną! Moi bliscy, moi przyjaciele, moja praca pozwolą mi, jeśli Bóg się nade mną zlituje, nadal wychowywać tych, dla których jestem jedyną podporą.

Gildas skrzyżował ręce na kolanach.

– Wiedziałem, że jesteś dzielna – rzekł, wpatrując się w swoje paznokcie obwiedzione białą mączną obwódką – ale żeby aż tak! Widać, że jesteś szlachetnej krwi...

– Nie mam serca niewolnicy! – dumnie stwierdziła Isambora, stanowczo wysuwając podbródek. – Jeśli chcę od nowa zbudować swoje życie, to muszę się otrząsnąć!

Gildas długo pocierał nos, jakby się nad czymś zastanawiał.

– To znaczy, że poznałaś innego mężczyznę? – zapytał w końcu niepewnym tonem.

– Czy kobieta nie może żyć spokojnie ze swoimi dziećmi, tak by ktoś wnet nie pomyślał, że marzy jedynie o tym, by sobie założyć nowe wędzidło na szyję? – zachnęła się jego rozmówczyni. – Drogi mój, to przesady! Ja jestem wolna. Nie po to, by natychmiast oddać tę wolność w inne ręce!

– Na rany Chrystusa! Mogę ci tylko powinszować, wierz mi! – przyznał młynarz. – Postępuj według swego uznania, a na pewno postąpisz słusznie!

Teraz on z kolei wstał z ławy, na której siedział.

– Jaką radę mam przekazać od ciebie Aljomowi? – zapytał.

– Niech znów otworzy warsztaty szklarskie, weźmie ucznia i wydmuchiwacza, uruchomi piec. Jest młody. Ma dobry fach i wytyczoną drogę przed sobą.

– Czy uda mu się zapomnieć o swym nieszczęściu?...

– Zapomni czy nie, musi przede wszystkim myśleć o przyszłości! – ucięła Isambora. – W jego wieku wszystko jest jeszcze możliwe. Niech mi Bóg wybaczy, ale na

jego miejscu przestałabym się gryźć z powodu jakiejś niewdzięcznicy. Poszukałabym sobie ładnej dziewczyny bez podejrzanej przeszłości i prędko bym ją poślubiła!

– Jakżeś się zmieniła, moja droga – zauważył Gildas. – Byłaś taka przybita, gdy widziałem cię na pogrzebie ciotecznej babki... a ty nagle odzyskałaś wigor i masz wojownicze nastawienie, czego bym się po tobie nie spodziewał.

– Z biegiem czasu fakty i ludzie się zmieniają – przytaknęła Isambora, spuszczać wzrok. – Życie nauczyło mnie dwóch rzeczy: po pierwsze, by nie użalać się bez przerwy nad swoim losem; po drugie – że należy zwyczajnie przyjmować wydarzenia, w miarę jak się pojawiają, nie buntując się, akceptując siebie i innych takich, jak ich Pan Bóg stworzył.

„Co się ze mną dzieje? – rozmyślała, gdy została sama po wyjściu młynarza. – Dlaczego przemawiałam do Gildasa w takim tonie? Pozwoliłam sobie na wyznania, na jakie nie ośmieliłam się do tej pory nawet w największej skrytości ducha. Jego obecność skłoniła mnie do zachowania, do jakiego z pewnością jeszcze godzinę temu nie byłabym zdolna! Dlaczego? Czyżbym powoli przeistaczała się w całkiem inną osobę?”

Z czołem opartym o okap kominka Isambora obserwowała żywiołowy taniec płomieni, które pochłaniały ułożone na krzyż polana. Znienacka, niczym rój dzikich os, buchał z nich snop iskier, potem opadał na posadzkę i gasł równie szybko, jak się pojawił.

„Czy tak naprawdę to nie umizgi Jehana są przyczyną dziwnego upojenia, w które niespodziewanie popadłam? Gildas się nie mylił... Czyżby przepelnionemu goryczą sercu wystarczył jakiś dowód miłości, aby złagodzić jego cierpienie? Czy jesteśmy jak chorągiewki na wietrze? Czy jestem istotą równie lekkomyślną, jak te kobiety, które przechodzą od jednego mężczyzny do drugiego, pozornie nigdy nie zostawiając choćby małej cząstki samej siebie? Jeśli z góry usprawiedliwiam uległość, jakiej pragnie, spodziewa się, do jakiej przygotowuje mnie wbrew mej woli własne ciało, to czy nie płata mi ono brzydkiego figla?”

Isambora podeszła do okna, uchyliła je, spojrzała na dzieci, które siedząc okrakiem na kijach zakończonych rzeźbionymi w drewnie końskimi łbami, bawiły się w berka.

Zamknęła okno i wolnym krokiem wróciła do krosna, na którym czekała rozpoczęta robótka.

„Blezyjskie powietrze zdecydowanie mi nie służy – pomyślała. – Miasta to diabelskie tygle, gdzie całkiem bezkarnie sroży się zło. Szatan czuje się tam znacznie swobodniej niż na wsi. W istocie przyroda wciąż ukazuje nam Boga dokonującego dzieła Stworzenia. Gwiazdy, woda, chmury, drzewa, rośliny są bez grzechu, bo niewinne... Świadczą one o ładzie świata i uwadze, jaką Pan Bóg do nich przywiązuje. Miasta, odwrotnie, otaczają swoich mieszkańców murami, by tym skuteczniej ich odciąć od świata, trzymać z dala od wiejskich swobód... Oferują zwodnicze rozkosze, wystawiają na pokusy...”

– Co ci jest, mamó? – zapytała Filipa, która sama wróciła z ogrodu, jak jej się często zdarzało. Podpowiadał jej to niezależny charakter. – Masz jakieś zmartwienie?

– Skądże, gołąbeczko, skądże – odparła Isambora. – Wręcz przeciwnie. Gildas przyniósł nam dobrą wiadomość: twój brat wrócił do Grand Feu.

– Aljom wrócił! – wykrzyknęła dziewczynka rozanielona, składając ręce. – Jakie to szczęście! Kiedy go zobaczymy? Czy do nas przyjedzie? A może my do niego

pojedziemy?

– Jeszcze nie wiem...

Filipa rzuciła się w ramiona matki i objęła ją za szyję.

– Och! Jedźmy, jedźmy, proszę! Wracajmy do siebie!

– Niestety, dziecinko, tutaj mam pracę i zarabiam na utrzymanie nas wszystkich.

– Ale jeśli Aljom wrócił, to otworzy naszą wytwórnię szkła! Wszystko zacznie się od nowa!

– To nie takie proste – westchnęła Isambora. – Nie wiem, co zamierza zrobić twój brat. Zostanie we Fréteval czy będzie wolał się przenieść? Czy zabierze się do pracy w naszych warsztatach, czy też znajdzie sobie jakieś zajęcie gdzieś indziej?

– Jeśli mu powiesz, żeby nas nie opuszczał po raz drugi, posłucha cię, mamó! Wiesz, jaki był zawsze posłuszny.

– Nic już nie jest takie jak przedtem... – wyszeptwała Isambora. – Zobaczmy, jeszcze zobaczymy... Tymczasem trzeba szykować obiad.

Postawa Filipy dała młodej kobiecie do myślenia. W przeciwieństwie do córki nie miała wielkiej ochoty znów znaleźć się w Grand Feu. Obecność Aljoma nie wystarczy, by wypełnić pustkę... Za dużo wspomnień czaiło się na brzegach Loiru...

Może też do pozostania w Blois skłaniał ją finał przygody z Jehanem, wyczekiwany z lękiem, a zarazem z nadzieją?

W poniedziałek rano w szwalni hafciarki zauważyły ściągnięte rysy i podkrążone oczy Aweliny, której termin porodu się zbliżał. Poruszała się z trudem.

– Nie powinnaś przychodzić do pracy w takim stanie – powiedziała do niej Beatrix, którą jako najzdolniejszą czeladniczkę uważano za jej godną zastępczynię. – Idź do domu i odpocznij. Poradzimy sobie bez ciebie. Możesz być spokojna. Dopilnuję wszystkiego.

– Równie dobrze mogę czekać na rozwiązanie tutaj, z wami, jak w mieszkaniu, po którym tłukę się jak dzikie zwierzę w klatce! – zawołała Awelina, która pochylała się nad robótką, podszywając kawałkami welinu cienkie płótno, aby uwypuklić jego fakturę. – Poza tym nie lubię wsłuchiwać się w swój organizm. Gdy chwycą mnie bóle, na pewno zdążę wrócić do domu.

– Chyba że urodzisz wśród jedwabi i złotych lamówek! – zauważyła Isambora, ostrożnie manipulując tamborkiem używanym do haftu szydełkowego. – Ogier zrobił mi niespodziankę. Przyszedł na świat w mgnieniu oka!

– Najświętsza Panno! Już widzę minę Gilety i bliźniaczek, jeśli ni stąd, ni zowąd powijesz pędraka na podłodze! – palnęła Oduarda Papła, stojąca przy motowidle z jedwabną jasnożółtą przędzą, którą nawijała.

Zajęta wyszywaniem bladżółtych listków na gałęziach złoto-czerwonego drzewa, Gileta wykrzywiła się drwiąco i gwałtownie zaprotestowała.

– Na mą duszę! Taki drobiazg nie wytrąci mnie z równowagi – zapewniła wesoło. – Nie raz i nie dwa widziałam, jak rodzi się dziecko. Nie zapominajcie, że jestem najstarsza z ośmiorga braci i sióstr i że moja matka wydała ich na świat dwanaścioro!

Milczały jedynie bliźniaczki, które zawsze izolowały się w swoim kącie. Pochylone nad robótką, pieczołowicie, ścięciem za igłą, wykonywały napisy ponad już uformowanymi postaciami. Zacisnąwszy usta, z rzadka rzucając obojętne spojrzenie, nie

wtrącały się, gdy inne hafciarki podniecone dyskutowały o swych porodach. Starzały się, a żaden mężczyzna nie chciał dzielić z nimi życia, toteż miały żal do kobiet obdarzonych mężami i potomstwem.

– Wszystko to ładnie, pięknie – ucięła wreszcie Beatrix, właśnie wyszywająca srebrną nitką skręconą z pasemkiem zielonego jedwabiu krótki płaszcz jeźdźca – ale nasze opowiastki wcale nie zmieniają obecnej rzeczywistości. Musimy okazać rozsądek. W imieniu każdej z nas proszę cię, Awelino, abys niezwłocznie wróciła do domu, położyła się do łóżka i oddała pod opiekę twej świętej pani matki!

– Całkiem słusznie! – przytaknęła Mahauta, która wyrażała się zawsze nader oszczędnie, aby tracić jak najmniej cennego czasu, przeznaczonego na mrówczą pracę.

Jej szczupła śniada twarz była nieustannie pochylona nad niezwykle finezyjnymi haftami, które wykonywały po mistrzowsku drobniotkim ścięciem jej pokłute igłą palce.

Awelina w końcu się poddała. Wróciła do siebie, przyznawszy, że spuchnięte nogi i ciężki brzuch wystarczająco jej dokuczają i usprawiedliwiają odejście.

W pracowni znów zapanował spokój.

Zimny, styczniowy deszcz smagał fasadę budynku, jego krople bębniły o dachówki, a dziedziniec zamieniał się w grzęzawisko.

Dopiero wtedy, gdy bicie dzwonów w hrabiowskiej kaplicy oznajmiło przerwę, Eremburga, czeladniczka przypominająca kozę, podeszła do Isambory. Ta kończyła rozdzielać parę złotych nitek, które się poplątały.

Opóźniło ją to. Inne hafciarki już wychodziły.

– Wciąż nie mamy dość czasu, by się bliżej poznać – rzekła kobieta. – Szkoda, nie uważasz? Pracujemy wszystkie razem cały dzień, a mimo to jesteśmy sobie obce.

– To prawda – przyznała Isambora. – No cóż, całymi godzinami siedzę w szwalni, a po wyjściu czekają na mnie obowiązki matki rodziny. Niestety, nie znajduję ani jednej wolnej chwili, aby zaprzyjaźnić się z kimś, z kim bym chciała!

Duże wypukłe oczy Eremburgi wydawały się wykrojone ze złocistego agatu.

– Zawsze znajdzie się sposób, by robić to, czego się naprawdę pragnie – odparła, spoglądając porozumiewawczo. – Ja, wyobraź sobie, mam ochotę lepiej cię poznać. I jestem pewna, że dopnę swego! Czy zechciałabyś na przykład przyjść do mnie jutro po kolacji? Spędziłybyśmy razem wieczór.

– Nie wiem, czy to będzie możliwe...

– Jestem wdową, a moje dzieci rozproszyły się po świecie – ciągnęła Eremburga. – Doskwiera mi samotność. Okaż mi trochę dobroci, odwiedź mnie... Zaproszę też jedną albo dwie sąsiadki.

Isambora nie darzyła szczególną sympatią tej starszej od niej hafciarki, której zjadliwy dowcip często ją raził. Ale za dobrze знаła ciężar samotności, by nie współczuć i nie rozumieć potrzeby towarzystwa, jaką mogła odczuwać jej rozmówczyni.

– Postaram się znaleźć chwilę czasu jutro wieczorem – obiecała, wkładając nareszcie rozplątane złote nici do pergaminowych kopert, w których je przechowywano. – Przyniosę serki pigwowe.

I rzeczywiście, następnego wieczoru Isambora zjawiała się u swej nowej przyjaciółki z pełną łakoci cynową miską przykrytą białą ściereczką.

Eremburga mieszkała na czwartym piętrze dość już starego domu, wciśniętego między dwa świeżo wzniesione budynki.

Izba, do której wprowadziła gościa, była umeblowana paroma lichymi sprzętami. Oświetlały ją trzy świece. Największa stała na jedynej skrzyni, którą, jak się zdawało, posiadała biedna kobieta, druga paliła się u wezglowia łóżka nakrytego podniszczoną czerwoną kapą. Trzecia, wetknięta w żelazny świecznik, została umieszczona na stoliku nakrytym płótnem i przysuniętym do kominka.

Stały na nim dwa gliniane garnuszki, kilka kubków z bukszpanu oraz drewniany talerz pełen racuszków z szałwią.

Zdjąwszy płaszcz z ramion zaproszonej, Eremburga zaprowadziła ją do stołka stojącego obok nikłego ognia, w którym skwierczało na pół zwęglone polano.

– Siadaj, rozgość się – rzekła do niej. – Serdeczne dzięki za serki pigwowe. Przepadam za nimi!

Postawiła cynową miskę koło talerza z racuszkami.

– Zaprosiłam też dwoje moich przyjaciół – wyjaśniła następnie. – Myślę, że niebawem nadejdą.

Ktoś zastukał do drzwi. Do pokoju wkroczyła leciwa niewiasta, której warkocze o poźółkłych pasmach uderzały w duże obwisłe piersi.

– Isanna to jedna z moich ulubionych sąsiadek – zapewniła Eremburga. – Zna właściwości lecznicze ziół i przyrządza napary, które znakomicie pomagają na moje dolegliwości!

Rozmowa potoczyła się wokół zamieszania w mieście, wywołanego drugą wyprawą hrabiego do Jerozolimy. Uwagę trzech kobiet przyciągnęli zwłaszcza jeźdźcy i zbrojni z czerwonym krzyżem na ramieniu, starający się przed wyjazdem uregulować wszystkie sprawy.

– Zaczniemy pić i jeść, nie czekając na marudera – zaproponowała wdowa po pewnym czasie. – Nie będzie miał nam za złe, że skosztowałyśmy przed nim tych pyszności.

Wino morwowe było dość mocne, racuszki doskonałe.

Isambora kilkakrotnie opróżniła kubek, delektując się ciepłymi i posmarowanymi miodem ciasteczkami pachnącymi szałwią.

Znów ktoś lekko zapukał do drzwi.

Eremburga pospieszyła otworzyć. Wszedł Jehan.

Odrzucił kaptur, zdjął płaszcz i pozdrowił trzy kobiety, przyglądające mu się równie badawczo, lecz każdą innym wzrokiem. Zgodnie biegły ku niemu poufałe, zaciekawione, zdziwione spojrzenia.

– Bóg z wami, moje miłe – rzekł, kierując kroki do kominka. – Jestem wielce rad was widzieć.

Co zrobić? Co powiedzieć?

Isambora czuła, że serce wali jej jak młotem i miękną kolana.

Jehan zachowywał się bardzo swobodnie, wziął ze stołu kubek, napenił go i zbliżył się do młodej kobiety.

– Zgodzisz się wychylić ze mną kielich i wypić za twoje i moje zdrowie, piękna,

słodka pani? – spytał, pochylając się ku niej.

Był jak zwykle odziany na niebiesko; uśmiechał się, co często robił, ale jego jasne oczy po raz pierwszy przybrały wyraz zuchwalstwa.

Isambora pomyślała, że oburzanie się nic nie da, że w gruncie rzeczy tylko odrobinę ją dziwi to, co jej się przytrafia, a w każdym razie...

Przez jakiś czas gawędzili we czwórkę, powtarzając plotki krążące na dworze i w mieście.

Isanna wkrótce zaczęła się skarżyć na żołądek i poprosiła Ereburgę, by ją odprowadziła do domu.

– Mieszkam niedaleko – powiedziała, jakby się tłumacząc. – Nie zabiorę dużo czasu naszej gospodyni. Rychło tu wróci!

Wkrótce za obiema sąsiadkami drzwi się zamknęły.

– Po co zadawałeś sobie tyle trudu, panie, by urządzić tę farsę? – zapytała Isambora młodzieńca. – Nie jest ciebie godna!

– Ponieważ nie zgodziłaś się, pani, przyjść do mnie, gdy o to prosiłem!

Podniósł się, stanął przed nią.

– Łagodność i cierpliwość zalecane przez hrabinę nie poskutkowały, więc powiedziałem sobie, że pozostaje podstęp, bo przecież użycie siły nie wchodzi w grę. Czy nie miałem racji?

– W głowie mi się kręci – wymamrotała Isambora. – To wino morwowe jest równie zdradliwe jak ty, panie!

Jehan wybuchnął śmiechem.

– Jeśli czyni cię łaskawszą, to już coś!

– Wierzyłam w twoją uczciwość, panie. Jak bardzo się myliłam!

– Czy to nieuczciwe skłonić cię, pani, do czegoś, na co masz wielką ochotę?

Isambora wstała.

– Nigdy nie złamię danej obietnicy! – zapewniła, jednocześnie uświadamiając sobie, że ledwo trzyma się na drżących nogach.

– Danej komu? Mężczyźnie, który cię zdradził, porzucił, zniesławił! Czy zasługuje na takie poświęcenie?

– Jakie poświęcenie? Nie ma o nim mowy, bo przecież ja, panie, ciebie nie kocham!

Nagle poczuła, że chwytą ją, obejmuje, ściska w zaborczych ramionach.

– Wyrzeczenie się przyjemności, moja śliczna, to bagatela?

Twarz Jehana pochylała się nad jej twarzą. Isambora szarpnęła głową do tyłu.

– To prawda, że łaknę miłości – przyznała po prostu. – Nic dziwnego w moim wieku. Ale akt cielesny jest dla mnie czymś niezwykle ważnym, niemal uświęconym, gdyż wyrasta z potrzeby serca! Nie będzie nigdy rozrywką ani ukoronowaniem przelotnego romansu!

– Przecież ja, pani, cię kocham.

– Ja mówiłam o miłości odwzajemnionej!

– A więc kochajmy się z wzajemnością!

Nadzwyczajną uprzejmość, jaką zwykle tchnęła fizjonomia Jehana, zastąpiła koszmarna maska naznaczona pożądaniem.

– Pragnę cię! – rzucił, przyciągając do siebie, władczym gestem, głowę okoloną ciemnymi warkoczami.

Potem, usiłując rozewrzeć uparcie zaciśnięte usta, wymusił na niej pocałunek... Zawzięty opór, którego się nie spodziewał, do końca zniweczył pozory grzeczności, które usilnie starał się zachować.

– Chodź – mruknął ochryple. – Chodź!

Próbował zaciągnąć Isamborę do łóżka nakrytego czerwoną kapą. Wywiązała się milcząca walka. Ale młoda kobieta nie miała dość krzepy, by obezwładnić napastnika. Popchnięta przezeń, wbrew swej woli runęła na liche posłanie obłudnej gospodyni.

Rozwścieczony, trzymając ją jedną ręką w uścisku, podczas gdy druga obmacywała rozciągnięte pod nim ciało, usiłując podciągnąć kaftan i koszulę, Jehan pocałował Isamborę po raz drugi tak zachłannie, że straciła oddech.

Czy miała pozwolić, by ją wziął jak dziewczkę, którą chędoży się na sianie?

Nie podobał jej się zapach tego człowieka, smak jego śliny napawał ją wstrętem...

Z impetem uniosła nogę i zadała cios kolaniem w podbrzusze napastnika.

Wrzasnął, obrócił się na bok, zgiał w pół i zaczął jęczeć.

Isambora zerwała się jednym susem, pognała do drzwi, wypadła na zewnątrz.

Bez płaszcza, w powiewającym za nią welonie, z warkoczami bijącymi ją po udach, pędziła jak szalona w zimową noc omiataną lodowatym północnym wiatrem.

Ale nie przejmowała się chłodem. Serce boleśnie tłukło się w piersi, krew pulsowała w skroniach... Wszystko było nieważne!

Nie ujarzmił jej mężczyzna, który podstępnie chciał ją posiąść!

To zwycięstwo, odniesione zarówno nad własną żądzą, jak i nad Jehanem, nagle wprawiło ją w stan upojenia. Wraz z ufnością we własne siły odzyskiwała poczucie godności, nienaruszonej integralności.

Był to z pewnością wyczyn zaprawiony goryczą, ale jednak wyczyn!

Nie spotkawszy po drodze prawie nikogo, dotarła wreszcie do siedziby mincerza, przebiegła przez podwórze, wpadła do mieszkania.

Zamykając drzwi, zerknęła za siebie i ujrzała, że okno w pokoju Gresji jest jeszcze oświetlone. Poprzez drewnianą ramę obciążoną wypolerowanym i natłuszczonym pergaminem błyskały chwiejne płomyki palących się świec.

Isambora wiedziała, że córka rysuje, czyta, uczy się po nocach, i pozwalała jej na to.

Aby nie zwrócić uwagi dziewczyny, starała się bezgłośnie zamknąć drzwi.

Gdy weszła do swojej komnaty, osunęła się na podłogę obok kołyski, w której spał Ogier, i przyłożyła czoło do rzeźbionego drewna. Owionął ją dziecięcy zapach. Znalazła w nim coś w rodzaju melancholijnego ukojenia.

Tak więc, w najdalszym zakątku duszy mimo wszystko przetrwało potężne uczucie miłości, jakie zrodziło się w niej dwadzieścia lat wcześniej! Dowiodło swej mocy.

Wyrwała się z ramion Jehana nie w obronie swojej cnoty, lecz uświadamiając sobie rzecz oczywistą: nie mogła oddać się temu mężczyźnie, skoro kochała innego!

Nie zadowolił jej pierwszy lepszy, wbrew temu, co jej się przedtem wydawało. Jeśli w chwilach załamania samą siebie o tym przekonywała, to jednak się myliła. Na



przeszkodzie stanął instynkt, silniejszy od słabości.

Chociaż jej ciało, spragnione pieścizot, źle znosiło wstrzemięźliwość, którą mu narzucono, byle zalotnik nie mógł zaspokoić jego potrzeb. Potrafił to zrobić tylko jeden człowiek. Bernold!

Wstrząsana dreszczami, czując ból przenikający ją do szpiku kości, Isambora odkryła, że wierność to nie kwestia wyboru ani decyzji czy też moralności, lecz nieunikniony skutek takiego zapętlenia więzi, że żadna obca ręka nie zdołałaby jej zerwać.

Bo też mimo jego przewin wciąż kochała na tyle mocno nieobecnego małżonka, że nie mogła sobie wyobrazić miłości cielesnej bez niego, nie mogła znieść, by jej skóry dotykał ktokolwiek poza Bernoldem...

Pieszczoty Jehana budziły w niej obrzydzenie. Między nią a nim wyrosła bariera. Nieusuwalna przeszkoda: rozdzielił ich wstręt.

To było takie proste. Jej ciało akceptowało tylko jednego kochanka, nie chciało znać innych... Zdrada, porzucenie nie zaprzeczały prawdzie, tak bezwzględnej, że nic nie mogło jej podważyć.

Należała do kobiet, które oddają się całkowicie tylko temu, kogo kochają. Otóż tylko jeden umiał wzburzyć jej zmysły, a ona nieodmiennie kochała tylko jego...

„Co czynić, mój Boże, jak z tego wybrnąć? Jeśli mi nie odpowiadają przelotne romanse, to jak przeżyć tyle nocy, miesięcy, lat, które mam jeszcze przed sobą? Jak żyć bez Bernolda z pożądaniem przesywającym moje ciało niczym sztylet?”

Dopiero po dłuższym czasie spostrzegła, że nieopuszczające jej złe samopoczucie i dreszcze były rezultatem nie tylko rozterki.

Szczękała zębami, czuła się skostniała z zimna, a zarazem rozgorączkowana, głowa pękała jej z bólu.

Wróciła do sali, gdzie w miedzianym kociołku wiszącym na haku nad paleniskiem zawsze nocą była gorąca woda. Napełniła kamionkowy dzbanek, który wsunęła do łóżka. Spały w nim, przytulone do siebie, Filipa i Doetta, pogrążone w dziecięcych snach, nieświadome, spokojne.

Isambora rozebrała się tak szybko, jak mogła, i położyła obok dziewczynek.

Starła się nie obudzić małych, ale mimo ciepłego dzbanka, który miała pod stopami, wciąż wstrząsały ją dreszcze.

„Chyba się przeziębiam, biegnąc przez miasto” – pomyślała. Łamało ją we wszystkich członkach.

Rano dostała wysokiej gorączki.

Obsesyjne pytania, które sobie zadawała, przebijały się przez majaki i fale dokuczliwego gorąca, nie przestając jej dręczyć.

Obudzona przez matkę, Filipa poszła po Sancję.

– Naparz mi ziół...

Z Fréteval Isambora przywiozła torebki z roślinami leczniczymi, ususzonymi i podzielonymi na porcje przez Rolanda. Używała ich często, gdy chorowały dzieci, doskonale знаła więc ich sekrety.

Według jej wskazań służąca zmieszała kwiaty ogórecznika, szalwii, nagietka, żarnowca, bratka polnego z liśćmi wierzby, sporządziła z nich napar osłodzony miodem

i przyniosła swej pani.

– Niczego więcej nie wezmę do ust przez cały dzień – rzekła Isambora. – Chciałabym szybko wyzdrowieć. Nie mogę tu leżeć w piernatach, jeśli mam się uporać z całą robotą, jaka na mnie czeka w szwalni...

A jednak trzeba było poprosić Albreę, by posłała służącego i zawiadomiła przez niego pracownię, że Isambora będzie nieobecna, i nie wiadomo, jak długo to potrwa.

Batylda i Sancja umyły, ubrały i nakarmiły dzieci, po czym zaprowadziły je na mszę.

Wkrótce potem do sypialni weszła Gresja z oswojoną sroką siedzącą na jej ramieniu.

– Jak się czujesz, matko? – zagadnęła, zbliżając się do łóżka, w którym Isambora drzemała.

– Jestem strasznie zmęczona. Wykończona. Mam wysoką gorączkę.

– Przeziębiałaś się dziś w nocy.

To nie była sugestia, lecz stwierdzenie.

– Chyba tak...

Zbyt osłabiona, by wypytać dziewczynę, co wie, chora znów zamknęła oczy.

– Chce mi się tylko spać – szepnęła, aby nie musieć się tłumaczyć.

Późnym rankiem jedna z sąsiadek Aweliny przyszła z wieścią, że żona Majola poczuła o świcie pierwsze bóle porodowe. Sytuacja nie wyglądała najlepiej.

– Mój Boże! – jęknęła Isambora. – Mój Boże! Musiało się to stać, gdy ja leżę bez sił, nie mogę wstać, żeby do niej pójść i podtrzymać ją na duchu! Jestem do niczego!

– Nie zadręczaj się, moja droga – rzekła Albrea, która akurat była w domu, ponieważ tego dnia nie posługiwała w szpitalu. – Przy Awelinie jest matka, położna i choć parę kum. Znam blezyjki: na pewno cisną się tłumnie do jej pokoju! Wyda na świat dziecko bez twojej pomocy, i już!

Isambora potrząsnęła głową na poduszce. Miała rozpalone policzki, zarówno pod wpływem gorączki, jak i niespodziewanej przeciwności losu.

– Zapominasz, że my jesteśmy jak siostry! – zaoponowała. – Przysięgam, że jej nie opuszczę w krytycznej chwili... Poza tym powinnam zostać matką chrzestną noworodka. Jeśli choroba przykuje mnie do łóżka, jak spełnię ten obowiązek?

– Wielkie nieba, uspokój się! – odparła Albrea. – Przede wszystkim musisz wyzdrowieć. Potem się zastanowimy. W każdym razie twój przyszły chrześniak dopiero ma się urodzić! Poczekajmy z chrzcinami, aż będzie na świecie!

Niezadowolenie pogorszyło stan chorej, więc Albrea zdecydowała, że trzeba przystawić jej pijawki do stóp.

Przez cały dzień Isambora była pogrążona w gorączkowych majakach.

Scena z poprzedniego wieczoru, niepewna przyszłość, powrót syna, nieobecność męża, poród Aweliny tłukły się jej po głowie, tworząc coś w rodzaju natrętnego korowodu przerywanego chwilami drzemki.

Tuż po niesporach wpadł Majol i powiedział, że bóle chwyciły Awelinę przedwcześnie, że okazała się dzielna, czego się po niej spodziewano, ale ta ciężka próba może się jeszcze przeciągnąć.

Nie widział się z Isamborą i prędko wyszedł.

– Berta Hardziocha, która jest położną hrabiny, przyszła pomóc akuszerce twojej kuzynki – oznajmiła Albrea przyjaciółce po wyjściu Majola. – To ona odbierała porody wszystkich dziedziców rodu Blois. Potrafi jak żadna inna masować brzuch, gdy dziecko nie kwapi się z przyjściem na świat, i sama sporządza różne maści. Cieszy się wielką sławą w całym hrabstwie.

Isambora powiedziała, że to dobra wiadomość, ale że chętnie oddałaby rok życia, byle być przy kuzynce i służyć jej doświadczeniem w takiej chwili.

– Na szczęście już dwa miesiące temu pomyślałam o tym, by jej podarować wyrzeźbione z drewna figurki świętej Brygidy i świętej Maury, które zawsze patronowały mi w połogu – rzekła. – Pomagają w szczęśliwym rozwiązaniu.

– Ja też niedawno zapaliłam dużą świecę w kaplicy obok nas – podjęła Albrea. – Nie martw się. Nad twoją kuzynką czuwa Opatrzność.

Aby mieć pewność, że chora zaśnie, mincerzowa dała jej do wypicia kubek mleka, do którego wpuściła parę kropli wyciągu z maku.

Postanowiono również, że Sancja będzie spała na materacu w pokoju swej pani, podczas gdy Filipę i Doettę weźmie do swojego łóżka Batylda.

Kołyska Ogiera też zmieniła miejsce. Zabrała ją ze sobą Gresja.

Nazajutrz rano gorączka nieco spadła.

Isambora wciąż wlewała w siebie litry naparów i znów przystawiono jej do stóp pijawki.

– Czy są jakieś wieści od Aweliny? – dopytywała się parokrotnie przed południem.

– Służący poszedł się wywiedzieć – odrzekła Albrea. – Nic nowego. Nadal się męczy...

Mimo że gospodyni Isambory miała twardy charakter, z trudem ukrywała niepokój.

– Jest nie pierwszej młodości – mruknęła w końcu z zasępionym czołem. – Na wszystkich świętych, czemu tak zwlekała z zamażpójściem! Kiedy się rodzi po raz pierwszy w wieku szesnastu albo siedemnastu lat, wszystko idzie lepiej!

– Jest mocna – uparcie powtarzała Isambora. – Nigdy nie widziałam, żeby chorowała. W dzieciństwie mnie często bolał brzuch, gardło, miałam migrenę albo dostawałam gorączki... Awelinie nigdy nic nie dolegało. Tylko zdarzały się jej wypadki. Złamała rękę, spadła z wozu i zwichnęła kolano, a nawet uderzyła w mur, bo spadła z konia, który poniósł. Za każdym razem szybko się wygrzebywała...

– Słyszałam o kobiecie, która w trudnych przypadkach stosuje czary – szepnęła Albrea, siedząca w nogach łóżka przyjaciółki. – Jeśli sprawa będzie się przeciągać, odszukam ją.

Gresja, która karmiła butelką ze smoczkiem braciszka, leżącego obok matki, podniosła oczy.

– Ty, pani, wierzysz w czary? – zaciekała się.

– Czasem dają pożądane rezultaty – stwierdziła mincerzowa. – Chociaż, jeśli mam być szczerą, muszę przyznać, że niektóre kończą się kompletnym fiaskiem...

– Czy Kościół ich wyraźnie nie zabrania? – spytała dziewczyna.

– Ależ oczywiście! Ale czy nie należy spróbować wszystkiego, gdy czyjeś życie

jest zagrożone?

– Po co wyzywać los? – mruknęła Gresja. – Czy nie rozsądniej zdać się na Tego, który stworzył wszystkie rzeczy? Zdarza się, że śmierć jest łaskawsza niż życie.

Isambora zamknęła oczy. W pokoju zaległo milczenie. Słysząc było jedynie cichutkie cmokanie Ogiera pijącego mleko.

Dawno już się ściemniło, gdy ktoś zapukał do bramy. Służący pospieszył otworzyć. Wszedł Majol. Zapytał o Albreę, która przyjęła go w sali, gdzie znalazła się sama.

Widząc, jak wchodzi blady, z zaczerwienionymi oczami, odzieniem poplamionym krwią, obawiała się najgorszego. Zrozumiał to, wyciągnął drżącą jeszcze rękę.

– Nie, proszę się nie frasować – rzekł. – Ona żyje! Ale jest wyczerpana. Potrzeba czasu, by doszła do siebie. Ledwo ją uratowaliśmy.

– A dziecko? – nieśmiało zapytała żona mincerza.

– Mała dobrze się czuje.

– Dziewczynka?

– Na Boga! Tak! Matka omal nie przypłaciła życiem jej narodzin!

W głosie świeżo upieczonego ojca zabrzmiała uraza. Uświadomiwszy sobie to, potrząsnął głową.

– Nie zdążyłem jeszcze o niej pomyśleć – usprawiedliwił się. – Od paru godzin myślę tylko o żonie. Bałem się, że ją stracę...

Z jego ściągniętych niepokojem i zmęczeniem rysów można było odczytać, jaką walkę stoczył u boku Aweliny.

Aczkolwiek obecność mężczyzny w komnacie, gdzie rodzi kobieta, była z reguły niepożądana, to jednak w niektórych okolicznościach uważano ją za dopuszczalną.

– Byłeś przy niej? – zapytała Albreą.

– Z początku czekałem u sąsiadki. Potem Awelina mnie wezwała. Poszedłem tam... Przeżywałem mękę razem z nią... Nigdy sobie nie wyobrażałem, że trzeba tyle wycierpieć, by wydać na świat dziecko... Wrzeszczała i wbijała mi paznokcie w rękę, ilekroć chwyciła ją bóle... Byłem szczęśliwy, że mogę bodaj odrobinę dzielić z nią te katusze, ale zdawałem sobie sprawę z przerażającej nierówności w tym, co odczuwaliśmy ona i ja! To było okropne patrzeć, jak zмага się z bólem, któremu nie potrafiłem w żaden sposób zaradzić... Trzeba było wyciągnąć dziecko z jej brzucha, skąd wcale nie chciało wyjść... Istna jatka. Wszędzie było pełno krwi! Kiedy mała się urodziła, byliśmy u kresu sił. Położna słała się ze zmęczenia, Awelina miała poszarzałą twarz, zaciśnięte wargi, a ramiona i policzki pocętkowane na czerwono z powodu nieludzkich wysiłków. Żył nabrzmiały jej na głowie i szyi...

– Nie myśl już o tym – poradziła mu Albreą. – Ona prędko dojdzie do siebie. Ja też musiałam się nieźle namęczyć, aby urodzić Helwizę. Po trzech dniach już byłam na nogach. Awelina jest krzepka. Te przejścia niebawem będą dla was tylko przykrym wspomnieniem.

Podawała Majolowi kielich z hipokrasem.

– Wypij – poleciła. – Potrzebujesz tego.

– Już pędzę do domu – powiedział mistrz budowlany, gdy wypił trunek. – Proszę, byś w moim imieniu zawiadomiła Isamborę.

– Tak bardzo ubolewała, że nie może asystować twojej żonie w położeniu!  
– Cóż więcej mogłaby zrobić niż Berta Hardziocha? Niż inne kobiety, które się pofatygowały?

– Z pewnością niewiele, ale wiesz, jak są do siebie przywiązane!

– Przekaż jej nowinę. Zaznacz, że poczekamy z chrzciniakami, aż wyzdrowieje. Nie ma pośpiechu, bo nasza córeczka jest dobrze zbudowana i wydaje się silna.

– Jak ją nazwiecie?

– Joanna. Tak miała na imię moja matka.

Owinął się płaszczem i po raz pierwszy od przyjścia lekko się uśmiechnął.

– Nie będzie głupia – rzucił, odzyskując nieco dawnej wesołości. – Urodziła się z otwartymi oczami.

Nie zwlekając, Albrea powiadomiła przyjaciółkę o narodzinach jej chrześniaczki.

– Dziewczynka? – zawołała Isambora. – Chryste Panie! Mojego stryja zółć zaleje!

Reszta nocy upłynęła bez żadnych incydentów. Nazajutrz stan Isambory się poprawił.

Dzieciom pozwolono wejść i uściskać matkę; Filipa podarowała jej wianek ze wstążek, który uplotła.

Gresja zaproponowała, że zaśpiewa u jej wezgłowia, akompaniując sobie na przenośnej harfie, z którą się nie rozstawiała, podobnie jak z oswojoną sroką.

Dzień jakoś minął. Zapadła kolejna noc.

Litując się nad Sancją, Isambora zapewniła Albreę, że nikt nie musi przy niej czuwać. Młoda służąca mogła wrócić do Batyldy i dwóch dziewczynek, zajmujących drugi pokój.

Mniej więcej w porze jutrzni furtka w głębi ogrodu, z której korzystał mincerz podczas swych potajemnych eskapad, otworzyła się niepostrzeżenie. Przeszli przez nią dwaj mężczyźni.

– Jesteś u celu – rzekł cichutko starszy. – Teraz, mój drogi, pozostaje ci tylko spróbować szczęścia.

– Niech cię Bóg wynagrodzi za pomoc, mistrzu Garin! Gdyby nie ty, nie miałbym sposobu jej ujrzeć przez dłuższy czas.

– Zakarbuji sobie w pamięci, Jehanie, że uczyniłem to zarówno po to, by pomóc tej uroczej niewieście w niedoli, w której się coraz bardziej pogrąża, jak i po to, by cię wesprzeć – wyjaśnił szeptem mincerz. – Niech mi Bóg wybaczy, jeśli się mylę, ale wydaje mi się, że nie postępuję źle, umożliwiając ci schadzkę!

Noc była wilgotna i chłodna. Nie odzywając się więcej do siebie, obaj mężczyźni się rozstali. Jeden wszedł do dużego budynku, drugi skierował swe kroki do małego.

Posługując się kluczem, który mu wręczył właściciel domostwa, sekretarz hrabiny bez trudu dostał się do sali, a następnie do sąsiedniej komnaty.

Isambora spoczywała w łóżku opatulona kołdrami.

Wisząca na łańcuszkach u wezgłowia lampa oliwna słabo oświetlała śpiącą, dwie duże poduszki, o które się opierała, i pogniecione prześcieradła. Biała płócienna opaska, zawiązana na jej głowie, chroniła przed zimnem. To zgrzebne nakrycie wysubtelniało jej rysy, podkreślało profil twarzy, ujawniając zarazem pewną wrażliwość, którą zwykle

potrafiła zamaskować.

Jehan przypomniał sobie zdanie wypowiedziane kiedyś przy nim przez hrabinę: „Bóg z pewnością nas miłuje, kiedy śpimy – szepnęła. – Jesteśmy wtedy pozostawieni samym sobie, wydani na pastwę losu, broń wypadła nam z ręki...”.

W cynowej kadzielnicy dopalały się gałązki rozmarynu, tłumiące swymi aromatami chorobliwe wyziewy.

Zmieszany młodzieniec przez chwilę stał bez ruchu, zastanawiając się, jak zostanie przyjęty.

Czy słusznie nalegał na mincerza, starającego się przypodobać jednemu z faworytów hrabiny, aby zgodził się mu pomóc? Czy nie okazał się zbyt niecierpliwy?

Do tej pory liczyło się tylko wspomnienie ostatniego spotkania z Isamborą i jego rezultat. Musiał mieć tę kobietę, która mu się tak sprytnie wymknęła. Wydawało mu się, że by ją zdobyć, ma prawo użyć wszelkich forteli.

Teraz ogarnęły go wątpliwości...

Jednak folgując gwałtownemu pożądanemu, znów wznieconemu sceną, która ukazywała się jego oczom, odrzucił skrupuły, zbyt późne, by przyniosły jakiś pożytek.

„Dość tych wahań – powiedział sobie. – Moja hafciareczka, osłabiona gorączką, nie będzie mogła się bronić tak zawzięcie jak tamtej nocy... W dodatku jestem pewien, że tęskni za pieścizotami...”.

Starając się niczego nie potrącić, ruszył w stronę posłania. Pod jego stopami zdradliwie zachrząściły źdźbła słomy zaściełającej podłogę ułożoną z drewnianych klepek.

Sen Isambory chyba nie był tak głęboki, jak się wydawało gościowi. Otworzyła oczy.

– Na świętych Pańskich! Nie krzycz! – rozkazał Jehan, rzucając się ku niej. – Pomyśl o wszystkich tych, którzy mogliby cię usłyszeć!

Gdy dopadł do brzegu łóżka, pochylił się nad osłupiałą twarzą.

Nie wiedząc, czy jest pogrążona w koszmarnym śnie, czy też – choć dziwna wydała jej się obecność tego mężczyzny o tej porze w jej sypialni – ma do czynienia z kimś rzeczywistym, Isambora wahała się.

Wreszcie zrozumiała, czując powiew powietrza wywołany jego obecnością, zapach wilgotnego sukna dolatujący od jego ubrania.

– Kto ci pozwolił, panie?... – zaczęła.

Władcze dłonie bez żadnych wyjaśnień przygniotły jej ramiona, zziębnięte na dworze wargi zmiażdżyły jej usta.

Próbowała się wyrwać.

Nie do końca przebudzona, rozleniwiona ciepłem łóżka, zmęczona chorobą, Isambora nie miała takich możliwości odparcia agresji jak podczas poprzednich zakusów Jehana.

Wywiązała się bezładna szamotanina.

Chciwe ręce zuchwale odrzucały prześcieradło, kołdry podbite futrem jagnięcym, w zagłębieniu ciepłego siennika odkrywały nagie ciało o pięknych, sterczących piersiach, nabrzmiątych i miękkich, poznaczonych, każda z osobna, bliźniaczymi pieprzykami,

biały brzuch...

Thumiąc okrzyk zachwytu, Jehan opadł całym swym ciężarem na kobietę, która daremnie usiłowała go odepchnąć...

Wtedy drzwi nagle się otworzyły i do pokoju wpadła Gresja.

Dziewczyna popędziła w stronę łóżka, na którym dwoje przeciwników toczyło zażartą walkę. Niczym dziki kot, wystawiwszy pazury, zaatakowała napastnika molestującego jej matkę.

Szarpany, popychany, drapany, grzmocony pięściami, Jehan podniósł się, by uwolnić się od intruza. Odwracając się, dostrzegł okaleczoną twarz Gresji, której nie znał. Zaskoczony, na chwilę stracił odruch obronny. Błyskawicznie z tego skorzystała, wyciągnęła z rękawa nożyczki krawieckie, które tam ukryła, i pchnęła nimi młodego człowieka w lewe ramię. Wełniany materiał płaszcza zamortyzował cios. Ostrze zaimprovizowanej broni nie weszło głęboko, przebijając jedynie skórę.

Ośłupiały ze zdziwienia, boleśnie ukłuty metalowym narzędziem, Jehan wydał okrzyk, macając prawą ręką powierzchowną ranę. Dziewczyna uderzyła ponownie. Tym razem nożyczki dosięgły przedramienia sekretarza.

– Na miłość boską, córko, przestań! – krzyknęła Isambora.

Wyskoczyła z łóżka, owinęła się pogniecioną pikowaną kapą, chwyciła Gresję za nadgarstek, zanim ta zdążyła wymierzyć następny cios.

Jehan, ogłuszony i upokorzony, nieudolnie próbował rozbroić dziewczynę. Wymknęła mu się.

– Za dobra jesteś, jeśli chcesz oszczędzić takiego zdrajcę! – rzuciła do matki, stając przy niej. – Co by ci zrobił ten cap, gdybym nie interweniowała?

Ale włożyła z powrotem nożyczki do rękawa.

Wstyd i wściekłość zastąpiły u napastnika Isambory niezaspokojone pożądanie. Wycofał się pod najbliższą ścianę, oparł o stojący tam kufer podróżny ze skóry nabijanej ćwiekami i z obrażoną miną owinał połą płaszcza zakrwawione ramię.

Następnie, nie racząc nawet spojrzeć na obie kobiety, które przyglądały się temu, trzymając się za ręce, ruszył do wyjścia. Na progu się odwrócił.

– Żmije! – wycedził. – Obie jesteście żmije!

Po czym wściekłym krokiem wymaszerował z izby.

Słychać było, jak przechodzi przez salę i oddala się. Zatrzasnęła się za nim brama.

Isambora opadła na posłanie.

– Na Najświętszą Pannę, skąd wiedziałaś, kochana córeczko, że ten młodzik wdarł się do mojego pokoju i miał zamiar zmusić mnie do uległości? – zapytała, nie mogąc opanować nerwowych dreszczy, które nią wstrząsały.

– Znów się przeziębisz, matko – rzekła Gresja. – Proszę, połóż się!

Pomogła rekonwalescentce się ułożyć, przykryła ją prześcieradłami i kołdrami, troskliwie opatulila.

– Na mą duszę, przestań się trząść! – podjęła na poły z irytacją, na poły z powściąganą czułością. – Oddychaj powoli. Uspokój się. Ta paskudna sprawa już się nie powtórzy.

Ze swą zwykłą zimną krwią przyciągnęła taboret, aby usiąść u wezglowia

matczynego łoża.

– Odkąd ten wyfiokowany łotr tak bezwstydnie cię zaczepił na mszy w święto Trzech Króli, przyrzekłam sobie, że nie pozwolę, aby dalej cię napastował – wyjaśniła wreszcie. – Często słyszałam o nim na wieczornicach, jeśli akurat tam byłam. O jego zalotach wszyscy się szybko zwiedzieli, jak pewnie się domyślasz. Twoje koleżanki ze szwalni mają długie języki. Plotki dotarły do moich uszu.

Zacisnęła usta, podobnie jak robiła to Isambora, ale ten zwyczaj u niej nie świadczył o zatroskaniu lub namyśle, lecz o stanowczości i odwadze.

– Wiedziałam, że go nie kochasz – ciągnęła rezolutnie. – Nie mogłaś dać się nabrać na jego podstępny, ponieważ wciąż czekasz i masz nadzieję na powrót mojego ojca... Dlatego przed chwilą, gdy zdmuchnęłam świecę i usłyszałam kroki na żwirze w ogrodzie, uchyliłam okno. Zobaczyłam tego szubrawca. Domyśliłam się, że zamierza wykorzystać twój stan, by cię przyniewolić...

Chwyliła rękę matki i pocałowała ją żarliwie.

– Zabiłabym go, gdyby było trzeba – wyznała cichutko. – Zabiłabym! Nigdy bym nie pozwoliła, abyś broniła się sama, taka osłabiona jak teraz!

– Córko, córeczko... ocaliłaś mnie przed czymś gorszym niż dyshonor – wymamrotała Isambora. – Ocaliłaś mnie przed pogardą dla samej siebie!

Ze splecionymi palcami przez jakiś czas milczały.

– Jeśli chcesz, mam, zostanę z tobą do rana – zaproponowała dziewczyna po dłuższej chwili. – Byłabym niespokojna, gdybym cię zostawiła po czymś takim, co się tutaj działo.

– Ależ zostań, moje ukochane dziecko! – odparła Isambora z radością. – Od dawna czekałam na ten moment.

Gresja zdjęła moltonową matinkę, którą miała na sobie, i wsunęła się do wielkiego łoża Isambory.

Od ilu lat nie spały razem?

Wzruszona tym, że córka wyciągnęła się koło niej, że słyszy, jak jej oddech stopniowo staje się głębszy i regularniejszy, Isambora leżała bez ruchu, nie mogąc zmrużyć oka.

Scena, jaką właśnie przeżyła, wydawała się nierealna, idiotyczna, ale finał, niespodziewane nawiązanie bliższego kontaktu z Gresją, przyniósł jej taką ulgę, że zadowolenie przygłuszyło niepokój.

Co teraz uczyni Jehan? Będzie próbował się zemścić? Ale jak? Zawiniwszy, z pewnością przezornie zamilknie i będzie się starał, by hrabina nie zwróciła uwagi na postępek, który niechybnie napełniłby ją oburzeniem. W obawie, że straci protekcję, bez której nie mógł się obejść, będzie musiał nabrać wody w usta... W interesie młodego człowieka, podobnie jak i jego ofiary, lepiej było nie rozgłaszać nocnych wydarzeń...

Nad ranem Isambora zapadła w drzemkę, powtarzając sobie, że dwukrotnie uniknęła najgorszego, że sekretarz do reszty się w jej oczach skompromitował, że ciągoty, które mógł wzbudzić, wygasną wobec jego nielojalności...

Nazajutrz rano trzeba było jednak donieść Albrei o napaści Jehana oraz interwencji Gresji.



– Ten chłopak oszalał! – zawołała żona mincerza. – A przecież uchodził za wzór ogłady: nasza hrabina bez przerwy go wychwalała za nienaganne maniery!

– No właśnie, to najlepszy dowód, że wszystkie te piękne słówka wypowiedane na dworze w Blois wcale nie zmieniają ludzkiej natury! – wykrzyknęła Isambora. – Wbrew wszelkim złudzeniom, jakie żywi całe otoczenie hrabiny Adeli, zwierzę, które kryje się w każdym z nas, zawsze może wyleźć na wierzch! Poematy waszego Baudriego z Bourgueil na nic się tu nie zdadzą.

– Wydaje się, że cię to cieszy, moja droga – zauważyła Albrea, która pod nieobecność Gresji opiekującej się rodzeństwem podała rekonwalescentce na wzmocnienie kubek nalewki z kory wierzbowej. – Wypada jednak ze smutkiem stwierdzić, że próby okiełznania naszych instynktów kończą się sromotnym fiaskiem.

– Człowiek zawsze pozostanie człowiekiem – westchnęła Isambora. – Ciałem zespolonym z duszą. Na próżno byśmy temu zaprzeczali. Musimy do tego przywyknąć i liczyć się z naszą naturą, podobnie jak z umysłem... Łączymy w sobie bestię i anioła. To nasze podwójne dziedzictwo. Jeśli nie chcemy naszego nędznego losu postrzegać jak w krzywym zwierciadle, musimy się z tym pogodzić i okazać zdrowy rozsądek.

Gdy została sama po wyjściu przyjaciółki, rekonwalescentka jąła rozmyślać o ostatnich miesiącach, jakie w tym domu spędziła.

Leżąc w ciepłym łóżku i wykorzystując przenikliwość, jaka często następuje po słabości wywołanej chorobą, zrekapitulowała wydarzenia, jakie zaszły od czasu, gdy zamieszkała w Blois. Bilans nie wypadł zadowalająco.

„Skoro Aljom wrócił do Grand Feu, dlaczego nie mielibyśmy pójść w jego ślady? – zastanawiała się. – Wspomnienia o zniszczonym szczęściu nie będą mnie tam przesładować bardziej niż tutaj. W tym mieście też mieszkałam z Bernoldem, a nasza wspólna przeszłość czyha na mnie na każdym rogu... Filipa chciałaby wracać. Jestem przekonana, że Albin i Doetta byliby zachwyceni, gdyby znów mogli biegać swobodnie w naszej dolinie. Mój najstarszy syn z pewnością potrzebuje pomocy, potrzebuje mnie... Lepiej byłoby dla nas wszystkich, gdybyśmy zgromadzili się pod rodzinnym dachem... Aljom zajmie miejsce swojego ojca. Ja będę znów dyrygować służącymi, prowadzić razem z nimi dom, zajmować się ogrodem, zwierzętami... Jedyne Gresja wolałaby pewnie zostać tutaj. Muszę z nią porozmawiać. Teraz, gdy odzyskała zaufanie do mnie, całkiem możliwe, że zgodzi się wrócić do Fréteval...”.

Ten plan zaprzętał jej umysł cały dzień. Wolała jednak nie zwierzać się z niego jeszcze nikomu i postanowiła poczekać, aż wyzdrowieje, by go zrealizować.

Następnej nocy miała sen...

Przeistoczywszy się w Marię Magdalenę z witraża wykonanego niegdyś przez Bernolda, tkwiła uwięziona w obramowaniu na jednej ze ścian kościoła, w którym go zamontowano. Była ubrana w szkarłatny płaszcz, przypominający ten, który miała na weselu. Raptem spostrzegła, że to nie Chrystus przy niej stoi, lecz blada, drobna, chuda kobieta, której czarne przetykane perłami włosy opadają na śnieżnobiałą tunikę.

– Chodź ze mną – rzekła do niej kobieta.

Razem zsunęły się z witraża i dotarły do wielkiej sali, w której stał długi stół. Zasiadło przy nim mnóstwo biesiadników.

Isambora-Maria Magdalena znalazła się naprzeciw białej damy i obok młodego chłopaka.

Gdy się odwróciła, by ją zagadnąć, jej serce mocniej zabiło. Obok siedział nikt inny jak Henryś, drugi syn, zmarły przed laty! Uśmiechnął się do niej nadzwyczaj wesoło, ufnie. Ten uśmiech przepełniała radość. Chłopak przykrył dłonią matczyną rękę, która leżała na obrusie.

Jego ręka była ciepła i giętka, Isambory zaś – sztywna i lodowata!

Wtedy niewiasta w bieli wstała ze swego miejsca, by podejść do nich. Z tajemniczym wyrazem twarzy wsunęła na palec serdeczny prawej dłoni śniącej pierścień, którego oczko, w kształcie liścia koniczyny, zawierało tylko dwa rubiny...

– Nie będzie trzeciego – rzekła, wpatrując się czarnymi, błyszczącymi oczami w oblicze rozmówcy. – Nigdy. Zapamiętaj to sobie...

Isambora się obudziła.

Była w swoim pokoju.

Filipa i Doetta znów leżały po obu jej stronach.

Uszczęśliwione, że mogą wrócić do swych przyzwyczajzeń, smacznie spały.

Panowała głęboka cisza. Pewnie było około północy.

Wydawało się jednak, że jakaś biała, migotliwa poświata wypełnia komnatę przytłumionym, otulającym światłem.

Wyczuwało się czyjąś obecność, niewidzialną, lecz pewną. Kogoś troskliwego, kochającego, cierpliwego... tak silnego, dodającego otuchy, że Isambora wpadła w niemy zachwyt, niewymowną ekstazę, ogarnęło ją głębokie, przejmujące wzruszenie, które wyrażało zarazem radość i wdzięczność...

– Bóg tu jest – stwierdziła. – Obdarza mnie łaską! Odnalazłam Go.

Wstała, zarzuciła na siebie matinkę, uklękła przy łóżku, żarliwie nakreśliła potrójny znak krzyża, o którym dowiedziała się w dzieciństwie, że stanowi wstęp do modlitwy i upodobała go sobie Matka Boska, po czym zaczęła się modlić.

## XI

Wyrwana z sennych marzeń, Adeliza otworzyła oczy w przyjaznym mroku izby, w której noc ociągała się z odejściem, i westchnęła.

Leżąc na niej, z głową spoczywającą między jej piersiami, chrapał Bernold. Ciężar tego mężczyzny, jego nierówny, głośny oddech wybiły ją ze snu, którego mgliste wspomnienie wywołało w niej odrobinę nostalgii... Spróbowała odepchnąć zwaliste, bladokóre ciało wyciągnięte w poprzek pościela, ale zdołała tylko wydobyć ze śpiącego niewyraźny pomruk.

Nie uda jej się pozbyć kłopotliwego partnera, który ją przygniatał, zarówno pogrążoną w najgłębszym śnie, jak i na jawie, ani uwolnić od miłości zbyt zaborczej, by nie przytłaczała. Była zdana na jego łaskę i niełaskę.

Która mogła być godzina?

Mijało siedemnaście miesięcy, odkąd para zbiegów zamieszkała w Dover. Po całkiem bliskim, ogłuszającym ryku fal nauczyli się rozpoznawać moment, gdy kończy się dzienny lub nocny przypływ.

Adeliza często myliła godziny przypływów i odpływów, ale mgliście pamiętała, że jakiś marynarz mówił przy niej o porze prymy, gdy woda w morzu osiąga najwyższy poziom. Podobno wtedy fale kłębią się u stóp wysokich kredowych klifów, okalających port. A więc cisza i spokój nie potrwał już długo... Wkrótce wstanie dzień ze swą zwykłą krzątaniną, rozgwarem. Pierwszy dzień września...

Poprzedniego roku, w tym samym czasie, Adeliza poroniła, a potem przez parę miesięcy skarżyła się na bóle. Chociaż nie bardzo żałowała utraconego dziecka, które – jak sądziła – zbyt szybko pojawiłoby się na świecie, po całej sprawie pozostało jej przykre wspomnienie.

Przerażony niebezpieczeństwem grożącym przyjaciółce, Bernold nieustannie dawał jej dowody przywiązania, i to tak natarczywie, że po raz pierwszy od ich ucieczki z Francji zaczęła się niepokoić o przyszłość, jaka ją czeka.

Miłość dojrzałego mężczyzny, który w swoim fachu wyrobił sobie doskonałą opinię, zachwyciła ją i pochlebiała jej na początku ich znajomości, jednakże nieposkromiona namiętność, jaką do niej pałał, zraziła ją już pierwszej nocy, spędzonej w lesie Silva Longa.

Na słomie w leśnej kryjówce, gdzie Bernold brał ją z uniesieniem, które bardziej ją zbijało z tropu, niż zachwyciło, dziewczyna płakała bezgłośnie po każdym ze szturmów kochanka, zbyt często powtarzanych.

Całkiem odmienny od zaczepek, do których przyzwyczaili ją młodzi ludzie, którzy się do niej przedtem zalecali, ten szal zmysłów napełniał ją strachem.

A jednak do niego przywykła. Urok tego mężczyzny, a także moc jego szalonej namiętności wreszcie poruszyły obiekt tak płomiennych uczuć.

Adeliza nie tylko pozwalała się uwielbiać. Jej młodziutkie serce musiało prędzej czy później okazać się wrażliwe na nieustające dowody dzikiej żądzy, jaką w nim wzniecała.

Bernold został w końcu wynagrodzony za swoje starania.

Wiosna i lato po osiedleniu się w Dover zachowały w pamięci kochanków smak nieustających miłosnych zbliżeń, połączony z odgłosem przyływu i zapachem smoły.

Potem przyszła matka przewróciła się na powalonym smarem bruku portowego nabrzeża. Ten wypadek jednocześnie uwolnił ją od niechcianej ciąży i skazał na niezdarną troskliwość mistrza szklarskiego.

Choć w ciągu ostatnich miesięcy jej zmysły się rozbudziły, to jednak nie zmieniła się i nadal w miłości wołała pieszczoty niż osiągnięcie rozkoszy.

Podczas rekonwalescencji wymigiwała się od wszelkich kontaktów cielesnych z Bernoldem, ale taki stan rzeczy nie mógł przedłużać się w nieskończoność. Chcąc nie chcąc, musiała ustąpić wobec zbyt gwałtownych jak na jej gust porywów mężczyzny, którego zachłanność wciąż rosła.

Te nieumiarkowane igraszki, połączone z wieczną obawą, że znów będzie brzemienna, i wrodzony brak temperamentu, stopniowo oddalały ją od kochanka.

Kiedy porzuciła wszystko, by za nim podążyć, spodziewała się egzystencji całkiem innej od tej, z którą musiała się pogodzić w tym przeklętym kraju.

Z niewinnością piętnastolatki wyobrażała sobie ciąg upojnych chwil, gdy będzie się czołgał u jej stóp adorator zawsze do jej dyspozycji i gotów spełniać wszelkie jej zachcianki.

Głupiutka gaska zapomniała, że mistrz szklarski będzie musiał zarabiać na chleb, zapewnić im obojgu środki utrzymania. Wstawał o świcie, mył się w drewnianej balii wypożyczonej z portowej łaźni, w pośpiechu zjadał śniadanie przygotowane przez kochankę i zostawiał ją samą na długie godziny.

Czasem wpadał jak wichur na obiad, ale przeważnie nawet na to nie miał czasu.

Zmęczony i zakurzony wracał wieczorem, by znów się umyć, zjeść kolację, przyjmując paru kompanów. Rozprawiali o kościele, który razem budowali, o nowym królu Anglii, Henryku I Beauclercu, czwartym synu Wilhelma Zdobywcy, a najczęściej o Normandii, królestwie Francji...

Zależnie od pory roku Adeliza przędła, szyła, cerowała, przy kominku albo przy otwartym oknie, mówiąc sobie w głębi ducha, że marnuje najpiękniejsze lata, umierając z nudów po niezbyt udanej przygodzie.

Z wynajętego tuż po przyjeździe mieszkanca, które nie miało w sobie nic z pałacu, rozciągał się widok na port. Pomieszczenie było wąskie. Większą jego część zajmowało łóżko, w którym Adeliza przypominała sobie teraz rozczarowujące akty miłosne. Naprzeciw znajdował się kominek. W izbie mieściło się bardzo niewiele mebli. Wypełniał ją nieprzyjemny zapach ryb, które przez okrągły dzień sprzedawała handlarka pod ich jedynym oknem; przesiąkały nim ubrania, a nawet potrawy, które Adeliza starała się przyrządzać po francusku.

„W sumie – powtarzała sobie młoda kobieta po raz setny – w sumie Bernold potrafi tylko robić witraże i uprawiać miłość! Jakiś młodszy mężczyzna lubiłby potańczyć tak jak ja, pomuzykować. Mielibyśmy przyjaciół w naszym wieku... On nie umie się bawić! Jest przekonany, że całkowicie mnie zadowolają jego pocałunki i pieszczoty... Nie zna lepszej rozrywki niż spółkowanie! Słowo daję, nie po to uciekłam od rodziny i zakochanego we mnie chłopaka, który w gruncie rzeczy o wiele bardziej mi odpowiadał

niż jego ojciec, aby wędznąć w takim miejscu! Mam dość smętnego wyczekiwania dzień w dzień, aż wróci kochanek, który w dodatku jest bardziej zazdrosny, niżby wypadało, i w którym każdy mój gest budzi podejrzenia!”.

A że sprzątanie ciasnego mieszkania i szycie – zajęcia, które wykonywała z niechęcią – nie wypełniały jej czasu bez reszty, Adeliza postanowiła wychodzić z domu na spacer tak często, jak mogła.

Najważniejsze nadmorskie miasto spośród Pięciu Portów, do których należały Hastings, Hythe, Romney i Sandwich, wylot głównej drogi do Londynu, naturalna angielska przystań wiodąca na kontynent, Dover był niezwykle ożywioną aglomeracją. Ulicami przewalał się tłum marynarzy, żołnierzy, kupców, mnichów, klerków.

Adeliza zaprzyjaźniła się z córką sąsiadki z piętra niżej, rękawiczniczki pracującej u siebie. Szesnastoletnia Emma bardzo jej się spodobała. Miała wesołe, kpiarskie usposobienie i śmiała się z byle powodu. Wkrótce młodej cudzoziemce trudno się było obejść bez przechadzek w jej towarzystwie. Przeważnie podążały do portu, aby popatrzeć na przyplływające lub odpływające statki, ich załadunek, wyładunek, zaokrętowanie pasażerów. Bawiły je słówka, uwagi, docinki i drwiny, do jakich skłaniała przechodniów ich obecność, i czasem odpowiadały na nie całkiem dosadnie.

Zdarzało im się zawędrować na klify, aby pogapić się na morze...

Gdyby Bernold kiedyś się dowiedział, jak sobie popołudniami umila czas jego kochanka, pewnie nie byłby zachwycony...

Adeliza ponownie spróbowała zepchnąć leżące na niej ciało, ale jedynie rozbudziła swego towarzysza.

Jego hałaśliwy oddech ustał i zmienił rytm. Bernold westchnął, uniósł głowę.

– Nie śpisz już, serdeńko? – zapytał.

– Jak bym mogła? Robisz taki rumor przez całą noc, że uszy pękają!

– Już ci mówiłem, żebyś zagwizdała, aby mnie uciszyć.

– Gwizdanie tak samo nie daje mi zasnąć jak dźwięki, które wydajesz!

– Na Boga! Chyba musi być jakiś sposób na to, by nie zakłócać odpoczynku kobiety, którą się kocha! A jak inni sobie z tym radzą?

– Nie wiem. Nie zapominaj, że jesteś pierwszym mężczyzną, z którym dzielę łożę!

– Wiem, moja śliczna, i bardzo mnie to raduje!

Opierając się na łokciu, palcem obwodził jej miękkie kształty.

Była tak wąska w talii, że mógł ją bez trudu objąć dwiema rękami, miała obfite biodra, zgrabne nogi, jędrne, krągłe piersi, których różowe sutki naprężyły się pod wpływem dotyku.

– Nigdy mi się nie sprzykrzysz – zapewnił pełnym żaru głosem, który aż za dobrze znała. – Nigdy nie zdołam się nasycić twoim ciałem...

Jego pieśczoły stały się bardziej natarczywe, bardziej zdecydowane...

Raz jeszcze Adeliza musiała znieść nieokiełznaną namiętność, która, odkąd zamieszkali w Dover, kojarzyła się jej z rozhukanymi falami, wściekle tłukącymi w białe skaliste urwiska...

Ale tylko poddawała się gwałtownym miłosnym igraszkom, które zostały jej narzucone. Znużona ich powtarzalnością, zubożniała, nieobecna ciałem i duchem,

markowała rozkosz, by przypodobać się kochankowi, a zarazem czuła do niego żal, że zmusza ją do takiego udawania.

Kiedy Bernold opadł na nią, wydawszy ostatni jęk, odczekała chwilę, po czym podjęła przerwana rozmowę.

– A jak się zachowywałeś, zanim mnie poznałeś, gdy sypiałeś ze swoją żoną? – dopytywała uparcie. – Czy zdarzało ci się wyrwać ją ze snu tak często jak mnie?

Wiedziała, że Bernold nie znosi mówić o swojej przeszłości, rodzinie, a zwłaszcza o żonie.

– Do diaska, wyleciało mi z pamięci – mruknął. – Czyż nie jesteś jedynym przedmiotem mojej troski? O wszystkim innym zapomniałem.

Wyprostował się, przeciągnął, usiadł.

– Zaczyna się rozwidniać – zauważył. – Muszę opuścić ten przybytek rozkoszy i iść do roboty.

Stojąc przy łóżku, wydawał się ogromny. Jego potężna sylwetka wypełniała pokój.

– Wieczorem przyjdę do ciebie na budowę – rzekła młoda kobieta. – Jeśli nie będzie padało!

– Oby niebo dziś nie zesłało ani jednej kropli deszczu! – zawołał, wlewając trzy wiadra wody do drewnianej balii stojącej w nogach łóżka.

Gdy się mył, Adeliza wyjęła z szafki pod oknem chleb, ser, zsiadłe mleko i dwa kawałki pasztetu w cieście.

Odziana w zwykłą, luźną koszulę, z jasnymi włosami, połyskującymi srebrem niczym liście wierzby, rozpuszczonymi, tak jak lubił Bernold, i opadającymi na ramiona, drobna, szczupła, giętka, o kocich ruchach, dziewczyna z naturalnym wdziękiem przygotowywała prosty poranny posiłek.

Chociaż się energicznie szorował, mistrz szklarski nie spuszczał z niej oczu, nie uронił żadnego z jej gestów, napawał się nimi.

„Skoro sprzeniewierzyłem się prawom boskim, skoro wiem, że mojej duszy grozi niebezpieczeństwo, bo opętała mnie ta kobieta dziecko, to przynajmniej powinienem w pełni wykorzystać rozkosze, jakie oferuje jej piękne ciało! – dumiał fatalistycznie. – Niech się zatracę z kretelem, jeśli i tak ściągnę na siebie zgubę!”

Zjedli śniadanie, siedząc naprzeciw siebie, po czym Bernold wyszedł.

Niegdyś, jako dobry chrześcijanin, codziennie uczestniczył we mszy. Teraz chodził do kościoła tylko w niedzielę, ze swą przyjaciółką. Nie wolno im było przyjmować sakramentów, więc od wyjazdu z Fréteval ani jedno, ani drugie nie przystąpiło do Stołu Pańskiego.

Szklarz, człowiek szczerzej wiary, cierpiał z tego powodu w skrytości ducha. Mimo to nie miał najmniejszej ochoty się pokajać. Wprost nie mieściło mu się w głowie, że mógłby się rozstać z Adelizą. Wystarczyło, że zakołysała biodrami, a przenikał go rozkoszny dreszcz. Wolałby umrzeć, niż wiedzieć, że nie weźmie jej już w ramiona.

„Potrzebuję jej tak, jak człowiek potrzebuje strawy i snu – myślał po drodze na plac budowy. – Bez niej nie wyobrażam sobie życia! Chociaż poświęciłem dla niej rodzinę, co mnie bardzo boli, muszę jednak przyznać, nie oszukując samego siebie, że jedno jej dotknięcie wynagradza mi wszystko!”

Tak jak przeczuwał, zanim ją porwał, oznaczała dla niego powrót do młodości, zwycięstwo nad czasem...

Wokół niego miasto rozpoczynało nowy dzień. Łaziebni wołali, że oferują ciepłe kąpiele, kupcy otwierali swoje kramy, niewiasty zamiatały przed drzwiami, wieprze węszyły za odpadkami, którymi się tuczyły, marynarze wchodzili do tawern, aby przepłukać gardło.

Nad rozpościerającym się u jego stóp skupiskiem dachów, nad portem, w którym stały zacumowane liczne statki przyplływające ze wszystkich sąsiednich krajów, wznosiła się potężna anglosaska twierdza, której ziemne wały obronne wzmocnili Normanowie. Górowała nad miastem oraz pofałdowanym horyzontem oświetlonym pierwszymi promieniami słońca rozpraszającymi mgliste opary.

Bernold chciwie wciągnął w płuca słone, pachnące jodem i wodorostami powietrze, które przypominało mu rodzinny kraj.

Po akcie miłosnym z Adelizą zawsze rozpierała go radość i czuł się nadzwyczaj rześko.

Mewy, rybitwy, ptaszory latały nisko, polowały, pikując w zagłębienia fal, muskały zwinięte żagle statków, obsiadały maszty, pływały między pomalowanymi kadłubami albo walczyły o ochłapy wyrzucane za burtę przez marynarzy.

Powietrze wypełniały chrapliwe ptasie piski.

Bernold i jego ekipa pracowali przy budowie kościoła pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny.

Gdy mistrz szklarski wszedł na otoczony parkanem, niedostępny dla postronnych plac, panowała tam już ożywiona działalność.

Podmajstrzy murarski zaznaczał na kamieniach linie cięcia, tymczasem w rogu tynkarze rozrabiali dla murarzy gips i zaprawę. Kamieniarze, rzeźbiarze wycinali, młotkowali, formowali tympanony, kapitele i posągi. Cieśle piłowali deski, robotnicy wozili taczkami, wózkami lub nieśli na ramionach wiadra, kamienne bloki, pnie drzew.

Architekt, który kierował budową, jeszcze się nie pojawił; Bernold pozdrowił majstra, który przydzielał zadania i nadzorował wykonywane prace, po czym udał się do swojej szopy.

Każdy cech miał do dyspozycji niewielki budynek, wzniesiony dla jego potrzeb na placu budowy.

Skonstruowana z drewna, podobnie jak wszystkie inne, szopa szklarza nie mogła pomieścić pieców, które znajdowały się nieco dalej, pod kamiennym zadaszeniem. Była zavalona stosami niezbędnych szkieł, skrzynek pełnych kawałków szkła posegregowanych według kolorów, poniewierających się wszędzie odłamków kredy, fiolek z solami żelaza lub ołowiu, z cynkowym pyłem, sproszkowanym tlenkiem miedzi lub żelaza, octem, żółcią bydlęcą, uryną, a także mnóstwem ołowianych listewek.

Na długim, zbitym z desek stole leżały, podobnie jak w Grand Feu, powiększone makiety wykonane rozwodnioną kredą, pędzle z sierści kuny, wiewiórki, kota lub z oślej grzywy, płaskie szczypce, ośelki do szlifowania.

Uczeń, młody Normandczyk imieniem Teofil, akurat pociągał, za pomocą miękkiej szczotki, szarą farbą spód szklanego odłamka, gdy wszedł jego mistrz.

– Niech cię Bóg strzeże, panie Bernoldzie! Czekałem z niecierpliwością, aż przyjdiesz – zawołał chłopak. – Wczoraj wieczorem nie powiedziałaś mi, jaki odcień szarości powinienem położyć tutaj. Najciemniejszy, średniociemny czy najjaśniejszy?

Miał około piętnastu lat, okrągłą buzię, zadarty nos, konopną czuprynę. Cechowały go małe oczka, każde innej barwy.

Bernold pochylił się nad szklaną taflą, na której woskiem umocował we właściwej pozycji główne fragmenty komponowanego właśnie witraża.

– Ten jest za ciemny – zdecydował z miejsca. – Trzeba znaleźć łagodniejszy, bardziej perłowy odcień... Spróbuj sobie przypomnieć chmury zasnuwające niebo w zeszłym tygodniu nad kanałem La Manche...

Nagle ujrzał w wyobraźni oczy Isambory, ich ceną, srebrzystą szarość, ich blask, gdy była szczęśliwa... Serce mu się ścisnęło.

„Że też nie mogłem zachować swojej małżonki, obdarzając jednocześnie pieścizmami inną kobietę! – pomyślał po raz tysięczny. – Dlaczego trzeba wybierać?”

Wkrótce potem drzwi szopy się otworzyły. Do środka wszedł mężczyzna około pięćdziesiątki. Wyłupiaste oczy w przekrwionej twarzy upodabniały go do cielęcia.

Anglosaski mistrz budowlany i Normandczyk wcale nie darzyli się sympatią. Bernold odnosił się doń raczej z nieufnością niż z respektem.

– Czemuż, do licha, nie udaje ci się znaleźć tego słynnego błękitu, jakiego używają rzemieślnicy we Francji? – zapytał nowo przybyły, pozdrowiwszy naprędce swego rozmówcę. – Wszyscy trąbią o odkryciu, które podobno czyni cuda. Czyżbyś był mniej zdolny od nich?

– Chodzą słuchy, że rozkruszają szafiry, aby uzyskać tę niebiańską barwę – odparł Bernold. – Chyba są bogatsi od nas, jeśli mogą sobie pozwolić na taki wydatek. Sądząc po skąpstwie, które ujawnia się tutaj na każdym kroku, nigdy nie zdołacie sfinansować tak kosztownych wynalazków.

– Te plotki nie mają żadnych podstaw – stwierdził grubas, wzruszając ramionami. – Kto to widział, żeby używać kamieni szlachetnych do barwienia szkła? Bardziej prawdopodobne, że odkryli jakąś sekretną metodę i zazdrośnie strzegą składników, rozpuszczając pochlebne dla siebie pogłoski. Liczą na to, że te opowiadki przysporzą ich dziełom sławy, która rozejdzie się we wszystkich krajach chrześcijańskich!

– Słusznie im się będzie należała, jeśli to prawda, że udało im się uzyskać barwę, jaką ma niebo w najpiękniejszy letni dzień!

– Na łono Najświętszej Pani! Moje witraże muszą być równie piękne jak ich! Chodzi po prostu o to, by zdobyć recepturę wyrobu, utrzymaną w ścisłej tajemnicy, ale na pewno prostszą, niż się wydaje!

– Gdybyśmy zdołali ich namówić, by ją nam zdradzili...

– Szkoda marzyć, kamracie, szkoda marzyć! Na świętego Jerzego, wolałbym mieć do czynienia z ludźmi zręcznymi i sprytnymi niż z marzycielami!

– Znałem we Francji prawdziwego mistrza szklarskiego o ogromnej wiedzy i głębokiej mądrości, który niechybnie wiedział, jakich składników trzeba użyć, aby uzyskać ten słynny błękit – rzekł Bernold. – Dwa lub trzy razy napomknął o tym przy mnie, ale nigdy nie odpowiedział na moje pytania, gdy starałem się dowiedzieć czegoś



więcej...

Po wyjściu architekta szklarz zabrał się do pracy. Niezadowolony z siebie i z innych, był wściekły na swego gościa za pogardliwe słowa...

Wieczór już zapadał, gdy Adeliza, która dobrą chwilę na niego czekała, ujrzała kochanka opuszczającego plac budowy.

Żony innych czeladników miały swobodny dostęp do miejsca pracy swoich mężów, nałożnic jednak tam nie wpuszczano. W istocie, w bractwach budowniczych stosowano pewne reguły postępowania. Nikt nie mógł ich bezkarnie naruszać.

Mistrz czuwał nad tym, by każdy członek bractwa był stosownie ubrany, regularnie uczestniczył w nabożeństwach, wpłacał pewną sumę, obliczoną na podstawie jego dochodów, do kasy zapomogowej udzielającej wsparcia chorym, wdowom, sierotom; i by nie grał w gry hazardowe.

– Może byśmy się przespacerowali po klifie? – zaproponowała Adeliza. – Dziś wieczór zapowiada się wspaniały zachód słońca. We wrześniu są najpiękniejsze!

– Zgoda na przechadzkę, najdroższa – odparł Bernold, który nie umiał odmówić żadnej przyjemności swej towarzyszce. – Na świętego Jerzego! Jak się mówi w tym kraju, potrzebuję przewietrzyć umysł!

Wspiąwszy się na szczyt wzgórza na wschód od portu, tam gdzie anglosaski król Harald jako pierwszy postanowił wznieść cytadelę, kochankowie z trudem łapali oddech.

Powietrze było łagodne, niebo jeszcze jasne. Na zachodzie słońce okrywało się czerwienią. Morze w oddali iskrzyło się wspaniałymi refleksami.

Kurtyna<sup>[20]</sup> twierdzy nie opadała aż do podnóża klifu. Między nimi pozostawała wolna przestrzeń, porośnięta niską i rzadką trawą.

Objąwszy jedną ręką ramiona Adelizy, Bernold dotarł wraz z nią na sam koniec tego terenu.

– Nigdy nie czułem bardziej dojmująco niż w tym miejscu, że pochodzę z rasy podróżników i marynarzy – rzekł, oddychając pełnymi płucami. – Widok morza mnie podnieca, budzi we mnie chęć przeżycia jakiejś przygody...

Dziewczyna skrzywiła się.

– Chociaż ja też jestem Normandką, mogę cię zapewnić, mój drogi, że wcale nie podzielam twojego zdania. Wielkie podróże mnie nie pociągają.

– Nie byłabyś szczęśliwa, gdybyś mogła wyruszyć do innych, nieznanych nam krain? Moglibyśmy w ten sposób poznać różnych ludzi, odkryć nowe zakątki...

– Skądże...

Oparła czoło o ramię kochanka.

– Wręcz przeciwnie – podjęła przymilnym głosem. – Pragnęłabym wrócić do Francji. Mam dość tego kraju. Umieram tu z nudów!

Bernold potrzęsnał głową.

– Dobrze wiesz, że to niemożliwe, moja słodka piękności. Tam by nas schwytali i osądzili za rozpustę i cudzołóstwo. Wymierzono by nam karę stosownie do naszych przewin!

– Wystarczyłoby pojechać w jakieś okolice, gdzie nikt nas nie zna!

– Czułabyś się tam tak samo odizolowana jak tutaj.

– Ale przynajmniej ludzie mówiliby zrozumiałym językiem! Poza tym nie lubię tych Anglosasów!

Potarła czoło o brunatny materiał kaftana, który Bernold wkładał, idąc do pracy.

– Gdybyśmy pojechali do Paryża... – ciągnęła. – Czy to nie dobry pomysł? Wszyscy twierdzą, że to piękne i bardzo wesołe miasto.

– Na wszystkich świętych, a co byśmy tam robili?

Roześmiała się.

– Witraże. No i byśmy się kochali, najdroższy! Czy nie są to twoje dwa ulubione zajęcia?

Szklarz mocniej ją objął.

– Moim największym pragnieniem jest ci dogodzić – podjął. – Usiłuję ci to udowodnić, ilekroć mogę, ale niech mnie Bóg pokarze, jeśli kiedykolwiek zgodzę się wrócić do Francji! Wystarczyłoby za rogiem pierwszej lepszej ulicy natknąć się na któregoś z blezyjczyków, a migiem by nas wydano i ukarano! Masz ochotę przez siedem lat być wystawiona na potępienie publiczne?

– Broń Boże! Ale w Paryżu nikt nas nie zauważy, jeśli będziemy ostrożni...

Wiedząc z doświadczenia, jaka Adeliza potrafi być zawzięta i uparta, zdając sobie zresztą sprawę, że ma wielką słabość do tej dziewczyny, która tak łatwo rozpalala jego zmysły, Bernold wolał zmienić temat.

– Popatrz, moja śliczna – podjął. – Popatrz na te statki, które wracają do portu na noc. Ich żagle są podobne do ogromnych skrzydeł, które płoną w ogniu lejącym się z nieba!

Nic nie odpowiedziała.

– Błagam, nie dąsaj się, najdroższa...

– Nie dąsam się, tylko jest mi smutno.

Bernold przełknął gorzką pigułkę, westchnął, potoczył niespokojnym wzrokiem po otaczającym ich krajobrazie.

Na południu płaskowyżu, na którym stał potężny donżon wybudowany przez Normanów, ale bliżej brzegu, górowała nad falami ośmiokątna wieża, zbudowana w zamierzchłych czasach rzymskiej okupacji i pełniąca funkcję latarni. Tuż obok wzniesiono kościół.

– Jeśli zostaniemy tu jeszcze przez moment, niebawem zobaczymy płomienie wydobywające się z wieży – zapewnił szklarz zachęcającym tonem. – Od ponad tysiąca lat rozpala się w niej nocą ogień, który sygnalizuje statkom wejście do portu. To bardzo ciekawe zjawisko.

– Wracajmy wcześniej – odparła Adeliza, która nie składała broni.

W następnych dniach sprytnie nie poruszała tematu, który drażnił kochanka. Jednak jej zachowanie świadczyło, że jest zmęczona i niezadowolona.

Podczas id wrześnieowych, w chwili zrównania dnia z nocą, gdy wielkie przypyływy z furią rozbijają wszystko, co spotkają na swej drodze, młoda kobieta zauważyła, że znów jest przy nadziei. To odkrycie jej nie zdziwiło. Od miesięcy obawiała się ciąży, nie łudząc się, że ten okres wytchnienia, jakim obdarzył ją los, potrwa długo. Tyle że jeśli już trzeba było przejść przez tę próbę, postanowiła wykorzystać ją, aby skłonić mistrza szklarskiego

do spełnienia jej pragnień.

Z oznajmieniem mu nowiny poczekala na moment, gdy nie będzie mógł niczego jej odmówić.

Pewnego wieczoru, po kolacji, gdy kładli się do łóżka, udała, że mdleje, spostrzegłszy, że oczy mu się świecą z pożądania.

Bernold natychmiast się zaniepokoił, co poczytała jako zachętę, by przez dłuższy czas nie odzyskiwać przytomności.

Kiedy uznała, że już pora się ocknąć, wykorzystała troskliwość, jaką jej okazywał, i zagadnęła o kwestię, która ją natchnęła do tego wybiegu.

– No tak, mój panie i władco, znów jestem brzemienna za twoją przyczyną – wyszeptała z zażenowaniem, które zachwyciło Bernolda. – W przyszłym roku będziemy mieli własne dziecko... chyba że po raz drugi nasza nadzieja się rozwieje!

Wygięła usta w podkówkę i przylgnęła do nagiej piersi mężczyzny, który popatrywał na nią z czułością.

– Wiesz, jakie są kobiety – podjęła pieszczotliwie. – Gdy jesteśmy w ciąży, mamy różne zachcianki i nie wolno nam się sprzeciwiać, bo mogą na tym ucierpieć nasze maleństwa...

– Wprost rozpływam się ze szczęścia, słysząc od ciebie taką nowinę, ukochana, więc zrobię, co w mojej mocy, aby ci się przypodobać – zapewnił Bernold. – Powiedz tylko, czego chcesz.

Adeliza potrząsnęła głową.

– Już mi odmówiłeś tego, czego pragnę najbardziej na świecie...

– Na mego świętego patrona! Jakżebym mógł nie spełnić jakiejś twojej prośby i w ogóle o tym nie pamiętać?

Zawahała się, pocałowała kochanka w dołek na ramieniu, po czym wymamrotała żałośnie:

– Zabroniłeś mi mówić o powrocie do Francji...

Bernold zacisnął szczęki.

– No widzisz – kontynuowała ze smętną miną. – Dobrze widzisz, że zawsze się sprzeciwiasz mojemu najgorętszemu pragnieniu!

– Już ci wyjaśniałem powody, dla których nie powinniśmy postawić stopy w kraju, gdzie uchodzimy za krzywoprzysięzców, rozpustników i cudzołożników! – wykrzyknął szklarz zirytowany. – Ale do ciebie nic nie dociera! Sądysz, że nie mam ochoty na to samo co ty? Że ja też nie chciałbym znów się znaleźć w swojej dolinie i w swoich warsztatach?

– Wcale nie myślałam o regionie Blois – żywo zaprotestowała dziewczyna. – Wiem równie dobrze jak ty, że nigdy nie możemy tam wrócić. Za to naprawdę nie wiem, dlaczego nie mielibyśmy zamieszkać w Paryżu!

Dyskusja przerodziła się w kłótnię. Po raz pierwszy, odkąd ze sobą żyli, Bernold stracił cierpliwość i wymierzył kochance policzek.

Upokorzona, dławiąc się ze złości, gwałtownie odpierając wszelkie próby pojednania, Adeliza odwróciła się do ściany.

Jednak nie dawała za wygraną. Już nazajutrz ponowiła aluzje i dwuznaczne uwagi.

Tak więc pewnego mglistego jesiennego ranka dawny normandzki kompan, który przyplłynął z Francji, zastał człowieka zdruzgotanego.

Rozgrzanym do czerwoności przecinakiem Bernold wykrawał kawałki szkła według umieszczonych pod spodem tekturowych szablonów, których zarysy uprzednio przekopiował kredą.

Ponieważ jego uczeń wyszedł po sprawunki, był sam, gdy drzwi się otworzyły.

– Niech Bóg cię ma w swojej opiece! – rzekł nowo przybyły, wchodząc. – To już dowód Jego dobroci, jak mi się zdaje, że odnalazłem cię bez większego trudu w tak ludnym mieście! Na szczęście jesteś już w Dover doskonale znany.

Za młodu obaj pracowali w warsztacie starego mistrza z lasu Silva Longa. Mimo upływu lat Bernold łatwo rozpoznał niegdysiejszego kolegę po fachu. Był nadal równie chudy i ciemnowłosy jak w czasach ich wspólnego terminowania.

– Benedykt Burka! – zawołał. – Na świętych Pańskich, co się z tobą działo? Jestem szczęśliwy, że cię znów widzę!

– Niestety – odpowiedział tamten – powód, dla którego poszukuję cię za morzami, nie skłania do radości! Gdy go poznasz, nie będziesz się tak cieszyć z naszego spotkania!

W wyziewach topionego ołowiu i farby podróżny wyjaśnił, że ich szacowny mistrz stoi nad grobem.

Mimo że zawsze był solidnego zdrowia, wiek daje mu się we znaki. Położył się na dobre do łóżka pod koniec lata i już nie wstanie; wie o tym, godzi się z tym.

Siły go opuszczają. Nie zmogła go żadna choroba, umrze po prostu ze starości.

– Nie może jednak przejść do Bożej chwały, dopóki nie powierzy odpowiedniemu człowiekowi sekretów rzemiosła, w które wtajemniczył go własny ojciec...

– I wybrał mnie? Czy to możliwe? – zapytał Bernold wstrząśnięty.

– Twierdzi, że byłeś jego najlepszym uczniem, nadal pozostajesz jego ulubionym terminatorom, że pomimo błędów, jakie mogłeś popełnić, zasłużyłeś na opinię najwybitniejszego mistrza szklarskiego spośród wszystkich.

– Więc polecił ci przekazać mi jakiś dokument?

– Bynajmniej. Wiesz, że nikomu nie ufa, jeśli chodzi o jego sztukę.

– A zatem?

– Zatem cię wzywa i prosi, byś niezwłocznie usłyszał z jego ust to, co chce ci powiedzieć, zanim wyzionie ducha.

Bernold położył na stole z desek przecinak, który wystygł.

– W mojej sytuacji trudno by mi było tam się udać – wymamrotał, ocierając nadgarstkiem pot spływający mu po czole. – Wiele ryzykowałbym, gdyby się dowiedziano o moim powrocie!

– Mistrz wziął to pod uwagę – zapewnił Benedykt Burka, na którego obliczu, pooranym zmarszczkami, jakby ktoś nakreślił je węglem, malowało się skrępowanie. – Jest przekonany, że jeśli podążysz leśnymi ścieżkami i nie zabawisz przy nim długo, nic ci nie grozi.

– A co ty sam o tym myślisz?

– Myślę, że w lasach łatwo się ukryć... a życzenie umierającego mistrza jest święte! Znów ktoś otworzył drzwi. Do środka wszedł Teofil, gwizdząc. Nagle zamilkł,

spostrzegłszy gościa.

– No dobrze – konkludował Bernold, aby zakończyć dyskusję. – Przyjdź do nas wieczorem na kolację, Benedykcie, porozmawiamy o naszych planach.

Zapraszając dawnego kompana, wiedział już, że kości zostały rzucone: wróci do kraju, w którym czyhało nań tysiąc niebezpieczeństw... Wobec wezwania starego mistrza połączonego z błagalnymi prośbami kochanki po prostu nie miał najmniejszej możliwości obstawać przy odmowie, którą podszeptywała mu elementarna przezorność!

Radość, jaką okazała Adeliza, gdy już wiedziała, czego się trzymać, nieco złagodziła rozgoryczenie szklarza i skłoniła go do ukrycia przed młodą kobietą swoich obaw.

Ale tej nocy oddała się mężczyźnie mocno zgnębionemu. Gwałtowność, z jaką ją posiadał, wynikała zarówno z miłosnego żaru, jak i z poświęcenia, na jakie się zdobył.

Ustępując woli dwóch osób, które nakłaniały go do działania wbrew sobie, Bernold postanowił podążyć do Paryża, gdy tylko rozmówi się z dawnym mistrzem.

Następnie para uporządkowała swoje sprawy w Dover. Kochankowie nigdy już nie przyjadą do Anglii.

Oddali klucze do mieszkania w porcie, wynajętego półtora roku wcześniej od handlarki rybami. Szopę na placu budowy zajął zastępca Bernolda.

Teofil uronił kilka łez i przysiągł, że nigdy nie zapomni nauk ani tego, kto mu ich udzielał.

Pożegnanie przyszłej matki z Emmą było mniej wylewne. Przyjaźń między nimi i tak nie miała szans przetrwać. Radość objawiana przez Adelizę w chwili odjazdu mocno uraziła jej towarzyszkę od spacerów, która szczerze zamierzała wyrazić swój żal.

Trzeciego dnia po zjawieniu się Benedykta Burki troje podróżnych wsiadło na pokład płynącego do Francji żaglowca, którego kapitan zgodził się ich zabrać.

Rejs nie był przyjemny. Jesienne sztormy niemiłosiernie wstrząsały kadłubem statku. Adeliza okropnie się czuła podczas całej przeprawy.

W przerwach między wymiotami pomstowała na kraj, do którego nie można się dostać i którego nie można opuścić inaczej niż drogą wodną, przysięgała sobie, że nigdy jej stopa już tam nie postanie.

Niebo było równie posępne jak morze. Podróżnych schodzących na ląd we Francji powitał deszcz.

Na szczęście Benedykt Burka sam się wszystkim zajął. Konie czekały w klasztorze, gdzie benedyktyni, nie zadając żadnych pytań, przyjęły całe towarzystwo na nocleg w domu gościnnym.

Minęło dwanaście dni, zanim dotarli do celu.

Posilali się naprędce pod jakimś drzewem, na brzegu rzeki, w refektarzach, gdzie również sypiali.

Październik tego roku był łaskawszy niż wrzesień. Po dwóch dniach przestało padać. Odtąd słońce co rano rozpraszało mgłę.

Najpierw przez pewien czas podróźni jechali wzdłuż wybrzeża, po czym skręcili na normandzkie drogi, w Rouen przekroczyli drewniany most na Sekwanie, wreszcie przejechali przez lasy, trzęsawiska i łąki w krainie Ouche.

Aby nie płacić zbyt wysokiego myta, lecz także by ominąć szerokie gościńce, tak liczne, że zawsze można było na nich spotkać jakiegoś znajomego kamieniarza, murarza, cieślę czy szklarza, cała trójka chętniej podążała bocznymi drózkami i leśnymi duktami. Bernoldowi mniej przerażająca wydawała się perspektywa, że wpadną w łapy złoczyńców, niż że trafią na przyjaciół...

O ile Adeliza, zachwycona, że spełnia się jej marzenie, nie zważała na drobne incydenty w podróży, o tyle mistrz szklarski patrzył na rzeczy innym okiem. Jego lęk potęgował się, w miarę jak zmniejszała się odległość, jaka dzieliła go od celu podróży.

Odbijało się to na jego humorze. Ponury i nerwowy, beształ kochankę jak niesforne dziecko za najmniejsze przewinienie... Ona protestowała, on upierał się przy swoim, bez przerwy się sprzecali.

Parokrotnie Bernold pochwycił utkwione w niego, zdziwione spojrzenie Benedykta Burki. Z pewnością nie tak posłaniec starego mistrza wyobrażał sobie stosunki między tymi, którzy postanowili przeżywać swoją miłość z dala od rodzinnych zobowiązań.

„Narobić tyle zamieszania po to tylko, żeby wyklócać się jak stare małżeństwo – zdawał się mówić krytyczny i drwiący wzrok ich towarzysza drogi. – Niech mi Bóg wybaczy, naprawdę nie było warto wszystkiego podeptać, żeby dojść do czegoś takiego!”.

Szklarz domyślał się, jakie są odczucia Benedykta.

Tym bardziej rosła jego irytacja.

Minęli Chartres i przecięli równinę Beauce.

Była pora winobrania i jesiennych prac polowych.

Widząc winnice, w których uwijali się winogrodnicy, ich żony, ich dzieci, Bernold wspominał czasy, gdy jego rodzice i on sam z pomocą parobków zbierali plon. Widział siebie ostrożnie odcinającego sierpkiem grona lepkie od słodkiego soku lub pokryte niebieskawym nalotem i opychającego się nimi, gdy nikt na niego nie patrzył, a potem wrzucającego kiście do drewnianych wiader ustawionych między szczepami. Miodowy zapach dojrzałych winogron, rozgrzanych dziewcząt, które podkasywały jak najwyżej płócienne koszule, cierpka woń wydzielana przez spoconych mężczyzn, dźwigających na plecach ciężkie kosze, uderzały go w nozdrza.

Jak w jego dzieciństwie wózki zaprzężone w cierpliwe woły czekały na końcu rzędów, aż zostaną napełnione beczułki, którymi je wcześniej załadowano.

Gdzie indziej chłopci pochyleni nad wypolerowanym styliskiem pługów na kółkach, zaopatrzonych w lemiesz, o wiele użyteczniejszych niż dawne radła, przywodzili mu na pamięć powolny, ciężki chód normandzkich oraczy postępujących za dwoma potężnymi wołami, z których każdy był zaprzężony w jarzmo czołowe.

W jego wspomnieniach te prace polowe miały w sobie jakąś zmysłowość, nadawaną im zapewne przez intensywne zapachy, jakie wydzielały pomięte liście winorośli lub tłusta gleba, rozpruwana lemieszem pługa niczym brzuch...

Wysiłek wkładany przez nagie, spocone ciała, tak ogorzałe od słońca, że niemal czarne, dziecku wychowanemu we wspólnych komnatach drewnianych donżonów niejasno kojarzyły się z innymi wysiłkami, tym razem nocnymi, czynionymi tuż obok niego w łóżach, gdzie chłopcy i dziewczęta spotykali się po kryjomu, aby oddawać się podniecającym zajęciom...

W Bonneval troje jeźdźców dotarło do koryta Loiru.

Brunatny kolor rzeki, olchy i wierzby ocieniające jej brzegi, falowanie wody przepływającej nad wiotkimi, rosnącymi na dnie wodorostami, pobudziły męża Isambory do gorzkich refleksji. Cały krajobraz nosił na sobie niezatarte piętno wydarzeń związanych na zawsze z osiemnastoletnim okresem jego życia.

Teraz podróżni musieli już tylko jechać wzdłuż nurtu rzeki, aby dotrzeć do lasu Silva Longa.

Gdy znaleźli się pod koronami wielkich dębów, buków o pniach gładkich jak pozieleniałe marmurowe kolumny, wszyscy odetchnęli z ulgą. A przecież równina nie była im nieprzychylna. Jednak pod osłoną liściastych kopuł, z dala od ciekawych spojrzeń wieśniaków, instynktownie odzyskali poczucie bezpieczeństwa, jakie daje knieja zaznajomionym z nią ludziom.

Bernold lubił lasy. Jego niepokój zelżał.

W młodzięczych latach wypełnionych łowami galopował konno, zapuszczając się często w największe normandzkie gęstwiny. W późniejszym czasie, wykonując zawód szklarza, musiał mieszkać na skraju lasu, gdzie znajdował brzoźowe i bukowe kłody, których potrzebował. Wymyte, wysuszone w oparach dymu, następnie zwęglone, zamieniały się w popiół, po czym Bernold mieszał je z piaskiem rzeczny, aby uzyskać szkło do swoich witraży.

Podobnie jak jego przodkowie, w głębi duszy nadal żywił miłość do drzew, których drewno, kora, owoce, liście przez stulecia służyły im do wznoszenia domów, murów, palisad, wyrabiania wozów, kół, beczek, a także do ogrzewania, gotowania strawy, oświetlania, dostarczały pożywienia, zbawiennych substancji leczniczych i wielu innych cennych rzeczy.

Z mchu i paproci wytwarzali miękkie, wonne posłania. Jarzębina, tarnina i leśne jagody, grzyby, orzechy i kasztany uzupełniały ich posiłki, a czasem wyłącznie się na nie składały.

Z nieprzebranymi zasobami dziczyzny, cieniem, ściółką i paszą, jaką zapewniał zwierzętom domowym wszelkiej maści, las był wciąż dla Bernolda, podobnie jak dla tych, którzy mieszkali poza miastem, prawdziwym żywicielem.

Lecz był światem tajemniczym. Światem czarów i legend, w którym niewidzialne istoty ocierały się o zwykłych śmiertelników, wywierając dobroczynny lub złowroźny wpływ... Pod wysokimi konarami drzew oddychało się bardziej wonnym, bardziej balsamicznym, lecz również dziwniejszym powietrzem niż na otwartej przestrzeni. Wszyscy byli tego świadomi. Mijając skupisko omszałych skał w kształcie powalonych olbrzymów, Adeliza się przeżegnała.

Z natury była wieśniaczką, więc te ogromne leśne obszary, majestatyczne i świeże, lecz także pełne mrocznych zarośli, zapewniały jej schronienie, bezpieczną wędrówkę, choć zarazem stanowiły domenę nadprzyrodzonych, często niepokojących mocy, a czasem wręcz kryjówkę różnych włóczęgów, rabusiów i wszelkiego rodzaju obieżyświatów.

Na szczęście krążyło tam i żyło wielu ludzi mniej groźnych.

Na skraju lasu Silva Longa jeźdźcy trafili na pasterzy wypasających swoje stada,

dzieci zrywające dziki chmiel, którego miękkie, zielone szyszki zjadano lub poddawano fermentacji, aby uzyskać piwo, na chłopki zbierające opadłe orzeszki bukowe, które rozgniatano, aby wycisnąć z nich olej.

Dalej pojawiali się drwale, zapamiętale machający siekierami, węglarze cieszący się niezbyt dobrą opinią z powodu twarzy umorusanych węglem drzewnym; okorowujący pnie chłopi, którzy miażdżyli ściągnięte pasma, aby wydobyć z nich garbnik stosowany do wyprawiania skór; łowcy niedźwiedzi i wilków; wytwórcy sabotów poszukujący twardego drewna; bartnicy hodujący roje pszczół, które chwytali w stanie dzikim, a potem pielęgnowali, z myślą o sprzedaży wosku i miodu...

– Choć nie jest tu tak tłoczno jak na drogach, nie można narzekać na samotność! – stwierdził Bernold. – Uważajmy. Zawsze można się spodziewać jakichś niepożądanych spotkań.

– Ale mamy tu do czynienia z całkiem innymi ludźmi – rzekł Benedykt Burka. – Bywalcy kniei są mniej gadatliwi niż winogrodnicy i rolnicy. Cisza panująca w leśnych ostępach na pewno jest zaraźliwa!

– Daj Boże, żeby nie napatoczył się żaden gajowy! – podjął mistrz szklarski. – Tacy wszędzie węszą, wypytyują, podejrzewają i często zmuszają karczowników, by opowiadali, co zdarzyło im się ujrzyć.

Nie przestając mówić, Bernold myślał, że Isambora z pewnością nie złożyła skargi, ale że podwasal i rodzice Adelizy nie omieszkali tego zrobić...

Mimo wszystko reszta podróży przebiegła bez zakłóceń. Podczas konnej jazdy urozmaiceniem były tylko jelenie na czele swoich stad, sadzące w podskokach daniele, lochy prowadzące gromadki warchlaków, podrywające się do lotu bażanty, kuropatwy lub cietrzewie, a także zające w obłąkańczym pędzie.

Stary mistrz mieszkał razem z dwoma lub trzema wiernymi pracownikami, którzy mu jeszcze pozostali, w zaniedbanych pomieszczeniach swojej wytwórni szkła.

Usytuowane w głębi lasu, nad stawem, z którego wypływał strumyk, warsztaty i domy były budowane bez ładu, zależnie od potrzeb. Ponieważ dawniej wielu czeladników chciało pobierać nauki u mistrza, teraz dużo niezajętych mieszkań stopniowo niszczało, porastało chwastami, ciernistymi pnączami i pokrzywami. Dachy się zapadały, mury obracały w ruinę.

W jedynej izbie, jaką się obecnie zadowalał, mistrz, którego tyłu szklarzy czciło i słuchało z respektem, leżał na słomiance. Od dawna nieprane prześcieradła i wystrzępiona kołdra okrywały wychudłe ciało.

– A więc w końcu się zjawileś, Bernoldzie! – rzekł starzec, rozpoznając gościa. – Bogu dzięki! Bałem się, że nie dożyję twego przyjazdu. Z pewnością nie zdążę już poświęcić ci dużo czasu, ale mam jeszcze trochę oleju w głowie, a to, co pragnę ci przekazać, wyraźnie widzę w myślach.

Oparty na paru poduszkach, równie wyświechtanych jak jego posłanie, czcigodny mistrz miał ascetyczne oblicze, które wiek pobruździł zmarszczkami, nie pozbawiając go szlachetności. Długie białe włosy nakryte płóciennym czepkiem, a także obfita broda nadawały mu wygląd biblijnego patriarchy. Żrenice miał wyblakłe, ale nie narzekał na wzrok. Ręce z wystającymi żyłami spoczywały na wywiniełym, poplamionym



prześcieradle, wciąż jednak wydawały się mocne.

Przez całe życie starał się doskonalić swój kunszt. Nie miał nawet czasu się ożenić, toteż wiódł egzystencję starego kawalera, który nie troszczy się o czystość i porządek w domowym obejściu.

Odgadując, że chory bardzo się niecierpliwi, że wprost płonie chęcią wyjawienia tajemnic Bernoldowi, Benedykt Burka wyprowadził Adelizę z izby i obaj mężczyźni zostali sami.

Towarzysz drogi młodej kobiety przedstawił jej beczynnego wydmuchiwacza szkła, który się nudził, ostatniego ucznia mistrza. Człowiek ten zwał się Piotr Wesolek, pewnie dlatego, że śmiał się z byle powodu i miał bardzo pogodny charakter.

Poczęstował podróżniczkę plackiem, kozim serem, kubkiem mleka i świeżo zerwanymi orzechami.

– Nasze warsztaty są zamknięte na cztery spusty i nie mam już szkła do wstawiania, więc przekształciłem się w kuchmistrza! – wyjaśnił jowialnie. – Jedno warte drugiego. Zamieniłem piec do witraży na piec do chleba!

– We wszystkim dostrzegasz dobrą stronę, bracie – westchnął Benedykt. – To wielkie szczęście urodzić się takim jak ty i wciąż tryskać humorem. Ja natomiast mam raczej skłonność do zadręczania się...

Adeliza i jej dwaj towarzysze gawędzili o tym i owym, siedząc na ławie zbitej z desek, ze stopami zanurzonymi w trawie, na wąskim pasie ziemi oddzielającym dom od stawu, jednocześnie patrząc, jak słońce chowa się za gałęziami. Żaby rechotały, dzikie ptactwo uwijało się między trzcinami i sitowiem. W oddali przywoływały się gruchaniem gołębie grzywacze...

„Jedynie stojące wody i stuletnie drzewa z naszych lasów potrafią napełnić serce takim spokojem – pomyślała młoda kobieta. – Morze mnie męczyło tym swoim nieustannym ruchem, rykiem... Teraz znajduję ukojenie, jakiego potrzebuję. Krótki pobyt z dala od miasta dobrze zrobi nam obojgu. Muszę tylko namówić Bernolda, żebyśmy tu zostali choć parę dni”.

Po raz pierwszy od dawna czuła się spokojna, odprężona.

Sekrety, które umierający powierzył swemu ulubionemu uczniowi, musiały mieć niezwykłą wagę, bo szklarz wyszedł z pokoju starca ze skupioną, lecz także triumfującą miną, która świadczyła o wewnętrznej radości. W jego żrenicach tańczyły wesołe ogniki.

– Na mą duszę! Od dzisiaj będę mógł udowodnić cudzoziemskim mistrzom budowlanym, że przestałem być nowicjuszem! – zawołał, podchodząc do kochanki i swych towarzyszy. – Nie żałuję, że wróciłem do kraju, w którym czekało na mnie takie odkrycie!

– Jakże jestem szczęśliwa, widząc cię w tak dobrym nastroju, mój drogi! – wykrzyknęła Adeliza, chwytając go za rękę i zmuszając, by koło niej usiadł. – Dobrze się tu czujemy. Chociaż z całkiem innych powodów niż ty chwalę sobie pobyt tutaj i na swój sposób się nim rozkoszuję!

Gestem ręki pokazała staw. Jego gładka powierzchnia przypominała wypolerowane cynowe lustro, w którym odbijało się słońce, okalająca go łąka i piękne, rozłożyste drzewa, tworzące nad wodą rozedrganą koronę.

– Strasznie lubię takie miejsca jak to...

Bernold objął ją w talii, jeszcze całkiem szczupłej.

– Długo tu kiedyś pracowałem – rzekł z uśmiechem – ale zawsze działał na mnie urok, jakim tchnie ta okolica. Cieszę się, że i tobie przypadła do gustu.

– Kiedy zobaczyłam ten staw, poczułam się jak odnowiona, ukojona – podjęła młoda kobieta. – Przyszedł mi do głowy pomysł: twój mistrz na pewno pragnie, abyś był przy nim, dopóki nie odejdzie. Nie możesz zlekceważyć ostatniego życzenia konającego. Zostańmy tutaj i dotrzymajmy mu towarzystwa tak długo, jak Bóg zadecyduje.

– Czyżby Bóg już zadecydował? – zapytał Bernold rozbawiony. – A może raczej ty?

– Czego chce kobieta... – podszepnął Piotr Wesołek.

Zaskoczona, lecz także zadowolona, że przyjaciel skwapliwie spełnia wszystko, o czym ona zamarzy, Adeliza oznajmiła, że decyzja zapadła i nie warto do niej wracać.

W ten sposób upłynął tydzień, dziwnie zawieszony między życiem a śmiercią, między przeszłością a tym, co miało się zdarzyć, podczas którego kochankowie unikali swarów.

Nadeszła jesień. Drzewa zaczynały się złocić i rudzić. Noce stawały się chłodne, mgliste. Rankami mgła walczyła ze słońcem, ale dni były skąpane w jasnym świetle. Na polanie panowała rozleniwiająca atmosfera.

Zdrowie starego mistrza stopniowo się pogarszało. Z dnia na dzień słabł. Jednakże w jego cielesnej powłoce kryło się jeszcze dość wigoru, aby opóźnić nieuchronny koniec. Jego uspokojona dusza pogodnie oczekiwała przyszłego spotkania twarzą w twarz z niewidzialnym...

Aczkolwiek Bernold uważał za swój obowiązek dotrzymywać towarzystwa umierającemu tak często, jak on sobie życzył, zostawiał go samego, gdy tylko zmęczenie brało górę nad wątłymi siłami starca, i szedł na przechadzkę z Adelizą.

Nigdy się zbyt nie oddalając, przemierzali razem kotlinki, piargi, polany, podążali leśnymi ścieżkami, zapoznawali się z bujnym życiem kniei, uczestniczyli wszystkimi zmysłami w jesiennym festynie, który się tam odbywał.

Nareszcie ustały między nimi wymówki i dąsy. Znów zapłonęli do siebie uczuciem. Młoda kobieta z dobrej woli zaspokajała żądzę kochanka i wydawało się, że bardziej niż przedtem odwzajemnia jego namiętność. O tej łagodnej porze przejściowej było im dane przeżywać coś w rodzaju powtórnego miodowego miesiąca... Odurzeni mocnym zapachem wilgotnej ziemi i paproci, niekiedy kochali się na mchu, w alkowach, jakie tu i ówdzie tworzyły splecione gałęzie.

Tego piątku, wyjątkowo długo oddając się miłosnym igraszkom, leżeli spleceni pod osłoną już zrudziałych bukowych liści. Z błogostanu wyrwały ich soczyste przekleństwa połączone z donośnym śmiechem.

– Do czorta! To oni! – wykrzyknął ktoś. – Patrzcie!

– No proszę, nasz rozpustny Normandczyk właśnie uprawiający porubstwo! – rozległ się przytłumiony głos, gdy Daimbert w asyście dwóch leśników rozchyłał gałęzie. – Nie okłamano nas! – ciągnął szyderczo. – Ten bałamut porzucił żonę i swoje latorośle, żeby hulać, ile wlezie!

Pewny siebie, stanął w rozkroku na swych krótkich nogach, ujmując rękojeść sztyletu. W drugiej ręce trzymał pałkę z ostrokrzewu. Jego ludzie byli uzbrojeni podobnie jak on.

– Szukaliśmy cię wszędzie, więc w końcu musieliśmy znaleźć! – stwierdził pierwszy leśnik.

– Znam jegomościa z Morville, który będzie skakał z radości! – dodał drugi.

– Gdy mnie zawiadomiono, natychmiast uprzedziłem Gerwazego i jego krewnych – rzekł Daimbert, robiąc ważną minę.

Ochłonawszy nieco ze zdumienia, Bernold podniósł się, po czym pomógł wstać Adelizie.

Stanął przed nią.

– Czy polecono ci mnie aresztować? – zapytał sucho.

– Tak, do wszystkich diabłów! Schwytać cię i przyprowadzić żywego czy martwego! Z powodu kazirodztwa, porwania i cudzołóstwa! – rzucił drugi leśnik.

Daimbert gestem nakazał mu milczenie i podszedł do szklarza.

– Zanim cię oddam w ręce sprawiedliwości, normandzki psie, załatwimy stare porachunki, co już dawno należało zrobić! – rzucił złowieszczo. – Twój przeklęty kamrat ukradł mi kiedyś narzeczoną! A ty go wspierałeś! Jeśli dobrze pamiętam, gdybyśmy was nie powstrzymali, chętnie byście mnie ukatrupili... Trzeba będzie za wszystko zapłacić, za minione i terażniejsze przewiny!

Jego drwiący śmiech zabrzmiał jak okrzyk naganiacza na polowaniu.

– Chryste Panie! Błagam, puśćcie nas! – jęknęła Adeliza, padając na kolana na mchu. – Zlitujcie się nad nami!

W spojrzeniu gajowego pojawił się lubieżny błysk.

– Tobą zajmę się później, urocza dziewczeczko – zarechotał. – Najpierw muszę...

Nie dokończył, bo Bernold runął na niego.

Obaj mężczyźni, rozwścieczeni, ziejący do siebie nienawiścią, zwarli się w żelaznym uścisku.

Wyższy, zwinniejszy szklarz zdołał wykręcić przeciwnikowi lewą rękę, jednocześnie unieruchamiając prawą. Pałka spadła na ziemię.

Adeliza, która wciąż klęczała, od razu ją złapała, podała przyjacielowi. Ten uskoczył do tyłu, chwycił kij, zanim inni go przejęli, i jął nim obracać nad głową.

Widząc, że Daimbert nie jest w stanie posłużyć się sztyletem, obaj leśnicy zaatakowali szklarza swoimi pałkami.

Głuche uderzenia drągów z ostrokrzewu rozlegały się ponuro w łagodnym jesiennym powietrzu, prześwieconym słońcem.

Bernold wymachiwał swoim kijem tak energicznie, że roztrzaskał broń jednego z napastników, który nagle znalazł się tuż koło niego z drewnianym kikutem w rękach. Nim zdołał uskoczyć do tyłu, dosięgnął go jeden z młynków, wykręcanych z impetem przez Normandczyka. Jego głowa pękła z trzaskiem jak orzech. Padł na ziemię bez życia.

– Dalej! Nuże! – wrzasnął Daimbert. – Zaszarżujmy na niego jak na wilka!

Znów rozgorzała bójka między dwoma leśnikami i kochankiem Adelizy.

Ta usunęła się nieco na bok. Złożywszy dłonie, szeroko otwierając oczy,

z przerażoną miną śledziła śmiertelną walkę.

Bernold nadal bronił się zawzięcie, ale leśnik, który nie stracił swojej pałki, był olbrzymem, a gajowy, rozsierdzony pierwszą porażką, atakował wroga niczym rozjuszony dzik.

Każde uderzenie było tak wymierzone, by zabić. W duchu każdy tego pragnął.

Przez pewien czas ważył się los całej trójki.

Potem Daimbert, rażony w ramię gradem ciosów, z wrzaskiem zwałił się na ziemię, wyjąc z bólu.

Nie przejmując się nim, Bernold nadal ścierał się z leśnikiem.

Krzyk ukochanej nie dość szybko go zaalarmował.

Z precyzją myśliwego gajowy, doczołgawszy się do Bernolda, szybkim pociągnięciem sztyletu przeciął ścięgno Achillesa człowiekowi, którego nienawidził.

Tracąc równowagę, teraz z kolei szklarz runął niczym drzewo zrąbane siekierą.

Wydając przytłumiony okrzyk, kolos rzucił się na niego, by go dobić.

– Hola! Poczekaj! – rozkazał Daimbert triumfalnym głosem, przyłożywszy ostrze sztyletu do gardła człowieka, którego powalił. – Tylko przetnij mu ścięgno w drugiej nodze. Przytrzymam go, a ty rób swoje. Zwiąż mu ręce za plecami jego paskiem. Nie chciałbym, aby się czołgał, podpierając się łokciami, ale nie powinien też umrzeć od razu. Później go ukatrupimy... Przedtem obejrzy widowisko, jakie mu zafundujemy...

Adeliza zrozumiała, co się święci. Porzucając błagalną postawę, zerwała się jednym susem i pognała w stronę gęstwiny.

Wystarczyło, że leśnik rzucił jej pałkę pod nogi, aby się przewróciła. Skierował się ku niej...

– Ja pierwszy! – zarządził Daimbert. – Potem twoja kolej!

Poraniony, skrępowany więzami, obficie krwawiąc i daremnie usiłując doczołgać się do stosu suchych liści, na który przewrócił Adelizę gajowy, Bernold ryczał jak zwierzę prowadzone na rzeź.

Przygwożdżona pięścią gajowego, młoda kobieta szarpała się na wszystkie strony, aby wymknąć się z rąk przytrzymujących ją dwóch brutalnych. Na próżno.

Bitą po twarzy, w podkasanej koszuli, musiała na oczach kochanka znosić szturm Daimberta dogadzającego swojej chuci. Opętany żądzą i nienawiścią, były narzeczony Aweliny mścił się za przeszłe upokorzenia, zaspokajając jednocześnie swój nienasycony apetyt na rozkosze cielesne.

Gdzieś w pobliżu rozległ się trzask gałęzi, odgłos szybkich kroków, dały się słyszeć nawoływania.

Spośród bukowych pni wyłonił się zdyszany Aljom, dzierżąc w garści obnażony miecz.

Rozczochrany, z twarzą podrapaną gałęziami, w podartym odzieniu, wyglądał jak człowiek niespełna rozumu.

Widząc scenę, rozgrywającą się przed jego oczami, na chwilę stanął.

Daimbert poprawiał ubranie. Leśnik kładł się na Adelizie, której podarty, podkasany i pobrudzony kaftan odsłaniał białe uda.

Wydając rozpaczliwy jęk, młodzieniec przypadł do gajowego i raził go mieczem

w głowę z taką mocą, że łyśa czaszka rozpadła się pod wpływem uderzenia.

Powoli przysadziste ciało osunęło się tuż koło swojej ofiary.

Olbrzym zerwał się jednym susem, popędził w głąb lasu i niebawem znikł.

Aljom go nie ścigał.

Jak skamieniały przyglądał się konającemu u jego stóp mężczyźnie. Uderzył go z dzikim okrucieństwem, o które sam siebie nie podejrzewał.

Czas jakby się zatrzymał pod listowiem, którego nie poruszał najmniejszy podmuch.

Wreszcie, nie zerknąwszy nawet na kobietę, która obciążając koszulę i kaftan, chwiejąc się na nogach, usiłowała wstać, Aljom skierował swe kroki ku ojcu.

– Zależało mi na tym, by znaleźć się pierwszy przy tobie, ojczy – rzekł drżącym głosem. – Dlatego wyprzedziłem stryja i jego ludzi. Chciałem pomścić w imieniu nas wszystkich krzywdę, jaką nam wyrządziłeś... Chciałem cię ukarać... Ale bym cię nie okaleczył! Stoczylibyśmy uczciwą walkę, pod okiem Boga!

Pochylił się nad powalonym mężczyzną, który wpatrywał się weń, jakby go nie rozpoznawał, obłąkanym wzrokiem, i rozwiązał mu ręce.

Bernold uniósł się na łokciu.

– Adelizo! – wycharczał. – Adelizo!

Aljom odwrócił się. Jakaś niewyraźna postać pognąła w zarośla.

– Zostaw ją! – rzucił z furią młody człowiek. – Zostaw ją wreszcie w spokoju!

– Ale trzeba ją zatrzymać! – krzyknął szklarz, a jego piersią wstrząsnął zduszony szloch. – Zatrzymać!

Głowa mu opadła do tyłu i stracił przytomność.

Oddzierając kawałki własnej tuniki, Aljom uznał za swój obowiązek opatrzeć zakrwawione łydki ojca.

Następnie chwycił bezwładne ciało pod pachy i próbował je podnieść. Ale bez skutku, Bernold bowiem był bardzo ciężki.

Wtedy młodzieniec pomyślał o czeladnikach starego mistrza, którzy mieszkali razem z nim niedaleko stamtąd.

Za pośrednictwem drwała, który donosił Daimbertowi, co się dzieje w tym zakątku lasu, mieszkańcy Fréteval dowiedzieli się o powrocie cudzołożnej pary. Wiedziano również, gdzie się schronili...

Trzeba było udać się po pomoc do warsztatu szklarskiego nad stawem...

Upewniwszy się, że z leżącej pokotem trójki jedynie jego ojciec jeszcze oddycha, Aljom ruszył pędem przed siebie.

On, mściciel, stał się mordercą! Nie z żądzy osobistego odwetu, lecz by położyć kres nieznośnej sytuacji i z litości dla tego, którego jak sądził, już nie kochał...

Płacząc nad tym fatalnym zbiegiem okoliczności, podążył jednak bez zwłoki do siedziby starego mistrza. Zastał tam Benedykta Burkę i Piotra Wesołka akurat rozłupujących orzechy.

Powiadomieni o tragedii, która rozegrała się w lesie, oznajmili, że mają u siebie nosze ze splecionych gałęzi, na których niekiedy wynosili na dwór umierającego.

Wyposażeni w ten prowizoryczny sprzęt, wszyscy trzej wyruszyli w największym

pośpiechu, szczerze ubolewając, do miejsca, gdzie leżał Bernold.

Benedykt zauważył kruki krążące nad drzewami.

– Te przekłete ptaszyska są poplecznikami szatana – stwierdził lakonicznie. –  
Kłóćą się o dusze tych, co skonali w stanie śmiertelnego grzechu!

– Spójrzcie! – zawołał Aljom. – Siadają na szczycie dębu!

Dopiero wtedy dostrzegli wiszące na pasku zawiązanym na konarze drzewa kobiece ciało w kaftanie barwy mchu.

Na poły przesłonięty listowiem i rozpuszczonymi włosami, których srebrzyste fale zasłaniały twarz, trup był pozbawiony tożsamości.

Obute w lekkie ciżemki z płowej skóry, z zadartymi noskami, swobodnie dyndały drobne, wygięte stópki.

## CZĘŚĆ TRZECIA W FORMIE EPILOGU

### PŁASZCZ LODOWY

Styczeń 1102 – maj 1103

# I

Gresja zatrzasnęła za sobą drzwi do warsztatu i kierując się ku domowi, pospiesznie przeszła przez dziedziniec omiatany ostrym północnym wiatrem.

Od adwentu panował ziąb. Chociaż styczeń się kończył, mróz wciąż trzymał.

Otulona płaszczem z grubego wełnianego sukna podbitego krecim futrem, dziewczyna kurczowo przytrzymała dłonią ciężkie fałdy. W drugiej ręce ścisnęła wysokie trzewiki ojca.

Pokonując kilka stopni, wbiegła do sionki poprzedzającej salę, tak przyjemnej wiosną i latem. Owego zimowego dnia nikt nie siedział pod daszkiem krytym dachówką. Hulał tam jedynie ze świstem lodowaty wiatr.

W izbie, do której weszła dziewczyna, ciepło bijące od okrągłego kominka i docierające aż po zasłonę uszczelniającą drzwi mieszało się z dość gęstym oparem.

Zwoje dymu unosiły się z miedzianego kociołka wiszącego na haku nad buzującym ogniem. Gotował się w nim krwistoczerwony płyn.

Stojąc zgarbiona w oparach wydzielanych przez wywar z korzeni marzanny Isambora farbowała na czerwono nowe portki dla Aljoma i długim patykiem starannie mieszała jaskrawo zabarwioną substancję.

Słyszając, że wchodzi córka, odwróciła się. W ściągniętej zgryzotą twarzy, na której błyszczały krople potu, Gresja znów dostrzegła pełne niepokoju pytanie, które wyczytywała po każdym powrocie z warsztatu.

Nieme cierpienie, odbijające się w podkrążonych oczach, za każdym razem ją poruszało. Na co czekała Isambora? Jakiej wieści się spodziewała od jedynej osoby tolerowanej przez mistrza szklarskiego w jego jaskini?

Dziewczyna zdjęła płaszcz i powiesiła go przy drzwiach, na drewnianej belce ozdobionej wyrzeźbionymi baranami główkami.

Wzrok Isambory spoczął na trzewikach z wysokimi cholewkami, które Gresja wciąż trzymała w ręku.

Właśnie Margista wyszła z kuchni, a za nią Doetta. Dziewczynka, której rude warkocze sięgały już do piersi, zajadała się masą migdałową. Gruba służąca niosła na rękach Ogiera, do którego miała słabość, ponieważ coraz bardziej przypominał Henrysia, którego bardzo kochała.

Mimo że miał już półtora roku i chodził bez niczyjej pomocy, malec wykorzystywał czułość, jaką mu okazywano, i dawał się rozpieszczać.

Widząc swoją panią, która wciąż mieszała wywar, aby portki uzyskały jednolity kolor, Margista zdecydowała się postawić Ogiera na ziemi.

– Jakaś ty spocona, pani! – rzekła tonem litościwej przygany. – Na mą głowę, przeziębisz się. Pozwól, że pomieszam zamiast ciebie. Nie mam teraz nic pilnego do roboty.

Isambora podała jej patyk do połowy pokryty barwnikiem, po czym zwróciła się do córki.

– Czy twój ojciec trochę się dziś rozruszał? – zapytała, ocierając twarz płóciennym fartuchem, który chronił kaftan przed zachlapaniem.



Gresja smutno potrząsnęła głową.

– Choć jego trzewiki mają wysokie cholewki, nie potrafi inaczej chodzić, jak powłócząc nogami – odparła, wzdychając. – A i to z wielkim trudem!

Isambora opuściła rękawy swej białej koszuli, które przedtem podwinęła.

– Czemu, na Boga, nie mogę dotrzymać mu towarzystwa? – wyszeptała drżącym głosem. – Myślę, że mogłabym mu pomóc...

Minęły trzy miesiące, odkąd podwasal i jego ludzie odnaleźli rannego Bernolda u boku konającego starego mistrza, w warsztacie szklarskim nad stawem.

Przewieziony do Blois, aby go osądono na hrabiowskim dworze, któremu podlegał jako wasal, mistrz szklarski został umieszczony w zamkowym szpitalu i miał czekać na proces. Leczone go tam. Rany się zabiły, pozostał jednak kaleką i nie rokował nadziei na poprawę. Z przeciętymi ścięgnami nie miał szans na normalny chód.

Sprawując regencję pod nieobecność hrabiego, który wyruszył do Ziemi Świętej, Adela z Blois pragnęła osobiście przewodniczyć najwyższemu trybunałowi mającemu rozpoznać sprawę Bernolda pod koniec grudnia. Zarzucano mu nie tyle zabójstwo gajowego, gdyż zamordował go w obronie własnego życia, ile to, że dopuścił się cudzołóstwa z narzeczoną syna.

Mimo wszystko jego stan wzbudził litość hrabiny. Podobnie zareagowali sędziowie. Z pewnością na wyrok wpłynęły też liczne supliki przyjaciół, a zwłaszcza Majola. Uznając, że Bernold został już wystarczająco ukarany nieodwracalnym okaleczeniem, trybunał poprzestał na wymierzeniu kary przewidzianej przez Kościół w takich wypadkach – siedmiu lat o chlebie i wodzie podczas trzech postów (przed Wielkanocą, przed Świętym Janem Chrzcicielem, w adwencie), ponadto w środy, piątki i soboty w każdym tygodniu. W tych samych dniach obowiązywała go wstrzeźliwość cielesna.

Ale Normandczyk z własnej woli narzucił sobie jeszcze surowszą dyscyplinę.

Zanim wrócił do Grand Feu, przed Bożym Narodzeniem, poprosił, aby uprzedzono jego bliskich o ślubie milczenia i samotności, który złożył w obliczu Boga i którego postanowił dotrzymać przez siedem lat pokuty.

Odtąd zamieszka sam w warsztacie przeznaczonym do sporządzania szkiców, będzie spał na płóciennym pościeliu, otwierał usta tylko wtedy, gdy będzie tego wymagała praca, którą zamierzał znów podjąć.

Oprócz tych niezbędnych kontaktów nie odezwie się słowem do nikogo i będzie żył jak pustelnik.

Znaczyło to, że odtrąca Isamborę i dzieci.

Jedynie Gresja miała prawo wchodzić do pomieszczenia, z którego nie ruszał się ani na krok. Przynosiła ojcu jedzenie, drewno, ubrania, leki oraz inne rzeczy, których potrzebował. Dziękował jej skinieniem ręki, a czasem całował ją w czoło.

Czy Bernold spodziewał się, że tą ascetyczną egzystencją odkupi grzechy, odpokutuje za udział w straszliwym końcu swej kochanki, czy też zamierzał samolubnie pograżać się we wspomnieniach i nie życzył sobie, by ktoś mu w tym przeszkadzał?

Isambora nieustannie się nad tym zastanawiała. Wykonując codzienne zajęcia, nie mogła jednak odpędzić natrętnych myśli i prosiła Wszechmocnego, by dał jej poznać

motywy postępowania męża, ważniejsze dla niej niż wszystko inne.

Radość, że wróciła do majątku, dawno przez nią opuszczonego, teraz się rozplynęła! Powrót Bernolda spotęgował tylko zmartwienie i gorycz.

Jeśli zdradzona małżonka kiedyś wierzyła, że będzie mogła postawić warunki, zanim zdecyduje się podjąć pożycie z mężem, to grubo się myliła! Nie miała nic do gadania. Wydarzenia potoczyły się w taki sposób, że ani ona, ani nikt inny nie potrafił zmienić istniejącego stanu rzeczy...

– Niech mi Bóg wybaczy, bratanico, ale lepiej byś zrobiła, gdybyś poślubiła w młodych latach raczej Gildasa niż tego twojego Normandczyka! – powiedziała jej wtedy Perryna, której spokojne uczucie i trzeźwy rozsądek okazały się niezwykle cenne od czasu ponownego zamieszkania rodziny w posiadłości przy wytwórni szkła. – Z takim poczciwym chłopakiem jak on nie wpadłabyś w podobne tarapaty!

– Kochałam Bernolda, stryjenko, i przysięgam na mą duszę, że wciąż go kocham – odparła Isambora. – Rzekłby kto, że miłość wrosła we mnie korzeniami!

Perryna dokładała starań, aby przyjść z pomocą zdruzgotanemu małżeństwu, podwaszał zaś rzadko się pokazywał.

Zawiedziony, że został bez męskiego dziedzica po urodzeniu przez Awelinę córki, rozczarowany, że trzeba było poniechać familijnej zemsty, Gerwazy pocieszał się polowaniem, jeśli akurat nie zajmował się winnicą.

Wraz ze świtą barona albo tylko w asyście kilku kamratów niezmordowanie przemierzał równinę i leśne ostępy. Słyszał było, jak dmie w trąbkę już to w górnym, już to w dolnym biegu Loiru...

Isambora odróżniała jej dźwięk spośród innych...

Drzwi znów się otworzyły. Wszedł Aljom.

– Zapada noc – rzekł. – Nie możemy już pracować w warsztatach. Wysłałem do domu Remigiusza i Gerbalda Swojaka.

Dawny zespół szklarzy uformował się na nowo. Gdy tylko rozeszła się wieść, że w Grand Feu znów zapłoną piece, dawni czeladnicy postanowili tam wrócić.

Teraz nieliczną ekipą kierował Aljom. To on jeździł po okolicy, rozglądając się, gdzie powstają nowe budowle, on prowadził rachunki, wykonywał pomiary przyszłych witraży, zastanawiał się, jak dopasować ramy, oceniał wręby w oknach do udekorowania, sporządzał kosztorysy.

Jego ojciec kreślił jedynie, według danych dostarczonych przez syna i przekazywanych mu przez Remigiusza, szkice na pergaminie, które wykorzystywał, wykonując na stole zbitym z desek jedną lub parę makiet. Jednakże przede wszystkim poświęcał się wytwarzaniu słynnego błękitu, za którego tajemną recepturę tak drogo zapłacił.

Aljom i on nigdy się nie widywali ani ze sobą nie rozmawiali.

– Kolacja niedługo będzie gotowa – rzekła machinalnie Isambora. – Twoje portki, synu, są już prawie ufarbowane.

Do sali, oświetlonej jedynie płomieniami ognia, wkroczyła Sancja z żelaznym, trójramiennym świecznikiem w dłoni. Wraz z nią izba pojaśniała. Służąca postawiła świecznik na skrzyni i wyszła.

Aljom zobaczył, że matka trzyma w ręku trzewiki Bernolda.

– Nie zadrećzaj się już – rzekł rozdrażniony. – Po co płakać nad czymś, czemu się nie da zaradzić?

Od października minionego roku charakter najstarszego syna stwardniał. Młodzieniec nie obnosił się już ze swym cierpieniem. Ale ono go przytłaczało.

Zmarła Adeliza, na zawsze okaleczony Bernold – to były dla niego tematy zakazane. Nie chciał nikomu opowiadać o takich okropnościach.

W przeciwieństwie do mistrza szklarskiego, nie stanął przed sądem za zabójstwo Daimberta. Broniąc ojca, spełnił uświęcony obowiązek. Kto mógłby go potępiać za to, że skorzystał z prawa do osobistej zemsty?

Ponieważ gajowy lenny był sierotą i o ile wiadomo, nie miał krewnych, nie należało się obawiać rodzinnych porachunków. Zresztą lubieźność i nieokrzeseanie tego osobnika sprawiały, że nikt go nie żałował. Wielu oszukanych mężów i dziewcząt sprowadzonych na złą drogę na pewno wręcz cieszyło się ukradkiem z odejścia ich dręczyciela.

Uściwszy dług w postaci wpłaty na rzecz parafii za przelaną krew, Aljom wrócił do normalnego życia i do szklarskiego rzemiosła.

Aby zgromadzić sumę niezbędną do naprawienia winy, która w opinii każdego zasługiwała na największą pochwałę, Isambora musiała sprzedać jedno z pól. Jej syn zyskał tym większy szacunek.

Transakcja rozwiązywała sprawę tylko pod względem materialnym.

Jeśli po leśnej rzezi życie potoczyło się pozornie zwykłym trybem, odcisnęła się ona niezatartym piętnem w prostolinijnej i szczerzej duszy Aljoma. Coś w nim pękło, załamało się pod naporem nieszczęścia. Chociaż nigdy słowem o tym nie napomykał, wszystko w jego sposobie bycia zdradzało nieodwracalną wewnętrzną przemianę.

Już ucieczka obojga kochanków boleśnie go zraniła. Okropne wydarzenia towarzyszące ich powrotowi i odpokutowaniu grzechów jeszcze pogłębiły jego strapienie.

Szukał ucieczki w pracy, która wiodła go do jedynych miejsc, gdzie znajdował trochę spokoju: kościołów i klasztorów. Przebywał w nich dłużej, niż to było konieczne, aby modłać się lub medytując, zapomnieć o mrocznych machinacjach świata.

Ale wstrząs był zbyt świeży, aby syn Bernolda zaznał długotrwałego ukojenia. Raz po raz budził się w nim bunt.

– Ilekroć widzę te trzewiki, serce mi się kraje – westchnęła Isambora. – Gdy ich dotykam, cała drzę...

Aljom z furią wyrwał matce buty i cisnął daleko od siebie.

Ogier, który bawił się w kącie z Doettą, podniósł wrzask.

– Kiedyś miałaś więcej odwagi, matko! – wykrzyknął Aljom urywanym głosem. – Potrafiłaś zachować godną twarz, gdy cię porzucono i borykałaś się z kłopotami. A teraz nie umiesz pogodzić się z karą, jaka spotkała sprawcę wszystkich naszych nieszczęść?

Krzyki wywabiły z pokoju Filipę, która razem z Albinem pilnie kopiowała godzinki z modlitewnika. W owym pozbawionym radości styczniu miała nieco ponad dziewięć lat.

Weszła, spojrzeniem objęła salę i obecne w niej osoby, po czym spokojnie

skierowała się ku wysokim trzewikom leżącym koło jednej ze skrzyń z błyszczącego drewna dębowego. Podniosła je, popatrzyła na nie przez chwilę, następnie bez słowa zabrała je do kuchni.

– Ona ma rację – zauważyła Gresja. – To są tylko buty, które trzeba natłuścić.

Isambora i Margista w milczeniu wyciągały ufarbowane portki z roztworu marzanny. Aby się nie poparzyć, używały długich szczypiec, którymi wylawiały zabarwione sztuki tkaniny, po czym wkładały je do drewnianej kadzi, czekając, aż wystygną. Pozostawało tylko wypłukać je w czystej wodzie i powiesić na strychu do wyschnięcia.

– Po kolacji poproszę cię, mamó, abys pozwoliła mi pójść do zamku – szepnęła Gresja do Isambory, gdy ta szła nakarmić Ogiera. – Hagenier z dwoma kolegami będzie grał wieczorem na flecie.

Zmarszczywszy brwi, Isambora odwróciła się do córki. Blask świec oświetlał nietkniętą, ślicznie wyprofilowaną część młodziutkiej twarzy. Na jej widok matka, gotowa odmówić, zaraz złagodniała. Jesienią Gresja skończyła szesnaście lat. Jak długo jeszcze można było pozbawiać ją tych drobnych, rzadkich radości, jakich kiedykolwiek zazna?

Od czasu powrotu do Fréteval dziewczyna często wieczorami urządzała spotkania, albo u siebie, albo u swoich znajomych. Goście opowiadali różne historie, recytowali fragmenty poematów rycerskich, ten i ów grał na jakimś instrumencie muzycznym. Czasem tańczono.

Oczywiście pomysł poddały jej wieczorne przyjęcia w Blois. Gresja doszła do wniosku, że zamiast zbierać się wyłącznie po to, by gawędzić, popijać wino ziołowe, pojadać ciasteczka, przędać lub szyjąc, jak przedtem, trzeba wykorzystać te wolne chwile i skłonić mieszkańców doliny – tych, którzy tego chcieli – do zainteresowania się czymś innym niż tylko małkami sprawami codziennymi.

Jej inicjatywę życzliwie przyjęli okoliczni kupcy i rzemieślnicy, a także paru zamożnych rolników, dumnych z tego, że ich progenitura obcuje z ludźmi z warsztatów szklarskich, którzy cieszyli się poparciem hrabiny Blois.

Również baronowa nie miała nic przeciw temu, by na jej ziemiach zaszczepiono niektóre miejskie obyczaje. W jej otoczeniu wszystko, co płynęło z hrabiowskiego dworu i choć trochę odzwierciedlało upodobania Adeli, nadzwyczaj sobie ceniono. Dlatego chętnie, gdy baron wyrażał zgodę, udostępniała salę swego donżonu młodzieży, która krzewiła wśród jej dzieci i w gronie ich przyjaciół zamiłowanie do muzyki i rozrywek.

Okropne wydarzenia październikowe sprawiły, że chwilowo zarzucono te zwyczaje. Niewątpliwie nadeszła pora, by znów zacząć je kultywować.

– Nie możesz sama iść na zamek – odrzekła wymijająco Isambora, żeby zyskać czas do namysłu. – Nie wiem, czy twój brat będzie miał ochotę ci towarzyszyć.

– Na Boga! Nie jestem w nastroju zabawowym – rzucił Aljom, unosząc ramiona. – Prawdę mówiąc, nie rozumiem...

Gresja zaklaskała w dłonie.

– A ja wcale nie mam powodu tak jak ty wyrzekać się jedynych rozrywek, na jakie mogę sobie pozwolić! – obruszyła się. – Każdy niesie swój krzyż!

Aljom otworzył usta, aby jej odpowiedzieć, ale rozmyślił się i wybiegł z sali, trzaskając drzwiami.

– Na litość boską, dzieci, przestańcie skakać sobie do oczu! – zaprotestowała Isambora. – Jakbyśmy nie mieli dość zmartwień, wy też musicie się kłócić?

– Nie przejmuj się nami, mamó – powiedziała Gresja. – Aljom i ja bardzo się kochamy. Dobrze wiesz.

Musnęła wargami policzek, jeszcze ogrzany od płomieni, przy których się matka uwijała, i uśmiechnęła się.

– Pozwól mi iść na tę wieczornicę, błagam – podjęła łagodnie. – Potrzeba mi rozrywki... Tu wszystko od paru miesięcy jest takie smutne!

Isambora westchnęła.

Ogier kurczowo czepiał się jej tuniki i szarpał za fartuch, by się nim zajęła. Schyliła się, wzięła chłopca na ręce, wyprostowała się, przytulając go do siebie.

– Na mą duszę, córeczko, nie potępiam cię za to, że chcesz choć na chwilę uciec od widm, które nawiedzają ten dom – zapewniła. – Ale nie mogę puścić cię samej w środku nocy.

– Remigiusz i Hagenier będą mnie eskortować. Aż przebierają nogami!

To prawda, że uczeń i niewidomy muzykant spierali się o pierwszeństwo w towarzystwie Gresji. Chociaż inni miejscowi chłopcy zdawali się stronić od oszpeconej dziewczyny, przynajmniej ci dwaj dochowywali jej wierności.

– No cóż! W takim razie rób, jak uważasz, córeczko – wymamrotała Isambora, której wyczerpały się argumenty. – I niech Bóg cię strzeże!

Między zniesławioną kobietą a dziewczyną, która pozostawała jedynym kruchym ogniwem, zdolnym być może kiedyś połączyć zwaśnionych małżonków, swego rodzaju subtelna komitywa umocniła jeszcze ponownie nawiązane porozumienie.

– Dużo nas będzie dziś na wieczornicy – wyjaśniła Gresja. – Oprócz domowników i gości barona pojawi się też Juliana z Damianem.

– Gildas może sobie powinszować adoptowanych dzieci – przyznała Isambora. – Okazuje się, że przyjmując je pod swój dach, i tym razem miał dobrą intuicję.

Od powrotu rodziny szklarza do Grand Feu młynarz i jego bliscy nieustannie okazywali tym, którzy znów się tam wprowadzali, serdecniejszą niż kiedykolwiek przyjaźń. Zawsze gotowi służyć pomocą, wydatnie się przyczynili do uładzenia egzystencji, której początki były trudne. Młyn podtrzymywał żywe kontakty z wytwórną szklą.

Widać było od razu, że Juliana, rówieśnica Gresji, pragnie się z nią zaprzyjaźnić.

Przed wyjazdem do Blois dziewczynki nie widywały się zbyt często. Urażona wszelkimi oznakami uwagi, Gresja stanowczo odrzucała próby zbliżenia, czynione przez wesołą i pełną życia osobkę, jaką była Juliana.

Pobyt u Albrei, w Blois, pogodzenie się z Isamborą, a także wiek złagodziły charakter dziecka buntującego się przeciw nieszczęsnemu losowi, jaki mu przypadł w udziale.

Adoptowana córka młynarza mogła wreszcie okazywać jej uczucie, które czekało na właściwy moment, by się rozwinąć.

W istocie, niezwykła osobowość siostry Aljoma, jej inteligencja i okrucieństwo, z jakim potraktował ją los, zarazem przyciągały i odstręczały tych, którzy się z nią stykali, ale niemal nikogo nie pozostawiały obojętnym. Śliczna, zdrowa, pełna zapału, szczodra z natury Juliana darzyła Gresję uczuciem, w którym fascynacja łączyła się z głębokim pragnieniem, by przynieść ulgę w nieszczęściu. Chociaż spotykała się z Adelizą podczas jej krótkich pobytów we Fréteval, tamta, zbyt sprytna, zbyt kokieteryjna w jej mniemaniu, nigdy jej tak nie pociągała jak nowa przyjaciółka.

Isambora cieszyła się z tej przyjaźni, dzięki której najstarsza córka mogła nawiązać więź z rówieśnicą.

Brat Juliany, Damian, ledwo ukończył trzynaście lat, ale rósł jak na drożdżach i dawał mieszkańcom Grand Feu nieudolne dowody dobrej woli, które na zmianę ich rozczulały i doprowadzały do rozpacz, zależnie od okoliczności.

Tego wieczoru, wbrew przewidywaniom Gresji, przyszli po nią nie tylko Remigiusz i Hagenier, lecz także Juliana i Damian, po czym udali się do zamku. Lecz nie byli sami. Towarzyszył im Gildas.

– Strasznie dziś zimno – wyjaśnił młynarz – i boję się, że nasza młodzież złapie przeziębienie w taką pogodę. Kazałem zaprząć wóz. Zawiozę na górę całą czeredę, osłoniętą płachtą i okrytą wełnianymi derkami.

– Jestem ci ogromnie wdzięczna, mój drogi – rzekła Isambora. – Niepokoiłam się, że dzieciaki będą maszerować bez opieki w taki mroźny wieczór. Wilki są teraz wygłodniałe. Co noc słysząc ich wycie.

Młynarz przytaknął.

– Robię to tak samo dla swoich, jak i dla twoich – zakończył żywo. – Nie musisz mi dziękować. Po wieczornicy przywiozę twoją córkę i jej kolegów całych i zdrowych.

– A więc sam bierzesz w niej udział?

– Naturalnie. Baron Salomon zaszczyca mnie swoją opieką. Chętnie widzi mnie wśród swoich gości... Na świętego Marcina, patrona młynarzy, szacunek wielkiego, możnego pana jest nie do pogardzenia! No, ruszajmy! Nie martw się, moja miła, ujrzysz nas z powrotem przed zamknięciem miejskich bram.

Gdy turkot wozu się oddalił, Isambora podeszła do kominka. Filipa i Albin piekli kasztany na rozżarzonych węglach, przed paleniskiem, koło Margisty i Sancji, które grzejąc się przy ogniu, przedły kądziel.

– Moglibyśmy się napić świeżego cydru? – zapytał chłopczyk, który miał paluszki i buzię umorusane sadzą. – Jest pyszny z kasztanami.

– Pójdę do piwnicy i przyniosę dzbanuszek – zaofiarował się Piotruś Ogrodnik, wstając. – Też bym chętnie sobie gołnął.

Obaj z Aljomem wyplatali sieci ze sznurka konopnego. Mieli ich użyć nazajutrz rano, zastawiając sidła w okolicznych żywopłotach i zagajnikach. Przy odrobinie szczęścia złapią może jakieś dzikie stworzenie, które przekształci się w piecyste na kolację. Pobliski las i wrzosowiska na równinie Beauce roiły się od czarnej lub płowej zwierzyny.

Dwa psy gończe w ceglaste i białe plamy spały u stóp najstarszego syna. Odkąd wrócił do warsztatu szklarskiego, wytresował je do polowania na jelenie, sarny, lisy czy

zające, co się trafiło. Pochodziły od tych, które niegdyś należały do Bernolda i których musiał się pozbyć, nim przeniósł się do Blois. Rozdane okolicznym rolnikom, często się szczyliły, a te przyszły na świat w jednym z miotów.

„Jak tu spokojnie – pomyślała Isambora, siadając na swoim miejscu przed kominkiem, na ławie wymoszczonej poduszkami. – Gdyby ktoś zobaczył naszą gromadkę grzejącą się przy ogniu, czy uwierzyłby, że przez nasze życie przetoczył się huragan?”

Westchnęła i zabrała się ponownie do pracy. Między dwa kawałki materiału z zielonej wełny wszywała wiewiórcze skórki, aby wyszykować ciepłą futrzaną kamizelę. Filipa będzie wkładała pod kaftan ten chroniący przed chłodem strój. Zimą każdy tak opatulał piersi i brzuch.

„Panie Boże, oddałabym Ci dziesięć lat życia, gdybyś tylko w zamian podpowiedział mi, w jaki sposób mogłabym dostać się do pracowni Bernolda – modliła się Isambora. – Co on tam robi w długie samotne wieczory? Jak spędza czas? O czym myśli? Serce mi się ściska, gdy sobie uświadomię, że jest tak blisko mnie, a jednocześnie tak daleko, jakby mieszkał w Dover. Moja miłości, mój najdroższy mężu, dlaczego narzuciłeś sobie pokutę, którą ja muszę znosić razem z tobą? Czy nie pomyślałeś o mnie ani przez chwilę? Czy w pamięci nie zachowałeś żadnego wspomnienia o szczęśliwych czasach, gdy byliśmy dla siebie wszystkim? Całkiem zapomniałeś o naszej przeszłości?”

Przyzwyczała się odmawiać te litanie, które towarzyszyły jej w pracach, modlitwach, na jawie i we śnie. Obecność niemal za ścianą mężczyzny, od którego nic nie zdołało jej oderwać, stała się jej obsesją. Na pozór jak dawniej zajmowała się dziećmi, domem, majątkiem, ale wszystko robiła siłą nawyku. Myślami błędziła gdzie indziej: pod drzwiami warsztatu, gdzie zaszył się okaleczony człowiek, którego los ranił jej serce, którego w wyobraźni wciąż widziała, odwiedzała, któremu pomagała.

Jeśli żalony koniec Adelizy, jej pospieszny pochówek w niepoświęconej ziemi, jej krótka egzystencja zwyczajnie wzbudzały w Isamborze litość, to jednak w głębi ducha musiała przyznać, z trzeźwością umysłu i zażenowaniem, że ta śmierć przyniosła jej ulgę.

Za to w jakiej otchłani zgrozy, wyrzutów sumienia musiał się pogryźć pod jej wpływem ograbiony kochanek, odpowiedzialny za wszystkie te nieszczęścia? Czy ukochana, która się powiesiła, nie jest potępiona, na zawsze potępiona z jego winy?

Jakie uczucia, skruchy lub żalu, mogły wypełniać bezsenne noce, medytacje – bez odrobiny pobłażliwości wobec samego siebie – występnego eremity, jakim stał się cudzołóżny mąż?

Czy pozbawiony tej, która go oczarowała, opętała, przywiodła do grzechu, cały czas ją oplakiwał, wyrzucał sobie, że doprowadził ją do zguby, czy też rozgrzebywał wspomnienia, tęskniąc za przeszłością?

Czego bardziej żałował: że tak ciężko zgrzeszył, czy raczej że nie może już tego zrobić?

Ku której z kobiet, kolejno miłowanych i porywanych, skłaniało się teraz jego serce? Ku zmarłej czy ku porzuconej?

Isambora pochylała stroskane czoło, naznaczone dwiema zmarszczkami, nad lśniącym futerkiem wiewiórki, które roztaczało zwierzęcy zapach.

„Gdy już wyjdzie z żałoby, a ból będzie mniej dotkliwy, przypomni sobie, jak się

kochaliśmy – powtarzała sobie, zaciekle wbijając igłę. – Boże sprawiedliwy! To niemożliwe, by osiemnaście lat wspólnego życia, tak pełnego czułości i namiętności, zostało wykreślonych przez kilka miesięcy szaleństwa!”

Kiedy jej doniesiono, że cudzołożna para pojawiła się w warsztacie szklarskim starego mistrza, najpierw zawrzała oburzeniem. Co? Bernold ze swoją dziwką zadekował się o kilka wiorst od rodzinnego domu? Rzucił wyzwanie im wszystkim? Nie powstrzymało go elementarne poczucie wstydu? Taka prowokacja wydała jej się nie do zniesienia. Zapomniała nawet, że się o niego bała.

Stryjenka, która natychmiast przybiegła, podzielała jej rozdrażnienie.

Kiedy jednak obie dowiedziały się, że kochankowie drogo zapłacili za swój występki, rozplakały się i już nic więcej nie mówiły.

W sercu Isambory bez wielkiego trudu miłość zatriumfowała nad urazą.

Jednakże nie czuła wcale litości dla cierpiącego mężczyzny, który powrócił. Za bardzo go kochała, aby mogła coś takiego do niego poczuć. Odkąd gospodarz Grand Feu znów zamieszkał u siebie, u nich, tuż obok, zakiełkowała w niej, mimo wszystko, cicha, uparta nadzieja...

Gdyby tylko pozwolono jej zbliżyć się do Bernolda, nawiązać przerwana nić ich codzienności, umiałyby wyleczyć, pocieszyć męża, którego chytre sztuczki kusiciela sprowadziły na manowce...

Służące zabrały objedzone kasztanami i opite cydrem dzieci i położyły je spać.

Uporawszy się z siłdami, Aljom, za którym pobiegły psy, wraz z Piotrusiem wyszli z sali.

– Poczekam na Gresję, bo jeszcze nie skończyłam szyć – rzekła Isambora do syna.

– Im szybciej ta kamizela będzie gotowa, tym lepiej.

Gdy została sama, wróciła do rozmyślań.

Z zaciśniętymi ustami, z głową pochyloną nad robotą, w migotliwym blasku ognia i trzech świec przedstawiała obraz wytrwałości, niezłomnej woli, które ją cechowały.

Mężczyzna, którego jej odebrano, należał do niej. Potrafi znów go sobie zjednać. W największej głębi jej istoty żywa miłość, poszanowanie dla statusu małżonki, niezachwiane przekonanie o mocy sakramentu, który ich oboje wiązał, były tak silnie zakorzenione jak dziecko, które ma się narodzić. Postanowiła dołożyć wszelkich starań, aby odzyskać towarzysza, bo tylko on jeden był w jej oczach godny pożądania. Doznane przezeń okaleczenie, udaremniające jakąkolwiek nową eskapadę, stwarzało Isamborze niespodziewaną szansę: mogła znów zostać jedyną kobietą, jedyną pośredniczką między miłością a nim.

Chociaż jej serce krwawiło na myśl o kalekim ukochanym, rozsądek podpowiadał, że zdoła mu pomóc się podnieść, przezwyciężyć koszmar, pod warunkiem jednak, że odda się jej w opiekę. Ich powtórny związek będzie oznaczał drugie zwycięstwo przywiązania, które pokonuje wszelkie przeszkody!

Tak jak Gildas obiecał, Gresja wróciła przed zamknięciem bram. W kominku przybywało zwęglonych polan, a Isambora nadal zawzięcie szyła. Wzrok, który podniosła na córkę, był skupiony, gorejący.

– Ach, już jesteś – powiedziała. – Czas mi szybko zleciał.



– Mnie też, Bogu dzięki! – zawołała dziewczyna. – Na wieczornicy było tak wesoło! Śpiewaliśmy, muzykowaliśmy, graliśmy w ciuciubabkę...

Zrzuciła płaszcz i podeszła do matki, by ją uściskać.

– Nie masz mi za złe, że się do tego przyznaję? – dopytywała się lekko zaniepokojona.

Isambora złożyła kamizelę, wsunęła ją do stojącego obok koszyka i wstała.

– Kiedy człowiek ma się bawić, jeśli nie w twoim wieku? – odrzekła z czułością.

Położyła ręce na ramionach Gresji i pocałowała ją w czoło.

– Nigdy nie będę ci robić wymówek tylko z tego powodu, córko, że chcesz zaznać trochę radości, gdy nadarzy się okazja – oznajmiła. – Niedobrze korzystać z życia półgębkiem. Należy z niego czerpać pełnymi garściami. Poza tym trzeba mieć dość odwagi, a także wiary w siebie, aby potem przełknąć to gorzko-słodkie ciasteczko!

Uśmiechnęła się.

– Chrześcijanin musi być wesoły – ciągnęła z zapałem. – Tak, na moje zbawienie, musi taki być! Czyż nie przyświeca mu Nadzieja?

Gresja przyglądała się matce.

– Wydajesz się odmieniona – zauważyła. – Co się stało dziś wieczorem?

– Sama nie wiem... Chyba spłynęła na mnie jakaś łaska: ta, która pomaga wytrwać mimo wszystko!

Wydobywająca się gdzieś z głębi trzewi fala światła zalała wychudzoną twarz.

– Wyglądasz, mamó, jakby ktoś oświetlił cię od środka lampą – stwierdziła Gresja.

– Dawno już nie widziałam, żebyś była taka zdecydowana... a jednocześnie spokojna.

– Miejmy nadzieję, że ten spokój nie rozwieje się wraz z błogosławioną nocą, dzięki której go odzyskałam – wyszeptła Isambora, chwytając świecznik. – Teraz idźmy spać. Późno już.

Pomimo mrozu i ostrego wiatru postanowiła, że nazajutrz rano odwiedzi brata w klasztorze.

Roland, ze swą pogodą ducha i mądrością, która go nigdy nie opuszczała, był dla niej wciąż bezcenną podporą. Jeśli jego mikstury i maści zawsze wywierały dobroczynny skutek, to jeszcze bardziej liczyły się serdeczne rady, słowa zachęty, jakich jej nie skąpił.

Zastała go w infirmerii. Przygotowywał gąbkę ze środkiem odurzającym, zanim przystąpił do amputacji dotkniętej gangreną ręki rannego leżącego na jednym z łóżek.

W izbie w dużym kominku płonęła kłoda drewna. Wonne opary unosiły się z wiszącego na haku kociołka. Na rozpalonym polanie nagie ostrze osadzone w drewnianej rękojeści czekało, aby się nim posłużyć do przyżegania rany.

– Bóg z tobą, siostró. Nie mogę się oderwać od pracy – rzekł Roland. – Zechcesz usiąść przy ogniu? Jak tylko uporam się z tym biedakiem, będę do twojej dyspozycji.

Nie przestając mówić, zanurzał gąbkę w misce wypełnionej ciemną substancją. Isambora wiedziała, że mieszanina lulka czarnego, maku i mandragory, używana przez jej brata w takich przypadkach jak ten, była dozowana w proporcjach, które mnich trzymał w tajemnicy. Po nasączeniu gąbki płynem Roland umieści ją pod nosem pacjenta, który wkrótce pogrzeży się w głębokim śnie. Oszczędzi mu to cierpienie wywołanych amputacją.

– Raczej przejdę się do szewca z dolnej ulicy, któremu dałam parę skórzanych trzewików do podzelowania – rzekła Isambora, nie mając wielkiej ochoty asystować przy zabiegu. – Wróć za chwilę.

Gdy wychodziła z monasteru, spotkała Damiana, który wbiegł tam pędem. Wydawał się naprawdę przerażony. Chcąc go zatrzymać, chwyciła adoptowanego syna Gildasa za ramię.

– Zdaje się, że coś cię przynagliło, mój mały – zagadnęła. – Dokąd się tak spieszysz?

– Matka potknęła się na gołoledzi, wychodząc z młyna. Wpadła do rowu ściekowego! – zawołał Damian, szlochając. – To straszne... Ojciec i czeladnik ledwo ją wyciągnęli z wody, przemarznątą na kość...

– Czy żyje? – zapytała Isambora, żegnając się.

– Była nieprzytomna, gdy wychodziłem, ale wciąż oddychała... Boże święty! Oby tylko nie umarła!

– Uratujemy ją, jestem pewna! Wezwij na pomoc mnichów. Oni potrafią ją wyleczyć. Ja też tam zaraz pobiegnę!

Usytuowany na zachodnim krańcu Fréteval, za mostem zbitym z desek, wiodącym z miasteczka do podnóża skarpy zwieńczonej donżonem, młyn odznaczał się wysokim, pochyłym dachem i szachulcową fasadą.

W sali wstrząsanej hukiem koła i żaren Bazylia leżała w obszernym łożu, które zwykle dzieliła z małżonkiem. Zwilgotniałe ubrania rzucono na ziemię. Wały się koło posłania, na posadzce usłanej sianem.

Gildas, Juliana i dwie służące pochylali się nad bezwładnym ciałem okrytym futrzanymi kołdrami.

Sąsiedzi, sąsiadki tłoczyli się w izbie i cicho rozmawiali.

Pozdrawiając przy okazji tych, których znała, Isambora podeszła do łóżka.

Trupio blada maska topielicy przypominała już twarz nieboszczki. Wyblakłe, zeszywniałe warkocze tajały, mocząc prześcieradło.

Isambora stanęła obok Gildasa, który się odwrócił.

– Na wszystkich świętych, skąd się tak szybko dowiedziałaś?...

– Wychodząc z klasztoru, spotkałam Damiana...

Młynarz potaknął.

– Zanim wpadła do lodowatej wody, pośliznęła się na oblodzonym brzegu – wymamrotał. – Głową uderzyła w stwardniałą ziemię tak mocno, że usłyszały to stąd służące. Wydaje się zamroczona... Nie udaje nam się jej rozbudzić...

– Nacieraliście ją octem?

– Ile sił w rękach... a Juliana podłożyła jej pod stopy dwie gorące cegły...

– W razie przedłużającego się stanu nieprzytomności Roland wpuszcza parę kropli wyciągu z rozmarynu między szczęki chorego – rzekła Isambora. – Chcesz, żebym po niego poszła?

– Damian powinien niebawem wrócić – odparł Gildas. – Może go przyniesie...

Chłopak i jeden z pomocników Rolanda rzeczywiście wkrótce potem się zjawili. Lecz mimo usilnych starań Bazylia nie oprzytomniała.

Sztywna, z zamkniętymi oczami, zszarzałą cerą pod lnianą opaską okalającą głowę, wydawałaby się nieżywa, gdyby leciutki oddech wciąż nie unosił jej piersi.

Godzinę później sąsiedzi jeden po drugim zaczęli się rozchodzić.

– Nie zostawię was w takim momencie – zdecydowała Isambora. – Uprzedźcie moich. Nie wrócę do domu, dopóki Bazylia się nie ocknie.

Gildas chwycił swą rozmówczynię za rękę, którą delikatnie pocałował. Wydawał się wzruszony.

– Ze starym sparaliżowanym ojcem i nieprzytomną żoną nie jest mi za wesoło – powiedział, siłąc się na uśmiech. – Na szczęście mam jeszcze dzieci i przyjaciół!

I tak minął dzień.

Po szybkim posiłku Juliana usiadła obok Isambory, która poprosiła ją o kąpiel, aby zająć czymś ręce.

Dziewczyna o wspaniałej cerze, dużych brązowych oczach, pełnych ciepła i wigoru, mięsistych ustach, jakby stworzonych do uśmiechu, wydawała się jeszcze bardziej godna politowania niż reszta rodziny. Istniał jakiś rozdźwięk między jej zdrowym wyglądem, młodością, żywością a łzami, których nawet nie próbowała wycierać, spływających po jej kaftanie, całym już mokrym na piersiach.

Poza salą, w której słyszeć było tylko znajomy trzask ognia i głuchy łoskot młyna, życie wróciło na dawny tor. Gildas i Damian znów krzatali się przy żarnach. Worki z ziarnem do zmielenia nie mogły czekać.

Mdły zapaszek mącznego pyłu unosił się pod grubymi belkami sufitu, bardziej przenikliwy niż woń rozmarynu i rozżarzonych bierwion. Cały budynek drżał od uderzeń wielkiego koła, wybijającego monotony, obsesyjny rytm. „Ani na chwilę nie możesz zapomnieć, że jesteś w młynie”, pomyślała Isambora, zarazem mówiąc sobie, że gdyby tylko niegdyś zechciała, tutaj byłby jej dom, nie taki przyjemny jak jej własny...

– Czy Bóg miłosierny pozwoli, by nasza matka odeszła tak młodo? – wyszeptwała Juliana po dłuższej chwili. – Nie mogę w to uwierzyć. Tak bardzo jej potrzebujemy.

Isambora spojrzała na nieruchome ciało, przypominające rzeźbę nagrobną.

– Jeszcze nic nie jest stracone – rzekła. – Znam ludzi, którzy wiele dni znajdowali się w takim stanie, jak teraz Bazylia, a pewnego pięknego ranka wstawali uzdrowieni. Twoja matka jest kobietą nerwową, pozornie kruchą, ale kryje się w niej niezwykła siła. Nie podda się bez walki, wierz mi. Wola życia ma największe znaczenie, oprócz Bożej pomocy. Jestem pewna, że nie brak jej ani jednej, ani drugiej.

Pomimo tych zapewnień Bazylia do wieczora się nie poruszyła. Jej ciało było bezwładne, jak wtedy, gdy wyciągnięto ją z wody.

Służące, które spędziły dzień, cerując pościel w komnacie na górze, gdzie przebywał zniedołężniały Benedykt Wielojad, zeszły na dół, aby przyszykować kolację.

Gdy nie przyjmował jakiegoś dawnego koleżki, jak podwasal czy proboszcz od Świętego Leobina, sparaliżowany starzec wymagał stałej obecności tych młodych dziewczek, które musiały bez przerwy z nim rozmawiać i opowiadać mu o najdrobniejszych nawet wydarzeniach w dolinie. Źle się starzał, znajdował upodobanie w brudzie, lżył syna, gdy ten chciał go umyć, bezwstydnie tyranizował swoje otoczenie. Do tej pory jedynie Bazylia udało się pozyskać jego respekt.

Przerwawszy pracę o zachodzie słońca, Gildas przyszedł zobaczyć, jak miewa się żona. Pokryty drobnym białym pyłem, ze ściągniętymi rysami, przez chwilę stał u wezgłowia łóżka.

– Wydaje się, że jest między życiem a śmiercią – szepnęła Isambora. – Jej dusza jakby się oddalała... Ale ona wciąż oddycha.

– Niestety – rzekł młynarz – niektórzy zostają w takim stanie!

Następnie zaproponował przyjaciółce, że odprowadzi ją do domu. Nie było sensu czuć w nieskończoność przy tym pozbawionym świadomości ciele. Najwyraźniej nikt nie potrafił zaradzić dziwnemu omdleniu, które odizolowało Bazylię od świata żywych.

– Jeszcze się całkiem nie ściemniło. Wróć sama... Ale możesz na mnie liczyć: znów przyjdę jutro – obiecała Isambora.

Ani nazajutrz, ani na trzeci dzień stan chorej się nie zmienił.

Ponowne nacieranie, równie nieskuteczne jak eliksiry Rolanda czy modlitwy do świętego Marcina, patrona młynarzy, nie zdołało przywrócić jej zmysłów.

Z zamkniętymi oczami, ściągniętymi nozdrzami, bezbarwnym obliczem, Bazylija sprawiała na bliskich, obrzucających ją niespokojnym wzrokiem, wrażenie skamieniałej figury, której nic nie może ożywić.

Wezwana na pomoc Perryna przypomniała sobie, że hrabina Adela, pięć lub sześć lat wcześniej dotknięta gorączką, której żaden medyk nie umiał zwalczyć, wyzdrowiała, spędziwszy dwie noce w pozycji leżącej na relikwiarzu świętego Agilusa, w klasztorze Rebais, w krainie Brie. Ale odległość, jeśli zważyć na słabość Bazylii, wydawała się Gildasowi przeszkodą nie do pokonania...

Isambora codziennie przychodziła i dowiadywała się o zdrowie przyjaciółki. Zostawała przy niej dłużej lub krócej, razem z kumami z sąsiedztwa, które zmieniały się u jej wezgłowia.

Często matce towarzyszyła Gresja. Sama doznała nieszczęścia, więc łatwiej odgadywała, jak podnieść na duchu Julianę. Obie dziewczyny bardzo się do siebie zbliżyły podczas godzin oczekiwania.

Gildas wpadał, pochylał się nad łóżkiem, wzdychał, zamieniał parę słów z sąsiadkami i przysiadł się na chwilę do Isambory. Opowiadał jej o swojej pracy, o młynie, o adoptowanych dzieciach, po czym odchodził, jak przyszedł.

Na trzeci dzień Bazylija lekko się poruszyła, uniosła powieki, zamknęła je, wybełkotała kilka oderwanych słów i znów straciła przytomność.

To było wielkie wydarzenie. Niewiasty, które nad nią czuwały, zaalarmowały młynarza głośnym krzykiem. Gdy przybiegł, nie stwierdził żadnej widocznej zmiany w zachowaniu małżonki, ale uwierzył kumom na słowo.

Isambora przysłała po obiedzie sama, ponieważ Gresja zajmowała się ojcem. Asystowała przy drugim przebudzeniu chorej. Ta powiodła nieobecny spojrzeniem po ludziach, którzy ją otaczali, wymamrotała jakieś niezrozumiałe zdanie, zamknęła oczy.

– Przyjaciółko – rzekła Isambora, pochylając się nad nią. – Kochana moja, na rany Chrystusa, wróć do nas!

Wezwany po raz drugi Gildas energicznie wszedł do izby, skierował się ku łożu, w którym leżało zbolełe ciało żony. Czyżby to wyczuła? Uniosła powieki. Powolutku.

Jakby czyniła nadludzki wysiłek.

– Bazylio, Bazylko – szepnął młynarz, starając się opanować głos. – Słyszysz mnie? Jestem tu. Przy tobie. Wyzdrowiejesz. Teraz to już pewne...

Zmętniała niczym na poły skuta lodem woda, oczy topielicy przez chwilę wpatrywały się w powalaną mąką twarz, która wśliznęła się między nią a resztę świata. Pojawił się w nich przeblýsk świadomości. Wiotkie usta wymamrotały „Gildas”, rozchylił je cień uśmiechu.

– Rozpoznała cię! – zawołała Isambora. – Bogu niech będą dzięki! Jest uratowana!

Pochyleni oboje nad posłaniem chorej, znaleźli się bliźiutko siebie, a ich ramiona się stykały.

Gildas odwrócił głowę. Jego dolna warga leciutko drżała.

– To kobieta mocniejsza, niż można by sądzić – zauważył z bladym uśmiechem. – Nie brak jej energii.

Teraz z kolei weszła do sali Juliana, która wracała z Fréteval.

– Na pewno się ucieszysz, gołąbeczko – rzekła Isambora. – Twoja matka na dobre wraca do życia!

Jedna z sąsiadek stwierdziła, że trzeba niezwłocznie nakarmić Bazylię, poszcząca od trzech dni.

– Akurat mamy rosół z kapłona! – zawołała służąca.

– Mogę jej dać? – zapytała Juliana.

– Nie szkodzi spróbować – odparł Gildas fatalistycznie.

Dziewczyna usiłowała skłonić chorą do przełknięcia odrobiny płynu, lecz bulion bez przerwy wypływał z jej zdrętwiałych ust.

– Teraz musi odpocząć – doradziła Isambora, która pomagała Julianie. – Nie trzeba jej więcej męczyć. Jeśli zgłodnieje, da wam jakoś znać.

Zapadła już zimowa noc.

– Tym razem nie pozwolę ci wracać samej do Grand Feu – oznajmił Gildas. – Mróz trzyma od paru tygodni. Wilki stają się niebezpieczne.

Nie musiał długo nalegać. Isambora obawiała się samotnego powrotu, późniejszego niż zwykle. Wiedziała, jak głód ośmiela drapieźniki.

Zatem nie protestując, wsiadła do krytego plandeką wozu, który młynarz właśnie zaprzął. Grubą wełnianą derką opatulili kolana.

Zanim Gildas usiadł i chwycił za lejce, umieścił obok swego miejsca w zasięgu ręki topór z obnażonym ostrzem i oszczep z drewna jesionowego.

Księżyc był w pełni. Rozświetlał czerń nocy, srebrząc ją swym zimnym, opalizującym blaskiem. Znajomy krajobraz wydawał się pociągnięty ołowianą bielą. Smugi szronu lśniły pod grafitowymi sylwetkami drzew na pagórkach, pokrytych skarłatą trawą. Równinę wraz z jej winnicami i polami, sadami i łąkami osnuwała błękitna mgiełka. Na brzegach Loiru, wzdłuż którego toczył się wóz, stęchły odór rzeki mieszał się z ostrym zapachem mrozu. Pod jasnym niebem woda, jeszcze nie całkiem zamarznęta, płynęła niczym struga połyskującej smoły.

We Fréteval, w dobrze uszczelnionych domach, każdy szukał sobie miejsca jak najbliżej paleniska. Nikt nie włóczył się po dworze.

Jedynie widoczne światła to były płonące pochodnie, które strażnicy w warowni wetknęli w grube mury parapetu, aby oświetlić ścieżkę dla patroli u szczytu wieży. Chwiejny blask ognia padał na krzemienne płyty pokrywające donżon, zapalając w nich migotliwe iskierki.

Wysoka, czujna sylwetka potężnej budowli, wzniesionej na skalnym występie, górującej nad doliną, rysowała się wyraźnie na ciemnym nieboskłonie.

– Wracam spokojniejsza – rzekła Isambora. – Twoja żona wkrótce stanie na nogi.

– Jeśli Bóg tak postanowi...

Zapadła cisza. Żeliwne latarnie, wiszące po bokach pojazdu, rzucały jedynie poprzez okienka zaopatrzone w cienkie, przezroczyste płytki rogowe nikłą żółtawą poświatę na szary zad konia, drabinki i na wąski pas kamienistej drogi po obu stronach.

Isambora wiedziała, że plandeka i szorstka derka chronią ją przed zimnem, a także przed zagrożeniami, jakie niesie ze sobą noc. Mimo wszystko czuła się coraz bardziej nieswojo.

Zachowanie Gildasa, zwykle tak gadatliwego, nie było naturalne. Milczał, jakby się bał wyjawiać własne myśli. W spokojnym, mroźnym powietrzu rozlegał się tylko stukot podkutych kopyt.

– Twój mąż nadal nie chce się z tobą widywać? – spytał nagle, ocknąwszy się z zadumy.

Ton jego głosu był niemal opryskliwy.

– Nie, nie chce.

Po raz pierwszy ktoś spoza rodziny ośmielił się wypytywać Isamborę. Odkąd Bernold oznajmił swoim bliskim, że postanowił spalić za sobą mosty, każdy starał się nie poruszać bezpośrednio tego drażliwego tematu.

Z początku, będąc z bratanicą w poufalnych stosunkach, Perryna uważała, że ma prawo z nią o tym porozmawiać. Wobec wyraźnej, wręcz kategorycznej odmowy potępienia winowajcy, z jaką się spotkała, nie ponawiała próby.

A przecież wszędzie już o tym jazgotano! O postępowaniu mistrza szklarskiego bardzo często wspomniano na wieczornicach we Fréteval lub w okolicy. Wspominano i osądzano! Miejscowi nieustannie brali na języki jego ucieczkę z młodą panną, ich powrót, żaloszny koniec tej przygody.

Odon Tapisjer, jego żona, obie córki, jakie im pozostały, wyjechali rok wcześniej do Normandii, by ukryć swój wstyd i zgryzotę, toteż nie mogli dołączyć własnych złorzeczeń do zjadliwych komentarzy ludzi z doliny. Ale z pewnością nie byłyby one bardziej pobłażliwe.

Jednakże powstrzymywano się od obmawiania dzieci, czeladników, a przede wszystkim żony potępionego. Z szacunku dla niej. I ze względu na to, jak się zachowała, gdy ją okrutnie porzucono.

Jej godność budziła szacunek.

Aczkolwiek Gildas i Bazylia czasem niechętnie wspominali przy niej o tym, co zaszło, nawet oni nigdy nie odważyli się otwarcie z nią rozmawiać o nieszczęściu tak wielkim, że przyjaźń nie mogła go w najmniejszym stopniu złagodzić.

Więc dlaczego młynarz, przez nikogo niezmuszany, naruszał pakt milczenia,

którego każdy przestrzegał?

Ze spuszczoną głową, zasepionym czołem wydawał się pogrążony w ponurych rozmyśleniach, których toku nie śledziła Isambora. Wtedy postanowiła odwrócić jego uwagę i przerwać tę niezrozumiałą ciszę, podzielić się z nim planami, jakie snuła od pewnego czasu.

– Wypadek Bazylia pozwolił mi lepiej poznać twoją Julianę – zaczęła rezolutnie. – Słowo daję, masz uroczą córkę!

– Niewątpliwie.

– Myślałeś już o wydaniu jej za męża?

– Bazylia mówiła mi o tym kilka dni wcześniej, zanim wpadła do wody.

Isambora przytaknęła z aprobatą.

– Miała rację.

Ilekróć otwierali usta, wydobywała się z nich gęsta para. Szyję konia ciągnącego wóz też spowijał szary opar, buchający z jego nozdrzy.

– Myślałam, że ta dziewczuszka doskonale nadawałaby się na żonę dla mojego najstarszego syna – ciągnęła Isambora. – Jest odważna, zdrowa, żywa, wesółka...

Przerwał jej gorzki śmiech.

– Na Serce Jezusa! To niesłychane! – wykrzyknął Gildas z niepokonaną ironią.

– Aljom i Juliana mieliby się pobrać! Zaiste świetny pomysł!

Isambora uniosła brwi.

– Nie rozumiem, dlaczego moja propozycja tak cię zaskoczyła – rzekła. – Czy to coś niezwykłego, w rodzinach takich jak nasze, z dawien dawna połączonych więzami niezawodnej przyjaźni, myśleć o zawieraniu związków?

– To rzecz najnormalniejsza w świecie. Ale dziewczyna i chłopak powinni się mieć ku sobie. A nie zawsze tak się dzieje. Daleko do tego!

– Uważasz, że Juliana...

– Nie ją miałem na myśli.

Isambora westchnęła.

– Wiem, że mój syn za pierwszym razem dokonał całkiem nietrafnego wyboru...

Zdrętwiała z zimną ręką podgarnęła fałdy płaszcza.

– Nie należy stąd wnioskować, że nigdy nie zainteresuje się żadną inną panną. Dzięki Bogu jest jeszcze młody. W jego wieku szybko zapomina się o przykrościach i rozczarowaniach.

– Bywają ludzie, którzy nigdy nie potrafią się odkochać.

– Miejmy nadzieję, że Aljom do nich nie należy!

Wóz zajechał pod bramę Grand Feu.

Młynarz ściągnął lejce. Koń stanął.

– Wielkie dzięki za podwiezienie, mój drogi – powiedziała Isambora. – Czcigodne wilki znów dziś wieczór mnie nie pożrą i będą musiały obejść się smakiem!

Próbowała się śmiać, ale jej towarzysz się nie rozchmurzył.

– Widzę, że mój plan ci się nie spodobał – podjęła. – Na wszystkich świętych, nie spodziewałam się tego! Wydawało mi się, że taki związek powinien ci odpowiadać...

– Nie chodzi o mnie ani o moje uczucia – odparł Gildas – tylko o uczucia naszych

dzieci. Nie wiesz, jakie są, podobnie jak ja. Twój syn wciąż jest pogrążony w żałobie, a Juliana chyba za bardzo nie interesuje się chłopakami. Za wcześnie zajmować się sprawą, o której najwyraźniej nie myśli nikt oprócz ciebie.

Zsunął się z wozu, okrążył go, podał rękę pasażerce, aby pomóc jej zejść.

Ponieważ oboje mieli na sobie grube skórzane rękawice podbite rysim futrem, zgrabiące palce nie trafiły na siebie i tracąc równowagę, Isambora upadłaby, gdyby młynarz nie pochwycił jej w ramiona.

Postawił ją na ziemi, krzyknął do widzenia, jednym susem wskoczył do wozu i natychmiast zaciął konia.

Isambora przez chwilę śledziła wzrokiem oddalający się zaprzęg, naciągnęła najgłębiej, jak można, kaptur płaszcza, bo nagle chłód wydał jej się bardziej dotkliwy, po czym weszła do domu.



## II

– Wielkie nieba! – zawołała Awelina. – Jeśli znów urodzi się dziewczynka, mój ojciec będzie niepokieszony!

Przytulając się do kolan matki, mała Joasia, nieświadoma kłopotów, jakich przysporzyły jej narodziny, bawiła się pasczkami białej giemzowej skórki, zwisającymi na końcu plecionego paska, którym przewiązany był matczynej kaftan. Okręcona kilkakrotnie wokół talii skórzana plecionka była tak długa, że jej frędzlowane końcówki opadłyby na posadzkę, gdyby dziecko ich nie chwyciło.

– Faktycznie, obawiam się, że mój stryj łatwo ci nie wybaczy ponownego rozczarowania – przyznała Isambora. – Tak bardzo pragnie męskiego dziedzica i jest taki uparty, że jeśli nie będzie miał wnuka, gotów się na was pogniewać!

Widać było jak na dłoni, że przyszła matka wcale się nie frasuje taką ewentualnością. Pogłaskała po ciemnych włosach Joasię, kubek w kubek podobną do Majola, i uśmiechnęła się.

– Na mą duszę, wcale mnie to nie obchodzi, że przez jakiś czas będzie się dąsał. Czy nie jestem jedynaczką? Będzie musiał się ze mną pogodzić, jeśli chce poznać moje przyszłe dzieci.

Jej męża hrabina Adela wysłała do Meaux, aby tam rozpatrzył projekt nowego kościoła, więc Awelina skorzystała z jego nieobecności i przyjechała do rodziców, aby spędzić z nimi śródpoście.

Tchnęła pewnością siebie i szczęściem.

– Jeśli i teraz nie dam mu upragnionego chłopca, to trudno! – ciągnęła, prowokacyjnie wysuwając do przodu podbródek. – Poczekaj do następnego razu!

Jej pogodne spojrzenie stwardniało.

– Sam nie potrafił spłodzić upragnionego syna, więc nie może mieć pretensji, że nam też to nie wychodzi! – rzuciła napastliwie.

Isambora się uśmiechnęła.

– Nigdy się nie zmienisz, moja ty kłótnico! – stwierdziła, zręcznie przeciągając czółenką wątek między nitkami osnowy. – I bardzo dobrze.

Ustawione w izbie pod salą Grand Feu, obok spiżarni, na ubitej ziemi, aby utrzymać odpowiednią wilgotność zapewniającą trwałość nici, stare, masywne krosno z kasztanowego drewna działało, skrzypiąc całym swym ciężkim szkieletem.

Pod koniec zimy znów rozpoczynał się sezon tkacki. Potrzebne były prześcieradła, toteż korzystając z ocieplenia, kobiety schodziły do nieogrzewanego pomieszczenia, by tam pracować. Wyrabiały mocne sztuki płótna z lnu zebranego poprzedniego roku na ziemiach w majątku.

– Ja tyję – podjęła Awelina – a ty, przeciwnie, przyjaciółko, siostró, bardzo schudłaś. Nie wyglądasz najlepiej...

– Jakże miałyby być inaczej? Okropnie się martwię!

Isambora nerwowo naciskała stopą bukszpanowe pedały, pełniące funkcję dźwigni, aby uzyskać przesmyk w osnowie.

– Chociaż zgodziłam się czekać – podjęła, przeciągając wątek czółenką po raz

drugi – czasem czuję, że jestem u kresu wytrzymałości!

– Wszyscy tu podziwiają twoją odwagę...

– To nie odwaga! Bóg jeden wie! To upór, z jakim dążę do osiągnięcia celu. Pragnienie, by odzyskać człowieka, który do mnie należy na mocy dobrowolnie zawartego sakramentu, człowieka, którego się nigdy nie wyrzekłam, a który teraz znajduje się tuż obok.

Chwilę siedziała w bezruchu.

– Myślę tylko o nim. Muszę go odzyskać. Wiem, że jest tak blisko. To dla mnie męka, ale i promyk nadziei...

Awelina pochyliła się ku kuzynce.

– Wytrzymasz siedem lat? – zapytała porywczo. – Śmiem wątpić, gdy widzę, jak bardzo przeżywasz próbę, na jaką wystawia cię Bernold. W żadnym wypadku nie zniesiesz tak długiego okresu pokuty! Zresztą w imię czego, na Boga, miałabyś się zmuszać do takich umartwień?

Spurpurowiała z oburzenia.

– Nie powinnam się wtrącać – ciągnęła ze zwykłą zapalczywością – ale ja na twoim miejscu, perełko, wyważyłabym drzwi, które zamknięto mi przed nosem. Poszłabym do męża i wykrzyczała mu, że mimo jego karygodnego zachowania wciąż go kocham, że chcę z nim znów żyć!

– Ślubował przed Panem naszym milczenie i samotność – westchnęła Isambora, zdecydowanym ruchem opuszczając długi drewniany grzebień, którym przybijała watek. – To dla niego święty obowiązek, któremu nie może się lekkomyślnie sprzeniewierzyć... Gdyby jednak ktoś inny go do tego nakłonił...

Zaciskając wargi, przez dłuższą chwilę pracowała, nie odzywając się. Ciszę przerywał jedynie stukot krosna.

– Kiedy pomyślę – podjęła z czymś w rodzaju stłumionej wściekłości – kiedy pomyślę, że Bernold nie zna nawet swego ostatniego syna! Mieszka po drugiej stronie dziedzińca, ale nigdy nie widział Ogiera!

– Okazujesz anielską dobroć, martwiąc się o takiego samoluba – oznajmiła Awelina tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Przysięga to dobry pretekst! Na mą duszę, jeśli ją złożył, to znaczy, że chciał! Nikt aż tyle od niego nie wymagał! No, moja gołąbeczko, on nie zasługuje na to, żebyś się z jego powodu tak zadręczała!

Wzięła na kolana córeczkę, którą wyraźnie zaniepokoił jej podniesiony głos, i ukołysała ją w ramionach.

– Widzę dla ciebie dwa wyjścia – rzekła po pewnym czasie. – Zmusić męża do wspólnego życia albo zostawić go na łasce losu! Niech rozpamiętuje do woli swoje przewiny, pograża się w wyrzutach sumienia!

Odpowiedział jej jedynie regularny terkot krosna.

Isambora zawzięcie tkwała.

Żeby ją rozerwać, Awelina zaczęła opowiadać o pracowni hafciarskiej w Blois, którą nadal kierowała, czeladniczkach, które obie знаły, przewrotnej Eremburdze, sekretarzu Jehanie.

– Niedawno zadurzył się w jednej z dam do towarzystwa naszej hrabiny –

oznajmiła. – Wypróbuj na tej dziewczynie takie same sztuczki jak kiedyś na tobie.

– I popełnia błąd! – zapewniła Isambora. – Aby rozkochać w sobie kobietę, wcale nie trzeba uciekać się do takich podstępów!

Znów puściła w ruch czólenko. Jednakże słowa kuzynki zapadły jej w serce i stały się głównym przedmiotem rozmyślań. Przez parę dni dumiała, rozważała wszystkie za i przeciw, zadając sobie wciąż te same pytania.

Awelina wyruszyła z powrotem do Blois ze swą córką, ale ferment, jaki zasiała, nie przestawał drażnić umysłu Isambory.

Udzielone rady doskonale zgadzały się z dążeniami tej, która je otrzymała, jasno wyrażały jej własne uczucia, toteż wkrótce wydały jej się samą mądrością i wskazówką, jak ma postępować. Oczywiście zapamiętała jedynie sugestię, która jej odpowiadała.

Powracająca wiosna pobudziła jej zmysły, które znów nie dawały jej spokoju. Dręczyło ją to tym bardziej, że mężczyznę, który mógłby je zaspokoić, oddzielała od niej śmiesznie wąska przestrzeń... Sypiał o kilka sążni od jej komnaty, niedaleko posłania, gdzie ona marniała. Czy z nim nie było tak samo? Czy jego, mężczyznę w sile wieku, wyleczonego z ran i pomimo kalectwa, które nie mogło mu w łóżku przeszkadzać, zmuszonego do wstrzemięźliwości, całkiem niezgodnej z jego temperamentem, w samotności nie opanowywała nagła żądza podobna do tej, jaka ogarniała ją w sypialni małżeńskiej? Czy wbrew ascetycznym postanowieniom nie płonął chęcią, by znów oddawać się miłosnym uściskom, których wspomnienie nurtowało jego małżonkę?

Po ostatniej bezsennej nocy, pełnej wahań, Isambora wreszcie się zdecydowała.

Owego ranka po powrocie z mszy stanęła na dziedzińcu przy studni, dała znak służbie, by poszła do domu, wzięła Ogiera na ręce.

– Ten dzieciak nie zna nawet twarzy swego ojca! – wykrzyknęła, zwracając się do Gresji, która patrzyła na nią zdumiona. – To oburzające! Taka sytuacja nie może trwać dłużej! Muszę jej zaradzić!

– Niech ci Bóg dopomoże, matko – rzekła dziewczyna. – Co zamierzasz zrobić?

– Mam pewien pomysł – zapewniła Isambora. – Wracaj, córeczko, do domu z Filipą, Albinem i Doettą. Daj im śniadanie. Przyjdę do was później.

Gresja bez słowa zabrała brata i siostry do budynku, którego komin dymił w porannym powietrzu.

Oparta biodrem o cembrowinę studni, Isambora nie spuszczała z nich oczu.

Nie było wiatru. Wszędzie panował spokój. Na mleczno-białym niebie słońce, jeszcze blade po zimie, ogrzewało pierwsze pąki. Lekka mgiełka otulająca drzewa i dachy przesłaniała krajobraz w oddali, zacierając jego kontury.

„Śmiało! – powiedziała sobie Isambora, biorąc głęboki oddech. – Odwagi! Już dość długo czekałam. Niech mnie Bóg strzeże! Niech Matka Boska ma mnie w swojej opiece!”.

Na czole, ustach, piersi uczyniła potrójny znak krzyża, ułożyła Ogiera wygodniej na lewym ramieniu i skierowała się do warsztatów.

Aljom pracował już w jednym, Remigiusz i Gerbald Swojak – w drugim.

Przez otwarte okna słychać było znajome posapywanie pieców...

Isambora popchnęła drewniane skrzydło, za którym ukrył się ten, któremu miała stawić czoło, i weszła do środka.

Siedząc przy stole z desek, plecami do drzwi, Bernold ucierał porfirowym tłuczkiem na kawałku szkła, który służył mu za paletę, jakiś czarny proszek. Na blacie stał kubek pełen wody z domieszką wysuszonej i rozdrobnionej gumy z drzewa owocowego. Do tego naczynia mistrz miał wsypać utartą na pył substancję.

Słyszając skrzypienie drzwi, odwrócił się.

Minęły dwa lata, odkąd małżonkowie po raz ostatni przebywali sam na sam... Dwa lata...

– Przyszłam, żeby ci pokazać twego najmłodszego syna – rzekła pospiesznie Isambora. – Niedługo skończy dwadzieścia jeden miesięcy. Czy nie pora, abys go poznał?

Bernold bardzo posiwiiał. Broda, którą zapuścił, też była bardziej siwa niż blond...

Jasne spojrzenie, którym kolejno obrzucił żonę i dziecko, zaćmiło się. Mistrz szklarski zamknął oczy. Z jego ust nie padło ani jedno słowo.

Siedział tak bez ruchu, oderwany od pracy, z przymkniętymi oczami, ukazując Isamborze zbolące oblicze, poorane nowymi zmarszczkami, których tam kiedyś nie było.

– Bernoldzie! – zawołała. – Bernoldzie!

Potrząsnął głową. Ujrzała łzy wypływające spod zaciśniętych powiek.

Z początku zaskoczony, Ogier teraz wiercił się w matczynych ramionach. Wyciągał rączki do pędzli, kawałków kredy, woskowych pałeczek leżących na stole, o który opierał się jego ojciec.

– Obdarzając nas nim, Pan Bóg zesłał nam drugiego Henrysia – ciągnęła Isambora drżącym głosem. – Jest taki mocny jak on i podobny do niego, jakby kto skórę zdarł...

Te ostatnie słowa wyjąkała...

Na profil mężczyzny siedzącego naprzeciw niej nagle nałożyła się, jak w sennym majaku, zrozpaczona twarz jednego z uczniów Jezusa, pochylonego nad ciałem Nauczyciela, w chwili złożenia do grobu. Fresk przedstawiający scenę pogrzebu znajdował się w Blois, w kaplicy szpitala sąsiadującego z siedzibą mincerza. Isambora nieraz miała okazję go podziwiać.

Na twarzy Bernolda, podobnie jak na obliczu apostoła podtrzymującego Ukrzyżowanego, cierpienie pogłębiał jeszcze wyraz bezsilności, a zarazem poczucia winy, który rozdarł duszę przerażonej małżonki.

– Wciąż cię kocham! – wykrzyknęła. – Cokolwiek uczyniłeś, cokolwiek uczynisz, nigdy nie przestanę cię kochać!

Tak jak młode krogulce zamknięte w Morville w uplecionych z wikliny klatkach, na które rzucały się w panice, próbując uciec, serce tłukło się w piersi Isambory jak oszalałe.

Jedyną odpowiedzią na jej wyznanie był ochryply szloch.

Przestraszony Ogier zaczął płakać.

– Bóg mi świadkiem – podjęła Isambora. – Niech On mnie osądzi! Przychodząc do ciebie, byłam przekonana, że postępuję zgodnie z prawem małżonków. Powinieneś o tym wiedzieć, Bernoldzie: twoja żona, twoje dzieci są bez ciebie nieszczęśliwe!

Przycisnąwszy mocniej syna do siebie, rzuciła się ku drzwiom i wybiegła.

Na zewnątrz zachwiała się, omal nie upadła. Co ona narobiła? Jak się ośmieliła? Z jakim rezultatem?

– Chodź ze mną, pani – usłyszała wtedy koło siebie głos Amalbergi. – Chodź. Dam ci się napić kordiału mojej roboty. Dobrze się po nim poczujesz.

Akuszerka wychynęła właśnie z warsztatu, gdzie wydmuchiwno szkło. Pewnie przyniosła jakiś środek mężowi, Gerbaldowi Swojakowi, któremu coraz bardziej dokuczały oczy.

Jak wielu ludzi w Grand Feu, darzyła Isamborę szacunkiem.

Wyjęła dziecko z ramion matki i postawiła je na ziemi.

– No, biegnij, smyku, do Margisty! Na pewno ma dla ciebie ciepłe mleko, miód i placuszki.

Chłopiec ruszył naprzód niezdarnym krokiem maluchów.

– Jakaś ty blada, pani! – uzalała się położna. – Czy dasz radę przejść do mojego mieszkania?

– Ależ tak, tak – zapewniła Isambora. – Jeszcze nie jest ze mną tak źle jak z biedną Bazylią, która nie może stanąć na nogi po wypadku!

Żona młynarza z trudem dochodziła do siebie po epizodzie z rowem ściekowym. Chociaż odzyskała mowę, to jednak od czasu do czasu miała niepokojące luki w pamięci i nie mogła poruszać się tak swobodnie jak przedtem. Nie władała wystarczająco nogami, które się pod nią ugiwały i bez przerwy drżały.

– Na mą głowę! Boję się, że to wydarzenie będzie miało opłakane skutki – mruknęła Amalberga. – Nie dziwiłoby mnie, gdyby kryły się za tym jakieś diabelskie sprawy!

– Kto mógłby jej źle życzyć? Jest wcieleniem dobroci!

– Tutaj młynarze i młynarki nie cieszą się sympatią. Doskonale o tym wiesz, pani! Dochodziły do domku położnej.

Siedząc koło drzwi na kamiennej ławie, Hagenier grał na fujarce.

– Wprawiam się przed następną wieczornicą – rzekł niewidomy muzykant, gdy rozpoznał głosy nadchodzących. – Podobno ma się odbyć w Grand Feu. Trzeba godnie przyjąć gości, których zaprosiła Gresja.

„To prawda – pomyślała Isambora. – Zapomniałam o tym. Mam większe powody do żałobienia niż jakaś wieczornica!”

Ale powstrzymała się od uwag, wypila kordiał podany przez Amalbergę, po czym odeszła, wymawiając się pracą, jaka na nią czekała.

Potrzebowała chwili samotności.

Okrzyła dom, gdzie dzieci pewnie kończyły posiłek, dotarła do ogrodu, przecięła łąkę, zeszła do pralni, która o tej porze przeważnie była pusta, usiadła na słomie zostawionej przez Margistę i Sancję podczas ostatniego prania, następnie, objawszy kolana rękami, pograżyła się w rozmyślaniach.

Lubiła ten zakątek na brzegu rzeki, gdzie mieszając się z wonią Loiru i zimnego popiołu, unosił się zapach mydlnicy, której liście i korzenie gotowano, aby otrzymać mydlaną pianę używaną do usuwania brudu z bielizny. Leniwy bieg rzeki, jej niezmiennie przetaczanie się między szeleszczącymi liśćmi olch lub rzędami srebrzystych wierzb często kołysały jej nerwy. Poddawała się czarowi migoczącego i szemrzącego nurtu, miękkiego falowania roślin zaścieniających dno, lotu owadów, podskoków pajaków

wodnych...

Ale tym razem urok nie zadziałał.

Łzy Bernolda, jedna za drugą, zapadały w jej duszę.

Nigdy nie widziała, żeby płakał. Nawet na świeżo zamkniętym grobie Henrysia, w dniu, w którym złożono w ziemi ich drugiego syna, nawet po wypadku, który na zawsze oszpecił jego ukochaną córkę...

Aby tak się stało, jej męża coś musiało dotknąć do żywego, tak głęboko i w miejsce tak czułe, że nie dociera tam żaden odruch sprzeciwu, żaden wstyd, żadna ludzka godność... W mroczne, bezbronne, nagie miejsce, broczące krwią i wystawione na ciosy złego losu...

W przeciwnym razie taki człowiek jak on, Normandczyk szlachetnego rodu, nigdy by sobie nie pozwolił rozplakać się w czyjejś obecności...

A więc oboje zostali zranieni w najtajniejszej głębi swej istoty, oboje poznali przejmujące zimno noża, który rozcina materię przeznaczenia, skądinąd solidnie utkaną...

Na początku przygody, która go od niej oderwała, wyobrażała go sobie upojonego, szczęśliwego, triumfującego. Później – zgorzkniałego, pogrążonego w żalobie, może skruszonego, ale ani przez chwilę nie wyobraziłaby go sobie zdruzgotanego do tego stopnia, że nie usiłował nawet ukrywać swoich ran.

Gdy to stwierdziła, powróciły dawne dręczące pytania: co lub kogo oplakiwał Bernold? Młódkę, która się powiesiła, zmarłą i skazaną na potępienie z jego winy? Koniec szalonej namiętności? Płakał nad sobą? Czy też nad okropnym zamętem, który zasiał również w umysłach swoich bliskich, nad wyrządzonym złem, nad odtrąconą rodziną, nad szkodami spowodowanymi jego zbłądzeniem?

Czy był to człowiek szarpany niewymownymi wyrzutami sumienia, czy doznający już życiodajnej łaski skruchy, której oznaki tuż przedtem dostrzegła?

Jakże się tego dowiedzieć?

Czy będzie miała odwagę i możliwość ponownie złamać święte zobowiązanie, do czego już raz musiała się uciec, aby się z nim spotkać?

Czy po raz pierwszy wzięty przez zaskoczenie Bernold nie będzie się bardziej pilnował? Może zamykać drzwi na klucz i otwierać je dopiero, gdy upewni się, że na progu nie ma nikogo oprócz Gresji...

Przejęta ich obopólnym wzburzeniem, Isambora nie potrafiła obrócić na swoją korzyść rozterki mężczyzny, którego właśnie nawiedziła w jego samotni. Przeszkodziły jej w tym własne wzruszenie i mętlik w głowie.

Czy znajdzie w sobie siłę, by pogwałcić nakazy Bernolda, a zarazem przezwyciężyć własne skrupuły? I po co? Co miałyby mu powiedzieć? I co w ten sposób uzyskać?

Zanim przystąpiła do działania, wszystko wydawało jej się jasne. Później wszystko się poplątało...

W chwili gdy Isambora doszła do takiego wniosku, usłyszała szmer głosów. Instynktownie, bo od młodych lat znajdowała upodobanie w samotności, pragnęła unikać jakichkolwiek niespodziewanych spotkań i postanowiła się schować.

Pralnia nie bardzo się do tego nadawała. Ktoś, kto popchnąłby sklecone z desek

drzwi, które tam prowadziły, bez trudu by ją wypatrzył.

Ale odgłosy rozmowy dolatywały znad wody, nie znad łąki...

Wsunęła się w głąb wąskiego pomieszczenia, oparła o ścianę przeciwległą do rzeki i zaszyła w ciemnym kącie, za kozłami i dużą drewnianą balią z heblowanego drewna.

Od strony Loiru była niewidoczna.

Wtedy pojawiła się łódź z płaskim dnem.

Siedziała w niej Gresja w towarzystwie Juliany i dwóch chłopców.

Isambora ich rozpoznała: jeden był synem rzeźnika, drugi – bednarza z Fréteval.

Wszyscy czworo przekomarzali się ze sobą, a w ich rozmówkach pobrzmiwała nuta zaczepności, kpiny, onieśmienia, właściwa dorastającej młodzieży.

Pochylona nad wodą, w której zanurzała rękę, Gresja usadowiła się tak, aby ukazywać towarzyszom przejażdżki nietkniętą stroną swojej twarzy. Gruby biały welon, okrywający jej włosy i ramiona, zasłaniał też częściowo jej drugi profil.

W rysach córki Isambora ze zdziwieniem zauważyła jakieś niezwykle ożywienie, emocję, na którą składało się podniecenie i przyjemność, których nigdy przedtem u niej nie widziała.

Czy Gresja wreszcie zazna czegoś więcej niż wykluczenie wynikające z jej nieszczęsnego losu? Czyżby jeden z chłopaków, którzy towarzyszyli jej w łodzi, był na tyle roztropny, że pod na pół zniekształconą twarzą dostrzegł zalety młodej dziewczyny?

Czółno, otoczone kropelkami wody zagarnianej wiosłami, przepłynęło koło pralni, po czym się oddaliło.

Poranne mgły się rozproszyły. Radosne światło ożywiało kolory, podkreślało jaskrawą zieleń łąk, połyskiwało w nabrzmiałych sokiem pąkach. Lekki wietrzyk niósł ze sobą cierpkie i rozweselające powiewy, pachnące świeżą trawą.

Mimo postępów wiosny Isamborze coś doskwierało, miała złe samopoczucie, wynikające nie tylko z nieudanej próby pogodzenia się z Bernoldem. Zachowanie Gresji na wąskiej łodzi również dawało jej do myślenia...

„Matko Boska! – mówiła sobie. – Moje zmartwienie przyćmiewa wszystko, co widzę. Kładzie się cieniem na najbardziej niewinnych spotkaniach. Czy trzeba dopatrywać się w tym czegoś więcej oprócz żartobliwych rozmówek czwórki młodych ludzi mających nadzieję, że się dobrze zabawią podczas następnej wieczornicy? Powinam raczej być zadowolona...”

Ale nie była i zasepiona wróciła do domu.

Z Gresją zobaczyła się dopiero przy kolacji. Wydawało jej się, że w rysach dziewczyny odnajduje rozgorączkowanie, które odkryła rankiem nad wodą.

Wahała się, czy powiadomić córkę o swojej obecności w pralni. Jednak się powstrzymała. Wbrew wszystkiemu, co je ponownie do siebie zbliżyło, Isambora wiedziała, jak wielką wagę Gresja przywiązuje do wolności, i wystrzegła się jakichkolwiek uwag dotyczących jej życia osobistego.

Zresztą, jakby chcąc matce dać przykład dyskrecji, dziewczyna nie wypytywała o wizytę u mistrza szklarskiego. Gdy weszła do sali, wystarczył jej rzut oka, aby się zorientować, że między rodzicami nic się nie zmieniło, że śmiałość jednego nie wywołała u drugiego oczekiwanej reakcji.

Mniej więcej dziesięć dni później odbyła się wieczornica.

Był okres Wielkiego Postu, dlatego wybrano niedzielę jako jedyny dogodny dzień w tygodniu. Już w przededniu każdy się uwijał przy kuchni i w obejściu. Girlandy zieleni zdobiły salę, której zasłony Margista długo trzepała i czyściła, tymczasem Sancja polerowała meble, cynowe i miedziane naczynia. Isambora sporządziła pochodnie z czterech knotów oblanych woskiem i biegnących przez całą długość łuczywa, po czym osobiście upewniła się, czy kaftany, nogawice i welony są w dobrym stanie. Dzieci posypywały posadzkę świeżą trawą.

Filipie, która aż się paliła i wkrótce miała skończyć dziesięć lat, pozwolono uczestniczyć w wieczornicy. Było to wielkie wydarzenie w jej młodej egzystencji. Jednakże pomimo niecierpliwości, którą z trudem ukrywała, umiała powstrzymać wybuchy radości, czując, że byłyby niestosowne.

Szczególna sytuacja, w jakiej znajdowali się Isambora i Bernold, sprawiała, że to pierwsze przyjęcie od powrotu mistrza szklarskiego do Grand Feu miało bardzo dziwny charakter. Bez wątpienia niektórzy goście zgodzili się przyjść jedynie z czystej ciekawości.

Poza dziećmi barona Salomona, które mogły już bywać w świecie, kilkorga ich przyjaciół lub bliskich krewnych, pracowników z warsztatu szklarskiego i z majątku – pojawili się kupcy i rzemieślnicy z Fréteval wraz z żonami, synami lub córkami.

Hagenier i jego trzech koledzy, ci sami co zwykle, przygrywali na flecie, lirze, piszczałce, kobzie i uderzali w dźwięczne tamburyny.

Chociaż Isamborze brakowało zapału, starała się serdecznie ugościć przybyłych.

Siedząc kołem przy kominku, biesiadnicy popijali miód, hipokras, wina korzenne, delektując się racuszkami, kulkami z ciasta gotowanymi w mleku, smażonymi paluszkami orzechowymi, obtaczanymi w ziołach, plackami, waflami, naleśnikami, drażami.

Z jakimś dziwnym ożywieniem Gresja krążyła między gośćmi, wymyślała wciąż nowe gry, rzucała pomysł konkursu gwizdania, proponowała farandolę, zachęcała bednarza, słynącego w dolinie z doskonałej pamięci, do recytowania długich fragmentów *Pieśni o Rolandzie* albo o Wilhelmie Orańskim. Na wszystko miała oko.

Parę rozochoconych kobiet nagle zaintonowało jedną z *chansons de toile*<sup>[21]</sup>, której refren zgromadzeni podjęli chórem...

Bazylija była w takim stanie, że nie mogła wziąć udziału w spotkaniu, więc Gildas przyszedł sam, by asystować Julianie i Damianowi. Usiadł na prawo od Isambory, do której z drugiej strony przytulała się Filipa, bacznie rozglądając się wokół.

– Dziś wieczór twoja Gresja tryska energią – szepnął do ucha swojej sąsiadki. – Nigdy nie widziałem jej tak podekscytowanej.

– To prawda, że nie brak jej zapału. Wydaje mi się, że od pewnego czasu jest jak odmieniona...

Młynarz uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Zakochana dziewczyna zawsze ma więcej wdzięku niż inne – oznajmił spokojnie.

Isambora chwyciła go za ramię.

– Na Boga prawdziwego, co chcesz przez to powiedzieć?



- Krążą plotki, że młodszy syn rzeźnika nie jest jej obojętny...
- Sądziś, mój drogi, że on mógłby się nią zainteresować, mimo że...

Przerwał jej nagły tumult. Wielu biesiadników nalegało, aby Gresja zgodziła się zaśpiewać. Nie dając się prosić, spełniła ich życzenie.

Gildas położył palec na ustach. Isambora zamilkła.

Gresja kształciła głos w Blois, gdzie nauczyła się go modulować, natężyć, ustawiać. Miała bardziej urozmaicony i bardziej oryginalny repertuar niż inne dziewczęta z doliny. Na przyjęciach u Albrei śpiewała pieśni liryczne, kuplety, piosenki do tańca, pastorałki.

Odziana w kaftan z cienkiego zielonego płótna, obszyty czerwona i białą lamówką, spod którego wystawały kołnierz i haftowane mankiety śnieżnobiałej koszuli, w lnianym muślinowym welonie, tak zręcznie osłaniającym jedną stronę twarzy, że była ledwo widoczna, dziewczyna miała zwinną sylwetkę, warkocze lśniące niczym złote nici, toteż niemal zapominano o jej niedoli.

„Boże Wszechmogący! Spraw, aby ten chłopak, który odmienił naszą córkę, poświęcając jej odrobinę uwagi, miał dość rozsądku, aby kochać ją taką, jaka jest, niezupełnie piękną, lecz pełną zalet, żarliwą, zdolną do bezgranicznego oddania jak mało która! Spraw, aby odkryła przy nim radości, dla których ją niewątpliwie stworzyłeś!”

Porwani skocznym rytmem jej pieśni, słuchacze Gresji klaskali teraz w dłonie, skandując ustępy, które im się szczególnie podobały.

Po pewnym czasie śpiewaczka podeszła do Juliany, chwyciła ją za rękę, po czym uśmiechnięta pociągnęła ją za sobą do środka przyjaznego kręgu. Zanuciły na dwa głosy piosenkę. Była w niej mowa o księżniczce, która poleciła wartownikowi zrzucić z najwyższej wieży ojcowskiego donżonu list przywiązany do strzały... Uprzedzony tym sposobem młodzieniec zamierzał w przebraniu porwać swoją lubą...

Gdy dziewczęta recytowały swój poemat muzyczny, Isambora obserwowała syna rzeźnika z Fréteval.

Stał za siedzącymi osobami w gromadce młodzieży otaczającej dzieci barona Salomona.

Średniego wzrostu, ciemnowłosa, o rumianej cerze, szerokich barach, miał pod gęstymi brwiami oczy tak intensywnie niebieskiej barwy, że od razu miało się pokusę z czymś je porównać: z goryczką? Bławatką? Ogórecznikiem? Mniejsza o to... Ważne było jedynie, co się kryło w tym niezwykłym spojrzeniu. Potężna szczeka, mocna szyja świadczyły o sile i niezłomnej woli. Za to włosy rosnące nisko nad czołem mogły oznaczać upór lub ograniczenie umysłowe. Ale czy Gresja mogła wybrać sobie głupca? Na pewno nie...

Pieśń na dwa głosy się skończyła, a dziewczęta dołączyły do swoich rówieśników.

Isambora pomyślała, że gdyby Bernold albo Aljom tam się znajdowali, mogliby, jeden albo drugi, porozmawiać z synem rzeźnika z Fréteval i coś z niego wyciągnąć... Ale tego wieczoru Aljom czmychnął do klasztoru wuja Rolanda, a Bernolda w ogóle nie obchodziło życie rodzinne...

– Dobrze znam ojca tego chłopaka – podjął Gildas. – Należy do tych, którym Newelon II, nasz młody baron, zanim wyruszył do Ziemi Świętej, zezwolił na osiedlenie się w grodzie, razem z paroma innymi rzemieślnikami. To pracowity i uczciwy człowiek.

Syn wrócił z Chartres, gdzie uczył się zawodu rymarza. Ten młodszy. Jego starszy brat przejmie później ojcowską rzeźnię, w której już pracuje. Jest za mała, żeby wyżywić wszystkich.

– Co o nim wiesz?

– Niewiele. Długo go tu nie było. Pewnie się orientujesz, że terminowanie w rymarstwie trwa osiem lat. Przez ten czas chłopak bardzo się zmienił. Przed wyjazdem był skorym do bitki rozrabiaką, zresztą jak oni wszyscy.

– Jak ma na imię?

– Rajmund. Gdy był mały, przewano go Miskożerem, bo pałaszował, aż mu się uszy trzęsły.

Isambora uśmiechnęła się.

– Niezbyt ładnie!

– Ba! Przewisko nie ma znaczenia. Najważniejszy jest człowiek!

Przerwał im łomot, jakby coś runęło na ziemię, a potem wrzaski dobiegające z dworu.

– To Albin! – wykrzyknęła Filipa.

Isambora popędziła do sionki poprzedzającej salę. Podążyli za nią Gildas i inni goście.

Pod daszkiem spostrzegli zapłakanego chłopca wściekle kopiającego drewniane kozły, które leżały wywrócone opodal.

– Na wszystkich świętych, synku, co ci się stało? – dopytywała się Isambora, przyciągając do siebie Albina, którego dolna warga krwawiła, a na czole wyrastał ogromny guz.

– Chciał posłuchać muzyki! – wyjaśniła Filipa ze zrozumieniem. – Więc ustawił całe rusztowanie, wlaź po nim, żeby popatrzeć i posłuchać przez otwarte okienko...

– Zdaje się, że o wszystkim wiesz, córko – zauważyła Isambora. – Czyżbyś była wtajemniczona?

Filipa pokraśniała i zwiesiła głowę. Miodowe warkocze opadły jej na policzki. Uśmiechnęła się wstydliwie, po swoim, po czym spojrzała na matkę wzrokiem, w którym rozbawienie było podszyte szczyptą niepokoju.

– Troszeczkę – szepnęła.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Za niezdrową ciekawość i nieposłuszeństwo musisz ponieść karę, wariatuńciu – podjęła Isambora, zwracając się do syna. – Przecież, gdy cię położyłam spać, zabroniłam ci wstawać. Obiecałeś, że będziesz grzecznie leżeć.

– Ale nie wytrzymałem – bąknął malec.

– Na świętego Mikołaja, który opiekuje się dziećmi, mogłeś złamać rękę, nogę albo rozbić sobie głowę – rzekł Gildas. – Miałeś szczęście, żeś wyszedł z tego bez szwanku!

Isambora, która nie mogła zapomnieć o śmierci Henrysia, gwałtownie przycisnęła Albina do piersi.

– Jedno takie nieszczęście w rodzinie całkowicie wystarczy! – zawołała gniewnie.

Potem zwróciła się do tych, którzy wyszli z sali w ślad za nią:

– Nie przejmujcie się nim. Wracajcie – poradziła. – Opatrzę tego huncwota i za

chwilę do was przyjdę.

Jedynie Filipa i Gildas podążyli za nią do sypialni, gdzie położyła Albina w swoim łóżu, po czym przemyła mu wargę i czoło czystą wodą.

Następnie poprosiła córkę, aby przyniosła z budynku, gdzie mieściła się łaźnia, woreczek z suszonymi liśćmi rośliny zwanej iglicą pospolitą.

– Zrobię kompres, który przyłożę do tego wielkiego guza – wyjaśniła zranionemu malcowi. – I bądź uprzejmy nie ruszać go do jutra rana!

– Zawsze podziwiam, że potrafisz zachować zimną krew w najbardziej nieoczekiwanych sytuacjach – oznajmił Gildas. – Bóg jeden wie, że od dwudziestu kilku lat miałem niejedną okazję się o tym przekonać!

– Niestety! – westchnęła Isambora. – Niestety, mój drogi! Życie daje nam w kość! Stała przy łóżku, w którym położyła Albina, tyłem do młynarza.

Zamierzała się odwrócić, aby się uśmiechnąć, ale nagle doszła do wniosku, że lepiej się od tego powstrzymać. Poprzez welon okrywający włosy, szyję i ramiona czuła tuż przy sobie oddech Gildasa. Tylko oddech, nic więcej... A jednak wiedziała, że dzieje się coś niezwykłego. Że jeśli zrobi najmniejszy ruch w stronę stojącego za nią mężczyzny, wywoła jakąś reakcję.

Co on uczyni? Nie wiedziała i nie chciała wiedzieć, ale ich przyjazne stosunki na pewno by się popsuły. Czuła to i dlatego nie uczyniła najmniejszego gestu...

Minęło kilka chwil. Nikt nawet nie drgnął. Albin zamknął oczy, a z drugiej strony posłania Ogier spał w kołysce.

Filipa otworzyła drzwi.

– Proszę, tu są zioła – powiedziała.

Czar prysł...

Ale tej nocy, gdy wieczornica się skończyła i wszyscy wrócili do siebie, gdy wreszcie porzucona małżonka Bernolda ułożyła się do snu, przypomniała sobie scenę, która się subtelnie rozegrała przy tym samym łóżu, w którym teraz spoczywała. Chociaż nikt niczego nie ubrał w słowa, wydarzyło się coś, co pozostanie na zawsze niedopowiedzianą tajemnicą, a jednak miało swoją wymowę. Gwałtowne wzruszenie, jakiego doznał Gildas, miało taką siłę, było tak bliskie miłosnego aktu, że wstrząsnęło nią tak, jakby jej dotknął...

Co by zrobiła, gdyby dawny narzeczonemu nie zdołał dłużej milczeć?

A więc nadal ją kochał... Mijające lata niczego nie zniszczyły, niczego nie naruszyły w jego wiernym sercu... I znów tylko od niej zależało, czy uszczęśliwi mężczyznę, znajdując w jego ramionach zaspokojenie zmysłów...

Przez chwilę marzyła, potem odpędziła myśli, które do niczego nie prowadziły. Miłość do Bernolda była tarczą z brązu, która jej broniła przed nią samą i przed innymi, która osłaniała ją niczym pancierz oznaczony krzyżem...

W końcu oderwała umysł od Gildasa i skupiła uwagę na Gresji oraz młodym rymarzu, dzięki któremu jej córka zabłysła jak diament...

Tutaj też nie padło żadne słowo.

Dziewczyna krzątała się, pomagała matce, uczyła czytać, pisać lub tańczyć braci i siostry, ale nie wspominała o tym, co leżało jej na sercu, nigdy nie wymieniała imienia

chłopaka, który zdawał się budzić w niej ciepłe uczucia.

Zresztą nikomu nie musiała się zwierzać. Jej zachowanie mówiło samo za siebie.

Śmiech z byle powodu, wesołe poszturchiwanie młodszego rodzeństwa, zachwyty nad powracającą wiosną, staranna pielęgnacja ciała, a także dbałość o strój – wszystko ją zdradzało.

I tym razem Perryna pierwsza poruszyła drażliwy temat.

Garbatego wuja, Firmina Krzywulca, koń kopnął w brzuch. Starzec nie mógł dojść do siebie. Okłady, maści, puszczenie krwi – nic nie skutkowało. Wszyscy na próżno się zastanawiali, jak mu przynieść ulgę.

Ze stoicyzmem, bez zbędnych słów, zmierzał do kresu życia, wiedział o tym i dokładał starań, aby ten nieuchronny koniec sprawił jak najmniej kłopotu jego bliskim w Morville.

Isambora niemal codziennie go odwiedzała.

Leżąc w sali przy ogniu, gdyż nie mógł się rozgrzać, Firmin Krzywulec prosił tylko, żeby się o niego nie martwić. Jak do tej pory, troszczył się o innych bardziej niż o siebie, twierdził, że jest niezbyt interesującym starowiną, i wolał słuchać o tym, co się przydarzyło różnym znajomym, niż rozwodzić się o swoich dolegliwościach.

Przędcą kądziel w towarzystwie Perryny, Isambora, usadowiona w pobliżu posłania, na którym spoczywał starzec, z rezygnacją opowiadała o swoich zgryzotach. W ten sposób doszła do rzekomych amorów między Gresją a młodym rymarzem z Fréteval.

– Skoro o tym wspominasz, bratanico – wtrąciła Perryna – od razu ci wyznam, że wiem, co w trawie piszczy. Na Boga, myślałby kto, że cokolwiek dzieje się w Grand Feu, dotyczy całego miasteczka! Kiedy dziś rano jak zwykle wstąpiłam do Bazylki, wszyscy paplali, jeden przez drugiego, o widokach na ślub twojej córki z tym Rajmundem.

– Już? – wykrzyknęła Isambora. – Ja sama nie mam żadnej pewności!

– Wiesz, jak szybko rozchodzą się plotki! – westchnęła żona podwasala. – Ludzie jazgoczą i jazgoczą...

Wuj Firmin pokiwał głową. Garb nie pozwalał mu leżeć inaczej niż na boku. Spod kołdry ze zgrzebnej wełny podbitej zajęczym futrem, ufarbowanym na czerwono, wystawała jedynie jego wychudzona twarz, a nad nią biała płócienna przepaska zawiązana na tysej czaszce.

– Już choćby z czystej litości nikt nie powinien się mieszać do takich spraw – rzekł zdyszany, ochrypłym głosem, jakim mówił od czasu wypadku. – Twoja Gresja miała już dość ciężkich przejść w swoim krótkim życiu, żeby jeszcze pierwsza lepsza kumoszka wtrącała się do tego, co się jej przydarzyło!

– Nie zabronisz ludziom strzępić sobie języków – westchnęła Perryna. – Ale nie tym się gryzę.

Wcisnęła głębiej kądziel pod lewą pachę i obróciła się do bratanicy.

– Na mą duszę, nie chciałabym dokładać ci cierpień, gołąbeczko, ale czy jest jakiś cień nadziei, że ten chłopak zechce związać się na całe życie z oszpeconą dziewczyną? W tym sęk.

– Tak, wiem, stryjenko! Ale co mam zrobić? Pójść do ojca Rajmunda i zapytać,

jakie są zamiary jego młodszego syna?

Isambora zwijała w kłębek już wysnutą wełnę. Nerwowo poruszała palcami.

– Oby Bóg nam dopomógł! – kontynuowała. – Oby obdarzył mnie rozsądkiem. Ta historia dopiero się zaczęła, myślę, że nie warto przyspieszać naturalnego biegu rzeczy. Nie rozmawiałam jeszcze o tym z Gresją, bo jestem przekonana, że ta zakochana para nie posunęła się na razie za daleko...

Perryrna wstała, aby dołożyć polano do ognia. Podwasal zabrał służące do winnicy, gdzie potrzebowano wszystkich rąk do przycinania krzewów.

Chłód, który pozornie ustąpił, znów dawał się we znaki. Ostry wiatr wślizgiwał się do środka pod drzwiami.

– Nie byłoby dobrze, gdyby twoja córka, wzruszona pierwszymi czułymi względami, jakie okazuje jej jakiś młokos, w dodatku gdy budzi się wiosna, dała sobie zawrócić w głowie – ciągnęła, wracając na swoje miejsce z zafrasowaną miną. – Dla większości panien wyjść przed szereg to drobnostka. Wtedy błąd można łatwo naprawić, ale dla Gresji byłoby to coś zupełnie innego.

– Komu ty to mówisz, stryjenko! Bez przerwy o tym myślę. To dziecko jest całkiem nieprzewidywalne, całkiem niepodobne do innych. Jednocześnie bardziej impulsywne i bardziej wrażliwe...

– Gdyby Rajmund zabawiał się z nią przez jakiś czas, a potem porzucił, wolę sobie nie wyobrażać, do czego byłaby zdolna!

– Ja też nie – przyznała Isambora ze smutkiem. – Ja też nie. Oby Pan Bóg uchronił nas przed taką biedą!

Gdy wróciła do domu, mając świeżo w pamięci słowa stryjenki, postanowiła dowiedzieć się od Gresji czegoś konkretniejszego o jej stosunkach z Rajmundem. Pomimo respektu, z jakim zawsze odnosiła się do sekretów bliźnich, uznała, że tym razem musi złamać swoją zasadę. Przede wszystkim należało się rozeznac w sprawie.

Jeszcze tego wieczoru po kolacji, gdy przebywała w swojej komnacie w towarzystwie najstarszej córki, która właśnie położyła spać Filipę i Doettę, Isambora uznała, że nadszedł właściwy moment.

Wypytała Gresję o rozmaite wesela, które szykowały się w dolinie w następnym miesiącu.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem:

– Czy nadal zamierzasz ożenić Aljoma z Julianą? – zapytała rozbawiona. – Obawiam się, matulu, że mój brat nawet nie chce o tym słyszeć... Chyba że potrafi się dobrze kryć!

– Może faktycznie trochę się pospieszyłam, wyjawiając Gildasowi pomysł, na który nie wpadł nikt inny oprócz mnie, ale...

Gresja przerwała Isamborze, mówiąc, że młynarz na pewno ma wiele ważniejszych rzeczy na głowie niż opowiastki o zaślubinach. Zdrowie Bazylia wcale się nie poprawia, co budzi niepokój. Juliana wyznała przyjaciółce, że rodzina zastanawia się, czy umysł topielicy na dobre się nie zaćmił. Czy nie popadnie w coś w rodzaju nieodwracalnego otępienia.

Później już nie udało się naprowadzić rozmowy na temat, który dziewczyna

najwyraźniej pragnęła pominąć.

Isambora wolała poczekać na inną, bardziej sprzyjającą okazję, aby nakłonić Gresję do zwierzeń, które chyba byłyby przedwcześnie.

Nie nalegała również dlatego, że mimo trwożnej czułości, jaką darzyła córkę, gnębiła ją jeszcze jedna myśl.

Jeśli wierzyć Remigiuszowi i samej dziewczynie, Bernold nie czuł się dobrze. Ponury, udręczony, źle się odżywiał i nie dbał o siebie. Odbijało się to na jego pracy. Wydawało się, że mistrz szklarski nie wykonuje jej ze starannością i dokładnością, jakie go do tej pory cechowały.

A że ta zmiana zbiegała się z wtargnięciem żony do jego samotni, Isambora była zmuszona zastanowić się, jaką postawę przybrać w najbliższych tygodniach.

Złożyć Bernoldowi następną wizytę? Spróbować po raz drugi wyrwać go z izolacji, która powoli odbierała mu siły i sprawiała, że marnował swój talent? Czy też podporządkować się jego zaleceniom, nie przeszkadzać mu, pogodzić się z wdowim żywotem o parę sążni od małżonka pogrążonego w bezdennej rozpacz?

Jej serce, ciało buntowały się przeciw takiej ewentualności.

Nocą Isambora słuchała wiatru gwiżdżącego wokół domu lub deszczu bębniącego w dachówki i cichutko płakała. Albo przewracała się z boku na bok aż do świtu na swoim posłaniu, starając się nie obudzić dwóch młodszych córek, śpiących po obu stronach łóżka.

O tej podwójnej torturze nie mówiła nikomu. Ani stryjence, ani kobietom ze swego otoczenia. Gdyby Awelina znajdowała się w pobliżu albo Albrea była łatwiej dostępna, może zwróciłyby się o radę i pomoc do jednej lub drugiej. Ale one były daleko...

Jedyną pociechę znajdowała w modlitwie. Odkąd odnalazła drogę i odzyskała zaufanie do Boga, odmawiała o najróżniejszych porach dnia krótkie, lecz żarliwe pacierze. W ten sposób prowadziła z Tym, o którym tak mało wiemy, swoisty dialog, co chwila przerywany i na nowo podejmowany. Zwracała się do Wiekuistego jak do powiernika, przewodnika, jedyne niezawodnego przyjaciela. Zwierzała Mu się z trudności, jakie napotykała. Dziękowała za kwiatek, piękno świata albo spojrzenie dziecka i prosiła Go, by przychodził jej z pomocą, ilekroć coś dręczyło ją bardziej niż zwykle... Z tych niematerialnych kontaktów czerpała wewnętrzną siłę. Im zawdzięczała swój hart ducha.

Marzec dobiegał końca. Były ostatnie dni postu. Zbliżała się Niedziela Palmowa.

Pewnego ranka, gdy na dworze rozpętała się zawierucha, unosząc ze sobą żdźbła słomy, gęsie lub kacze pierze, strzępki wełny wyrwane spod nożyc postrzygaczy, a po niebie pędziły chmury niczym stada czarnych owiec, do drzwi sali zapukała Amalberga.

Przy niskim stoliku z woskowanego dębu siedziała Isambora i posługując się liczydłem, sprawdzała rachunki warsztatu szklarskiego. Niegdyś to Bernold kontrolował sumy, jakie napływały, a także wydatki na dom, dochody z majątku.

Od dwóch lat te zadania przypadają w udziale małżonce, na którą scedował wszystkie swoje obowiązki.

– Na moją głowę – rzekła Amalberga – widzę, pani, że ci przeszkadzam!

– Ależ skąd! Prawie skończyłam robotę.

Szybko poruszając palcami, Isambora przesuwiała różnokolorowe kulki na prostokątnej deseczce, na której były ułożone w rzędach. Dwadzieścia siedem przegródek składało się na trzy słupki. Każdy słupek odpowiadał serii dziewięciu cyfr: jeden dla jednostek, jeden dla dziesiątek, jeden dla setek. Ponieważ każda cyfra, zależnie od słupka, w którym była zapisana, miała inną wartość, podliczało się bez trudu, wykonując jedynie kilka prostych gestów.

– Kiedy widzę, jak pracujesz, pani – znów zagadnęła położna – mówię sobie, że porzucić taką niewiastę jak ty to czyste szaleństwo!

Na tabliczce łupkowej kawałkiem kredy Isambora zapisała ostatnią liczbę, po czym skinęła na nowo przybyłą, aby usiadła.

– Ja też tak myślę – przyznała z uśmiechem. – Niestety, to nie zmienia postaci rzeczy!

Amalberga zrobiła tajemniczą minę.

– Czy chciałabyś, gdyby to było możliwe, coś zmienić?

– Ale jak?

Obie kobiety przez chwilę przyglądały się sobie w milczeniu. Potem Amalberga zza szerokiego rękawa tuniki wyciągnęła cynową, starannie zakorkowaną fiolkę.

– Jeśli wymieszasz, pani, siedem kropli własnej krwi z zawartością tego flakonika – rzekła, spuszczać wzrok – i jeśli wrzucisz to wszystko do sosu, którym polejesz danie na kolację dla twego męża, wkrótce przekonasz się, co mam na myśli. Pamiętam, że odbywa pokutę, a dziś jest sobota. Podasz mu to jutro, w niedzielę, w dniu, gdy może sobie pozwolić na małe odstępstwo od postu o chlebie i wodzie. Musi to wszystko zjeść. Na rogi szatana! Wystarczy, że później do niego pójdziesz... Nie odtrąci cię!

Isambora, zaskoczona, siedziała bez ruchu.

– Kościół zabrania takich praktyk – zauważyła.

– Niewątpliwie, ale księża nie są wtajemniczeni w Dzieło Stworzenia, o ile wiem, a nasz Pan Jezus Chrystus nigdy nie zabraniał wiernej połowicy próbować wszystkiego, aby odzyskać płochego małżonka. Czyż nie jest powiedziane, że nie wolno rozdzielać tego, co Bóg złączył? A więc co w tym złego, jeśli chcemy to połączyć? W dodatku nikt się o tym nie dowie...

– Ten płyn może szkodzić zdrowiu...

– Na głowę Hageniera, mego ukochanego syna, mogę ci przysiąc, pani, że jest nieszkodliwy. To mieszanka ziół, zebranych nocą przy pełni księżyca, pokruszonych pancerzy raków, soku z mirtu, bukszpanu i mandragory, nie mówiąc o paru innych składnikach, za które ręczę.

– Już go kiedyś wypróbowałaś?

– Wielokrotnie! Zawsze z dobrym skutkiem!

Rozległ się głos Albina, który wchodził po schodach, podśpiewując.

Isambora zamilkła, wyciągnęła rękę, chwyciła fiolkę i teraz ona z kolei schowała ją w rękawie.

– Niech mi Bóg wybaczy – wymamrotała, żegnając się.

Amalberga uśmiechnęła się swymi żarłocznymi ustami.

– On miłuje tych, którzy się miłują – szepnęła w chwili, gdy Albin otwierał drzwi.

– Opiekuje się tymi, którzy są złączeni węzłem małżeńskim!

Trafiała się okazja, więc Isambora postanowiła porzucić wahania i już nie zwlekając, nazajutrz wypróbować napój połoźnej. Jeśli nie uzyska pożądanego rezultatu, to trudno. Jeśli jednak osiągnie swój cel, będzie to znaczyło, że nie postąpiła źle, skoro jej pragnienie zostało spełnione...

W każdym razie pójdzie do spowiedzi pod koniec Wielkiego Postu, w okresie obowiązkowej wstrzemięźliwości zarówno dla niej, jak i dla Bernolda.

„Sama poszczę już od dwóch lat – pomyślała Isambora. – Bóg mi wybaczy, jeśli nieco skrócę jego post!”.

Nazajutrz rano, zarządziwszy, by przygotowano sos czosnkowy, który łatwiej zamaskuje smak mikstury zawartej we flakonie, niepostrzeżenie wlała ją do miski ze smażonymi węgorzami, uszykowanymi przez Margistę dla pana domu. Przedtem dodała do niej siedem kropli swojej krwi...

Zanim cała familia zasiadła do stołu, Gresja zgodnie ze zwyczajem zaniósła ojcu niedzielną strawę, urozmaicającą codzienną ścisłą dietę.

Podczas kolacji Isambora była jak w transie i ledwo docierał do niej sens toczonych rozmów. Poruszała się jak we śnie. Nie mogła przełknąć ani kęsa i zadowolila się paroma łykami grzanego wina z miodem, twierdząc, że boli ją żołądek.

Położywszy dzieci do łóżka, oznajmiła Gresji i Aljomowi, że zamierza przygotować się do Wielkiego Tygodnia, zaczynającego się nazajutrz, i już tego wieczoru porządnie się wyszorować. Następnie poprosiła, aby nagrzano w łaźni i już się nią nie przejmowano. Kąpiel zajmie jej trochę czasu.

Nie spiesząc się, pielęgnowała swoje ciało: myła je, namaszczała wonnymi olejkami, upiększała. Potem rozplotła warkocze, delikatnie wyszczotkowała gęste kasztanowe włosy, tylko leciutko przyprószone siwizną, i skropiła pachnidłem. Nie zaplatając ich, rozrzuciła je na koszuli z cienkiego szafranowego płótna, którą włożyła po kąpieli, następnie wyszła z budyneczku łaźni.

Noc była nieprzenikniona. Po dziedzińcu hulał gwałtowny wichur. Przycisnął wiotką tkaninę do piersi, brzucha, ud kobiety, która wcale nie zwracając na niego uwagi, zmierzała do swojego celu. Szarpał jej rozpuszczonymi włosami, które fruwały na wszystkie strony i chlastały jej lędźwie niczym ogon rozjuszonej czarnej klaczy.

Isambora udała się do warsztatu, otworzyła drzwi, które nie były zamknięte od środka, na progu trzykrotnie się przeżegnała i weszła.

Bernold rysował w łóżku w pozycji leżącej, opierając się na łokciu.

Stojąca koło niego na odwróconej beczie świeca słabo oświetlała jego ręce i dół twarzy, porośniętej bujnym zarostem.

Isambora ani przez moment się nie wahała.

Bez słowa podeszła do mężczyzny, który patrzył na nią osłupiały, rozpięła koszulę, która zsunęła się z jej ciała na ziemię, i pocałowała go w usta, pochyliwszy się nad uniesionym ku niej obliczem.

Później zgasła świecę.



### III

W kwietniu Firmin Krzywulec zgasł bez hałasu; w czerwcu Isambora poroniła po upadku ze schodów we własnym domu; w sierpniu nadeszła wiadomość o śmierci zabitego przez Saracenów hrabiego Stefana z Blois, który zdążył odbyć pielgrzymkę do Świętego Grobu, co przywróciło honor i chwałę jego rodowi.

Hrabina Adela kazała odprawić parę nabożeństw za spokój duszy małżonka, następnie, czekając, aż synowie osiągną pełnoletność, nadal stanowczo, zręcznie i uczciwie sprawowała regencję w hrabstwach Blois i Chartres.

W połowie września, w chwili zamroczenia umysłowego, Bazylia poszła utopić się w Loirze. Tym razem zrobiła to na dobre. Przytroczywszy sobie kamienie do pasa, weszła do chłodnej wody pod koniec dnia, gdy w wieczornym powietrzu, zasnutym dymem z wypalanych zarośli, niczym dźwięk rozstrojonych fletów rozbrzmiewał ochryply śpiew kulików.

Pogrzebano ją dyskretnie na cmentarzu przy fretewalskim kościele Świętego Mikołaja, kładąc na karb demencji akt samobójstwa, który dokonany w pełni świadomie, pozbawiłby ją chrześcijańskiego pochówku.

Najdziwniejsze, że jej mąż wcale nie objawiał smutku. Widać było jak na dłoni, że mimo wysiłków, by to ukryć, Gildas tak naprawdę się nie martwił.

Całkiem spokojny, zachowywał się z powagą, jakiej należało się spodziewać po wdowcu, ale nikt nie widział go opłakującego żonę, której koniec był tak okropny i która wręcz go uwielbiała.

– Na mą głowę! Młynarze są bez serca! – zawołała Margista, wracając z pogrzebu.

– Nie należy rzucać słów na wiatr! – obruszyła się Isambora. – Serce nie zawsze zwraca się ku właściwej stronie, ale to nie znaczy, że go nie ma!

Chociaż zalem napełniło ją odejście starego garbatego wuja, którego bardzo lubiła, i poczuła zgrozę, dowiadując się, w jaki sposób Bazylia ze sobą skończyła, pani na Grand Feu również nie przeżywała głęboko żałoby po dwóch zgonach, jakie nastąpiły wiosną i latem.

Odkąd wznowiła, dalekie od ideału, współżycie małżeńskie z Bernoldem, nowa udręka niepostrzeżenie zastąpiła dawną. Isambora uparcie dążyła do jednego: przywrócenia między małżonkiem a nią wzajemnej miłości, jaką się niegdyś darzyli.

Nawet jeśli ich ciała łączyły się z ferworem i poufałością, na które Isambora liczyła, próbując wyrwać szklarza z osamotnienia, całkiem inaczej działało się z ich uczuciami.

Zwolniony z pochopnej osobistej przysięgi przez biskupa Blois, po następnej interwencji hrabiny Adeli, Bernold, chociaż nadal zobowiązany do siedmioletniej pokuty, mógł odzyskać swoje miejsce w rodzinnym domu.

Przedtem rozegrała się bardzo przykra scena między nim a Aljomem, gdy musiał prosić syna o przebaczenie. Młodzieniec postanowił puścić zniewagę w niepamięć, aby winowajca mógł ponownie zamieszkać z bliskimi. Ale nie wszystkie sprawy zostały załatwione.

Aczkolwiek wiele ludzi dało się zwieść pozorom, nie wierzyli w nie główni

zainteresowani.

Ku swemu wielkiemu żalowi Isambora stwierdziła że teraz, śpiąc z mężem, posiada tylko jego cielesną powłokę. Ramiona, z których wysuwała się każdego ranka, otaczały ją ciepłem, ale na jej widok wzrok Bernolda nigdy więcej nie rozbłysnął. Można w nim było jedynie czasami dojrzeć nieco znużonej czułości, a także swego rodzaju wdzięczność za rozkosz, jakiej sobie nawzajem dostarczali we wspólnym łóżu.

To było wszystko. Ale zawsze coś.

Jednak Isambora, zachowując wciąż młodzieńczą miłość, nie godziła się na te nędzne ochłapy. Potrzebowała mężczyzny należącego do niej bez reszty, duszą i ciałem.

Pełna inwencji i uporu, dniem i nocą rozważała, jak rozniecić przygasły ogień.

Dzieci natomiast najzwyczajniej w świecie wróciły do życia rodzinnego, którego instynktownie potrzebowały.

Gresja nadal miała pierwszeństwo w obsłudze Bernolda. Czując, że nie należy zmieniać zwyczaju, który sobie upodobali, Isambora się podporządkowała.

Filipa wypróbowywała na ojcu swoje jeszcze na poły dziecinne wdzięki i często udawało się jej wywołać jego uśmiech.

Albin układał dla niego niezwykle rzewne pieśni, które wykonywał, akompaniując sobie na małej przenośnej harfie pożyczonej od Hageniera.

Doetta, niczym ruda turkawka, gruchała na ojcowskich kolanach, ilekroć jej na to pozwalano.

Ale ulubieńcem był teraz Ogier. Wydawało się, że jego niezaprzeczone podobieństwo do Henrysia, syna, który zginął, wywiera na Normandczyka jakiś czar. Dostrzegając w jego twarzyczce odbicie, którego już nigdy nie spodziewał się ujrzeć, doznawał czegoś w rodzaju podwójnej wizji, w której rysy zmarłego i najmłodszego potomka nakładały się na siebie, tworząc zwodniczy miraż, który czasem niepokoił Isamborę.

Ponieważ mistrz szklarski poruszał się z wielkim trudem i mógł upaść, Remigiusz i Aljom przynosili go z warsztatu do sali, potem z sali do warsztatu na wysokim i wąskim fotelu, który skonstruowali z myślą o jego wygodzie. Widok męża, tak potężnej budowy, niegdyś tak prężnego, teraz w stanie niedołęstwa, rozdzierał serce Isambory, ale nie osłabiał jej entuzjazmu ani podziwu, jakim darzyła go od zamierzchłych już czasów porwania.

Niegdyś kochała go pięknego, silnego, wiernego, teraz kochała nadal skarłałego i okaleczonego, mimo że ją zdradził. W jej oczach pozostawał jedynym, niezastąpionym mężczyzną, który ją kiedyś uwiódł. Uważała, że zmarszczki nadają jego twarzy większą wyrazistość, siwiejące włosy wywołują wzruszenie, świadcząc o ludzkiej kruchości, a ciało kryje w sobie sekret wszystkich zmysłowych uniesień.

Czasami wieczorem w łóżu, gdy już zasnął obok niej, bywało, że Isambora walczyła ze snem, błogosławiąc głośny oddech zmuszający ją do czuwania. Pragnęła napawać się aż do przesytu świadomością, że znów jest przy niej: oto z powrotem zajął swoje miejsce, jeszcze niedawno nieznośnie puste.

Jego ciężar na sienniku, jego zapach, nawet pochrapywanie były dla niewiasty, która zaznała okropności rozstania i osamotnienia, poruszającymi oznakami przemiany,

napętniającymi ją miłością.

W kwietniu, gdy zorientowała się, że znów jest brzemienna, poczuła się szczęśliwa. Dziecko Bernolda mogło być jedynie błogosławieństwem! Płakała nad jego stratą, ale szybko się pocieszyła, przekonując sama siebie, że wkrótce będzie nosić w swoim łonie następne.

Nigdy nie rozmawiano o Adelizie. Jak gdyby czarodziejka nie przemknęła przez ich życie, siejąc zamęt i zadając ból.

Aljom zaś, zdawało się, z biegiem dni dochodził do siebie po cierpieniach, które stopniowo zapadały się w niebyt. Godził się od czasu do czasu wyjść gdzieś z Gresją, był mniej mrukliwy, a pojednanie z ojcem jakby przyniosło mu pewną ulgę.

Wszystko układałoby się dobrze, gdyby Isambora nie miała nadmiernych wymagań. Nie wystarczało jej, że znów zapanował spokój. Do jej duszy zakradła się gorycz spowodowana pewnym odkryciem, które odtąd tkwiło w niej jak zadra.

Nocą, podczas pierwszego spotkania po długiej rozłące, gdy Bernold i ona kochali się w zapamiętaniu, co ją zmyliło, poczuła ciepłą strugę łez spływających bezgłośnie na jej ramię.

Ze wszystkich sił, z pasją przycisnęła do siebie ciało, które było jeszcze z nią zespolone.

– Nie płacz, najdroższy, najmilszy! Błagam cię, na Chrystusa, nie płacz!

Te czułe słowa spotęgowały jedynie ból mężczyzny, którego trzymała w objęciach. Jak nawałnica statkiem na morzu, tak nim wstrząsało rozpaczliwe łkanie, którego przyczyny Isambora musiała się w końcu domyślić.

Toteż zamilkła, kołysząc męża w ramionach jak zabłąkane dziecko.

Ale wpadła w wielką rozterkę i doznała okropnego zawodu. Ta pierwsza noc została zroszona ich łzami, jednoczesnymi, lecz sobie obcymi.

Zatem nawet u progu rozkoszy, gdy ich ciała się splatały, Bernold wyrzucał sobie zmysłowe uniesienia, do których go niemal przymuszono, bo odciągały go od nieszczęśliwej namiętności i przywodziły do wyparcia się jej.

Właśnie w tej chwili do głębi rozczarowana Isambora przyrzekła sobie odzyskać nad mężem władzę, obejmującą nie tylko sferę zmysłów. Zamiast ją przygnębić, ta nowa boleść zdopingowała ją do dalszej walki. Odzyska pełnię szczęścia dopiero wtedy, gdy zdoła nakłonić niewiernego, by przyznał się do zbłądzenia, którego rozmiary teraz sobie uświadamiała.

Wszystkie myśli, wszystkie wysiłki skupiała odtąd na miłości, którą postanowiła na nowo zdobyć, a która ciągle przed nią umykała.

Bernold, który nigdy nie był gadatliwy, od powrotu odzywał się jak najmniej. Jego rozmowy z żoną ograniczały się do rzeczy podstawowych. Odbijało się to niekorzystnie na życiu codziennym. Ilekroć Isambora próbowała nawiązać do ich wspólnej przeszłości lub do własnych uczuć, mistrz szklarski wykręcał się sianem. Jego odpowiedzi stawały się tak niejasne, że zniechęciłyby każdego mniej zawziętego niż ona.

Czerpiąc siłę z pierwszego sukcesu, uzyskanego dzięki nieustępliwej woli, starała się nie popadać w zniechęcenie. Nic jej nie odstraszało. Przyglądając się ukradkiem potężnemu karkowi przygiętemu pod ciężarem tęsknot i skruchy, powtarzała sobie, że

wyłącznie od niej zależy, czy natchnie odwagą mężczyzną, którego umiejętności znała lepiej niż ktokolwiek, i przywróci mu chęć do życia.

To niestrudzone dążenie odciągało matkę rodziny od innych spraw, którym powinna była poświęcać uwagę.

Tak więc niewiele się zastanawiała nad dalszym ciągiem przygody Gresji i młodego rymarza z Fréteval.

Córka słowem o tym nie wspominała. A to pewnie znaczyło, że nie było nic ważnego do zakomunikowania... Trzeba po prostu czekać...

W ciągu lata Isambora spostrzegła, że Gresja czasem przychodzi później do domu, że słowa dziewczyny niekiedy są sprzeczne z rzeczywistością, nie mówiąc już o śmierci oswojonej sroki, która jakby jej wcale nie zasmuciła... Ale czy warto było się tym niepokoić? Wmawiała sobie coś wręcz odwrotnego.

Dopiero któregoś jesiennego wieczoru, pod koniec września, nagle zauważyła ponurą minę córki.

Zapadał zmierzch. Isambora spędziła całe popołudnie, przyrządzając w asyście Margisty serek pigwowy, i w całym domu unosił się mocny zapach dużych żółtych owoców.

Mężczyźni jeszcze nie wrócili z warsztatów. W głębi dziedzińca piece świeciły nadal czerwonym blaskiem.

Gresja weszła do sali w momencie, gdy matka dawała Doettcie i Ogierowi resztki owocowej marmolady słodzonej miodem.

Zajęta sprawiedliwym obdzielaniem obojga dzieci, które wyrwały sobie lepkie, bursztynowe kawałki, Isambora z początku nie dostrzegła dziwnego zachowania najstarszej córki.

Zaniepokoiła się, widząc, że siedzi jak skamieniała.

– Co się z tobą dzieje, skarbie? – zapytała, ujrawszy, że dziewczyna, która osunęła się na ciężką drewnianą skrzynię, stojącą niedaleko drzwi, zastygła w bezruchu, z łokciami opartymi na kolanach i głową wtuloną w ramiona.

– Wracam z młyna – bąknęła Gresja. – Za szybko biegłam. Zadyszałam się.

Wymówka było tak obłudna, że Isambora natychmiast to wyczuła.

– Na Boga, toż ledwo oddychasz! – stwierdziła, odsuwając Doettę i Ogiera czepiających się jej kaftana. – Jesteś blada jak płótno!

Podeszła do Gresji, stanęła przed nią.

– Wyglądasz, jakbyś się czymś przejęła, kochana córeczko – ciągnęła. – Co się stało?

– Juliana nie może się otrząsnąć po śmierci przybranej matki. Cierpi, gdy widzi, że Gildas tak naprawdę wcale nie okazuje żalu po stracie Bazylia.

– Jesteś zbyt wrażliwa, gołąbeczko. To nierozsądne wpędzać się w taki stan dlatego, że przyjaciółka jest w żałobie.

– Bardzo ją lubię.

– To prawda, i to bardzo dobrze, ale przestań się zadrećzać. Czas robi swoje. Złagodzi smutek Juliany, dostarczając jej nowych radości i trosk. On najlepiej leczy rany!

– Oby Bóg cię wysłuchał! – szepnęła Gresja. – Wszyscy tego potrzebujemy!

Wtedy weszli Aljom i Remigiusz, niosąc fotel, w którym siedział Bernold, a Isambora zajęła się już tylko mężem.

Jednakże nazajutrz rano, na codziennej mszy u Świętego Leobina, przypomniała jej się krótka rozmowa, jaką miała z córką.

„Kto się tak bardzo przejmuję nieszczęściami innych, choćby i najbliższej przyjaciółki? – przyszło jej nagle do głowy. – Czy za tą wielką troską nie kryje się coś zupełnie innego, jakiś osobisty problem Gresji? Jej bladość, zmieszanie świadczyłyby raczej, że spadł na nią jakiś nieoczekiwany cios... Panie Boże, ostatnio za mało dbałam o dzieci. Proszę Cię o przebaczenie. Wiesz, co mnie gnębi. Zlituj się nade mną, a szczególnie nad moim oszpeconym dzieckiem. Pomóż nam! Pomóż jej!”.

Następne dni jakby zadawały kłam niepokojom Isambory. Gresja znów zaczęła się zachowywać normalnie. Matka nie miała sposobności porozmawiać z nią w cztery oczy. Niewątpliwie dziewczyna doznała chwilowego zawodu miłosnego, który nie pociągnie za sobą żadnych poważnych skutków...

Prawda nagle wyszła na jaw, gdy Roland doniósł siostrze, że drugi syn fretewalskiego rzeźnika, zrezygnowawszy z osiedlenia się w kraju, powędrował szukać szczęścia gdzie indziej.

– Na Boga! To dlatego moja córka ma taki zamęt w duszy! – wykrzyknęła Isambora. – A ja nic nie wiedziałam!

Pielęgniarz, który pieczołowicie odmierzał miksturę zamówioną przez przeora klasztoru dla jednej z krewnych, nie od razu odpowiedział.

Zgodnie ze swym zwyczajem, musiał się zastanowić.

Tego ranka w zielarni, w której krzątał się mnich, nie było nikogo. Zdarzało się to rzadko. Przeważnie paru chorych oczekiwało w kolejce na ławach przymocowanych do ścian.

– Jeśli ten chłopak wyjechał – podjął Roland, prostując się – to na pewno z jakiegoś ważnego powodu.

– Coś wiesz?

– Twierdzi, że tutaj nie miał u kogo terminować.

Po raz drugi przerwał. Skrzyżowawszy ręce, zwiesiwszy głowę, tak że niemal dotykała czarnego habitu z grubej wełnianej tkaniny, stał przy stole, na którym przygotowywał zamówiony wywar, i zdawał się nad czymś intensywnie dumać.

– Na krzyż Chrystusa! Bracie, mów! – zawołała Isambora. – Chyba coś przede mną ukrywasz.

– Wczoraj poszedłem do donżonu, aby puścić krew dostojnej pani Agnieszce z Guerche, małżonce naszego barona, która cierpiała na atak czarnej żółci – podjął mnich. – Przypadkiem dotarły do moich uszu strzępki rozmowy prowadzonej w komnacie na górze, gdzie było parę panien i dziewczek służebnych.

Isambora poczuła, że serce tłucze jej się w piersi.

– No i? – wyszeptwała.

– Z ich pogaduszek wynikało, że ten Rajmund przede wszystkim zamierzał uciec od dziewczyny, której chciał się pozbyć, bo za jego przyczyną znalazła się w trudnej sytuacji...

– Wymienili kogoś z imienia?

– Nie, nikogo.

Znów zapadła cisza.

– Wszyscy na zamku wiedzą, że jestem twoim bratem – dokończył pielęgniarz, wzdychając.

– Ale to nie dowód, że chodziło o Gresję!

– Oczywiście, że nie, Bogu dzięki! Ale nie zaszkodziłoby, siostrzo, gdybyś i ty ze swej strony postarała się dowiedzieć, co to wszystko znaczy.

Isambora wzięła maść, po którą przysła, podziękowała mnichowi i opuściła go bardzo zaniepokojona.

Co o tym myśleć? Czy to możliwe, aby jej córka, zawsze stanowcza, zawsze roztropna, zadurzyła się w tym Rajmundzie tak beznadziejnie, że dała się uwieść niczym jakaś głupia gęś? Że uległa chłopakowi, którego postęпки świadczyły o braku zalet i odpowiedzialności? Czy tak bardzo czuła się upośledzona swoim kalectwem, że rzuciła się w ramiona pierwszego lepszego pędziwiatra, który poświęcił jej trochę więcej uwagi niż inni chłopcy? Skąd się tego dowiedzieć?

Isambora nie wyobrażała sobie, by mogła się zwrócić bezpośrednio do Gresji. Wiedziała, jak zręcznie dziewczyna potrafi się wymigać. Nigdy nie udawało się wydobyć z niej tego, co chciała zataić. Jeśli z własnej nieprzymuszonej woli nie przysłała się zwierzyć, to znaczy, że nie było nic do wyjawienia... Albo też wolała ukryć przed wszystkimi, włącznie z matką, krzywdę, jaką jej wyrządzono, i sama sobie poradzić...

Nagle skołatanej Isamborze wpadła do głowy pewna myśl. Jeśli ktoś cokolwiek wiedział o całej aferze, to tylko Juliana. Należało udać się do najbliższej przyjaciółki Gresji i nakłonić ją do zdradzenia tajemnicy, którą być może znała.

Zawróciwszy z drogi, właścicielka Grand Feu podążyła ku młynowi.

We Fréteval i w dolinie przygotowywano się do święta winobrania, które miało się odbyć nazajutrz, w dzień świętego Remigiusza, toteż w całym miasteczku wrzało jak w ulu.

Stukot młotków, którymi bednarze uderzali w antałki, baryłki, kufy i inne beczki, rozbrzmiewał na ulicach i uliczkach; winne wyziewy snuły się pod bramami domostw i przy wejściach do piwnic; wozy przewożące ciężkie drewniane kadzie okute żelazem, turkocząc, zmierzały do tłoczni.

W domach jedne kobiety płukały garnuszki, dzbanki i kufle, inne wieszały kiście owoców na wiklinowych obręczach, które później przymocowywały do belek stropowych w sali, aby dłużej przechować winogrona.

Szachulcowe fasady przystrajano girlandami z pędów i liści winorośli, bukietami polnych kwiatów, różnobarwnymi zasłonami, słomianymi warkoczami, w które wplatan nagietki, świerzbnicę, dzwonki, żółtą rezedę, dziurawiec, lebiodkę, przetaczniki lub mikołajki...

Isambora mijała je, pospiesznie się temu i owemu kłaniając, i szła dalej swoją drogą.

W młynie zastała Julianę w towarzystwie służącej: oskubywały słonki na obiad.

– Muszę z tobą natychmiast porozmawiać – powiedziała do dziewczyny.

– Mogłybyśmy się przejść po waszej łące?

Juliana zarumieniła się, zmieszana, prędko wstała i odłożyła robotę.

– Chodźmy, pani – odparła.

Za budynkami i rowem ściekowym Gildas posiadał rozległe pastwiska, ciągnące się wzdłuż Loiru.

Nie zważając na muchy, które je obsiadały, pasły się tam krowy, wyskubując resztki trawy wysuszonej przez letni skwar.

– Jesteś we Fréteval jedyną prawdziwą przyjaciółką Gresji – zagaiła Isambora, gdy tylko wraz z dziewczyną znalazła się z dala od wścibskich uszu, na ocienionej srebrzystymi wierzbami wąskiej dróżce wiodącej brzegiem rzeki. – Dlatego postanowiłam się z tobą zobaczyć. Doszły do mnie niemiłe słuchy o mojej córce i tym Rajmundzie, który ostatnio wyjechał z kraju. Muszę wiedzieć, co między nimi zaszło.

Juliana spuściła głowę. Gdyby Isambora bacniej się przyjrzała, spostrzegłaby, że jej towarzyszka wydaje się bardziej zawiedziona niż zakłopotana, jednak tego nie zauważyła.

Zbyt zafrasowana tym, czego się właśnie dowiedziała, aby zajmować się czymś innym, skrupuły dziewczyny złożyła na karb zażenowania.

– Nie bój się wyznać prawdy – nalegała. – Przecież tu chodzi o dobro Gresji. Od jakiegoś czasu jest smutna i przygnębiona. Powinam poznać przyczynę tej zmiany nastroju, aby pomóc jej wybrnąć z tarapatów.

– Jeśli ona nic nie powiedziała, pani, to pewnie dlatego, że nie chce ci przysparzać zmartwień.

– Chyba też nie pozwala jej na to duma. Sądzi, że może się obejść bez mojej pomocy – sprostowała Isambora. – Wiesz równie dobrze jak ja, ile ma w sobie godności i niezależności!

Juliana przytaknęła.

Omiatając wysuszone zielsko porastające skraj drogi, jej biała koszula, wystająca na kilka dobrych cali spod ciemnoniebieskiego kaftana, zagarniała malutkie czepne nasionka i smużki pyłu.

– Myślę, że nie zachowam się wobec niej nieuczciwie, jeśli powiem, że ubiegłej wiosny rzeczywiście zakochała się w Rajmundzie – oznajmiła po chwili córka młynarza.

– Wcale się z tym nie kryła i mówiła mi o tym z zapałem, który przecież leży w jej naturze.

Przerwała, aby ściągnąć welon z wiotkiej wierzbowej gałązki, o którą się zaczepił.

– Wyobrażała sobie, że on odwzajemnia jej uczucie, chociaż widać było, że wcale nie jest zakochany, tylko powoduje nim ciekawość... Przynajmniej tak mi się wydawało – dokończyła, próbując dotrzymać kroku Isamborze.

– Niestety, z pewnością miałaś rację – westchnęła ta ostatnia.

– Dzięki temu nieporozumieniu Gresja przez parę miesięcy mogła czuć się szczęśliwa. A to już jest sukces, prawda? Parę razy rozmawiałam z Aljomem. Był tego samego zdania, mogę cię, pani, zapewnić!

Kończąc swoją wypowiedź, Juliana znów spurpurowiała.

Pomimo niepokoju Isambora nie mogła po raz drugi zlekceważyć zmieszania swej

rozmówcy. Spojrzała na nią uważnie, ale nie dała się wciągnąć w dyskusję na temat, który zamierzała zgłębić później.

– Jeśli moja córka zaznała, nawet przez krótki czas, jakiegoś rodzaju szczęścia, to teraz tym bardziej musi się czuć zraniona – ciągnęła z przekonaniem. – Czy wiesz, jak to wszystko wyglądało?

– Nie mam zielonego pojęcia. Przysięgam na mą duszę, Gresja nie lubi się skarżyć i nie znosi, by się nad nią litować. Dobrze o tym wiesz, pani. Powiedziała mi tylko dwa tygodnie temu, że Rajmund postanowił wyjechać i więcej nie wracać. Kiedy ją pytałam, skąd taka decyzja, tylko wzruszyła ramionami, twierdząc, że to jeszcze jeden dowód na lekkomyślność mężczyzn, że nie ma się czemu dziwić... A jednak w oczach miała łzy!

– Matko Boska, w jaki sposób jej pomóc? Na pewno opowiedziała ci również o naszym pojednaniu, gdy mieszkaliśmy w Blois, ale mimo wszystko ona bardzo często jest dla mnie nieprzeniknioną tajemnicą.

– Muszę przyznać, że nieszczęście wyrobiło jej charakter i za nic nie chce okazać żadnej słabości – zgodziła się Juliana. – Minęło sporo czasu, zanim się zorientowałam, że pod tą twardą skorupą kryje się ogromna wrażliwość.

– Z tego, co widzę, właściwie ją oceniasz – mruknęła Isambora. – A że w dodatku jesteś jej rówieśniczką, może podpowiedziałybyś mi, jak mam się zachować, aby pomóc, nie upokarzając jej?

– Nie wiem, pani, nie wiem. Tak bardzo się między sobą różnimy! Ja zwykle zwierzałam się matce... Zawsze umiała mnie pocieszyć i znajdowałam w niej oparcie... I dlatego strasznie mi jej brakuje!

Przy tych słowach głos jej się załamał.

Zamilkła, przenosząc wzrok na zielonkawą toń Loiru płynącego poniżej łąki.

Wskutek suszy panującej latem i na początku jesieni poziom wody w rzece znacznie się obniżył. Jej brzegi odsłoniły się bardziej niż zwykle. Korzenie olch i wierzb, które czerpały z nich wilgoć, podobnie jak łodygi sitowia i trzciny, które je porastały, były obnażone, oblepione podeschniętym, cuchnącym błotem.

– Ten bagienny odór jest bardzo nieprzyjemny – zauważyła Isambora, aby Juliana mogła się opanować. – W tym roku brak wody daje się szczególnie we znaki. Już słyhać o epidemiach, atakach gorączki w dolinie i na równinie Beauce.

– Jesienią znów będzie padało...

Juliana spontanicznie obróciła się ku matce przyjaciółki.

– Powinnaś, pani, szczerze porozmawiać z Gresją na temat, który napełnia cię troską – poradziła, zdobywając się na nikły uśmiech. – Tak byłoby lepiej dla was obu!

Po drodze, wracając do siebie, Isambora rozmyślała, jak najzręczniejszy wypytać córkę, gdy usłyszała czyjeś wołanie.

Już docierając do Grand Feu, znalazła się koło domków zwróconych tyłem do warsztatów.

Na progu jednego z nich ujrzała Amalbergę, która ją wzywała. Gwałtownie zawróciła, przeszła przez mostek nad fosą zwieńczoną palisadą otaczającą posiadłość i popchnęła niską bramę prowadzącą do budynków gospodarskich.

– Jeśli masz chwilę, pani, chciałabym z tobą porozmawiać – rzekła położna.



– Pod warunkiem że nie potrwa to długo...

Klepisko w izbie, do której weszła Isambora, było posypane świeżą trawą. W ciasnym pomieszczeniu panował idealny porządek.

– Poczęstuję cię, pani, moszczem gruszkowym...

Gdy usiadły przy stole stojącym koło łóżka, obie kobiety delectowały się w milczeniu pomarańczowym płynem, który Amalberga rozlała do bukszpanowych kubków.

– Nie bardzo wiem, od czego zacząć, pani. Sama widzisz, jak mi przykro wyjawić nowinę, którą mam ci do przekazania – wymamrotała akuszerka. – Ale muszę to zrobić. To mój obowiązek.

– Na wszystkich świętych, Amalbergo, o co chodzi?

– O twoją Gresję.

Isambora zacisnęła ręce, jedną na drugiej. Czekwała na cios.

– Wczoraj przysłała do mnie – podjęła tłuszczoszką. – Chciała się dowiedzieć, jakich ziół użyć, aby pozbyć się dziecka... Podobno jedna z jej przyjaciółek, która znalazła się w opałach, poprosiła ją, by u mnie zasięgnęła języka. Nie wiem nic więcej, ale wolałam cię, pani, uprzedzić.

Oszołomiona Isambora nie mogła wykrztusić słowa. Przerazenie zalało ją niczym mroczna fala.

– Pozbyć się dziecka... – powtórzyła po chwili. – Zabić dziecko! Na Boga! Moja córka, moja własna córka mogła wpaść na taki pomysł!

Nawet nie próbując ukrywać ani wycierać łez, wybuchnęła płaczem. Jakby w jej ciele nagle otworzyła się rana i krwawiła.

– Pani – wyszeptwała Amalberga – pani, może to nie dotyczyło jej samej...

Isambora potrząsnęła głową, wstała, ruszyła ku drzwiom i wyszła.

Przejrzyste, łagodne, nieco wilgotne jesienne powietrze, przepelnione wonią dojrzałych jabłek i więdnących liści, otuliło ją niczym jedwabiące miękkie całun.

Skierowała kroki do warsztatu, licząc, że Bernold jeszcze tam jest.

Z zamglonym wzrokiem minęła Hageniera, którego nawet nie rozpoznała.

Obmacując ziemię starannie okorowanym i wygładzonym kijem z ostrokrzewu, niewidomy, który trzymał pod pachą flet, podążał drogą wijącą się między Fréteval a Morée, wzdłuż lewego brzegu Loiru, poprzez pola, sady, łąki.

Usłyszawszy odgłos pospiesznych kroków, przystanął na moment, a gdy dobiegły go stłumione skargi Isambory, która się oddalała, ruszył znów przed siebie.

– Do wszystkich diabłów, co się tu dzieje, matko? – zapytał, wchodząc do domu.

– Niestety, synu, Niestety! Przydarzyło się nam wielkie nieszczęście! – jęknęła, pomagając mu przekroczyć próg.

Isambora podążyła do warsztatu swego małżonka. To u niego instynktownie szukała wsparcia...

Lekkimi, giętkimi ruchami Bernold wygładzał warstwę niemal czarnej farby ze szklivem na uprzednio wywoskowanym szkłe. Pochylony nad leżącym przed nim fragmentem witraża, ostrożnie manipulował dużą płaską szczotką z borsuczego włosia. Jego przedramię spoczywało na podpórcie, tak by nie zasłaniać powierzchni do

pomalowania.

– Mój drogi, najdroższy, zlituj się, pomóż mi! – błagała Isambora. – Mam straszne zmartwienie!

Osunęła się do stóp męża i przykładając czoło do kolan okrytych starym fartuchem ze zgrzebnego płótna poplamionego farbami, poddała się rozpacz.

Z taką samą delikatnością, z jaką używał pędzli, Bernold pogłaskał wstrząsaną szlochom głowę, która drżała pod jego palcami.

– W imię Chrystusa, co się dzieje, najmilsza? Co się z tobą stało? – zapytał, wyrwany ze smętnych rozmyślań. – Przeważnie jesteś bardziej opanowana.

Isambora przemówiła łamiącym się głosem, nieskładnymi słowami. Opowiedziała o tym, co się przydarzyło Gresji, o tym, co obwieściła jej położna, o własnej rozterce.

– Dziecię – powtarzała. – Dziecię zesłane przez Boga i skazane na zagładę przez tę, której zadaniem jest dać mu życie!

Drzwi warsztatu znów się otworzyły i weszła Gresja. Niosła w koszyku posiłek, który ojciec często spożywał, nie opuszczając pracowni, kiedy miał dużo roboty.

– Och, jesteś, córeczko! – rzucił Bernold. – Przychodzisz w samą porę! O tak, na Święty Krzyż, w samą porę!

Dziewczyna postawiła koszyk na stole. Spoglądała to na ojca, to na matkę. Ta uniosła ku niej udręczoną twarz.

– Wracam od Amalbergi – rzekła, jakby się tłumaczyła.

Rysy Gresji stwardniały.

– Właśnie miałam zamiar was powiadomić, co mi się przydarzyło – oznajmiła, a jej głos nie zdradzał nic oprócz niezadowolenia.

Isambora wyprostowała się. Drżały jej kolana.

– Powiedz mi, zaklinam cię, powiedz, że zachowasz to dziecko! – błagała. – Och, powiedz!

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– O nie – rzekła. – Nie mogłabym kochać potomka spłodzonego przez człowieka bez czci i wiary. Mogłabym nawet go znienawidzić! Ten zdrajca, jego ojciec, obiecał się ze mną ożenić, a potem porzucił, kiedy dostał to, czego chciał. Niech mi Bóg wybaczy! Zabawił się ze mną jak z pierwszą lepszą ladacznicą!

Bernold zacharczał.

– Gdybym się ledwo nie trzymał na nogach, poszedłbym na kraj świata szukać tego śmierdzącego kundla i zadźgałbym go! – wrzasnął.

– To zwykły tchórz! – rzuciła Gresja z dzikim wyrazem twarzy. – Wykorzystał mnie, a gdy tylko dowiedział się o moim stanie, zwiął jak najdalej stąd, aby nie narazić się na zemstę moich krewnych!

Isambora podeszła do córki, wzięła ją w ramiona.

– Niech sobie idzie, gdzie go oczy poniosą – stwierdziła. – W każdym razie zhańbił się i spotka go kara na tym świecie albo na tamtym... On się nie liczy, tylko maleństwo, za które teraz jesteś odpowiedzialna. Jego los zależy od ciebie, wyłącznie od ciebie...

– Nie chcę go. Nigdy go nie pragnęłam! – wykrzyknęła Gresja. – Do niczego mi niepotrzebne.

– Nie o to chodzi, czy pragnęłaś tego dziecka, czy nie – podjęła Isambora z powagą.  
– Jest już tutaj, w twoim ciele! Teraz chodzi o to, abyś je donosiła, urodziła istotkę, którą powierzył ci Bóg Wszechmogący, abyś wydała ją na świat, gdzie jest dla niej przygotowane miejsce! Jeśli tego nie uczynisz, popełnisz śmiertelny grzech!

– Twoja matka słusznie mówi – orzekł posepnie Bernold. – Uchybić temu świętemu obowiązkowi znaczyłoby nieodwracalnie wykroczyć przeciw piątemu przykazaniu: „Nie zabijaj”. To byłoby przestępstwo.

Gresja raptownie wyrwała się z matczynych objęć.

– A więc sądzisz, że miałam jeszcze za mało okropnych przejść? – rzuciła z goryczą. – Kto na moim miejscu chciałby urodzić potworka podobnego do mnie?

Isamborę dosięgnął następny cios. Na chwilę zamknęła oczy, zastygła w bezruchu, wewnątrz roztrzęsiona, zdruzgotana.

– Dziecko nie odziedziczy po tobie ułomności – wykrztusiła jednak, wzięwszy głęboki oddech. – Jestem tego pewna. Przed wypadkiem byłaś śliczną dziewczynką. I właśnie tę wrodzoną urodę mu przekażesz, a nie przypadkowe skutki nieszczęścia, które nastąpiło później. Kiedy kobieta zostaje matką, a wcześniej amputowano jej nogę lub rękę, małeństwo rodzi się bez żadnej wady!

– Może i masz rację – przyznała Gresja. – Mniejsza o to. Nie potrafiłam się ustrzec przed mężczyzną, ale potrafię ustrzec się przed jego potomkiem... Przydarzyło mi się nieszczęście, bo przestałam być nieufna. Nie dam się więcej nabrać. Nie ugnę się. Nawet przed tym, który zawsze będzie tylko bękartem!

– W każdej rodzinie, córko, znajdzie się miejsce dla bękartów – rzekł Bernold. – Popatrz, na zamku u samych Meslay: jest ich bez liku! Czyż baron Salomon, dziedzic, niech mi Bóg wybaczy, również nie pochodzi z nieprawego łoża? Mimo to szlachetny Newelon II powołał go na zarządcę swoich dóbr senioralnych i wychowawcę syna, aby sprawował te funkcje aż do jego powrotu z Ziemi Świętej.

– Każdy je wychowuje bez ceregieli, razem z całą domową dzieciarnią – podjęła Isambora. – Dopóki dziewczyna nie wyjdzie za mąż, ma swobodę działania. Nikt nie może jej zarzucić nieprzewidzianego porodu, bo właśnie nic nie zrobiła, aby pozbyć się małeństwa. Jedyne chrześcijańska małżonka powinna być bez zarzutu. A ty nie jesteś w takiej sytuacji.

Złożyła ręce.

– Na mą duszę, nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś wydała na świat, a potem wychowywała swego malucha – zapewniła. – Będiesz miała do kochania nową istotkę, należącą do ciebie, wyłącznie do ciebie! Będzie ci towarzyszyła przez całe życie. Zostanie przy tobie wtedy, gdy twój ojciec i ja przeniesiemy się do królestwa Bożego! Córko, najdroższa córeczko, w imię czułości, jaką cię darzę, błagam: zmień decyzję!

– Po co mi on? Nie chcę go! – powtarzała Gresja, zerkając na rodziców z naburmuszoną miną.

– Jeśli usuniesz to nasienie, które kiełkuje w twoim łonie, to jakbyś dźgnęła sztyłem jednego z twoich braci lub sióstr, za których przecież dałabyś się pokroić! To morderstwo takie samo, jak gdybyś zabiła Albina, Doettę lub Ogiera!... W dodatku dziecko jest dla ciebie czymś znacznie więcej! Ciałem z twojego ciała! Czy o tym pomyślałaś?

Mimo że nadal dławiły ją łzy, Isambora wyrażała się z niezwykłą siłą. Była tak przekonana o słuszności swoich poglądów, że udawało jej się zagłuszyć wewnętrzny ból.

Wydawało się, że Gresję wreszcie coś tknęło. Bez słowa otarła oczy wierzchem dłoni.

– To niewiniątko pragnie żyć – ciągnęła Isambora. – Ma prawo do życia... a ty, która je poczęłaś, nie masz prawa pozbawiać go daru od Boga, który pozwala duszy ucieleśnić się w tobie. Jak mogłaś sobie wyobrazić, że sprzeciwisz się planowi Stwórcy?

Bernold słuchał żony z szacunkiem i aprobatą. Najwyraźniej się z nią solidaryzował i pochwalał jej nieustępliwość.

– Matka nie wspomina o karze, jaka oprócz tego grozi ci ze strony ludzkiego wymiaru sprawiedliwości – dodał, gdy Isambora zamilkła. – Na pewno wiesz, moja biedna dziecino, jak są osądzone kobiety, które zrzucają płód, i jaki koniec je czeka?

– Wcale się nie boję! – rzuciła Gresja, unosząc wykrzywioną twarz.

– Znamy twoją odwagę – przyznał mistrz szklarski. – Ale lepiej byś uczyniła, nie uciekając pierwsza przed odpowiedzialnością, którą cię obarczono: przekazania życia. Uchyliš się od niej?

– Nikt mnie nie potrzebuje, aby ocalić gatunek! – zaprotestowała Gresja, u kresu wytrzymałości. – Pod sklepieniem niebieskim nie brak kur znoszących jaja! Gdybym was posłuchała, zmarnowałabym tych kilka nędznych lat młodości, jakie mi jeszcze pozostały!

Isambora podeszła do męża i stojąc teraz za nim, trzymała ręce na jego ramionach.

– To źle rozumiany egoizm, córko! – wykrzyknęła. – Wręcz przeciwnie, marnotrawstwem byłoby skazać na śmierć dziecko, które swoją obecnością przyniesie ci otuchę i czułość. Ach! Szkoda, że nie mogę go nosić za ciebie! Natomiast wychowam je, jeśli nie będziesz chciała się nim opiekować. Uwolnię cię od tej troski. W tym domu jeden maluch więcej czy mniej, to rzecz bez znaczenia. Już jestem gotowa go pokochać.

– Nie! Nie! Powiedziałam nie! I basta! – wrzasnęła Gresja. – Mam tego dość, dość! Jak szalona rzuciła się ku drzwiom i wybiegła z warsztatu.

– Na krew Chrystusa! Jest zgubiona! – zagrzmiał Bernold. – Zostanie potępiona!

– Mój Boże, ona tak postępuje, bo czuje się nieszczęśliwa – wymamrotała Isambora. – Zraniona w miłości i w miłości własnej...

Wciąż stała za fotelem męża. Ten odwrócił się do niej i położył swoje pobrudzone farbą dłonie na jej rękach.

– Dzielnie walczyłaś, moja miła, moja śliczna – zapewnił, po raz pierwszy od powrotu zwracając się do niej jak niegdyś. – Tak, przysięgam na życie, zawzięcie wojowałaś i powiedziałaś wszystko, co należało!

– Niestety nie, skoro nie udało mi się przekonać Gresji!

Bernold potrząsnął głową z uporem.

– Jesteś dobrą i szlachetną kobietą – ciągnął, nie zauważając, że mu przerwała. – Słyszac, jak z zapalem bronisz malej istotki jeszcze w zalazku przeciw tej, która nosi ja w swym lonie, pomyslam, ze naprawde bezwzglydnie traktuja cię ci, ktorych obdarzasz najwieksza mioscią... Nie zaslugujesz na te wszystkie rozczarowania, jakie ci sprawialismy... Widzisz, wbrew pozorom to jeden z tematow moich codziennych refleksji. Nieustannie sobie powtarzam: powinienem się spalić ze wstydu, że zadałem ci

tyle cierpień...

– Bernoldzie!

Pod swoimi palcami szklarz czuł, jak drżą palce Isambory. Chwycił rękę spoczywającą na jego ramieniu, delikatnie ją pocałował.

– Jeśli nie wyzionimy ducha, najcięższe rany prędzej czy później się zagoją – rzekł w końcu głucho. – Proszę cię o jeszcze trochę cierpliwości...

Ktoś zapukał do drzwi.

– Pani – rzekła Sancja, wślizgując się do izby – Ogier otarł sobie kolano na podwórzu. Nie chce, żebym go opatrzyła. Domaga się, abyś ty to zrobiła.

– Już idę – odrzekła Isambora.

Pochyliła się nad Bernoldem, pocałowała go w usta, po czym wyszła, nie przejmując się włosami w nieładzie ani wilgotnymi śladami na policzkach.

Nie wiedziała już, czego się trzymać. Czy nieszczęście może nosić w sobie zapowiedź szczęścia?

Na dworze zastała Aljoma kołyszącego w ramionach braciszka, który pochlipywał, aby się nad nim użalono.

– Byłbyś dobrym ojcem, synu – zauważyła zwyczajnie, przejmując opiekę nad Ogierem. – Powinieneś pomyśleć o ożenku.

Widząc, że młodzieniec zmieszał się pod jej spojrzeniem, doszła do wniosku, że się nie myli i że wypadało już tylko przyprzeć do muru Gildasa.

Już jej w tym głowa. Przynajmniej pod tym względem sprawy zdawały się układać pomyślnie.

Pozostawała Gresja...

Dziewczyna nie pokazała się przez cały dzień.

Wieczorem, w porze kolacji, poleciła Sancji, by powiedziała rodzicom, że ma silną migrenę i woli się położyć.

Filipa, która dzieliła ze starszą siostrą i Doettą pokój dziewcząt, potwierdziła, że Gresja jest cierpiąca.

– Przypominam sobie, że ktoś inny wymawiał się bólem głowy, aby w spokoju roztrząsać swoje niepowodzenia – rzekł Bernold, spoglądając porozumiewawczo na żonę.

– Nie można pozwolić, aby pograżała się w smętnych rozmyślaniach.

– Bóg cię natchnął, mój drogi – odparła Isambora. – Zjedzcie kolację beze mnie, pójdę posiedzieć z Gresją.

Ta, skulona w szerokim łożu, miała zaczerwienione i podkrążone oczy.

Nieufnie spojrzała na matkę, która weszła i usadowiła się koło niej.

– Jak to się dzieje, że wydarzenie, które powinno przynosić radość i nadzieję, skłoniło nas obie do wyrządzania sobie krzywdy? – zapytała Isambora, kładąc chłodną rękę na rozpalonym czole córki. – Gdy na tym padole pojawia się nowe stworzenie, wszystko jedno, w jakich okolicznościach, to znak błogosławieństwa. Dobra nowina. Dlaczego nie przyjąć tego z pokorą, nie słuchając podszeptów dumy, które są również głosem kusiciela?

Z pobliskiej sali, znajdującej się po drugiej stronie drewnianej przegrody, dolatywały niewyraźne dźwięki rozmów.

W stajni rżały konie.

Przysiadłszy na wierzchołku lipy, gołąb grzywacz gruchał wciąż na tę samą monotonną melodię.

– Dziecku będzie z nami dobrze – zapewniła Isambora. – Tak, jak ci proponowałam, będę je wychowywać i pielęgnować, jeśli trzeba. Myślę o nim tak, jakby już było wśród nas.

– Nie ma go! – szepnęła Gresja. – Nie, słowo daję, jeszcze go nie ma!

– Poganie mogli zabijać swoje córki, czasem nawet synów, jeśli tak im się podobało. Ale nie my. Chrystus nauczył nas szacunku dla życia bliźniego. Przede wszystkim...

Isambora mówiła cicho, wzruszonym, a chwilami załamującym się głosem.

– Kiedy urodził się Aljom, kiedy położna mi go podała, pierwszym uczuciem, jakie mnie ogarnęło, jeszcze przed miłością macierzyńską, był szacunek – ciągnęła. – Niezmierny szacunek dla tej kruchej istotki, wydobytej jednocześnie z mojego brzucha i z nicości, a która dzięki Bogu miała żyć, żyć... posiadać wielką tajemnicę bytu, aby w niej uczestniczyć... Od tamtej pory każde narodziny budziły we mnie taki sam respekt wobec nowego przybysza, któremu stwarzałam niesłychaną szansę: że zasłuży na zbawienie, aby zaznać później życia wiecznego...

Nachyliła się jeszcze bardziej ku córce.

– Kto nigdy nie żył na ziemi, ten nie dostąpi zbawienia – powtórzyła, podkreślając każde słowo. – Rozważmy w swoim sumieniu, czy mamy prawo pozbawiać duszę dostępu do raju?

Gresja wykrzywiła się w grymasie.

– Wszystko ładnie, pięknie – oznajmiła. – Myślę, że mówisz prawdę. Ale sama najlepiej się przekonałam, jak ważny dla rodziny jest ojciec, toteż wolałabym, by nie zabrakło go temu, którego tak gorąco bronisz. Potrzebuje nie tylko matki, lecz także ojca. Nie chcę dziecka, które będzie półsierotą!

– A więc zgodziłabyś się poślubić mężczyznę, który zechciałby wziąć na siebie obowiązki ojcowskie?

– Niewątpliwie. Wyszłabym za niego z miłą chęcią. Nie mogę jednak liczyć na małżeństwo z miłości... Doświadczyłam tego na własnej skórze...

– Kochana córeczko – rzekła Isambora – jestem ci wdzięczna, że okazujesz tyle rozsądku! Proszę... raz jeszcze powtórz, że zachowasz małżeństwo, jeśli będziesz mogła zapewnić mu opiekuna...

Gresja roześmiała się gorzko.

– Na pewno bym się zgodziła, ale szkopuł w tym, żeby wyszukać człowieka, który chciałby wziąć sobie na kark szkaradną babę obarczoną bękartem!

– Skoro można znaleźć kogoś, kto zamiast ciebie odbędzie pielgrzymkę, to czemu nie miałby się trafić jakiś zastępca w takim przypadku jak ten? – zapytała Isambora, ale zdawała sobie sprawę z trudności tak osobliwego przedsięwzięcia.

– W grę na pewno będą wchodziły pieniądze – zauważyła dziewczyna ze swą zwykłą, nieubłaganą przenikliwością. – Moja biedna matulu, będziesz musiała skądś wytrzasnąć kupca... Obawiam się, będzie cię to kosztować wiele wysiłku... Chociaż nie

widzę innego sposobu, żeby wybrnąć z tej kabały, zarówno dla twego przyszłego wnuka, jak i dla mnie...

Znów się zaśmiała, lecz tym razem bardziej smutno.

Później, gdy Isambora zostawiła śpiącą córkę, aby pójść do sypialni i dołączyć do Bernolda, przekazała mężowi treść rozmowy.

– Jutro pójde do Morville na święto winobrania – podsumowała. – Mój stryj będzie tam otoczony gromadą ludzi. Zwykle zaprasza wszystkich z doliny. W taki dzień przewijają się u niego tłumy gości. Może wśród nich wypatrzę kogoś, kogo poszukujemy.

– Jaki mężczyzna, który ma choć odrobinę honoru, zgodzi się na taką transakcję? – zapytał Bernold. – To przykre przehandlowywać nasze biedne dziecko niczym młodą klacz i jeszcze dopłacać do interesu... Nie podoba mi się ten pomysł.

– Może istnieje gdzieś jakiś porządny chłopak, którego potrafi wzruszyć niedola i resztki urody Gresji... – mruknęła Isambora, sama nie bardzo w to wierząc. – Zresztą czy mamy inne wyjście?

Jak co wieczór pomagała mężowi ściągnąć trzewiki z cholewkami. Jak co wieczór odwróciła oczy, aby nie oglądać dwóch okropnych fioletowych blizn szpecących jego pięty.

– Im jestem starszy, tym częściej zauważam, że Bóg pozwala nam jak owocom dojrzewać na drzewie, aż osiągniemy stopień dojrzałości niezbędny do wypełnienia się naszego losu – powiedział z powagą Bernold. – U niektórych trwa to długo – to są późne owoce. U innych kwiat jest taki piękny, że lepiej byłoby go zerwać, bo może nie spełnić oczekiwań. Wszystkim zaś potrzeba cierpliwości i wytrwałości do walki z przeciwnościami i złośliwym wiatrem, który potrząsa pnem i gałęziami. Aby wytrwać, należy czepić się z całej siły...

Nazajutrz rano, w dniu świętego Remigiusza, gdy już wszyscy domownicy wykąpali się w łaźni i każdy szykował się do mszy winogrodników, Amalberga zagadnęła Isamborę pod lipą, która zaczynała już tracić liście.

– Pani – rzekła – mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia.

– Mistrz czeka, aż się ubiorę. Nie mam teraz czasu...

– Zajmie mi to chwilkę. Chodzi o twoją córkę.

Isambora spojrzała na położną z niepokojem.

– Wielkie nieba, co znowu?

– Otóż Hagenier minął cię wczoraj, gdy wychodziłaś ode mnie. Dopytywał się o powód twego zatroskania. Nie udało mi się tego przemilczeć i wszystko mu opowiedziałam...

– Mniejsza o to – rzekła Isambora z lekką irytacją. – Mniejsza o to. I tak wszyscy niedługo zwąchają, co się święci.

– Kto wie...

– Nie rozumiem.

– Hagenier zupełnie zwariował, gdy się dowiedział, co się przydarzyło Gresji. Wyznał mi, że od dawna ją kocha, ale nigdy by nie śmiał jej o tym powiedzieć, gdyż był przekonany, że nigdy by się nie zainteresowała niewidomym.

– Twój syn?

– Oboje mają upodobanie do muzyki i nieraz już śpiewali razem. On jej nigdy naprawdę nie widział, jest dla niego tylko głosem. Głosem anielskim...

Isambora szczerzej otuliła się szerokim welonem w paski, który okrywał jej głowę i piersi.

– Miłość twojego syna w żaden sposób nie zmieni losu mojej biednej Gresji – westchnęła. – Ona za żadne skarby nie chce urodzić dziecka pozbawionego ojca.

– No właśnie! – wykrzyknęła Amalberga, której szerokie oblicze nagle się rozpromieniło. – No właśnie! Ja mogę ci, pani, oferować ojca: mojego Hageniera. Dobrze wie o stanie Gresji i podejmuje się zaopiekować nią wraz z jej brzemiem. Będzie w siódmym niebie, jeśli zdoła uratować honor swojej lubej, służyć jej wsparciem, otoczyć czułością i pomóc wychować malucha.

Nie zważając na purpurowy, świeżo wyprany i wyprasowany kaftan, Isambora opadła na zbitą z desek ławę, okalającą lipę.

– Najświętsza Panno! – wymamrotała i jęła się konwulsyjnie śmiać, a z jej oczu trysnęły łzy.



## IV

– Uściśnij ją, mój drogi bratanku – rzekł podwasal. – Uściśnij ją. Już pora się pogodzić. Zaczynam się starzeć. Nie chciałbym żywić do nikogo urazy, gdy stanę przed Bogiem, naszym Panem. Zdaje mi się, że szczególnie w taki weselny dzień wypada, abyśmy zawarli ze sobą pokój.

Bernold i Gerwazy nie widzieli się od powrotu szklarza w domowe pielesze. W ciągu upływającego roku jedynie Perryna zapewniała łączność między Morville i Grand Feu.

Siedząc w fotelu z wysokim oparciem, przy nakrytym stole, mąż Isambory, który za nic nie chciał chodzić przy ludziach, uściśnął wyciągniętą rękę popędliwego stryja, a następnie objął go ramieniem.

Obaj uczynili, co należało, bez wielkiego zapału, ale z identycznym pragnieniem zapomnienia i ukojenia.

Dawno minęły czasy, gdy podwasal życzył sobie, by małżonka bratanicy pochłonął ogień piekielny, i nieustannie się odgrażał, że go porąbie na kawałki!

Małżeństwo Gresji i Hageniera stanowiło dla mściwego chuderławego rudzielca wyborną okazję do załatwienia rodzinnej sprawy, zepchniętej przez niedawne wydarzenia w otchłań niepamięci.

– Niech nas wszystkich strzeże święty Wincenty, patron winogrodników! – podsumował z zadowoloną miną, unosząc w górę srebrny, misternie rzeźbiony kielich.

Po bardzo skromnej ceremonii, jakiej życzyła sobie Gresja, kilku krewnych i przyjaciół, zaproszonych na dość niezwykle weselne przyjęcie, znalazło się w warsztacie szklarskim.

Po tygodniowych zbiorach winogron, podczas gdy liczni chłopci, korzystając z okazji, polowali w opustoszałych winnicach, można było pomyśleć o ustaleniu daty ślubu.

Trzeba było się spieszyć, wykluczając jednak dni pokuty narzuconej Bernoldowi. Zatem wyznaczono uroczystość na wtorek po Świętym Dionizym, a ten termin wszystkim odpowiadał.

Październik był piękny i ciepły. Nawet trochę za ciepły po letniej duchocie. Wszyscy czekali na deszcz, z utęsknieniem i pewnym niepokojem.

Pod baldachimem błękitnego nieba wesoło krążyło lekkie powietrze późnej jesieni, jasnożółte jak słomkowe wino.

Było tak świetliste, że dostrzegało się hen za korytem Loiru zbocza odległych wzgórz po drugiej stronie doliny i prostopadłe bruzdy żłobione przez rolników.

Między skwarnym latem a zimą, która jak twierdził ten i ów, zapowiadała się mroźna, łagodna jesień swoją przejrzystością przypominała poprzednią. O tamtej jednak w wytwórni szkła starano się nie myśleć...

Oprócz mieszkańców Grand Feu i Morville jedynymi gośćmi byli Gildas i jego adoptowane dzieci, a także, przybyli specjalnie z Blois, Garin Mincerz wraz z Albreą.

Matka chrzestna panny młodej pragnęła sama ubrać chrześniaczkę w jedwabną szafranową koszulę i kaftan ze szkarłatnego cienkiego płótna, haftowany w kwietne

girlandy. Strój ten kazała uszyć dla niej i przywiozła z wielką pompą w potężnym kufrze podróżnym.

Zręcznie udrapowany na głowie Gresji gruby welon okrywał jedwabiste warkocze z wplecionymi w nie czerwonymi i białymi wstążkami. Opadał dość nisko, aby zasłonić najlepiej, jak można, oszpecony profil młodej kobiety.

Podczas mszy okoliczni wieśniacy oraz czynszownicy, którzy ściągnęli tłumnie, trochę między sobą szeptali, ale godność świeżo upieczonych małżonków, wzruszające i niezwykle połączenie ich podwójnej ułomności, podziały na wyobraźnię i uciszyły plotki.

Żona o poharatanym obliczu i jej niewidomy mąż wydawali się oboje ofiarami napiętnowanymi przez los. Otaczano ich szacunkiem.

Doceniając odwagę niezbędną do zawarcia takiego związku, wielu uczestników wolało nie wnikać w przyczyny tych nietuzinkowych zaślubin.

Po powrocie do Grand Feu, pośród bliskich, Hagenier i Gresja siedzieli teraz po obu stronach fotela, w którym zajął miejsce Bernold, przy stole w kształcie litery U, ustawionym z tej okazji na dziedzińcu wytwórni.

Wniesiony do prezbiterium kościoła przez najstarszego syna i ucznia, zgodnie ze zwyczajem stosowanym od paru miesięcy, mistrz szklarski mógł uczestniczyć w nabożeństwie ślubnym.

Następnie w towarzystwie Isambory wrócił do swojego domostwa wozem, którym z reguły jeździł na msze.

Zanim goście przystąpili do obiadu, wznosili toasty za zdrowie nowożeńców, a wtedy pod bramą majątku zatrzymał się jakiś jeździec przybywający z Blois.

Spocony i pokryty przydrożnym pyłem, przynosił wiadomość od Majola. Awelina miała ciężki poród, podczas którego omal nie straciła życia. Poprzedniej nocy wydała na świat drugą córeczkę, nazwaną Muriel.

– Jestem przeklęty! – ryknął Gerwazy, zwalając się na jedną z ław okalających stół.  
– Przeklęty! Nigdy nie będę miał męskiego dziedzica! Moje winnice wpadną w obce ręce!

– Dzięki Bogu nasza córka jest jeszcze przy życiu! – obruszyła się Perryna. –  
Możliwe, że kiedy indziej obdarzy cię chłopcem, tak przez ciebie upragnionym.

– Zamilcz! – wrzasnął Gerwazy, wściekle uderzając pięścią w stół, który się zatrząsał, aż zabrzęczały cynowe naczynia. – Zamilcz! Tak samo jak ja, usłyszałaś, że Awelina nie będzie mogła mieć więcej dzieci!

Isambora starała się uspokoić stryja, zauważając, że narodziny małej Muriel, dokładnie w dniu wesela w rodzinie, wydają się dobrym znakiem; że nikt nie może wiedzieć, czy zdrowie kuzynki zostało tak dalece nadszarpnięte, iż nie ma już żadnej nadziei na przyszłe macierzyństwo; wreszcie, że nie wypada przyjmować z kwaśną miną wieści o pojawieniu się noworodka; ale żaden z tych argumentów nie przekonał podwasala.

Spasowały, czupurny jak kogut, reagując wściekłością na słowa pocieszenia, których mu nikt nie skąpił, podczas całego przyjęcia pomstował na pecha prześladowającego jego ród.

Nowożeńcy zaś, siedząc koło siebie, jak należało, rozmawiali półgłosem.

Wybuchy stryja Gerwazego jakby w ogóle nie robiły na nich wrażenia.

Między wysokim chudym chłopakiem o martwym spojrzeniu a młodą jasnowłosą kobietą, starannie owiniętą welonem, już zawiązywało się coś w rodzaju komitywy.

Gdy Isambora powiadomiła córkę o oświadczeniach muzyka, ta się obruszyła.

– Przynajmniej dla niego będę zawsze piękna – rzekła zamyślona. – Tak naprawdę, kto poza ślepcem mógłby się we mnie zakochać?

Nie szukając wymówek, przyklasnęła projektowi, do którego z kolei rodzice podchodzili z rezerwą. Następnie oznajmiła:

– Mając ojca, dziecko będzie mogło urodzić się i dorastać normalnie. Czyż nie tego pragnęłaś, matko? Myślę, że nie będzie mi trudno obdarzać uczuciem tego, kto pomoże mi wybrnąć z trudności. Od tej pory uważam go za najlepszego przyjaciela.

W czasie krótkiego, bo tylko tygodniowego, okresu narzeczeństwa wydawało się, że młodzi ludzie doskonale się rozumieją. Często ze sobą rozmawiali, zawsze z pełnym zaufaniem. Muzyka i śpiew, jak również przeżycia jednego i drugiego, a zwłaszcza przyszłość, która odtąd będzie dla nich wspólna, dostarczały im licznych tematów do pogawędek, lecz także potwierdzały upodobania i dążenia, które podzielali.

– No cóż, moja droga – rzekła Albrea do Isambory w przeddzień zaślubin. – No cóż, on ją kocha! Jeśli ona jeszcze nie odwdzięcza mu się tym samym, całkiem możliwe, że stopniowo da się ovladnąć tak szczeremu uczuciu. Poza tym nic nie wiadomo... Czy nie można się zakochać w miłości, którą ktoś cię darzy? Szczególnie w przypadku Gresji, zbyt bystrej, by sobie nie uświadamiała, że w nikim innym nie zdoła wzbudzić takiej tkliwości...

Z początku powściągliwy Bernold też w końcu przyznał, że ten nieoczekiwany zięć ma jednak pewne zalety.

Ponadto mincerz i jego żona zaproponowali, że pomogą Hagenierowi wstąpić do zespołu muzyków na dworze hrabiowskim w Blois.

Za niewidomym przemawiały jego talent i renoma. Garin i Albrea obiecali go zaprotegować i wprowadzić do grona tych, którzy grawitowali wokół hrabiny Adeli. Mieli użyć swoich wpływów u samej regentki. Ta gorąco pragnęła przyciągnąć do swojego koła najzdolniejszych artystów z regionu Blois.

– Zanim się na dobre ustatkują, te dzieciaki, jeśli zechcą, mogą śmiało zamieszkać pod naszym dachem – rzekła Albrea. – Gresja znów poczuje się jak u siebie... Zresztą czy nie moglibyśmy, nie zwlekając, zaraz po weselu wyruszyć wszyscy razem do Blois? Bezpieczniej podróżować w gromadzie.

– Przykro mi rozstawać się z najstarszą córką, ale myślę, że i tym razem oddasz jej wielką przysługę – przyznała Isambora. – Niewątpliwie lepiej dla niej i jej męża jak najszybciej wyjechać z Fréteval i zostawić za sobą przykre wspomnienia...

Tak więc młodzi małżonkowie rozprawiali o swojej przyszłej egzystencji w Blois, nie przejmując się oznakami niezadowolenia podwasala i gniewem, któremu dawał upust.

W sumie przyjęcie odbyło się wedle ustalonego zwyczaju.

Jeźdźca posadzono na końcu jednego ze stołów – na miejscu, które zawsze zostawiano wolne dla podróżnego lub pielgrzyma, zesłanego przez Boga...

– Teraz, gdy Gresja znalazła męża – rzekła Isambora do Gildasa, który siedział na

lewo od niej – powinniśmy się zająć Aljomem.

Młynarz pochylił swój potężny nos nad pajdą chleba, którą miał przed sobą, i nie od razu odpowiedział.

Zanim uniósł zatroskane czoło, pochłonął parę kęsów marynowanego dzika z pieczonymi kasztanami.

– Na wszystkich świętych, skąd u ciebie taki upór? – westchnął, rzucając pełne wyrzutu spojrzenie swej sąsiadce. – Byłem pewien, że prędzej czy później wrócisz do tego tematu.

– Bo leży mi na sercu – oznajmiła Isambora. – Ostatnimi czasy miałam okazję się przekonać, że nasz syn i wasza Juliana przypadli sobie do gustu. Chciałbyś unieszczęśliwić tych dwoje dzieci?

– Nadal sądzę, że pożenić je to nie najlepszy pomysł.

– A dlaczego? Przymierze między naszymi rodzinami aż tak bardzo cię mierzi?

Gildas potrząsnął głową. W jego udreżonej duszy rozczarowanie mieszało się z fascynacją.

Przez chwilę przyglądał się tej, która go tak źle potraktowała. Mimo wszystko delikatne rysy, duże szare oczy, wypukłe czoło, przewiązane w tym świątecznym dniu opaską przetykaną złotem, nadal miały dla niego urok, którego nic nie mogło zniweczyć. Ani pierwsze zmarszczki, ani siwe włosy srebrzące się w ciężkich ciemnych warkoczach... Ani nawet niezłomna wierność dochowywana innemu.

– Doskonale wiesz, co o tym myślę i dlaczego tak myślę – odezwał się w końcu. – Tak, na świętego Marcina, wiesz to z dawien dawna!

Wokół nich wartko toczyły się rozmowy.

Równie dumni jak szczęśliwi z powodu małżeństwa, które ich nieoczekiwanie zbliżyło do mistrza szklarskiego, Amalberga i Gerbald Swojak gwarzyli z Perryną, Bernardą i Piotrusiem.

Remigiusz przekomarzał się z Sancją. Garin usiłował rozchmurzyć podwasalą, nalewając mu wina.

Filipa, Damian, Albin i Doetta wiercili się na ławie. Co rusz zanosili się śmiechem. Korzystając z tego, że nikt ich nie pilnuje, opychali się kasztanami.

Bernold dyskutował z Albreą o przyszłości nowożeńców, którzy wciąż byli pogrążeni w rozmowie.

Zresztą Juliana i Aljom też gawędzili z ożywieniem, nie domyślając się, że stanowią ośrodek zainteresowania młynarza i jego dawnej narzeczonej.

– Wygnaj raz a dobrze widma naszej młodości ze swego umysłu – mówiła właśnie Isambora. – Miałam nadzieję, że nigdy o tym nie wspomnę, ale skoro ci na tym zależy, Gildasie, powinieneś wiedzieć, że jedynie ty zawsze wyobrażałeś sobie różne rzeczy... Tylko ty w nie wierzyłeś, tylko ty miałeś nadzieję.

Stanowczo położyła rękę na mankiecie swego rozmówcy.

– Pożegnaj się, mój drogi, z marzeniami, które się nigdy nie spełnią. Wróć do rzeczywistości. Poszukaj sobie nowej żony... Pozwól Julianie pełnoprawnie poślubić Aljoma!

– Niech mnie Bóg skarże! Urodzona z ciebie swatka! – wycedził młynarz przez

zęby. – Otóż, jeśli cię to interesuje, wiedz, że nigdy ponownie się nie ożenię. Co do Juliany, nieśpieszno mi wypuścić ją z młyna. Sprawuje jak należy obowiązki gospodyni i nie widzę, kto mógłby ją zastąpić.

– Jeszcze lepiej prowadziłyby własne gospodarstwo – stwierdziła Isambora. – Myślałam, że jesteś poczciwy, Gildasie. Nie pozbawiaj mnie złudzeń, okazując się akurat w tym przypadku tak wielkim egoistą, że poświęcasz szczęście córki, chowając w sercu nie wiem jaką urazę.

– Byłbym poczciwy, jak powiadasz, gdybym nie był taki przybity – mruknął młynarz. – Jak myśleć o innych, kiedy człowiek sam jest w podłym nastroju!

Isambora poczerwieniała z irytacji.

– Gdyby trzeba było czekać, aż się będzie szczęśliwym, żeby zająć się tymi, za których ponosimy odpowiedzialność – rzekła z naciskiem – nieczęsto byśmy się o nich martwili!

Zawiesiła głos, ponieważ wszyscy biesiadnicy domagali się teraz od nowożeńców weselnej muzyki i przyśpiewek.

– Nie ma rady, trzeba spełnić ich życzenie – poparł pomysł Garin Mincerz. – Będziemy radzi oboje z żoną ocenić na żywo talenty Hageniera, o których słyszeliśmy wiele dobrego.

Podawano pasztet z karpia, paszteciki z farszem rybnym, tartę z jabłkami, ale gdy Gresja wstała, aby zaśpiewać, wszyscy zastygli w skupieniu.

Jej czysty głos wzbił się w niczym niezmaconej ciszy, z akompaniamentem srebrnych skrzypiec niewidomego.

Melodia i ułożone do niej słowa świadczyły o artystycznym kunszcie.

Nastąpiły inne utwory w wykonaniu albo muzyka, albo młodej kobiety, albo w duecie.

– Ręczę, że odniosą sukces w Blois! – zawołał mincerz. – Na pewno się spodobają.

– Mój wzrok będzie wzrokiem Hageniera i zamówię dla siebie maskę, którą będę nosić na zamku – rzuciła Gresja. – W tym zawodzie lepiej pokazywać się w jak najkorzystniejszym świetle. Trzeba zdobywać sympatię, a nie budzić litość.

A że w tonie panny młodej wyzwanie splatało się z rozbawieniem, świeżo upieczony małżonek objął ją ramieniem i przytulił.

Wysoki, chudy, niezbyt przystojny, lecz o rysach tchnących pogodą ducha i życzliwością, które je uszlachetniały, Hagenier łączył w sobie wesołość i łagodność, dość często spotykaną u tych, którzy nie są w stanie oglądać ludzkich działań.

I ten pocieszający widok pozostał tego wieczoru w pamięci Isambory po wyjeździe do Blois nowożeńców, Garina, Albrei i Perryny.

Pomimo dąsów podwasala, który nie chciał poznać swej drugiej wnuczki, jego żona postanowiła dołączyć do podróżnych. Pragnęła przekonać się na własne oczy, czy Awelina doszła do siebie, a także ucałować Muriel.

Taka szybka rozłąka, której matka Gresji wcale nie przewidywała, trochę ją zmartwiła, ale pocieszała się, powtarzając sobie, że młoda kobieta będzie bardziej na swoim miejscu na dworze hrabiny Adeli niż we Fréteval. Przed parą muzyków zdawała się rysować obiecująca przyszłość, dziecko było ocalone... To zaimprovizowane

małżeństwo być może okaże się lepsze od długo przygotowywanych związków... Ponadto ona sama zajmie się teraz Bernoldem i będzie go miała wyłącznie dla siebie...

– Na mą głowę, mój syn i twoja córka chyba się świetnie rozumieją! – stwierdziła Amalberga z zadowoloną miną, gdy już ucichł tętent końskich kopyt. – Kto by pomyślał w czasach ich dzieciństwa, że się kiedyś pobiorą? Życie zawsze sprawia niespodzianki!

– A mnie najbardziej dziwi – zauważyła Isambora, zamykając bramę – że spotkanie tych dwojga nieszczęśników zaowocowało czymś w rodzaju czułego i trwałego porozumienia. Masz rację, Amalbergo, żywot człowieczy jest nieprzewidywalny. Jedyne Bóg wie, czego nam potrzeba. My, nędzne istoty, przeważnie błądzimy.

Półtora miesiąca później, gdy Perryna wróciła z Blois, gdzie zostawiła Awelinę w dobrym zdrowiu, a rodzinę powiększoną o Muriel, stało się oczywiste, że położna się nie pomyliła.

Wiadomości o młodej parze były pomyślne.

Życzliwie przyjęci na dworze hrabiny, a także przez samą Adelę, Gresja i Hagenier zaczęli już zdobywać sławę. Mieszkali w domostwie mincerza, tam gdzie znalazła schronienie Isambora razem z dziećmi podczas przymusowego wygnania. Albrea traktowała ich ze wszystkimi względami.

– Zdaje się, że między Hagenierem a naszą córką wszystko się dobrze układa? – zapytał Bernold.

– Na Najświętszą Pannę, która niewiasta nie byłaby szczęśliwa, mając takiego męża! – wykrzyknęła Perryna. – Skacze koło niej i jakby bez przerwy dziękował niebiosom, że obdarzyły go taką małżonką!

– Czego chcieć więcej? – zawyrokował Bernold, obracając się ku Isamborze. – Nasza córka niewątpliwie lepiej trafiła niż wiele innych. Tym samym otrzymaliśmy wielką łaskę. W obecnej sytuacji to dla nas ogromna pociecha.

Koniec jesieni był brzydki. Po suszy nastąpiły ulewne deszcze. Przez parę tygodni nieustannie padało. Loir wystąpił z brzegów. Jego wody podmyły nowe, ledwo wybudowane miasteczka, rozlały się po polach, winnicach, łąkach w dolinie.

W wielu domach we Fréteval i Francheville zostały zalane spiżarnie i piwnice. Plamy pleśni pojawiły się na białych ścianach, które często groziły zawaleniem. Niepokój mieszkańców rósł wraz z przyborem wód, które wypełniały fosy u podnóża obwarowań z drewnianych pali. Rusztowania się waliły.

Z Grand Feu rozciągał się niezwykajny pejzaż. Znajomy widok zakola rzeki, upraw i sąsiednich pastwisk całkiem się zmienił. Utworzyło się coś w rodzaju jeziora, z którego wystawały jedynie najwyższe drzewa, chatki wzniesione przez winogrodników na krańcach ich posiadłości i dzwonnica Świętego Leobina. Został podtopiony przykościelny cmentarz, co zmusiło proboszcza do chowania parafian na Polu Trumiennym, poza zasięgiem wody.

Chłopi pańszczyźniani i czynszownicy mieszkający na terenach zalewowych musieli się chronić na dachach swych chałup, zanim przypląnęły po nich łodzie.

Położone na wzniesieniu Morville górowało jeszcze nad płynną taflą, ale widniały już tylko budynki. Warzywnik, sad, winnice zniknęły. Napełniało to rozpaczą podwasalą, pocieszającego się jedynie tym, że winne krzewy jego konkurentów są tak samo

podtopione.

Usytuowana w połowie zbocza wytwórnia szkła nie była bezpośrednio zagrożona, ale łąka i konopisko leżały pod kilkuszczynową warstwą wody. Jedynie dach pralni zdawał się dryfować z prądem.

Nad zalanymi gruntami unosił się błotno-bagienny odór.

Drażnił delikatny zmysł powonienia Isambory. Do zmartwień spowodowanych skutkami powodzi dołączały się mdlące wyziewy.

Ołowiane listopadowe niebo odbijało się smętnie w rozległej, pofalowanej przestrzeni.

Jak okiem sięgnąć, skrzyły się metaliczne iskierki.

Przy najmniejszym podmuchu wiatru na krótkich, szarych falach pojawiały się strzępki piany.

Pod szeleszczącymi kroplami deszczu na powierzchni niezdrowej laguny, w jaką zamieniła się dolina, tworzyło się mnóstwo zielonkawych pęcherzy.

Tu i ówdzie zwłoki krów, owiec, kur, kóz dryfowały lub zaczepiały się o splątane gałęzie, o płynące pnie, nad którymi przeciągały stada kruków i innych drapieżnych ptaków.

– Grozi nam głód – przepowiedział pewnego wieczoru zafrasowany Bernold. – Może nawet, jeśli diabeł pomiesza nam szyki, będziemy zmuszeni walczyć o te truchła z padlinożercami!

– Mamy jeszcze jakieś zapasy, mój drogi! – zaproponowała Isambora. – Wytrzymamy dość długo. Kiedyś w końcu deszcz przestanie padać.

Uważała, że mąż znacznie częściej niż poprzednio widzi wszystko w czarnych barwach, toteż starała się, pomimo własnych obaw, przedstawiać wydarzenia w lepszym świetle.

– Wielu ubogim ludziom zaczyna już brakować żywności – ciągnął mistrz szklarski, nie dając się zbić z tropu. – Po tegorocznym suchym lecie, a teraz rzęsiстых ulewach wielu nie ma już co do garnka włożyć. Co się z nimi stanie, jeśli nadejdzie sroga zima?

– Ci, co mają trochę więcej, podzielą się z najbardziej potrzebującymi. Czyż nie jest to nasz obowiązek? Zniosłam już do nowych wiosek parę koszyków wędzonych ryb, a także parę worków bobu i soczewicy. Na rozkaz barona Salomona mój stryj zaopatruje Fréteval w wino. Gildas dostarcza mąkę.

– Ta powódź nie powinna trwać zbyt długo – powtarzał Bernold. – Widmo niedostatku to jedna z najgorszych rzeczy, jakie mogą się zdarzyć... Poprzednią plagę głodu mamy jeszcze świeżo w pamięci!

Znajdowali się oboje w warsztacie szklarza, którego Isambora odwiedzała coraz częściej.

W tym momencie wszedł Remigiusz, niosąc na żelaznej płycie parę form z trzpieniem, w które wlał stopiony przedtem ołów.

Nie przerywając opracowania szkła, nad czym się właśnie mozolił, Bernold pokazał gestem uczniowi, gdzie ma postawić swój ładunek, i krótko mu podziękował.

Pracownię wypełnił gryzący zapach rozgrzanego metalu.

O tej porze roku, chociaż było bardziej wilgotno niż zimno, ciepło pobliskich pieców wydawało się dobroczynne. Otwierano drzwi łączące jeden warsztat z drugim.

Bernold wziął do ręki ołowianą listewkę, rozciągnął ją, przyciął tak, by pasowała do kawałka barwnego i pomalowanego szkła do oprawienia, nadał jej pożądaną kształt, zamontował.

Isambora zawsze z niesłabnącym zainteresowaniem śledziła poszczególne czynności, które szklarz wykonywał ze zręcznością i wprawą charakterystyczną dla mistrza.

Pochylony nad stołem, na którym leżały elementy panelu do ułożenia, Bernold z reguły zaczynał od środka, a później posuwał się ku obrzeżom. Wcisnął wybrany fragment w szczelinę ołowianej listewki, której skrzydełka zaginał na szkło. Całą kompozycję zespalał kilkoma dużymi gwoździami kowalskimi, których kwadratowe główki miały podwójną zaletę: łatwo było nimi manipulować i nie niszczyły delikatnych spoin. Następnie układał inne elementy, jeden po drugim, i montował je dopóty, dopóki panel nie został ukończony.

– Czy wiesz, że wielokrotnie wracałam do kościoła we Francheville, aby podziwiać witraż, na którym przedstawiłeś mnie pod postacią Marii Magdaleny? – zapytała z uśmiechem Isambora, chcąc zmienić temat. – Oglądam go zawsze z taką samą przyjemnością... i takim samym zażenowaniem... Którejś nocy, gdy mieszkałam w Blois, nawet mi się przyśnił!

Mówiła jednym tchem, bez zastanowienia.

Nagle zapomniany sen przyszedł jej na pamięć. Zadrzała.

Co też oznajmiła drobna kobieta w czerni, wkładając jej na palec pierścioneł z oczkiem w kształcie liścia koniczyny, w którym były tylko dwa rubiny zamiast trzech?

Jakieś zagadkowe słowa: „Są tylko dwa. Nigdy nie będzie trzeciego! Nie zapomnij o tym!...”.

Doskonale sobie przypominała, że na próżno zastanawiała się, co oznaczają te dwa czerwone kamienie, które pozostały. A liczba? Dlaczego dwa? Dwa tuziny lat? Dwa lata?

Otrząsnęła się.

– Muszę wracać, żeby zobaczyć, co robią Doetta i Ogier – rzekła pospiesznie. – Później znów przyjdę.

Jakby diabeł deptał jej po piętach, wybiegła, opuszczając Bernolda, który czyścił i nacierał łożem złącza. Potem zamierzał je zlutować...

W następnych dniach deszcz ustał. Wreszcie powoli, z początkiem id grudniowych, Loir wrócił do swego koryta.

Wezbrany żywioł zostawił po sobie grzęzawisko, zmarnowane winnice, sady i ogrody tonące w mule, zarzucone jakimiś nieforemnymi szczątkami, zdziesiątkowane bydło, domy o poczerńiałych murach i często już walące się w gruzy.

– Musimy, nie zwlekając, pojechać nad rzekę po piasek – oznajmił wkrótce potem Aljom ojcu. – Wyczerpaliśmy zapasy podczas powodzi, a teraz brakuje go do wyrobu szkła.

– Więc jedź, synu, z Remigiuszem, skoro to konieczne – zgodził się mistrz szklarski. – Jednak uważajcie na błoto, które miejscami na pewno jest głębokie. Wóz



może ugrzęznąć. Na Boga! Raz mi się to przytrafiło i wierz mi: to nic przyjemnego!

Wbrew obawom Bernolda pojazd nie ugrzązł, lecz zdarzył się wypadek.

W drodze powrotnej, późnym rankiem, gdy zmierzając do Grand Feu, wóz jechał pod górę, wyładowany zamulonym piaskiem, który później należało długo płukać, zanim się go wysuszy, pękła oś w jednym z kół.

Zapadając się w głębokich, błotnistych koleinach, rozchybotany pojazd niebezpiecznie się przechylał.

Aljom, który szedł pieszo od tej strony, chciał go podeprzeć, zapobiec wywrotce. Wyginając plecy w łuk, usiłował przytrzymać ładunek, aby się nie osunął. Przeliczył się, zapominając, ile waży piasek i w jakim stanie jest teren. Pośliznął się i upadł. Przywalila go część ładunku i drabina z drewna jesionowego.

Remigiusz szedł przodem i prowadził za uzdę muła. Czepiwszy się uprzęży, zdołał przytrzymać zwierzę, którego wóz nie pociągnął do tyłu. Uchronił je przed upadkiem, tymczasem pękł jeden z dyszli.

Zaalarmowani krzykiem, przybiegli Piotruś, który był w warzywniku, i Bernarda, która oporządzała krowy.

We troje podnieśli wywrócony wóz.

Oblepiony czarniawym piaskiem Aljom leżał nieprzytomny na ziemi.

– Boże Wszechmogący! On nie żyje! – wrzasnęła Bernarda, myśląc o okropnym końcu swego męża murarza, który zginął przywalony kamieniami.

Wybałuszając oczy, padła na kolana i przeżegnała się kilka razy z rzędu.

Remigiusz się rozplakał.

– Ale patrzcie, oddycha! – stwierdził Piotruś, jedyny, który zachował zimną krew.  
– Trzeba go zanieść do domu.

Skoro tylko ogrodnik spróbował podnieść rannego, ten, pod wpływem bólu odzyskawszy przytomność, zaczął krzyczeć.

– Moja noga! Moja noga!

– Słowo daję, chyba coś sobie złamałeś – podjął Piotruś. – Nie ruszaj się, pójdę po drabinę. Położymy cię na niej.

W sali Isambora ze służącymi wyczesawała konopie. Kiedy usłyszała hałas u dołu kamiennych schodów, zdziwiła się.

– Idź i zobacz, co się dzieje – rzekła do Sancji.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece! – wykrzyknęła dziewczyna, otwierając drzwi. – To twego syna, pani, niosą na drabinie Piotrusia.

Zrobił się wielki rwetes.

Powiadomiony przez Remigiusza, który pojechał do niego konno, aby zyskać na czasie, Roland przybył niezwłocznie ze skórzanym kuferkiem, w którym przechowywał leki.

Obmacawszy pokaleczone ciało siostrzeńca, oświadczył, że jakimś cudem Aljom ma jedynie złamaną nogę i kilka wgniecionych żeber.

– Musisz, siostrze, ofiarować wielką świecę świętemu Leobinowi – rzekł do Isambory, pochylonej nad zaimprovizowanym płóciennym posłaniem, na którym ułożono młodego człowieka. – Twój syn nie jest ciężko ranny. Mógł mieć zmiążdżone

biodra albo coś jeszcze gorszego!

– Jak to dobrze, że zostałeś mnichem, bracie! – zapewniła go Isambora. – Poza murami klasztoru nasze życie to jedno pasmo udręczeń i strat!

– Lecz mimo wszystko są dobre chwile w egzystencji ludzi świeckich, przynajmniej sądząc po tym, co mogłem stwierdzić i usłyszeć w czasie mej posługi – sprostował żartobliwie mnich, jakby jego pogodnego spokoju nic nie mogło zakłócić. – Czy ty sama nie tak dawno nie byłaś szczęśliwa z powodu ślubu Gresji?

– Po jakich niepokojach i zmaganiach!

– Oczywiście! Jesteśmy na tym padole, droga siostrzo, na ziemi Wielkiego Ucisku<sup>[22]</sup>, jak mówi święty Jan w Apokalipsie. Tu gdzie powinniśmy opłukać swe szaty, to znaczy swe ciało, w krwi Baranka! Nic nie jest dla nas proste, ma się rozumieć. Żywot w wiecznej szczęśliwości jest nam pisany, ale później, znacznie później... trzeba uzbroić się w cierpliwość.

Nie przestając mówić, przemywał winem rany Aljoma, namaszczał je oliwą, bandażował pierś, układał po obu stronach złamanej nogi wąskie deszczułki pełniące funkcję szyn, po czym zamocowywał je, owijając bandażami.

– À propos cierpliwości, miły siostrzeńcze – ciągnął tonem łagodnej ironii – à propos cierpliwości, będzie ci jej potrzeba niemało. Jesteś żwawy jak bąk, mimo to muszę ci zalecić leżenie bez ruchu i całkowity spokój przynajmniej przez miesiąc.

– Co ja będę robił przez cały miesiąc? – oburzył się Aljom. – Czy nie mógłbym chodzić o kulach do warsztatu?

– Ryzykując, że później będziesz miał koślawą nogę, krzywą jak plecy świętej pamięci wuja Firmina? (Świeć, Panie, nad jego duszą!).

Roland potrząsnął swą dużą kędzierzawą głową.

– Przede wszystkim kości powinny się zrosnąć. Kiedy się wzmocnią, będziesz mógł używać kul. Nie wcześniej – dokończył stanowczo.

– Na Boga, przesładuje mnie pech! – zawołał ranny, którego umysł trawiła gorączka. – A więc nic mi nie będzie oszczędzone!

– Wypij ten kubek wina z wiązówki błotnej. Obniża temperaturę i działa kojąco – podjął Roland, nie dając się zbić z tropu. – Trochę później matka przygotowuje napar z bazylii, który pomoże ci zasnąć. A potem się zastanowimy.

Uspokojona Isambora pozwoliła sobie na porozumiewawczy uśmiech.

– Być może znam kogoś, z kim spędzisz czas znacznie przyjemniej, niż ci się wydaje, synu – rzekła. – Już moja w tym głowa.

Odprowadziła Rolanda aż do bramy, opowiadając mu o czymś z ożywieniem. Gdy wolnym truchtem odjechał na mulicy, udała się do Bernolda, aby powiadomić go o skutkach wypadku.

Po obiedzie na schodkach prowadzących do sali rozległ się szybki tupot. Drzwi się otworzyły. Weszła Juliana.

– Bóg z tobą! – rzuciła wesoło, podchodząc do Aljoma.

Wyciągnięty przy kominku, na wąskim płóciennym posłaniu, używanym przeważnie przez jego matkę w połogu, młodzieniec wpatrywał się z goryczą w rude płomienie, w których skwierczały duże sękate polana.

Gorączka zaćmiewała jego umysł. Na nowo przybyłej spoczął jego błyszczący i zarazem nieco przymglony wzrok.

Po drugiej stronie okrągłego paleniska jednocześnie podnieśli główki Filipa i Albin, którzy grali w kości. Dziewczynka położyła palec na ustach. Brat zamilkł.

– Ach, to ty! – zawołał Aljom. – Ty! Nie do wiary!

– Czemu nie? – spytała z uśmiechem Juliana. – Czyż nie jesteśmy dobrymi przyjaciółmi?

Zdjęła płaszcz, potem gruby welon, który spowijał jej głowę pod nasuniętym kapturem.

Robiło się coraz chłodniej. Porywisty północny wiatr przeciskał się pod drzwiami, poświstywał w kominku.

– Twoja matka dała mi znać, że miałeś wypadek, więc przyszedłam – wyjaśniła.

Po ostrym powietrzu na dworze ciepło w sali zaróżowiło jej policzki, podkreślając jej zdrowy wygląd i wigor, jakim promieniowała.

Świeża cera, ciemne, żywe oczy, duże i podłużne jak u koni, mocne, śnieżnobiałe zęby upodabniały Julianę do pięknej, soczystej rośliny albo do dumnego dzikiego zwierzęcia, które udało się oswoić.

– Moja matka miała słuszość, nie będę wcale nudził się tak bardzo, jak przypuszczałem – szepnął Aljom.

– Mam nadzieję! Po to tu jestem, żeby ci pomóc jakoś przetrwać te dni, zanim wyzdrowiejesz. Będę przychodzić tak często, jak mi się uda... Jeśli mój ojciec nie będzie się za bardzo sprzeciwiał...

– Już ja go przekonam! – oświadczyła Isambora, która wychodziła z sypialni, gdzie odpoczywała po obiedzie. – Chociaż Gildas jest uparty jak osioł, mam nadzieję, że go ugadam, i pozwoli ci przychodzić tutaj, kiedy tylko będziesz miała ochotę!

– Gdybym miał się założyć o to, kto jest bardziej uparty z was dwojga – zapewnił Aljom – postawiłbym na ciebie, matko. Na mego świętego patrona, byłbym pewny wygranej!

– Oby Bóg cię wysłuchał, synu! W każdym razie spróbuję.

Wbrew temu, co myślała, nie było jej zbyt trudno przekonać młynarza. Zmartwiony stanem starego ojca, Benedykta Wielojada, który spuchł jak bania, i coraz wyraźniejszym widmem głodu, Gildas poprzestał na wzruszeniu ramion, twierdząc, że niewiasty nie mają piątej klepki, a jego córka zachowuje się jak głupia gęś. Mimo to nie zabronił jej odwiedzać chorego.

Minął adwent, potem Boże Narodzenie i święto Trzech Króli.

Ludzie, przygnębieni niedostatkiem żywności, świętowali narodziny Mesjasza przy skromniej niż zwykle zastawionym stole. Wprawdzie żołądki mieli mniej pełne, okazywali jednak tym większą żarliwość.

Aljom zaczynał już chodzić o kulach. Niedługo ich potrzebował. Częste wizyty Juliany miały chyba coś wspólnego z jego szybkim powrotem do zdrowia.

Wkrótce po Epifanii nastały jeszcze większe chłody.

Przez dwa kolejne dni padał śnieg, potem, następnej nocy, nagle chwycił mróz.

Leżąc w łóżku, Isambora i Bernold usłyszeli dolatujące z sadu trzaski, głucho

odgłosy jakby pęknięcia.

– Do wszystkich diabłów, co się dzieje? – zapytał mistrz szklarski. – Skąd ten hałas?

Isambora wstała, otworzyła okno.

W bladym świetle księżycy zlodowaciała, niepokojąco roziskrzona warstewka pokrywała świeży śnieg. Panowała cisza. Wszystko przyoblekło się w biel i lśniło w przejmującym zimnie. Jedynie udręczone drzewa skarżyły się od czasu do czasu, przerywając głębokie milczenie przyrody nagłymi eksplozjami.

Z niewidocznego ogrodu dolatywały dźwięki, które nieomylnie wskazywały na jedno. Trzaskały ścięte mrozem gałęzie, pękała kora, pnie rozpadały się na dwoje.

– Mój Boże! – wyszeptała Isambora drżącym głosem. – Mój Boże! Nigdy nie słyszałam czegoś tak przeraźliwego.

Zamknęła okno i szcękając zębami pomimo futrzanego płaszcza, którym była opatulona, wróciła do łóżka.

Pod kołdrami podbitymi baranim futrem nadal utrzymywało się miłe ciepło. Blisko Bernolda było jeszcze przyjemniej.

Isambora przytuliła się do męża, pogłaskała go po piersi szeroko otwartą dłonią, leciutko pociągając nosem i wdychając woń ich splecionych ciał.

Wziął ją w ramiona.

– No i nadeszły chłody, których każdy się tak obawiał – stwierdził. – Oby tylko lipa przetrwała. Ona jest królową dziedzińca!

Nazajutrz, gdy małżonkowie się obudzili, panowała tak niezmacona, tak kompletna cisza, że aż napawała lękiem.

– Rozejrzyjmy się – rzekł Bernold.

Jak co rano Isambora pomogła mężowi wstać, włożyła mu trzewiki i podała ramię, aby łatwiej mu było się wyprostować.

Okaleczony szklarz chodził sztywnym, nierównym, niezdarnym krokiem, co zawsze sprawiało przykrość jego żonie. Nie mogła się do tego przyzwyczaić, wciąż czekała na cud i czuła, że gardło jej się ścisza, gdy potężne, ułomne ciało opierało się o nią całym ciężarem, zanim wykonało jakikolwiek ruch...

W łóżu lub przy stole roboczym Bernold nadal był krzepkim mężczyzną, jakiego do tej pory w nim widziała. Gdy tylko musiał się przemieścić, wszystko waliło się w gruzy. Pozostawał biednym kaleką. Trudno było się z tym pogodzić...

Mozolnie dotarłszy do okna, otworzyli je i oniemieli ze zdumienia.

Nagły spadek temperatury zaskoczył lipę i zamurował ją żywcem w lodowym pancerzu. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki kryształowe drzewo zastąpiło to prawdziwe, które dawniej istniało.

Przywalony ciężarem lśniącej niczym szkło pokrywy, jeden z najgrubszych konarów się złamał, oderwał od pnia, żłobiąc w nim bruzdy, po czym spadł na drewnianą ławę, która roztrzaskała się na kawałki. Teraz leżał w śniegu, u stóp poranionego olbrzyma wznoszącego do nieba mściwe, fantomatyczne ramię, poharatany, ogołoceny, zmarznięty wierzchołek, którego jasne, poszarpane włókna zwisały wśród strzępów kory.

Bernold zamknął okno.

– Teraz ono jest do mnie podobne! – powiedział ponuro. – Z amputowanymi członkami, powalone... Myślę, że to niedobry znak!

– To tylko drzewo – zauważyła Isambora. – Albo odżyje i na wiosnę przyszłego roku wypuści świeże gałązki, albo posadzimy nowe.

– Nigdy już nie będzie takie samo! – podjął Bernold, z żalem potrząsając głową. – Nigdy!

– Proszę, najdroższy, nie przywiązuj takiej wagi do tego drobnego nieszczęścia – rzekła Isambora. – Są poważniejsze rzeczy.

Właśnie opatulą się pelisą podbitą najgrubszym futrem.

– Muszę pójść zobaczyć, jak wygląda sad – wyjaśniła. – Poczekaj na mnie. Niedługo wrócę.

Wyszła.

Na zewnątrz dech jej zapało zarówno pod wpływem mroźnego powietrza, jak i pięknej scenerii.

Miała wrażenie, że znajduje się już nie na dziedzińcu, w swoim zwykłym otoczeniu, lecz w królestwie zimy.

Wszystko zastygło, białe od szronu, lodowato lśniące, pograżone w ciszy.

Isambora spostrzegła gila, samotnego i zziębniętego w tym skamieniałym świecie, podskakującego pod murem stajni. Poza tym skromnym stworzonkiem – żywego ducha. Żadnego hałasu. Żadnego zapachu.

Podmuch północnego wichru wymiół najlżejszą nawet woń.

Z dachów, bram, z każdego okapu zwisały sople. Niczym przezroczyste miecze błyszczały w pierwszych promieniach słońca.

Na pergaminie w oknach, na drewnianych drzwiach pojawiły się kwiaty ze szronu o dziwacznych kształtach: zagmatwane, a zarazem precyzyjne esy-floresy.

Isambora odczuwała fizycznie, we własnych członkach, ciężar stwardniałego śniegu, który osiadł na dachach jej domostwa. Zauważyła, że ściany usytuowane od północnej strony są pokryte warstwą lodu: migoczące drobinki nadawały im wygląd bezbarwnych witraży.

Odeszła od połamanej lipy, starając się nie pośliznąć na zmarzniętej ziemi, skrzypiącej pod jej nogami, i skierowała się do ogrodu. Do wyłożonych futrem sztylpów miała przytroczone drewniane łyżwy, toteż poruszała się bez większego trudu.

Kiedy obeszła mur, za którym ciągnęła się równina, sad, łąka, ogarnął ją zachwyty.

Ścięta mrozem, stężała jakby w uniwersalnym pokłonie, cała natura ugiwała się, schylała pod jarzmem zimy. Przezroczyste, obszerne mufki okrywały każdą łodygę, najmniejsze źdźbło trawy, najcieńszą gałązkę, pędy winorośli, ostatnie zeschnięte liście.

Niby lśniący zbroja, ta zdradliwa otoczka utrzymywała roślinność w pozycji pochylonej, usztywnionej, a nawet tu i ówdzie rozpląszczała ją lub przygniatała do ziemi.

Kruchość tego diamentowego świata wyrażała się w dźwiękach tłuczonego szkła, jakie wydawały gałązki, uderzając o siebie przy najlżejszym podmuchu wiatru nadlatującego z oddali.

„Panie Boże Wszechmogący – wyszeptła Isambora – wspaniałość tego lodowego płaszcza daje przedsmak raj! Dzięki Ci składam, choćbyśmy mieli później zapłacić za to

słoną cenę!”.

Oszronione drzewa błyszcząły w młodym świetle wschodzącego słońca, jakby wycięte z jakiejś nierealnej materii. Niektóre gałązki ociekały długimi, jasnymi łzami, inne nadal sterczały ku niebu, połyskujące, migoczące, mieniające się różnymi barwami. Gdy tylko padł na nie świetlisty promień, jarzyły się tysiącem blasków.

Biała, lśniąca, sztywna trawa stroszyła żdźbła pogrubione lodową otuliną, a także swoje krótkie, szorstkie, mleczne runo.

Cała ta krystaliczna symfonia na tle błękitnego nieba: czarnych, opancerzonych szronem pni, wierzchołków pod śnieżnymi czapami, przygiętych niekiedy aż do ziemi, zachwycała, przykuwała wzrok, pochłaniała umysł, odrywała go od szkód wyrządzonych przez to majestatyczne zjawisko.

Połamane pod ciężarem śniegu gałęzie; rozłupane, pozbawione koron, powalone drzewa; wyrwane z korzeniami krzaki zaścięły teren, którego ich rany czy też agonia nie plamiły na czerwono, lecz który okrywał już sztywny bielusieńki całun.

Rozsiane wśród tego zabójczego przepychu zamrożone kałuże otwierały swoje szklane oczy i jakby rzucały przygaszone spojrzenia.

– Och, mammo! – usłyszała za sobą Isambora szept Filipy. – Jakie to piękne, ale jakie straszne!

Dobrze opatulona grubym wełnianym paltem dziewczynka, której wąska buzia niemal ginęła w fałdach za dużego na nią ubrania, przypatrywała się z lęklwym zachwytem spektaklowi bezlitośnie przyozdobionej natury, która się przed nią rozpościerała.

– Masz rację, skarbie – westchnęła Isambora. – To piękno pewnie przyniesie nam zgubę... Ale nigdy w życiu nie miałam okazji oglądać czegoś równie bajecznego!

Filipę nie darmo ogarnęło przerażenie. Następne miesiące były koszmarne.

Tego roku nastąpiło takie zimno, że nawet najstarsi mieszkańcy nie pamiętali podobnego... Loir zamarzł. Konwoje wozów wyładowanych drewnem lub kamieniami przekraczały go bez przeszkód, bo lód był taki gruby.

Gdy już zostały zjedzone wszystkie szczury i myszy polne, tu i ówdzie zabijano konie, by przeżyć.

Oszalałe z głodu wilki atakowały ludzi, grasowały w nieufortyfikowanych wioskach, pustoszyły odcięte od świata włości.

Nieraz trzeba było urządzać obławy, z których myśliwi wracali wyczerpani, ciągnąc za sobą na saniach z gałęzi, powiązanych powrozami, piętrzące się jedne na drugich zakrwawione zwłoki swych wrogów.

Na zewnątrz palisad Grand Feu wykopano głębokie rowy, które pokryto chrustem. Wpadało do nich wiele drapieżników i nocą słyszało się ich wycie.

W lutym przysła odwilż. Znów taplano się w błocie.

Zanim wreszcie pojawiły się pierwsze oznaki wiosny, wielu biedaków zmarło z głodu lub wycieńczenia.

Mimo akcji pomocowych, często utrudnionych przez kaprysy pogody, i wzajemnego wsparcia, które nigdy nie zawodziło, ci, co przetrwali zimę, byli wychudzeni i osłabieni.

Isambora cieszyła się, że Gresja wyjechała do Blois. W jej stanie znacznie korzystniej było przebywać w pobliżu hrabiny, której miasto, zaopatrywane w pierwszej kolejności, mniej ucierpiało niż wieś. Pod dachem zamożnego męża Albrei przyszła matka z pewnością nie narzekała na niedostatek.

Stary Benedykt Wielojad, który miał nienasycony apetyt, nie zniósł tak długiego okresu wyrzeczeń. Pomimo młynarskiego fachu, który zapewniał mu lepszy wikt, niż miał niejeden gospodarz, należał do tych, których w ciężkie zimowe miesiące skosiła śmierć.

Gildas znów obchodził żałobę i pod pretekstem grożącej mu samotności odkładał na później ślub, którego perspektywa budziła w nim zbyt wielki żal.

Życie znów potoczyło się zwykłym trybem, aczkolwiek nieco ospale.

Opat Marmoutier wysłał ziarno, aby obsiać pola, na których zbiory zepsuły się lub zmarniały. W zdewastowanych winnicach zasadzono nowe krzewy. Odbudowano zawalone domy. Umacniano te, które się chwiały. Odnowiono pogłowie bydła. W nowych miastach znów ruszyły prace budowlane.

Lipa w Grand Feu, której pęknięty pień posmarowano smołą, a gałęzie przycięto, pokryła się świeżymi listkami. Nie maskowały one jednak całkowicie jej nędznego wyglądu.

Trzeba było się przyzwyczaić do jej nowych kształtów, mniej obfitych, mniej harmonijnych niż przedtem, ale świadczących o wigorze.

– Stanowczo ludzkiemu uporowi dorównuje jedynie, niech mi Bóg wybaczy, żywotność przyrody – rzekł Bernold do Isambory pewnego kwietniowego ranka, kontemplując rozmarzonym wzrokiem młode, delikatne, puchate listowie potężnego drzewa, które okalała nowa drewniana ława. – Niczym się nie zrażamy, ani ona, ani my!

– Zawsze podziwiałam, mój drogi, cudowną witalność wszelkiego stworzenia, jego wytrwałość – odparła Isambora. – Często służyły mi za przykład.

Podobnie jak wszyscy mieszkańcy Grand Feu i Morville, jak każdy w dolinie, mistrz szklarski i jego żona wyszli z zimowych zmagani wychudzeni, zmęczeni, osłabieni. Za to w ich sercach panował teraz spokój, którym się oboje rozkoszowali. Wspólne obawy, wspólna walka o przetrwanie dzieci i służby, powrót do intymności, której oboje tak samo potrzebowali, lecz także pomost, przerzucony w ciągu minionych miesięcy między osiemnastoma latami małżeńskiej komitywy a ich obecną egzystencją, cały ten splot okoliczności dodatkowo umocnił łączącą ich więź.

Pozbawiony zwodniczego spoiwa, jakie stanowi rutyna, ich związek okrzepł po przebytej ryzykownej drodze. Podczas tych trudnych peregrynacji uległ różnym przemianom. Stał się mniej pewny, mniej oczywisty. Lata rozpaczy uświadomiły obojgu, jak jest kruchy. Zachowali większą czujność wobec niebezpieczeństw życia, wdzięczność za najkrótszą nawet chwilę szczęścia.

Rodząca się tuż obok miłość między Julianą i Aljomem pomagała Isamborze i Bernoldowi uzmysłwić sobie za pośrednictwem dzieci ponadczasowość ich wspólnej historii.

„W naszych uczuciach jest niewątpliwie mniej namiętności niż na początku, mniej spokojnej pewności niż w późniejszym okresie – rozmyślała Isambora, przypominając sobie, jak jej syn i córka Gildasa wpatrują się w siebie, olśnieni – ale zyskały one teraz

pod wpływem cierpienia jakiś dodatkowy wymiar, jakby były odbiciem wieczności...”.

W maju Bernold zaczął się skarżyć na duszności i pieczenie w jelitach. Ponieważ mikstury Rolanda nie bardzo skutkowały, a zbliżał się termin porodu Gresji, Isambora zdołała namówić męża, aby pojechał razem z nią do Blois. Mógłby tam zasięgnąć rady osobistego medyka hrabiny, który leczył również mincerza. Dochodziłby do zdrowia przy kołysce oczekiwanego dziecka.

Pod nieobecność rodziców Aljom i jego narzeczona będą czuwać nad działalnością wytwórni szkła i zarządzać majątkiem. Będą się wszystkim zajmować, tak jakby byli już na swoim.

Powierzywszy dzieci opiece Margisty, a także Juliany, której codzienna obecność uspokajała Isamborę, chociaż nie bez obaw zostawiała malutkiego Ogiera, oboje wyruszyli w drogę.

Aby mistrza szklarskiego za bardzo nie wytrzęsło, w głębi wozu powożonego przez Piotrusia ułożono posłanie.

Chociaż tak niedawno na wsi srożyła się zima, teraz wszędzie rozwijały się kwiaty. W ogrodach, na łąkach, przy drogach, w zagajnikach lub na skraju lasu widać było jeszcze wywrócone, rozczłonkowane, połamane drzewa, ale większość z nich już ścięto, a polana ułożono w stos.

Jak zwykle w czasie głodu obfitość nie powróciła wraz z wiosną. Należało poczekać do lata, aż ziemia wyda plony: owoce, jarzyny, zboża powierzone ziemi. Jednakże drogi znów stały się przejezdne, toteż bogatsze, mniej dotknięte plagą regiony zaopatrywały inne w produkty niezbędne do przeżycia.

Spotykało się konwoje z żywnością, wysyłane przez zarządcę dworu Adeli z Blois lub przez opata Marmoutier. Wyruszywszy znad Loary, kierowały się ku brzegom Loiru.

– Zimno mi – niespodziewanie poskarżył się Bernold.

Siedząc koło niego w głębi wozu, Isambora podciągnęła mężowi pod brodę grubą wełnianą derkę, która chroniła go przed porannym chłodem.

– Nie jest za ciepło, mój drogi – westchnęła. – Już najwyższy czas, żeby słońce bardziej przygrzało. Ale cóż? Akurat w tym tygodniu wypadają zimni ogrodnicy!

– Wszelki duch! – nagle wykrzyknął Piotruś. – Coś mi się zdaje, że trafiliśmy na procesję. Nadchodzi z Marchenoir.

– To prawda – rzekła Isambora. – Mamy Dni Krzyżowe! Zaczęły się wczoraj.

Zazwyczaj uczestniczyła razem ze wszystkimi domownikami i wiernymi z parafii w wielkim obchodzie podlegających jej ziem.

W pierwszym dniu błogosławiono łąki z myślą o przyszłych sianokosach; w drugim – zaoraną rolę, licząc na dobre żniwa; w trzecim – winnice, z nadzieją na obfite winobranie.

Święto chrześcijańskie, lecz także pierwocin, plonów, zżętego zboża zwożonego do stodoły, Dni Krzyżowe stanowiły urozmaicenie monotonnych prac domowych. Kto żyw, podążał za księdzem przez pastwiska, ugory i winnice. Jak wszystkie dzieciaki z okolicy, również te z Grand Feu świetnie się podczas tych wędrówek bawiły.

Przez trzy dni ludzie chętnie skrzykiwali się na tę wspólną włóczęgę, podczas której zawiązywały się przyjaźnie. Maszerowano, modlono się, śpiewano i posilano z darów



w naturze składanych, przynajmniej w normalnych czasach, przez chłopów wzdłuż całej trasy.

– Patrzcie, to oni! – wskazał ręką Piotruś.

Podążając ścieżką wijącą się po równinie Beauce, długi procesyjny korowód właśnie docierał do skrzyżowania z drogą prowadzącą z Fréteval do Blois.

Po obu stronach ścieżki, w rzędach, każdy na miejscu, które mu zostało wyznaczone, mężczyźni, kobiety, chłopcy, panny, dzieci defilowali, odmawiając litanie, w ślad za młodym księdzem, którego poprzedzali ministranci.

Nagle orszak stanął przy długim zagonie.

Z koszyka, który trzymał ministrant, proboszcz zaczerpnął i z rozmachem rozrucił po polu garść poświęconych krzyżyków z białego wosku, mających zażegnać grad, burze, wszelkiego rodzaju zawieruchy.

– Spójrzcie! – podjął Piotruś, podniecony tym spotkaniem. – Spójrzcie! Pod krzyżem na rozstaju stoi przenośny ołtarz!

Oparty o stopnie kalwarii, ozdobiony girlandami, zielonymi liśćmi, bukietami kwiatów, rzeczywiście stał udrapowany białą tkaniną ołtarzyk, strzeżony przez paru młodych ludzi.

Procesja, która znów ruszyła, przecięła drogę przed unieruchomionym pojazdem, po czym skierowała się ku dużemu kamiennemu krucyfiksowi.

Gdy przechodził ksiądz, Isambora i Piotruś uklękli w wozie, on zaś ich pobłogosławił, a potem skierował się do ołtarzyka.

Bernold zamknął oczy. Poruszał wargami. Modlił się wraz ze wszystkimi, którzy się tam znajdowali i prosili Boga, aby następny rok był łżejszy niż poprzedni.

Pochyliwszy się przed ukwieconym ołtarzykiem, kapłan zaczerpnął święconej wody, którą podawał mu w naczyniu liturgicznym jeden z ministrantów, i nakreślił kropidłem szeroki znak krzyża w każdą z czterech stron świata.

Podchwycone przez ostry majowy wiatr błogosławieństwo uleciało ku zazielenionym, zwiastującym dobre zbiory polom, aby je użyźnić, a także zapewnić im opiekę niebios.

Thum wyśpiewywał pochwały dla Pana i wymieniał potrzeby jego stworzeń. Odziane na biało dziewczęta pełnymi garściami rozsypywały płatki dzikich róż, lewkonii, goździków czy barwinków, które wkrótce zasłały ziemię przed ołtarzem.

– Oby Bóg dał nam obfite plony i oby cię uzdrowił, moje serce – szepnęła Isambora mężowi do ucha.

Wóz znów ruszył.

W Blois roilo się od ludzi, którzy ściągnęli na wielkie święto Wniebowstąpienia, wypadające dwa dni później.

Niełatwo było utorować sobie drogę wśród ciżby.

U mincerza, gdzie Isambora usłyszała znajomy stukot młotków wybijających srebrne sztabki, podróżnych przyjęto z otwartymi ramionami.

Dwaj służący zanieśli Bernolda do komnaty, którą Albrea zarezerwowała dla przyjaciół.

Gresja, od razu zawiadomiona, zjawiła się, gdy już prawie ułożono jej ojca

w szerokim łożu, którego piękną, obszytą galonem kapę haftowała razem z panią domu.

Młoda kobieta nie zaokrągliła się tak jak za każdym razem jej matka w odmiennym stanie. Nikt by się nie domyślił, że coraz bliższy jest termin porodu.

– Tak naprawdę urodzę za kilka dni, po dziewięciomiesięcznej ciąży, dziecko, które będzie uchodzić za wcześniaka! – powiedziała rodzicom, uśmiechając się drwiąco na swój sposób.

– Na Najświętszą Pannę! Nigdy się nie zmienisz, córko! – zawołała Isambora.

Aby się jej lepiej przyjrzeć, cofnęła się nieco, odsuwając od siebie na odległość ramienia rozpromienioną Gresję, która nosiła, tak jak zapowiedziała, maskę z białej skóry, zasłaniającą połowę twarzy.

– Twój stan bardzo ci służy – stwierdziła matka z satysfakcją. – Wydajesz się szczęśliwa.

– Bo jestem – przyznała młoda kobieta, podchodząc do posłania, na którym leżał Bernold. – A przynajmniej byłabym, gdyby nie twoja choroba, ukochany ojcze!

Mistrz szklarski zrobił bolesny grymas.

– Wrażenie, że niechcący połknąłem trochę stopionego ołowiu, wcale nie jest przyjemne – poskarżył się. – Oby medyk hrabiny Adeli szybko wykrył przyczynę tej dolegliwości, żebym mógł się jej pozbyć!

– Dziś coś go zatrzymało w pałacu i będzie mógł zajrzeć do ciebie dopiero jutro rano – rzekła Gresja. – Ale ma dużą wiedzę i cieszy się uznaniem na dworze.

W tym momencie wszedł Hagenier. Chciał się przywitać z teściami.

Wydawało się, że nie jest już taki chudy. Był ubrany z większą starannością, a cała postać tchnęła spokojem i dostatkiem, którego nie potrafiły zakłócić nawet jego pozbawione spojrzenia źrenice.

Gdy nadszedł wieczór, po kolacji, wszyscy zgromadzili się w pokoju chorego. Bernold, cierpiący wciąż na silne bóle brzucha, wspomniął ponadto żonie, że zaczynają mu drętwieć ręce i nogi. Ani dzbanki gorącej wody, którymi go obstawiono, ani kojące napary, którymi Isambora poiła go za radą Rolanda, nie przynosiły mu ulgi.

Zrezygnowana, aby wreszcie zasnął i mógł trochę odpocząć, dała mu do wypicia wywar z nasion maku.

Nie spuszczać go z oczu, dołączyła do gości, którzy umościли się w kącie najbardziej oddalonym od łóżka, aby zbyt duży gwar nie przeszkadzał choremu.

Rozmawiano półgłosem o wydarzeniach owej zimy, o tym, co nowego zaszło od październikowego wesela.

– W sąsiednich dolinach panował głód – rzekł Garin Mincerz. – Nam, blejczykom, sprzyja los, bo mamy dwór hrabiowski, który wysysa ze wsi wszystko, co najlepsze. Korzystamy też z głównego portu rzecznej w okolicy. Ruch na Loarze jest źródłem bogactwa i zaopatrzenia dla każdego. Dzięki niemu nie brakowało nam podstawowych produktów, których niedostatek dawał się we znaki gdzie indziej.

– Krążą nawet słuchy – dodała Albrea ze smutkiem – że w szczególnie dotkniętych klęską miejscowościach ludzie musieli jeść trawę. Bóg mi świadkiem! Trzeba być straszliwie głodnym, by się do czegoś takiego posunąć!

– Nic nie wiem o trawie – oznajmiła Isambora – ale mogę was zapewnić, że chleb,

którym musimy się u nas zadowalać, jest wypiekany z pszennych i żytnich otrąb.

Garin pochylił zasepione czoło.

– Mówi się o nowej epidemii „świętego ognia”<sup>[23]</sup> – podjął – zwłaszcza w ubogich regionach, czyli tam, gdzie nie ma żyznej ziemi. Chłopi jedzą byle co, a potem wiją się z bólu jak robaki...

Nagle przerwał.

Gresja zadrżała.

– Czy nie stwierdzono jakichś przypadków w naszej okolicy? – zapytała.

– W istocie – przytaknęła Albrea. – Podobno po tamtej stronie Loary, w lazarecie Świętego Saturnina, jest tak dużo chorych, że leżą pokotem na korytarzach! Nawet tutaj, w szpitalu, w którym regularnie bywam, mamy paru nieszczęśników, których trawi „święty ogień”. Przykro na nich patrzeć. Powoli gniją wskutek zgorzeli, która przeżera ich wnętrzości. Ich kończyny robią się czarne jak węgiel. Jedyne sposoby, by ich uratować, to obciąć zgangrenowane nogi i ręce... Niektórzy wręcz się skręcają w konwulsjach.

– Na Najświętszą Maryję Dziewicę! Nie mówmy już o takich okropnościach. To niedobrze, gdy niewiasta tuż przed rozwiązaniem słyszy o makabrycznych rzeczach!

Hagenier, który siedział koło niej, położył dłoń, nawet za bardzo nie szukając po omacku, na kolanie swej małżonki.

– Raczej pomódlmy się do świętego Antoniego oddalającego chorobę, którą teraz wielu nazywa jego imieniem – rzekł pojednawczo. – Odkąd jego relikwie zostały przeniesione z Konstantynopola do Delfinatu, działają cuda. Słyszałem nawet, że szczególne nabożeństwo, wynikające z licznych uzdrowień, skłoniło mnichów od Świętego Antoniego z Viennois do utworzenia nowego zakonu. Nazwali się antonianami. Do swoich hospicjów przyjmują ludzi dotkniętych tą palącą epidemią. Zdarzało się, że chorzy, których stan wydawał się beznadziejny, odzyskiwali zdrowie. Całkowicie się wyleczyli. Dlatego otwiera się coraz więcej antoniańskich szpitali. Jest nawet jeden gdzieś pod Paryżem, jak twierdzą niektórzy.

Gresja zaciskała wargi, podobnie jak Isambora, gdy coś ją dręczyło.

– Jak dobrze, że tak mówisz – szepnęła do ucha Hagenierowi. – Moja matka chyba na razie nie kojarzy sobie tego, o czym przedtem rozmawialiśmy, z chorobą ojca. Oby Bóg, Pan nasz, sprawił, żeby miała rację. Ja tymczasem pomodlę się do świętego Antoniego...

Nazajutrz rano medyk hrabiny Adeli wydawał się zatroskany, gdy obejrzał urynek Bernolda, zmierzył mu puls, dokładnie obmacał obolały brzuch, a także trupio blade i odrętwiałe członki.

– Te objawy właściwie na nic nie wskazują – wyznał Albrei, która go odprowadzała, aby go wypytać z dala od przyjaciół. – Chory ma wprawdzie mocną konstytucję, ale niedostatek, jaki cierpiał tej zimy, po okaleczeniu, bardzo go osłabił. Niewykluczone, że jest dotknięty „ogniem świętego Antoniego”, który ostatnimi czasy znów czyni spustoszenia. Proszę na razie nikomu o tym nie mówić. Zaleciłem glistnik, aby pomógł mu wydaląć zastoje żółci przeżerającej jelita. Jeśli nic nie przyniesie mu ulgi, będziemy musieli się zastanowić.

Następnej nocy Bernolda chwyciły drgawki. Przerażona Isambora szeroko otworzyła oczy. Po tym ataku mistrz szklarski czuł się wykończony.

Znów wezwany medyk przepisał pacjentowi napar z bylicy i marzanki, a także kazał położyć mu na brzuchu żywcem przepołowionego gołębia, następnie natrzeć chorego olejkiem rumiankowym.

Awelina, która odwiedziła kuzynostwo już nazajutrz po ich przyjeździe, udzielała im rad i okazywała dużo czułości. Majol dołączył tak szybko, jak pozwoliła mu na to praca. Przyprawdzili ze sobą obie dziewczynki, które pokazały się tylko na chwilę w komnacie chorego, aby go nie męczyć.

– Muriel jest podobna do ciebie, droga siostró – stwierdziła Isambora z nieobecny wyrazem twarzy. – Każde z was ma swoją córeczkę.

Ale myślami błądziła gdzie indziej.

Z przygnębienia zdołał ją wyrwać dopiero poród Gresji, który nastąpił w dzień świętego Baudyliusza, szczęśliwym trafem, bo opiekował się on kobietami w położu. Pierwsze bóle chwyciły przyszłą matkę tuż po kolacji. Albrea kazała natychmiast zawiadomić położną, która doglądała Gresji od czasu, gdy zamieszkała w Blois.

Tak więc w otoczeniu Isambory, Aweliny, Albrei, akuszerki, jej pomocnicy, a także paru sąsiadek młoda kobieta wydała na świat krzepkiego chłopaka, ważącego siedem funtów. Dziecko pojawiło się na ziemskim padole wraz z pierwszym pianiem koguta i wszystko poszło gładko.

– Chociaż twój ojciec bardzo cierpi, będzie uszczęśliwiony – wyszemrała Isambora, całując położnicę w złane potem czoło. – Obdarzyłaś go pierwszym wnukiem!

– Za to mój pęknie z zazdrości! – stwierdziła Awelina, która wciąż czuła anse do podwasala. – Coś podobnego, chłopak! Za pierwszym razem!

– Jak chcesz go nazwać? – zapytała Albrea.

– Bernold – odparła spontanicznie Gresja i łzy napłynęły jej do oczu.

Każda z asystujących wiedziała, że w Normandii nadaje się noworodkowi imię dziadka dopiero po śmierci antenata. Nigdy za jego życia.

Isambora pochyliła się nad kołyską, w której akuszerka ułożyła malca.

– Będzie przystojny – oznajmiła z gorzką dumą. – Zasługuje na takie imię!

Po czym, wracając do Gresji, którą kobiety kończyły myć i nacierać wonnościami, rzekła:

– Przecież ci powiedziałam, kochana córeczko, że nie masz się czego obawiać – podjęła. – Przekazane tobie przez ojca, a potem przez ciebie twojemu synowi, piękno naszego rodu pozostało nietknięte. Twój niefortunny wypadek nic tu nie zmienił.

Wreszcie Hageniera wpuszczono do pokoju. Najpierw skierował swe kroki do łoża, wiedząc, że teraz leży w nim Gresja.

Poprowadziła go Albrea, wszędzie bowiem panował bałagan, jak zwykle po porodzie.

Dotarłszy do żony, poszukał jej ręki, znalazł ją, chwycił, ucałował z czcią.

– Następne będzie nasze – szepnął tak, aby nikt go nie usłyszał.

Potem głośno zapytał, jak przebiegały narodziny.

Następnej nocy Bernold znów dostał konwulsji. Jego ciało wiło się, jakby był

opętany, z zaciśniętych ust ciekła ślina, oczy stawały w ślup.

– Nie można go tak zostawić męczącego się jak potępieniec – powiedział nazajutrz rano Garin do Isambory, której ściągnięte rysy, przerażone oblicze wyraźnie świadczyły o strapieniu. – Trzeba coś zrobić. Skoro medycyna okazuje się bezsilna, można już tylko odwołać się do Boga i świętych Pańskich.

– Już o tym myślałam – odrzekła. – Wczoraj zasięgnęłam języka i powzięłam decyzję. Opactwo, w którym są przechowywane relikwie świętego Antoniego, znajduje się w krainie Viennois. To za daleko. Nie zdążymy tam pojechać... Ale antonianie wybudowali koło Paryża drugi szpital, do którego przeniesiono relikwiarz ze szczątkami ich świętego patrona. Już zdarzyło się tam parę cudownych uzdrowień. Musimy się tam udać!

W jej głosie zabrzmiała niezwykła stanowczość.

Teraz już, uświadomiwszy sobie powagę choroby, na którą cierpiał Bernold, czuła, że potrafi poruszyć niebo i ziemię, dokonać rzeczy niemożliwych, aby ocalić męża. Bała się go utracić bardziej niż czegokolwiek na świecie... Co się z nią stanie bez niego? Jak ma żyć, gdy go już nie będzie?

Garin polecił wyciągnąć lektykę, która do niego należała, po czym zaoferował ją przyjaciółom na czas podróży.

Pomimo pięknej pogody, zbliżały się bowiem Zielone Świątki, przyszykowano gruby siennik, poduszki, kołdry.

Do dyspozycji pielgrzymów oddelegowano uzbrojonych służących. Mieli konno eskortować lektykę zaprzężoną w dwie mocne siwe klacze.

Piotrusia, odesłanego wraz z wozem do Fréteval, zastąpił barczysty woźnica zdolny, podobnie jak on, bić się w razie potrzeby.

Braciszek benedyktyn, biegły w lecznictwie, miał towarzyszyć choremu, pielęgnować go i wspierać modlitwami.

Bernold, który w chwilach, gdy nie dręczył go zbyt silny ból, zachowywał jasność umysłu, trzeźwo oceniał sytuację i zanim opuścił domostwo mincerza, pragnął uporządkować swoje sprawy, a także oczyścić sumienie.

Najpierw sporządził testament, zapisując w spadku całe swoje mienie Isamborze i zobowiązując ją do podzielenia go, gdy uzna za stosowne, między ich dzieci. Jednak na swojego następcę i głównego spadkobiercę wyznaczył Aljoma, niezwłocznie przekazując mu w darze warsztat szklarski.

Rozporządziwszy majątkiem, pozbywszy się ziemskiego dobytku, teraz musiał już tylko zatroszczyć się o swoje zbawienie.

Zwolniony z pokuty, z racji swego stanu, przez biskupa Blois, mógł otrzymać ostatnie namaszczenie, wyspowiadać się publicznie przed tymi członkami rodziny i przyjaciółmi, którzy się tam znajdowali, i przyjąć komunię.

– Pragnę prosić moją małżonkę o całkowite i ostateczne wybaczenie mi krzywdy, jaką jej wyrządziłem – rzekł do kapłana, który właśnie podał mu wiatyk. – Nie zawrę spokoju z samym sobą, dopóki ona mi nie przebaczy.

Po raz pierwszy niewierny mąż otworzył się kajał.

Isambora, która modliła się wraz ze wszystkimi obecnymi, klęcząc przy łóżku,

wstała.

– Już od dawna, Bóg mi świadkiem, nie żywię do ciebie urazy za przeszłość, gdy byłeś zaślepiiony przez demona – rzekła, wbijając paznokcie w dłonie, aby nie krzyczeć.

– Nie mam do ciebie najmniejszego żalu. Bądź spokojny!

Pochyliła się nad posłaniem i pocałowała Bernolda w czoło – tam gdzie pozostał jeszcze błyszczący ślad świętego oleju.

– Niech ci Pan Bóg wybaczy, tak jak ja to czynię z całego serca – dokończyła jednym tchem.

Bernold chwycił żonę za rękę i długo przyciskał do niej usta, jakby chciał pozostawić na niej niezatarte piętno...

Następnie poprosił, aby przyniesiono wnuka, pobłogosławił go i podziękował Gresji za to, że dostarczyła mu tej ostatniej radości.

Nazajutrz rano w porze wyjazdu wszyscy domownicy zgromadzili się na dziedzińcu domostwa mincerza. Wielu płakało.

Isambora ucałowała córkę, ukłoniła się zięciowi, po raz ostatni uścisnęła w ramionach małego Bernolda, który spał, pożegnała się ze strapionymi Aweliną i Majolem, po czym podziękowała gospodarzom za zawsze niezawodną przyjaźń.

– W osobach tych, którzy się tu w tej chwili zebrali, odżywa cała nasza przeszłość – powiedziała Albrei. – Nie wiem, co przyniesie nam przyszłość, ale trzeba chwalić Boga za towarzyszy, których postawił na naszej drodze!

A jednak zgrzyt ciężkiej bramy zamykającej się za lektyką zmroził jej serce...

Obróciła się do męża, wyciągniętego na poduszkach. Oddychał z trudem. Pogłaskała go po policzku i się uśmiechnęła.

Pograżony w modłach, z przymkniętymi oczami, siedzący naprzeciw niej mnich pielęgniarz odmawiał różaniec.

Wyjazd z Blois zajął sporo czasu. Jak zwykle miasto tętniło gwarem, panował w nim ruch, odbywała się krzątania. Wszędzie wyrastały nowe budowle. Kiedy wreszcie gród hrabiny Adeli przestanie być jednym wielkim placem budowy?

Po przekroczeniu bram w wałach obronnych podróżni ruszyli w stronę Orleanu drogą biegnącą wzdłuż Loary.

W ostatnich dniach maja, zresztą dotychczas niezbyt ładnego, było całkiem ciepło.

Ponad szeroką rzeką unosiła się błękitna mgiełka, w której niknął horyzont. Wszystko tryskało zielenią, drzewa okryły się bujnym listowiem. Na pagórkach kwitły głogi.

Nagle Isambora zadrżała. Gwałtowny, ostry ból przeszył jej brzuch. Ręce i nogi nie mogły się rozgrzać...

We śnie, który miała już ze dwa lata wcześniej, palce, które Henryś położył na jej palcach, były giętkie i ciepłe, chociaż on nie żył, a ręce jego matki, jeszcze przy życiu, pozostawały zimne i sztywne...

To wrażenie tak głęboko wryło się w umyśle Isambory, że natychmiast sobie o nim przypomniała.

Ach, więc o to chodziło!

Zerknęła na benedyktyna. Ciepło go uspiło. Jego opadła na piersi, tonąca

w czarnym kapturze głowa kiwała się na wybojach.

Tym lepiej. Nie było potrzeby powiadamiać go od razu, że zamiast jednego chorego będzie musiał odtąd konwojować dwoje. Zawsze będzie czas uprzedzić go, jeśli ból stanie się nie do zniesienia. Nie to było najważniejsze. Grunt, że zyskała pewność: aż do końca będzie dzielić los Bernolda, cokolwiek ich czeka.

Odkąd zrozumiała, na co cierpi mąż, prześladował ją strach przed rozstaniem bez perspektywy ponownego spotkania na tym padole. Wiedziała, że pozbawiona mężczyzny, który od chwili, gdy się poznali, nigdy nie przestał być ośrodkiem jej życia, nie potrafi walczyć. Niespodziewane odkrycie, jakiego dokonała, przyniosło jej ukojenie.

Ona też była dotknięta „ogniem świętego Antoniego”. Również i pod tym względem połączy ich jakaś wspólnota...

Pochyliła się nad Bernoldem.

– Jak się czujesz, najdroższy? – zapytała.

Otworzył oczy, które wydawały się większe i bardziej niebieskie niż zwykle w jego wychudzonej twarzy, popatrzył z gwałtowną, rozdzierającą czułością na pochylone nad nim oblicze.

– Potrzebuję cię – wymamrotał. – Och, ukochana żono, jak bardzo potrzebuję!

Słowa, które wypowiedział po porwaniu, podczas ich pierwszego uścisku. Te same słowa!

Tak jak często robiły dzieci, gdy zachorowały, Bernold wyciągnął do niej rękę, biedną zgangrenowaną rękę, aby pottrzymała ją w swoich dłoniach.

Było to coś więcej niż tylko gest zaufania i przywiązania: to był dar. Całkowite oddanie się jednej istoty drugiej. Wyzbycie się wszelkiego fałszywego wstydu, wszelkiej sztuczności. Zdawał się na nią, licząc, że będzie mu pomagała, podnosiła go na duchu, kochała. Podając rękę, ofiarował całego siebie i tę resztkę życia, jaka jeszcze się w nim tliła. Bez zastrzeżeń.

Ostrożnie ściskając swoimi zgrabiałymi palcami te, które ku niej wyciągnął, Isambora pomyślała, że ten lekki ucisk jest niewątpliwie bardziej wszechogarniający niż cielesne zbliżenia, które przecież niegdyś tak intymnie ich łączyły. Rezygnacja z rozkoszy nadawała temu aktowi ofiarowania wymiar bardziej duchowy.

Gdyby jakimś cudem udało im się wyzdrowieć (mogliby tylko razem), musieliby potem żyć w czystości. Nie zakłócać zmysłowymi porywami doskonałej przejrzystości ich nowego małżeńskiego pożycia. To wyrzeczenie będzie dla niej najbardziej namacalnym dowodem wdzięczności, najwyższą ofiarą złożoną w podzięcie.

Z rozmyślań wyrwały ją jęki męża. Dała mu wypić trochę wywaru z maku, którego parę fiolek wręczył jej mnich, śpiący teraz smacznie w kącie lektyki.

Nagle znów przeszył ją ból. Poczuła, jakby szpony z rozżarzonego żelaza rozdrapywały jej wnętrzności.

Aby uśmierzyć to palenie, łapczywie wypła parę łyków uspokajającego naparu. Poczekała, aż dolegliwości nieco zelżeją, i łagodnie przyłożyła usta do warg Bernolda.

„Wszystko będzie dobrze – powiedziała sobie, obserwując z tkliwością swego towarzysza, który znów zapadł w sen. – Wszystko będzie dobrze. Chwała Ci, Panie! Wreszcie zeszedliśmy się, on i ja, na zawsze! Pozwoliłeś nam do końca wytrwać w miłości.

Cokolwiek się stanie, uzdrowieni czy nie, martwi czy żywi, zostaniemy razem... połączeni po wsze czasy Twoim sakramentem... w tym świecie albo w Twoim królestwie!”.

Gdyby podróż przebiegała bez przeszkód, dotarliby do miejsca pielgrzymki w samą niedzielę Zielonych Świątek. Czyż nie byłby to znowu jakiś nieomylny znak?

Zrodzona z ognia, przez niego podsycana, a potem przzerwana, ich historia nosiła na sobie jego płomienne znamię. Zielone Świątki, jako jej ukoronowanie, stałyby się ostatnim, promienistym symbolem...

Co mówił Roland, przytaczając któregoś z proroków Starego Testamentu? „Jakby płonął we mnie, w największej głębi mojej duszy wszystko pochłaniający ogień”.

Isamborę przenikał ból, lecz jednocześnie płonęła radością.

Miłość była pożogą, żarem, zatraceniem się w kimś innym, całkowitym zespoleniem...

Promienie słońca, które wpadały do lektyki między skórzanymi, zwiniętymi zasłonami, kładły się na głowie Bernolda i na jej własnej niczym języki ognia...

Kołysana jednostajnym truchtem klaczy, cierpiąc trochę mniej dzięki wywarowi z maku, na poły pogrążona w drzemce, Isambora z zachwytem i wdzięcznością przyglądała się nurtowi Loary, nad którą unosiła się świetlista poświata.

*Le Platane, 8 września 1984 roku*



## UWAGA

*„Ogień świętego Antoniego” lub „święty ogień” to nazwy nadawane epidemiom spowodowanym spożyciem, najczęściej w okresach głodu, mąki skażonej sporyszem zbóż i traw.*

*Sporysz zbóż (buławinka czerwona) jest pasożytem niektórych roślin trawiastych, występującym w postaci cienkich rogalikowatych tworów, długości dwóch do trzech centymetrów, osadzonych na osi kłosa. Może dostać się wraz z ziarnem do młocarni i zostać zmielony.*

*Zawiera substancje toksyczne i na przestrzeni wieków wywoływał liczne epidemie. Ostatnia taka epidemia we Francji wybuchła mniej więcej w połowie dwudziestego wieku w Pont-Saint-Esprit, w departamencie Gard.*

*Pojawiają się kolejno bóle brzucha, konwulsje, martwica kończyn, wewnętrzne oparzenia, a jednocześnie podwyższa się lub, przeciwnie, spada ciśnienie tętnicze.*

*Nie ma na to odtrutki.*

## PODZIĘKOWANIA

Zanim zakończę tę książkę, pragnę wyrazić wdzięczność tym, którzy służyli mi przyjazną pomocą, udostępniając niezbędną dla mnie dokumentację. Niech przyjmą moje podziękowania pan Jean Martin-Demézil, dyrektor honorowy Archiwum Departamentu Loir-et-Cher; Stowarzyszenie Archeologiczne i Naukowo-Literackie regionu Vendôme; pan Pussot, prezes Stowarzyszenia Przyjaciół Starego Blois; pani Martine Tissier de Mallerais, kustosz zamku i muzeów Blois; pani Coïc, bibliotekarka i kustosz muzeum w Bayeux, a także jej asystentka pani Liliane Pasquet.

Chciałabym zwłaszcza wspomnieć tu pana Jeana-Jacques'a Danne'a, redaktora w Archiwum Departamentalnym w Blois, który przekazał mi swoją pracę licencyjną na temat Adeli z Blois, jedyną, o ile wiem, o córce Wilhelma Zdobywcy. Uświadomiła mi ona, jak istotną i nigdy dotąd w pełni niewyświetloną rolę odegrała ta księżniczka w rozwoju kultury dworskiej. Gorąco mu za to dziękuję.

Wreszcie pragnę wyrazić ogromną wdzięczność panu Claude'owi Leymariosowi, archeologowi, kierownikowi wykopalisk na zamku Fréteval, i zapewnić go o mojej przyjaźni. Przez lata, które spędziłam na pisaniu książki, wciąż dostarczał mi niezwykle cennych informacji o fretewalskim stanowisku i jego historii oraz o poszukiwaniach archeologicznych, które prowadzi od ponad dziesięciu lat. Jestem mu winna wdzięczność na miarę życzliwości, jaką mi okazywał.

J.B.

## Przypisy

- [1] Biblia Tysiąclecia, Pallottinum, Poznań 2002.
- [2] W donżonach i wielkopańskich siedzibach obszerna sala, znajdująca się przeważnie na pierwszym piętrze, która stanowiła ośrodek domowego życia. Nie sypiano w niej (przyp. tłum.).
- [3] W średniowiecznym systemie feudalnym senior oznaczał możnowładcę, któremu jako zwierzchnikowi wasal składał hołd i który zapewniał mu dożywotnią opiekę (przyp. tłum.).
- [4] *Podwasal* (franc. *le vavasseur*): człowiek uposażony lennem zależnym od innego lenna: wasal drugiego stopnia (przyp. aut.).
- [5] *Gajowy lenny* to znaczy leśniczy, który otrzymał lenno (przyp. aut.).
- [6] *W porze seksty*: w południe (przyp. aut.).
- [7] We Francji dzień świętego Marcina, biskupa Tours, obchodzi się dwa razy do roku, 4 lipca (świętego Marcina Gniewnego) i 11 listopada (świętego Marcina Miłosiernego) (przyp. tłum.).
- [8] *Mincerz*: zarządca mennicy, odpowiedzialny za bicie monet (przyp. tłum.).
- [9] *Cendal*: tkanina jedwabna (przyp. aut.), podobna do współczesnej tafty (przyp. tłum.).
- [10] Moźnowładca był właścicielem różnych warsztatów i środków produkcji (kuźnia, młyn, tłocznia wina, piec piekarski), z których mieszkańcy włości byli zobowiązani korzystać za określoną opłatą. Ten monopol rozciągał się również na zwierzęta: niektórzy panowie wymagali, aby chłopci pod groźbą ciężkiej kary przyprawdzali swoje krowy i maciory do pańskiego byka czy knura (przyp. tłum.).
- [11] Grand Feu – dosłownie: Wielki Ogień (przyp. tłum.).
- [12] Zwrot „wziąć krzyż” w średniowieczu oznaczał tyle, co zobowiązać się do uczestnictwa w krucjacie (przyp. tłum.).
- [13] W polszczyźnie nie istnieje rzeczownik określający mieszkańców regionu i miasta Blois. Tu został utworzony na potrzeby niniejszej książki (przyp. tłum.).
- [14] *Banvin*: przysługujące seniorowi prawo sprzedawania wina w pierwszej kolejności (przyp. aut.).
- [15] Hiacynt – przezroczysta odmiana cyrkonu barwy żółtej, pomarańczowej, czerwonej lub brunatnej; kamień szlachetny (przyp. tłum.).
- [16] Nawiązanie do Ewangelii św. Mateusza 22, 13 (przyp. tłum.).
- [17] *Samit*: luksusowa tkanina, przeważnie wielobarwna (przyp. tłum.).
- [18] *Estampie* – średniowieczny taniec w żywym tempie (przyp. aut.).
- [19] *Trèche, espinguerie* – dynamiczne, skoczne tańce (przyp. aut.).
- [20] *Kurtyna*: część muru obronnego położona między bastionami (przyp. aut.).
- [21] *Chansons de toile* – na poły narracyjny gatunek starofrancuskiej poezji lirycznej. Stworzony przez truverów, cieszył się popularnością w XII i XIII wieku. Zwykle wykonywane z akompaniamentem muzycznym, pieśni te opowiadają o kobietach poszukujących miłości (przyp. tłum.).
- [22] Apokalipsa św. Jana 7, 14. Werset ten brzmi: „To ci, którzy przychodzą

z wielkiego ucisku i opłukali swe szaty...” (przyp. tłum.).

[23] Zob. nota o tej chorobie na końcu książki (przyp. tłum.).